

**Victoria Holt**

# **Droga do raju**

*The Road to Paradise Island*  
**Przełożyła Anna Kamińska**

## *Nocna burza*

Tej nocy, kiedy szalała wielka burza, nasz dom, podobnie jak kilka innych w wiosce, został uszkodzony. A to umożliwiło mi dokonanie odkrycia. Miałam wtedy lat osiemnaście, a mój brat, Filip — dwadzieścia trzy. W przyszłości nieraz przyszło mi się zastanawiać nad tym, jak potoczyłyby się nasze losy, gdyby nie ta burza.

Przyszła do nas po jednym z najgorętszych dni, jakie ktokolwiek pamięta. Temperatura przekroczyła trzydzieści stopni, a każda rozmowa, choćby nie wiem czego dotyczyła, w końcu zaczynała się obracać wokół tego straszliwego upału. Z gorąca zmarło dwoje starych ludzi i jedno niemowlę, w kościołach wznoszono modły o deszcz. Stara pani Terry, która miała dziewięćdziesiąt lat i po swawolnej młodości oraz niezbyt cnotliwym wieku dojrzałym nawróciła się około siedemdziesiątki na łono Kościoła, głosiła, że Bóg karze całą Anglię, a Małe i Wielkie Stanton w szczególności, sprawiając, że bydło pada z wycieńczenia, strumienie wysychają, a pola uprawne przypominają pustynię. Według pani Terry dzień Sądu Ostatecznego zbliża się nieuchronnie. Podczas nocnej burzy nawet najwięksi sceptycy spośród nas skłonni byli przyznać jej rację.

\* \* \*

Całe życie mieszkałam w wielkim dworze z czasów Tudorów, w miejscu nazywanym Green. Rządy sprawowała u nas Babcia M. To M. oznacza oczywiście Mallory, czyli nasze nazwisko rodowe, a nazwaliśmy ją Babcią M. dla odróżnienia od Babci C. — Babci Cresset, bo w dniu śmierci mojej matki, który był też dniem moich narodzin, rozpoczęła się Wojna Babć.

— Obie chciały zatrzymać nas u siebie — opowiadał mi Filip, kiedy skończyłam jakieś cztery lata, a on był wszechwiedzącym dziewięciolatkiem. Ta wiadomość dawała nam poczucie własnej ważności i niezbędności.

Filip powiedział mi też w zaufaniu, że Babcia C. proponowała wziąć jedno z nas do siebie, a Babci M. podesłać drugie — rozdzielając nas jak ziemię, o którą walczyli generałowie. Długo potem nie potrafiłam pozbyć się nieufności do Babci C, bo przecież najważniejszą osobą w moim życiu jest Filip. Zawsze był ze mną ten mój starszy brat, mój obrońca, mędrzec, którego doświadczenie przewyższało o pięć bezcennych lat moje własne. Kłóciliśmy się od czasu do czasu, ale te spory tym bardziej mi uświadamiały, jak wiele on dla mnie znaczy, bo kiedy się na mnie obrażał, cierpiałam niewysłowione męki.

Pomysł rozdzielenia nas wywołał na szczęście oburzenie Babci M.

— Przenigdy! — tak brzmiał jej okrzyk bojowy i z całą stanowczością obstawała przy twierdzeniu, że jako babka ze strony ojca ma do nas większe prawa. Babcia C. została zmuszona do odwrotu i pójścia na ugodę, zgodnie z którą raz do roku spędzaliśmy letnie wakacje w jej domu w Cheshire oraz od czasu do czasu składaliśmy jej jednodniowe wizyty. Wolno jej też było kupować dla mnie sukienki, a dla Filipa marynarskie ubranka oraz pończochy i rękawiczki nam obojgu, a także dawać prezenty na Boże Narodzenie i na urodziny.

Kiedy miałam dziesięć lat, Babcia C. umarła na serce.

— No i ładnie by to teraz wyglądało, gdyby to ona dostała dzieci — usłyszałam, jak Babcia M. mówi do Beniamina Darkina. Stary Beniamin był jednym z niewielu, który odważał się sprzeciwić Babci M. Ale on mógł sobie na to pozwolić, bo pracował w „sklepie”, odkąd skończył dwanaście lat, i wiedział o mapach więcej niż ktokolwiek na świecie. Tak przynajmniej twierdziła Babcia M.

— Trudno obarczać tę panią winą za wyroki boskie, pani Mallory — odparł wtedy Beniamin z lekką naganą w głosie. I najprawdopodobniej dlatego, że był Beniaminem Darkinem, Babcia M. puściła tę uwagę mimo uszu. Babcia M. zachowywała się w Małym Stanton jak

dziedziczka, a gdy się wybierała do Wielkiego Stanton, co w owym czasie czyniła codziennie, jechała swoim powozem z Johnem Bartonem, woźnicą, i małym Tomem Terrym, który stał z tyłu na stopniu powozu.

Filip oświadczył mi pewnego ranka, a miał wtedy jakieś osiemnaście lat i wydawał mi się najmądrzejszym człowiekiem w całym chrześcijańskim świecie, że ludzie, którzy sami zdobyli majątek, bywają często bardziej do niego przywiązani niż ci, którzy go posiadają od urodzenia. Miał na myśli oczywiście to, że Babcia M. nie była z urodzenia szlachcianką, a tylko wyszła za mąż za Dziadka M. i tak stała się jedną z Mallorych zamieszkujących wielki dwór od czasu kiedy został wybudowany, czyli od roku 1573. Wiedzieliśmy o tym, bo data była wyryta w kamieniu nad głównym wejściem. Ale na pewno wśród Mallorych nie znalazłby się nikt dumniejszy od Babci M.

Dziadka M. nie znałam nigdy. Umarł, zanim zaczęła się wielka Wojna Babć.

Babcia M. rządziła wioską równie sprawnie i autokratycznie jak własnym domem. Przewodniczyła festynom i targom, a także trzymała w ryzach naszego pastora i jego „pustogłową” żonę. Pilnowała, by wszyscy chodzili na poranne i wieczorne nabożeństwa. Każdej niedzieli cała służba musiała stawić się na swoich miejscach w świętym przybytku, a jeśli już jakieś ważne obowiązki to uniemożliwiły, następowało przetasowanie, by ten, kto nie mógł przyjść w poprzednią niedzielę, dopełnił obowiązku w następną. Nie muszę nawet dodawać, że ja i Filip byliśmy w kościele zawsze obecni. U boku Babci M., odświętnie ubrani, maszerowaliśmy grzecznie przez całe Green z dworu do kościoła, by zająć swoje miejsca w ławce Mallorych. Z ławką sąsiadowało witrażowe okno, przedstawiające Chrystusa w Ogrodzie Oliwnym, darowane kościołowi przez jednego z naszych przodków w roku 1632.

Wydaje mi się jednak, że najwięcej uwagi Babcia M. poświęcała „sklepowi”. Nie jest w zwyczaju, aby osoby szlachetnie urodzone prowadziły interesy i osobiście zajmowały się handlem. Ale też nie jest to zwyczajny sklep.

To raczej świątynia chwały przodków Mallorych, którzy zasłynęli jako wielcy podróżnicy, bo opłynęli cały świat dookoła. Dobrze służyli swojemu krajowi od czasów królowej Elżbiety, dlatego Babcia M. była święcie przekonana, że właśnie im kraj nasz zawdzięcza sporą część swojej morskiej potęgi.

Jeden z Mallorych pływał jeszcze z kapitanem Drakiem. Jego potomkowie w wieku siedemnastym też przeżywali swoje dni chwały, ale nie w walkach z wrogimi okrętami Hiszpanów i Duńczyków; wyróżniała ich inna pasja: zajmowali się odrysowywaniem świata. Jak mówiła Babcia M., swoje nazwisko zapisali nie tylko w historii Anglii, lecz także w annałach historii świata, ułatwiając nawigację statkom, prowadząc tysiące wielkich podróżników. Tego, co nieustraszeni żeglarze i badacze nieznanych lądów zawdzięczali mapom Mallorych, nie da się przecenić. „Sklep” znajdował się przy głównej ulicy w Wielkim Stanton, w starym, trzypiętrowym budynku z dwoma oknami w wykuszach na parterze, po jednym z każdej strony schodów prowadzących do frontowych drzwi. Z tyłu, za podwórkiem stał jeszcze jeden budynek, a w nim znajdowały się trzy maszyny parowe. To był dla nas teren zakazany, chyba że towarzyszył nam ktoś z dorosłych. Mnie maszyny szczególnie nie interesowały, za to Filip był nimi zachwycony.

W jednym z wykuszów stał wielki globus, pomalowany najpiękniejszymi odcieniami błękitu, różu i zieleni; ogromnie mnie ów globus fascynował. Kiedy po raz pierwszy odwiedziłam sklep w towarzystwie Babci M., Beniamin Darkin pokazał mi podobny, tyle że w pracowni kartograficznej. Obracał go powoli, bym lepiej mogła zobaczyć wielkie niebieskie morza, lądy i ich granice. Nigdy też nie zapominał wskazać na różowe plamy — ziemie należące do Brytanii. Zdobyte, jak sądziłam, przez tych wspinających Mallorych, którzy sporządzali owe mapy.

Filip był równie jak ja przejęty wizytami w sklepie i często o nich ze mną rozmawiał. W pokoju lekcyjnym u nas w domu też wisiały na ścianach mapy i kiedy Babcia M. czasem tam do

nas zachodziła, wypytyjąc o różne rzeczy z geografii, cieszyła się naszym zainteresowaniem tą dziedziną wiedzy.

W drugim wykuszu wisiała wielka mapa świata. Wyglądała wspaniale z kontynentem Afryki po jednej stronie i z obu Amerykami po drugiej. Oceany były jaskrawoniebieskie, a lądy cynobrowe i zielone. Nasza wyspa przy nich wyglądała całkiem niepozornie, ot, choćby w porównaniu z tym zabawnym tygrysem, który jest Skandynawią. Ale najwspanialsze było nazwisko naszego przodka wypisane złotymi literami w prawym dolnym rogu: Jethro Mallory, 1698.

— Kiedy dorosnę — oznajmił Filip — będę miał własny statek i przepłynę wszystkie morza. A potem moje nazwisko też będzie wypisane złotem na dole mapy.

Babcia M. usłyszała jego słowa i na jej twarzy pojawił się szeroki, pełen szczęścia uśmiech, bo właśnie to było jej najgorętszym pragnieniem. Domyśliłam się, że gratulowała sobie, iż udało jej się uratować wnuka przed szponami Babci C, która mogłaby próbować zrobić z niego architekta albo nawet polityka, skoro w jej rodzinie przyjęły się te właśnie profesje.

Z biegiem lat dowiadywałam się coraz więcej na temat mojej rodziny i wreszcie uświadomiłam sobie, że Babcia M. nigdy nie była naprawdę zadowolona z małżeństwa jej syna z Florą Cresset. Flora, sądząc z portretu, który wisiał w galerii, miała bardzo piękną twarz, ale była krucha i słabego zdrowia, czego okrutnym dowodem jest to, że nie przeżyła moich urodzin. Ale też wiele kobiet i dzieci umierało wówczas przy porodzie; wydanie na świat potomka i pozostanie przy życiu można było uznać w tamtych czasach za małe zwycięstwo. Podzieliłam się z Filipem moim przemyśleniem, że tylko dzięki wytrwałości kobiet rasa ludzka przetrwała, na co on odburknął: „Czasami pleciesz prawdziwe głupoty”.

Filip mocniej stapał nogami po ziemi niż ja. Byłam marzycielką. On interesował się praktyczną stroną tworzenia map, obliczeniami i pomiarami, palce aż go swędziały do kompasu lub innego podobnego przyrządu. Mnie ciekawiło co innego. Zastanawiałam się, jacy ludzie żyją w tych odległych krainach. A kiedy wpatrywałam się w zielone wyspy pośród błękitnych tropikalnych mórz, snułam marzenia o tym, jak tam docieram, jak żyję wśród tubylców i poznaję ich obyczaje.

Tak bardzo różniliśmy się od siebie, Filip i ja. Może właśnie dlatego dobrze się między nami układało. Każde z nas wносиło coś, czego nie miało drugie. Pewnie też dlatego, że zabrakło nam matki, a właściwie także i ojca, chociaż on nie umarł — tak przyłgnęliśmy do siebie.

Przed śmiercią matki to właśnie mój ojciec prowadził rodzinny interes, do czego przygotowywano go przez całą młodość, jak teraz Filipa. Może gdyby matka nadal żyła, ojciec wciąż jeszcze przebywałby tu z nami, zajmując się mniej więcej tym, co zdaniem Babci M. powinien robić. Ale moja matka odeszła, a on nie mógł już znieść życia we dworze. Widać otaczało go tu zbyt wiele smutnych wspomnień. Może też żywił niechęć do dziecka, które zdobyło swoje miejsce w świecie kosztem tej, którą bardziej kochał. Tak czy inaczej, postanowił wyjechać na jakiś czas do Holandii, by współpracować z tamtejszą firmą kartograficzną. Ten wyjazd miał mu pomóc wrócić do równowagi po stracie żony, a jednocześnie pozwalał zdobyć nowe doświadczenia zawodowe. Holandia była krajem, w którym powstawały najlepsze mapy, i Babcia M. w owym czasie uznała wyjazd ojca za niezły pomysł.

Ojciec pozostał jednak w Holandii i nie wykazywał żadnych chęci do powrotu, co więcej, w swoim czasie ożenił się z Margaretą, córką zamożnego i wpływowego kupca holenderskiego. Ku rozczarowaniu Babci M. ojciec dołączył do interesów teścia, porzucając wspaniałe zajęcie kartografa na rzecz tego, co babcia określała pogardliwie „handlem”. A ja miałam przyrodnych braci i siostry, których nigdy nie widziałam.

Mówiło się czasami, że Filip też mógłby wyjechać i zamieszkać z ojcem, ale Babcia M. zawsze to jakoś uniemożliwiała. Myślę, że obawiała się, iż także Filip uległby fascynacji

handlem z obcymi krajami. Tak więc mój ojciec zajął się swoją drugą rodziną i wydawał się zadowolony z tego, że pierwszą pozostawił pod opieką Babcia M.

W dzień moich osiemnastych urodzin guwernantka, która opiekowała się mną od siedmiu lat, odeszła, a skoro nie potrzebowałam już nowej, Babcia M. zaczęła myśleć o znalezieniu dla mnie męża. Jak dotąd, żaden z młodych ludzi, których zapraszano do naszego domu, nie przypadł mi szczególnie do gustu. Nie dostrzegłam też nic romantycznego w tak prozaicznej aranżacji małżeństwa.

W Wielkim Stanton mieszkali Galtonowie, którzy mieli syna, Geralda. Byli bardzo bogaci i prowadzili rozliczne interesy w Londynie, oddalonym od Stanton o jakieś dwadzieścia mil. Gerald towarzyszył swojemu ojcu w wyjazdach do Londynu, gdzie często spędzali po parę tygodni, a ich wizyty w domu na wsi były dosyć rzadkie. Gerald jako mój przyszły mąż niezbyt często bywałby w domu, a kiedy zdałam sobie sprawę z tego, iż jest to punkt na jego korzyść, zrozumiałam natychmiast, że nie pasuje do moich romantycznych planów.

Był też Charles Fenton, syn dziedzica Marlinton. Lubił polowania na lisy, strzelanie i w ogóle wszelkie sporty. Dobroduszny i jowialny, śmieszyło go niemal wszystko, tak że przy nim zaczynało się tęsknić za chociażby jedną smutną chwilą. Lubiłam przebywać w towarzystwie obu tych młodych ludzi, ale myśl o spędzeniu z nimi całego życia nie była w najmniejszym stopniu pociągająca.

— Powinnaś nabyć bardziej światowych manier, kochanie — powtarzała Babcia M. — Młoda dama musi prędzej czy później dokonać wyboru. Te, które zbyt długo zwlekają, mogą pewnego dnia stwierdzić, że nie ma już z czego wybierać.

Straszliwe ostrzeżenie, które bez żadnego wrażenia wpadało w głuche, osiemnastoletnie uszy.

Babcia M. bardziej jednak martwiła się o Filipa. Jego żona zamieszka przecież we dworze. Stanie się jedną z Mallorych, natomiast ja, wychodząc za mąż, zrzeknę się tego świetnego nazwiska. Nie miałam żadnych wątpliwości, że Babcia M. nie wspominała dobrze Flory Cresset. To prawda, że pozostało po niej dwoje dzieci, ale babcia nie mogła darować, że w jakiś sposób przez nią straciła syna, który znalazł się teraz, jak to określała, „pod pantoflem tej Holenderki”. Od czasu drugiego małżeństwa ojca nie wyrzekła już dobrego słowa o Holendrach.

— Ależ babciu — przypominałam jej — mówiłaś przecież, że tam powstają najlepsze mapy. Niektórzy z największych podróżników... ba, sam Merkator był przecież Flamandem. Myślę, że sporo mu zawdzięczamy.

Babcia M. była rozdarta między zadowoleniem, jakie zawsze odczuwała, gdy okazywałam zainteresowanie rodzinną profesją, a niezadowoleniem, że się jej sprzeciwiam.

— To dawne dzieje. Poza tym ten Holender pierwszy zaczął kupować stare, czarno — białe mapy i kolorować je. A potem sprzedawać po wygórowanych cenach.

— A ci, którzy nastali po nim, świetnie na tym pomysłcie wyszli — zauważyłam.

— Jesteś uparta — stwierdziła Babcia M., ale nie okazała niezadowolenia. Uczyniła natomiast to, co robiła zazwyczaj, kiedy nie udało jej się postawić na swoim — zmieniła temat.

Była zachwycona tym, że lubię chodzić do „sklepu” i w wyznaczone popołudnia, oczywiście po lekcjach, pozwalała mi jeździć z guwernantką do Wielkiego Stanton, gdzie spędzałam parę bardzo miłych godzin. Między innymi na pasjonujących rozmowach z Beniaminem Darkinem. Mapy stanowiły całe jego życie.

Czasami Beniamin zabierał Filipa i mnie do pomieszczeń na tyłach sklepu, gdzie mieściła się drukarnia, i z entuzjazmem rozprawił o dawnych technikach druku.

Mnie te rozmowy raczej nudziły, Filip za to zadawał niezliczone pytania dotyczące budowy maszyn. Stałam obok i wpatrywałam się w ryciny rozwieszane na ścianach. Przeważnie były to kopie map z szesnastego, piętnastego, a nawet czternastego wieku. Rozmyślałam o tych

nieustraszonych podróżnikach, którzy jako pierwsi udawali się w nieznanne i odkrywali nowe lądy.

Filip spędzał w sklepie dużo czasu, a kiedy miał dwadzieścia jeden lat i zakończył już edukację, przesiadywał tam całymi dniami, pracując z Beniaminem i poznając wszystkie tajniki tworzenia map. Babcia M. nie ukrywała swojej radości.

Nie znoszę, gdy mnie się pomija, i Beniamin to dostrzegł. Zapewne podobnie jak Filip żałował, że urodziłam się dziewczynką i nie będę mogła odegrać wielkiej roli w tym najbardziej pasjonującym z zajęć.

Pewnego dnia opowiadał o kolorowaniu map. Wyznał, że wierzy, iż niedługo wynajdzie się sposób, który pozwoli wprowadzić na rynek kolorowe litografie. Pokazał mi obraz drukowany — nie mapę, ale sentymentalną scenkę rodzajową. Była kolorowa.

— Jest to dzieło człowieka o nazwisku George Baxter. Proszę tylko popatrzeć na te barwy. Gdybyśmy potrafili przenieść je na nasze mapy...

— A dlaczego nie możecie? — spytałam.

— Ponieważ pan Baxter trzyma swoją metodę w wielkiej tajemnicy. Ale ja się domyślam, jak on to robi. Używa kilku klocków w różnych kolorach, no i musi mieć odpowiednią prasę. Z mapami byłoby trudniej. Widzi panienka, nie można pozwolić, by kolor wychodził choćby ociupinkę za linię. Gdyby tak się stało, jakiś kraj mógłby na przykład okazać się o całe mile mniejszy niż w rzeczywistości. Rozumie panienka, dlaczego to jest takie trudne?

— Więc nadal będziecie kolorować ręcznie?

— Przez jakiś czas tak. Dopóki nie wynajdziemy innego sposobu.

— Beniaminie, przecież ja mogłabym zająć się kolorowaniem.

— Pani, panienko Annalice? Ależ to nie jest wcale łatwe!

— A dlaczegoż to sądzi pan, że nie potrafiłabym kolorować tylko dlatego, że to nie jest łatwe?

— No cóż, panienka jest jeszcze bardzo młodą damą.

— Nie wszystkie młode damy są głupie, panie Darkin.

— Tego nie powiedziałem, panno Annalice.

— W takim razie proszę pozwolić mi spróbować.

W końcu dano mi farby do ręki. Poszło mi dobrze i po jakimś czasie dostałam do pokolorowania prawdziwą mapę. Jaką mi to sprawiło przyjemność! To błękitne morze... kocham ten kolor. Kiedy malowałam, słyszałam niemal fale uderzające w koralowe rafy. Widziałam ciemnoskóre dziewczyny ze sznurami kwiatów wokół szyi i kostek, i malutkie brązowe dzieci, które nago pędzą do morza, i długą pirogę przecinającą wodę. Byłam tam wraz z nimi.

W czasie tych pełnych przygód popołudni wspinałam się na góry i przebywałam rzeki, cały czas rozmyślając o tym, jakie jeszcze lądy pozostały do odkrycia.

Beniamin Darkin sądził, że to zajęcie wkrótce mnie znuży, ale się mylił. Im częściej malowałam, tym bardziej mnie to wciągało. A co ważniejsze, robiłam to dobrze. Nie można było sobie pozwolić na marnowanie map przez nieuważne, niedbałe kolorowanie. Moje zostały dokładnie obejrzone przez samego Beniamina, który orzekł, że nie ma im nic do zarzucenia.

Zacząłam też poznawać sztukę wytwarzania map. Beniamin pokazał mi kopię mapy świata, rysowaną około 150 roku przez Ptolemeusza, który z kolei uczył się tajników tego rzemiosła od Hipparcha, żyjącego jakieś trzysta lat wcześniej. Byłam tym urzeczona i spędzałam cudowne popołudnia na marzeniach o odległych krajach i o żeglarzach, którzy je odwiedzili, a potem rysowali swoje mapy, by inni mogli bez trudu odnaleźć drogę.

Babcia M. przychodziła czasami, aby popatrzeć, jak pracuję. Przyglądała mi się w zamyśleniu. Wnuki przynosiły jej chlubę — wchodziły w czarodziejski świat map. Nie mogła otrzymać od losu lepszego daru. Od urodzenia lubiła rządzić i nic nie sprawiało jej większej

przyjemności niż układanie życia innym, ponieważ była przekonana, że potrafi robić to dużo lepiej niż oni sami.

W tamtym czasie zdecydowała już, że Filip powinien ożenić się z rozsądną dziewczyną, która zamieszkałaby we dworze i urodziła kolejnych Mallorych. Co do mnie, Babcia M. zaczynała dostrzegać, że ani Gerald Galton, ani Charles Fenton nie są odpowiednimi kandydatami na męża. Postanowiła więc nie nalegać na moje zamążpójście do czasu pojawienia się kogoś, kto by bardziej odpowiadał jej wyobrażeniom.

Odetchnęłam z ulgą. Mogłam nadal spokojnie przeżywać w marzeniach swoje przygody przy kolorowaniu map.

Życie toczyło się spokojnym, miarowym rytmem, a ja cieszyłam się przebywaniem we dworze. Był on bowiem pełen niezwykłych tajemnic. Na przykład mówiło się, że w domu straszy.

Na drugim piętrze był taki ciemny kąt na samym końcu korytarza. Służba nie lubiła tamtędy przechodzić po zmroku, chociaż nikt nie potrafił wytłumaczyć dlaczego. Wszyscy mieli nieprzyjemne odczucia. Mówiło się, że dawno, dawno temu kogoś w tamtym miejscu zamurowano.

Kiedy próbowałam dowiedzieć się czegoś od Babci M., ta obruszyła się tylko:

— Nonsens. Żaden Mallory nie byłby taki głupi. To musiałoby być nadzwyczaj niezdrowe.

— Czasami zdarzało się, że zamurowywano zakonnice — zauważyłam.

— Bo to były zakonnice. Nie miały nic wspólnego z naszą rodziną.

— Ale przecież to zdarzyło się dawno temu.

— Moja kochana Annalice, to nonsens. A teraz chcę, byś zaniósła trochę galaretki z cielecych nówek pani Gow. Znowu niedomaga.

Pani Gow przez wiele lat była naszą gospodynią, a teraz mieszkała wraz z synem za domem murarzy, który znajdował się w połowie drogi między Małym a Wielkim Stanton.

Nie mogłam nie podziwiać Babci M., która zlekceważyła zamurowanych przodków równie stanowczo, jak przedtem Babcię C.

Ale pytanie, co może się kryć za murem ciemnego korytarza, ciągle dręczyło mnie i nie dawało spokoju. Zakradałam się tam po zmroku i byłam pewna, że coś wyczuwam — jakiś dreszcz emocji... i coś jeszcze. Czasami było to jakby leciutkie muśnięcie w ramię albo wydawało mi się, że słyszę cichutki szepot.

Często odwiedzałam grób matki, pielęgnując otaczające go krzewy. Stworzyłam sobie jej obraz z opowiadań Babci C, która zawsze trochę pochłipywała wspominając swoją Florę. Flora była piękna, za dobra dla tego świata, wzdychała jej matka. Delikatna, wrażliwa, kochająca dziewczyna. Wyszła za mąż w szesnastej wiośnie życia, a kiedy umarła przy drugim porodzie, miała dwadzieścia dwa lata.

Babci C. mogłam wyznać, jak bardzo jest mi przykro, że umarła z mojego powodu. Tego nigdy nie mogłabym powiedzieć Babci M., która stwierdziłaby natychmiast: „Nonsens. Nic o tym nie wiedziałaś, więc nie mogłaś mieć w tej sprawie nic do powiedzenia. To się często zdarza, a ona była wątlm stworzeniem”.

Babcia C. zachowywała się bardziej sentymentalnie. Powtarzała, że moja matka dobrowolnie oddałaby za mnie życie. A to było jeszcze gorsze. Nic nie smuci człowieka tak, jak świadomość, że ktoś ogromnie poświęcił się dla niego.

Więc nie rozmawiałam z Babcią C. o mojej matce tak często, jak bym chciała.

Natomiast chodziłam na jej grób. Posadziłam na nim krzewinkę róży i rozmaryn. Ukrywałam te moje odwiedziny na cmentarzu, nie chciałam, by ktokolwiek, nawet Filip, dowiedział się o nich. Czasami głośno z mamą rozmawiałam, mówiłam jej, iż mam nadzieję, że jest szczęśliwa tam, gdzie jest, i że jest mi smutno, bo stałam się przyczyną jej śmierci.

Pewnego dnia o krok od grobu matki potknęłam się o kamień i upadłam. Lekko otarłam kolana. Przyjrzałam się kamieniowi, który był przyczyną mojego upadku, i dostrzegłam, że leży w równym rzędku z innymi.

Rozgarnęłam liście i odkryłam, że kamienie otaczają wzgórek, który mógł być mogiłą. Zastanawiałam się, do kogo należy. Zawsze sądziłam, że ten skrawek ziemi jest opuszczony. Ale przecież znajdował się pomiędzy grobami Mallorych. Zabrałam się do roboty. Powyrywałam splątane chwasty i rzeczywiście, okazało się, że jest to mogiła. Nie miała nagrobka, w przeciwnym razie dawno wiedziałabym o jej istnieniu. Ale znalazłam tabliczkę. Bardzo brudną, liter nie dawało się już prawie odczytać.

Przyniosłam wodę z pompy. Miałam ściereczkę, którą wycierałam ręce po podlaniu roślin. Użyłam jej do czyszczenia tabliczki.

Wpatrywałam się w nią z niedowierzaniem, a po plecach przebiegł mi dreszcz. Imię na tabliczce mogłoby być moim własnym.

*Ann Alice Mallory*

*Zmarła dnia szóstego lutego 1793 roku*

*mając lat osiemnaście*

Ja też nazywam się Annalice. To prawda, że imię na tabliczce było rozdzielone i Alice zaczynało się dużą literą... ale podobieństwo i tak było zaskakujące. Przez kilka sekund miałam niesamowite wrażenie, że patrzę na swój własny grób.

Stałam parę chwil, przyglądając się mu. Kim była ta, która leży na zawsze cicha między zmarłymi Mallorymi?

Wróciłam do dworu. Wróciłam także do rzeczywistości. Dlaczego któraś z moich antenatek nie mogłaby nosić takiego samego imienia jak ja? W rodzinach imiona się powtarzają. Ann Alice. I Annalice. Osiemnaście lat. Była dokładnie w moim wieku, gdy umarła. Przy kolacji zwierzyłam się Babci M.

— Dzisiaj odkryłam na cmentarzu mogiłę, której nigdy wcześniej tam nie widziałam...

Babcia nie okazała szczególnego zainteresowania. Zwróciłam się więc do Filipa.

— Leży tam ktoś, kto nosił moje imię, a w każdym razie tak podobne, że niewiele się różnią.

— Och — rzekł Filip — myślałem, że jesteś jedyną Annalice w rodzinie.

— Tamta nazywała się Ann Alice Mallory. Babciu, kto to był?

— Ann to imię, które w tej rodzinie często jest nadawane. Alice zresztą również.

— A dlaczego nazwałaś mnie Annalice?

— Bo tak postanowiłam — oznajmiła krótko Babcia, jakby dając do zrozumienia, że był to najlepszy możliwy wybór. — W naszej rodzinie było już tyle Ann i Alice! Dla mnie i jedno, i drugie jest mocno pospolite, ale skoro jesteś z Mallorych, połączyłam oba, i musisz przyznać, że stworzyłam coś niebanalnego.

— Tak jak mówiłem, jedna jedyna — stwierdził Filip.

— Mogiła całkiem zarosła zielskiem. Ann Alice pochowano w niej prawie sto lat temu.

— Po tak długim czasie grób może zostać zupełnie zapomniany — uznał Filip.

— To było dziwne... odkryć pod chwastami imię prawie takie samo jak moje... — nie dawałam za wygraną.

— Muszę iść na cmentarz i poszukać tam grobu Filipa — stwierdził mój brat.

— Leży tam nawet kilku Filipów.

— Tak, wiem, masz ten chorobliwy zwyczaj czytania napisów na nagrobkach.

— Lubię myśleć o nich wszystkich... o wszystkich Mallorych, którzy przed nami mieszkali w tym domu... są z nami spokrewnieni... to przecież nasi przodkowie.

— Miło wiedzieć, że czujesz się blisko związana z rodziną — stwierdziła sucho Babcia M., kończąc tym samym temat.



Ale ja nie potrafiłam zapomnieć o Ann Alice Mallory.

Wkrótce poszłam znów na cmentarz, by usunąć chwasty z mogiły. Poprosiłam też ogrodnika o jakiś krzew do zasadzenia. Podrapał się w głowę i orzekł, że to nie pora na przesadzanie krzewów. Ale dał mi krzaczek róży, a ja jeszcze poprosiłam o rozmaryn.

— Nie przyjmie się — stwierdził ponuro.

Jak się nie przyjmie, to spróbuję raz jeszcze, pomyślałam sobie. Zasadziłam oba krzewy, a tabliczkę z nazwiskiem położyłam między nimi. Teraz grób wyglądał zupełnie inaczej.

Często wracałam myślą do Ann Alice. Najprawdopodobniej urodziła się w naszym dworze, bez wątplenia żyła tu przez osiemnaście lat. Nosiła moje imię. Mogłaby być mną.

To było jakieś niesamowite.

Umarła w roku 1793. Niecałe sto lat temu. Jak wtedy wyglądało życie w naszych stronach? Pewnie niewiele się zmieniło. W odległym świecie miały miejsce wielkie wydarzenia. Trwała Wielka Rewolucja Francuska, w roku śmierci Ann Alice straceni zostali król i królowa Francji. Ale u nas każdy następny dzień przypominał poprzedni.

Teraz nie żyje już nikt, kto znał Ann Alice. Nawet wiekowej pani Terry nie było jeszcze na świecie, kiedy ona zmarła. Za to pani Gow, która skończyła siedemdziesiąt dziewięć lat, mogła pamiętać jakieś opowieści swoich rodziców. Tak, ona mogła coś słyszeć o Ann Alice Mallory.

Kiedy następnym razem odwiedziłam panią Gow, postanowiłam poruszyć ten temat.

Gowowie znajdowali się, jak powiedziałyby sama pani Gow, „o szczebel wyżej w hierarchii społecznej” niż reszta okolicznych mieszkańców. Jak sięgam pamięcią, zawsze się wywyższali, mieli własny dom i byli majstrami murarskimi obsługującymi nie tylko Małe i Wielkie Stanton, ale także dalsze okolice.

Pani Gow zachowywała się z godnością, podobnie zresztą jak wszyscy jej krewni. Jakby chcieli cały czas przypominać, że zostali ulepiani z lepszej gliny.

Pamiętałam panią Gow z dzieciństwa — majestatyczną, dostojną postać spowitą w czarną krepę. Owdowiała mając dwadzieścia osiem lat. Ja i Filip trochę drżeliśmy na jej widok.

Nawet gdy już nieco podrosłam, czułam, że powinnam traktować ją z respektem. Kiedyś spytałam Babcie M., dlaczego odnosi się do pani Gow z takim szacunkiem.

— Cóż takiego zawdzięczamy pani Gow? — pytałam. — Dlaczego musimy postępować z nią tak oględnie?

— Bo jest dobrą gospodynią.

— Ale czasami zachowuje się, jakby cały dwór do niej należał.

— Dobra służba w ten sposób okazuje lojalność. — Babcia M. pomyślała przez chwilę, po czym zaczęła mówić, jakby sama się już nad tym zastanawiała: — Gowowie zawsze byli w tym domu traktowani z należyty szacunkiem. Są zamożni... Mieliśmy szczęście, że pracuje dla nas ktoś taki jak pani Gow. Musimy pamiętać, że ona nie potrzebuje tej posady, ma z czego żyć.

Najwyraźniej coś ważnego wiązało nas z rodziną Gowów. Babcia M. bardzo troszczyła się o to, by pani Gow miała swoje drobne przyjemności. Nie przyjełyby zwykłych prezentów, które daje się ubogiej służbie — ciepłych pledów lub węgla na Boże Narodzenie. Dla pani Gow były bażanty, galaretki z cielejących nówek... prezenty jak dla przyjaciół... lub prawie przyjaciół. Pani Gow nie pochodziła ze szlachty, ale też nie należała do nizin społecznych. Jej mąż i teść — kiedy jeszcze żyli — byli majstrami murarskimi. William, jedyny syn pani Gow, prowadzi teraz kwitnące przedsiębiorstwo.

Postanowiłam pójść do pani Gow i przekonać się, czy uda mi się dowiedzieć czegoś o Ann Alice.

Dałam jej marcepanowe ciasteczka, których przyrządzenie wymusiłam na kucharce, bo wiedziałam, że są przysmakami pani Gow, usadowiłam się na krześle w pobliżu sofy w stylu recamier, na której spoczywała, i rozpoczęłam indagację.

— Niedawno byłam na cmentarzu na grobie mojej matki — oświadczyłam.

— To była kochana, przemiła osoba — skomentowała pani Gow. — Nigdy nie zapomnę dnia, w którym nas opuściła. Była za wątlą, za delikatna. Najpiękniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałam. On ją wprost uwielbiał.

— Chodzi pani o mojego ojca? Z pewnością dużo pani pamięta z tamtych czasów...

— Zawsze miałam dobrą pamięć.

— Odkryłam na cmentarzu inny grób. Bardzo zaniedbany. Oczyszcziłam go trochę z zielska i okazało się, że należy do kogoś, kto nosił imię prawie takie jak moje. Ann Alice Mallory. Umarła w roku 1793, mając lat osiemnaście.

Pani Gow wydeła wargi.

— To dosyć dawno temu.

— Prawie sto lat. Zastanawiałam się, czy pani kiedyś o niej słyszała?

— Jeszcze nie mam stu lat, panno Annalice.

— Ale ma pani dobrą pamięć i może ktoś pani o niej opowiadał.

— Nie mieszkam w tych stronach od urodzenia, sprowadziłam się tu dopiero gdy wyszłam za Toma Gowa.

— Myślałam, że może ktoś z pani rodziny o niej wspominał.

— Mój Tom był starszy ode mnie, ale przyszedł na świat dopiero w 1810, więc od jej śmierci minęło trochę czasu, prawda? To dziwne, że wspomniała panienka ten rok. Często się o nim mówiło w rodzinie Gowów.

— O roku, w którym ona umarła?

— O 1793... Tak, to był rok, w którym założono warsztat murarski. Świadczy o tym napis nad bramą od dziedzińca. Czyli że to się zdarzyło w tym samym czasie.

Byłam rozczarowana. Panią Gow bardziej obchodziły osiągnięcia firmy „Gow, budowniczy i cieśle” niż mieszkancka odkrytej przeze mnie mogiły. Zaraz też zaczęła się rozwodzić nad tym, jak zapracowany jest jej syn William, który już rozważa przekazanie części obowiązków własnemu synowi Jackowi.

— Należy młodym powierzać odpowiedzialne zadania, panienko. Dobra, odpowiedzialna praca uszlachetnia człowieka. Wszyscy wiedzą, że moja rodzina słynie z najlepszej roboty murarskiej. Chciałabym wiedzieć, czy ktoś jest innego zdania.

Zrozumiałam, że od pani Gow niczego się już nie dowiem. Po namyśle uznałam, że warto spróbować z panią Terry. Zastałam ją w łóżku.

— Ach, to panienka! — powitała mnie, zaglądając chciwie do koszyka i wypatrując, co przyniosłam.

— Te upały ciągle nie ustają, prawda?

— Cóż, sami jesteśmy temu winni. Pytają mnie, co będzie z pionami, co z bydłem, co z sianem, gdy wszystka trawa wyschła... Powinni najpierw zajrzeć we własne dusze, zamiast zwracać się z tymi pytaniami do mnie. Zbliża się już dzień Sądu Ostatecznego, i będzie jeszcze gorzej, jeżeli nie odstąpią od tych diabelskich uciech. Żałujcie za grzechy, powiadam im, póki jeszcze czas.

— Czy słyszała pani kiedyś o Ann Alice Mallory?

— Co takiego? To przecież panienka, nie?

— Nie, ja jestem Annalice o jednym imieniu. Tamta była Ann Alice...

— Zawsze myślałam, że to dziwactwo nadawać takie imię. Dlaczego nie nazwali panienki zwyczajnie, Ann albo Alice, jak innych? Dlaczego musieli je połączyć i dawać panience dwa imiona naraz? Ann to imię, które często się powtarzało we dworze. Alice zresztą też.

— Pytam o moją imienniczkę o dwu imionach: Ann Alice.

— Nie, nigdy o niej nie słyszałam.

— Pani ma dziewięćdziesiąt lat, pani Terry. Czyż to nie cudownie?

— To dzięki bogobojnemu życiu.

Zdobyła się chociaż na tyle przyzwoitości, by przy tych słowach spuścić oczy. Jej bogobojność liczyła sobie zaledwie dwadzieścia lat, bo słyszałam, jak mówiono, że po zaginięciu Jima Terry'ego na morzu, chociaż także za jego życia, nie miała nic przeciw temu, by „trochę poswawolić”, jak mawiano w okolicy, w sobotnie wieczory w krzakach, a nawet we własnym domu.

— Z pewnością — przytaknęłam z tak niewinną miną, jakby nigdy nie doszły mnie słuchy o jej grzesznych uciechach. Zależało mi na tym, by nie zepsuć jej dobrego samopoczucia. I przeszłam do sedna sprawy. — Odkryłam na cmentarzu grób Ann Alice Mallory. Nosiła te same imiona, co ja. Na widok jej mogiły zadrżałam, bo pomyślałam, że gdy umrę, mój grób będzie tak samo wyglądał.

— Proszę się strzec, by nie odejść z tego świata gwałtowną śmiercią, nie odpokutowawszy za swoje grzechy.

— Nie zastanawiałam się nad tym jeszcze.

— W tym właśnie rzecz. Dzisiaj młodzi ludzie wcale o takich sprawach nie myślą. Kazałam mojej Daisy przyrzec, że kiedy będę umierać, sprowadzi pastora, by mi pomógł dostać się na tamten świat, choć wcale nie potrzebuję jego pomocy...

— Och, nie! Z pewnością dla pani miejsce w niebie jest już dawno przygotowane, jestem przekonana, że wyślą umyślny orszak aniołów, by panią poprowadziły.

Zamknęła oczy i skinęła głową.

Poczułam się zawiedziona. Najwyraźniej nikt nic nie wiedział o Ann Alice. A przecież pani Terry przyszła na świat tuż po jej śmierci. Pochodziła z tych stron, spędziła w tych okolicach całe życie. Imię Ann Alice z pewnością znali tutejsi mieszkańcy. Nie było w wiosce nikogo, kto nie interesowałby się życiem we dworze.

— Pani Terry — spróbowałam raz jeszcze. — Tamta panienska musiała umrzeć niedługo przed pani narodzinami. Czy nigdy pani nie słyszała, by ktoś o niej wspominał?

— Nie. To było coś, o czym się głośno nie mówiło.

— Nie mówiło się? Chce pani powiedzieć, że to był zakazany temat?

— Och, nic o tym nie wiem.

— I nie pamięta pani, czy za czasów pani dzieciństwa krążyły o niej jakieś opowieści?

— No, zawsze tylko ci Gowowie. To o nich ciągle się mówiło. Że zadzierają nosa i tak dalej... że się dorobili i mają własny warsztat... Moja matka powtarzała: „Popatrz na tę Gow. Ona i ten jej purpurowy czepek!... Wchodzi do kościoła niby jakaś dama. Kto by pomyślał, że jeszcze przed paru laty nie mieli nic... tak jak my wszyscy”.

— No, tak... — przyznałam odrobinę zniecierpliwiona. — Wszyscy wiedzą, że rodzinie Gow się powiodło.

— Ale nie zawsze dobrze im szło... w każdym razie nie od początku.

— Dobrze im się wiedzie od bardzo dawna. Na bramie jest napis, że od roku 1793. To właśnie w tamtym roku zmarła Ann Alice.

— Jeden przenosi się do wiecznej chwały, a drugi ciągnie z tego pieniądze i sądzi, że jest lepszy od innych.

— Więc nic pani nie pamięta...

— Coś tam mówili... Ale nie, nie pamiętam. Coś o którejś z panien ze dworu. Chyba to, że zmarła nagle.

— Tak, pani Terry, tak...

Wzruszyła ramionami.

— Musiało coś z tych opowieści do pani dotrzeć — nalegałam.

— Nic a nic nie pamiętam. Ludzie umierają. Można tylko żywić nadzieję, że zanim zostaną z tego padółu zabrani, znajdą czas na skruchę.

Westchnęła i znów wróciła do rodziny Gowów.

— To nie było w porządku. Dużo się o tym mówiło. Zawsze im się wszystko upiekło. Pamiętam, dawno temu... ledwo odrosłam od ziemi. Schwytali go. Jak on się nazywał? Niech to licho, jeżeli sobie nie przypomnę! Chyba Tom. Tak, właśnie. Tom Gow. Złapany na gorącym uczynku, z bażantem za pazuchą... kłusował na nie swoim. Poprowadzili go do sędziego... i co? Rodzina Gow udaje się do pana we dworze i zanim ktokolwiek zdążył się obejrzeć, kłusownik Gow chodzi po okolicy dumny jak paw. Puścili go wolno, włos mu z głowy nie spadł! Co panienka o tym myśli? To się właśnie nazywa mieć fawor. Ale to nie było w porządku. Ludzie tego nie lubią. Wydawało się, że pan zrobi wszystko dla Gowów.

— Upłynął już od tamtego czasu cały wiek — zniecierpliwiałam się, bo nie interesował mnie triumf rodziny Gowów.

Tymczasem staruszka mówiła dalej:

— Jak wspomniałam, ledwo wtedy odrosłam od ziemi... Ale zawsze tak było. Ich rodzina miała po swojej stronie dwór. Tak ludzie gadali.

— Cóż, byli znakomitymi rzemieślnikami. Pewnie podziwiano ich za mistrzostwo w robocie.

— Pomogli im... tak się mówiło.

— Ale mówi się także, że Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają. Powinna pani o tym wiedzieć, przecież jest pani z Wszchemogącym w lepszej komitywie niż większość z nas. Moja ironia wcale do niej nie docierała. Pokiwała tylko poważnie głową.

— To prawda.

Wtedy już ją pożegnałam, nie było bowiem wątpliwości, że nie dowiem się od niej niczego więcej o Ann Alice Mallory.

Opowiedziałam o moich rozmowach Filipowi.

— Skąd to zainteresowanie? — spytał. — Tylko dlatego, że nasza antenatka nosiła to samo imię, co ty?

— Nie. To z powodu tych dziwnych odczuć.

Filip zawsze odnosił się sceptycznie do przeczuć. Roześmiał się i tym razem.

— A co byś powiedziała na przejażdżkę konną? — zmienił temat.

Uwielbiam jeździć konno, więc ochno przyjąłam zaproszenie, ale ciągle nie mogłam zapomnieć o Ann Alice. Wciąż rozmyślałam o tajemniczej młodej kobiecie, leżącej w zapomnianej mogile.

\* \* \*

Upał narastał. Powietrze było złowieszczo nieruchome. Wszyscy powtarzali: jest za gorąco, by pracować, za gorąco, by się ruszać, za gorąco, by nawet oddychać. Wkrótce ta pogoda musi się zmienić. O Boże, tak bardzo wszyscy potrzebujemy deszczu.

Chodziłam podenerwowana bez wyraźnej przyczyny, może tylko dlatego, że nie udało mi się niczego dowiedzieć o Ann Alice, która już zaczęła nawiedzać mnie w snach. Gdzie jeszcze mogłabym szukać śladów jej istnienia?

I w ogóle, dlaczego mnie to interesuje? Czemu jej postać stała się dla mnie tak ważna? Czy tylko dlatego, że natrafiłam na jej mogiłę, że nosiła podobne do mojego imiona i była mniej więcej w moim wieku, gdy odeszła z tego świata? Czemu nie opuszcza moich myśli?

Stała się dla mnie wręcz istotą z krwi i kości. Filip stwierdził, że to dla mnie znamienne — obsesyjnie zajmować się takimi głupstwami. Jakie znaczenie ma dziś to, co się stało z tamtą dziewczyną? Przecież od tak dawna nie żyje.

Była nieszczęśliwa, powtarzałam sobie. Ja to czuję. W domu. Wokół jej mogiły. Dlaczego jej grób został zapomniany? Inne były w lepszym stanie. Zupełnie jakby ją pogrzebano po to, by jak najszybciej o niej zapomnieć.

Tego popołudnia było za gorąco na spacer lub przejażdżkę. Wyciągnęłam się leniwie w fotelu w cieniu drzew, słuchałam brzęczenia pszczoł. Kwiaty lawendy już pozbierano, wypełnione nimi saszetki zawieszono w szafach i wsunięto do szuflad, więc pracowite owady krzątały się wokół kwiatów przetacznika. Przeniosłam wzrok na ważkę, która zawisała nad stawem w pobliżu figurki Hermesa. Dostrzegłam złocisty błysk przepływającej ryby. Świat zda się znieruchomiał w oczekiwaniu na nadejście deszczu.

Upalne popołudnie przeszło w gorący wieczór. Ospali siedzieliśmy przy stole i wcześniej rozeszliśmy się do swoich pokoi.

Okolo drugiej w nocy rozpętała się burza. Z płytkiego snu wyrwał mnie błysk światła i przeraźliwy huk. Piorun uderzył zda się tuż nad moją głową. Usiadłam na łóżku. Kolejna błyskawica rozświetliła pokój i w tym samym momencie usłyszałam złowieszczy łoskot.

Niebo stało w płomieniach. Nigdy nie widziałam takich błyskawic. Z głębi domu dobiegły do mnie czyjeś głosy, domyśliłam się, że służbę ogarnęła panika.

Burze z piorunami nie zdarzają się w naszych stronach często, a ta rozpętała się dokładnie nad nami. Pioruny waliły jeden za drugim.

Wstałam, zarzuciłam na siebie peniuar, wsunęłam stopy w pantofle. I wtedy usłyszałam jeszcze głośniejszy huk. Zamarłam bez ruchu, tylko moje serce waliło jak oszalałe. Wówczas rozległ się kolejny... Usłyszałam głuchy trzask walącego się muru.

Wybiegłam na korytarz. Filip już tam był.

— Trafiło w nas — powiedział cicho. Kolejny huk, jeszcze jeden i jeszcze jeden... Pojawiła się Babcia M.

— Co się stało?

— Nie wiemy jeszcze — odpowiedział Filip. — Wygląda na to, że piorun trafił w dom.

— Chodźmy więc sprawdzić!

Przybiegło kilka osób ze służby.

— Pan Filip sądzi, że piorun trafił w dom — oznajmiła Babcia M. — Tylko nie wpadajcie w panikę! To z pewnością nic poważnego. Zaraz się o tym przekonamy...

Głos jej zagłuszyła następna eksplozja nad naszymi głowami. Ale Babcia nie straciła animuszu:

— Filip.. — i ty, Jennings — wskazała na lokaja, który właśnie się pojawił — idźcie pierwsi! Ciekawe, gdzie trafiło?

— Powiedziałbym, że w dach, pani Mallory — odparł Jennings.

— W takim razie woda zaleje stropy — stwierdził Filip i wraz z innymi pobiegł po schodach na górę.

Deszcz walił o szyby.

Babcia M. i ja pośpieszyliśmy za nimi.

— Dach uszkodzony! — zawołał Filip.

Poczułam swąd, ale nie dostrzegłam płomieni. Jeśli zajęły się krokwie, deszcz szybko je ugasi. Z góry spływała po schodach struga wody, dosięgła już korytarza.

Babcia M. była spokojna i panowała nad sytuacją. Przyniesiono wiadra, różne naczynia, by zbierać w nie wodę. Ogarnęło nas takie podniecenie, że wszyscy zapomnieliśmy o burzy, choć wciąż huczała.

Jedna z pokojówek dostała ataku hysterii.

— Zawsze się tak zachowuje, proszę panienki, gdy nadejdzie burza — powiedziała inna. — To dlatego, że kiedy miała pięć lat, ciotka zamykała ją w szafie i straszyla, że Bóg się rozgniewał i karze świat...

Dwie inne dziewczyny usiłowały uspokoić rozhisteryzowaną koleżankę.

Jennings był równie spokojny jak Babcia M. Przyjrzał się szkodom i oznajmił:

— Do jutra nic więcej nie da się zrobić, pani Mallory. A rano wezwiemy Gowów.

Burza trwała jeszcze godzinę, a przez ten czas wszyscy opróżniali naczynia z wody i starali się, jak mogli, zapobiec dalszym szkodom. Jaka to była ulga, kiedy deszcz wreszcie ustał i do wiader kapały już tylko pojedyncze krople.

— Proszę się nie martwić, pani Mallory — pocieszał Babcie M. Jennings. — Szkody nie są takie wielkie, jak by się mogło wydawać. Z samego rana sprowadzę Gowa.

— Po tym wszystkim — oświadczyła Babcia M. — należy się nam coś na rozgrzewkę. Najlepszy chyba będzie gorący poncz. Mógłbyś się tym zająć, Jennings? Dla mnie i dzieci podaj w moim salonie i dopilnuj, by w kuchni też nie zabrakło.

Tak więc znaleźliśmy się w salonie babci, słuchając słabnących odgłosów burzy, popijając gorący poncz i zapewniając się nawzajem, że tę noc zapamiętamy do końca życia.

\* \* \*

Rano przyszedł William Gow, by obejrzeć szkody. Powiedział nam, że jeszcze jeden dom na Green został rażony piorunem. Mówiło się, że była to najstraszniejsza nawałnica od stu lat.

William Gow wdrapał się na dach i długo stamtąd nie wracał. Wreszcie zszedł z nader poważną miną.

— Jest gorzej, niż myślałem — stwierdził. — Będzie huk roboty nie tylko przy naprawie dachu. Zdaje sobie chyba pani sprawę, pani Mallory, jak trudno jest znaleźć dzisiaj odpowiednie dachówki do tych starych domów. A gorzej jeszcze, że zostały uszkodzone niektóre krokwie. Trzeba je będzie wymienić.

— Zgadzam się na wszystko, panie Gow — oświadczyła Babcia M. — Proszę mi tylko powiedzieć, co pan zamierza robić.

— Cóż, chciałbym rzucić okiem na stropy w tej części domu, gdzie trafił piorun. Niektóre belki trzeba będzie wymienić, bo inaczej zgniją i zawałają się.

— Niech pan wszystko dokładnie obejrzy — babcia nie zgłaszała zastrzeżeń. — A potem to omówimy.

Spędził cały ranek na wędrowce po domu, opukiwaniu ścian i ostukiwaniu drzwi i okien.

Wysłałam na spacer. Wiele krzewów było połamanych. Wszędzie stały kałuże, w powietrzu unosił się przyjemny zapach. Chyba wszyscy mieszkańcy wioski wylegli z domów, żądni najświeższych nowin. Nie mogłam się powstrzymać, musiałam odwiedzić panią Terry. Zastałam ją w pozie starożytnej wieszczki.

— Co za burza, prawda? Siedziałam na łóżku i powtarzałam słowa: „Spraw, o Panie, by się ci grzesznicy wreszcie opamiętali i nawrócili”.

Przypomniałam sobie naszą pokojówkę; gdy miała pięć lat, ciotka zamykała ją w szafie i wmawiała jej, że burza to znak boskiego gniewu. Przyszło mi na myśl, że cnotliwość jednych może przynieść mnóstwo nieszczęścia drugim.

— Jestem pewna, że Wszzechmogący był pani wdzięczny za radę. — Nie potrafiłam się powstrzymać od ironii.

— Mówią, że piorun trafił w dwór — ciągnęła pani Terry, ignorując moją uwagę. — W dach, prawda? — Wrydało mi się, że jest rozczarowana, bo szkody nie okazały się duże. — W Carterów też raził piorun. Ich dom jest podobno doszczętnie zniszczony. Cóż, teraz będą się szwendać po okolicy. A wie panienska, że on tej swojej Amelii kupił złoty medalion z łańcuszkiem? Takiej starej babie!

— Czyżby zniszczenie ich domu było skutkiem kupna złotego medalionu?

— Nie wiem. Ludzie dostają to, na co zasłużyli. Tak jest napisane w Biblii.

— Naprawdę? Gdzie?

— Nieważne. Po prostu jest napisane i już.

— Cóż, cieszę się, że pani nic złego się nie przytrafiło, pani Terry.

— Och, ja wiedziałam, że nic mi nie grozi.

— Szczególna opieka niebios. Ale cnotliwym nie zawsze udaje się ocaleć. Proszę pomyśleć o świętych i męczennikach.

Jednak pani Terry nie zamierzała dać się wciągać w teologiczne spory.

— Oby to było dla nich przestrogą... — mruknęła tylko.

Kiedy wróciłam do domu, pośpieszyłam na górę, żeby zobaczyć, jak idzie robota Williamowi Gowowi i jego ludziom. Spotkałam ich w tym miejscu korytarza, które zwałam nawiedzonym kątem.

— Obejrzałem tę ścianę, panno Annalice — wskazał ciemny kąt. — Przedostała się tu wilgoć. Proszę spojrzeć. — Dotknął ściany. — Nie sądzę, by dało się ją uratować.

— Co pan proponuje?

— Według mnie należy ją zburzyć. Nie mogę dojść, skąd się tu w ogóle wzięła wilgoć. Boazeria jest inna niż w całym korytarzu.

— Jestem pewna, że babcia zgodzi się na każdą pana propozycję.

Popukał znowu w ścianę i pokręcił głową.

— Coś tu jest nie tak — mrucał. — Pomówię z panią Mallory. Dużo się rozprawiało o koniecznych po burzy naprawach.

Szkody nie były wielkie, ale jak zwykle w takich przypadkach, należało wykonać więcej robót niż początkowo myślano. Najważniejszy był dach, którym zajęto się natychmiast, a potem William Gow i jego ludzie zabrali się do wnętrza.

Ciekawiła mnie ściana przeznaczona do wyburzenia, bo znajdowała się w tym właśnie miejscu korytarza, o którym wśród służby krążyły wieści, że jest nawiedzane przez duchy.

W dniu rozpoczęcia prac postarałam się być w domu. Zostałam na górze, aby obserwować robotników, i właśnie dlatego jako pierwsza weszłam do tego pomieszczenia.

Trudno było uwierzyć własnym oczom.

Wokół unosiły się kłęby kurzu i pyłu z rozbijanego tynku i gipsu, właściwie znaleźliśmy się w istnej mgłę, ale naprawdę był tam... prawdziwy pokój. Wyglądał tak, jakby przed chwilą ktoś z niego wyszedł i miał zaraz wrócić.

— Czegoś takiego jeszcze nie widziałem jak żyję! — wykrzyknął William Gow.

— Wszyscy święci! — wymamrotał jego pomocnik.

— A więc naprawdę wejście zostało zamurowane — zawołałam. — Musi w tym kryć się jakaś niezwykła tajemnica.

Postąpiłam krok do przodu.

— Proszę uważać, panienko — ostrzegł mnie William Gow. — Ten pokój nie był wietrzony od wielu lat. Powietrze może być niedobre. Lepiej zaczekać, panno Annalice. Niech do środka dostanie się trochę świeżego powiewu. Rozbierzmy całą tę ścianę, Bill.

Moja niecierpliwość była tak wielka, że z trudem wytrzymałam pół godziny. Nie odstępowałam robotników ani na krok, czekałam wytrwale, co chwilę pytając, czy mogę wejść do środka. W końcu William Gow oznajmił, że pył już w miarę opadł, a powietrze wymieniło się.

Nie był to duży pokój, pewnie dlatego udało się go tak łatwo ukryć. Stało w nim łóżko z baldachimem z niebieskiego aksamitu, przynajmniej zdawało mi się, że jest niebieski, bo trudno było cokolwiek dostrzec pod warstwą kurzu. Dywan na podłodze był granatowy. Znajdowała się tam również niewielka komoda, dwa krzesła i toaletka. Na krześle leżał koronkowy szal i para rękawiczek. Przyglądałam się im w zdumieniu. Wyglądało jakby ktoś przebywał tu do ostatniej chwili, bo osoba, która tu mieszkała, nie zdążyła nawet schować szala i zabrać rękawiczek. Niewątpliwie ten pokój należał do kobiety. To widziało się od razu. Toaletkę jeszcze okrywała serweta z falbankami, a na niej leżało ręczne lusterko.

William Gow stał obok mnie.

— Tam było okno — zauważył.

— Oczywiście. Musiało tu przecież być jakieś okno!

— Zabili je deskami — stwierdził. — Zdaje się, że wszystko robiono w pośpiechu. Odwróciłam się i spojrzałam na niego.

— Co za niezwykle odkrycie! Któż kazał nagle zamurować zamieszkały pokój?

Gow wzruszył ramionami. Nie odznaczał się wyobraźnią.

— Należałoby najpierw wynieść stąd meble — stwierdziłam. Nie odpowiedział. Jego wzrok przyciągnęło coś na desce, którą właśnie odrywał od okna.

— Co to jest? — spytałam.

— Znak.

— Jaki znak?

— Znak firmowy Gowów.

— Gdzie?

Pokazał mi. Była to wryta w drewnie mała wiewiórka z puchatym ogonem wygiętym do tyłu, siedząca na tylnych łapkach, w przednich trzymająca orzech. Popatrzyłam na niego pytająco.

— Gowowie wzniesli ten mur — wyjaśnił. — Musiał to być mój dziadek. On zawsze używał tego znaku, który odtąd przechodzi z pokolenia na pokolenie.

— Cóż, myślę, że tak właśnie było. Pana rodzina zajmuje się tu stolarką od stu lat.

— Jednak to trochę niesamowite ujrzyć w takim miejscu nasz znak — dziwił się William Gow.

Uznałam, że ogłędnie wyraził swoje zdumienie, ale nie obchodziły mnie jakieś stare deski. Pochłaniało mnie odkrycie tajemniczego pokoju i dręczyło pytanie, dlaczego ktoś uznał za konieczne zamurować do niego wejście. Jakby był tylko jeden sposób unicestwienia tego pomieszczenia. Zamknąć je na zawsze. Zamurować. Sprawić, by nie pozostało po nim nawet wspomnienie.

Babcie M. również dziwiło to odkrycie. Udałam się wraz z nią i Williamem Gowem na górę, by raz jeszcze obejrzeć pokój. Najdziwniejsze wydało się jej to, że przed zamurowaniem pomieszczenia nie wyniesiono mebli.

— Dlaczego — rozważała głośno — nie zamknęli zwyczajnie drzwi, jeżeli nie chcieli więcej korzystać z tej sypialni? Członkowie rodziny Mallorych potrafią czasami zachowywać się naprawdę dziwnie — ciągnęła, dyskretnie dając do zrozumienia, że należy do tej rodziny tylko z racji swojego małżeństwa. A tylko, gdy poczynania powinowatych wydawały się jej wręcz niechlubne, pozwalała sobie na ich osądzanie.

— Musiał zaistnieć jakiś powód — stwierdziłam.

— Tego chyba nigdy się nie dowiemy — westchnęła Babcia M. — I co teraz pocniemy? Najpierw obejrzymy dokładnie meble.. — pewnie przeżarły je doszczętnie korniki, skoro tak długo były nie czyszczone. Ale od jak dawna pokój był zamknięty? Któż to może wiedzieć. Z pewnością za moich czasów nikt w domu niczego nie kazał zamurowywać. Zaraz każę tu posprzątać.

— Z całym szacunkiem, pani Mallory — wtrącił William Gow — ale sprzątanie powinno się odłożyć na dzień lub dwa. Trzeba wpuścić trochę świeżego powietrza do środka. Tu może być niezdrowe... jeśli pani rozumie, o co mi chodzi.

— Doskonale rozumiem. Najpierw więc porządnie wywietrzmy. Powiedźcie wszystkim, że nie wolno wchodzić bez mojego pozwolenia. Spodziewam się, że już wkrótce zaczną krążyć o tym odkryciu niesamowite plotki. Mówcie ludziom, że to nie wystawa.

— Tak jest, pani Mallory. I każdy, kto tu wejdzie, powinien być ostrożny. Nie wiem, w jakim stanie jest sufit i podłoga po tylu latach.

— Zostawimy ten pokój w spokoju tak długo, jak pan uzna za stosowne, panie Gow.

— Chciałbym najpierw wszystko dokładnie zbadać, pani Mallory. Chcę się przekonać, że nie grozi tu nikomu żadne niebezpieczeństwo, zanim cokolwiek zostanie stąd usunięte.

— Tak też będzie.



Zeszłam na dół z Babcią M. Filip już tam czekał. Oczywiście on także nie omieszkiał obejrzeć pokoju i tego wieczoru nie mówiliśmy prawie o niczym innym.

\* \* \*

Leżałam w łóżku. Nie mogłam zasnąć. Odkrycie podekscytowało mnie bardziej niż innych. Dlaczego? Wciąż pytałam o to samą siebie. Jakie to dziwne zadać sobie tyle trudu, by zamurować pokój. Co to powiedziała Babcia M.? Mogli przecież zwyczajnie zamknąć drzwi?

Nie przestawałam o tym myśleć. Każdy szczegół wyrzył się w mojej pamięci. Łóżko z aksamitnymi draperiami... szare pod wiekową warstwą kurzu. Pajęczyny zwisające z sufitu. Toaletka z lusterkim, krzesło z szalem i rękawiczkami. Czy właśnie je zdjęła, czy też miała je nałożyć? Ta komoda... zastanawiałam się, co może znajdować się w jej szufladach.

Rzucałam się i przewracałam na łóżku. Z samego rana pójde tam się rozejrzeć. Przecież to nic złego. Będę ostrożna. Czym to straszyl William Gow? Że podłoga może się zapaść? Że zatruję się morowym powietrzem?

Nagle ogarnęło mnie nieodparte pragnienie, żeby pójść tam zaraz i obejrzeć wewnątrz raz jeszcze. Dlaczego by nie? Popatrzyłam na sufit nade mną. Wyrzę tylko na schody. Zerknę w ten korytarz, myślałam.

Poczułam przyspieszone bicie serca. Dreszcz przebiegł mi po plecach. Nieledwie uwierzyłam w gadanie służących, że w korytarzu straszy, a po dzisiejszym odkryciu wydawało się to jeszcze bardziej prawdopodobne.

Poczekaj do rana, powstrzymywała mnie tchórzliwa połowa mojej natury. Ale było to jak wyzwanie. Nie usnę przecież, gdy myśli kłębią mi się w głowie i wciąż zadaję sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego?

Wstałam zdecydowanie z łóżka, nasunęłam pantofle na stopy i włożyłam peniuar. Palce nieco mi drżały, gdy zapalałam świecę.

Otworzyłam drzwi i chwilę nasłuchiwałam. W całym domu panowała głucha cisza.

Ruszyłam po schodach na górę, zatrzymując się na każdym stopniu, wdzięczna za to, że tak dobrze znam ten dom i wiem, która deska skrzypi.

Znalazłam się w tamtym korytarzu. Dostrzegłam, że wciąż jeszcze unosi się w nim mgielka pyłu. Poczułam szczególny zapach, niepodobny do żadnego, jaki znałam... zapach lat, wilgoci i czegoś jakby niezupełnie z tego świata.

Nadepnęłam na kawałek złamanej deski i weszłam do odnalezionego pokoju.

Światło świecy padało na ściany i sufit. Co to za plamy na ścianie, tuż nad łóżkiem... i na drugiej ścianie takie same? Uniosłam świecę. Tak, są i na suficie!

Mało brakowało, a odwróciłabym się na pięcie i uciekła.

Czułam, że ten pokój kryje w sobie jakąś straszną tajemnicę. Choć bałam się okropnie, pragnienie pozostania okazało się silniejsze niż strach — nie tyle zmusiło mnie do zatrzymania się, co ubłagało. Może później poniosła mnie wyobraźnia, ale wierzyłam, że coś... lub ktoś... przywołał mnie tu tamtej nocy... Że to właśnie ja miałam znaleźć...

Stałam może całe minuty, a może tylko sekundy, rozglądając się po pokoju, a mój wzrok wciąż powracał do plam na ścianach i suficie. Postąpiłam ostrożnie krok naprzód. Moją uwagę zwróciła komódka z szufladami.

Popchnął mnie do niej jakiś impuls. Postawiłam na blacie świecę i spróbowałam otworzyć górną szufladę. Ruszała się ciężko i trudno ją było wysunąć, ale bardzo się starałam i w końcu udało mi się ją wyciągnąć.

Coś w niej leżało. Pochyliłam się. Malutki kapelusik z szarego szyfonu, z piórkiem przypiętym szpilką ozdobioną klejnotem. A obok jeszcze jeden kapelusik, zdobiony różnobarwnymi stokrotkami.

Zamknęłam szufladę, nie powinnam być wścibska. Wydawało mi się jednak, że gdzieś w mroku nocy, w tym niezwykłym pokoju wpatrują się we mnie czyjeś oczy. Miałam też dziwne wrażenie, że nakazują mi, bym szukała dalej.

Gdy zamykałam szufladę, dostrzegłam, że z drugiej coś wystaje, jakby zamknięto ją w pośpiechu. Spróbowałam otworzyć i udało się. Leżały tam pończochy, rękawiczki, szale. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam ich. Były zimne i wilgotne. Wydały mi się odrażające. Wracaj do łóżka, mówił mi zdrowy rozsądek. Co ty tu wyprawiasz w środku nocy? Poczekaj do jutra, a wtedy obejrzysz wszystko dokładnie w towarzystwie Filipa i Babci M. Co ona by powiedziała, gdyby dowiedziała się, że tu myszkujesz po nocy! „Sprzeciwiłaś się mojemu poleceniu. William Gow ostrzegł, że grozi to niebezpieczeństwem. Podłoga mogłaby runąć w każdej chwili”.

Wyjęłam z szuflady trochę rzeczy, a kiedy je odkładałam, moje palce natrafiły na coś w głębi. Pergamin zwinięty w rulon. To była mapa! Przyjrzałam jej się szybko. Widniało na niej kilka wysp na rozległym morzu.

Zwinęłam z powrotem pergamin, wsunęłam rulon do szuflady i znów czegoś dotknęłam. Serce biło mi mocniej niż kiedykolwiek. To była spora, oprawna w skórę książeczka, a na okładce wytłoczono słowo „Pamiętnik”.

Położyłam tomik na komodzie, otworzyłam go i cicho wykrzyknęłam. Na pierwszej stronie wypisano słowa: „Ann Alice Mallory na jej szesnaste urodziny. Maj, 1790”.

Chwyciłam się krawędzi komody, by nie upaść.

Ten dziennik należał do dziewczyny z zapomnianej mogiły!

Nie wiem, jak długo stałam wpatrując się w otwarty pamiętnik. Obezwładniło mnie to odkrycie. Czułam się tak, jakby kierowała mną jakaś nadnaturalna siła. Najpierw sprawiła, że odnalazłam jej grób, a teraz... ten dziennik.

Drżącymi palcami przewracałam strony. Były wypełnione drobnym, ale czytelnym pismem.

Uwierzyłam, że trzymam w ręku klucz do dręczącej mnie tajemnicy. To była dziewczyna pochowana w mogile, o której co rychlej zapomniano. Właścicielka zabawnych kapeluszy w szufladzie, szala, rękawiczek. To Ann Alice Mallory — moja imienniczka.

Na pewno ma to jakieś znaczenie. Jakby mnie ktoś doprowadził do tego odkrycia. Zrozumiałam, że ta tajemnicza dziewczyna chce, bym poznała historię jej życia.

Wzięłam pamiętnik i zamierzałam opuścić pokój, gdy przypomniałam sobie o mapie. Wyjęłam ją z szuflady i wzięwszy świecę, ostrożnie wyszłam z pokoju.

Kiedy dotarłam do sypialni, w lustrze nad toaletką zobaczyłam własne odbicie. Oczy szeroko otwarte, twarz nadzwyczaj blada. Wciąż jeszcze trochę drżałam, ale ogarniało mnie wielkie podniecenie na myśl o tym, co znajdę w dzienniku.

Popatrzyłam na pamiętnik, który położyłam na toalecie. Rozwinęłam mapę. Ujrzałam na niej wielkie morze, na północy grupę wysp, a trochę dalej od nich jeszcze jedną wyspę... całkiem samotną. Obok niej widniało kilka liter. Przyjrzałam się im. Były drobne i niezbyt wyraźne. Odczytałam słowa „Rajska Wyspa”. Zastanawiałam się, gdzie ona leży. Pokażę mapę Filipowi i Beniaminowi Darkinowi. Oni będą wiedzieli.

Ale tak naprawdę interesował mnie pamiętnik.

Gdzieś w domu zegar wybił pierwszą. Byłam pewna, że tej nocy nie zasnę. Nie spocznę, dopóki się nie dowiem, co jest w tym dzienniku. Zapaliłam kolejną świecę, zrzuciłam peniuar oraz pantofelki i wsunęłam się do łóżka. Ułożyłam poduszki pod plecami, otworzyłam pamiętnik i zaczęłam czytać...

## *Pamiętnik Ann Alice*

30 maja, 1790. Na moje szesnaste urodziny, oprócz wielu innych prezentów, dostałam także ten dziennik. Wcześniej nie myślałam nigdy o prowadzeniu pamiętnika, więc z początku odrzuciłam ten pomysł. Nigdy nie będę wystarczająco cierpliwa. Pisałabym z entuzjazmem przez tydzień, może dłużej, a potem zapomniałabym o wszystkim. Tak nie należy pisać pamiętnika. Ale... dlaczegoż by nie? Jeżeli będę zapisywała tylko ważne wydarzenia... Po co komu wiedzieć, że wczoraj była piękna pogoda albo że miałam na sobie niebieską czy lawendową suknię! Tak trywialne szczegóły nie mają żadnej wagi.

Cóż, obiecałam sobie, że zasiądę do pisania, kiedy ogarnie mnie natchnienie albo wydarzy się coś tak ważnego, że poczuję przymus zanotowania wszystkiego natychmiast, by później do tego wrócić. Będę to miała tutaj... dokładnie tak, jak się działo, gdyż zauważyłam, że we wspomnieniach wydarzenia zmieniają się — kiedy ludzie patrzą w przeszłość, naginają ją do swych życzeń. To mi się nie podoba. Spróbuję przekazać prawdę.

Dni tutaj, we dworze, są wszystkie podobne do siebie. Niekiedy wydaje mi się, że tak już będzie trwało wiecznie. O czym mam więc pisać? Dzisiejszy poranek spędziłam jak zwykle z panną Bray, moją guwernantką. Jest piękna i łagodna, ma niewiele ponad dwadzieścia lat. Ostatnie sześć, które z nią spędziłam, były dla mnie bardzo szczęśliwe. Panna Bray jest córką pastora. Gdy do nas przyszła, mój ojciec uznał, że jest za młoda, by mnie uczyć, ale cieszę się, że jednak ją przyjął, bo było nam dobrze z sobą.

Patrząc na dzisiejszą datę, uświadamiam sobie, że przed dwoma laty umarła moja marna. Nie chcę o tym pisać. To zbyt bolesne, wszystko się potem zmieniło. Tęsknię za dniami, gdy mogłam przy niej siadywać i czytać z nią książki. To były najszczęśliwsze chwile. Teraz, gdy nie żyje, szukam pociechy u panny Bray. Czytamy razem, ale to nie to samo.

Szkoda, że jestem tyle lat młodsza od mojego brata, Charlesa. Z tego powodu czuję się trochę osamotniona. Słyszałam, jak służba mówiła, że jestem „trudnym przypadkiem”, a to niezbyt pochlebne określenie. Nie wydaje mi się, by Papa szczególnie się o mnie troszczył. Oczywiście spełnia swoje ojcowskie obowiązki, co zawsze oznacza obarczanie innych opieką nade mną. Trochę spaceruję, trochę jeżdżę konno, czasem odwiedzam mieszkańców wioski i zanoszę im drobne prezenty na pociechę. Takie właśnie jest moje życie. Jaki więc sens ma pisanie pamiętnika?

20 czerwca. W końcu coś się wydarzyło. Minął już prawie miesiąc, odkąd zapisałam pierwsze strony dziennika i zdawało mi się, że już nigdy do niego nie wrócę. Ale teraz wierzę, że można znaleźć pociechę w zapisywaniu tego, co mnie dręczy.

Chodzi o moją najdroższą pannę Bray. Gdy dzisiaj rano przyszła do mnie, wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle. Oczywiście ja również powinnam być szczęśliwa, bo panna Bray z pewnością jest. Tkwi w tym jakaś ironia losu, że to samo wydarzenie może u dwóch przywiązanych do siebie osób wywołać tak odmienne uczucia.

Powiadomiła mnie o wszystkim, gdy nie mogłyśmy przebrnąć przez jakiś wyjątkowo pompatyczny fragment powieści:

— Mam nowiny, Ann Alice. Chcę, abyś ty dowiedziała się pierwsza.

Chętnie przerwałam uciążliwą lekturę i byłam gotowa do wysłuchania mojej guwernantki.

— James poprosił mnie o rękę.

James Eggerton, syn naszego pastora, przebywał właśnie u ojca z jedną ze swoich regularnych wizyt. Ale dostał już własną parafię jakieś pięćdziesiąt mil stąd, więc mógł się ożenić.

— Czy to znaczy, że pani stąd wyjedzie, panno Bray?! — zawołałam.

— Obawiam się, że tak — potwierdziła z uśmiechem. — Nie martw się, będziesz miała inną guwernantkę... dużo mądrzejszą ode mnie. I szybko się do niej przyzwyczaisz.

— Na pewno nie! — Czułam, że twarz tężeje mi z lęku. Panna Bray otoczyła mnie ramieniem i przytuliła do siebie.

— Od jakiegoś czasu spodziewałam się, że poprosi mnie o rękę — wyjaśniła. — I kiedy to nie następowało, nie pojmowałam jego zachowania. A on przez cały czas zbierał się na odwagę.

— Wyjedzie więc pani, i to niedługo!

— Poproszę twojego ojca, by pozwolił ci przyjechać do mnie z wizytą.

— To nie będzie to samo!

— Jeżeli zachodzi jakaś zmiana, nigdy nic już nie jest tak samo. Życie byłoby nudne, gdyby zawsze było tak samo, prawda?

— Chcę, żeby było nudne — upierałam się. — Nie życzę sobie, aby pani wyjechała.

— Och, co ty pleciesz! Przecież to naprawdę bardzo szczęśliwe wydarzenie.

Popatrzyłam na jej twarz i ujrzałam na niej wyraz szczęścia. Pomyślałam, że to samolubnie z mojej strony nie dzielić go z nią.

*4 lipca.* Jak szybko mijają dni! Próbowałam cieszyć się razem z panną Bray, bo ona bez wątpienia jest szczęśliwa, a James Eggerton ma taką minę, jakby życie było jedną wielką przyjemnością, a on sam znalazł się w siódmym niebie.

Dzisiaj rano spotkałam na schodach mojego ojca. Pogłaskał mnie po głowie z tym charakterystycznym zakłopotaniem i rzekł:

— Będziemy musieli znaleźć dla ciebie inną guwernantkę.

— Papo — zaczęłam — skończyłam już szesnaście lat. Może...

Pokręcił przecząco głową.

— O, nie... Będzie ci jeszcze potrzebna guwernantka co najmniej przez rok. Znajdziemy kogoś równie miłego jak panna Bray. Nie obawiaj się.

Panna Bray jest zajęta kompletowaniem swojej wyprawy. Ostatnio zrobiła się wielce roztargniona. Myślę, że nie zawsze mnie dostrzega, gdy znajduję się przy niej, bo rozmyśla o swojej szczęśliwej przyszłości u boku wielbego Jamesa Eggertona.

Czuję się osamotniona i zagubiona. Chodzę na samotne spacery i jeżdżę konno, ale na przejażdżkach zawsze musi mi ktoś towarzyszyć, a żaden stajenny nie zastąpi panny Bray.

*1 sierpnia.* Panna Bray wyjedzie pod koniec miesiąca. Jej nowy dom znajduje się w środkowej Anglii i tam weźmie ślub. Teraz mniej o niej myślę, bo jestem zajęta własną przyszłością. Nowa guwernantka ma przyjechać już jutro. Papa wezwał mnie do swojego gabinetu, by mi o niej opowiedzieć. Już się z nią spotkał. Umyślnie jeździł do Londynu, by ją poznać. Poczułam się nieco urażona, bo uznałam, że powinien był wziąć mnie z sobą. W końcu to ja będę spędzać z nią najwięcej czasu. Nie mam nadziei na drugą pannę Bray, ale pragnęłabym kogoś choć trochę podobnego do niej.

— Panna Lois Gilmour przyjedzie tu jutro — oznajmił Papa. — Zjawi się przed wyjazdem panny Bray, aby ta mogła wprowadzić ją w obowiązki. Jestem pewien, że polubisz pannę Gilmour. Wydaje się być bardzo kompetentną młodą osobą.

Wcale nie chcę kompetentnej młodej osoby! Chcę panny Bray albo kogoś bardzo ją przypominającego, a nie wydaje mi się, by pannę Bray można nazwać kompetentną osobą. Zawsze jest nieco roztargniona, a już zwłaszcza ostatnio. Jej wiedza ogranicza się do jednej tylko dziedziny. Książki, muzyka i tym podobne, ale to mi odpowiada. W matematyce jest zupełnie beznadziejna.

Panna Gilmour zapowiada się na osobę wszechstronnie wykształconą. Jestem pełna obaw.

2 sierpnia. Dzisiaj był wielki dzień, to znaczy przybyła panna Lois Gilmour.

Patrzyłam przez okno na piętrze, kiedy przyjechała. Panna Bray stała razem ze mną. Z powozu wysiadła wysoka, smukła młoda kobieta, ubrana skromnie, ale bardzo elegancko.

— Wcale nie wygląda na guwernantkę — zauważyłam, a potem pomyślałam, że mogłam urazić pannę Bray, której mimo całej urody nie można nazwać elegancką. Jest dość pulchna i niewysoka. Milutka, słodka i kobieca, ale nie elegancka.

Niedługo potem nas wezwano. Na dole był Papa, a z nim ta elegancka młoda kobieta, którą widziałam wysiadającą z powozu.

— Oto Ann Alice — przedstawił mnie Papa.

— Jak się masz, Ann Alice.

Ujęła moją rękę, a ja spojrzałam w jej oczy, duże i ciemnoniebieskie. Jest na swój sposób piękna. Ma wyraźne, klasyczne rysy, nos raczej długi, ale prosty, wargi dość pełne. „Komediantka” — przyszło mi na myśl.

Ale chyba jestem do niej uprzedzona, gdyż, niestety, nigdy nie będzie panną Bray.

— Z pewnością — odezwała się panna Gilmour — będzie nam się świetnie układało.

Ja nie jestem tego aż tak pewna.

— Panna Bray, jak pani wie, towarzyszyła Ann Alice przez... przez... — zaczął Papa.

— Sześć lat — odpowiedziałam.

— A teraz opuszcza nas, by wyjść za mąż. Panna Gilmour uśmiechnęła się.

— Myślę, że możesz zaprowadzić pannę Gilmour do jej pokoju — stwierdził ojciec. — A kiedy się pani już rozgości, panno Gilmour, może zechciałyby pani wypić herbatę z moją córką i ze mną? Wtedy Ann Alice przedstawi panią pannie Bray.

— Sądzę, że tak będzie najlepiej — przytaknęła panna Gilmour.

To było bardzo dziwne popołudnie. Pokazałam jej pokój. Czulałam, że szacuje wszystko — dom, meble i mnie. Zbyt szybko stara się ze mną zaprzyjaźnić. Kilka razy powtórzyła, że z pewnością będziemy doskonale się z sobą zgadzały.

\* \* \*

Gdy siedzieliśmy we troje, pijąc herbatę, wydało mi się, że bardziej odpowiada jej towarzystwo mojego ojca niż moje. Chciałabym pozbyć się tego niemiłego wrażenia. Jestem pewna że wszystko dobrze się ułoży, bo ona chyba bardzo tego pragnie. Jeżeli ja też się postaram, to będziemy razem szczęśliwe.

Przy herbacie panna Gilmour dużo mówiła, a ja rozmyślałam o niezwykłym zachowaniu ojca, który dotąd rzadko bywał o tej porze w domu, a teraz zadał sobie tyle trudu, by nie tylko zjawić się na jej powitanie, ale także wypić z nią filiżankę herbaty. Wydawało się, że w jakiś sposób mnie ignorują.

Właściwie to można by pomyśleć, że ona ma być jego guwernantką, a nie moją, wyznałam później pannie Bray.

Panna Gilmour dużo mówiła o sobie. Pochodzi z hrabstwa Devon, gdzie jej ojciec miał niewielki majątek. Został okradziony przez pozbawionego skrupułów plenipotentą, który uciekł z bezcennymi pamiątkami rodzinnymi. Jej ojciec nie przeżył tego ciosu i zmarł na serce. Została wówczas prawie bez grosza i, zmuszona do zarabiania na życie, jęła się jedyne go zajęcia, które przystoi szlachetnie urodzonej pannie z odrobiną wykształcenia.

Mój ojciec okazał jej współczucie.

— Ale nie powinnam obciążać państwa moimi kłopotami — sumitowała się panna Gilmour. — Mam nieodparte wrażenie, że skończyły się wraz z moim przybyciem tutaj. Będę na pewno bardzo szczęśliwa w towarzystwie Ann Alice.

— Uczynimy co w naszej mocy, by się pani życzenie spełniło — zapewnił ojciec, jakby ona była jego honorowym gościem, a nie pracownicą.

Panna Gilmour może nie jest klasyczną piękną, ale Jest... nasuwa mi się tylko jedno określenie — ponętna. Mój ojciec chyba też to dostrzegł.

\* \* \*

Przedstawiłam ją pannie Bray, jak to było zaplanowane. Byłam bardzo ciekawa jej zdania. Ale moja kochana guwernantka żyje już przyszłością i gotowa jest widzieć w pannie Gilmour tylko to, co ta chce, aby w niej widziano... zupełnie jak mój ojciec.

Chciałabym pozbyć się tych nieprzyjemnych myśli i bardzo rada jestem, że zaczęłam pisać pamiętnik, bo dzięki temu mogę uchwycić to, co naprawdę czuję w danej chwili. Może już niedługo będę się śmiała z moich podejrzeń. Mam nadzieję, że tak.

*10 października.* Przez jakiś czas nie pisałam. Nie miałam na to ochoty. Byłam bardzo smutna od dnia wyjazdu panny Bray. Dlaczego ludzi docenia się dopiero wtedy, gdy się ich traci? Pojechałam na jej ślub. Była to bardzo radosna uroczystość i wszyscy — oprócz mnie — uznali to małżeństwo za zrzęcenie losu. Może dla panny Bray i jej pastora tak, ale na pewno nie dla mnie.

Wiem, że to bardzo samolubne z mojej strony i że powinnam czuć się szczęśliwa ze względu na pannę Bray — teraz panią Eggerton. Ale trudno cieszyć się czymś szczęściem, jeżeli to szczęście jest powodem naszej rozpacz. No, może rozpacz to niewłaściwe słowo. Wypisuję najdziwniejsze rzeczy w tym pamiętniku. Zupełnie jakbym mówiła do siebie. Może właśnie po to wymyślono pamiętniki?

A panna Gilmour? Nie potrafię powiedzieć, jaka jest naprawdę. Nie nalega, bym przemęczała się nauką. Jest interesująca, mądra, ma rozległą wiedzę. Ale w niczym nie przypomina guwernantki.

Najbardziej dręczy mnie, że nie mam komu się zwierzyć. Mój brat Charles zawsze spędza dużo czasu w — jak oni to nazywają — „sklepie” w Wielkim Stanton i jest bardzo zaangażowany w swoją pracę. Kilka miesięcy temu wyjeżdżał na ekspedycję w jakieś nie zbadane rejony. Czasami chciałabym być mężczyzną i brać udział w takich wyprawach.

Ale teraz muszę przypatrzeć się pannie Gilmour, bym mogła ja opisać. Chcę wiedzieć o niej wszystko, a im częściej piszę w pamiętniku, tym więcej dowiaduję się o sobie, i o innych ludziach, tak mi się przynajmniej wydaje. Ludzie zawsze mnie interesowali, zawsze pragnęłam wiedzieć o nich jak najwięcej. Zazwyczaj to mi się udawało. Wierzę, że mam do tego szczególny dar. Ale z panną Gilmour jest trudniej. Czuję, że kryje jakieś sekrety. Widzę tajemnicę w jej oczach. To niezwykle oczy. Rzucają błyski. Mają głęboki odcień błękitu, a jej brwi i rzęsy są tak czarne jak włosy. Podejrzewam, że czerni je sobie, bo niekiedy wydają się ciemniejsze niż zwykle.

Wczoraj ojciec poprosił, by wypiła z nim kieliszek sherry.

— Chce usłyszeć o twoich postępach — powiedziała domyślnie panna Gilmour. — Co mi powiem? — Spojrzała na mnie figlarnie. Niezbyt do niej pasowało to spojrzenie i znowu ogarnął mnie przykry niepokój.

— Proszę powiedzieć to, co pani myśli — odparłam.

— Powiem mu, jaką jesteś cudowną uczennicą, że dzięki tobie moja praca sprawia mi przyjemność i czuję się taka szczęśliwa. Co ty na to?

— Nie wierzę, by to była prawda — oznajmiłam.

— Ale ja chcę, żeby on był szczęśliwy. Chcę, abys i ty była szczęśliwa. Nie życzyłabyś sobie chyba, bym się poskarżyła na twoje lenistwo, prawda?

— Nie, bo to także nie byłoby prawdą. Ale ani na sekundę nie uwierzę, że pani zdaniem jestem cudowna.

— Właściwie to jesteś całkiem rozgarniętą osobką — rzekła. — Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Lekko zacisnęła usta. Zawsze ją trochę złości, gdy nie odpowiadam na jej wysiłki zaprzyjaźnienia się ze mną.

*14 października.* Tym razem piszę z powodu wydarzenia, którego byłam świadkiem dzisiejszego popołudnia.

Powinam zawsze mieć kogoś przy sobie, kiedy wybieram się na konną przejażdżkę, ale teraz coraz częściej ignoruję tę zasadę. Dość tego! Skończyłam już szesnaście lat, a wkrótce będę miała siedemnaście, no, może nie wkrótce, bo dopiero za jakieś siedem miesięcy, i naprawdę jestem zdania, że dziewczynie w moim wieku można już pozwolić na trochę swobody.

Stajenni nigdy nie sprzeciwiają się, gdy wyjeżdżam bez towarzystwa, a ja zawsze osobiście siodłam konia, by stajennych nie można było oskarżyć, gdyby ktoś się o to gniewał.

Panna Gilmour towarzyszy mi czasami, ale ona nie należy do osób, którym jazda konna sprawia przyjemność. Kiedy dosiada wierzchowca, to tylko po to, żeby gdzieś dojechać. Nie podziwia krajobrazu, jak to lubiła robić panna Bray. Moja dawna guwernantka знаła też dużo zabawnych historyjek o zwierzętach, roślinach i ludziach. Panna Gilmour nie zna żadnych. Nie interesuje jej podróżowanie — tylko dotarcie do celu. Przebywanie w jej towarzystwie wcale nie jest interesujące.

Dzisiaj po południu wybrałam się więc sama na przejażdżkę i pojechałam nieco dalej niż zwykle. Kiedy mijałam Królewski Dąb, zauważyłam jednego z naszych koni — tego, na którym zazwyczaj jeździ panna Gilmour — przywiązanego przed gospodą.

Stał tam jeszcze jeden koń. Zastanawiałam się, czy nie ulegam złudzeniu i ogarnęła mnie nieprzeparta pokusa, by dociec prawdy.

Zsiadłam z konia, przywiązałam go obok tamtych i weszłam do gospody.

Nie, nie myliłam się. Panna Gilmour siedziała przy jednym ze stołów, a przed nią stał kubek. Rozmawiała z jakimś mężczyzną. Był dość przystojny, a jego ciemne oczy niezwykle przyciągały wzrok, głównie z powodu kontrastu z białą peruką, bardzo upudrowaną i modną. Równie modny był jego frak z długimi połami i kapelusz z szerokim rondem.

Panna Gilmour wyglądała szczególnie ładnie. Miała na sobie suknię odpowiednią i do konnej jazdy, i do spaceru, z bardzo sutą spódnicą, prostym, obcisłym stanikiem i białym koronkowym fularem. Nigdy nie widziałam kobiety, która by mniej przypominała guwernantkę. Ale też nikogo tak zdumionego, kiedy podniosła oczy i zobaczyła mnie.

Można powiedzieć, że na mój widok przeżyła prawdziwy wstrząs.

Uniosła się i odezwała tonem, którego nigdy nie zapomnę:

— Ann Alice!...

— Dzień dobry — odpowiedziałam. — Przejeżdżałam tędy i zobaczyłam pani konia przed gospodą.

Bardzo szybko odzyskała panowanie nad sobą.

— A to dopiero miła niespodzianka! Weszłam do gospody, by trochę się odświeżyć i kogo widzę? Starego przyjaciela mojej rodziny.

Mężczyzna wstał. Uznałam, że jest chyba w wieku panny Gilmour — blisko trzydziestego roku życia. Ukłonił się nisko.

— Och, doprawdy — pośpieszyła panna Gilmour — zapominam o dobrych manierach. To jest pan Desmond Featherstone. Panie Featherstone, oto panna Ann Alice Mallory, moja droga mała podopieczna. — Odwróciła się do mnie. — Jesteś sama? — spytała szybko.

— Tak — odpowiedziałam dość wyzywająco. — Nie widzę powodu, bym nie mogła...

— Absolutnie żadnego powodu — potwierdziła tajemniczym tonem, nie pasującym do guwernantki.

Zupełnie jakbyśmy wszyscy brali udział w spisku.

— Skoro panna Mallory już tu jest, może miałyby ochotę napić się czegoś? — zaproponował pan Featherstone.

— Napijesz się? — spytała panna Gilmour.

— Bardzo chętnie napiłabym się jabłecznika.

Pan Featherstone zawołał jedną z obsługujących, dość ładną dziewczynę w sznurowanym gorsecie i białym czepku.

— Proszę jabłecznik dla młodej damy.

Dziewczyna uśmiechnęła się do pana Featherstone'a w dość szczególny sposób, jakby obsługiwanie go sprawiało jej szczególną przyjemność. Zaczynałam już dostrzegać te dyskretne znaki przekazywane sobie przez osoby różnych płci.

Pan Featherstone przeniósł swoją uwagę na mnie. Wydawało mi się, że jego lśniące ciemne oczy usiłują przeniknąć moje myśli.

Po pierwszych kilku chwilach panna Gilmour najwyraźniej odzyskała równowagę.

— To rzeczywiście niespodzianka — odezwała się znowu. — Najpierw pan Featherstone, a teraz ty, Ann Alice... I oto mam uroczę towarzystwo.

Wydało mi się, że bardzo usilnie stara się podkreślić, iż spotkała pana Featherstone'a przypadkiem i zastanawiałam się, czy naprawdę tak jest. Popelniała ten sam błąd, co tylu innych — brała mnie za naiwne dziewczątko, podczas gdy ja szybko dorastałam i postrzegałam już świat oczami dorosłej osoby. I coś mi mówiło, że skrywane wzajemne przyciąganie, które czasem dostrzegałam między mężczyznami a kobietami, istnieje między panem Featherstonem a panną Gilmour.

Przyniesiono jabłecznik.

— Mam nadzieję, że będzie pani smakował, panno Mallory — zachęcił mnie Featherstone.

— Pyszny — oświadczyłam po chwili. — A ja rzeczywiście byłam bardzo spragniona.

Pochylił się do mnie.

— Tak się cieszę, że zdecydowała się pani wejść do tej gospody. Czułbym się doprawdy zawiedziony, gdyby pani tego nie uczyniła.

— Gdybym tego nie uczyniła, nie dowiedziałby się pan nigdy, że istniała w ogóle taka możliwość, więc jak mógłby pan czuć się zawiedziony? — spytałam. Panna Gilmour roześmiała się.

— Moja uczennica nie jest niemądrą małą dziewczynką — wtrąciła. — Przekonasz się, że trudno zaprzeczyć logice jej rozumowania. Pamiętaj, że jest moją uczennicą.

— Będę musiał to sobie dobrze zapamiętać — odpowiedział z ironiczną powagą.

Zapytał mnie o mapy i o sklep, a ja opowiedziałam, że jeden z moich przodków żeglował z samym Francisem Drakiem, wielkim odkrywcą i admirałem, i od tamtego czasu nasza rodzina zajmuje się sporządzaniem map.

— Sporządzanie map jest nie tylko interesujące, ale też zyskowe — dodała panna Gilmour.

Wypytał mnie o okolicę i o dwór, który jest moim domem. Powiedziałam mu, że moja matka nie żyje i bardzo mi jej brak.

Ze współczuciem poklepał mnie po dłoni.

— Ale ma pani ojca. Gotów jestem przysiąc, że jest pani dla niego wszystkim.

— Prawie nie zwraca na mnie uwagi.

— Och, jak możesz! — zaprotestowała panna Gilmour. — To najlepszy z ojców. Dużo ze mną o tobie rozmawia.

— Ale nie rozmawiał o mnie z panną Bray. Panna Gilmour uśmiechnęła się tajemniczo.

— Bardzo mu zależy na tym, by dobrze się tobą opiekowano — oznajmiła.

Pan Featherstone przysunął swoje krzesło do mojego. Od czasu do czasu wyciągał rękę i dotykał mojego ramienia, jakby chciał podkreślić wagę swoich słów. Było to nieprzyjemne i wolałabym, by tego nie robił. Pannie Gilmour też się chyba nie podobało.



— Czy zatrzymał się pan w naszych stronach, panie Featherstone? — zapytałam uprzejmie. Jego oczy uśmiechnęły się do mnie, usiłował przyciągnąć moje spojrzenie, ale odwróciłam wzrok.

— Czułbym się zaszczycony, gdyby to panią naprawdę interesowało, panno Ann Alice.

— Ależ tak, mam nadzieję, że znalazł pan wygodne lokum.

— A ja mam nadzieję spotkać panią, kiedy znów wybierze się pani na którąś ze swoich przejażdżek.

— Ann Alice nigdy nie przestrzega zasad — wtrąciła panna Gilmour. — Nie powinna jeździć sama. To bardzo dobrze, że się spotkałyśmy. Wrócimy razem i wszyscy pomyślą, że byliśmy z sobą przez cały czas.

— Czy często łamie pani zasady, panno Ann Alice? — dopytywał się Featherstone.

— Niektóre zasady stworzono właściwie po to, by je łamać... Jeżeli są pozbawione sensu. Niedługo skończę siedemnaście lat.

— Jestem już chyba dość dorosła, by jeździć sama.

— Rzeczywiście. Siedemnaście lat! Rozkoszny wiek. Myślę, że jest pani małą buntownicą.

— A ja myślę — wtrąciła znowu panna Gilmour — że już czas, byśmy wróciły do dworu.

Wstałam. Najchętniej uciekłabym od nich obojga. Chciałam znaleźć się w swoim pokoju i zapisać ze szczegółami wszystko, co się wydarzyło podczas eskapady, zanim o czymś zapomnę.

Wyszliśmy z gospody i dosiedliśmy koni. Pan Featherstone towarzyszył nam przez jakiś czas, a potem odjechał, żegnając się jednym ze swoich dworskich ukłonów.

— Co za szczególny zbieg okoliczności — powtórzyła panna Gilmour — tak zwyczajnie spotkać na przejażdżce starego przyjaciela rodziny... zupełnie przypadkiem.

Tak, pomyślałam, podkreśla to pani odrobinę za mocno, panno Gilmour, by mogło być prawdą. Nie ufam pannie Gilmour.

*1 stycznia 1792.* Od tak dawna nie pisałam. Chyba pojawiła się u mnie jakaś niechęć do pióra. Pamiętnik leżał sobie głęboko w szufladzie, gdzie go zwykle chowam, by niczyje niepożądane oko go nie odkryło. Nie chciałabym, by ktokolwiek czytał moje najskrytsze myśli, bo tak właśnie lubię nazywać to, co zapisuję w pamiętniku.

Widziałam pana Featherstone'a jeszcze raz czy dwa razy. Chyba nabrał zwyczaju przyjeżdżać w te strony... „w interesach”, jak mawia. Ciekawe, co to za interesy i gdzie je prowadzi. Jeżeli w Londynie — a myślę, że tak — to ma dość daleką drogę. I dlaczego szuka noclegu aż tutaj?

Czasami zastanawiam się, czy on, jak mawiają kucharki, „ma oko” na pannę Gilmour. Ona należy przecież do tego rodzaju kobiet, które łatwo wpadają w oko mężczyznom.

Mam nadzieję, że tak jest. Może zatem ożeni się z nią i ją stąd wywiezie, jak wolebny James Eggerton zabrał pannę Bray. Wtedy pozbyłabym się ich obojga, a ojciec na pewno przyznałby, że tak dorosła panna, jaką stała się jego córka, już nie potrzebuje guwernantki.

Tyle że zachowanie pana Featherstone'a nieco mnie niepokoi. Zawsze stara się przebywać w pobliżu mojej osoby, a jego ręce mają dziwną skłonność do dotykania mnie. Gestykuje przy mówieniu i nagle jego ręka wysuwa się, by spocząć na moim ramieniu albo dłoni, a nawet na włosach. I nie odrywa jej od razu. Jego oczy lśnią przy tym dziwnie i wpatrują się we mnie. Czuję się nieswojo, poddana takim badaniom.

Myślę, że jest w nim coś złowieszczego.

Ale pewnie, jako przyjaciel rodziny panny Gilmour, chce się z nią od czasu do czasu widywać. Wszak to całkiem naturalne możliwe też, że — jak by to określiła panna Bray — ponosi mnie wyobraźnia.

Ostatnie święta Bożego Narodzenia różniły się od wszystkich innych. Jak zwykle mieliśmy kilkoro gości, a ojciec zaproponował, by panna Gilmour przyłączyła się do nas.

— Święta to święta — powiedział, ostatnimi czasy nadzwyczaj jakoś wylewny. — A panna Gilmour mieszka teraz w naszym domu. Nie wolno zostawić jej samej. Może zaproponujesz jej, Ann Alice, by dołączyła do nas jak członek rodziny? Okazałabyś w ten sposób swoją wrażliwość i sympatię.

A w ogóle panna Gilmour od jakiegoś czasu towarzyszy nam w posiłkach. Ojciec uznał, że już czas, bym przestała jadać w pokoju dziecięcym. Niedługo skończę przecież siedemnaście lat. Panna Gilmour oznajmiła, że jej zdaniem to doskonały pomysł.

Tak więc teraz zasiadamy do stołu we troje. Mój ojciec jest jakby odmieniony, a to dzięki towarzystwu panny Gilmour. Jest błyskotliwa, bardzo często jej wypowiedzi wywołują jego uśmiech. Moją nową guwernantkę cechuje dość dziwne pomieszanie prostoty i wyrafinowania. Jest powściągliwa, ale zarazem śmiała. Jak ona to robi? Nie mogę stwierdzić nic poza tym, że taka właśnie jest panna Gilmour, a Przedstawiciele płci przeciwnej najwyraźniej uznają ją za Pociągającą.

Kiedy zaczęłyśmy rozmawiać o Bożym Narodzeniu, panna Gilmour wyglądała raczej na zakłopotaną. Wcale się nie ucieszyła, gdy poprosiłam ją, by spędziła je z nami, a ja nie nalegałam. Wróciła jednak do tego tematu przy kolacji.

— Bardzo mnie wzruszyło zaproszenie na święta — tłumaczyła — jednak uznałam, że lepiej będzie, jeśli odmówię. Przyjdą państwa przyjaciele... bliscy znajomi.

— Ale Ann Alice bardzo pragnie, by pani do nas dołączyła. Prawda, kochanie?

Dlaczego, gdy ktoś czegoś chce, woli, by to inny udawał, że mu na tym zależy?

Wahałam się chwilę z odpowiedzią, ale ujrzałam wielki niepokój, jaki odmalował się na twarzy ojca.

— Ależ tak... oczywiście — potwierdziłam. I byłam na siebie wściekła za to kłamstwo. Dlaczego nie powiedziałam wprost, że wcale sobie nie życzę, by panna Gilmour została u nas na święta! Boże Narodzenie w jej towarzystwie nie będzie już prawdziwym Bożym Narodzeniem.

I miałam rację, panna Gilmour zagarnęła całe święta dla siebie.

A jeszcze przed świętami zwróciła się do ojca:

— Mam przyjaciela... przyjaciela mojej rodziny... Zatrzymał się w pobliskim zajeździe i nie może wrócić na Gwiazdkę do domu. Przykro mi, kiedy pomyślę, że musi spędzić Boże Narodzenie w całkowitym odosobnieniu.

Ojciec natychmiast podsunął myśl, by zaprosiła go do nas.

Nic a nic nie byłam zaskoczona, kiedy owym przyjacielem rodziny panny Gilmour okazał się pan Featherstone.

A zatem przyszedł tu jeszcze on, i gdyby jej nie udało się zepsuć nam świąt, już on z pewnością by się o to postarał.

Tańczył ze mną! Jego dłonie, te błędzące dłonie... jakże ich nienawidzę! Już pojawiają się w moich snach, budzę się wtedy z przerażeniem, choć nie wiem dlaczego.

*3 stycznia.* Bardzo mi trudno pisać, bo nie potrafię uwierzyć, że to naprawdę się wydarzyło! Ojciec wezwał mnie dziś do swojego gabinetu i rzekł:

— Chcę, byś ty pierwsza się o tym dowiedziała.

Wiedziałam do czego zmierza i miałam ochotę krzyknąć: Nie! Nie mów tego! To niemożliwe!”

Ale stałam tylko w milczeniu i patrzyłam na niego spokojnie a on nie miał pojęcia, jak bardzo chcę, by powiedział co innego, nie to, czego się obawiałam.

— Upłynęło już sporo czasu od śmierci twojej matki, Ann Alice. Mężczyźnie szczególnie trudno jest znosić samotność. Czy potrafisz mnie zrozumieć?

— Oczywiście, że tak — odpowiedziałam. — Chciałabym, żebyście wreszcie przestali traktować mnie jak dziecko, bo ja wszystko pojmuję.

Spojrzał na mnie zaskoczony tą śmiałą odpowiedzią i mówił dalej:

— Mam zamiar znowu się ożenić. Lois i ja postanowiliśmy, że należy cię o tym powiadomić natychmiast, zanim jeszcze ogłosimy to oficjalnie.

— Lois?... Panna Gilmour!

— Wszystko ułożyło się pomyślnie. Byłem nawet nieco zaskoczony, gdy Lois powiedziała „tak”. Jest ode mnie dużo młodsza i bardzo atrakcyjna.

Wpatrywałam się w niego uparcie, usiłując ubłagać go w myślach, by wyznał wreszcie, że to tylko żart.

— No, powiedz, czyż to nie rozwiązuje szczęśliwie wszystkich naszych problemów?

— Nie... nie wiem — wyjąkałam.

— To dla ciebie niespodzianka. Odkąd Lois przyjechała, nasz dom się całkiem odmienił. Wydaje się jaśniejszy, taki, jaki był, kiedy...

— Kiedy była z nami moja mama?

— Takie tragedie się zdarzają, Ann Alice. Musimy je przyjmować spokojnie. To wola Boga. Ale nie powinniśmy pielęgnować w sercu żaloby. Tak właśnie chce nasz Pan. Powinniśmy zostawiać żalobę za sobą i starać się znaleźć szczęście.

Skinęłam głową i odwróciłam się.

— Cieszę się, że rozumiesz — powiedział. — Robię to zarówno dla ciebie, jak i dla siebie.

Chciałam krzyknąć do niego: „Nie myśl o mnie! Ja wcale sobie tego nie życzę! Chcę, żeby ona natychmiast stąd wyjechała... i zabrała z sobą tego pana Featherstone’a”.

— Wydamy proszoną kolację w wieczór Trzech Króli — ciągnął dalej. — I wtedy ogłosimy nasze zaręczyny.

Nie powiedziałam nic, bo zdradziłabym swoje uczucia. Skinęłam tylko głową i wybiegłam z jego gabinetu.

A teraz siedzę tutaj i wpatruję się w zapisaną stronę dziennika. Mój ojciec ożeni się z panną Gilmour!

Gdzieś w głębi duszy wiem, że właśnie tego od dawna się obawiałam.

*I marca.* Dziś wzięli ślub. Teraz w domu zapadła cisza. Przychodzi mi na myśl tygrys... śpiący tygrys. W końcu się ocknie i zaatakuje. Zniszczy wszystko, co było dawniej, i założy sobie nowy dom.

Uwielbiam mój mały pokoik. Zaciągam niebieskie zasłony dokoła łóżka i jestem odcięta od świata. To moja świątynia. Tutaj mogę być sama... zupełnie sama.

Dziś po południu wyjechali w podróż poślubną. Udali się do Włoch.

— Zawsze chciałam zwiedzić Italię — wyznała panna Gilmour. To będzie długa podróż. Nie mogą jechać przez Francję, bo tam dzieją się straszne rzeczy. Mówi się, że król i królowa są w wielkim niebezpieczeństwie. Nikomu obdarzonemu zdrowym rozsądkiem nie przyjdzie obecnie nawet na myśl wyjazd do Francji, stwierdził Papa. Zatem musiały to być Włochy — kraj jezior, gór i najwspanialszych skarbów sztuki. Papa bardzo się tym wszystkim interesuje, a panna Gilmour — tyle że ona już nie jest panną Gilmour, lecz moją macochą — interesuje się wszystkim, co obchodzi Papę.

Jest doskonałą towarzyszką i żoną.

Nie tak dawno żegnałam się z kochaną panną Bray. Och, dlaczego ona wyjechała? Teraz oczekuje już dziecka i pisze mi w listach, że jest najszczęśliwszą kobietą na świecie. To bardzo samolubne z mojej strony życzyć sobie, by nigdy nie wyjeżdża — ta do swojego wielbego Jamesa. Ale gdyby panna Bray nie wyjechała, nie miałabym teraz macochy. Wszystko byłoby tak jak dawniej. Może trochę nudno, ale przyjemnie.

A teraz... teraz wszystko się zmieniło! Inna atmosfera panuje w całym domu. Zastanawiam się, czy odczuwa to ktoś jeszcze oprócz mnie. Chyba nikt, a może znów ponosi mnie wyobraźnia?

Jest tak, jakby w naszym domu zamieszkało zło... ciche, czujne, czające się, czyhające na moment, by podnieść łapę i uderzyć.

2 marca. Dziś wybrałam się na przejażdżkę i zanim zdążyłam trochę się oddalić od domu, spotkałam pana Featherstone'a.

To był wstrząs. Dreszcz mnie przeszedł, gdy go zobaczyłam. Znajdowaliśmy się już blisko lasu, a w pobliżu nikogo. Nie potrafiłam pozbyć się podejrzenia, że jechał za mną od domu i wybrał właśnie ten moment, by mnie dogonić.

— Cóż za rozkoszna niespodzianka spotkać tu panią!

— Och... dzień dobry, panie Featherstone.

— Mam zamiar być zuchwałą i towarzyszyć pani.

— Mam nadzieję, że pańskie interesy idą dobrze.

— Nie mogłyby iść lepiej!

— To chyba męczące mieszkać ciągle w zajeździe. Myślę, że nie może się pan doczekać, kiedy wreszcie pana interesy dobiegną końca i będzie pan mógł wrócić do domu.

— Och, życie tutaj jest niezwykle interesujące. Zawarłem przecież kilka czarujących znajomości.

Podjechał do mnie bliżej, więc się odwróciłam, by na niego spojrzeć. Wpatrywał się we mnie z takim wyrazem twarzy, jak — by sugerował, że ja oczywiście jestem jedną z nich. Byłam zadowolona z tego, że nie może mnie teraz dosięgnąć, bo gdyby mógł, jego dłoń zapewne już znalazłaby się na mojej ręce lub ramieniu.

— Mam ochotę na galop — zawołałam i ruszyłam z kopyta. Ale on oczywiście popędził za mną.

W końcu musiałam zwolnić, bo dojechaliśmy do drogi.

— W pani domu musi być teraz bardzo spokojnie, skoro ojciec wyjechał w podróż poślubną ze swoją nową żoną.

— Lubię spokój.

— Sądziłem, że może pani czuć się samotna.

— W żadnym razie!

— Nie wątpię, że ma pani wielu przyjaciół.

— Mam dość zajęć, by wypełnić wolny czas.

— No tak, żadnych lekcji... skoro już straciła pani guwernantkę, a zyskała macochę...

— Wyrosłam z odrabiania lekcji.

— Tak, widzę to, młoda damo.

— Tutaj się pożegnamy, panie Featherstone. Wracam do domu.

— Właśnie zmierzam w tamtym kierunku.

— Ale ja wracam do domu.

— Krótka dziś pani jeździła.

Nie odpowiedziałam. Powstrzymałam się od chęci oznajmienia mu, że odjeżdżam, by uciec przed nim.

— Teraz, kiedy jest pani... sama... może moglibyśmy się spotkać?

— Och, mam naprawdę bardzo dużo zajęć.

— Zbyt zajęta, by widywać przyjaciół?

— Ależ nie. Dla moich przyjaciół mam zawsze czas — odpowiedziałam z naciskiem.

— Och, panno Ann Alice, miałem nadzieję, że mnie pani do nich zalicza.

— Pan jest przyjacielem panny Gilmour.

— Panny Gilmour? Ach... pani Mallory, oczywiście. To było bardzo miłe ze strony pani ojca, że zaprosił mnie do siebie. Myślę, że teraz, kiedy przyjaciółka mojej rodziny została jego żoną, mogę spodziewać się częstszych zaproszeń.

— Sądzę, że teraz żona mojego ojca będzie decydowała, kogo zaprosić.

— W takim razie liczę na dobre przyjęcie.

Dotarliśmy do Common. Powinam teraz skręcić na południe, by dojechać do domu. Byłam zirytowana, że muszę skrócić przejażdżkę z powodu tego typu, ale byłam też zdecydowana nie przebywać dłużej w jego towarzystwie.

— Cóż, do widzenia, panie Featherstone.

Ruszyłam galopem przez Common, ale on wciąż jechał tuż za mną.

— Czy nie zaprosi mnie pani?

— Obawiam się, że... czas mi teraz na to nie pozwala.

Zmarkotniał.

— Nic nie szkodzi. Zjawię się, gdy będzie pani miała więcej czasu.

Zdjął kapelusz i złożył mi ten śmiesznie afektowany ukłon, którego nauczył się zapewne na dworze księcia Walii, gdzie, jak wspomniał, bywał częstym gościem.

Mam nadzieję, że wkrótce wróci do Londynu albo do Brighton, czy gdziekolwiek ksiązę przebywa ze swym dworem, i tam będzie praktykował te maniery.

Wróciłam do domu — zgrzana i wściekła.

Panna Gilmour — odmawiam nazywania jej inaczej — zniszczyła moje dotychczasowe spokojne, przyjemne życie.

*6 marca.* Czy nie ma sposobu, by przed nim uciec? Wczoraj zjawił się u nas w domu. Nie było mnie wtedy, a kiedy wróciłam, czekał jeszcze w holu. Gdybym wiedziała, posłałabym pokojówkę, by mu oznajmiła, że mnie nie zastał. Ale zobaczył mnie, gdy wchodziłam.

W obecności pokojówki poskarżył się, że bardzo dokucza mu pragnienie, więc gdy ona spojrzała na mnie pytająco, jedyne, co mogłam uczynić, to zaproponować mu kieliszek wina. A potem jeszcze mu towarzyszyć.

Zaprosiłam go do małego saloniku obok holu, gdzie zazwyczaj przyjmujemy przypadkowych gości. Zastanawiałam się, jak szybko uda mi się go pozbyć.

— To najmiłsze, co mogło mnie spotkać — powiedział.

Nie odezwałam się, nie potrafiąc w żaden sposób wykrztusić tak oczywistego kłamstwa, jakim byłby oczekiwany przez niego uprzejmy frazes.

— Jestem bardzo szczęśliwy, że tu przyjechałem — ciągnął. — To rozkoszny zakątek świata, a do Londynu stąd blisko.

— Czy nie byłoby panu wygodniej znaleźć się bliżej dworu?

— Możliwe, ale nie tak uroczo. Nie potrafię wyrazić, jak szczęśliwy był dla mnie dzień, kiedy spotkałem pani macochę, a ona wprowadziła mnie do tego domu.

Znowu zamilkłam. Byłam pewnie najgorszą z gospodyń, ale też nie jest to rola, którą chętnie odgrywam.

— Kiedy spodziewa się pani powrotu szczęśliwej pary? — zagadnął.

— Nie spodziewam się ich przez najbliższy miesiąc. Nie warto podróżować tak daleko, by zaraz wracać.

— I w dodatku z podróży poślubnej! — Jego ciemne oczy spoglądały na mnie badawczo, a mnie, o dziwo, trudno było odwrócić spojrzenie. Wciągał mnie coraz głębiej w swój niebezpieczny krąg. Pragnęłam pozostać obojętna, ale on rzucał na mnie jakiś straszny urok. Myślę, że tak właśnie czuje się zając, który znalazł się na wprost paszczy wilka.

— Czy może sobie pani to wyobrazić? Florencja... Wenecja... Rzym... Spodziewam się, że odwiedzą wszystkie te miasta. A czy pani miałaby na to ochotę, panno Ann Alice?

— Jestem pewna, że byłoby to niezwykle interesujące.

— Dużo zależy od towarzystwa, w jakim się znajdujemy. Spojrzałam na niego ostro.

— Tak, ale też zawsze dużo zależy od tego, czy jest się w Wenecji, czy w Wenezueli.

— Skąd pani o tym wie? — zaśmiał się. — Była pani już w Wenezueli?

— Nie. Ale nie byłam też w Wenecji.

— Któregoś dnia pani się tam wybierze i mam nadzieję, że będzie pani wtedy we właściwym towarzystwie. Muszę przyznać, że nigdy nie byłem w Wenezueli, ale Wenecja... cóż, to piękne miasto nie jest mi nie znane. Pragnąłbym pokazać pani Wenecję. Spodobałoby się pani płynąć gondolą przez kanały... Albo może Florencja... zakupy na Ponte Vecchio.

— Sądzę, że wszyscy marzymy o zwiedzeniu świata.

— Ale najważniejsza jest zamiana tych marzeń w czyny. Zgodzi się pani ze mną?

— Czy mogę dolać panu wina? — W chwili gdy mówiłam te słowa, już ich żałowałam, bo to oznaczało, że muszę do niego podejść. Jego palce dotknęły moich, kiedy podawałam mu kieliszek.

— To jeden z najszcześniejszych poranków w moim życiu — oznajmił.

Nie odpowiedziałam, a on mówił dalej:

— Wyberzemy się jutro na przejażdżkę? Znam niedaleko stąd naprawdę uroczą gospodę. Podają tam pieczeń, o jakiej można tylko marzyć.

— Wykluczone — odpowiedziałam. — Jutrzejszy dzień mam już zajęty.

— Jest jeszcze następny.

— Mój czas jest naprawdę wypełniony.

— Istotnie, jest pani osobą bardzo zajęta, młoda damo! Jestem jednak zdecydowany czekać, aż znajdzie pani wolną chwilę dla mnie. Marzę o obejrzeniu pracowni kartograficznej, o której tyle słyszałem.

— Ach, interesuje się pan mapami?

— Fascynują mnie. Tak bardzo chciałbym, by ktoś wprowadził mnie we wszystkie tajniki sporządzania map.

— W takim razie zwraca się pan do niewłaściwej osoby — stwierdziłam ze złośliwą satysfakcją. — Moja wiedza w tej dziedzinie jest bardzo skąpa. Będzie pan musiał pójść do sklepu i tam o wszystko wypytać. Gdyby mój brat tu był, mógłby panu wiele powiedzieć.

— Och, a więc ma pani brata!... — Czy mi się wydawało, że ta wiadomość trochę go zbiła z tropu?

— Tak. Wyjechał właśnie na ekspedycję. Bada nowe lądy. To bardzo ważne przy sporządzaniu map.

— Rozumiem.

— Mógłby zaspokoić pańską ciekawość. Zawsze z wielkim entuzjazmem podchodzi do tych zagadnień.

— Pani brat jest chyba sporo starszy od pani...

— Owszem. I rzadko znajduje czas dla mnie.

— Biedne maleństwo!

— Wcale nie biedne! Tak wiele rzeczy mnie zajmuje. Właściwie to nikogo nie potrzebuję.

— Wystarcza pani własne towarzystwo. To bardzo dobrze.

— Też tak myślę.

— A więc co z naszą przejażdżką?

Tak bardzo nalegał, że trudno było uprzejmie odmówić, nie wyjawiając prawdy, że nie lubię przebywać w jego towarzystwie. Usiłowałam się jednak wykręcić.

— W tym tygodniu to wykluczone. Nie jestem też pewna, czy będzie to możliwe w następnym.

Zrozumiał oczywiście. Przyjrzał mi się z ironią.

— Jestem przekonany, że któregoś dnia znów panią spotkam — powiedział.

Jego słowa zabrzmiały wręcz złowieszczo.

Jakże się ucieszyłam, gdy wreszcie sobie poszedł.

*10 marca.* Okazało się, że miał rację. W końcu mnie spotkał. Chciałabym znaleźć w sobie dość odwagi i stanowczo mu oznajmić, że wolałabym, by zostawił mnie w spokoju. Kiedy

jednak ktoś został wychowany w nienagannym przestrzeganiu dobrych manier, nigdy nie może być w pełni szczerzy i otwarty.

Tak więc nadal go unikałam, wywijając się najgrzeczniej, jak potrafiłam. Ale on należy do tych osób, które lubią wyzwania, i im usilniej staram się przed nim uciec, tym bardziej on jest zdecydowany, by się ze mną spotkać.

Wczoraj był piękny dzień. Miedze złociły się kwiatami prymulek, na kasztanowcach i cisach ukazały się pąki. Wiał przyjemny wietrzyk, a w powietrzu unosił się rozkoszny zapach, który zapowiada wiosnę. Kocham tę porę roku, ptaki wydają się szaleć z radości, co chwilę usłyszeć można kosa albo drozda zdzierającego sobie gardło.

Cudowna wiosna! Jak dobrze jest galopować przez łąki, a potem przejść w trucht, wjechać w aleję i szukać pierwszych kwiatów w żywopłotach i w trawie, starając się przypomnieć sobie wszystkie nazwy, jakich uczyła mnie panna Bray.

Minęło dziesięć dni od czasu, gdy ojciec wraz ze swoją nową żoną wyjechali do Włoch. Wrócą w pierwszy dzień kwietnia. A wówczas wszystko ułoży się inaczej. Boję się ich powrotu. Niekiedy wydaje mi się, że powinnam powziąć jakiś plan. Jak to będzie, kiedy wrócą? Muszę być na to przygotowana. Ale co ja mogę uczynić? Nie mam nikogo, by spytać o radę. Panna Bray... pani Eggerton jest pochłonięta przygotowaniami do narodzin dziecka i nie potrafi myśleć o niczym innym. Nie, nie wolno mi zakłócać jej szczęścia. Trudno, muszę czekać. Może nie będzie aż tak bardzo źle. Może przesadzam. Bo jaką właściwie krzywdę wyrządziła mi panna Gilmour? Zawsze była wobec mnie bardzo układna. Nigdy nie zmuszała mnie do ciężkiej nauki. Próbowwała zaprzyjaźnić się ze mną. Dlaczego więc prześladowują mnie te lęki? Podobne zresztą do tych, które wzbudza pan Featherstone.

Znalazłam się w pobliżu gospody, gdzie po raz pierwszy zobaczyłam go z panną Gilmour. I teraz znów tu był.

— Dzień dobry — powitał mnie. — Co za nieoczekiwana rozkosz widzieć panią.

— Właśnie wracam do domu.

— Wydaje się, że zawsze pani tam zmierza, kiedy się spotykamy. Ale dzisiaj nie ma pani żadnego powodu do pośpiechu, prawda?

— Nie chcę się spóźnić.

— Wiem, że czeka panią wiele pilnych spraw, ale może tym razem zatrzyma się pani na chwilę? Co pani powie na to, by się trochę odświeżyć? To właśnie w tej gospodzie spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Wahałam się. Może jednak postępuję niemądrze, będąc dla niego taka oschła, to nie jest w dobrym tonie. I cóż by mi zaszkodziło wypić z nim kieliszek jabłecznika? Może uda mi się dać mu subtelnie do zrozumienia, że wolę odbywać konne Przejazdźki we własnym towarzystwie.

Wyraziłam zgodę. Zsiadliśmy z koni i weszliśmy do gospody.

— Nasi podróżnicy zapewne już wkrótce się zjawią — zauważył, kiedy przyniesiono jabłecznik. — Za pani nieustające zdrowie i szczęście, panno Ann Alice!

— Dziękuję. Za pańskie także.

— Cieszę się, że dobrze mi pani życzy. Gdyż mam wrażenie, że moje przyszłe szczęście zależeć będzie od pani.

— Zdumiewa mnie pan, panie Featherstone.

— Pani zdumienie bierze się z rozkosznej niewinności, panno Mallory. Dopiero wkracza pani w życie.

— Irytuje mnie, gdy podkreśla się mój wiek. Nie jestem już tak młoda.

— Rzeczywiście, nie. Zbliży się pani, o ile wiem, do siedemnastej wiosny życia. Kiedy to nastąpi? Cudownego dwudziestego pierwszego dnia maja?

— Skąd pan wie?

— Jak się to mówi? Ptaszek mi o tym powiedział.

— Sądzę, że tym ptaszkiem musiała być panna Gilmour.

— Już nie panna Gilmour, lecz szczęśliwa małżonka pana Mallory’ego. I nie powinna się pani irytować, gdy ktoś docenia pani młodość. Młodość to najcenniejszy dar, jaki otrzymujemy od bogów. Niestety, nie trwa wiecznie. Czyż to nie smutne?

— Zapewniam pana, że nie miałabym nic przeciw kilku dodatkowym latom.

— Wszyscy chcemy być starsi, kiedy jesteśmy młodzi, a młodszy, kiedy jesteśmy starzy. Taka jest przewrotność ludzkiej natury. Ale dlaczego mamy mówić o wszystkich? Ja pragnę mówić jedynie o pani.

— Obawiam się, że nie jest to szczególnie interesujący temat.

— Niezwykle absorbujący. — I nagle zaskoczył mnie pytaniem: — Co pani myśli o mnie? Zarumieniłam się. Nie mogłam mu przecież powiedzieć, co naprawdę myślę. Szukałam odpowiednich słów.

— Myślę, że jest pan najprawdopodobniej niezwykle... przenikliwy.

— Och, dziękuję pani. Co jeszcze?

— Cóż, chyba jeszcze to, że jest pan człowiekiem światowym.

— Przenikliwy, światowy człowiek. Na początek nie wydaje się takie złe. Co jeszcze?

— Nie potrafię zrozumieć, dlaczego zadaje pan sobie tyle trudu, by mnie ścigać.

Roześmiał się.

— Czy mam powiedzieć, co ja myślę o pani?

— Nie jestem tego ciekawa.

— Dorasta pani i nie zawsze mówi prawdę. Każdy chce wiedzieć, co inni o nim myślą. Ale i tak pani powiem. Jest pani przeurocza.

Zaczerwieniłam się, jestem tego pewna.

— Mówię — ciągnął — najszczerzą prawdę. Walczyłam, by zachować zimną krew.

— Zatem się panu zrewanżuję. Jestem pewna, że wielu osobom mojej płci wyznawał już pan, iż są przeurocze.

— Co za spostrzegawczość! Nie zaprzeczam.

— Byłoby to bezzasadne.

— I w pełni wykluczone, jeżeli ma to być wymiana szczerych myśli. Ale — ciągnął — pani jest najbardziej urocza ze wszystkich.

Spojrzałam na niego zimno.

— Cóż, jabłecznik był dobry — stwierdziłam. — Dziękuję panu. Naprawdę czas już na mnie.

— Dopiero co usiedliśmy.

— Wypicie kieliszka jabłeczniaka nie trwa długo.

— Ale proszę spojrzeć, ja jeszcze nie wypilem swojego.

— Proszę więc dokończyć go w spokoju.

— Nie mogę pozwolić, by wracała pani do domu sama.

— Sama wyjechałam i sama wrócę.

— Ciekawe, co powie pani ojciec, kiedy się o tym dowie.

— Będzie zbyt zajęty nową żoną, by o mnie pomyśleć.

Jego prawa ręka przesunęła się błyskawicznie ponad stołem i nim zdążyłam umknąć ze swoją dłonią, chwycił ją, ściskając mocno.

— A więc jest pani... zazdrosna.

— Ani trochę.

— Powiadają, że macochy nigdy nie da się zaakceptować.

— Nie mogę osądzać z góry. Byłam z macochą zaledwie przez dziesięć dni, ale i w tym czasie rzadko się z nią widywałam.

— Zawieranie małżeństw unosi się w powietrzu — powiedział. — Mówią, że to zaraźliwe.

Wzruszyłam ramionami i zdołałam jakoś uwolnić dłoń z jego ręki. Wstałam.

— Zdecydowanie chce pani odjechać? — spytał.



— Tak.

— W chwili, gdy nasza rozmowa zaczyna stawać się interesująca?

— Może dla pana.

— Niezmiernie. Mówiłem już, jak bardzo panią podziwiam. Jest pani więcej niż ładna. Pani jest piękna.

Popatrzyłam na niego z pogardą.

— Mam w domu dobre lustro, panie Featherstone. Chociaż nie mówi mi tego, co chciałabym usłyszeć, jednak pokazuje prawdę.

Przypomniałam sobie słowa kochanej panny Bray: „Może nie jesteś ładna, Ann Alice, ale masz interesującą buzię. Tak, myślę, że możesz jeszcze wyrosnąć na całkiem atrakcyjną kobietę.”

A teraz on mi mówi, że jestem piękna!

— Pani włosy mają cudowny odcień brązu, a pani oczy... są mieszanką wielu kolorów. Jakie są naprawdę? Brązowe? Zielone? Szare?

— Zazwyczaj mówią o nich orzechowe — odparłam. — I są całkiem zwyczajne.

— Ma pani prześliczne usta.

— Dziękuję. To dobry moment, by zakończyć tę wyliczankę.

— Potrafiłbym mówić o pani bez końca.

— W takim razie będzie pan musiał mówić do siebie. Dla mnie to nudne.

Dopił swój jabłecznik.

— Jest pani zdecydowana skrócić to nasze urocze *tête-à-tête*?

Stał przy mnie, ujął mnie pod ramię i mocno je trzymał. Jego twarz znalazła się tak blisko mojej, iż przez chwilę myślałam, że zamierza mnie pocałować. Cofnęłam się przerażona.

— Nie lubi mnie pani ani troszeczkę? — spytał z patosem. Uwolniłam się z jego uścisku i ruszyłam do drzwi.

— Ledwo pana znam, panie Featherstone — rzuciłam przez ramię. — Nigdy nie podejmuję pochopnych opinii.

— Żywię nadzieję, że kiedy pozwoli sobie pani poznać mnie bliżej, może mnie pani bardzo polubić.

Koniecznie chciał mi pomóc wsiąść na konia.

— Dziękuję — powiedziałam. Przez chwilę stał wpatrując się we mnie, po czym chwycił moją dłoń i pocałował ją. Poczułam się tak, jakby dotknął mnie wąż.

Patrzył na mnie błagalnie.

— Proszę spróbować poznać mnie lepiej.

Zawróciłam konia i nie odpowiedziałam. Czy poniosła mnie wyobraźnia, czy też dostrzegłam w jego oczach błysk wściekłości? Nie byłam pewna, ale przeszył mnie dreszcz niepokoju.

23 marca. Za tydzień wrócę. Przyłapałam się na myśli, że nie mogę się doczekać ich przyjazdu. Ten miesiąc był naprawdę uciążliwy. Wciąż prześladowuje mnie Featherstone.

Zaniechałam konnych przejażdżek, bo on zawsze gdzieś na mnie w pobliżu czekał. Nieustannie daje mi do zrozumienia, że się we mnie zakochał.

Nie wierzę w ani jedno jego słowo. Właściwie to myślę, że on mnie nawet nie lubi. Dostrzegam, jaki wyraz przybiera niekiedy jego twarz, widnieje na niej prawdziwa wściekłość. Sądzę, że w przeszłości zdarzały mu się tylko łatwe podboje i mój opór wcale mu się nie podoba.

Nieraz wydaje mi się, że on kocha się w pannie Gilmour. Och, jakże bym chciała, by tak naprawdę było! Niech się kochają i czym prędzej stąd wyjadą!

Jakże inaczej wszystko by wtedy wyglądało!

Gdyby panna Bray nie oczekiwała dziecka, pojechałabym do niej. Ale czy udałoby mi się przedstawić jej moje odczucia?

Lepiej więc niczego nie przedsięwziąć i ciągnąć tę grę w kotka i myszkę, na co najwyraźniej zdecydowany jest pan Featherstone. Co robi kot, kiedy schwyta mysz? Bawi się nią, udaje, że pozwala jej uciec i łapie, zanim ona zdoła umknąć, daje jej fory, torturuje... a wreszcie zabija.

Z powodu pana Featherstone'a staję się coraz bardziej nerwowa.

Niekiedy budzę się przerażona w środku nocy, bo wydaje mi się, że on wtargnął do naszego domu. Raz nawet zerwałam się z łóżka, podbiegłam do drzwi i wyjrzałam na korytarz, bo myślałam, że za nimi stoi, czyha tam na mnie. Czasami patrzę z okna na pola i lasy i wypatruję przyczajonej sylwetki. A potem śmieję się sama z siebie.

— Głupie sny. Niemądre przywidzenia — karczę się.

Dlaczego on budzi we mnie tak intensywne odczucia? Zupełnie jakby to było jakieś ostrzeżenie.

Będzie lepiej, kiedy oni już wrócą do domu, powtarzam sobie.

Jeszcze tylko tydzień.

*3 maja.* Dzisiaj przypomniałam sobie o moim pamiętniku. Najpierw nie mogłam go znaleźć i strasznie się bałam, że go zgubiłam. Zaczęłam się zastanawiać, o czym właściwie w nim piszę, i co pomyślałaby moja macocha, gdyby wpadł jej w ręce. Byłam pewna, że napisałam coś niepochlebnego o niej.

Może powinnam uważać na swoje słowa? Ale po to jest dziennik, by zapisywać w nim wszystko, co się myśli.

Ku mojej wielkiej radości odnalazłam go. Był tam, gdzie go położyłam, wsunięty głęboko na dno szuflady, za szalami i rękawiczkami.

Od powrotu ojca i jego żony minęło już trochę czasu. Czekałam, by ich powitać. Uważnie przyglądałam się Papie. Wydawał się bardzo szczęśliwy. Panna Gilmour — muszę pamiętać, by nazywać ją macochą — wręcz promieniała. Miała nowy strój, bardzo elegancki. W kuchni nazwano go „kontynentalnym”, „we francuskim stylu”, choć oczywiście, żadna kucharka nie odwiedzała Francji.

Zaczęłam rozważać myśl, że mogę się mylić w ocenie macochy. Wszyscy twierdzą, że to dobrana para, i jak to dobrze, że Papa „znów znalazł szczęście”. Długo był wdowcem, a wszyscy zgadzają się, że mężczyźni nie potrafią trwać wiecznie w żałobie.

Moja macocha postanowiła odmienić dom. W paru pokojach już stoją nowe meble. Nie zajmuje się zbyt słuźbą, dzięki czemu jest wśród niej lubiana. Niektórzy uważają jednak, że to niezupełnie właściwe, by ktoś tak niskiego stanu, został podniesiony do rangi pani domu.

Jednak zdają się powoli o tym zapominać, a moja macocha jest najwyraźniej zadowolona ze swojej nowej pozycji.

Postanowiono, że obędę się już bez nowej guwernantki, chociaż macocha nie omieszkała zaproponować, bym każdego dnia poświęcała trochę czasu lekturze, czego ona już dopilnuje. Ojciec wysłuchał tych słów z aprobatą, a ja muszę przyznać, że teraz jest ojcem bardziej, niż kiedykolwiek od czasu śmierci mamy.

Nadzór nad moją lekturą maleje i wierzę, że z czasem zupełnie ustanie. Jestem z tego zadowolona.

Zaistniał mały spór co do tego, jak powinnam się do niej zwracać. Zapomniałam się kilka razy i wymknęło mi się „panna Gilmour”. To nie spodobało się ani jej, ani ojcu...

Zadziwiająco, jak długo można sobie radzić, zwracając się do kogoś bezosobowo — i w tym właśnie celowałam. Pewnego dnia, gdy wychodziliśmy z jadalni, ona objęła mnie ramieniem i powiedziała tym milutkim cichym głosem, którym czasem przemawia:

— Czy nie byłoby miło, gdybyś mogła nazywać mnie matką... albo mamą... lub jakoś tak?

— Och... nie mogłabym — wyrwało mi się.

— Dlaczego nie? — Jej głos brzmiał teraz ostro, a twarz mojego ojca przybrała bolesny wyraz.

— No... — wykrztusiłam. — Tak dobrze pamiętam moją matkę. Nikt nie mógłby...

Ojciec wydawał się zniecierpliwiony, ale ona tym razem odezwała się uspokajająco:

— Oczywiście... oczywiście... — westchnęła cichutko, a potem obdarzyła mnie słodkim uśmiechem. — W takim razie nazywaj mnie ciocią. Czy to ci odpowiada?

— Tak, myślę, że tak.

A więc muszę mówić do niej ciociu. Postaram się unikać tego zwrotu.

*1 czerwca.* Pan Featherstone wciąż tu się kręci. Czatuje na mnie jak zwykle, a ja go unikam. Postanowiłam przestać być uprzejma i dochodzi między nami do starć słownych, w których jednak łatwiej sobie radzę niż z tą wymuszoną uprzejmością.

Ostatnio mnie spytał:

— Miała pani nadzieję mi się wymknąć, prawda?

— Owszem — odpowiedziałam.

— Dlaczego?

— Dlatego, że wolę być sama.

— Nasze zamiary są więc sprzeczne! Bo ja chcę być z panią.

— Nie rozumiem, dlaczego.

— Ponieważ jest pani piękna i interesująca. A co pani sądzi o mnie?

— Nie jest pan ani piękny, ani interesujący.

— Sam się o to prosiłem, prawda?

— Istotnie.

— Ależ z pani bezpośrednia młoda osóbką!

— Mam tę nadzieję.

— Nadzwyczaj szczerą.

— Staram się.

— Nielaskawa.

— To nieprawda.

— Zraniła mnie pani boleśnie.

— Nie powinien pan wystawiać się na ciosy.

— A cóż innego ma czynić zakochany?

— Przenieść się na mniej jałowe tereny.

— Ale gdzie znajdę taką urodę i rozum?

— Niemal na każdym kroku.

— Myli się pani. Jest tutaj, tylko tutaj... tu, gdzie jest moje serce.

Teraz już potrafię się z niego śmiać. Mój strach przed nim powoli ustępuje. Zaczęło się to poprawiać z chwilą powrotu ojca i jego żony. Pościgi Featherstone'a za mną nie są już tak natarczywe. Zdarzają się dni, kiedy mogę spokojnie wybrać się na przejażdżkę i nie spotkać go.

Czasami zastanawiam się nad przyszłością. Skończyłam już siedemnaście lat. Macocha uznała, że powinniśmy prowadzić życie bardziej towarzyskie.

— Nie zapominaj — powiedziała do ojca — że masz córkę na wydaniu.

— Zaniedbywałem swoje obowiązki, dopóki nie przybyłaś tu, by zadbać o mnie, moja droga — odparł z kurtuazją.

— Musimy myśleć o Ann Alice — nalegała. — Może zaproszę gości.

Tego wieczoru Desmond Featherstone przybył na kolację. Właśnie tego się obawiałam. Nie znoszę, kiedy przebywa w naszym domu. To bardzo dziwne, niemiłe odczucie, choć dość niewytłumaczalne, bo jaką właściwie krzywdę mógłby mi wyrządzić? Zastanawiałam się, czy udając ból głowy, mogłabym zrezygnować z kolacji. Uznałam jednak, że byłoby to zbyt obcesowe lekceważenie. Poza tym w obecności innych nie będzie chyba aż tak źle.

Miałam rację. Nie było źle. Kiedy spoglądał na mnie ponad stołem, widziałam, że zachowuje się już inaczej niż dotychczas. Poblązliwie... tak, jak powinien się zachowywać wobec bardzo młodej osoby. Zwracał się do mnie „panno Ann Alice” w sposób, w jaki mówi się do osoby, która dopiero co opuściła pokój dziecięcy. Ledwo mogłam uwierzyć w tę jego przemianę że to ten sam człowiek, który usiłował mnie przekonać, iż właśnie ja jestem kobietą, którą kocha. Bez trudu przekonałam więc samą siebie, że przez cały ten czas tylko się mną bawił.

Ale miałam wrażenie, że to jego nowe oblicze ma coś wspólnego z moją macochą, a to, czego byłam przypadkowo świadkiem, potwierdziło moje domysły.

Po posiłku, gdy wszyscy udali się do salonu, oświadczyłam, że pragnę się położyć i posłam na górę do swojego pokoju, by pisać dziennik i rozmyślać o dziwnej przemianie Desmond Featherstone'a.

Kiedy siedziałam nad kartkami papieru, dobiegły mnie od strony dziedzińca odgłosy — stukot końskich kopyt dochodzący ze stajni.

Podeszłam do okna i wyjrzałam. To Desmond Featherstone wracał do zajazdu. Szybko ukryłam się za zasłoną. Nie chciałam, by mnie spostrzegł.

Potem usłyszałam kobiecy głos i rozpoznałam macochę. Mówiła ostro i dobitnie:

- To się musi skończyć! Nie zgadzam się! A potem on:
- To nic takiego... tylko zabawa.
- Nie zgadzam się na to! Masz natychmiast wyjechać.
- Powtarzam, to tylko zabawa. Ona jest jeszcze dzieckiem.
- Sprytniejszym, niż sądzisz. Tak czy inaczej, to się musi skończyć.
- Zazdrosna?
- Nie zapominaj...

Ich głosy ucichły. Wyjrzałam zza zasłony. On już ruszał w drogę, a macocha nie spuszczała z niego oka. Odwrócił się, by jej pomachać ręką na pożegnanie, odwzajemniła ten gest.

Co to ma znaczyć? Mówili przecież o mnie. A zatem macocha wie o jego próbach flirtu ze mną i nie pochwała ich. Ostrzegła go, że musi zaprzestać zalotów. Wyglądała na prawdziwie wściekłą.

Ucieszyłam się. Ale to dziwne — jak się o tym dowiedziała i dlaczego tak przejęła?

Będę lepiej ukrywać mój pamiętnik. Cieszę się, że zaczęłam go pisać. To bardzo ciekawie potem czytać i wspominać.

*5 czerwca.* Dziś stało się coś naprawdę zdumiewającego. Desmond Featherstone wyjechał i nawet się z nami nie pożegnał. Zniknął bez słowa.

Od tamtego wieczoru, gdy podsłuchiłam jego rozmowę z macochą, widziałam go tylko raz. Wyglądał na pokonanego. Myślę, że naprawdę przejął się jej ostrzeżeniem.

Ostatnio dochodzę do wniosku, że może źle ją oceniłam. Żywię do niej niechęć właściwie bez żadnego powodu. A zawsze istnieje powód tego, że się kogoś lubi albo nie. Teraz, kiedy spoglądam w przeszłość, zadaję sobie pytanie, czy nie poczułam niechęci do Lois Gilmour tylko dlatego, że nie była panną Bray, do której się przyzwyczaiłam?

Od początku była dla mnie miła. A przynajmniej się o to stara i chyba powzięła zamiar sprowadzać do naszego domu kawalerów, kandydatów na męża dla mnie. Ojciec jest zachwycony swoim małżeństwem, sądzę, że ma po temu powody.

Przed kilkoma dniami nie czuł się najlepiej. Dowiedziałam się o tym dopiero po południu, gdyż zazwyczaj nie widuję go często. Nie zawsze przychodzi na śniadanie, a i tak jadamy je o różnych porach, każde z nas bierze sobie, co chce, z ogrzewanych półmisków ustawionych na kredensie, więc łatwo nie zauważyć, że kogoś brak.

Przy obiedzie macocha powiedziała mi, że Papa spędzi ten dzień w łóżku. Nalegała, by dziś nie wstawał, ponieważ czuje się nie najlepiej. Ale dodała, że nie ma powodu do niepokoju. Musimy pamiętać, że nie jest już młodzieńcem, za jakiego się czasem uważa.

Dogląda go naprawdę wyjątkowo troskliwie. Kiedy po południu poszłam odwiedzić ojca, siedział w łóżku i wyglądał na całkiem zadowolonego, bo macocha krzątała się koło niego, pytając co chwilę, czy nie wieje na niego z otwartego okna i czy nie zarzucić mu pledu na ramiona.

— Rozpieszczasz mnie, moja droga — rzekł.

— Och, nie mów tak! Ciebie nie da się rozpieścić.

— Ale naprawdę robisz całkiem niepotrzebne zamieszanie, Lois.

— To oczywiste, że się o ciebie martwię.

Przyglądałam się im. On wydawał się taki szczęśliwy — i ona też.

Tak, może ją źle oceniłam, spróbuję ją polubić. Muszę być rozsądna. Ona sprawiła, że mój ojciec czuje się bardzo szczęśliwy i wszyscy naokoło sądzą, że to dla niego wspaniały dar losu.

*2 września.* Tak długo zaniedbywałam pamiętnik. Dopiero teraz, gdy szukałam pary szarych rękawiczek do mojej nowej sukni, natrafiłam na niego w szufladzie. Postanowienie, że będę pisać regularnie poszło w niepamięć. Ale to chyba często się zdarza ludziom, którzy prowadzą pamiętniki. Przeczytałam najpierw, co pisałam wcześniej i wszystko znów ożyło.

Udaje mi się żyć dość spokojnie pod rządami mojej macochy. Bardzo się staram ją polubić, ale naprawdę nie potrafię, choć często wyrzucam sobie, że to niewdzięczność z mojej strony. Jest taka dobra i miła dla mojego ojca, naprawdę troskliwie się nim zajmowała, kiedy miał te swoje ataki choroby. Zdarzyły się już chyba trzykrotnie, a ona ciągle upiera się, by być przy nim zamiast pielęgniarki. Papa mówi, że macocha zachowuje się tak, jakby ta jego choroba była dużo poważniejsza niż jest w istocie.

Słyszałam, co służący mówili o mężczyznach, którzy żenią się z dużo młodszymi od siebie kobietami: „To dla nich za duży wysiłek. Nie mogą mu sprostać”.

Macocha nalegała, by wezwać lekarza. Doktor Brownless nie znalazł żadnych naprawdę niepokojących objawów. Orzekł, że ojciec powinien nieco zwolnić tempo. Posłuchał jego rady i nie jeździ już do Wielkiego Stanton codziennie, jak dawniej. Macocha nie interesuje się „sklepem”, jak nazywamy pracownię kartograficzną. Wierzę, że to bardzo dochodowe przedsiębiorstwo i bardzo poważane w całym kraju. Wielu ludzi związanych z kartografią przyjeżdża do Wielkiego Stanton, by pogawędzić z moim ojcem albo z jego zastępcą o fachowych sprawach. Często gościmy ich w naszym domu, i jeśli już o to chodzi, to macocha okazała się znakomitą gospodynią.

Słyszałam, że ojciec mówił do niej:

— To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu, gdy zjawiłaś się ty, by uczyć Ann Alice.

— W moim też — odparła namiętym tonem.

Tak więc wszyscy jesteśmy zadowoleni, a ja wiem, że ojciec dlatego spędza więcej czasu w domu, by być częściej z moją macochą. Ma zresztą w sklepie doskonałego zastępcę, który wszystkim sumiennie się zajmuje.

W sezonie letnim wyjechaliśmy do Bath. Macocha uznała, że kąpiele dobrze ojcu zrobią, a on stwierdził, że będzie je brał tak często, jak ona sobie tego zażyczy.

Macocha dała też do zrozumienia, że w towarzystwie bawiącym w kąpielisku może się natrafi odpowiedni kandydat na mojego męża. Mnie natomiast wydało się mało prawdopodobne, bym znalazła kogoś właściwego wśród artretycznych staruszków, którym zazwyczaj towarzyszą żony plotkary. Zaś wspaniali młodzi dżentelmeni, śmietanka Bath, nie zwracali na mnie w ogóle uwagi. Nieraz słyszałam jak mówili, że straszliwie się tu nudzą i mają nadzieję jak najszybciej to miejsce opuścić. Byli też łowcy majątków, przyglądali się młodym

kobietom przez monokle, porównując niewątpliwie ich wdzięki z domniemanymi fortunami. Były wdzięczące się dziewczęta i niezbyt młode damy, najprawdopodobniej łowczyńie mężów.

Tęskniłam za naszymi polami i łąkami, za życiem na wolności. Chodziłam znękana na kąpiele, których najwyraźniej wszyscy powinni zażywać, i czułam się bardzo śmiesznie w mojej narzutce, halce i bardzo nieładnym czepku.

Jakże dłużyły mi się dni! Picie wody, branie kąpeli, chodzenie na nabożeństwa, na koncerty i czasami na bale.

Za to moja macocha brylowała. Prawie wszyscy uznali, że jest czarująca. Dostrzegłam, że sporo całkiem młodych ludzi zwraca na nią uwagę, z całą pewnością zdawała sobie z tego sprawę, widziałam skrywane zadowolenie, nigdy jednak nie odstępiała od boku mojego ojca.

Wydawała się bardzo przejęta wprowadzaniem mnie w świat, choć czasem zastanawiałam się, czy naprawdę było to szczerze. Właśnie takie odczucia zawsze we mnie budzi. Nigdy nie jestem pewna jej intencji.

Jeździłam trochę konno, ale zawsze w towarzystwie ojca i macochy, a ponieważ ona nie przepada za konną jazdą, nieczęsto wybieraliśmy się na przejażdżki. Mogłam za to do woli spacerować po łąkach, co też czyniłam każdego ranka. W Meadows bywało sporo ludzi, więc wolno mi było chodzić samej i właśnie tam spotkałam Desmonda Featherstone'a. Byłam zdumiona i zaskoczona jego widokiem.

Złożył mi ten swój dworski ceremonialny ukłon, który zawsze tak mnie irytuje.

— Oto zjawia się przede mną panna Ann Alice we własnej osobie! Któż by się spodziewał, że panią tu spotkam... Co za radość... I to zupełnie sama! Jestem zdumiony, że pani na to pozwolono.

— Jest wczesna pora, a ja jestem już dorosła.

— I równie piękna, jak zawsze!

— Zatrzymał się pan w Bath, panie Featherstone?

— Cóż za oficjalne powitanie! Żywiłem nadzieję, że będę dla pani Desmondem. Tak, jestem tu z krótką wizytą. Jak pani znajduje Bath?

— Bardzo tu pięknie. Podobają mi się te lesiste wzgórza, a architektura wspaniała!

— Czy zadowolona z przebywania w *beau monde*?

— Nie bardzo.

— Chciałbym spotkać się z panią sam na sam. Tyle mam pani do powiedzenia!

— Nie widzę żadnych przeszkód, by powiedział pan mi o tym już teraz.

— Wiele powodów mnie przed tym powstrzymuje. Pani na przykład.

— Przecież proszę, by pan powiedział.

— Gdyby pani zdołała polubić mnie choć trochę!

— Dlaczego moja sympatia miałaby wpływ na pana elokwencję?

— Ponieważ pani widok odbiera mi mowę.

— Ośmielałam się zauważyć, że skoro już pan się znalazł w Bath, prędzej czy później spotka pan moją rodzinę. Tutaj szybko zawiera się znajomości, a wielu kuracjuszy znało się jeszcze przed przyjazdem.

— Ann Alice!...

Podszedł do mnie i chwycił za ramię. Drgnęłam, jak zawsze, kiedy mnie dotknął.

— Proszę nie mówić swojej macosze... że się spotkaliśmy, dobrze?

— Dlaczego mam nie mówić?

— Ona... hm... by tego nie pochwałała.

— Nie muszę prosić jej o aprobatę, zanim się do kogoś odezwę.

— Jestem tego pewny, ale... lepiej o tym jej nie wspominać.

— Nie przyszłoby mi nawet do głowy. Najprawdopodobniej zapomnę już o panu, zanim się z nią zobaczę.

Spojrzał na mnie z wyrzutem, a potem się roześmiał.

— Nie sędzę, by pani zapominała tak łatwo, jak pani udaje — powiedział.

Zarumieniłam się, bo miał rację. Nawet teraz miewałam jeszcze te niepokojąco dziwne sny, które wywoływał we mnie. Nawet teraz, pośród łąk Meadows, wzbudzał niemiłe odczucia.

— Muszę już iść — oznajmiłam. — Do widzenia.

— Do zobaczenia. Chciałbym...

Ale nie dałam mu okazji do powiedzenia, czego by chciał. Odeszłam pośpiesznie.

Spero o nim myślę. Był zupełnie szczery, gdy prosił, o ukrycie przed macochą naszego spotkania.

Przyszło mi na myśl, że ona nie chce, by mnie napastował. Naprawdę stara się mnie chronić. To jeszcze jeden powód, dla którego powinnam ją polubić.

Koniec naszego pobytu w Bath przyjął z wielkim zadowoleniem.

Prawie natychmiast po powrocie do domu ojciec dostał kolejnego ataku — cięższego od poprzednich. Macocha chciała wezwać lekarza, ale ojciec nie uznał tego za konieczne. Znał już przecież diagnozę: jego choroba bierze się z nazbyt męczącego trybu życia, a pobyt w Bath najwyraźniej zmęczył go mocno.

Macocha wezwała jednak medyka, ale dopiero, gdy ojciec już nieco wydobrał. Powiedziała, że się o niego niepokoi i woli, by ktoś go zbadał. A ojciec zgodził się na tę wizytę, by ją uspokoić.

Oprócz pobytu w Bath i mojego spotkania z panem Featherstonem nie wydarzyło się chyba już nic godnego uwagi.

*1 lutego. 1792.* Znów długa przerwa w pisaniu. Najwyraźniej nie zostałam stworzona do chwytania za pióro. Chyba w moim życiu nic ważnego się nie dzieje, a tylko wtedy, gdy ma miejsce coś niezwykłego, przypominam sobie o pamiętniku.

Dzisiaj moja macocha powiedziała nam o Freddy'.

Zauważyłam, że od jakiegoś czasu coś ją dręczy. Nie uszło to także uwagi ojca.

— Czy sądzisz, że twoja macocha dobrze się czuje? — zapytał mnie.

Też był zaniepokojony.

— Dlaczego o to pytasz? — Wydaje się... nieco przygnębiona. Przyznałam, że też to dostrzegłam.

— Pytałem ją, ale stwierdziła stanowczo, że czuje się dobrze.

— Może ponosi nas wyobraźnia.

Ale najwyraźniej nie ulegliśmy żadnym omamom, bo dzisiaj wyszło szydło z worka.

Piłam wraz z nimi herbatę, ponieważ ojcu na tym zależało. Chciał, bym nieustannie potwierdzała, że polubiłam macochę. Słyszałam, jak kiedyś chwalił się z dumą, że nasze stosunki układają się doskonale.

— To była najlepsza rzecz, jaka spotkała Ann Alice, nie tylko mnie — perorował.

Okłamuje siebie, a ja nie chcę pozbawiać go złudzeń. Uśmiecham się tylko i milczę.

Zastanawiam się, dlaczego macocha zdecydowała się na to wyznanie w mojej obecności. Chociaż minęło tyle czasu od ich ślubu, wciąż jestem wobec niej podejrzliwa i niekiedy sama łapię się na tym, że doszukuję się w jej postępowaniu nie istniejących motywów.

Gdy już napełniłam filiżanki herbatą, macocha oznajmiła niespodziewanie:

— Jest coś, o czym pragnę ci powiedzieć.

— Ach! Więc jednak coś cię dręczy — rzekł ojciec.

— Rozmyślałam nad tym od pewnego czasu.

— Powinnaś była od razu zwrócić się do mnie, moja droga.

— Nie chciałam martwić cię swoimi kłopotami.

— Lois, jak możesz tak mówić! Powinnaś już wiedzieć, że ja zawsze podzielę twoje kłopoty. Kiedy pomyślę, jak się mną opiekowałaś...

— Och, tak — odparła. — Ale to co innego. Opiekować się tobą to mój obowiązek, który spełniałam z największą przyjemnością.

Czekał. Zagryzła wargi, a potem wyrzuciła z siebie:

— Chodzi o moją bratową... Umarła... miesiąc temu.

— Twoją bratową?... Nie mówiłaś... Nie wiedziałem, że masz jakąś rodzinę.

— Jej śmierć nastąpiła nagle. Dowiedziałam się dopiero po pogrzebie.

— Tak mi przykro, moja droga.

Milczała chwilę, lekko marszcząc czoło. Ojciec spoglądał na nią czule, czekając cierpliwie na wyjaśnienie i nie ponaglaając.

— Mój brat pokłócił się kiedyś z ojcem i wyjechał. Dopiero po jego śmierci dowiedzieliśmy się, że miał żonę. Teraz ona także umarła i zostawiła... dziecko.

— Jakie to przykre — westchnął ojciec.

— Rozumiesz, to mały chłopiec, sierota i... cóż, to przecież mój bratanek.

— Chcesz zobaczyć się z tym dzieckiem?

— Właśnie o tym chciałam z tobą pomówić. Będę musiała tam pojechać. Muszę coś dla chłopca uczynić. Nie mogę go zostawić na pastwę losu. Bóg jeden wie, co się może zdarzyć.

Ojciec najwyraźniej odczuł ulgę. Nie wiem, jakich nieszczęść się spodziewał.

— Dlaczego nie mielibyśmy pojechać tam oboje? Gdzie on teraz przebywa?

— W Szkocji. Sądzę jednak, że powinnam jechać sama.

— Dobrze, moja droga. Jak sobie życzysz.

— Muszę coś zrobić z tym chłopcem. — Opuściła głowę i bezwiednie kruszyła ciasto na talerzu. — Już od jakiegoś czasu chciałam z tobą pomówić o nim... ale, naprawdę, nie potrafiłam się na to zdobyć. Tak się zamartwiałam.

— Widziałem, że coś cię dręczy — oznajmił ojciec z triumfem. — No, o co chodzi, Lois? Wiesz, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc.

— Ja... hm... chciałabym przywieźć tego chłopca tutaj. Widzisz, on nie ma nikogo oprócz mnie. Można go umieścić w sierocińcu, ale nie potrafię znieść myśli, że się tam znajdzie. To przecież mój bratanek!

— Moja kochana Lois, czy to już wszystko? Powinnaś była powiedzieć mi o tym od razu. To twój dom. Oczywiście, że twój bratanek będzie tu mile widziany.

Podeszła do mojego ojca, przyklękła przy nim, a potem ujęła jego dłonie i ucałowała.

Był bardzo wzruszony. Dostrzegłam łzy w jego oczach.

Ja też powinnam chyba się wzruszyć. To przecież taka rozczulająca scena! Ale jedyne, co mi przyszło do głowy na ten widok, to myśl: Ależ teatralne! Miałam wrażenie, że oglądam sztukę.

*1 marca.* Mały Freddy Gilmour przybył tydzień temu. Drobny, blady, nerwowy, wyraźnie odczuwający respekt wobec macochy. Patrzył na nią z takim wyrazem twarzy, jakby była boginią. A zatem zyskała kolejnego wielbiciela.

Polubiłam Freddy'ego od pierwszej chwili. Ma osiem lat, ale wygląda na mniej. Przynęłam, że zajmę się jego nauką, z czego macocha się ucieszyła. Jej stosunek do mnie stał się o wiele cieplejszy, oczywiście dzięki Freddy'emu.

Czuję się tak, jakbym miała drugiego brata — chociaż jest ode mnie o tyle lat młodszy. Charles, mój prawdziwy brat, nigdy nie okazywał mi czułości. Zawsze patrzył na mnie z góry. Ja tak się nie zachowuję wobec Freddy'ego. Zaczynam go kochać, chociaż znam go tak krótko.

Wydaje się bardzo wdzięczny za to, że może mieszkać w naszym domu, więc sądzę, że dotąd jego życie nie było usłane różami. Kiedy pytam o jego matkę, najwyraźniej nie chce odpowiadać. Może dlatego, że umarła tak niedawno. Za to o swojej cioci Lois mówi chętnie i z najwyższym szacunkiem.



Każdego ranka po obudzeniu zastanawiam się, czego go dzisiaj nauczę i to dodaje moim dniom smaku. Jest bardzo bystry, ale dostrzegam, jak mizerna była jego edukacja. Chce się uczyć i wciąż zadaje mnóstwo pytań.

Ojciec jest naprawdę zachwycony — mną, Freddym, no i oczywiście świata nie widzi poza moją macochą. Cieszy się, że Freddy zamieszkał z nami, bo to tak bardzo uszczęśliwiło Lois. Sprawiamy wrażenie niezwykle szczęśliwej rodziny.

*3 kwietnia.* Dziś poznałam Magnusa Perrensena! To najbardziej ekscytująca rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła.

A wszystko zaczęło się nader zwyczajnie. Papa oznajmił przy kolacji, że jego znajomy kartograf ze Skandynawii przysłał mu list o swoim synu.

— Pełen entuzjazmu młody człowiek. Właśnie wrócił z ekspedycji na Ocean Spokojny. Zdaje się, że interesuje go praktyczna strona sporządzania map.

— Zawsze byłam zdania, że to najciekawsze zajęcie — stwierdziłam. — Odkrywać nowe miejsca i określać odległości między nimi.

— Patrzysz na to w sposób bardzo romantyczny, moja droga — komentował pobłaźliwie ojciec, po czym zwrócił się do macochy: — Będziemy go wkrótce u nas gościć. Wydaje mi się, że może się tu czuć nieco samotnie. Masters znalazł mu nocleg w Wielkim Stanton, bo jego ojciec życzy sobie, by tam zamieszkał na czas studiów w naszej pracowni. Rozmawiałem już z Mastersem, powiedział mi, że w jego domu znajdzie się wolny pokój i przypuszcza, że jego małżonka będzie zadowolona z dodatkowych pieniędzy. Trochę czasu może też spędzać młody Perrensen z nami.

Masters kieruje sklepem — jest niezwykle kompetentny, wyznaje zasadę, że nic na świecie nie jest równie ważne, jak sporządzanie map.

— Masters jest życzliwie nastawiony do tego Skandynawa — ciągnął ojciec. — Perrensenowie cieszą się doskonałą opinią wśród kartografów. Specjalizują się w sporządzaniu map mórz. Masters nie może się więc doczekać przyjazdu tego młodego człowieka, zwłaszcza, że wrócił on właśnie z wyprawy. Pragniemy mu zapewnić jak najlepsze warunki do opanowania wszystkiego, co tu robimy, a młody Perrensen bez wątpienia wtajemniczy nas w postępy poczynione w jego kraju.

— To właśnie jest takie miłe u ludzi waszej profesji — wtrąciłam. — Wszyscy sobie wzajem pomagacie. Wydaje się, że nie ma wśród was takiej zawiści i rywalizacji, jak w innych zawodach.

Ojciec się roześmiał.

— Chciałbym, by na czas pobytu gościa był tu twój brat — oznajmił.

Skinęłam głową. Minęło już sporo czasu, odkąd Charles wyjechał. Oczywiście, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że podróże badawcze, jak właśnie ta, którą przedsięwziął, mogą się ciągnąć latami. Ale mój brat nie dawał znaku życia od bardzo dawna.

— Myślę, że zjawi się w domu nieoczekiwanie — odezwała się macocha. — Ciekawe, co powie, gdy mnie tu zastanie.

— Będzie zachwycony, co do tego nie mam wątpliwości — zapewnił ją ojciec. — Ma wiele zdrowego rozsądku.

— Mam nadzieję, że dokonał wielu odkryć — wtrąciłam. — Zupełnie nie znane miejsca... olbrzymie lądy, na których nie postąpiła ludzka stopa!...

— Ann Alice to wielka marzycielka — uśmiechnął się ojciec najpierw do mnie, a potem do macochy. — Nie traćmy nadziei, że Charles niedługo do nas zawita.

— Wierzę w to — odparłam. — Freddy też jest niezwykle zainteresowany mapami. Zaprowadziłam go wczoraj do sklepu, kiedy byliśmy w Wielkim Stanton. Masters był z niego zadowolony. Wciąż powtarzał: Dobry chłopak. Dobry chłopak. Freddy po raz pierwszy okazał niezwykle podekscytowanie.

Ojciec uśmiechnął się błogo.

— Jest dość bystry — mruknęła macocha z dumą.

— Rzeczywiście — dodałam.

— Ann Alice cieszy się, że zyskała małego braciszka — stwierdził ojciec.

Podniosłam wzrok. Macocha wpatrywała się we mnie. Oczy jej błyszczały. Może nawet zalśniły w nich łzy. Chociaż nie dałabym za to głowy.

Poczułam się nieco zakłopotana.

— Cóż — powiedziałam szybko — teraz będziemy musieli zająć się tym... jak on się właściwie nazywa? Magnus?...

— Magnus Perrensen. Tak, musimy przygotować się na jego powitanie.

I już go widziałam! Chcę opisać ten moment, gdy uklonił mi się z powagą, trzymając moją dłoń, a jego lśniące niebieskie oczy zapatrzyły się w moje. Natychmiast poczułam się ogromnie podekscytowana i to wrażenie wciąż mnie nie opuszcza.

Nie mogę uwierzyć, że dziś spotkałam go po raz pierwszy. Wydaje mi się, jakbym go znała już od bardzo dawna. Żałuję, że wiem tak mało o mapach, bo wówczas mogłabym aktywniej uczestniczyć w rozmowie. Nieważne! Postanowiłam dowiedzieć się więcej, gdy on tu będzie, bo najwyraźniej mapy ogromnie go interesują. Rozpromienia się, kiedy o nich mówi; właśnie wrócił z wyprawy badawczej na Ocean Spokojny. Rozprawia z wielkim znanstwem o szkieletach i wyspach, co sprawia, że też Pragnę zobaczyć te wszystkie miejsca.

Tyle w nim życia! Jestem pewna, że cokolwiek postanowi, °kona tego i osiągnie ogromny sukces.

Jest bardzo wysoki, ubrany wedle naszych miar bardzo skromnie, ale my staliśmy się nieco przesadni w ubiorze pod wpływem księcia Walii i jego przyjaciół, którzy spędzają całe godziny na omawianiu kroju płaszcza lub sposobu noszenia fularu.

Magnus Perrensen odziany jest w spokojną szarość, frak o ton jaśniejszy niż spodnie. Jego pończochy są w tym samym odcieniu, co frak, a czarne buty mają skromne klamry. Nosi jak wszyscy panowie perukę, ale jego peruka też jest skromna, związana z tyłu wąską czarną wstążką.

To zresztą bez znaczenia, jaki nosi strój — dostrzega się przede wszystkim jego niezwykłą osobowość.

Mówi płynnie po angielsku, choć z obcym nieco akcentem, który uznałam za bardzo pociągający.

Ojciec zadał mu mnóstwo pytań dotyczących ekspedycji, Magnus opowiedział, że przeżył morską katastrofę i ledwo uszedł z niej z życiem, myślał, że już nigdy nie zobaczy swojej ojczyzny.

— Co za przygoda! — zawołałam. — Mógł pan utonąć.

— Bardzo długo płynąłem uczepiony deski — powiedział. — Wypatrywałem rekinów i zastanawiałem się, jak długo wytrwam.

— I co się stało?

— Dostrzegłem ląd i wylądowałem na wyspie.

Nie wiem, czy poniosła mnie wyobraźnia, ale jego głos brzmiał szczególnie przejmująco, kiedy o tym mówił. Jakby ta wyspa była dla niego niezwykle ważna.

— Na wyspie? — spytałam. — Jaka to była wyspa? Poszukam jej na mapie.

— Kiedyś opowiem pani o niej — obiecał.

Byłam uszczęśliwiona, bo to znaczyło, że zamierza spędzić ze mną trochę czasu.

— A w końcu zabrał pana stamtąd statek i wrócił pan do ojczyzny?

— Tak.

— Stracił pan zapewne swoje szkice w czasie katastrofy — odezwał się ojciec. — Cóż za straszny cios dla kartografa.

— Owszem. Ale pojedę tam jeszcze.

— Tyle niebezpieczeństw czyha na świecie — zauważył smutno ojciec, a ja odgadłam, że pomyślał o Charlesie. — Mam nadzieję, że będzie się panu dobrze mieszało u Mastersów.

— Z pewnością. Pan Masters ma olbrzymią wiedzę. To zaszczyt i przyjemność z nim rozmawiać.

— Macie ze sobą wiele wspólnego.

— A pani Masters... jest taka życzliwa. Twierdzi, że jestem za szczupły i straszny, że mnie odkarmi.

— To dobra kobieta — zapewnił ojciec. — Jej mąż niekiedy ją zawodzi, bo tyle czasu poświęca mapom, że nie starcza mu go już na delektowanie się jej kuchnią.

— Kucharka rzeczywiście z niej znakomita.

— Mam nadzieję, że będziemy tu pana... często widywać — wtrąciłam.

Uśmiechnął się do mnie.

— Zaproszenie przyjmuję z przyjemnością.

Byłam taka podniecona, kiedy nas opuścił. Udałam się wprost do mojego pokoju, by opisać to wszystko w pamiętniku. Zapisywanie tego jest jak przeżywanie wszystkiego na nowo, a mam uczucie, że ten wieczór ma dla mnie wielkie znaczenie. Chciałabym go przeżywać wciąż i wciąż od nowa.

*3 maja.* To był cudowny miesiąc. Spędzam mnóstwo czasu w towarzystwie Magnusa Perrensena. Przez cały dzień przebywa w pracowni kartograficznej, ale ja często wybieram się do Wielkiego Stanton wraz z Freddy'ym i odwiedzamy sklep. Czasami zabieram koszyk z prowiantem i wszyscy troje jedziemy na piknik. Kiedy indziej siedzimy razem w sklepie, jemy kanapki i popijamy jabłecznik. I cały czas rozmawiamy. Na tym właśnie polega moje staranie, by Magnus czuł się jak w domu.

Jak wspaniale potrafi opowiadać, ja i Freddy słuchamy go niby zaczarowani. Wyciąga którąś z map, wskazuje egzotyczne kraje i opowiada nam o nich. Albo opisuje szlaki przez kontynenty, choć najbardziej pociąga go morze.

— Proszę nam wskazać wyspę, na której pan wylądował — poprosiłam któregoś dnia.

Milczał chwilę, a potem nagle ujął moją dłoń i mocno uściskał.

— Pewnego dnia opowiem pani o niej.

Byłam równie przejęta, jak za pierwszym razem, gdy wspomniał o tej wyspie. Wiedziałam, że jest tam coś szczególnego, o czym chce opowiedzieć... tylko mnie.

Wtedy był z nami Freddy. Siedział w kącie pokoju wraz z Mastersem, który pokazywał mu jakiś przyrząd.

— To jest rylec — mówił. — Spójrz, jaki ostry. Zrobiony ze stali. Służy do cięcia. Popatrz na rączkę. Co ci przypomina? Grzyb? Dobrze. Teraz weź to do ręki, trzymaj palcami za uchwyt. Przyciśnij ostrze do miedzi. Właśnie tak. Musisz naciskać wciąż z taką samą siłą.

Uśmiechnęłam się.

— Wprowadza Freddy'ego w arkana tworzenia map.

— Freddy jest pilnym uczniem.

Intuicja mi podpowiedziała, że Magnus nie chce opowiedzieć mi o wyspie tutaj, w pracowni. Musimy znaleźć się sami. Dziwne to, widuję go codziennie, a nigdy nie jesteśmy sami. Jeżeli spotykamy się w pracowni, są tam też inni ludzie. Zawsze również towarzyszy nam Freddy, jakby był moją przyzwoitką. A kiedy Magnus odwiedza nasz dom, też jest tam sporo ludzi.

Ale jego obecność spowodowała ogromną zmianę. Każdego ranka budzę się pełna oczekiwania. Dużo o nim myślę. Zachwyca mnie nawet to, jak unosi brwi. Czuje w nim obcokrajowca, co mnie niezmiernie pociąga. Podobnie jak ten leciutki akcent, a czasami dziwny nieco szyk słów.

Prawdę mówiąc, zakochałam się w Magnusie Perrensenu.

Ale co on czuje do mnie?

Jest mną zainteresowany, bardzo zainteresowany. Wydaje mi się, że podobnie jak mnie, do rozpaczki doprowadza go to, że nie możemy być ani chwili sami. Ale któregoś dnia uda nam się pokonać trudności.

Kilka dni temu moja macocha oznajmiła:

— Zbliżają się twoje urodziny, Ann Alice. Myślę, że powinniśmy urządzić na tę cześć przyjęcie. Skończysz osiemnaście lat. Porozmawiam o tym z twoim ojcem.

— Ojciec wie, że skończę lat osiemnaście.

— Takie sprawy mniej go interesują. Powinniśmy zacząć prowadzić bardziej otwarty dom, rozumiesz mnie przecież.

Wzruszyłam ramionami. Celem przyjmowania i bywania w towarzystwie miało być znalezienie mi męża. A ja nie chciałam żadnego szukać, bo w moim mniemaniu uchybia to godności. Ale teraz miałam jeszcze inny powód. Znalazłam już tego jedyne, którego kochać będę zawsze i mam powody, by wierzyć, że i ja nie jestem mu obojętna.

Przyjęcie urodzinowe jednak się odbędzie. Macocha przygotowuje listę gości. Wydała już dyspozycje w kuchni.

— To bardzo dobrze, że obchodzisz urodziny w maju — uznała. — Taki cudowny miesiąc! Jeżeli pogoda dopisze, urządzimy przyjęcie w ogrodzie, coś w rodzaju *fête champêtre*.

— Niewątpliwie zorganizujesz to z wielką wprawą i przyjemnością, moja droga — stwierdził pobłaźliwie ojciec. — Jak dobrze, że tu jesteś i wiesz, co potrzebne jest Ann Alice.

Na przyjęcie dostanę nową suknię. Z wioski została zawezwana krawcowa, a macocha siedzi nad próbkami materiałów. Zdecydowałyśmy się na różowy jedwab, który zdaniem macochy, jest dla mnie najbardziej twarzowy. Suknia ma mieć krótkie bufiaste rękawki, obficie marszczone i obszyte koronką. Do tego szeroki koronkowy kołnierz, stanik bardzo dopasowany, a spódnica suta i z falbankami, każda obszyta koronką. To bardzo wyszukana kreacja. Jestem zachwycona, bo kiedy ją mierzę stojąc bez ruchu, podczas gdy nasza krawcowa klęczy u moich stóp, wpinając szpilki i fastrygując, wyobrażam sobie, że stoję przed Magnusiem. Pewna jestem, że w tej sukni dostrzeże, jak jestem piękna.

Wdzięczna jestem też macosze, która tyle uczyniła dla stworzenia tej kreacji. Zupełnie jakby chciała okazać mi wdzięczność za moje zainteresowanie Freddym.

Czy zaczynam ją lubić? Nie jestem pewna. Kiedy ktoś jest zakochany, cały świat wydaje mu się inny i może wtedy do wszystkich czuje sympatię.

Nie... nie do wszystkich.

Dzisiaj przeżyłam wstrząs i pewnie dlatego piszę.

Po południu byłam w ogrodzie. W domu panowała cisza. Ojciec odpoczywał, jak zwykle każdego popołudnia, odkąd zaczęły się te, jak je nazywa, „złe okresy”. Jestem pewna, że znacznie go osłabiły, chociaż stara się dowieść, że jest inaczej.

Macocha pojechała do Wielkiego Stan ton, by, jak powiedziała, robić zakupy. Zabrała z sobą Freddy'ego. Chce mu kupić nowe ubranko. Miał tylko jedno, gdy do nas przyjechał.

Lubię przebywać w ogrodzie. Piękny rozciąga się stąd widok. Tuż za granicami naszego majątku leży Green, gdzie stary kościół z dzwonnica sięga nieba, a towarzyszy mu rząd sześciu bardzo starych domków. Pośrodku Green jest staw z kaczkami, a obok niego drewniana ławeczka. Ale ja wolę trawnik na tyłach domu. Lubię tam przesiadywać, ukryta za niewielką kępą jodeł. Kiedy już spędzam czas w ogrodzie, to zazwyczaj udaję się do altanki oplecionej różami i zasiadam w jednym z wiklinowych foteli.

Tam właśnie przebywałam, udając, że czytam, ale tak naprawdę rozmyślałam o Magnusie Perrensie. To znaczy o tym, kiedy zobaczę się z nim sam na sam. Dzisiaj ma przyjść do nas na kolację, co mnie wprawia w radosne oczekiwanie. Może tym razem zdarzy się okazja, byśmy mogli porozmawiać o rzeczach naprawdę ważnych.

— Och, panienko!... — usłyszałam nagle jedną z naszych pokojówek. — Przyszedł jakiś dżentelmen i dopytuje o panią.

Zerwałam się.

Zaprzątnięta myślami o Magnusie, naiwnie uznałam, że to pewnie on i nawet nie spytałam, jak się nazywa ów dzentelmen. Doznałam wstrząsu, gdy po wbiegnięciu do holu zobaczyłam Desmonda Featherstone'a.

Przebiegł mnie zimny dreszcz lęku, jak zawsze na jego widok.

— Panna Ann Alice! Co za przyjemność panią widzieć.

— Och... pan Featherstone... Od dawna pana tu nie było.

— Bardzo mi tego wszystkiego brakowało... naprawdę.

— A zatem pan wrócił.

— Niestety, na krótko.

— Musi pan... Proszę wejść do salonu. Może chciałby pan się czegoś napić?

— Przyszedłem, by zobaczyć panią... nic innego nie ma dla mnie znaczenia.

— Proszę wejść. — Zaprowadziłam go do małego salonu obok holu, gdzie zwykle przyjmujemy mniej ważnych gości.

Położył kapelusz na stole.

— Czy ma pan ochotę na filiżankę herbaty?

— Z przyjemnością wypiję.

— Pójdę wydać polecenie.

— Och... — zaprotestował. Bez wątpienia zastanawiał się, dlaczego nie zadzwonię na pokojówkę. Miałam powód, by tego nie czynić. Opuściłam salon najszybciej, jak mogłam.

Pobiegłam do pokoju ojca. Na szczęście nie leżał w łóżku. Siedział w krześle, pogrążony w lekkiej drzemce.

— Papo, mamy gościa — oznajmiłam. — To ten przyjaciel macochy. Myślę, że powinieneś do niego zejść.

— Oczywiście, oczywiście. — Przyjaciel macochy powinien być przyjęty z całym szacunkiem. — Kto to jest?

— Pan Featherstone.

— Ach, tak. Oczywiście, pamiętam.

— Jest w małym salonie. Czy zejdiesz do niego? Ja zajmę się tymczasem herbatą.

Zszedł ze mną na dół i skierował się do małego salonu. Kiedy wróciłam, Desmond Featherstone pogrążony był w pogawędce z ojcem.

Wydawało mi się, że posłał mi pełne wyrzutu spojrzenie.

Podano herbatę. Mówili o pogodzie, Desmond Featherstone zapytał z troską o zdrowie ojca. Ojciec odpowiedział, że nigdy nie czuł się lepiej. Nie sądzę, by to była pełna prawda, ale od nja ślubu niezmiennie utrzymuje, że czuje się doskonale.

— Nie widziałem państwa od jakiegoś czasu. Mógłbym przysiąc, że panna Ann Alice urosła.

— Wkrótce będziemy świętowali jej osiemnaste urodziny.

— Doprawdy? Cóż za okazja do uroczystości!

Byłam zirytowana. Bardzo mi się nie podobało, że mówią o mnie, jakby mnie przy nich nie było, jakbym była dzieckiem, o którym wypada mówić, że urosło.

— Tak — potwierdził ojciec — oczywiście, uczymy to wydarzenie. Moja żona jest niezwykle przejęta przygotowaniem, jakby to były jej własne urodziny.

— A kiedy nastąpi ten wielki dzień?

— O, już niedługo. Dokładnie dwudziestego pierwszego maja. Nie wiem, ilu będzie gości. Wciąż ktoś przybywa na liście.

— Ośmielę się więc być zuchwałą. Jako stary przyjaciel rodziny pani Mallory... chciałbym upomnieć się o swoje prawa i otrzymać zaproszenie.

— Każdy przyjaciel pani Mallory jest u nas mile widziany, prawda, Ann Alice?

Byłam zadowolona, że ojciec nie czekał na moją odpowiedź, choć Desmond Featherstone patrzył na mnie wyczekująco.

— Mamy nadzieję, że bogowie okażą się łaskawi i ześlą nam dobrą pogodę — ciągnął ojciec. — Obawiam się bowiem, że nie pomieścimy się w domu, jeśli wszyscy się stawią.

— Bogowie z pewnością okażą się przychylni przy tak wspaniałej okazji — zapewnił Desmond Featherstone.

Przysłuchiwałam się temu pełna gniewu. A więc on też się zjawi na moim przyjęciu urodzinowym! Miałam niemiłe przeczucie, że wszystko popsuje.

Od tak dawna o nim nie myślałam, a teraz wrócił.

Kiedy zjawiła się macocha, dostrzegłam, że jest zdumiona jego widokiem, a jej powitanie było nader chłodne.

— Znowu los zagnał mnie w te strony — oświadczył. — Wiedziałem, że nigdy mi nie wybaczysz, jeśli się tu nie pokażę.

— Na jak długo przyjechałeś? — spytała chłodno macocha. Zabrzmiało to wręcz niegrzecznie.

— To zależy od interesów.

— Och! — jęknęła tylko. Byłam zadowolona, gdy sobie poszedł.

Ale nie czuję się już tak radosna, jak przed jego przyjściem.

*21 maja.* Moje urodziny i najwspanialszy dzień w całym moim życiu! Jak cudownie, że to się wydarzyło akurat w dzień moich urodzin!

Ranek wstał pochmurny i wszyscy bardzo się obawialiśmy, że zacznie padać. Służba wciąż spoglądała w niebo.

Zaglądałam do szafy, żeby obejrzeć nową suknię, przynajmniej ze dwadzieścia razy. To najpiękniejsza kreacja, jaką kiedykolwiek miałam. Ubłagałam macochę, by pozwoliła Freddy'emu pójść dziś do łóżka o godzinę później, zgodziła się z udawaną niechęcią. Naprawdę przepada za Freddy'ym i to jej uczucie do bratanka stwarza między nami bliższą więź — mimo moich oporów.

Po południu niebo się przejaśniło i wszyscy uznali, że jednak się wypogodzi.

Macocha była w swoim żywiole, organizowała i pilnowała wszystkiego. Ojciec obserwował ją z czułym rozbawieniem. Jakże się zmienił od dnia ślubu! Dzięki niej chociaż on jest szczęśliwy. Z pewnością nigdy wcześniej taki nie był... nawet za życia mojej matki.

Zaczęli zjawiać się goście. Ja, mój ojciec, macocha i Freddy, który stał z nami, jakby był synem pana domu, witaliśmy ich serdecznie.

Cóż to była za radość ujrzeć Magnusa, który przybył w towarzystwie Mastersów! Wyglądał tak elegancko w swoim skromnym fraku. Szczerze nie znoszę tych wszystkich ozdób wprowadzonych przez dandysów.

Pogoda dopisała. Księżyc w pełni sprawiał, że sceneria stała się jeszcze bardziej urzekająca i całe towarzystwo przeniosło się wkrótce na trawnik przed domem. Potrawy podawano w holu i jadalni, każdy, kto chciał, mógł zabrać z sobą talerz do Parku.

Tylko jedno psuło mi zabawę — obecność Desmonda Featherstone'a. Wydawało mi się, że uwziął się na mnie, by ciągle odnajdywać mnie w tłumie.

Za to uszczęśliwiała mnie, że Magnus najwyraźniej też przyrzekł sobie nie odstępować mojego boku. Dzięki mojej gorliwej współpracy udawało nam się udaremniać starania Desmonda Featherstone'a i trzymaliśmy się ciągle razem.

Freddy posłusznie poszedł do łóżka, kiedy przyszła pora. To bardzo grzeczny chłopiec, domyślałam się, że przywykł do spełniania poleceń bez słowa. Okazuje wdzięczność w tak żaloszny sposób, że często zastanawiałam się, jakie życie wiódł u bratowej mojej macochy. Nigdy z nim o tym nie rozmawiam, bo gdy kiedyś zadałam mu nieostrożne pytanie, miał tak

nieszczęśliwą minę, iż uznałam, że budzą się w nim bolesne wspomnienia, o których chciałby jak najszybciej zapomnieć.

Skoro to były moje urodziny, miałam jednakowoż pewne obowiązki wobec gości. Musiałam zatańczyć z kilkoma przyjaciółmi ojca, niektórzy z nich byli znanymi kartografami, przyjechali na nasze przyjęcie z daleka. Mogłam rozmawiać z nimi o mapach z dużo większą pewnością siebie niż dawniej — a to dzięki Magnusowi.

Nieustanna myśl o tym, jak by tu dołączyć z powrotem do Magnusa, sprawiała jednak, że nie mogłam się w pełni skupić na bawieniu zebranych. Kiedy wracałam do niego, był równie spragniony mojej obecności, jak ja jego towarzystwa.

Potem przyszły te cudowne chwile w ogrodzie różanym. Zapach kwiatów był zniewalający. Zawsze będę wspominała tę rozmowę, dwudziestego pierwszego maja 1792 roku, bo ten wieczór był jak zaczarowany. Całe życie będę o tym pamiętała.

Siedzieliśmy obok siebie na wiklinowych krzesłach ustawionych pod murem naprzeciw bramy, co jakiś czas dobiegały do nas śmiechy gości. Nieruchome powietrze przenikał kojący za pach.

Magnus ujął moje dłonie i ucałował.

— Zrozumiałem wszystko, gdy tylko panią zobaczyłem — po wiedział.

— Ja też.

— To było tak, jakby nas od razu połączyło wzajemne zrozumienie. Pani do mnie i moje do pani...

— Tak właśnie było.

— Jakże cudowne jest życie. Rzadko zdarza się równie pełna harmonia.

— To bardzo cenne.

— I takim pozostanie.

— Magnusie — zapytałam — co teraz będzie? Pana dom znajduje się daleko.

— Tak — odparł. — Przyjechałem tu na rok... może na dłużej. Potem muszę wracać do mojego kraju.

— Rok... — powtórzyłam pełna szczęścia. — Mamy rok, by być z sobą.

— A potem — ciągnął — pani pojedzie ze mną do mojego domu. Pobierzemy się.

— I będziemy żyli długo i szczęśliwie! Zupełnie jak w bajce. — I będziemy mieli dużo dzieci. Będą z nami, gdy wyruszymy w świat, by go poznać. Czeka nas wspaniałe życie.

— Jakże jestem szczęśliwa — zawołałam. — Nie sądzę, by komukolwiek innemu zdarzyło się obchodzić osiemnaste urodziny w bardziej szczęśliwych okolicznościach.

Magnus milczał chwilę.

— Pojedziemy razem na moją wyspę — rzekł w pewnej chwili.

— Ach, tak. Wyspa! Od dawna pragnę, by pan mi o niej opowiedział.

— Uczynię to teraz. Ten piękny ogród wydaje się doskonałym miejscem. Od dawna chciałem z panią o tym porozmawiać. Czasami wydaje mi się, że wszystko było tylko snem, jakbym sam to wszystko wymyślił.

— Proszę mi opowiedzieć! Chcę wszystko wiedzieć. Wahał się chwilę, a potem zaczął:

— Wziąłem udział w wyprawie badawczej, na pełnym morzu sporządzaliśmy mapy mórz i oceanów. Wierzyliśmy, że na Pacyfiku istnieje więcej wysp niż te, które znamy. Wydaje mi się, że odkryłem jedną z nich. Właściwie jestem tego pewny. Znaleźliśmy się w pobliżu Hawajów, w miejscu gdzie przed rokiem kapitan Cook został okrutnie zamordowany. Jakże opisać to uczucie, gdy płynie się po nie znanych szlakach! Kapitan Cook odkrył tak wiele, iż obawiałem się, że dla mnie już nic nie pozostało.

— Proszę mi opowiedzieć o swojej wyspie.

— Tak, chcę, by pani o niej wiedziała. Chcę, abyśmy oboje popłynęli na jej poszukiwanie. Nigdy nie będę w pełni szczęśliwy, dopóki znów tam nie dotrę. I chciałbym, by pani mi towarzyszyła, gdy to się stanie.

Wyciągnęłam rękę, by go dotknąć, a on ujął moją dłoń i całował bez końca.

— Zobacz pani wówczas to, co ja — mówił — poczuje pani zew morza. Jest stworzone po to, by je przemierzać, ujarzmić, podbijać. Jakże szczęśliwi jesteśmy, że urodziliśmy się na Ziemi. Ale chcę opowiedzieć pani o mojej wyspie.

— Proszę! Czasami wydaje mi się, że pan się ociąga, że obawia się pan o niej opowiedzieć. Waha się pan. Co takiego je na tej wyspie?

Zamilkł na długą chwilę.

— Morze było spokojne... tak spokojne, iż niemal nie czuło się, że płyniemy. A potem nagle przyszedł sztorm... Uderzył zniecka. Trudno sobie nawet wyobrazić wściekłość huraganu. Wiatr naciera z mocą tysiąca szalonych demonów, wyje, chłoszcze fale, zmienia morze w wirującą kipieli. Deszcz w tym wichrze siecze prawie poziomo. Wydaje się, że jest zdecydowany zniszczyć wszystko, co stanie mu na przeszkodzie. Jakie szanse na przetrwanie ma statek na tak wzburzonym morzu, w czasie nawałnicy? Wiedziałem, że katastrofa musi nadejść. Modliliśmy się o cud, ale nikt nie wierzył, że on nastąpi. Wiedzieliśmy, że statek nie przetrzyma tej nawałnicy — i nie przetrzymał. Myślałem, że nadeszła moja ostatnia chwila. To dziwne, ale byłem spokojny, żałowałem tylko, że nie odkryję tych wszystkich nie znanych jeszcze lądów. Moje imię miało przepaść wraz ze mną. Moje życie przeminąć bez śladu. A miałem takie wspaniałe marzenia. Magellan, Henryk Żeglarz, Drake, Cook, Ptolemeusz, Merkator, Hodiusz... Marzyłem, że zostanę jednym z nich. Mężczyźni trzeba czasu, by dowieść swej wartości. Od tamtego dnia często rozmyślałem o żeglarzach, którzy zginęli, zanim dokonali tego, o czym marzyli. Sądziłem wówczas, że podzielę ich los. Morze bawiło się statkiem jak kartonowym pudełkiem. Pokład uciekł spod nóg... Rozbity statek morze poniosło jak zabawkę. Wszystkie nadzieje przepadły. Został tylko wrak. Chwyciłem za jakiś kawałek drewna. Pewnie była to deska z pokładu. Czułem się już na wpół martwy, sądziłem, że koniec jest bliski. Nikt nie mógł przeżyć w tej wodnej otchłani. Miałem zgrubsze pojęcie, gdzie się znajdowaliśmy, gdy zaczął się sztorm, ale nie wiedziałem, gdzie nas zagnało i gdzie rozbił się statek. Nie potrafiłem myśleć o niczym, jak tylko o kurczowym trzymaniu się tego kawałka drewna. Morze rzucało nim tu i tam. Byłem zdany na jego łaskę... Co chwilę zalewała mnie woda. Zamknąłem oczy i czekałem na śmierć. Mówią, że kiedy się tonie, człowiek przypomina tobie całe życie, różne szczegóły... dzieciństwo... lata nauki. Może byłem na to zbyt otępiały. Nie pojmuję, jak utrzymałem się na swojej desce. Ale jakoś mi się to udało i nie przypomniałem sobie nic z przeszłości. Myślałem tylko o tym, by nie wypuścić tego kawałka drewna, który był moją jedyną deską ratunku. Byłem wyczerpany całą tą walką i czułem, że tracę przytomność. Kiedy otworzyłem oczy, wszystko się zmieniło. Słyszałem, że fale łagodnie uderzają o piasek. Wiał pachnący, bardzo lekki wietrzyk. Otworzyłem oczy i zobaczyłem wspaniałe błękitne niebo i morze, które było spokojne jak jezioro. I takie piękne... przejrzyście niebieskie. Potem odkryłem, że jest jasnozielone. To był ten sam wodny żywioł, ale jakże różniący się od tego, który oglądałem podczas sztormu.

— A więc w taki sposób dostał się pan na wyspę?

— Właśnie tak. Kiedy otworzyłem oczy, pierwsze, co dostrzegłem, to byli ludzie. Siedzieli wokół mnie — wysocy mężczyźni, kobiety, nagie dzieci, przyglądali mi się z zaciekawieniem. Wieli jasnobrązową skórę, włosy ciemne i gęste. Zauważyłem, że wszyscy noszą ozdoby, które wyglądały na wykonane ze złota, a kobiety miały wieńce na szyjach i wokół kostek. Najwyższy z nich — którego uznałem za wodza — podszedł do mnie i powiedział coś, czego nie rozumiałem. Próbowałem mu odpowiedzieć... ale wyjaśnienia okazały się zbędne. Mój wygląd, kawałek deski, który wyniósł mnie na brzeg, wystarczyły za wszystko. Przez cały czas, jaki tam spędziłem, porozumiewaliśmy się z pomocą znaków, gestów, mimiki. Przynieśli związane sznurami kawałki drewna — coś w rodzaju noszy — i położyli mnie na nich, bo nie miałem sił, by iść. Dwaj mężczyźni zanieśli mnie do jednej z chat. Później zrozumiałem, że to dom wodza. Okrągły, z dachem pokrytym trzcina; podłogą było klepisko, stały na nim proste



ławy. Zostałem delikatnie złożony na ziemi i po chwili przyszło kilku tubylców, by mnie zbadać. Przynieśli też jedzenie... owoce mango, papaje, dojrzałe banany, orzechy. Podali mi do picia coś gorącego, odwróciłem od tego z obrzydzeniem głowę, przynieśli więc mleko kokosowe w skorupie orzecha. Zastanawiałem się, co ze mną zrobią. Słyszałem opowieści o krwiożerczych tubylcach na dalekich wyspach. Kapitan Cook został bestialsko zamordowany na jednej z Wysp Hawajskich, gdzie udał się, by odzyskać skradzioną łódź. Mógł spotkać mnie podobny los, ale jakoś o tym nie myślałem. Wyczułem dobroć tych ludzi. Wysocy i silni, mogli być wojownikami, ale ich łagodność powodowała, że mimo niepewności nie czułem strachu. Zapadłem w długi sen. Kiedy się budziłem, zawsze obserwowała mnie przynajmniej jedna para ciemnych oczu. Dawali mi jedzenie — mleko kokosowe i coś, czego nigdy przedtem nie jadłem, a co było chyba owocem drzewa chlebowego. Myślę, że opiekowali się mną przynajmniej przez cztery dni i cztery noce, zanim całkowicie doszedłem do siebie. Kiedy wstałem, przyjęli to oklaskami i zaczęli pokrzykiwać, a jeden wybiegł z domu i zaczął uderzać dłońmi w bęben. Potem dowiedziałem się, że to ich sposób wzywania pozostałych. Nigdy nie zapomnę tego, co później nastąpiło. Przychodzili, by mnie obejrzeć. Chodzili wokół mnie, dotykali, zachwycali się moją białą skórą. Ze zdumieniem patrzyli w moje niebieskie oczy, ale najbardziej intrygowały ich moje jasne włosy — Stali wokół mnie wysocy mężczyźni i kobiety w zło — h ozdobach i wieńcach. Mogli mnie wziąć na tortury, zabić najstraszniejszy sposób... ale wówczas o tym nie myślałem, dopiero po opuszczeniu wyspy, przyszło mi to do głowy. To są szczęśliwi ludzie. Nieustannie się śmieją. Siedzieli wokół mnie, wciąż dotykali moich włosów, ofiarowując owoce i mleko kokosowe. Obok mnie zasiadał wódz. Domyśliłem się, że to wódz, gdyż nosił na sobie więcej złota niż inni. Poza tym miał w sobie coś władcze. Taka była moja wyspa. — Jak długo pan tam przebywał?

— Nie wiem. Straciłem rachubę czasu. — Magnus spojrział mi w oczy i powiedział z żarem. — Muszę ją odnaleźć. To wszystko było takie niezwykle. Czasami wydaje mi się, że to miejsce z marzeń... że je sobie wymyśliłem.

— Jakże to możliwe?

— Ale wyspa istnieje. I ja tam byłem.

— Proszę mi jeszcze coś opowiedzieć. Pragnę dzielić z panem te przygody.

— Porozumiewaliśmy się znakami. Nauczyłem się kilku słów w ich języku: „idź”, „chodź”, najprostszych. To jest przedziwna wyspa, mają tam wszystko, czego trzeba. Obfitość ryb i owoców. Uprawiają rośliny, które widziałem po raz pierwszy. Gotują potrawy w ziemi, zakopując złote garnki tak, by padały na nie promienie słońca. Żywią się głównie rybami, których w morzu jest pełno i można je bez trudu łowić. Noszą opaski, które wykonują z liści i włókien roślin. Obyczaj mają proste. Nigdy nie widziałem takiej harmonii i zrozumienia, jakie odnalazłem na tamtej wyspie. Wierzą w dobroć... Pracują wspólnie... jeden za wszystkich, wszyscy za jednego... To jest raj, Ann Alice. I tam jest złoto... kruszec, który my tak cenimy, znajduje się w takiej obfitości, jak ryby w morzu lub owoce na drzewach. Można go zobaczyć w rzekach... leży na powierzchni ziemi. Wystarczy nabrać garść piasku i zawsze znajdzie się w nim złoto. Tubylcy nauczyli się przetapiać je na naszyjniki i bransolety. Szlifują je i wystawiają na słońce, dawcę życia. Każdego ranka patrzą na wschód słońca, witają je z radością i zawsze z powagą patrzą, gdy wieczorem znika za horyzontem. Pamiętam, jak któregoś wieczoru stałem wraz z nimi na wybrzeżu i obserwowałem wielką czerwoną kulę niknącą w otchłani wód. Zdawała się zapadać nagle. Tam nie ma zmroku. Zachód słońca jest inny od tego, który my znamy. Trudno wprost uwierzyć, że słońce jest to samo. Mógłbym opowiadać o mojej wyspie bez końca.

— Cudownie się tego słucha.

— Przebywałem wśród nich... jak długo? Naprawdę nie wiem. Aż stałem się jednym z nich.

— Nie myślał pan o powrocie do domu... do rodziny?

— To dziwne, ale nie. Wydawało mi się, że zostali w innym świecie. Zapomniałem o swoich ambicjach, by pływać po morzach i odkrywać nowe lądy. Byłem zadowolony żyjąc ich życiem. Łowiłem z nimi ryby, przy ich pomocy wybudowałem sobie dom. Żyłem tak, jak oni i czułem się ogromnie szczęśliwy. Trudno to wyjaśnić. Myślę, że ma to coś wspólnego z wrodzoną dobrocią tych ludzi. Tylko na początku przyszło mi trudno oswoić się z myślą, że na świecie istnieje takie miejsce.

— Dlaczego pan je opuścił? I jak?

— Czasami wydaje mi się, że w tym przeżyciu kryje się coś mistycznego. Właśnie dlatego niechętnie o nim mówię. Jak już wspominałem, żywią się rybami, których w morzu jest bez liku. Większą część dnia spędzaliśmy w łodziach. Właściwie to były prymitywne czółna... podobne do canoe. Doskonale zapamiętałem pewien dzień. W łodzi mieszczą się dwie osoby, łowiliśmy więc ryby parami. Często wypływałem z jednym z nich, którego imię brzmiało Wamgum. Zostaliśmy przyjaciółmi. Nauczył mnie kilku słów w swoim języku i dzięki temu mogli mnie rozumieć. Ja też zresztą nauczyłem go paru słów w moim języku. No więc, ja i Wamgum wypłynęliśmy któregoś dnia w j morze. Słońce stało wysoko na niebie, grzejąc nas mocno. Nad głowami mieliśmy daszek z trawy dla ochrony przed słońcem.

Nie od razu przystąpiliśmy do łowienia. Wiosłowaliśmy najpierw czas jakiś, a potem pozwoliliśmy czółnu unosić się na fali. Pamiętam, że obejrzałem się na wyspę, zieloną i piękną. Zaśpiewałem pieśń o swoim kraju, która zawsze ich zachwycała. Wamgum zamknął oczy i słuchał. Potem zapadłem w drzemkę. Kiedy się obudziłem, ciężkie chmury przysłaniały słońce. Było wie ciemno. Zaniepokojony obudziłem Wamguma. Rozejrzał się przerażony. Wyspy nie było już widać. Nagły powiew wiatru wstrząsnął czółnem. Na tropikalnych morzach burze zrywają się gwałtownie. Lunał deszcz, zaczął wyc wiatr. Wszystko powtórzyło się jak wtedy, gdy nawałnica uderzyła w statek tylko tym razem byłem w wątlej łódeczce. Nie daliśmy rady walczyć z żywiołem. Wpadliśmy do wody, ale trzymaliśmy się łodzi. Nagle Wamgum zniknął. Wielka fala zalała łódkę, złamała ją w pół i rzuciła w powietrze. Trzymałem się kurczowo kawałka drewna. Tak samo, jak przedtem. Śmierć znowu zajrzała mi w oczy. Tym razem to już koniec, pomyślałem. Uczepiłem się resztki czółna. Udało mi się oprzeć na desce głowę, w ten sposób trzymałem ją ponad wodą. Rzucalo mną we wszystkie strony. Cud nie powtórzy się, myślałem, chyba że zostanę oszczędzony dla jakiegoś szczególnego celu. Teraz nastąpi koniec. Nie wiem, jak długo płynąłem. Wszystko się powtarzało... otepienie... utrata przytomności... czekanie, aż morze mnie wchłonie. Straciłem rachubę czasu. Nie wiedziałem, czy jest dzień, czy noc. Trzymałem się tylko mojego kawałka drewna i zastanawiałem się, czy następna wielka fala mnie nie zmyje. Nagle wiatr ustał. Morze było wciąż wzburzone, ale mój kawałek drewna unosił się na powierzchni. Niebo było czyste, słońce zaczęło znów palić tak bezlitośnie, że niemal zatęskniłem za sztormem. Unosiłem się nieprzytomny na tym spokojnym morzu, wyczerpany... nie wiem, jak długo. Wyłowił mnie przepływający w pobliżu statek, ale wtedy nie byłem już pewny, ani gdzie, ani kim jestem. Pamiętam, że leżałem w ciemności na pokładzie, na moje wargi sączył się chłodny napój. Myślę, że majaczyłem. Mówiłem o wyspie. W końcu zacząłem powracać do przytomności. Przyszedł do mnie lekarz okrętowy. — Powiedział, że płyną do Rotterdamu, i cudem mnie odratowali. Rzadko się zdarza, by ktoś był tak bliski śmierci i zdołał przeżyć. Cierpiałem z powodu porażenia słonecznego, głodu, wyczerpania. Ale jestem młody i silny, i przed końcem podróży doszedłem do siebie.

— Co za niezwykła przygoda! O mały włos, a nie byłoby tu pana.

Miałam tak przerażoną minę, że Magnus aż się uśmiechnął.

— Nigdy by mnie pani nie poznała, więc nie mogłaby pani po mnie płakać.

— Nie pozwolę panu podróżować beze mnie.

— Popłyniemy razem.

— Wciąż chce pan pływać, po tym, co się zdarzyło?

— To mój żywioł... Czuję, że muszę raz jeszcze wypłynąć w morze, odkryć nowe lądy. No i wrócić na moją wyspę.

— Potrafi pan ją odnaleźć?

— To nie będzie łatwe. Rozmawiałem o niej z marynarzami. Myśleli, że mającą. Wyspa, gdzie dzicy są łagodni jak baranki, gdzie panuje miłość i zgoda, gdzie jest pod dostatkiem ryb i owoców, by zaspokoić potrzeby mieszkańców, gdzie można zbierać z ziemi złoto i wytapiać z niego garnki... to wszystko może uchodzić za przywidzenia, fantazje. I wie pani, Ann Alice, były takie chwile, kiedy sam wierzyłem, że to wszystko mi się śniło, że być może sam wymyśliłem te cuda. Stałem się rozbitkiem, co do tego nie było wątpliwości. Zostałem wyłowiony z morza, odratowany i przywieziony do Europy. Czy przebywałem w świecie fantazji, leżąc nieprzytomny na mojej desce? Czy ta wyspa istnieje poza moją wyobraźnią?

— Ale nie mógł pan chyba tak długo leżeć na desce?

— Przypuszczam, że nie przebywałem na wyspie dłużej niż tydzień. Wschody słońca łączą się w moich wspomnieniach z zachodami. Dni wydawały się bardzo długie, więc nie mam pewności. Czasami myślę, że marynarze mają rację. Właśnie dlatego muszę wrócić na morze i poszukać tej wyspy.

— Pojadę z panem.

— Och, Ann Alice, wiedziałem, że pani się zgodzi, że czuje pani to samo, co ja. Wiedziałem to od chwili, gdy panią zobaczyłem, od pierwszego dnia. Narysowałem już mapę. Chcę ją pani pokazać. Umieściłem wyspę tam, gdzie wierzę, że się znajduje. Wiem, którędy żeglowaliśmy. Mogę z grubsza określić, gdzie zastał nas sztorm... więc nie powinienem się mylić.

— Och, tak, proszę mi pokazać tę mapę.

— Uczynię to wkrótce.

Objął mnie ramionami i przytulił do siebie. A potem ujął moją twarz w dłonie i pocałował. Siedzieliśmy tak długo, spleceni ramionami.

W oddali usłyszałam kroki, ale niczego nie pragnęłam bardziej, niż być blisko Magnusa.

Dobiegły do nas słowa:

— Nie rozumiem cię. Dlaczego nie chcesz tego zrobić? To proste. Co się z tobą stało? Zmieniłaś się. Polubiłaś łatwe życie, he? Wycofujesz się z umowy?

To był głos Desmonda Featherstone'a. Mówił oschle, z irytacją. Nigdy nie słyszałam u niego tego tonu. Zastanawiałam się, do kogo mówi. Z kim rozmawia? To mogła być tylko moja macocha. Nie, niemożliwe, by ośmielił się mówić do niej w ten sposób.

— Co się stało? — spytał Magnus.

— Myślałam, że ktoś nadchodzi. Proszę posłuchać.

Kroki oddaliły się.

— Najwyraźniej zmienili plany — uznał Magnus. — Zostawili cały ten piękny ogród tylko dla nas.

— Powinniśmy już wrócić do innych. Ktoś mógł zauważyć, że mnie nie ma — westchnęłam z niechęcią. — Chciałabym tu zostać na zawsze.

Pocałowaliśmy się raz jeszcze.

— Zatem postanowione — rzekł Magnus. — Jutro pokażę pani mapę wyspy.

Wróciliśmy razem do domu.

Tak więc siedzę teraz w swoim pokoju i zapisuję to wszystko w dzienniku. Tak się cieszę, że zaczęłam w nim pisać. Chcę uchwycić każdą chwilę tej nocy i zachować na zawsze w pamięci. To najszcześniejsza noc mojego życia.

Ale jednak, gdy ją wspominam, co chwilę słyszę głos Desmonda Featherstone'a. Zakłóca doskonałość wieczoru. Zastanawiam się, o czym właściwie rozmawiali. Ta myśl wciąż powraca, mąci moje poczucie szczęścia... i wnosi z sobą coś złowieszczo.

30 czerwca. Minął już miesiąc, odkąd Magnus i ja wyznaliśmy sobie miłość. Co to był za cudowny miesiąc! Ileśmy rozmawiali! Mamy tyle planów. Uzgodniliśmy, że zostanie w Anglii przez rok, by studiować nasze sposoby sporządzania map. Perrensenowie umożliwią za to mojemu bratu studia w ich pracowni kartograficznej. I zapewne już by do tego doszło, gdyby Charles tu był. Ojciec mówi, że Charles pojedzie do nich po powrocie z ekspedycji.

Magnus chce tu zostać tyle czasu, ile zamierzał od początku. Choć bardzo pragnie, byśmy się pobrali, jest wciąż pochłonięty swoimi studiami. Nie będę mu przeszkadzać, bo postanowiłam nigdy nie stawać mu na przeszkodzie w jego i zainteresowaniach.

Snujemy więc plany. Na początku przyszłego roku weźmiemy ślub, a potem pojedę z nim do jego kraju, do Norwegii.

Dużo opowiada mi o pięknie fiordów i gór. Pokazał mi mapę, a na niej miejsce, gdzie jego rodzina ma wiejską posiadłość. Jestem taka szczęśliwa. Żyję przyszłością. Zobaczę słońce Północy. Będę pływać łodzią wśród fiordów, łowić z nim ryby, jeździć konno po lesie. A potem udamy się na poszukiwanie jego wyspy... razem... zawsze razem.

Pokazał mi tę mapę z wyspą. Nazwał ją Rajską Wyspą.

— Musi znajdować się gdzieś tutaj — wskazał miejsce na oceanie. — Przystudiowałem wszystkie mapy tych okolic, ale nigdzie jej nie zaznaczono. Tu, na północ są Wyspy Hawajskie, a tutaj Tahiti... i Iles de la Societe, Wyspy Brytyjskiego Towarzystwa Królewskiego. Moja wyspa może znajdować się o całe mile na północ lub południe od nich... nie wiem. Ale jest tam gdzieś. Te wyspy odkryto tak niedawno, że mapy z pewnością nie są dokładne. Czyż myśl o tym, co zbadamy, nie jest podniecająca? Narysuję jeszcze jedną mapę i dam ją tobie. Wtedy każde z nas będzie miało swoją własną Rajską Wyspę. Nie ma takiej drugiej na świecie..., Strzeż jej, Ann Alice. Ukryj ją w bezpiecznym miejscu.

Nie dostałam jeszcze mapy, ale kiedy ją otrzymam, będę ją przechowywać w bezpiecznym schowku. Ukryję na dnie szuflady wraz z pamiętnikiem. Magnus nie chce, by ktoś ją zobaczył. Obawia się, że ktoś obcy odkryje tę wyspę przed nim.

Ojciec i macocha już wiedzą, co się dzieje między mną a Magnusem, chociaż nie sędzę, by zdawali sobie sprawę z tego jak poważne są nasze zamiary. Traktują zapewne naszą przyjaźń jako młodzieńcze zauroczenie. Cielęca miłość, tak nazywają to dorośli. Wydają się zapominać, że ja mam już osiemnaście lat, a Magnus jest o trzy lata ode mnie starszy. Nie jesteśmy dziećmi, ale pewnie rodzicom zawsze trudno jest przyznać, że ich potomstwo dorosło. To dziwne, bo przecież jeszcze nie tak dawno macocha mówiła o prowadzeniu otwartego domu, by znaleźć dla mnie męża. Czy ich zdaniem tylko małżeństwo przez nich ukartowane może być poważne?

Zdrowie mojego ojca ostatnio znowu się pogorszyło. Chwilami wygląda na bardzo zmęczonego. Zajmuje się nim macocha. Ciągłe chodzi koło niego — przynosi pled, by okrył nogi, gdy siedzi w ogrodzie i wieje zimny wiatr, pilnuje, by miał pod głową poduszkę, kiedy drzemie. On gdera, że traktuje go jak inwalidę. Ale jaką sprawia mu to przyjemność!

Byłam bardzo zadowolona, kiedy Desmond Featherstone zniknął z naszych stron, wkrótce po moich urodzinach. Bałam się, że zostanie tu dłużej i będzie mnie znów nachodził. Poczulałam wielką ulgę na wieść, że wyjechał.

Zapisuję te wszystkie szczegóły, by oddalić chwilę, kiedy będę musiała napisać o strasznym wydarzeniu.

Freddy i ja pojechaliśmy powozem do Wielkiego Stanton. Spędziłam z Magnusem cudowne popołudnie w sklepie. Pełna szczęścia, powoziłam w drodze powrotnej. Kiedy już wyszliśmy ze stajni i skierowaliśmy się do domu, nadjechał jakiś nieznajomy na strudżonym koniu. Osadził wierzchowca i pochylił głowę w ukłonie.

— Czy mam do czynienia z panną Mallory?

Zatrzymałam się zdumiona. Wydał mi się znajomy, ale nie mogłam sobie przypomnieć, kim jest.

— Tak — odparłam.

— Wydawało mi się, że panią znam. Była pani dzieckiem, kiedy się spotkaliśmy.  
— Już sobie pana przypominam! Jest pan Jamesem Cardewem, przyjacielem mojego brata.  
— Głos zamarł mi w gardle. Ogarnęło mnie straszliwe przeczucie.  
— Muszę z panią pomówić. Czy mogę zostawić konia w stajni i wejść do domu?  
— O co chodzi? — zawołałam. — Proszę mi szybko powiedzieć. Czy stało się coś złego mojemu bratu?

Ponuro skinął głową.

— Bardzo się niepokoił o niego — powiedziałam. — Czy Charles... nie żyje?  
— Statek zatonął u wybrzeży Australii. Jestem jednym z niewielu ocalałych rozbitków.  
Zakręciło mi się w głowie. Ścisnęłam dłoń Freddy'ego.  
— Freddy, biegnij poszukać cioci Lois — wykrztusiłam. — Powiedz jej... że mamy gościa.  
Zaprowadziłam Jamesa Cardewa do stajni. Milczeliśmy, kiedy stajenny odbierał od niego konia. Powoli ruszyliśmy w stronę domu.

— Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi jest przykro występować w roli posłańca z tak smutną wiadomością — odezwał się w końcu. — Ale postanowiłem powiadomić o tym panią... i jej ojca.

— To miłe z pana strony. Ojciec ostatnio nie czuje się najlepiej. Proszę pozwolić, bym go najpierw przygotowała.

Ojciec drzemał w ogrodzie. Podeszłam do niego.

— Mamy gościa, ojczu. Przyjechał do nas pan James Cardew. Pamiętasz pana Cardewa, papo? Był u nas tuż przed rozpoczęciem wyprawy Charlesa. Och, papo, to bardzo smutna wiadomość. Charles...

Nigdy nie zapomnę twarzy mojego ojca. W jednej chwili stał się starcem.

Macocha zeszła na dół i usiadła obok męża, trzymała go za rękę. James Cardew mówił o wyprawie, o strasznej nocy, kiedy rozbił się ich statek. Słyszałam już opis takiej katastrofy od Magnusa, czułam się tak, jakbym przeżywała tę tragedię po drugi. Tyle że tym razem zakończyła się ona śmiercią mojego brata.

James Cardew nie zabawił u nas długo. Myślę, iż zdawał sobie sprawę, że jego widok bardziej pogłębia w nas poczucie rozpacz.

Dzisiaj do naszego domu weszła żałoba.

*1 sierpnia.* Rozpacz trwa. Nie możemy uwierzyć, że nigdy już nie zobaczymy Charlesa.

Macocha czyni wszystko, co może, by wyrwać ojca z przygnębienia. Nazajutrz po wyjeździe Jamesa Cardewa miał znowu zapaść. Macocha nalegała, by wezwać lekarza. Ale ojciec uznał, że to nic nadzwyczajnego po wstrząsie, jakiego doznał.

To był szczególnie ciężki atak choroby. Ojciec przeleżał po nim tydzień w łóżku. Macocha czytała mu na głos Biblię, co najwyraźniej przyniosło mu pociechę.

W kilka tygodni później ojciec jakby odzyskał siły. Pojechał nawet do Wielkiego Stanton, by zobaczyć się ze swoimi prawnikami.

A potem wezwał mnie do siebie i rzekł:

— Widzisz, Ann Alice, śmierć Charlesa spowodowała całkowitą zmianę naszego położenia. Na nim wygasa ród Mallorych. Przez stulecia rodzina Mallorych mieszkała w tym domu. Teraz to nazwisko przepadnie.

— Czy nazwiska mają aż takie znaczenie?

— Rody mają znaczenie. Wielkie przedsiębiorstwa zakłada się dzięki rodzinom. Muszę pomyśleć o tym domu i o całej reszcie. Jeżeli wyjdiesz za mąż i wyjedziesz z tego kraju, co wówczas nastąpi? Rodzina zostanie rozbita... a nazwisko wygaśnie. Gdyby Charles żył, zostałby tutaj i był kontynuatorem tradycji.

— Tak, rozumiem. Ale czy to wszystko jest aż takie ważne?

Ludzie powinni być szczęśliwi. Szczęście znajduje się wśród innych, nie w domach i nazwiskach.

— Mówisz jak zakochana dziewczyna. To Magnus Perrensen jest twoim wybrankiem, prawda?

— Tak, to Magnus.

— Wspaniały młody człowiek. Dużo podróżował. Kocha swoje zajęcie — sporządzanie map... Ja nigdy za tym nie przepadałem, nie wkładałem w tę pracę tyle serca, co moi poprzednicy. Masters jest bardzo do niego podobny. Niektórych kartografia pochłania. Masters powiada, że Magnus ma szczególny talent w tym kierunku. Ma też we krwi żądzę przygód. Twój brat Charles też był taki. — Ojciec umilkł na chwilę. — Muszę raz jeszcze zobaczyć się ze starym Gramptonem.

Bracia Grampton i Henderson to nasi prawnicy.

— Myślałem o domu. Powinien przejść na ciebie. Jakie wiążesz z nim plany? Mam nadzieję, że go nie sprzedasz.

— Nie, papo, na pewno nie.

— Ufam, że twoja macocha znajdzie tu schronienie na całe życie. Zadbalem o nią. Oczywiście, jest jeszcze twój kuzyn John. Od jakiegoś czasu nic o nim nie słyszałem. Ale on nosi to samo nazwisko — Mallory... Więc pewnie wszystko powinno przypaść jemu, gdybyś z jakiegoś powodu nie chciała tu pozostać... Oczywiście, nie za życia twojej macochy.

— Mówisz tak, jakbyś miał odejść z tego świata, papo.

— Nie zamierzam jeszcze umierać przez długie lata. Ale chcę mieć pewność, że wszystko zostawię w porządku... A pamiętając o tym, co przytrafiło się Charlesowi... — urwał.

Uścisnęłam jego dłoń. Bardzo rzadko czuliśmy się tak bliscy sobie.

Nie lubię takich rozmów. Zupełnie jakby mój ojciec żegnał się w sposób ostateczny.

To dziwny miesiąc. W domu panuje straszne przygnębienie. Ulgę przynoszą mi jedynie spotkania z Magnusem.

Być taką szczęśliwą i wiedzieć, że tragedia może się w każdej chwili powtórzyć!...

*3 wrzesnia* — W naszym domu znów żałoba. Dziś w nocy umarł mój ojciec. Macocha pierwsza się o tym dowiedziała. Przyszła do mnie bardzo błada. Jej niebieskie źrenice były nienaturalnie rozszerzone, a wargi drżały. Ann Alice, chodź ze mną... i spójrz na swojego ojca.

Leżał na plecach, miał bladą i spokojną twarz. Dotknęłam go. Był zimny.

Spojrzałam na macochę i powiedziałam:

— On... nie żyje.

— To niemożliwe! — zawołała, jakby błagając mnie, bym temu zaprzeczyła. — Przecież miewał już te ataki.

— Ale nigdy nie zdarzyło się coś takiego. Musimy wezwać lekarza.

Opadła na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

— Och, Ann Alice, to niemożliwe. Niemożliwe!

Byłam dziwnie spokojna. Tak jakbym się na to przygotowała.

— Zaraz wyślę kogoś ze służby po lekarza — rzekłam. Wysłałam i zostawiłam ją przy nim.

Wróciłam z gosposią. Rozplakała się na widok mojego ojca. Macocha siedziała nadal bez ruchu, twarz ukrywała ciągle w dłoniach. Podeszłam do niej i objęłam ją ramieniem,

— Musisz zachować spokój — odezwałam się. — Obawiam się, że on nie żyje.

Spojrzała na mnie żałośnie.

— Był dla mnie taki dobry — głos jej drżał. — On... miewał już podobne zapaści. Może...

Pokręciłam przecząco głową i wyszłam z pokoju. Udałam się na parter, stanęłam w drzwiach frontowych i patrząc na Green, czekałam na lekarza.

Wydawało mi się, że upłynęły godziny, zanim się zjawił.

— Co się stało, panno Mallory? — spytał.

— Chodzi o mojego ojca. Umarł.

Zaprowadziłam go do sypialni. W milczeniu przystąpił do oględzin.

— Nie zdołał pozbierać się po ciosie wywołanym śmiercią pani brata — oznajmił mi po wszystkim.

A teraz siedzę tu nad pamiętnikiem i zapisuję wydarzenia tego smutnego dnia.

Wciąż myślę o ojcu, o tym, jak bardzo się zmienił od czasu, gdy poślubił macochę, o tym, że z jej powodu staliśmy się prawdziwą, zżytą rodziną, bardziej niż kiedykolwiek dawniej.

Ostatnie lata miał ojciec szczęśliwe. Dzięki niej. Powinnam być jej za to wdzięczna. Chciałabym być wdzięczna...

A teraz ojciec nie żyje. Nigdy już nie zobaczę, jak drzemie w swoim fotelu, gdy siedzi na honorowym miejscu za stołem, pławi się w zadowoleniu ze swojego rodzinnego ciepła.

Dom stał się ponury. Wkrótce odbędzie się pogrzeb. Muszę to jakoś przeżyć. Ubrani w czern, pójdziemy na cmentarz przy kościele, by wysłuchać słów pastora, patrzeć, jak opuszczają trumnę do grobu, a dzwony będą bić pozgonne.

A potem wrócimy do domu... do innego już domu. Czy mógłby być ten sam, gdy jego w nim zabrakło?

Co będzie później? Trudno mi sobie to wyobrazić.

Macocha tu zostanie. Freddy także. Straciłam ojca i brata.

Ale w domu Mastersów w Stanton Magnus ma swój pokój. Będzie myślał o mnie, tak jak ja myślę teraz o nim. Nie ma się czego obawiać, bo Magnus tu jest...

Czy obawiałabym się o swoją przyszłość, gdyby nie było tu Magnusa?

Zastanawiałam się nad tym chwilę. Tak, sądzę, że miałabym wówczas poważne powody do obaw. Ale czego bym się bała? Ponurego domu, domu, który nawiedziła śmierć? Życia bez mojego ojca?

Dlaczego napawa mnie to takim lękiem?

Ale nie mam powodów do strachu. Jest przecież Magnus, który czeka na dzień, kiedy będziemy razem.

*10 września.* Dzisiaj mój ojciec został pogrzebany.

Zaraz po jego śmierci macocha zupełnie się załamała. Była naprawdę chora. Nigdy wcześniej nie widziałam, by płakała, a teraz rozpacza. Chyba naprawdę go kochała. Przynajmniej stwarzała takie pozory, ale ja nigdy do końca jej nie wierzyłam — Od pierwszej chwili, gdy tu przyjechała, poczułam do niej tak wielką antypatię, że nic nie potrafiło tego zmienić.

Myślałam, że będzie zbyt chora, by pójść na pogrzeb. Ale wstała, założyła swoje wdowie czarne szaty. Źle w nich wygląda. To kobieta, której trzeba kolorów.

Żałobny dźwięk dzwonów, katafalk, karawan, czarno przybrane konie, grabarze w czarnych cylindrach i czarnych płaszczach... wszystko podkreśla moje sieroctwo.

Dlaczego ludzie tak uroczyście grzebią ciało? Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy cichutko składali je do grobu?

Szłam u boku macochy, Freddy towarzyszył jej z drugiej strony, trzymał ją za rękę. Opierała się na mnie lekko, od czasu do czasu unosząc dłoń do oczu.

Niewielka grupka mieszkańców wioski zebrała się, by na nas popatrzeć. Usłyszałam czyjś głos:

— Biedaczka, tak krótko trwało jej szczęście. Przyjemnie było na nich popatrzeć. A teraz on odszedł na zawsze.

Macocha też to usłyszała i z trudem powstrzymała łkanie.

Egzekwie nad trumną dość szybko zostały zakończone, za co byłam pastorowi wdzięczna. Słuchałam, jak głucho uderzają o trumnę grudki ziemi. Macocha rzuciła wiązanek astrów. Nagle chwyciła mnie za rękę i ścisnęła mocno.

Podniosłam wzrok. Nieco oddalony od grupy żałobników stał Desmond Featherstone. Serce zaczęło mi bić mocniej. Poczułam gwałtowny lęk. Wzrok Featherstone'a wbity był w moją macochę.

Kiedy po wszystkim odeszliśmy od grobu, podszedł do nas.

— Moje drogie panie — powiedział — dowiedziałem się o tym tragicznym wydarzeniu i przyjechałem, by złożyć kondolencje — wam obu.

Nie rzekłam ani słowa. Macocha też nie.

Przyśpieszyła tylko nieco kroku, wydało mi się, że wołałaby, aby nam nie towarzyszył.

On jednak nie został z tyłu. Kiedy dotarliśmy do powozu, który miał nas odwieźć do domu, wciąż był z nami. Pomógł nam wsiąść i dopiero wtedy odsunął się z poważnym wyrazem twarzy. Ale dostrzegłam dziwny błysk w jego oczach, kiedy się nam kłaniał na pożegnanie.

Skończył się dzień pogrzebu, a ja nie mogę zapomnieć widoku Desmonda Featherstone'a stojącego w pobliżu grobu. Z jakiegoś powodu to wspomnienie nawet teraz wywołuje dreszcz niepokoju przebiegający mi po plecach.

*1 listopada.* Jakże się wszystko zmieniło. Wiedziałałam, że się zmieni, ale nie przewidywałam, że aż tak bardzo. Myślę, że żyłabym w ciągłym strachu, gdyby nie Magnus.

Magnus przywraca mi życie. Podtrzymuje mnie na duchu. Sprawia, że znowu jestem szczęśliwa i zapominam o swoich lękach. Snujemy plany na przyszłość. Obiecuje, że już niedługo się pobierzemy. A potem wyjedziemy stąd razem.

Czasami miewam niejasne przeczucia, że jakieś tajemnicze siły zamierzają pokrzyżować nam szyki, zniszczyć moje szczęście z Magnusem, i że czeka mnie coś strasznego...

Gdy odczytano testament ojca, dowiedziałam się, że był zamożnym człowiekiem. Sama wytwórnia map, doskonale prosperujące przedsiębiorstwo, przynosi pokaźne zyski. Masters i jego ludzie z pewnością nadal będą ją dobrze prowadzić. „Sklep” zostaje w rodzinie i będzie należał do mnie. Ja nie muszę się niczym zajmować, ale ojciec życzył sobie, by wytwórnia nadal istniała. Gdybym wyszła za mąż i chciała się jej pozbyć, ma przejść na mojego dalekiego kuzyna, Johna Mallory'ego, który odziedziczy też po mojej śmierci dom.

To wszystko jest bardzo skomplikowane. Macocha ma zapewnione dożywotnie utrzymanie, z całkiem przyzwoitą sumką na własne potrzeby, ale główne bogactwo to przedsiębiorstwo, dom i ziemia — i te należą do mnie.

Klauzula, z którą najtrudniej mi się pogodzić, dotyczy przekazania opieki nade mną macosze. Ojciec zaznaczył w testamencie, że ma pełne zaufanie do rozsądku swojej żony, więc powierza jej opiekę nad swoją córką, dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat albo nie wyjdzie za mąż. Wierzył, że to najlepsze, co w tych okolicznościach może uczynić. Aż do czasu powtórnego małżeństwa jego córka pozbawiona była matczynej opieki. Dlatego zostawia ją w rękach osoby, do której miał absolutne zaufanie — swojej drogiej żony, Lois.

Rzeczywiście, ojciec pozostał do końca pod urokiem mojej macochy — pomyślałam. Od momentu, w którym ją zobaczył, aż do zgonu.

Zaniepokoiła mnie ta klauzula, ale z początku nie sądziłam, że zmieni cokolwiek w moim życiu.

A. teraz dzieją się przedziwne zdarzenia. Dom jakby przestał być moim domem. Zagnieżdżyło się w nim coś niedobrego... I nawet wiem, co to jest.

Zaczął się to wszystko w trzy lub cztery tygodnie po pogrzebie, wraz z ponownym pojawieniem się Desmonda Featherstone'a.

Byłam z Freddy'ym w ogrodzie, kiedy się zjawił.

— Dzień dobry — powitał nas. — Przyszedłem odwiedzić pogrążonych w smutku.

— Ach, to pan! Moja macocha jest na górze. Powiem jej, że chce się pan z nią widzieć.

— Pragnę się widzieć także z panią, panno Ann Alice, — Dziękuję — odparłam. — Ale jestem pewna, iż macocha życzyłaby sobie wiedzieć, że pan przyjechał.



Odwracalam się już, ale on chwycił mnie za ramię i powstrzymał.

— Z pewnością nie będzie się pani upierać nadal przy tym, by nie okazać mi sympatii, prawda?

— Freddy, chodźmy powiedzieć cioci Lois, że ma gościa — zwróciłam się do małego, by nie odpowiedzieć na postawione Pytanie.

Freddy jest bardzo bystry, a ostatnio nabrał wzruszającego zwyczaju opiekowania się mną. Musiał wyczuć prośbę w moim głosie.

— Och, tak, chodźmy już!

Wziął mnie za rękę i pociągnął mocno. Zostawiliśmy Desmonda Featherstone'a z niepokieszoną miną.

Tak się zaczęło.

Został na obiedzie, a potem na kolacji.

Potem stwierdził, że już za późno, by odjeżdżać po nocy.

I został. Był z nami przez cały następny dzień i ciągle jeszcze tu jest!

Nie jestem pewna, co macocha myśli o obecności tego człowieka w naszym domu. Czasami wydaje mi się, że wolałaby, by sobie odjechał. Zastanawiam się, dlaczego mu o tym nie powie.

Ale najbardziej przeraża mnie jego odnoszenie się do mnie. Przyjechał tutaj chyba umyślnie po to, by mnie prześladować.

Jeżeli znajdę się sama w jakimś pokoju, nim minie chwila, on już się tam stawia. Jeśli jadę na przejażdżkę, on rusza natychmiast za mną. Często zabieram z sobą Freddy'ego. Jest moją namiastką ochrony. Doskonale mu to idzie, wydaje mi się, iż mały się domyśla, czego od niego oczekuję.

Często jeżdżę do sklepu, by zobaczyć się z Magnusem. Czasami urządzamy sobie jakiś wypad w plener. Któregoś dnia Desmond Featherstone miał czelność się przyłączyć.

Wniósł do naszego domu jakiś nowy klimat... bardzo przykry. Powiem nawet: przerażający... dla mnie. Prawda jest taka, że się go boję. Tak, naprawdę boję się Desmonda Featherstone'a.

*6 listopada.* Wciąż nachodzą mnie te niepokojące myśli, że nie powinnam ufać mojej macosze, chociaż jest dla mnie miła i godnie obnosi żałobę. Często zastanawiam się, dlaczego nie powie wprost Desmondowi Featherstone'owi, by się stąd wyniósł, skoro — jak mi się wydaje — nie życzy sobie jego obecności na równi ze mną. Wczoraj wyjrzałam przez okno, gdy właśnie byli w ogrodzie. Mówił coś do niej, a ona odpowiadała, gwałtownie gestykulując. Chciałabym wiedzieć o czym rozmawiali.

Magnus dał mi kopię mapy swojej wyspy. Ukryłam ją głęboko na dnie szuflady, wraz z pamiętnikiem. Chciałabym mieć jakiś sejf lub choćby szkatułę, którą mogłabym dokładnie zamykać. Ale może szuflada jest bezpieczniejszym miejscem?

Nikomu nie przyjdzie przecież do głowy, by grzebać w moich szalach i rękawiczkach. A gdybym zażądała skrytki, ktoś mógłby pomyśleć, że mam coś do ukrycia. Ta obsesja na punkcie bezpieczeństwa pojawiła się u mnie po śmierci ojca.

Często wyjmuję mapę i przyglądam się jej. Marzę o żeglowaniu po morzu między wyspami. Jakże bym chciała odwiedzić Hawaje, Tahiti... i te nowo odkryte wyspy.

Magnus i ja znajdziemy któregoś dnia swoją wyspę. Będę wspominać te dni i śmiać się z siebie. Wyobrażam sobie różne rzeczy, tworzę coś, co nie istnieje. Przypisuję Desmondowi Featherstone'owi złowrogię intencje... tak jak kiedyś, dawno temu przypisywałam je mojej macosze.

Desmond Featherstone wyjechał na kilka dni! Cóż za ulga! Czy ja go nie oskarżam o niestworzone rzeczy? Niczego złego przecież się nie dopuścił, poza wprośzeniem się do naszego domu i naprzykrzaniem się mnie. Ale patrząc na rzecz z innej strony: nie mógłby tak długo pozostawać w tym domu, gdyby macocha mu na to nie pozwoliła. Gdyby naprawdę

chciała, kazałaby mu się wynosić, a ja bym ją w tym poparła. Czasami tylko wydaje mi się, że ma jednak ochotę pozbyć się go. Ale jeśli tak, to dlaczego tego nie robi?

Oczywiście, powrócił wkrótce i znów jest z nami.

Bywa na posiłkach. Chwali sobie potrawy, a zwłaszcza zasmakował w winach z naszej piwnicy. Widziałam, jak się pręży i rozgląda po pokojach z miną właściciela dworu. To mnie irytuje. Dlaczego macocha nie każe mu się wynosić?

Dzisiaj spotkałam się z Magnusem. Chociaż wcześniej nic mu nie mówiłam o tym wszystkim, co się u nas dzieje, dziś wreszcie się zwierzyłam.

— Nienawidzę tego człowieka! — wyznałam Magnusowi. — „rzerzała mnie. Porusza się cicho, bezszelestnie. Jestem w salonie — podnoszę wzrok... i widzę, że mnie obserwuje. Och, Magnusie! Mój dom już nie jest ten sam!

— To zrozumiałe, że się źle czujesz — odparł Magnus. — Po śmierci ojca, którego tak bardzo kochałaś i nie mając właściwie matki...

— A mój brat zginął — dodałam. — Ojciec nie żyje. Właściwie zostałam sama na tym świecie.

— Jak możesz tak mówić, skoro masz mnie? — powiedział z wyrzutem.

— To cudownie, że jesteś! Tylko przy tobie czuję się spokojna i szczęśliwa. Dręczy mnie jednak straszne przeczucie, że coś złego się wydarzy... zanim będziemy razem.

— Co takiego mogłoby się wydarzyć?

— Nie mam pojęcia. To coś... To czekanie wydaje mi się zbyt długie.

— W przyszłym roku w kwietniu — zapewnił — pojedziemy do mnie, do mojego domu. Spędzimy tam trochę czasu na przygotowaniach do podróży. A potem wyruszymy w świat i będziemy z sobą przez resztę życia.

— Odnajdziemy naszą wyspę.

— Co myślisz o mapie?

— Niewiele mi mówi. Są tam tylko te niebieskie morza i wyspy... dużo wysp. Chciałabym zobaczyć jakieś obrazki z twojej wyspy.

Roześmiał się.

— Odnajdziemy ją.

— Nie będziemy tam mogli zamieszkać?

— Och, nie wydaje mi się. Odwiedzimy tylko tubylców. Nauczymy się od nich pogody ducha. Może pomożemy im sprzedawać złoto.

— A czy to ich nie odmieni? Ich szczęście bierze się z prostoty. Myśl, że musieliby się obywać bez swoich złotych garnków, aby je sprzedać kupcom, jakoś psuje mi ten obraz.

— Pojedziemy tam najpierw, a później zobaczymy, czym się w przyszłości zajmiemy. Dopóki będziemy razem, nic nie zakłóci nam spokoju i szczęścia.

— Chciałabym, żeby już nadszedł ten kwiecień.

— Może moglibyśmy trochę przyśpieszyć?

— Och... a moglibyśmy?

— Ann Alice, tak naprawdę, to wcale się niczego nie boisz, prawda?

— Nie. Chyba naprawdę już się nie boję. Przy tobie na pewno niczego się nie lękam. I już nie potrafię się doczekać naszego wspólnego życia.

Roześmieliśmy się, pocałowali i uścisnęli. Chwile, które spędzamy razem, są dla mnie prawdziwym szczęściem.

Kiedy pisałam te słowa, usłyszałam czyjeś kroki na schodach. Nasłuchiwałam chwilę. Ktoś delikatnie zapukał do moich drzwi. Pośpiesznie wetknęłam pamiętnik do szuflady.

To była macocha.

— Wiedziałam, że jeszcze nie śpisz — oznajmiła.

— Jesteś dziwnie blada. Nie czujesz się dobrze?

Mówiąc to, zastanawiałam się, czy jej mizerny wygląd nie jest zamierzony. Wiedziałam, że ma u siebie tajemnicze tygielki pełne olejków i kremów, którymi traktuje swoją skórę. Uznałam, że pewnie jej bladość lub rumieńce zależą od nastroju, w jakim się akurat znajduje.

Przyłożyła dłoń do czoła.

— Męczy mnie ból głowy. Trwa od czasu, gdy umarł twój ojciec. Powinnam była zdawać sobie sprawę, że moje szczęście nie potrwa długo. Ale wydawało się, że już jest zdrowy. Jego śmierć była dla mnie ogromnym wstrząsem. Czasami wydaje mi się, że nigdy się z tego nie otrząsnę. — Uśmiechnęła się do mnie smutno. — To dom żałoby... niedobre miejsce dla młodej dziewczyny.

— To znaczy dla mnie? Ale to mój dom. A on był moim ojcem.

— Moja kochana Ann Alice, wiem, że kiedy tu przyjechałam, nie cierpiałś mnie. Tak naprawdę lubiłaś tylko pannę Bray, czy tak? Trudno jest zająć czyjeś miejsce, zwłaszcza ulubienicy.

Milczałam, a macocha ciągnęła dalej:

— Próbowалам robić wszystko, by zdobyć twoją przychylność. Myślę, że moje małżeństwo też ci się nie spodobało. To zrozumiałe. Macochy z zasady nie są lubiane, prawda? Jakże by inaczej, skoro zajmują miejsce ukochanej matki. Ale próbowałam. Może mi się nie udało.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

— Mój ojciec był z tobą bardzo szczęśliwy — wyjąkałam.

Uśmiechnęła się i powróciła do swojego wcielenia przed śmiercią ojca.

— Tak, wiem o tym. I zostawił mi ten święty depozyt.

— Wraz z całym dobrodziejstwem dochodów.

Spojrzała na mnie z wyrzutem.

— Nie myślałam o tym. Chodzi mi o ciebie. Cenię sobie zaufanie twojego ojca.

— Bez potrzeby. Nie rozumiem, dlaczego podjął taką decyzję. Przecież nie jestem już dzieckiem.

— Masz osiemnaście lat. Nie jest to wiele, a przy tym prowadzisz życie na uboczu. Twój ojciec był zdania, że masz skłonność do impulsywnego postępowania, że ponoszą cię emocje.

— Och, naprawdę tak myślał?

— Naprawdę. Ta twoja nagła przyjaźń z Magnusem Perrensenem nieco go niepokoiła.

— Nie miał powodu do niepokoju — odcięłam się ostro.

— Obawiał się, byś zbyt szybko nie podjęła jakichś pochopnych zobowiązań. Przecież poznałaś do tej pory tak niewielu młodych mężczyzn.

— Regularnie widuję się z sąsiadami, a niektórzy z nich są młodzi. Poza tym mężczyźni pojawiali się już w tym domu...

— Młody człowiek, który przemierzył siedem mórz, a nawet przeżył katastrofę statku, to bardzo sentymentalny bohater. Twój ojciec często ze mną o nim rozmawiał. Mówił, że Perrensenowie to dobra rodzina... mapy, które sporządzają, są znane wśród żeglarzy całej Europy, ale Magnus jest jeszcze młody... i ty też. Twój ojciec twierdził, że jeśli się zaręczycie, okres narzeczeństwa powinien trwać bardzo długo.

— To absurd! Nie jesteśmy aż tacy młodzi i naiwni, by nie znać własnych uczuć.

— Moja kochana Ann Alice, pragnę tylko twojego dobra. Jesteś jeszcze taka młoda... oboje jesteście...

— Ale zostanę jego żoną. Kiedy tylko skończy u nas studia, pojedę razem z nim do Norwegii.

Macocha umilkła na chwilę.

— Jesteś pewna, że z nim wyjedziesz?

— Najzupełniej.

Westchnęła.

— Wolałabym widzieć cię żoną kogoś bardziej dojrzałego. Masz duży temperament i potrzebujesz kogoś, kto cię poprowadzi... kogoś z twardą ręką.

— Nie jestem koniem, proszę macochy.

— Kochanie, nie to miałam na myśli. Musisz zrozumieć, że cokolwiek mówię albo czynię, to zawsze z myślą, że to dla twojego dobra. Tak więc musisz wybaczyć mi szczerość. Ale... czy dobrze znasz Magnusa Perrensena?

— Wystarczająco dobrze, by wiedzieć o nim wszystko, co chcę wiedzieć.

— Czy wiesz, że siostrzenica pani Masters mieszka u niej w domu?

— Siostrzenica pani Masters? A co ona ma wspólnego z nami?

— Młoda kobieta... mieszkająca pod tym samym dachem. Często się widują. A młodzi mężczyźni... cóż, są tylko młodymi mężczyznami.

— Czy sugerujesz, że Magnus i siostrzenica pani Masters...

— Moja kochana Ann Alice, mówię tylko, że powinnaś wiedzieć, co mówią ludzie.

Byłam zaskoczona. Nie wierzyłam jej.

Wzruszyła ramionami.

— Mam nadzieję, że cię nie uraziłam. Spełniłam tylko swój obowiązek. Moja droga Ann Alice, naprawdę jesteś jeszcze bardzo młoda. Znam kogoś, kto jest ci niezmiernie oddany i kto kocha cię od dawna. Mężczyznę nieco starszego i, powiedzmy... bardziej zrównoważonego.

— Naprawdę nie wiem, o kim mówisz — powiedziałam.

— Myślałam o panu Featherstonie.

— Pan Featherstone! Chyba to żarty! Nie lubię go. Nigdy go nie lubiłam.

— Czasami od tego właśnie zaczyna się wielkie uczucie.

— Doprawdy? Na pewno nie zaistnieje wielkie uczucie między mną... a tym panem. Nie znoszę go. Skoro ty byłaś szczerą ze mną, ja będę równie szczerą z tobą. Co on tu robi? Dlaczego mieszka w tym domu? Teraz to jest mój dom. Dlaczego on się tu sprowadził?

— On tu nie mieszka. Jest tylko gościem. Twój ojciec zawsze był gościnnie i zachęcał mnie do tego samego. Powiedział, że wszyscy moi przyjaciele zawsze będą w tym domu mile widziani.

— Cóż, skoro on jest twoim przyjacielem, może mogłabyś go przekonać, by skierował swe uczucia pod twoim adresem. Bo on wydaje się być zawsze tam, gdzie ja, i mnie się to nie podoba.

— On jest w tobie zakochany, Ann Alice.

— Proszę, przestań! Nie wierzę w to. I nie chcę już mówić o tym panu.

Macocha zakryła dłońmi twarz i potrząsnęła z dezaprobatą głową.

— Musisz mi wybaczyć — powiedziała. — Byłam może wobec ciebie zbyt otwarta. Ale miałam na względzie tylko twoje dobro.

— Mam osiemnaście lat — prz3'pomniałam jej. — Wystarczająco dużo, by wyjść za mąż, za kogo chcę, i sama wybrać męża. Zrozum jedno, wybiorę tego, który mi się podoba, i nikt, absolutnie nikt, nie zmusi mnie do poślubienia kogoś, kogo nie zechcę. Na to nie pozwoliłabym nawet mojemu ojcu. A już z pewnością nikomu innemu.

— Moja kochana, wybac mi. Widzę, że jesteś rozdrażniona. Pamiętaj zawsze o tym, że pragnę jedynie twojego szczęścia.

— W takim razie, bardzo proszę, nie wracajmy już nigdy więcej do tych spraw. Napawają mnie tylko niesmakiem...

— A więc uzyskam wybaczenie?

Podeszła i objęła mnie ramionami. Na moment przyłożyłam swój policzek do jej twarzy. Dziwne, ale nigdy nie mogłam zdobyć się na to, by szczerze ją ucałować.

— Dobranoc, drogie dziecko, śpij dobrze!

Kiedy odeszła, usiadłam na łóżku, a słowa, które wypowiedziała, ciągle dzwoniły mi w uszach. Siostrzenica pani Masters!

— To nieprawda — powiedziałam półgłosem.

Macocha usiłuje mnie powstrzymać przed poślubieniem Magnusa, myślałam. Chce mnie zmusić do wyjścia za Desmonda Featherstone'a. Jej pomysł wręcz mnie rozśmieszył. I śmiałabym się, gdybym potrafiła zapomnieć o siostrzenicy pani Masters.

7 listopada. Wszystko już w porządku! Znów jestem szczęśliwa. Wiedziałam, że tak będzie, gdy tylko zobaczę Magnusa i z nim porozmawiam.

Roześmiał się, kiedy mu powtórzyłam, co macocha powiedziała o nim i siostrzenicy pani Masters. Owszem, pani Masters ma siostrzenicę, i zgadza się, że owa siostrzenica mieszka w tym samym domu. Powinnam natychmiast pójść z nim i poznać tę kobietę.

Więc poszłam. Pulchna i bardzo sympatyczna osoba. Liczy co najmniej trzydzieści pięć lat. Jest wdową i ma syna, który wyjechał do szkoły z internatem. Wygląda, jak to się mówi, dość pospolicie. Nie ma w niej nic z *femme fatale*. Bardzo lubi Magnusa, jak zresztą wszyscy Mastersowie. Teraz jest dla mnie oczywiste, że aluzje macochy nie mają żadnych podstaw.

Zaśmiewaliśmy się z tej intrygi, gdy zostaliśmy sami.

— Macocha wspomniała też o długim okresie zaręczyn — powiedziałam Magnusowi. — Odparłam, że w naszym przypadku to absolutnie wykluczone.

— Może więc marzec? — spytał. — Co o tym myślisz? Miałabyś trzy miesiące na przygotowania do ślubu.

— Nie potrzebuję żadnych przygotowań. Jestem gotowa już teraz iść do ołtarza.

— Zastanawiam się, jak się będziesz czuła w moim domu.

— Pokocham go.

— Czy zawsze podejmujesz od razu decyzje, zanim się przegnasz o ich słuszności?

— Zawsze, jeśli dotyczą ciebie.

Jakże jesteśmy szczęśliwi! Kiedy mam go przy sobie, czuję, jak niemądre są moje wszystkie lęki.

Cały mój radosny nastrój prysł, gdy tylko wróciłam do domu. Nie znoszę listopada. To taki ponury miesiąc. Kocham wiosnę i wczesne lato, nie tyle ze względu na ciepło, co na światło. W listopadzie o czwartej po południu jest prawie ciemno. I tego właśnie nie cierpię. Tych długich nocy.

Zbliżało się wpół do piątej, kiedy wróciłam do domu i już musiałam zapalić świecę. Trzymamy je w holu i bierzemy, gdy są potrzebne. Służba zbiera je później i odnosi z powrotem na miejsce, tak że zawsze jest ich spory zapas w holu.

Kiedy weszłam w korytarz prowadzący do mojego pokoju, wiedziałam, że wydarzy się coś nieprzyjemnego. Szybko zrozumiałam, dlaczego. Na końcu korytarza stał Desmond Featherstone.

Uniosłam świecę, gdy ruszył w moją stronę, tak że światło rzuciło jego wydłużony cień na ścianę. Czułam, że kolana zaczynają mi drżeć.

— Dobry wieczór — powiedziałam i odwróciłam się do moich drzwi, aby je otworzyć, ale kiedy dotknęłam klamki, on już znalazł się tuż za mną.

Podszedł bardzo blisko.

— Jak miło zobaczyć panią samą — szepnął.

— Czego pan sobie życzy? — spytałam oschle.

— Wyłącznie przyjemności zamienienia kilku słów.

— Proszę, by to było naprawdę kilka słów. Mam jeszcze wiele do zrobienia.

— Dlaczego jest pani dla mnie taka nieuprzejma?

— Nie jestem nieuprzejma. Korzysta pan z gościnności mojego domu.

— Jest pani taka piękna... i taka dumna, Ann Alice! Dlaczego nie chce pani dać mi szansy?

— Szansy na co?

— Bym mógł sprawić, by pani mnie pokochała.

— Żadna ilość szans tego nie sprawi.  
— Jest pani zdecydowana, by mnie nienawidzić?  
— To nie jest kwestia zdecydowania.  
— Dlaczego jest pani dla mnie taka surowa?  
— Nie wydaje mi się, że jestem surowa. Mam wiele innych obowiązków.  
Wahałam się, bo bałam się, że wejdzie za mną przez uchylone już drzwi.  
— Proszę, by mnie pan teraz opuścił — zwróciłam się do niego stanowczo.  
— Nie, dopóki mnie pani nie wysłucha.  
— Prosiłam już, by pan szybko powiedział, o co chodzi.  
— Jest pani bardzo młoda.  
— Och, proszę, ani słowa więcej na ten temat. Wiem dokładnie, ile mam lat i nie jest to wcale mało.

— Tak niewiele wie pani o świecie. Nauczę panią, moje najdroższe dziecko. Sprawię, że będzie pani bardzo szczęśliwa.

— Jestem szczęśliwa, dziękuję panu. Nie potrzebuję żadnych lekcji. A teraz, jeżeli mógłby pan odejść...

Patrzył na mnie z ironią. Wiedział, że boję się otworzyć drzwi, by nie wykorzystał okazji i nie wszedł za mną.

— Jest pani bez serca — oznajmił. — Jeszcze tylko jedna mała chwileczka... najdroższa Ann Alice.

Wyciągnął ramiona, by mnie objąć, ale tak mnie tym przeraził, że go odepchnęłam. Nie spodziewał się tego i wpadł na ścianę. Szybko otworzyłam drzwi, wpadłam do środka i zamknęłam je za sobą.

Stałam oparta o drzwi, nasłuchując. Wydawało mi się, że moje serce zaraz pęknie, łapałam rozpaczliwie powietrze i cała drżałam.

Jak śmiał! Tutaj, w moim domu! Musi stąd natychmiast wyjechać. Powiem macosze, że nie pozwolę, by mieszkał dłużej Pod moim dachem.

Przywarłam do drzwi. Obawiałam się, że może próbować wejść. Jakże byłam bezbronna! W drzwiach nie było klucza. Nigdy wcześniej nie sądziłam, że mógłby mi być potrzebny. Muszę mieć klucz. Nigdy już nie usnę spokojnie, jeśli on będzie w tym domu, a drzwi mojej sypialni nie będą zamknięte. Wierzyłam, że jest zdolny do wszystkiego. Muszę się strzec.

Słuchałam. Żaden szmer nie dobiegł do moich uszu. Ale on porusza się przecież zawsze bardzo cicho. „Chodzi jak kot”, powiedziałam Magnusowi. I to była prawda.

Żadnego dźwięku. Na korytarzu panowała zupełna cisza. Spokój. Stałam ciągle przy drzwiach. Bałam się, że jeśli je otworzę, zastanę go stojącego tuż za nimi.

Po jakimś czasie moje serce zaczęło bić normalnie, chociaż wciąż drżałam. Ostrożnie uchylałam drzwi i wyjrzałam. Korytarz był pusty.

Wróciłam do pokoju i postawiłam pod drzwiami krzesło.

Był już czas, by przebrać się do kolacji. Któraś z pokojówek wnet przyniesie gorącą wodę do mycia.

Odsunęłam krzesło od drzwi. Nie miałam pojęcia, co mogłaby pomyśleć pokojówka, gdybym je tam zostawiła, ale mogłam być pewna, że opowiedziałyby o tym w kuchni i zaczęłyby się domysły.

Jakże odległy wydawał się kwiecień! Może jednak przesuniemy ślub na marzec. Ale i tak trzeba jeszcze długo czekać.

W czasie kolacji zachowywał się jak zwykle i nie wspomniał ani słowem o scenie w korytarzu. Wiedziałam, że się z tym nie zdradzi.

Kiedy wróciłam na noc do pokoju, zabarykadowałam drzwi. Zdałam sobie sprawę, że jeśli tego nie zrobię, nie zasnę aż do rana.

Jutro każę dorobić klucz.

8 listopada. Co za sukces! Ze wzruszeniem przyglądam się kluczowi. Daje mi poczucie bezpieczeństwa.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam dziś rano, było odwiedzenie Thomasa Gowa. Ma w Green niewielki domek, który jest zarazem jego warsztatem. Zarabia na skromne życie jako stolarz i ślusarz, wykonuje też rozmaite najdziwniejsze prace w Małym Stanton. Zamówiłam u niego klucz, prosząc by postarał się przekonać go jeszcze dzisiaj. Odparł, że się postara i przed wieczorem przyniósł mi bezcenny klucz. Razem ze mną wszedł na górę i wypróbował go.

— Och, dziękuję panu! — zawołałam. I zapłaciłam mu podwójną cenę.

Nawet się nie domyślił, ile ten klucz jest dla mnie wart!

Zaraz udam się na spoczynek, jeszcze tylko kilka słów w pamiętniku. Z krzesła widzę mój błogosławiony klucz. Jest obrócony w zamku, zabezpiecza drzwi.

Czuję się teraz spokojna i bezpieczna. Tej nocy usnę spokojnie, muszę sobie wynagrodzić wczorajszą bezsenność.

1 grudnia. Niedługo święta Bożego Narodzenia. Czas wlecze się niemiłosiernie. Odczułam wielką ulgę, bo Desmond Featherstone wyjechał. Często odwiedza Londyn, ale kiedy wraca, wchodzi do domu w tak bezceremonialny sposób, jakby należał do niego. Rozmawiałam o tym z macochą, ale ona potrząsa tylko głową i powtarza: „Desmond był wielkim przyjacielem mojej rodziny. Nic nie mogę poradzić... naprawdę”. I dodaje: „Twój ojciec zawsze mówił, że każdy mój przyjaciel będzie tu mile widziany”.

Pocieszam się, że do marca zostały już tylko trzy miesiące. Magnus mówi, że weźmiemy ślub w początkach marca. Ten dzień jest coraz bliżej. Myśl o tym jest dla mnie wielką pociechą.

Wyjazdy Desmonda Featherstone'a, choć przynoszą chwilową ulgę, że wreszcie udało się go pozbyć — wywołują we mnie szczególne napięcie, ponieważ nigdy nie wiadomo, kiedy wróci — Za każdym razem, kiedy udaję się do siebie na górę, drzę z niepokoju, że spotkam go znów w korytarzu albo w jakimś innym nieoczekiwanym miejscu. Mam uczucie, jakbym była prześladowana przez ducha, i jest ono równie nieprzyjemne jak rzeczywistość. Czasami budzę się w nocy i wydaje mi się, że ktoś powoli rusza klamką u drzwi. Co za szczęście, że mam mój klucz! Jestem bardzo wdzięczna Thomasowi Gowowi. Spróbowałam już znaleźć mu dodatkowe zajęcia, i zdecydowałam, że kiedy u nas znajdzie się jakaś robota, nie wezwę innych ludzi z Wielkiego Stanton, tylko powierzę ją Thomasowi.

Sądzę, że jest wystarczająco ambitny i z pewnością gotów ciężko pracować. Takim ludziom należy dać szansę na poprawę losu.

Dzisiaj spotkała mnie przykra niespodzianka.

Myślałam, że Boże Narodzenie będziemy obchodzić jak każdego roku. Kiedy powiedziałam macosze, że powinnyśmy już przystąpić do tradycyjnych przygotowań, wydała się wstrząśnięta moją propozycją.

— Ależ moja droga, w domu panuje żałoba. Spędzimy te święta tylko we własnym gronie. Nie godzę się na żadne przyjęcia.

— Ależ wiem o tym, że jest żałoba. Nie proponuję wydania hucznego balu... chcę jedynie zaprosić kilkoro przyjaciół.

— Nie ma mowy o żadnych gościach. Twój ojciec zmarł tak niedawno.

Wzruszyłam ramionami.

— Cóż, może więc tylko zaprosimy Magnusa Perrensena!

— Och... absolutnie żadnych gości!

— Ale ojciec twierdził, że musimy tak postępować, by czuł się u nas jak u siebie w domu. Nie ma tu przecież własnej rodziny. Zaprosimy go do nas!

Uśmiechałam się już w myślach do tego. Tak będzie najlepiej. Tylko Magnus. Rano wybierzemy się na przejażdżkę i spędzimy razem cały spokojny dzień.

— Pomyślałam już o tym — powiedziała macocha. — I rozmawiałam z panią Masters. Stwierdziła, że pan Perrensen spędzi oczywiście święta u nich. Wszedł właśnie do kuchni, gdy o tym rozprawialiśmy i zaproponowała mu to w mojej obecności. Zgodził się z całego serca.

Rozgniewały mnie jej słowa.

— Czyżbyś zaplanowała już święta bez porozumienia ze mną?

— Och, jakże mi przykro! Ale niczego nie planowałam. W tych okolicznościach wydawało się to jedynym rozwiązaniem.

Jakże przebiegła jest moja macocha! Myślę, że jej inteligencja opiera się na znajomości ludzi. Potrafi sprawić, by w sytuacji takiej, jak ta, druga osoba poczuła się winna, uznała, że zachowuje się głupio, nierozsądnie, by wydawało się jej, że robi zamieszanie z powodu czegoś niesłychanie banalnego. Macocha czyni to tak zręcznie, że prawie każdy daje się nabrać na jej sztuczki.

*27 grudnia.* Boże Narodzenie już minęło. Cieszę się. Cieszę się ze wszystkiego, co zbliża mnie do marca.

Święta można by uznać za udane, gdyby nie to, że przebywał z nami obmierzły pan Featherstone.

Rano udał się wraz z nami do kościoła. Stał obok mnie i śpiewał kolędy. Ma głęboki, donośny głos, który wybija się spośród innych. Cały czas, kiedy tam staliśmy i śpiewali, zdawał się przysuwać coraz bliżej do mnie.

Wróciliśmy do domu przez Green.

Macocha pozostała w nastroju zadumy. Wyznała mi, że nie potrafi przestać myśleć o ubiegłym Bożym Narodzeniu, kiedy był jeszcze z nami mój ojciec.

Widziałam Magnusa w kościele, siedział w ławce z Mastersami. Kiedy na mnie patrzył, byłam szczęśliwa. Jego oczy mówiły wyraźnie: „Już niedługo”. Gdzie będziemy w przyszłym roku o tej porze?

Oddałam się rozkoszonym marzeniom.

I tak minęły święta.

Niedługo Nowy Rok.

*2 stycznia, 1793,* Cóż za przedziwny początek nowego roku. Byłam na przejażdżce konnej z Freddyem. Jest już z niego niezły jeździec, choć zanim u nas zamieszkał, nigdy nie siedział na koniu.

Kiedy wróciliśmy do domu, przybiegła jedna z pokojówek i powiedziała, że zjawilo się dwóch dzentelmenów, którzy pytają o panią albo pannę Mallory.

— Cóż to za dzentelmeni? — spytałam.

— Nie podali nazwisk, panienko. Ale mówią, że to ważne.

— Gdzie pani Mallory?

— Wyszła.

— A więc ja z nimi pomówię. Wprowadziłaś ich do salonu? Powiedziała, że tak, więc kazałam Freddy'emu iść do siebie na górę i obiecałam, że później do niego wrócę.

Weszłam do małego salonu.

Jeden z przybyłych wydał mi się znajomy, rozpoznałam go, gdy tylko podeszłam bliżej.

Ostatnim razem przywiózł złe nowiny.

— Nazywam się James Cardew, panno Mallory.

— Och, tak... pamiętam.

— A to pan Francis Graham. Wymieniliśmy ukłony.

— Pan Graham przybył właśnie z Australii. Gdy usłyszałam, jakie wieści przywiózł, uznałam, że natychmiast powinienem się z panią zobaczyć. To dotyczy pani brata, panno



Mallory. Jest mi niezwykle przykro, że przeżyła pani ogromny wstrząs podczas mojej ostatniej wizyty. Ale teraz wszelkie znaki wskazują na to, że pani brat jednak żyje.

— Och... — przepeliła mnie niezmierna radość. Charles! Cc za cudowna wieść! Pan Cardew zwrócił się do swojego towarzysza.

— Pan Graham wszystko pani opowie.

— Proszę usiąść — odezwała się słabo.

Okazało się, że Charles został uratowany po spędzeniu paru dni na wodzie. Był już na wpół martwy. Statek płynął do Sydney, a Charles był tak wyczerpany, że nie wiedział nawet, kim jest.

— Całkowicie stracił pamięć — opowiadał pan Graham. — Był bardzo wymizerowany. Nikt nie wiedział, czy przeżyje. Nawet kiedy trochę już wydobrażał, nie odzyskał pamięci. Właśnie dlatego tak długo nie miała pani żadnych wiadomości o nim. Płynąłem na tym statku jako pasażer. Prowadzę interesy w Anglii i w nowych koloniach. Kiedy wyłowiono pani brata, bardzo się zainteresowałem jego przypadkiem i już po zawinięciu do Sydney obiecałem, że się nim zaopiekuję. Było jasne, że pochodzi z dobrej angielskiej rodziny i kiedy byliśmy jeszcze na statku, starałem się mu pomóc odzyskać pamięć. Sposób bycia pani brata dał mi pojęcie o jego pochodzeniu. Kiedy przybyliśmy do Sydney, zaprowadziłem go do moich przyjaciół i poprosiłem, by się nim zaopiekowali. Zgodzili się na to. Kiedy wróciłem ponownie do Sydney, natychmiast go odwiedziłem. Ale przejdę do najważniejszego... Odkryłem, że na imię ma Charles. Dość częste imię. Kiedyś oglądaliśmy wspólnie mapy i padło nazwisko Mallory. To pobudziło jego umysł. Ja też słyszałem o mapach Mallorych. Pan Cardew był moim starym przyjacielem. Minęło trochę czasu, zanim zdołałem się z nim skontaktować, ale w końcu udało się i zyskaliśmy pewność, że nasz człowiek jest pani bratem. Nie chciałem go tu przywozić, zanim nie uzgodnię szczegółów z panem Cardew i z pani rodziną. Tak więc wciąż mieszka u moich przyjaciół w Sydney. Niedługo jednak wsiądzie na żaglowiec zmierzający do Anglii. Przybędzie tu najprawdopodobniej w marcu.

— To cudowna nowina! — zawołała. — Szkoda tylko, że mój ojciec nie dożył tej chwili.

— To on nie żyje? — upewnił się James Cardew.

— Chorował od jakiegoś czasu, ale wiadomość o śmierci mojego brata zupełnie go załamała. Poddał się chorobie.

— Jakże żałuję, że to ja byłem zwiastunem tamtej złej wieści!

— Przekazując ją nam, uczynił pan rzecz najstosowniejszą, tak postąpiłby każdy uczciwy człowiek. Wcześniej czy później dowiedzielibyśmy się o katastrofie statku. Od dawna martwił nas brak wiadomości od Charlesa.

— Cieszę się, że dzisiejsza moja wizyta może w jakiś sposób zrekompensować poprzednią.

I wtedy weszła do salonu macocha. Dowiedziała się, że mamy gości i przyszła ich poznać.

— Panowie James Cardew i Francis Graham — przedstawiłam przybyszy. — Przywieźli wspaniałe nowiny! Charles żyje!

— Charles...?

— Mój brat, którego uznaliśmy za zaginionego na morzu. Został odratowany.

— Odratowany...? — Wpatrywała się we mnie ze zdumieniem.

— To niemożliwe! Po tak długim czasie?

Wydawało mi się, że zależy jej na udowodnieniu, iż cudownie odnaleziony rozbitek nie jest moim bratem.

— Na morzu zdarzają się najdziwniejsze rzeczy — oznajmił Francis Graham. — Słyszałem już o niejednym podobnym przypadku. Potwierdzam, że pan Charles Mallory przeżył katastrofę statku i został wyłowiony z morza. Odniósł wiele obrażeń, utracił także czasowo pamięć, nie mógł więc wcześniej skontaktować się ze swoją rodziną.

— To takie... niewiarygodne! — stwierdziła macocha.

Była bardzo blada. Oczywiście, nigdy nie poznała Charlesa. Trudno było po niej oczekiwać, że podzieli moją radość.

— Czyż to nie cudownie, że on wróci do domu?! — zawołałam.

— Wprost nie znajduję słów na wyrażenie panom mojej wdzięczności. Teraz wypijemy za zdrowie mojego brata i za zdrowie wszystkich dobrych ludzi, którzy się nim opiekowali.

Macocha doszła już do siebie. Przywołała kogoś ze służby. Kazała przynieść wino i postawić przy stole dwa dodatkowe krzesła.

Jakiż to szczęśliwy dzień!

Teraz czuję się już bezpieczna. Charles niedługo wróci do domu!

Nagle zdałam sobie sprawę, że ten dom nie będzie już należał do mnie. Tym bardziej mnie to ucieszyło. Dobrze, że tak się stało. Czułabym się okropnie, gdybym musiała opuścić rodzinne pielesze i przekazać je w obce ręce. A to właśnie czeka mnie po poślubieniu Magnusa...

Och, szczęśliwy dniu! Taki cudowny początek nowego roku.

*4 stycznia.* Dzisiaj znów się zjawił Desmond Featherstone. Wchodziłam właśnie do domu i zobaczyłam go na schodach. Zamarłam i wpatrzyłam się w niego.

— A więc pan wrócił — stwierdziłam.

— Cóż za urocze powitanie! Pani słowa sprawiły, że poczułem się jak u siebie.

— Uznaje pan ten dom za swój?

— Jesteście wszyscy niezmiernie gościnni.

Znowu poczułam się, jakby ktoś przeszedł po moim grobie, żeby użyć słów panny Bray.

Skąd to wrażenie? Był dzień — jasny, mroźny dzień styczniowy. Przesilenie zimowe minęło i dni robią się coraz dłuższe. Ciągle jeszcze wcześniej się ściemnia, ale z każdym dniem dłużej jest jasno. I niedługo już marzec.

Czego się więc boję?

Featherstone jest rozdrażniony. Dostrzegłam to przy kolacji. Wręcz wściekły i nie potrafi nawet tego ukryć. Oczywiście, domyślałam się. Chodzi o Charlesa. Wstrząsnęła nim wiadomość, że Charles żyje!

Jasne, miał pewne plany związane ze mną. Uznał, że dom należy do mnie, że jestem też właścicielką wytwórni map. Nic dziwnego, że pragnął się ze mną ożenić.

A teraz jego plany runęły. Prawny spadkobierca i dziedzic żyje. Charles wraca i będzie panem tego domu. Jestem pewna, że wtedy nie znajdzie się tu miejsca dla pana Desmonda Featherstone'a.

Wracaj szybko, Charles!

Dzisiaj czuję się szczęśliwa. Dni są coraz dłuższe. Mam swój klucz do pokoju i mogę zamykać drzwi. A Charles wraca do domu! I wkrótce już marzec!

*1 lutego.* To nie do wiary. Niemożliwe. Dżuma w Wielkim Stanton? Kiedy myślę o dżumie, przypominają mi się lekcje z Panną Bray. Czerwony krzyż wymalowany ręcznie na drzwiach. Karawan i zawodzenie: „Przynieście swoich zmarłych”.

Takie rzeczy nie przytrafiają się w naszych czasach.

Dzisiaj byłam w sklepie. Uwielbiam tam chodzić. Staram się zawsze trafiać na środek dnia, kiedy jest przerwa. Pani Masters często przysyła obiad dla swojego męża. Ich dom znajduje się na wprost pracowni, ale pan Masters nie chce opuszczać pracy nawet na chwilę. Zawsze jest czymś zajęty, no i przynosi mu jedzenie.

Często przyłączam się do tego posiłku. To taka szczęśliwa godzina.

W ostatnim tygodniu tematem rozmów było ścięcie króla Francji. Wszyscy byliśmy tym niezwykle wstrząśnięci. Wydaje się to takie okropne, długo dyskutowaliśmy nad skutkami, jakie to wydarzenie może przynieść Francji, a i Anglii również. Magnus jest tym niezmiernie zainteresowany, a ponieważ pochodzi z kontynentu, ma do tych spraw nieco odmienne

podejście niż my, wyspiarze. Jest wspaniałym rozmówcą i kocha dyskusje, a ja, jak to niedawno odkryłam, również.

Ale dzisiejsze miejscowe wydarzenia przyćmiły wszystkie inne.

Niejaki pan Grant i jego syn wrócili właśnie z Dalmacji, przywieźli z sobą bele materiałów. Są krawcami. Kilka dni temu starszy pan Grant zapadł na dziwną chorobę — wysoka gorączka, wciąż rosnąca, mdłości i delirium. Lekarz był bezradny, a kiedy miał już zamiar poprosić kolegę o konsultację, pan Grant dostał ciemnych plam na całym ciele. Zmieniły się one w straszliwe wrzody i te objawy najwyraźniej wskazywały na dżumę, której w Anglii nie było od początku stulecia.

Zmarł bardzo szybko.

Może wieść o jego chorobie zapadłaby wkrótce w niepamięć, gdyby zaraz po śmierci starego nie stwierdzono podobnych objawów u jego syna, Silasa Granta.

W całej okolicy narasta panika, bo kiedy dżuma raz już się pojawi, nie da się przewidzieć jej konsekwencji.

Rozprawialiśmy o tych niepokojących wydarzeniach, zając doskonale przyrządzonego kurczaka od pani Masters.

Magnus, jak zwykle, prowadził rozmowę. Długo mówił o wielkiej zarazie, która wybuchła w Londynie w roku 1665 i niemal wyludniła cały kraj. Od tamtego czasu epidemia się nie powtórzyła, gdyż — jak mówił Magnus — nauczyliśmy się, głównie za jej przyczyną, że jej powodem są brud i zła kanalizacja.

Dwukrotnie w tym stuleciu dżuma panoszyła się w Europie — perorował. — Zrodziła się w Rosji i na Węgrzech, dotarła do Prus i Szwecji. Kiedy już raz się pojawi, trudno ją powstrzymać. Nagle zaczęła się szerzyć w południowej Francji... a to już blisko stąd, zważywszy na szlaki handlowe. Kolejny wybuch zarazy nastąpił w czasie wojny rosyjsko — tureckiej, niewiele ponad dwadzieścia lat temu. A teraz pojawiła się znowu w Dalmacji.

— Stamtąd właśnie wrócili Grantowie — przypomniałam.

— Ludzie niezwykle się tym przejmują — stwierdził pan Masters.

Kiedy tak rozmawialiśmy, wpadł do pracowni John Dent, jeden z naszych pracowników. Przyniósł wiadomość, że Silas Grant nie żyje.

— To już drugi zgon — mruknął pan Masters. — Bardzo poważna sprawa.

— Mówią, że przywiezione bele materiałów mogą być zakażone — oznajmił John Dent.

— To bardzo prawdopodobne — przyznał pan Masters.

— Powinno się je natychmiast spalić — dodał Magnus.

— Nikt nie chce ich nawet tknąć — wyjaśnił John Dent. — Leżą wszystkie razem złożone w pomieszczeniu nad ich sklepem. Spalili całą pościel, ale nikt nie chce dotknąć materiałów. Chcą zamurować wejście do tamtego pomieszczenia. Sądzą, że to wystarczy.

— Co za dziwny pomysł! — zawołałam. — Czy nie lepiej je spalić?

— Pomieszczenie też już może być zakażone — stwierdził pan Masters. — Mają więc ludzie rację.

— No cóż, jeżeli dżuma już nikogo więcej nie dotknie, będziemy mieli dowód, że postąpili słusznie — skomentował Magnus.

Nie potrafię o tym zapomnieć.

Przy kolacji opowiedziałam macosze o zarazie. Był przy tym Desmond Featherstone. Nie wykazali wielkiego zainteresowania, Wydało mi się, że coś ich dręczy.

*4 lutego.* Co za wspaniałe wieści. Dzisiaj, gdy byłam w sklepie, Magnus chciał porozmawiać ze mną w cztery oczy. Wyczułam to jakby, podobnie jak wyczuwam wszystkie jego nastroje. Szczególna więź wytworzyła się między nami. Wierzę, że każde z nas wie, co drugie myśli.

— Jutro jadę do Londynu — szepnął do mnie. — Pan Masters chce się tam zobaczyć z paroma osobami i uznał, że dobrze będzie, bym mu towarzyszył. Przy okazji dowiem się, jakim statkiem będziemy mogli wyruszyć i kupię bilety, aby wszystko było z góry przygotowane.

— Och, Magnusie, jak to cudownie! — zawołałam.

— Już niedługo — obiecał i ucałował mnie.

Po powrocie poszłam wprost do swojego pokoju. Muszę się przygotować do podróży. Trzeba będzie jakoś przeżyć pozostałe dni. Na szczęście luty to najkrótszy miesiąc. Każdy dzień wydaje się ciągnąć bez końca.

To już tak niedługo...

Jestem taka szczęśliwa, tak podniecona. Zastanawiam się nawet, czy nie zdradzam się zbyt z moimi uczuciami. Przekonałam się o tym, gdy Freddy zauważył:

— Co cię tak uradowało, Ann Alice?

— Dlaczego tak myślisz? — spytałam.

— Bo widzę to po twojej twarzy — odparł.

Uścisnęłam tylko jego ramię.

— Czy to sekret? — dopytywał się.

— Tak. W swoim czasie wszystkiego się dowiesz. Wzruszył tylko ramionami i roześmiał się. Uwielbia przecież sekrety.

— A kiedy się dowiem?

— Och, już wkrótce.

Po chwili przypomniałam sobie, że będę musiała go opuścić i zrobiło mi się przykro.

Nic więcej nie powiedział, ale kilka razy dostrzegłam, że mi się przygląda. Uśmiechał się przy tym porozumiewawczo, jakbyśmy dzielili wspólną tajemnicę. W zasadzie to prawda. Dzielimy świadomość, że istnieją sekrety.

Niepokoi mnie to. Nie powinnam przed nikim do niczego się przyznawać. Nawet jeśli to tylko Freddy.

Jutro rano, wcześniej rano Magnus wyrusza w drogę.

Kiedy zapisałam te słowa, odłożyłam pamiętnik i zaczęłam przygotowywać się do snu, choć wcale nie byłam senna. Głowę miałam nabitą pomysłami, zastanawiałam się, co powinnam wziąć z sobą. Minęła już północ, a ja wciąż nie spałam. Nagle usłyszałam skrzypienie desek podłogi. Ktoś szedł korytarzem na niższym piętrze. To musiała być macocha. Tam znajduje się jej pokój.

Nasłuchiwałam. Kroki. Spojrzałam na mój bezcenny klucz. Tkwił w zamku, obiecując bezpieczeństwo.

Wstałam, podeszłam do drzwi i nasłuchiwałam.

Tak, na dole z pewnością ktoś ostrożnie stąpa w korytarzu.

Bardzo cicho uchylałam drzwi i wyjrzałam na zewnątrz. Podbiegłam do balustrady. Na dole migotało światelko. Blask świecy, którą niósł Desmond Featherstone. Był boso, miał na sobie luźną koszulę nocną. Dostrzegłam, że otwiera drzwi do pokoju macochy i znika w środku.

Wyprostowałam się. Ach, więc to tak!

Ścisnęłam poręcz balustrady i zastanawiałam się, co to oznacza. Są kochankami.

Bo czyż to możliwe, by w środku nocy musiał ją nagle o czymś powiadomić? Nonsens. Szedł normalnym krokiem, jak zazwyczaj. Nawet nie zapukał do drzwi.

Stałam drżąc z ciekawości.

Czułam, że muszę poczekać i przekonać się, co dalej nastąpi. Byłam pewna, że to strasznie ważne.

Stałam tam do trzeciej rano. Nie wyszedł.

A więc nie było już żadnych wątpliwości.

Wróciłam do swojego pokoju i zamknęłam drzwi na klucz.

Są więc kochankami. Od jak dawna? Najprawdopodobniej przyjeżdża tu, by się z nią zobaczyć. Czy byli kochankami także za życia mojego ojca?

Te jego regularne wizyty... Czy przyjeżdża, by sypiać z moją macochą? I w tym samym czasie stara się o moją rękę?! Ona o tym wie. A mimo to usiłuje mu pomóc. Wymyślała nawet kłamstwa o Magnusie i siostrzenicy Mastersów.

O co w tym wszystkim chodzi? Do czego zmierzają?

Senność całkiem mi przeszła. Powinnam była od razu się domyślić. A jednak moja macocha niemal mnie sobie zjednała. Uwierzyłam w jej rozpacz po stracie męża. Byłam już gotowa zaprzyjaźnić się z nią!

Moje myśli krążyły bezładnie.

A mój ojciec... co z nim? Tak bardzo ją kochał. Może to zaczęło się dopiero po jego śmierci?...

Wymyśliłam dziesiątki możliwych rozwiązań.

Wyjęłam znów z szuflady pamiętnik i zapisuję to wszystko na gorąco. Pisanie wpływa na mnie kojąco.

Moją pierwszą myślą było, czy powinnam powiedzieć Magnusowi o tym, co widziałam. Ale on wróci dopiero za tydzień. Jestem wdzięczna losowi, że już niedługo opuszczę ten dom.

*5 lutego.* Spędziłam cały dzień w swoim pokoju. Udamę, że mam migrenę. Nie zniosłabym widoku żadnego z nich, nie jestem pewna swojej reakcji.

Chwilami mam ochotę porozmawiać z nimi. Ale zaraz dochodzę do przekonania, że lepiej będzie milczeć.

Tak naprawdę, to się ich boję. I boję się tego domu. Cały ten mój lęk, instynkt, który mi nakazał zdobyć klucz, by zamykać pokój od wewnątrz, to było ostrzeżenie. Intuicja odpowiedziała mi więcej niż świadomość.

Wszystko się zmieniło w chwili, gdy Lois Gilmour przybyła do tego domu. Przedtem życie było proste i jasne. To ona wniosła złowrogą atmosferę — i oczywiście była także jej przyczyną.

W południe przyszła się ze mną zobaczyć.

Słyszając jej kroki, położyłam się na łóżku i zamknęłam oczy.

— Moje drogie dziecko — litowała się. — Jesteś bardzo blada.

— To tylko migrena, proszę macochy. Chyba zostanę dziś w swoim pokoju.

— Tak, może tak będzie najlepiej. Każę ci przynieść coś do jedzenia.

— Nie jestem głodna.

— Ale trochę bulionu dobrze ci zrobi. Skinęłam głową i zamknęłam oczy. Wyszła cicho. Za drzwiami stał Freddy.

— Nie, kochanie — oznajmiła mu. — Nie możesz tam wejść. Ann Alice źle się dziś czuje. Pozwól jej odpocząć.

Uniosłam głowę znad poduszki i uśmiechnęłam się do niego. Dostrzegłam na jego buzi wyraz z troską, bardzo się o mnie martwi. To dobry chłopiec.

Wypiłam bulion i nie chciałam już nic więcej. Leżałam na łóżku i rozmyślałam.

Co to wszystko znaczy? Są kochankami... ale od kiedy? Pomyślałam o spotkaniu, kiedy to po raz pierwszy zobaczyłam Desmonda Featherstone'a razem z nią w gospodzie. Chyba już wtedy z sobą sypiali. Ale jednak poślubiła mojego ojca, a on wkrótce zmarł. Została zamożną wdową. Przyjechała tu jako skromna guwernantka, nie pamiętam, by wówczas posiadała cokolwiek. A teraz jej przyjaciel, a właściwie kochanek — usiłuje się ze mną ożenić. Jestem oszołomiona.

Wiedziałam, że zdruzgotała ich wieść o tym, że Charles żyje i cieszy się dobrym zdrowiem. Dlaczego? Ponieważ Charles jest prawnym spadkobiercą i dziedzicem. Ja też coś oczywiście dostanę, ale nie będę tak bogatą dziedziczką, jaką byłabym, gdyby mój brat zginął.

Wszystko do siebie pasowało jak w układance.

To tylko domysły — broniłam się.

Spójrz na to z innej strony, odpowiedziała mi intuicja. Ojciec nie żyje już od jakiegoś czasu. Może ona należy do tego rodzaju kobiet, które potrzebują kochanka. Może między nimi wszystko dopiero się zaczęło. Może on już nie chce się ze mną ożenić. Może teraz ożeni się z nią.

Skąd mam wziąć dowody na to, że wszystkie moje przypuszczenia są prawdziwe?

A jeżeli są kochankami już od dawna? Skąd się nagle wzięły ataki mojego ojca? O czym one świadczyły? Przed ślubem ojciec nigdy na nic nie chorował.

A jeśli moja macocha jest morderczynią? Jeżeli ukuła cały spisek ze swoim kochankiem? Jeżeli nadal spiskują? Czy on chce się ze mną ożenić po to, by zamordować z kolei mnie, tak jak ona prawdopodobnie zatrula ojca?

To dobrze zapisywać swoje myśli natychmiast, gdy się pojawiają. Są może chaotyczne, ale pamiętnik pomaga mi je uporządkować.

Nasz dom stał się bardzo złowrogim miejscem.

Boję się. Och, Magnusie, jakżebym chciała, żebyś tu był! Gdybyś tu się zjawił, kazałabym ci natychmiast stąd mnie zabrać. Zabierz mnie jeszcze dziś! Nie spędzę tu ani jednego dnia więcej!

Jestem przerażona. To staje się groźne. To, co dotąd uznawałam za dziecinne fantazje, nagle przybrało realne złowrogie kształty.

Muszę postanowić, jak się zachować.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Będę dziś w nocy nasłuchiwała, czy Featherstone pójdzie do jej sypialni. Oczywiście, znam ten dom na wylot, obok jej pokoju znajduje się jeszcze jeden, z drzwiami wychodzącymi na korytarz. Jak w większości domów z czasów Tudorów, drzwi w niektórych pokojach prowadzą do następnych pomieszczeń. Tamten pokój ma drzwi do jej sypialni i ma też drugie wyjście na korytarz. Drzwi między oboma pokojami są zamknięte. Gdybym znalazła się w tamtym drugim pokoju, może mogłabym podsłuchać ich rozmowę. Postanowiłam, że dziś po południu, kiedy ich nie będzie w domu, pójdę tam i się przekonam, czy uda mi się schować i czy będę mogła usłyszeć, o czym rozmawiają.

Jest już popołudnie i wiem już to, czego chciałam się dowiedzieć. Byłam tam, piętro niżej. Drzwi między obu pokojami są zamknięte i nie ma w nich klucza.

Przy tych oględzinach okazało się, że te drzwi są nieco spaczone. Jeżeli stanę na stołku i przystawię ucho do szpary, z pewnością usłyszę każde słowo wypowiedziane w sypialni macochy.

Dzisiaj w nocy to wypróbuję.

Oczywiście, mogę nie usłyszeć nic. Już wiem na pewno, że on spędza z nią noc. Ale chcę słyszeć, o czym mówią.

Zdaje się, że on bardzo lubi portwajn i ma zwyczaj pić go po kolacji. To też może być dobra okazja do podsłuchania, o czym rozprawiają. Ale po kolacji mogą być bardziej ostrożni. Służba wszędzie wtyka uszy.

A więc... dziś w nocy pierwsza próba.

Dochodzi pierwsza. Drzę cała, ledwo mogę utrzymać pióro. Ale postanowiłam zapisać wszystko, dopóki pamiętam kolejność wydarzeń. Usłyszałam skrzypienie deski, tak jak wczoraj. Było już po północy. Wydało mi się, że ma chód nieco chwiejny. Musiał sporo wypić. Mam nadzieję, że nie za dużo, bo wtedy będzie senny i przejdzie mu ochota do rozmowy.

Wśliznęłam się bardzo cicho do drugiego pokoju, zostawiając za sobą drzwi szeroko otwarte, by w razie potrzeby czmychnąć. I drzwi do mojego pokoju również uchyliłam, żeby szybko móc się tu schronić.

Tak mi drżą ręce. Jestem przerażona.

Udało się lepiej, niż przewidywałam. Był w kłótliwym nastroju.

Stojąc na stołku, z uchem przywartym do szpary, słyszałam doskonale każde słowo.

— Co się z nią dzieje? — spytał.

— Ma migrenę — odpowiedziała macocha.

— Ta diablica coś knuje.

— Powinieneś się poddać. Pozwól jej wyjść za tego Szweda czy kim on właściwie jest.

— Zaskakujesz mnie, Lo. Posuwasz się tak daleko, a potem znienacka tracisz odwagę. Starego też nie chciałaś się pozbyć, Prawda? Popatrz, ile czasu ci to zajęło! Zagustowałaś w wygodnym życiu. Zdaje się, że nawet polubiłaś tego dziada.

— Był dobrym człowiekiem — odezwała się cicho. — Nie chciałam...

— Wiem o tym. Próbowowałaś się nawet wymigać, może nie? — Przestań się kłócić i chodź do łóżka.

— Chciałaś wtedy zrezygnować. Zapomnieć o całym planie. Jak tylko udało ci się sprowadzić naszego małego bękarta, no nie? Udało ci się to bez trudu. Och, było ci dobrze i wygodnie, rozumiem. Ale jesteś tchórzliwa, Lo. Właśnie tak. Uwiłaś gniazdko dla siebie i chłopaka, i chciałaś, żeby już tak zostało. A co ze mną, he?

— Nie mów tak głośno — ostrzegła go.

— A któż nas usłyszy? A teraz w dodatku wraca jej brat. I co się stanie z naszym planikiem, no, sama powiedz?

— Odejdź stąd, Desmond. Zostaw wszystko tak, jak jest.

— Tak byłoby najlepiej dla ciebie, co? Ale co ze mną? Muszę ożenić się z dziewczyną. Ty dostałaś starego. Tak będzie sprawiedliwie. Nie jest już posażna, jakżeśmy początkowo zakładali... ale mi wystarczy.

— Nie zechce cię.

— Będzie musiała.

— Jak?

— To właśnie ustalimy.

— Co planujesz...? Chcesz ją uwieść... zgwałcić? Nie pogodziłabym się z tym.

Ogarnął mnie tak wielki gniew, że się poruszyłam. Stołek wysunął się spod moich stóp. Upadłam na podłogę.

Musieli usłyszeć ten hałas.

Wybiegłam z pokoju i schroniłam się w mojej sypialni.

Tak bardzo się boję! Jutro opuszczę ten dom! Pójdę do pani Masters i powiem jej wszystko, co wiem. Poczekam tam na Magnusa.

Ręce okropnie mi drżą. Pismo jest prawie nieczytelne. Co to było? Chyba coś słyszę... Kroki...

Słyszę głosy... Coś się dzieje na dole.

Nadchodzą...

## *Raymond*

Straciłam rachubę czasu, czytając pamiętnik Ann Alice. Kiedy skończyłam, zaczynało już świtać.

Byłam tam razem z nią. Jakbym ją знаła, ją i jej ukochanego, macochę i złowrogiego Desmonda Featherstone'a. Rozczarowało mnie nagle zakończenie i przepełniło gwałtownym pragnieniem, by dowiedzieć się, co się wydarzyło tamtej nocy. Pamiętałam datę z tabliczki znalezionej przy jej mogile, wiedziałam, że to była noc jej śmierci.

Czułam jej strach... słyszałam owe kroki na schodach. Widziałam, jak pośpiesznie wsuwa dziennik do szuflady, nie zamykając jej nawet do końca, kawałek szala wciąż wystaje.

I co wtedy nastąpiło? Czy bezcenny klucz tkwił w drzwiach, czy może zapomniała je zamknąć? Och, nie, nigdy by tak nie postąpiła. Ten klucz był dla niej zbyt ważny. Ale przecież po tym, co usłyszała, musiała być niezmiernie przerażona.

Co się wówczas wydarzyło?

I jakie to dziwne, że to właśnie ja pierwsza przeczytałam słowa zapisane prawie sto lat temu. Jakby zostały przeznaczone dla mnie. To ja odkryłam jej grób, ja pierwsza weszłam do jej pokoju i znalazłam jej pamiętnik.

Nie mogłam się doczekać, kiedy opowiem Filipowi o moim odkryciu. Kusilo mnie nawet, by go obudzić, ale zrezygnowałam z tego pomysłu. Muszę być cierpliwa. On i tak lubi wcześniej wstawać i będzie na śniadaniu o wpół do ósmej.

Zjawiał się w jadalni, zanim on przyszedł.

— Filipie — zawołałam. — W nocy zdarzyło się coś niezwykłego.

I opowiedziałam mu o wszystkim. Był równie podniecony, jak ja. Ale jego najbardziej zainteresowała mapa.

— Przynieś ją! — zażądał.

Studiował ją uważnie.

— Znam te okolice — oznajmił. — Te wyspy... Cóż, wiemy o nich niewiele. Ale ta Rajska Wyspa... Już sama nazwa brzmi niewiarygodnie.

— Mamy przecież Wyspy Przyjaźni i Wyspy Towarzystwa. Dlaczego nie miałoby być Rajskiej Wyspy?

— Pokażę to Benjaminowi. On powinien coś o tym wiedzieć.

Żadne z nas nie miało dziś apetytu. Byliśmy zbyt podnieceni. zaproponowałam, żeby opowiedzieć Babci M. o tym, co znalazłam. Zdenerwuje się, jeżeli jej nie zawiadomimy.

Weszliśmy do jej pokoju w chwili, gdy raczyła się swoją poranną herbatą i bułką z marmoladą, podanymi na specjalnej tacy, z której zawsze korzystała jedząc śniadanie w łóżku. To było jej jedyne ustępstwo na rzecz podeszłego wieku.

Słuchała uważnie, lecz najpierw nie omieszkała zganić mnie surowo.

Przykazała mi przecież, bym nie wchodziła do tamtego pokoju. To mogło być niebezpieczne dla zdrowia.

— Wewnętrzny przymus kazał mi to zrobić, babciu — usiłowałam ją przekonać. — Nie mogłam się powstrzymać.

— W środku nocy? — dołał oliwy do ognia Filip.

— Wzięłam z sobą świecę.

— Bardzo odważnie, jeżeli wziąć pod uwagę wszystkie te brednie o duchach — oznajmił mój brat. — Co byś zrobiła, gdyby ukazał się bezgłowy trup dzwoniący łańcuchami?

— Kiedy przeczytasz ten pamiętnik, nie będziesz tak bezceremonialnie kpił ze śmierci — zapewniłam go.

Poszłam do swojego pokoju i przyniosłam pamiętnik. Byli zdumieni.

— I przesiedziałaś całą noc nad lekturą? — spytał Filip.



— A ty postąpiłbyś inaczej? Gdy już zaczęłam czytać, nie potrafiłam się oderwać.

— Ja zaczekałbym do rana.

— A co sądzisz o tej mapie, Filipie? — przerwała Babcia M.

— Nie rysował jej amator, to pewne. Znam te okolice. Mapa jest dość czytelna. Ale nigdy nie słyszałem o Rajskiej Wyspie. Chcę, by Benjamin na nią spojrział. Porównamy ją z innymi mapami.

— Bardzo mnie ciekawi, co będzie miał do powiedzenia — przyznała Babcia M. — A ty zostaw mi jej pamiętnik. Teraz ja go przeczytam.

To był niezwykle poranek. Byłam zupełnie przytomna mimo bezsennej nocy. Poszłam znowu do jej pokoju na górze. Wydał mi się inny niż minionej nocy. Może dlatego, że teraz przebywali tam robotnicy. Nie potrafiłam się skupić nad żadną robotą. Wciąż myślałam o Ann Alice. Wydawało mi się, że żyję jej życiem i spodziewam się w każdej chwili ujrzeć przewrotnego Desmonda Featherstone'a.

Przy obiedzie Babcia M. nie potrafiła mówić o niczym innym, tylko o pamiętniku. Czytając go, przeleżała cały ranek w łóżku.

— To straszna historia — oznajmiła. — Jak myślisz, co się stało z tą dziewczyną?

— Czy babcia sądzi, że przyszli na górę i zamordowali ją?

— To bardzo prawdopodobne, moje dziecko.

— A potem zamurowali pokój?

— Dlaczego mieliby to robić?

— Nie wiem. Pewne jest, że ją pochowali... Przecież znalazłam grób.

— Pozostanie to chyba tajemnicą, na której rozwiązanie nie możemy liczyć. Ciekawe, co kryje mapa. Ta wyspa, o której mówił ten młody człowiek... gdzie ona właściwie leży? Może nigdy nie istniała? Niewiele wiemy o tym młodzieńcu. Dziewczyna była w nim tak szaleńczo zadurzona, że bez wątpienia nie dostrzegała żadnej wady.

— Och, jestem pewna, że ją kochał. Wierzył w istnienie tej wyspy. Mieli tam jechać. Ciekawe, co się z nim stało.

— Tak, mnie też to ciekawi. Może popłynął na tę wyspę po jej śmierci?

— To musiało być dla niego straszne, wrócić i dowiedzieć się, że ona nie żyje!

— Cóż, ciekawa jestem, co też Benjamin będzie miał do powiedzenia o mapie.

Taka byłam przejęta, że po południu pojechałam do sklepu. Znalazłam Filipa pogrążonego wraz z Beniaminem w starych mapach.

Filip na mój widok pokręcił przecząco głową.

— Nigdzie nawet śladu tej wyspy.

— Gdyby istniała, ktoś musiałby ją do tej pory odkryć — stwierdził Benjamin. — Te morza zostały już dokładnie spenetrowane.

— A czy jest możliwe, że jej nie dostrzeżono? Benjamin wzruszył ramionami.

— Możliwe jest wszystko. — Postukał palcem w mapę. — W każdym razie mapę rysował ktoś znający się na rzeczy.

— Magnus tym się przecież zawodowo zajmował.

— Pan Mallory powiedział mi o odkryciu pamiętnika. Moim zdaniem, ten młody człowiek pomylił się w obliczeniu położenia.

— Ale jeśli to gdzieś w tej okolicy...

— To mało prawdopodobne. Musiałaby już dawno zostać odkryta. Mówi panienska, że tę mapę narysowano prawie sto lat temu. Od tamtego czasu poczyniliśmy znaczne postępy. — Benjamin z powątpiewaniem pokręcił głową. — Nigdy nie ma absolutnej pewności. Mogła zajść jakaś pomyłka w obliczeniach. Rysował przecież z pamięci.

— Tak bardzo chciałbym odnaleźć tę wyspę — rozmarzył się Filip.

— O ile ona istnieje — dodał Benjamin.

— Istnieje — odparł Filip. — Czuję, że istnieje. Siedzieliśmy, nadal żywo rozprawiając. Dla mnie było to jak podróż przez ocean. Słuchałam ich. Widziałam podniecenie Filipa. Bardzo kocham mojego brata. Ma w sobie tyle energii, gdy już czymś naprawdę się zainteresuje, to nigdy nie spocznie.

Dostał na punkcie tej wyspy takiej samej obsesji, jak ja na punkcie Ann Alice. Pragnęłam dowiedzieć się, co zaszło tamtej nocy. Filip każdą myśl poświęcał wyspie.

Później często wracałam wspomnieniami do tamtego popołudnia w sklepie i nieraz żałowałam, że w ogóle pokazałam im mapę.

\* \* \*

Filip od tamtego czasu nie potrafił zająć się niczym innym. Często znajdowałam go pochylonego nad starymi mapami.

— To mogło się zdarzyć w zupełnie innej części świata — powątpiewał.

— Magnus był kartografem. Nie mógł mylić się co do położenia tej wyspy, podobnie jak ty byś się nie pomylił.

— Każdy może się mylić.

Głębokie, niebieskie oczy Filipa wpatrywały się w przestrzeń.

— Annalice — stwierdził stanowczo — musimy odnaleźć tę wyspę.

Nie potrafił o niej zapomnieć. Stała się jego obsesją. Gdy Babcia M. to zauważyła, zaniepokoiła się poważnie.

Gow i jego ludzie skończyli roboty na dachu i zabrali się do remontu pokoju. Całe pokrycie mebli było zniszczone, dosłownie w strzępach. Ale stolarka zachowała się w dobrym stanie, meble dawało się odnowić.

Przejrzałam jej rzeczy osobiste. Rękawiczki, szale, kapelusze, suknie... wszystkie ubrania i stroje. Kazałam służbie uprać niektóre suknie. Wiele z nich do niczego już się nie nadawało, ale te nie zniszczone schowałam w kufrze na strychu, razem z kapeluszami i pantoflami.

Traktowałam je z szacunkiem. Czułam się jej bardzo bliska, czasami miałam niezwykle wrażenie, że ona patrzy na mnie i mi dziękuje.

Weszłam do jej pokoju, zanim zaczęli naprawiać stolarkę i malować ściany. Był tam Gow. Zapytałam go o pochodzenie plam na ścianach.

Powiedział, że trudno po tak długim czasie orzec, jak powstały. Mogła spowodować je wilgoć... odbarwienie.

— Wygląda tak, jakby coś ochlapało ściany — zauważyłam. — Czy to może być... krew?

— Krew, panno Annalice? Cóż, chyba może... to być krew. Gdy się im dłużej przyglądam... tak, to może być krew. Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy. Czas i wilgoć dokonują wielkich spustoszeń. Dlaczego pani sądzi, że to krew, panienko?

— Tak jakoś mi się skojarzyło.

— Cóż, cokolwiek by to było, te ściany będą niedługo wyglądać jak nowe. To będzie miły pokój, gdy przebijemy okno.

— Okno znajdzie się dokładnie tam, gdzie było przedtem?

— Musi być w tym samym miejscu. Bo, tak właśnie zostało wybudowane. Może je panienka obejrzeć z zewnątrz, teraz, kiedy usunięto bluszcz, widać je wyraźnie. Myślę, że te pnącza po to właśnie tu zasadzono, by zakryły zabite okno. Bo, wie panienka, te wmurowane cegły różnią się od reszty. O, to będzie bardzo miły pokój, kiedy skończymy robotę.

Już skończyli. Odnowione meble wstawiono z powrotem. Łóżko, komoda, krzesła. Tak właśnie musiało to wszystko wyglądać, kiedy Ann Alice siedziała tu i pisała swój pamiętnik.

Służba wciąż odmawia wchodzenia do tej sypialni po zmierzchu. Twierdzą, że to nawiedzony pokój.

Ale ja często tam przebywam wczesnym wieczorem. Niekiedy mówię do niej w myślach: „Ann Alice. Chciałabym, byś mogła wrócić i opowiedzieć mi wszystko”.

Czasem wydaje mi się, że ktoś jest w pokoju. Ale może mnie również ponosi wyobraźnia?

Dom i całe nasze życie wydają się być odmienione od czasu odkryć poczynionych w noc pamiętnej burzy. Ann Alice pojawia się w moich myślach tak często i w takich dziwnych momentach, że niemal czuję jej obecność przy sobie. Łączy nas szczególna więź. Jesteśmy tej samej krwi, nosimy prawie to samo imię, mieszkamy w tym samym domu. Tylko czas nas rozdziela. Często zastanawiam się, czym jest czas? Czy można usunąć przepaść dzielącą nas od przeszłości?

Nigdy oczywiście nie mówię na głos o takich sprawach. Babcia M. i Filip są zbyt praktyczni i przyziemni, by to zrozumieć. Śmiałyby się tylko z mojej wyobraźni. Ale przecież Filip też ma marzenia. Nieustannie mówi o wyspie. Widzę niemal, jak w myślach tworzy plany. Babcia M. zresztą też. Jest bardzo niespokojna.

Któregoś dnia przy kolacji Filip oznajmił:

— Zawsze chciałem odkrywać nowe lądy, rysować szkice z natury. Pociąga mnie praktyczna strona naszego zawodu.

Nie byłam zdumiona, gdy pewnego razu powiedział mi, że David Gutheridge, botanik, jego przyjaciel jeszcze ze szkoły, pochodzący z rodziny żeglarzy — zamierza udać się z ekspedycją na morza południowe.

— Zaproponował mi, bym popłynął z nimi — ciągnął Filip. Babcia M. milczała, ale też nie okazała zdziwienia.

— To właśnie zawsze było marzeniem mego życia — wyznał Filip. — Teraz używa się bardzo wymyślnych instrumentów, o których sto lat temu nikt nawet nie śnił. Chciałbym sprawdzić niektóre nasze mapy. Myślę... i Benjamin zgadza się ze mną... że na mapach tamtych wód wkradły się pomyłki.

Tego wieczora Babcia M. przysłała do mnie.

— Jest absolutnie zdecydowany pojechać z tą wyprawą — oznajmiła.

Wyglądała żałośnie, a ja myślałam, że jej nie zdarza się to nigdy.

— Przeczuwałam, że kiedyś nadejdzie ten dzień — mówiła. — Filip już taki jest.

— Nie spróbuje babcia go zatrzymać? Pokręciła głową.

— Nie. Nie wyszłoby to nikomu na dobre. To przecież jego żywioł... jego zawód. Nie można odmówić mu racji. Nie powinien tkwić w jednym miejscu. Musi zwiedzić świat. Benjamin w swoim czasie też powinien był to zrobić. Gdyby tak postąpił, teraz byłby najlepszy. A zatem Filip pojedzie. Zawsze o tym wiedziałam.

— Będzie nam go brak...

— Ekspedycja potrwa tylko jakiś rok. Ale on wróci... wzbogacony o nowe wrażenia. Będę za nim tęskniła, to prawda. Ale mam jeszcze ciebie, kochanie. Nie potrafię wyrazić, jak wielką jesteście dla mnie pociechą.

Byłam zagubiona, zmartwiona. Jakże bym chciała jechać z Filipem! Gdybym razem z nim mogła snuć plany, też byłabym szczęśliwa i podniecona. Już niemal zdecydowałam, że zaproponuję Filipowi moje towarzystwo. Zastanawiałam się, jak na to mój brat zareaguje. Ale teraz pojęłam, że muszę zostać z Babią M.

Może pewnego dnia jeszcze zobaczę te tajemnicze wody. Odkryję Rajską Wyspę Magnusa. To właśnie chciała zrobić Ann Alice. I ja pragnęłam tego też.

Ogarnęła mnie melancholia. Życie przynosi tyle rozczarowań.

\* \* \*

Pięknego dnia na początku października Babcia M. i ja pojechałyśmy do Southampton, żeby odprowadzić Filipa.

Mój brat z całym ekwipunkiem wyjechał nieco wcześniej. Miał przespać na statku noc lub dwie, zanim ruszą na morza.

Ogarnął mnie smutek, Babcie M. również. Ale była przekonana o słuszności decyzji, a ja w duchu zgadzałam się z nią. Filip wyjeżdżał z domu po raz pierwszy — to znaczy po raz pierwszy, odkąd wrócił ze szkoły. Pamiętałam, jak podczas jego wcześniejszych nieobecności czułam się osamotniona. A teraz było mi znacznie ciężiej.

Pomagałam mu w przygotowaniach. Przez te ostatnie tygodnie staliśmy się sobie bliźsi niż kiedykolwiek.

— Chciałbym, żebyś pojechała wraz ze mną — rzekł. — To byłaby dopiero przygoda!

— Och, ja też bym tego chciała! Bez ciebie będzie tu przeraźliwie nudno.

— Wiele razy chciałem ci powiedzieć, że powinnaś jechać ze mną. Ale nie możemy przecież oboje opuścić staruszki, prawda?

— Oczywiście, że nie.

— Kiedy znajdę tę wyspę, popłyniemy tam wszyscy. Idę o zakład, że Babcia M. też z nami się zabierze.

— Wracaj szybko — poprosiłam. Zaproponował wykonanie kopii tej mapy.

— Byłoby dobrze, gdybyś też jedną miała. Zawsze to bezpieczniej, jeżeli będą dwie.

— Myślę, że mogłabym ją narysować prawie z pamięci.

— Wolałbym, żeby była dokładna.

Przerysowałam mapę. Byłam z tego dumna. Pokazałam ją Filipowi.

— Doskonale — stwierdził. — Dokładna w każdym szczególe. Schowaj ją w bezpiecznym miejscu.

Odpowiedziałam prawie bez zastanowienia:

— Schowam ją na dnie szuflady.

Potem doznałam dziwnego uczucia, że tak właśnie musiała powiedzieć albo pomyśleć Ann Alice, gdy dostała swoją mapę.

A teraz Filip odpływał.

Babcia M. była blada i smutna, kiedy stałyśmy w porcie, patrząc jak statek wychodzi w morze. A Filip machał do nas ręką z pokładu.

Patrzyłyśmy za nim, dopóki statek całkiem nie zniknął nam z oczu.

\* \* \*

Życie stało się bardzo monotonne. Dni zaczęły się dłużyć i stawały się coraz bardziej przygnębiające. Kiedy byłam w ogrodzie, często spoglądałam na świeżo przebite okno i czasami wydawało mi się, że dostrzegam w nim twarz. W chmurne popołudnia, w tym wielkim mrocznym domu pełnym teraz cieni, moja wyobraźnia zaczynała szaleć.

Nadeszło Boże Narodzenie. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie minie. Nie było takie jak z Filipem. W tych chwilach jeszcze bardziej nam go brakowało.

Próbowaliśmy wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu. Kupiliśmy prezenty, omówiliśmy świąteczne przygotowania, ale jedynym prezentem, jakiego sobie życzyłam, był widok Filipa wchodzącego do domu.

Przyjechali do nas Fentonowie, odwiedziliśmy Galtonów, zjadliśmy kolację z pastorem i jego „niemądrą” żoną. Nazajutrz po świętach, jak co roku, urządziłyśmy we dworze przyjęcie dla dzieci z wioski. Staraliśmy się, by i te święta przebiegły jak zwykle.

— Czas mija — powtarzała Babcia M. — On niedługo wróci. Rozejrzy się tam trochę, dowie, jak jest i wróci do domu.

Nie byłam tego pewna. Filip zawsze chciał pływać po morzach. Urzeka go żegluga, nadzieja na nowe odkrycia, tak jak urzekłyby mnie, gdybym z nim pojechała.

W lutym nadszedł od niego list. Cóż to była za radość! Przeczytałam go najpierw sama. Następnie przeczytała go Babcia M. Po czym ja przeczytałam go jej na głos, a wreszcie ona przeczytała go na głos mnie, bo czytając ten list czułyśmy, jakby Filip był z nami.

*Sydney*

*Droga Babciau i Annalice, już tu jestem! Wprost wierzyć się nie chce, że dotarłem tak daleko, a wy dwie znajdujecie się po drugiej stronie globu.*

*Mieliśmy dobrą i spokojną podróż — w każdym razie powiedziano mi, że jest spokojna. Ja bym w ten sposób jej nie określił. Wśród botaników znalazło się kilku sympatycznych. W tej chwili są tutaj, w Sydney, ale jutro zamierzają wyruszyć w głąb interioru. Wtedy zostanę sam.*

*Noszę się z zamiarem spenetrowania grupy wysp oddalonych od wybrzeży Australii o kilkaset mil. Statek odpływa tam w każdą środę, czyli dopiero pojutrze... więc zdążę wysłać ten list, zanim wyruszę.*

*Mam nadzieję, że go otrzymacie. Ma przed sobą długą drogę, ale zapewniono mnie, że listy docierają na miejsce przeznaczenia, co tydzień opuszcza Australię czterysta worków z pocztą.*

*Chciałbym, abyście byty tu ze mną. Wtedy wszystko byłoby dobrze. Rozmawiałem w Sydney z różnymi ludźmi, ale nikt nie potrafił mi udzielić wskazówek o Rajskiej Wyspie. Przystudiowałem mnóstwo map, ale na żadnej jej nie zaznaczono. To naprawdę zapowiada się tajemniczo.*

*Gdy tylko czegoś się dowiem, napiszę znowu.*

*Jestem zdrowy, niczego mi nie brak.*

*Nigdy nie czułem się lepiej, nie mogę się doczekać dalszej podróży.*

*Może już niedługo mnie zobaczycie.*

*Wasz oddany wnuk i brat  
Filip*

— Zdaje się, że jego podróż zapowiada się interesująco — powiedziała Babcia M.

— Filip we wszystkim potrafi odkryć coś ciekawego i zabawnego.

— Zawsze chciał wędrować po świecie. Może gdy tego spróbuje, zatęskni za ciepłym domowym ogniskiem.

Dni następowały jeden po drugim, a ja z niecierpliwością wyczekiwałam dalszych wieści od Filipa. Sklep stracił dla mnie cały urok. Kiedy patrzyłam na mapy odległych mórz, przypominały mi się wszystkie straszne rzeczy, jakie tam mogły się wydarzyć. Rozmowy z Beniaminem przynosiły niewiele pociechy. Starał się być beztroski, ale nie zawsze to mu się udawało.

Babcia M. postanowiła wydzwignąć nas obie z tej melancholii i zdecydowała, że musimy przestać zadrezczać się domysłami. Wspaniale byłoby otrzymać jakieś wiadomości od Filipa, ale skoro listy nie nadchodzą, musimy pamiętać o trudnościach w komunikacji, a nie myśleć tylko o najgorszym. W każdym razie nasze życie powinno biec dalej normalnym torem.

Kiedy Babcia M. dowiedziała się o spotkaniu kartografów w Londynie, oznajmiła, że ma zamiar tam się wybrać. Beniamin i ja będziemy jej towarzyszyć.

Spotkanie kartografów miało trwać trzy dni. Beniamin został poinstruowany, by zamówić dla nas pokoje w Blake's Hotel, w którym nasza rodzina zwykle się zatrzymuje podczas pobytów w Londynie. Był to godny i tak zwany „staroświecki” hotel w pobliżu Piccadilly. Mieszkałam w nim już kiedyś i ogromne wrażenie wywarła na mnie panująca tam cisza. Myślałam, że to dzięki ciężkim kotarom i grubym dywanom, lokajom w ciemnoniebieskich liberjach z błyszczącymi mosiężnymi guzikami, cicho poruszającym się kelnerom i dyskretnym pokojówkom.

Miało się odbyć kilka spotkań oraz bal w jednym z eleganckich hoteli.

Przygotowania trwały. Musiałyśmy sprawić sobie nowe suknie balowe. W domu panował zamęt, który wbrew sobie uznałam za podniecający, bo pozwalał nam na jakiś czas zapomnieć o niepokoju o Filipa.

Wyjazdy do Londynu są dla mnie zawsze interesujące. Było niemożliwe, by nie poczuć choć trochę podniecenia na myśl o tym zgiełku i bujnym życiu, których brakowało w naszym wiejskim Green. Fascynowali mnie uliczni handlarze i niemieckie orkiestry, ludzie przemierzający w pośpiechu ulice. Zdawali się robić to tak nieostrożnie, że wydawało się, iż niechybnie dostaną się pod konie ciągnące piękne powozy, karety, landa. Lubiłam też sklepy i postanowiłam spędzić mnóstwo czasu na oglądaniu wystawionych towarów.

Konferencja zapowiadała się interesująco. Odbywała się w wielkiej sali ogromnego hotelu. Wygłaszano odczyty na przeróżne tematy, a ponieważ pojawiły się właśnie kolorowe litografie, toczyły się nad nimi burzliwe dyskusje.

Beniamin wyjechał wcześniej na odczyt, bo Babcia M. i ja chciałyśmy jeszcze obejrzeć sklepy.

— Proszę się o nas nie martwić — uprzedziła go Babcia M. — Zobaczymy się po odczycie. I niech pan nie rezerwuje dla nas krzeseł. Same damy sobie radę.

Nasz powóz ugrzązł wśród wielu innych i kiedy dotarliśmy na miejsce, odczyt właśnie się zaczynał. Gdy weszliśmy do sali, okazało się, że jest pełna słuchaczy. Wydawało się, że nie ma już ani jednego wolnego krzesła. Musiałyśmy wyglądać na strapione, gdyż młody człowiek z ostatniego rzędu wstał i zaoferował swoje miejsce Babci M.

Wahała się, czy je przyjąć, a wtedy pojawił się lokaj z dwoma dodatkowymi krzesłami, które ustawił za ostatnim rzędem. Tak więc młody człowiek i ja usiedliśmy tuż za Babcią M.

— Bardzo panu dziękuję — powiedziałam. — To bardzo uprzejme.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł z najbardziej rozbajającym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałam.

Odczyt okazał się wyjątkowo interesujący. Młody człowiek najwyraźniej też był tego zdania, ale mimo to dostrzegłam, że co jakiś czas zerka na mnie. Muszę przyznać, że i ja rzucałam na niego spojrzenia. Był średniego wzrostu — odrobinę wyższy ode mnie, ale ja jestem dość wysoka. Miał jasnobrażowe włosy i nieco ciemniejsze oczy. Rysy twarzy regularne, choć niezbyt wyraziste, ale zmiękczone czarującym uśmiechem.

Po odczycie Babcia M. odwróciła się, by mu podziękować, a on ją zapewnił, że była to prawdziwa przyjemność. Dodał przy tym, że teraz należy się spodziewać poczęstunku. Czy wobec tego zechciałybyśmy mu towarzyszyć?

— Jesteśmy tu z przyjacielem — odpowiedziała Babcia M. — Przyszedł wcześniej przed nami. Myślę, że musi siedzieć bliżej mównicy.

— Może byśmy go odnaleźli? Stoły są czteroosobowe.

Kiedy tak gawędziliśmy, pojawił się przy nas Beniamin.

— To pan Beniamin Darkin, główny zarządca naszego tak zwanego sklepu w Great Stanton.

— Nie mówią chyba panie o wytwórni map Mallorych?

— Owszem, o nią właśnie chodzi — odparła Babcia M.

— To wielki zaszczyt panie poznać. Nazywam się Billington... Raymond Billington.

— Poznanie pana również dla nas jest zaszczytem — odpowiedział Beniamin.

— Najprzyjemniejsze na takich spotkaniach jest to, że choć nigdy się przedtem nie widzieliśmy, wiele o sobie wiemy — odezwałam się.

— I mamy szansę poznać się osobiście, co jest bardziej interesujące, niż tylko słyszeć o sobie — zauważył Raymond Billington.

Udaliśmy się razem do sali bankietowej. Babcia M. i ja usadowiłyśmy się przy czteroosobowym stole, podczas gdy panowie poszli przynieść potrawy.

Potoczyła się niezwykle zajmująca rozmowa. Wszyscy byliśmy ogromnie zainteresowani tym, o czym mówił prelegent i omawialiśmy szczegóły, wymieniając zapatrywania, zgadzając

się lub nie, snuliśmy własne spostrzeżenia. Rozmowę prowadzili panowie, gdyż temat bardziej ich dotyczył, ale Babcia M. i ja byłyśmy wystarczająco wprowadzone w sedno sprawy, by brać udział w dyskusji i nie pozwolić się zdystansować.

Niechętnie się rozstaliśmy.

Raymond Billington stwierdził, że na następny odczyt powinniśmy udać się wszyscy razem, by później znowu wymienić poglądy.

Potem miało się odbyć ogólne zgromadzenie, któremu pan Raymond Billington miał przewodniczyć. Obiecał przynieść nam bilety do pierwszego rzędu.

Był własnym powozem, gdyż Billingtonowie posiadają biuro w Londynie. Powiedział, że mieszkają niedaleko stolicy, w Knightsbridge.

Odwiózł nas do hotelu i tam się pożegnaliśmy, umawiając od razu na następne spotkanie.

Babcia M. była oczarowana Raymondem.

— Cóż za uroczy młody człowiek — orzekła. To mówiło samo za siebie, bo zazwyczaj krytycznie traktowała młodych.

Beniamin stwierdził, że ucieszyła go możliwość poznania jednego z Billingtonów.

— Wie pani przecież, jak dobrą cieszą się opinią w świecie, pani Mallory.

— Rzeczywiście doskonałą, chociaż ich tradycje nie sięgają tak daleko, jak nasze.

— Oczywiście, że tak, pani Mallory. Zajmują się mapami zaledwie od jakichś stu lat.

— Och, nie aż tyle — poprawiła go Babcia M. — Najwyżej od siedemdziesięciu. Ale należy chwalić, gdy pochwały są zasłużone. Cieszą się w każdym razie doskonałą opinią wśród kartografów.

— Spodobał mi się ten młody człowiek — powtórzyła Babcia M. później.

Mnie również. Pomógł nam zapomnieć na krótką chwilę o Filipie.

\* \* \*

Przez następne trzy dni towarzyszył nam wszędzie pan Raymond Billington.

Zawiózł nas do posiadłości swojej rodziny, niedaleko Strand i spędziliśmy naprawdę interesujący poranek na jej zwiedzaniu. Przedstawił nas swojemu ojcu i młodszemu bratu, Basilowi. Wszyscy byli bardzo mili i, jak powiedziała Babcia M., właśnie tacy, jacy powinni być Billingtonowie.

Babcia M. uznała, że Raymond koniecznie musi przyjechać do Wielkiego Stanton, aby obejrzeć naszą pracownię.

Wszyscy byliśmy pod wielkim wrażeniem jego wystąpienia na zgromadzeniu, na którym dawał proste i świadczące o dużej wiedzy odpowiedzi na każde postawione pytanie.

Było nam przykro, kiedy konferencja dobiegła końca. Tak ciekawie spędzaliśmy czas.

Spytał, czy może towarzyszyć nam na balu, który organizowano na zakończenie konferencji, i oczywiście otrzymał pozwolenie.

Byłabym fałszywie skromna, gdybym nie przyznała, że jego wytrwałe asystowanie było w dużej części spowodowane zainteresowaniem moją osobą. Jeszcze większym fałszem byłoby zaprzeczenie, że sprawiało mi to zadowolenie.

Polubiłam go. Zdecydowanie przewyższał Charlesa Fentona i Geralda Galtona. Interesujący, czarujący, obyty w świecie, był właśnie taki, jaki powinien być młody człowiek.

W dodatku tańczył bardzo dobrze i doskonale prowadził.

— To była niezwykła konferencja — powiedział. — Najwspanialsza, w jakiej uczestniczyłem.

— Urządza się je co roku, prawda? Ja jestem na niej po raz pierwszy. Może spotkamy się w roku przyszłym.

— Och... spodziewam się, że dużo wcześniej. Roześmiałam się.

— Pani babcia zaprosiła mnie do waszej posiadłości w Wielkim Stanton.

— Bardzo się entuzjazmuje naszymi mapami, chociaż oczywiście to pan Darkin wszystkim zarządza.

— Pani też sporo wie o mapach.

— Och... interesują mnie. Wszyscy mówią, że patrzę na nie w sposób romantyczny. Przyglądam się niebieskim morzom i widzę drzewa palmowe, tubylców w czółnach.

— To część pracy nad mapami.

— Ale pana interesują astrolabia, przyrządy stosowane w nawigacji i temu podobne rzeczy. Dla mnie to zbyt przyziemne. Mój brat zresztą też się tym interesuje.

Przerwałam. Pojawił się obraz Filipa, a z nim smutek.

— Pani brat? Gdzie on jest?

— Nie wiemy. Bardzo się o niego niepokoiimy. W zeszłym roku, w październiku, wyruszył na wyprawę dalekomorską.

— I od tamtego czasu nie miały panie od niego wiadomości?

— Tylko jeden list.

— No, to nie jest źle. Przy takiej odległości komunikacja jest utrudniona.

— Tak, chyba tak. Tańczyliśmy w milczeniu.

— Posmutniała pani — odezwał się po długiej chwili.

— Bo myślę o nim.

— Proszę mi opowiedzieć coś więcej o swoim bracie.

— Cóż, wie pan, jak to jest. Dwoje dzieci pozostawionych samym sobie. Moja matka zmarła, a ojciec wyjechał i ponownie się ożenił. Ma teraz drugą rodzinę w Holandii. Babcia nas wychowała.

— Wydaje mi się bardzo czarującą osobą, ale pewnie potrafi być też groźna.

— To prawda. Filip i ja dużo przebywaliśmy razem.

— Musi pani opowiedzieć mi o tym... o pani dzieciństwie. Chcę wiedzieć o pani wszystko.

— To nie jest szczególnie interesująca historia ale i niezbyt długa.

— Dla mnie niezwykle interesująca.

Objął mnie mocniej.

Wróciliśmy do Babci M. i Beniamina.

Raymond opiekował się nami podczas balu. Zajęliśmy jeden z najlepszych stolików na sali, a on z Beniaminem poszli, by przynieść z bufetu coś do przekąszenia.

— To była naprawdę urocza konferencja — stwierdziła Babcia M. — Nigdy jeszcze na żadnej tak dobrze się nie bawiłam, a to głównie dzięki temu czarującemu młodemu człowiekowi. Czy zwróciłaś uwagę, Annalice, na to, jak drobne wydarzenia kształtują nasze życie? Gdybyśmy się nie spóźniły, mogłybyśmy go nie poznać.

— Oddał nam tylko własne krzesło. Trudno to nazwać kształtowaniem życia.

— Ale dalsza z nim znajomość może na nie wpłynąć — Babcia M. wyglądała na wielce z siebie zadowoloną. Wiedziałam, o czym myśli. Oto trafia się młody człowiek, wyraźnie mną zainteresowany. Martwiła się przecież, że brak mi okazji do poznawania innych młodych ludzi i myślę, że doszła już do przekonania, iż Fentonowie i Galtonowie nie są odpowiednimi kandydatami na mojego męża.

A co ja czułam? Polubiłam go. Nawet bardzo, i gdybym musiała pożegnać go na zawsze, pewnie byłoby mi smutno.

Czy to właśnie nazywa się zakochaniem? Nie czułam żadnych gwałtownych wzruszeń. Żadnych zapierających dech w piersiach przeżyć, żadnego uświadamiania sobie nagle, że to właśnie on jest tym jedynym. Wszystko to było tylko przyjemnym spędzeniem czasu.

Ponownie wrócili z łososiem, niewielką porcją młodych ziemniaków i zielonego groszku. Kelner przyniósł szampana zamówionego przez Raymonda. I siedzieliśmy tam śmiejąc się, żartując, wymieniając wrażenia, komentując to i tamto.



— Wspaniałe zakończenie pobytu w Londynie — oznajmiła Babcia M. — Chciałabym podziękować panu, panie Billington, że dzięki panu cały nasz pobyt przebiegł tak gładko i przyjemnie.

— Ależ nie ja się do tego przyczyniłem.

— Pan, jak to mówią, zna tu każdy kąt. I dzięki panu wszystko stało się podwójnie interesujące. Czyż nie tak, Annalice? Beniaminie?

Zgodnie potwierdziliśmy.

— Przyjedzie pan obejrzeć naszą niewielką wytwórnię, prawda?

— Przyjadę, gdy tylko mnie pani zaprosi.

— A co pan powie na propozycję przyjazdu za dwa tygodnie? Czy nie zburzy to pana planów, Beniaminie? Czy jakaś szczególna przeszkoda nie staje na drodze?

— Absolutnie nic takiego — zapewnił Beniamin.

— Pomyśli więc pan o mojej propozycji, panie Billington?

— Nie muszę wcale się zastanawiać. Pali mnie niecierpliwość. Przyjadę, gdy tylko mnie pani wezwie.

— W takim razie wszystko ustalone. Stanton nie leży daleko od Londynu. Oczywiście będzie pan naszym gościem. Mieszkamy we dworze w Małym Stanton Green.

— Będę zaszczycony — odpowiedział, spoglądając przy tym na mnie.

\* \* \*

Nasz niepokój o Filipa zmalął nieco, kiedy przygotowywałyśmy się do wizyty Raymonda Billingtona.

— Będziemy musiały się nim zająć — oświadczyłam. — Może wydać parę proszonych kolacji?

— Poradzimy sobie — odparła Babcia M. — Spodziewam się, że zechce zwiedzić okolice. Powiedziałam mu, że dużo jeździsz konno.

Nietrudno było przejrzeć zamysły Babci M. Uznała go za idealnego kandydata na męża dla swojej wnuczki. Jest zamożny, przystojny, ma dużo wdzięku, dobre maniere, poza tym przynależy do fascynującego świata kartografów. Myślę, że za największą jego zaletę uznała jednak to, że nie mieszka zbyt daleko.

Wyobraziła już sobie, jak jej wnuczka przyjeżdża do dworu ze swoimi dziećmi. I jak ona sama odwiedza szczęśliwą parę. Niemal widziałam jej myśli.

Kochana Babcia M., nieobecność Filipa dokuczwała jej bardziej, niż się do tego przyznawała. Nigdy nie zwątpiła w powrót mojego brata, ale zastanawiałam się, jakie myśli kryje przede mną.

Z całym zapalem rzuciłam się w przygotowania do wizyty Raymonda, trochę dlatego, że go polubiłam i pragnęłam zobaczyć ponownie, ale głównie dlatego, by przestać myśleć o Filipie, o ile to w ogóle było możliwe. Kiedy kolejne dni nie przynosiły od niego żadnych listów, mój niepokój wzrastał.

Raymond przyjechał i był jeszcze bardziej czarujący niż w Londynie, interesował się naszym dworem i sklepem. Dużo czasu spędził w towarzystwie Beniamina, oglądając maszyny i mapy.

Zabierałam go na konne przejażdżki, które polubił najbardziej. Pokazałam mu okolice, zatrzymywaliśmy się w małych gospodach, gdzie popijaliśmy jabłecznik i jedliśmy gorący chleb prosto z pieca, z serem albo owocami, a czasami z bekonem i wołowiną.

Dużo mi opowiadał o sobie. Wychowywał się wśród map. To było rodzinne. Jego dziadek założył przedsiębiorstwo w początkach tego stulecia. Dokładnie w roku 1820. Wydaje się, że to bardzo dawno, ale w porównaniu z nami niewiele znaczyło.

Często rozmawiałam z nim o Filipie.

— Widzę, że pani brat jest osobą naprawdę wyjątkową.  
— Tak, jest wspaniały.  
— Nie chciał, by mu pani towarzyszyła w podróży?  
— Owszem — skinęłam głową. — Ale jak mogłam zostawić babcię?  
— Byłoby dość niezwykle, gdyby młoda dama popłynęła na morza południowe. Ale pani jest niezwykle.

— Zmusiłabym go, by mnie zabrał, gdyby nie Babcia M.  
Natychmiast mnie zrozumiał.

— Mam nadzieję poznać kiedyś pani brata.  
— Spodziewam się, że do tego dojdzie.  
— Pragnąłbym, by pani poznała bliżej moją rodzinę.  
— Też tego pragnę.

— Mamy dom na wsi... w hrabstwie Buckingham. Nie mieszkamy na stałe w Londynie. Bawimy tam przejazdem, w interesach. Wyjeżdżam na wieś, gdy tylko pozwala mi czas. Mam babcię, podobną do babci pani. To wspaniała dama. Chciał — bym, by poznała ją pani. Jest znacznie starsza od pani Mallory, ale w pełni władz umysłowych i bardzo energiczna, choć niech dokuczają jej reumatyzm. Czy odwiedzi nas pani?

— Z przyjemnością.

— Jeszcze przed końcem lata. Zazwyczaj jeżdżę tam w sierpniu. Chcę zaprosić również pani babcię. Myśli pani, że się zgodzi?

— Nie mam co do tego wątpliwości.

Rozmawialiśmy w gospodzie. Słabe promienie światła przedostawały się przez okna i padały na jego twarz. Był pełen: zapału, delikatności, promieniował uczuciem. Coś mnie do niego ciągnęło. On zaś wyciągnął rękę ponad stołem i ujął moją dłoń.

— Chciałbym, żebyśmy się bliżej poznali — powiedział.

— Tak — zgodziłam się. — To byłoby... dobrze.

Kiedy wyszliśmy na światło dnia z nieznanego powodu poczułam się nieco niepewnie. Coraz bardziej go lubiłam. Jego wizyta była wyjątkowo udana i na pewno będzie nam go brakować, gdy wyjedzie. W jego towarzystwie czułam się bardzo dobrze, choć nie było to oszołamiające przeżycie, jakiego spodziewałam się po miłości. Ale może jestem niepoprawną romantyczką.

Moja przyjaźń z Raymondem Billingtonem pogłębiała się. W czasie lata często przyjeżdżał do nas na soboty i niedziele, jeździliśmy konno po okolicy, spędzaliśmy też trochę czasu w sklepie z Beniaminem.

Z wolna nawiązywało się między nami pełne zrozumienie. Było to przyjemne jak płynięcie łódką z biegiem rzeki w blasku słońca. Przyjemne, ale nie zapierające tchu w piersiach.

Usłyszałam rozmowę dwóch pokojówek. Jedna z nich określiła Raymonda jako „przyszłego” panny Annalice.

Miałam już prawie dziewiętnaście lat. Byłam w wieku, w którym zmarła Ann Alice. Nie mogłam przestać identyfikować się z nią, choć od przyjazdu Raymonda jej postać nieco zbladła. Z wolna mijał wstrząs wywołany znalezieniem pamiętnika, choć nie potrafiłam pozbyć się myśli, że gdybym go nie odkryła, Filip wciąż przebywałby z nami. Nie popłynąłby na poszukiwanie iluzorycznej wyspy, która według kartografów w ogóle nie istnieje.

Przyjemnie było oczekiwać tego, co — jak się wydawało — miało nieuchronnie nastąpić, pozwalać sobie na snucie dyskretnych planów o przyszłości.

Małżeństwo z Raymondem... Mogłabym je zaakceptować... gdybym tego chciała. A czy chcę? Właściwie... tak. Większość dziewcząt poślubia przecież kogoś, a jeżeli nie, często stają się dziwnie niezadowolone, wciąż rozmyślają nad tym, co straciły. Młode dziewczyny śnią o romansach... śnią niemożliwe do spełnienia sny o dzielnych rycerzach na rumakach, o

wojownikach w lśniących zbrojach, dla których nie ma miejsca w życiu codziennym. Większość jednak zgadza się na kompromis.

Raymonda można uznać za doskonałą partię. Lubię go z całego serca. Byłabym zawiedziona, gdyby przestał nas odwiedzać i przeniósł swoje uczucia na inną. Dzięki niemu jesteśmy szczęśliwsze i choć wciąż wypatrujemy listu od Filipa, jestem Pewna, że nawet Babcia M. tęskni za nim teraz mniej, niż Przed spotkaniem kartografów. Zawdzięczamy to Raymondowi. Więc kiedy zaproponował nam wizytę u swojej rodziny w hrabstwie Buckingham, zdawało mi się, że decyzja została podjęta za mnie.

— Wszyscy w naszej rodzinie uznają dom w Buckingham za prawdziwe gniazdo rodowe — wyjaśnił Raymond.

Jego dziadek nabył tę posiadłość w roku 1820. Już wtedy był to stary dwór, strawiony częściowo przez ogień. Spora część budynku została jednak uratowana.

Rodzina Raymonda mieszka w nim od tamtych czasów.

— Zapewne uznają panie nasz dom za nieco dziwny. Część budynku pochodzi z czasów Tudorów. Myślę, że architekci popełnili błąd, dobudowując sporo w niezwykle ozdobnym stylu lat pięćdziesiątych. Niezbyt do siebie obie części pasują. Ale i tak kochamy nasz dom.

Pojechałam tam z Babcią M. pociągiem. Na stacji oczekiwał nas Raymond i już wkrótce jechaliśmy zacienionymi drogami hrabstwa Buckingham.

Od razu dostrzegłam, że dom dokładnie odpowiada opisowi Raymonda. Bardzo masywny i na swój sposób imponujący, był wzniesiony z szarego kamienia, zdobionego niezwykle ilością kamiennych rzeźb. Do wejścia prowadził szeroki portyk obrośnięty bluszczem. Do budynku — przylegała też przeszklona cieplarnia.

— Wszystkie potrzeby mieszkańców zostały w tym budynku uwzględnione — zapewnił Raymond. — To przykład architektury epoki wiktoriańskiej, tak mi przynajmniej mówiono. Może uznają panie, że jest w tym dużo przesady, ale proszę mi wierzyć, bardzo jest wygodny.

— Wygląda interesująco — stwierdziłam. — Nie mogę się doczekać, by go zwiedzić.

— A moja matka i siostra nie mogą się doczekać, kiedy to nastąpi.

Babcia M. aż mruczała z zadowolenia. Czulałam, że coraz bardziej podoba jej się wszystko, co związane jest z rodziną Billingtonów.

Już nas oczekiwali. Ojciec Raymonda i jego brat Basil, których poznałyśmy w Londynie, powitali nas jak starzy przyjaciele. Przedstawiono nas matce Raymonda, jego siostrze Grace i najmłodszemu bratu, Jamesowi.

Matka Raymonda była drobną kobietą z błyszczącymi, śmiejącymi się oczyma.

— Tyle o paniach słyszeliśmy — powiedziała. — Nie tylko od Raymonda, ale też od mojego męża i Basila. Nie mogliśmy się doczekać, kiedy panie poznamy.

Spojrzałam na uśmiechnięte twarze i poczułam się bardzo szczęśliwa.

— Najpierw pokażemy paniom ich pokoje — zasugerował Raymond. — A potem wypijemy herbatę i porozmawiamy.

— Chodź ze mną, Grace, teraz odprowadzimy panie — powiedziała pani Billington. — Mam nadzieję, że będzie paniom wygodnie.

— Jestem o tym przekonana — zapewniłam ją.

— To bardzo miło, że zechcieli państwo nas zaprosić — dodała Babcia M.

— Od dawna pragnęliśmy to uczynić. Raymond opowiadał nam o spotkaniu na konferencji, choć mapy to wszystko, o czym się u nas mówi. Od rana do wieczoru o niczym innym nie rozmawiamy, tylko o mapach. Mapy i jeszcze raz mapy, prawda, Grace?

Grace dodała:

— Na początku tylko Raymond i ojciec o tym rozprawiali. Ale teraz jeszcze James się w to włączył.

— To rodzinne — odparła pani Billington. Zatrzymała się przy schodach, domyśliłam się, że się obawia, czy nie będą za strome dla Babci M. — Ulokowałyśmy panie na pierwszym piętrze

— ciągnęła — tam są pokoje gościnne. Trzeba się trochę wspiąć, za to z okien mamy bardzo ładny widok. Dom jest obszerny, ale nie najlepiej zaplanowany. Łatwo można się w nim zgubić, a Po jakimś czasie każdy się jednak przyzwyczaja. O, już jesteśmy. Ten pokój dla pani, pani Mallory, a ten dla Annalice — pozwolisz, że będę ci mówiła po imieniu, moja droga? Między sobą zawsze w ten sposób o tobie mówimy i jakoś mi się wyrwało.

— Jakże mi miło — zapewniłam ją. — Dzięki temu od razu poczułam się swobodniej. O to właśnie chodzi. A więc to pokój dla ciebie. Będziecie obok siebie.

Otworzyła drzwi. Pokój miał duży, kamienny balkon, na którym stały donice z kwitnącymi roślinami. Był obszerny i jasny w porównaniu z tymi z epoki Tudorów.

— Przepiękny! — zawołałam z zachwytem, co najwyraźniej sprawiło przyjemność naszej gospodyni.

— Chciałyśmy zrobić dobre wrażenie — wtrąciła Grace.

— Grace! — upomniała ją matka z wyraźną naganą w głosie.

— Sądzę, że panie chciałyby się umyć i ogarnąć przed herbatą, mamó — odparła Grace.

— Pomyślałam już o tym. Zaraz przyniosą tu gorącą wodę. O, już jest. Wejdz, Jane.

Pokojówka dygnęła, a ja uśmiechnęłam się do niej.

— Postaw to tutaj, Jane — zarządziła pani Billington. — Czy piętnaście minut paniom wystarczy?

— Najzupełniej, prawda, babciu? — Babcia M. przytaknęła.

Po dziesięciu minutach byłam już gotowa do zejścia na herbatę i zajrzałam do pokoju babci. Ona też zdążyła się odświeżyć.

— Cudownie — oświadczyła. — Wspaniała rodzina. Jestem zachwycona. Chciałabym tylko...

Wiedziałam, czego Babcia M. by chciała, więc powiedziałam:

— Może już niedługo otrzymamy od niego list. Raymond mówi, że poczta z tak odległych stron często się spóźnia.

Zeszliśmy na dół na herbatę. Na stole piętrzyły się ciepłe bułeczki i kilka rodzajów ciasteczek.

Salon był przestronny i wysoki, a kominek ogromny i bardzo ozdobny. Z obu stron podtrzymywały go rzeźbione anioły. Na kominku stał duży marmurowy zegar, a na ścianach wisiały portrety mężczyzn w wiktoriańskich strojach.

— Nasi dziadkowie — powiedziała Grace, idąc spojrzeniem za moim wzrokiem. — Nie możemy się pochwalić zbyt wielu antenatami, więc wykorzystujemy tych, których znamy. Słyszałam, że u Mallorych jest inaczej. Raymond opisywał nam wasz dom bardzo szczegółowo.

— Nie zdradzaj mnie — wtrącił Raymond.

— Mój brat mówi, że wasz dom jest cudowny — informowała nadal Grace.

— Mam nadzieję, że też kiedyś zostanę tam zaproszony i będę mógł go obejrzeć — wtrącił Basil.

— Już jest pan zaproszony — oznajmiła Babcia M.

— Och, dziękuję, pani Mallory.

Rozmawialiśmy na temat okolicy, różnic między naszymi wioskami, ale wreszcie skupiliśmy się na mapach.

— To zastanawiające — oznajmiła pani Billington — że takie pasje bywają przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Babcia M. zgodziła się z nią.

— Tak, w naszej rodzinie dzieje się podobnie. Mój wnuk, Filip był wprowadzany w arkana kartografii od dziecka i od początku wiedzieliśmy, że nic innego dla niego nie istnieje.

— Słyszałam, że wyjechał na ekspedycję.

— Tak, na Pacyfik.

— Tego i ja bym pragnął — wyjął James.

— A niech cię! — wykrzyknął Basil. — Jeszcze jeden poszukiwacz przygód! Niektórzy wyobrażają sobie, że ekspedycja to przyjemna wycieczka. Zapewniam cię, że niewiele ma z nią wspólnego.

— Pan już brał udział w wyprawie badawczej? — spytałam.

— Tak, zaokrętowałem się na taki żaglowiec, gdy miałem, szesnaście lat.

— Uznałem, że dobrze mu to zrobi — przyznał pan Billington. — James też pojedzie, kiedy przyjdzie pora. To dobry sposób, by poznać prawdziwe życie. Szybko zdają sobie sprawę, że to nie zwykła wycieczka, jak określił Basil, ale ciężka praca.

— W pełni potwierdzam, ojcze — wtrącił Basil.

— Mojego wnuka nie ma już od października — westchnęła Babcia M.

— Przez rok niewiele da się dokonać — stwierdził pan Billington.

— Ale od wielu miesięcy nie mamy od niego żadnych listów — wtrąciłam nieco drżącym głosem.

— To też się zdarza. Poczta nie dociera w najdalsze zakątki świata. Nie przypominam sobie, byśmy mieli od ciebie wiadomości z podróży, Basil.

— Nie miałem ochoty wkładać wysiłku w pisanie listów, które nie dochodzą.

— Z czego — oznajmiła Grace — łatwo wnieść, że nasz Basil nie jest najpracowitszym z śmiertelników.

Spotkałam spojrzenie Raymonda. Uśmiechnął się do mnie. Był to ciepły, szczęśliwy uśmiech.

Po herbacie ja i Raymond poszliśmy na spacer po otaczających dom ogrodach, a pani Billington i Grace oprowadziły Babcie M. po domu.

Raymond oznajmił, iż rad jest z mojego przyjazdu.

— Trudno uwierzyć — dodał — że minęły dopiero trzy miesiące od pamiętnego odczytu.

— Dla mnie przeszły one bardzo szybko. Czy tobie wydawały się długie?

Ujął mnie pod ramię.

— I długie, i krótkie zarazem. Niedługie, bo wszystko zdarzyło się w tak krótkim czasie, a jednocześnie wydaje mi się, że znam cię od lat... i przez to wydają się długie. — Przerwał, spojrzał na mnie wyczekująco i po chwili mówił dalej: — Te ogrody to królestwo mojej matki, sprawiają jej ogromną przyjemność. Sporo poświęca im czasu. Z pewnością będzie chciała je sama paniom pokazać.

— Twoja matka jest czarująca.

— Miałem nadzieję, że się zrozumiecie.

— Nie wyobrażam sobie osoby, która nie nawiązałaby z nią kontaktu.

— Albo z tobą.

— O, to zupełnie co innego. Roześmiał się i uściśnął mi ramię.

Mówił o kwiatach, chociaż żadne z nas nie o nich myślało.

Tego wieczoru jedliśmy kolację w wielkiej sali jadalnej z ogromnym kominkiem, ozdobionej plafonem ze stiukami i boazerią tak misternie rzeźbioną, iż wydawać się mogło, że ani jeden element już się na niej nie pomieści.

Humory nam dopisywały, nawet służba zdawała się dzielić naszą radość, kiedy nadzorowana przez majordomusa wносиła coraz to inne potrawy. Czułam, że wszyscy się mną niezmiernie interesują.

Przypomniałam sobie naszą pokojówkę, która mówiła o Raymondzie jako o moim „przyszłym”. Wydało mi się, że tutejsi myślą podobnie.

Jak szybko w rozmowie nawiązano do map! Prawie jak u nas. My też wciąż o nich mówimy, a kiedy już Benjamin Darkin zjawia się na kolacji, jest to absolutnie jedyny temat rozmowy.

Rodzina Raymodna jest podobna do naszej, tyle że liczniejsza. Patrząc na Billingtonów miałam wrażenie, że robią dokładnie to, co zamierzają, osiągają swoje cele i nie zapominają być wdzięczni Opatrzności za to, iż dała im tak wiele.

Bez trudu mogłabym wejść do tej rodziny, przyjąć nazwisko Billington, spędzić resztę życia w tym wielkim, nieco ciężkawym wiktoriańskim domu, który jakiś purysta nazwałby zapewne architektonicznym monstrem. Oczywiście brak mu aury starości, elegancji wcześniejszych wieków, ale spodobał mi się wraz ze wszystkimi licznymi ozdobami, kolumnami, załamaniem, kamiennymi lwami i smokami, wiedziałam, że Billingtonowie nie zamieniliby go na najwspanialszą rezydencję w kraju. Rozumiałam ich.

Może teraz nasz dwór wyda mi się nieco smutny?

Z przyjemnością myślałam o tym, że zostaniemy tu przynajmniej przez tydzień. Nie chciałam jeszcze myśleć o wyjeździe ani o podejmowaniu pośpiesznych decyzji.

Kawę podano w salonie, a panowie dołączyli do nas zaraz Po wypiciu porto.

— Jak miło poznać całą, tak znakomitą rodzinę — powiedziała Babcia M.

— Och... jeszcze nie poznała pani wszystkich — wyjaśniła Grace.

— Myślałam, że są tu wszyscy — zdziwiła się Babcia M.

— Cóż, wszyscy oprócz naszej babci — odparła Grace.

— Babcia skończyła osiemdziesiąt lat — wtrącił Raymond. — Bardzo chciała panie powitać, ale wczoraj poczuła się nieco gorzej i lekarz orzekł, że dzisiejszy dzień powinna spędzić w łóżku. Mam nadzieję, że jutro będę mógł panie przedstawić.

— Moja teściowa żyje przeszłością — powiedziała pani Billington.

— Potrafi opowiadać wspaniałe rodzinne historie, gdy już wpadnie w odpowiedni nastrój — dodał Basil.

Wieczór minął nam na przyjemnej rozmowie, a Babcia M. i ja gawędziłyśmy jeszcze w pokoju u babci, zanim udałyśmy się na spoczynek.

— Co za wspaniali ludzie! — orzekła Babcia M. — Aż trochę żal, że nasza rodzina nie jest bardziej liczna. Przyszło mi na myśl, że twój ojciec przebywa w Holandii... z tymi swoimi dziećmi. A powinniśmy być wszyscy razem.

— Dlaczego babcia go nie zaprosi, by do nas przyjechał?

— Nie wiem. Rozstaliśmy się dość dawno. On zdaje sobie sprawę, iż nie pochwalam tego, że przeniósł się na kontynent i zmienił zainteresowania. To był dla mnie ogromny cios. Nie mogę sobie wyobrazić, co bym uczyniła bez Beniamina. Zazdroszczę tym ludziom. Mają trzech synów... a Grace też wie co nieco o mapach.

— O, tak, to wciąż! Nasze życie obraca się wokół map.

— Gdyby nie one, nie byłybyśmy dziś tutaj. Nigdy nie poznałabyś Raymonda. Lubię go, Annalice. Znam się na ludziach, a on bardzo mi się podoba. W ogóle ta cała rodzina bardzo mi się podoba. Chciałabym częściej ich widywać, nawiązać z nimi bliższy kontakt.

— Domyślam się intencji, babciu.

— Ty też go lubisz. A jeśli chodzi o jego uczucia do ciebie, nie ma żadnych wątpliwości.

— Rzeczywiście, lubię go.

— Wiesz, uczucia z czasem stają się silniejsze. Niekiedy należy tylko trochę poczekać. Och, wiem, tyle bzdur plecie się o tym, że wystarczy jedno wejrzenie i od razu umiera się z miłości. Nie powinnaś się zbytnio tymi głupstwami przejmować. Niekiedy... gdy wszystko układa się tak, jak być powinno.. — jest najlepiej. Podobnie było z twoim dziadkiem i ze mną. Wszystko na swoim miejscu, w odpowiednim czasie... Bardzo lubiłam. Urzekł mnie jego entuzjazm do pracy. Cóż, wy też od tego zaczynacie. Czasami żałowałam, że nie jesteś chłopcem, bo wówczas mogłabyś całkowicie poświęcić się mapom, zrobić karierę. Z dziewczynkami jest trudniej. Nie mają tylu szans. Właściwie ich jedyną szansą jest małżeństwo. Ale kiedy jest się w twoim wieku, nie myśli się w ten sposób o przyszłości.

Objęłam ją i ucałowałam.

— Wszystko w porządku, babciu. Nie musi mi go babcia zachwalać. Polubiłam go od chwili, w której go zobaczyłam i z każdym dniem lubię go coraz bardziej.

Uśmiechnęła się i czule oddała mi pocałunek, co rzadko się jej zdarza, gdyż z natury nie jest wylewna.

— Wy, dzieci, wiele dla mnie znaczą. Często myślę o Filipie i zastanawiam się, co będzie, jeśli on nie wróci...

— Nie mów tak, babciu. I nawet nie myśl w ten sposób.

— To niezbyt rozsądne, co mówisz. Lepiej być przygotowanym na wszystko, nawet na najgorsze. Wówczas łatwiej stawić czoło przeciwnościom losu. Gdyby już do tego doszło, jeden z tych Holendrów, synów twojego ojca, musiałby przejąć wszystko. Któż wie, może zainteresuje się kartografią...

— Och, babciu, nie będę nawet o tym słuchać! Dzisiaj chcę zapomnieć o naszych zmartwieniach.

— Masz rację, kochanie. Martwimy się na zapas. Chciałam tylko, byś zrozumiała, że szczęście nie przychodzi samo, jak to się wydaje młodym, romantycznym dziewczynom. Trzeba na nie zapracować.

— Spodziewa się babcia, że Raymond poprosi mnie o rękę, Prawda?

Skinęła głową.

— Wystarczy znak zachęty z twojej strony i zrobi to.

— Ależ babciu, znam go zaledwie od trzech miesięcy!

— Ale w tym czasie często się widywaliście.

— To prawda.

— Czyż nie zyskuje przy bliższym poznaniu?

— Owszem, chyba tak.

Babcia M. skinęła głową na znak zadowolenia.

\* \* \*

Nazajutrz zostałam przedstawiona babci Raymonda.

— Ma słaby słuch — ostrzegła mnie Grace, która mnie do niej zaprowadziła. — Nie przyznaje się do tego i często udaje, że słyszy, chociaż to nieprawda.

Skinęłam głową.

— Wie, że tu jesteś i bardzo chce cię poznać.

Stałam przed fotelem staruszki, a ona mi się przyglądała. Brwi miała szare i dość krzaczaste, ale oczy pod nimi były ciemne i czujne.

— Więc to pani jest tą młodą damą, o której tyle słyszałam...

— Doprawdy? Mam nadzieję, że nic niemiłego. Roześmiała się.

— Same miłe rzeczy. Czy podoba ci się tutaj, kochanie?

— Tak, dziękuję.

— Przykro mi, że nie mogłam wczoraj pań powitać. A to z powodu tego młodego lekarza. Kiedy człowiek posunie się w latach, strasznie nim komenderują.

— Ależ, babciu — zaprotestowała Grace — przecież wiesz, że nigdy byśmy na to nie pozwolili.

— Nic o tym nie wiem. Mam swoje zdanie i własną nieprzymuszoną wolę. Myślę, że już ci o tym donieśli. To nie najgorsze, co można zachować na starość.

— O, mieć własną wolę to bardzo korzystne.

— A mnie się wydaje, młoda damo, że ty nie tylko mi wierzysz, ale i sama masz charakter.

— Możliwe. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

— To dowodzi, że jednak masz charakter. Proszę usiąść i mi opowiedzieć o tym swoim dworze z epoki Tudorów. Słyszałam, że twoja rodzina mieszka tam od wieków.

— Och, tak, rzeczywiście mieszkamy tam od roku 1573. Dom jest własnością naszej rodziny od samego początku.

— To interesujące. Chciałabym, żebyśmy mogli także szczyścić się tak długą przeszłością.

— Babcia lubi wszystko, co dotyczy przeszłości, prawda? — wtrąciła Grace.

— Lubię myśleć o tych, którzy odeszli. Mam nadzieję, że zostaniesz u nas czas jakiś, kochanie, i nie uciekniesz od nas zaraz po przyjeździe.

— Zostaniemy tu około tygodnia.

— przyjdiesz jeszcze mnie odwiedzić, prawda?

— Z przyjemnością.

— Dzisiaj tylko wstąpiłyśmy, by się przywitać. Annalice przyjdzie do babci jutro — oznajmiła Grace.

— Naprawdę, kochanie? Będę na ciebie czekać z niecierpliwością.

Grace wyprowadziła mnie z pokoju.

— Jeszcze niedomaga. A wówczas staje się nieco roztargniona. Pomyślałam więc, że dziś złożymy jej tylko krótką wizytę, a na dłużej przyjdiesz do babci jutro po południu, jeżeli oczywiście będziesz chciała.

Kilkoro sąsiadów przyjechało na kolację i spędziliśmy uroczy wieczór. Następnego ranka wybraliśmy się z Raymondem na przejażdżkę. James zapowiedział, że będzie nam towarzyszył, ale kiedy ruszaliśmy już w stronę stajni, przywołała go matka i poprosiła, by udał się w jakiejś sprawie do miasta. Ona zaś w tym czasie pokaże Babci M., jak przyrządza swoje domowe specjały, a szczególnie grzane wino z korzeniami. Wybrały się do ogrodu, by zbierać przyprawę.

Jak na późny sierpień, dzień był cudowny. Pola złociły się od dojrzałej kukurydzy.

— Będą wspaniałe zbiory w tym roku — orzekł Raymond, a ja pomyślałam, że szelest wiatru wśród liści jest jak szum morskich fal i na chwilę posmutniałam, przypomniawszy sobie Filipa.

Ale to nie był poranek stworzony do smutków. Prawie już zdecydowałam, że jeżeli Raymond poprosi mnie o rękę, zgodzę się. Jeżeli nawet nie jestem w nim szaleńczo zakochana, to przynajmniej wystarczająco się do niego przywiązałam, by wyrazić zgodę. Chciałam, by nasz pobyt tutaj nigdy się nie skończył. Kiedy wrócę do domu, będzie mi ich brakowało. Próbowałam sobie wyobrazić, jak bym się czuła, gdyby dziś wieczór ogłosił, że zamierza ożenić się z inną. Wczoraj na kolacji były dwie ładne dziewczyny. Co czułam widząc, jak śmieje się i rozmawia z nimi? Czyżby lekkie ukłucie zazdrości?

Babcia M. ma rację. Moje życie z nim będzie miłe. Okazałabym nierozsądek, rezygnując z oferowanej mi przez los szansy. Głęboka, trwała miłość może narodzić się z przywiązania, które odczuwam do niego.

Wyobraziłam sobie zadowolenie obu rodzin, gdybyśmy ogłosili zaręczyny. Tego właśnie po nas oczekują i spodziewają się takiego oświadczenia... Może to nastąpi ostatniego wieczoru naszej wizyty? Potem opuszczę ten dom już jako jego narzeczona.

Zajmiemy się z Babcią M. przygotowaniem do ślubu. Tyle rzeczy trzeba będzie zrobić. Nie starczy nam czasu, by zastanawiać się, gdzie podziewa się Filip.

Tak, wydawało się bardzo prawdopodobne, że Raymond poprosi mnie o rękę, a ja powiem tak. Ale nie zrobił tego. Może wyczuł moje wahania?

Babcia Raymonda nie czuła się jeszcze najlepiej, więc nie poszłam jej odwiedzić, jak początkowo zamierzałam.

— Poczekajmy jeszcze jeden dzień — poprosiła Grace. — Szybko dochodzi do siebie. Kiedy ją widziałyśmy, nie była w najlepszej formie. Zazwyczaj jest bardziej rozmowna.

Powiedziałam Grace, że przy naszym spotkaniu nie dostrzegłam niczego szczególnego.

— Och, nie znasz naszej babci. Kiedy dobrze się czuje, potrafi być szalenie rozmowna.



Dni mijały. Odbywałam przejażdżki konne z Raymondem, Basilem, Grace. Bardzo lubiłam wieczory, gdy zasiadaliśmy w gronie rodzinnym, czasem także w towarzystwie sąsiadów. Billingtonowie lubią otaczać się ludźmi. Rozmowy zawsze toczy się wartko, a kiedy przyjeżdżają goście, rozprawia się o polityce. Słuchałam tego uważnie, bo zawsze lubię o wszystkim wiedzieć.

Tak więc byłam oczarowana całą rodziną. Obszerny, choć niepiękny, wiktoriański dom jest taki wygodny... I jest mi tu tak dobrze.

Zaczynałam wierzyć, że jeżeli nie zgodzę się poślubić Raymonda, będę tego żałować do końca życia.

Następnego poranka znowu pojechaliśmy na przejażdżkę. Był to jeden z tych cudownych dni końca lata, kiedy w powietrzu czuje się już zapach jesieni i wie się, że wrzesień nadejdzie lada dzień, przynosząc z sobą chłodne poranki i mgły w dolinach.

Zatrzymaliśmy się w gospodzie na szklanek jabłecznika. Gdy usiedliśmy, Raymond uśmiechnął się do mnie i powiedział:

— Widzę, że polubiłaś moją rodzinę.

— Któż mógłby jej nie polubić?

— Zgadza się, są dość mili.

— Nie mogę odmówić ci racji.

— Im lepiej ich poznasz, tym mocniej pokochasz. Będziesz musiała pogodzić się z roztargnieniem Grace, przekonaniem Basila, że wie wszystko, zdeterminowaniem Jamesa, by udowodnić, że on także wie najlepiej, z zagrzebywaniem się ojca w mapach, a mamy w ogrodzie, oraz moim... Nie, nie zdradzę moich wad. Mam taką nadzieję, że jeszcze długo ich nie odkryjesz.

— Stanowczo odmawiam uwierzenia w to, że twoja rodzina ma jakiegokolwiek wady. Jesteście doskonali, znakomicie się rozumiecie. Będzie nam smutno stąd odjeżdżać.

Ujął moją dłoń.

— Ale wróćcie tu... Jestem pewny, że wróćcie i zostanieie na bardzo długo.

— Jeżeli otrzymamy zaproszenie, to z pewnością tak się stanie.

Wierzę, że właśnie w tej chwili poprosiłby o moją rękę, ale właśnie wtargnęło do gospody kilku hałaśliwych gości. Głośno rozprawiali o pogodzie i jakimś balu myśliwskim, i najwyraźniej chcieli nas wciągnąć do tej rozmowy.

Tym razem Raymond był najbliższy oświadczyn. A ja byłam przekonana, że nastąpią one, zanim wyjedziemy. I byłam też pewna swojej odpowiedzi. Powiem mu, że chcę zostać jego żoną. Uczyniłabym to, gdyby nie pojawiła się pewna przeszkoda.

Poszłam po raz drugi do babci Raymonda. Zdawało się, że mnie polubiła. Siedziała naprzeciw mnie, przyglądała mi się uważnie, a jej pełne życia oczy nie odrywały się od mojej twarzy.

Powiedziała, że jest dumna ze swojej rodziny i z tego, co osiągnęli.

— Teraz nasze nazwisko jest poważane w świecie kartografów.

— To prawda — zgodziłam się. — Nazwisko mojej rodziny również. Właśnie to zbliżyło mnie i Raymonda. Ale przecież pani o tym słyszała.

Skinęła głową.

— Zawsze to samo. Ciągle jakieś mapy. Cóż, są z nich pieniądze. Ten dom został zbudowany za pieniądze zarobione na mapach.

— Rzeczywiście, to całkiem dochodowy interes. Oczywiście sporo w tym ryzyka i trudu, szczególnie w badaniach poprzedzających sporządzenie mapy.

Uśmiechnęła się.

— Słyszałam, że wywodzisz się ze starej rodziny, że twoi przodkowie znani byli już za czasów królowej Elżbiety.

— Tak, to prawda. Moja babcia zawsze powtarza, że nasi przodkowie żeglowali jeszcze z Francisem Drakiem.

— Chciałabym, żeby i moja rodzina miała taką chwalebą przeszłość. Billingtonowie to nazwisko nabyte. Ten dom zbudował mój ojciec. Ale nie miał męskiego potomka. Jedynym jego dzieckiem byłam ja, dziewczynka. To oznaczało wygaśnięcie rodowego nazwiska. Wyszłam za mąż za Josepha Billingtona i taki był początek Billingtonów.

— Rozumiem.

— Myślałam kiedyś o sporządzeniu naszego drzewa genealogicznego. Zaczęłam nawet je wyszywać. Ale moje oczy nie są już sprawne. Haftowanie sprawia mi trudności. A poza tym ślady urywają się na moim ojcu, więc cóż to byłoby za drzewo genealogiczne! Myślę, że twój rodowód jest ci bardziej znany.

— Nigdy o tym nie myślałam. Może gdzieś w domu są jakieś dokumenty. Poszukam ich, gdy wrócę.

— Ja zawsze gromadzę te stare metryki. Chciałabym na przykład wiedzieć, kto był ojcem mojego ojca. Bo jego matka dwa razy wychodziła za mąż... Po raz drugi już po urodzeniu mojego ojca. Nie wiemy nic o jej pierwszym mężu. Pokażę ci mój haft. Oczywiście, jeśli chcesz go obejrzeć.

— Oczywiście.

— Ta szkatuła... na półce. Jest tam, razem z kolorowymi motkami jedwabiu. Pisałam imiona ołówkiem, a potem je wyszywałam. Ponieważ miało to być drzewo genealogiczne, więc zaczęłam od korzeni.

— Doskonały pomysł z tym wyszywaniem.

— Tak, ale niewiele tego jest. Sięga zaledwie stu lat wstecz.

— Tak czy inaczej, bardzo chciałam je obejrzeć. Postawiłam szkatułę na stole, a babcia Raymonda wyjęła z niej spory kawałek płótna.

— O, popatrz tu: Frederick Gilmour. To mój ojciec. Ale na tym ślad się urywa, nie wiem, kto był jego ojcem, poza tym, że musiał to być jakiś pan Gilmour. Jego matka miała na imię Lois. Najpierw była panią Gilmour. Potem wyszła za mąż za George'a Mallory'ego.

Poczułam, że brak mi powietrza.

— Freddy Gilmour!... — zawołałam tylko.

— Frederick Gilmour, kochanie. To był mój ojciec. Gdybym tylko zdołała dowiedzieć się czegoś więcej o jego ojcu...

— Lois Gilmour — powtórzyłam — wyszła więc po raz drugi... za George'a Mallory'ego!

Słowa z pamiętnika stanęły mi przed oczami. Zupełnie jakbym znowu go czytała. Te imiona wszystko wyjaśniły. To nie może być wyłącznie zbieg okoliczności, że pradziadkiem Raymonda był Freddy z pamiętnika Ann Alice. W myśli robiłam pośpieszne obliczenia. Ile lat miał Freddy, gdy pojawił się w naszym dworze? Siedem, osiem? Babcia Raymonda urodziła się w roku 1810, skoro teraz ma lat osiemdziesiąt. Freddy miałby wtedy lat około dwudziestu pięciu. Zgadzało się!

— Co się stało, kochanie? Nagle umilkłaś, jakby coś tobą wstrząsnęło.

— Właśnie coś odkryłam. Jeden z moich przodków ożenił się z Lois Gilmour. Nazywał się George Mallory.

— To znaczy, że ty jesteś jedną z Mallorych?...

— Tak. Czyżby pani o tym nie wiedziała?

— Ach, mój Boże! Nie dosłyszałam twojego nazwiska. Zawsze mówią o tobie Annalice.

— Nazywam się Annalice Mallory. Nasze rodziny są więc od stu lat w ten sposób powiązane. Co stało się z Lois Gilmour, czyli z późniejszą panią Mallory?

— Nie wiemy. Tu też jest luka. Mój ojciec Frederick z powodzeniem zajmował się mapami i ich drukiem. Dobrze mu szło. Zbudował nawet ten dom. I ja tu przyszłam na świat. Potem

wyszłam za Josepha Billingtona i mój mąż tu się sprowadził. Po śmierci ojca odziedziczyłam ten dom, przedsiębiorstwo i wszystko inne. Tyle że od tamtej pory mieszkają tu Billingtonowie.

— To takie niezwykle — powiedziałam. — Jestem naprawdę oszołomiona.

— Cóż, myślę, że gdyby udało nam się cofnąć w mrok czasu, pewnie by się okazało, że wszyscy jesteśmy spowinowaceni. Pomyśl, ilu ludzi żyło kiedyś, a ilu żyje obecnie. Wszyscy mamy krewnych, o których nie słyszeliśmy. A więc w twojej rodzinie mówiło się o moim ojcu?

— T—tak. Wiem, że mój prapradziadek zawarł małżeństwo z Lois Gilmour, a Frederick Gilmour przez jakiś czas mieszkał w naszym dworze. Nie wiem tylko, co było później, dokąd się udał i czy jego matka została u nas. Nie wiem nic... oprócz tego, że Frederick u nas przez jakiś czas mieszkał.

— No cóż, są więc jakieś powiązania. Proszę, spójrz. Moje drzewo genealogiczne zaczyna się od Fredericka. Tu jest Lois Gilmour, jego matka. Ale nie wiem nic o jej pierwszym mężu, ojcu mojego ojca. Nie zaznaczyłam też jej drugiego małżeństwa, bo nie wydawało mi się istotne, skoro nie miała z drugim mężem dzieci. A tutaj jestem ja, jako jedyna córka Fredericka i Ann Grey, mojej matki. Ponieważ wyszłam za mąż za Josepha Billingtona, od niego się wszystko zaczęło.

Patrzyłam na równe krzyżyki haftu i przez cały czas słowa pamiętnika zdawały się odbijać echem w moich myślach, tańczyły mi przed oczami: *Sprowadziłaś naszego małego bękarta. Udało ci się to bez trudu.*

Mogłam ujawnić starej pani Billington, kto był jej dziadkiem. Była jednak tak zaabsorbowana swoim drzewem genealogicznym, że nie dostrzegła mojego roztargnienia.

Kiedy się pożegnałyśmy, udałam się wprost do swojego pokoju.

A więc nasze rodziny są z sobą związane, myślałam. Praprababka Raymonda była żoną mojego prapradziadka.

Nie chciałam jej o tym mówić, bo jak by się poczuła, gdybym jej ujawniła, że znalazłam pamiętnik Ann Alice... Nie mogłam też powiedzieć o tym Raymondowi, bo jak by to zabrzmiało, gdybym rzekła: twój prapradziadek był przestępcą i mordercą, a twoja praprababka współbrodniarką. Jakże bym mogła tak postąpić? O takich rzeczach najlepiej milczeć. Jeżeli zaczniemy grzebać w przeszłości, kto wie, co odkrywemy. Niektóre tajemnice powinny pozostać tajemnicami na zawsze.

Nikomui więc o tym nie wspomniałam.

\* \* \*

Miałyśmy wyjechać za dwa dni. Pani Billington zapowiedziała, że ostatniego wieczoru urządzi przyjęcie rodzinne. Domyśliłam się, że wszyscy czekają na ogłoszenie naszych zaręczyn. W całym domu panowało ożywienie.

Raymond i ja znów wybraliśmy się na przejażdżkę. Był nieco bardziej milczący niż zwykle.

W gospodzie przy szklaneczce jabłecznika poprosił mnie o rękę.

Patrzyłam na jego miłą twarz i nagle wydało mi się, że z cienia wychynęła złowroga twarz Desmonda Featherstone'a. Poczułam gwałtowną odrazę.

Czytając pamiętnik Ann Alice, razem z nią przeżywałam jej udreki. Po zapadnięciu zmroku wyobrażałam sobie ciągle jeszcze obecność Desmonda Featherstone'a w naszym dworze i, może nieco mniej odczuwalną, obecność Lois. A krew tych dwojga płynie w Raymondzie, był przecież w prostej linii ich potomkiem.

Jestem nierozsądna, to oczywiste. Sądzenie dzieci za postęпки ojców zawsze wydaje mi się niesprawiedliwe. Czy możemy brać na siebie odpowiedzialność za czyny naszych przodków? Jak daleko w przeszłość należy się oglądać? Ale to tkwiło we mnie głęboko i nic nie mogłam poradzić.

Może gdybym naprawdę kochała Raymonda, roześmiałabym się tylko i zadała sobie pytanie, co przeszłość ma wspólnego z terażniejszością. Teraz jednak się wahałam.

— O co chodzi? — spytał łagodnie Raymond.

— Nie jestem pewna swoich uczuć — wyznałam. — Małżeństwo to taka poważna sprawa. Na całe życie. Wydaje mi się, że znamy się za krótko.

— A czy nie sądzisz, że wiemy już o sobie wszystko, co powinniśmy? Jest nam razem dobrze, nasze rodziny się polubiły.

— To prawda. Ale to nie wystarczy.

— To znaczy, że mnie nie kochasz?

— Przywiązałam się do ciebie. Lubię z tobą przebywać. Wszystko tutaj wydaje mi się takie... przyjazne, miłe, ale wciąż jeszcze nie mam pewności.

— Pośpieszyłem się z pytaniem?

— Może.

— Potrzebujesz nieco czasu do namysłu.

— Tak, wydaje mi się, że właśnie tego mi trzeba. Uśmiechnąłem się łagodnie.

— Rozumiem. Będziemy się często widywać. Ja przyjadę do ciebie, ty mam nadzieję, będziesz u nas częstym gościem. Pragniesz mieć nieco więcej czasu do namysłu.

Nie była to cała prawda. Gdyby oświadczył się kilka dni wcześniej, jestem pewna, że bym się zgodziła. Ale rewelacje odkryte w pokoju jego babki wstrząsnęły mną głęboko i teraz nie potrafiłam zapomnieć, że ten młody człowiek — chociaż tak miły — Jest potomkiem dwojga morderców moich przodków.

Ale jednocześnie nie chciałam stracić przyjaźni Raymonda. Lubiłam jego towarzystwo. Wszak to z nim spędziłam najszcześniejsze dni od czasu wyjazdu Filipa. Wiedziałam, że postępuję nierozsądnie, odwracając się od tak dobrej partii. Pocieszałam się jedynie tym, że po jakimś czasie mój rozsądek zwycięży. W tej chwili jednak nie mogłam wykrztusić ni słowa.

Wyczuwałam rozczarowanie domowników. I dlatego byłam właściwie zadowolona, że wyjeżdżamy następnego dnia.

Kiedy wszyscy udali się na spoczynek do mojego pokoju przyszła Babcia M.

Czesalam właśnie włosy, rozpamiętując wydarzenia całego dnia. Słyszałam rozmowy przy kolacji, widziałam uśmiechy, czułam nastrój wyczekiwania. Kolacja dobiegła jednak końca i nic się nie wydarzyło — rozmawialiśmy jedynie o naszym jutrzejszym wyjeździe. Napięcie gwałtownie opadło.

Babcia M. usadowiła się w fotelu i, zgodnie z ze swymi zasadami, od razu przeszła do rzeczy.

— Spodziewałam się, że Raymond poprosi cię o rękę.

— Poprosił.

— A ty odmówiłaś!...

— Niezupełnie. Nie mogłam powiedzieć „tak”. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek się na to zdobędę.

— Moja droga dziewczyno, musiałaś stracić rozum! Pokręciłam przecząco głową.

— Tak naprawdę... to poprosiłam o trochę czasu do namysłu.

— Czasu! Nie jesteś już dzieckiem.

— Droga babciu, doskonale zdaję sobie sprawę z mojego Podeszłego wieku.

— Nie pleć bzdur! Powiedz, co się stało?

— Poprosił mnie o rękę, a ja odpowiedziałam, że nie jestem przygotowana. Babciu, muszę ci coś wyznać. Chodzi o pamiętnik.

— Pamiętnik? Mówisz o pamiętniku Ann Alice?

— Tak. Dokonałam wstrząsającego odkrycia. Babcia Raymonda opowiedziała mi o swojej rodzinie. Babcia Raymonda nazywa się z domu Gilmour i wyszła za mąż za Billingtona. Właśnie wtedy zmieniło się ich rodowe nazwisko.

— Więc to pani Gilmour!...

— Pamięta babcia Lois Gilmour z pamiętnika? To ona była babką babki Raymonda. A jej ojcem był Freddy... chłopiec, którego Lois Gilmour przywiózł do dworu.

— Aż trudno uwierzyć!...

— Z początku i mnie wydawało się to niezwykłym zbiegiem okoliczności. Ale po zastanowieniu znalazłam prostą odpowiedź. Freddy interesował się bardzo pracownią map Mallorych, prawda? Ann Alice o tym wspomina. Zajął się więc mapami jako dorosły mężczyzna. Sądzę, że wyrastał z dala od Mallorych. Doszłam do wniosku, że tak właśnie musiało być. Charles Mallory, brat Ann Alice, został uratowany z katastrofy morskiej, wrócił do Anglii, zamieszkał we dworze i jako dziedzic przejął schedę. Co wówczas stało się z Lois? Trudno to dziś ustalić. Może wyjechała, kiedy wrócił Charles? Ciekawe, czy Freddy długo u nas pozostał. Tak czy inaczej, stał się kartografem, co zrozumiałe, skoro w dzieciństwie naoglądał się tylu map.

— I teraz... znów się spotkaliśmy!...

— Cóż, to też zrozumiałe. Jeśli się nad tym zastanowić, to nawet naturalne. Zajmujemy się tą samą profesją. Kartografowie zjeżdżają się z całego kraju, by wziąć udział w naradzie. Można przyjąć, że przybyli najlepsi z kraju i zza granicy. Nic nadzwyczajnego, że się spotkaliśmy. Zważywszy to wszystko, trudno doszukać się w tym przypadku.

— Racja — przyznała Babcia w zamyśleniu. — A więc Raymond wywodzi się od tej Lois Gilmour...

— Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Wszystko się zgadza. Rodzina, czas i fakt, że Lois Gilmour stała się panią Mallory.

— Co powiedziałaś babci Raymonda?

— Tylko tyle, że jesteśmy z tych samych Mallorych i że drugi mąż Lois Gilmour był naszym przodkiem. Nie zdradziłam, że nie istniał żaden pierwszy mąż i że ojciec Freddy'ego był mordercą.

— Ale chyba ten Raymond nie jest naszym krewnym?

— Oczywiście, że nie, choć zachodzą pewne powiązania. A Desmond Featherstone... ten potwór... jest jego przodkiem.

— Czy wspomniałaś o tym, co jest w pamiętniku?

— Nie, oczywiście, że nie.

— Nie rób tego! Ośmielę się twierdzić, że jeżeli rozejrzemy się po historii naszego rodu, też znajdziemy łotrów i łajdaków. Ale lepiej o nich nie wiedzieć. Ten Featherstone był naprawdę strasznym potworem... O ile Ann Alice nie poniosła oczywiście wyobraźnia. Skąd pewność, że nie wymyśliła wszystkiego?

— Przecież umarła tamtej nocy. Pokój został zamurowany. Wiem, że mówi prawdę. Zapisywała to, co widziała albo słyszała. Nie wymyśliłaby tego wszystkiego.

— Istotnie, to żadna przyjemność dowiedzieć się, że prapradziadkowie byli mordercami. Ja też nie powiem nikomu o tym, co wyczytałam w pamiętniku. To nie ma nic wspólnego z teraźniejszością.

— Wiem o tym, ale postać Desmonda Featherstone'a wciąż mnie prześladowa. Kiedy patrzę na Raymonda, widzę tamtego. Dlatego nie zgodziłam się zostać jego żoną. Nie potrafię zapomnieć, że tamtych dwoje było jego prapradziadkami.

Babcia M. spoglądała na mnie z powątpiewaniem.

— Doznałaś wstrząsu — uznała. — Spadło na ciebie tak nieoczekiwanie... to nagłe odkrycie. Wkrótce spowszednieje. Wszyscy jesteśmy rozczarowani. W każdym razie odłożenie na jakiś czas twoich zaręczyn nie przyniesie nikomu szkody. W odpowiednim czasie podejmiesz słuszną decyzję. — Ucisnęła mnie. — Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś. Wyśpij się teraz dobrze, a jutro rano ruszamy w drogę.

Tej nocy prześladowały mnie przykre, ponure sny. Znajdowałam się w tamtym pokoju... w pokoju, który był zamurowany przez prawie sto lat. Drzwi były zamknięte. W zamku tkwił olbrzymi klucz. Usłyszałam kroki na schodach. Ktoś chciał otworzyć drzwi. Nie odrywałam wzroku od klucza. Drzwi były mocno zamknięte. Aż nagle rozległ się głośny huk i otworzyły się z impetem. Do środka wdarł się mężczyzna. To był Raymond. Wyciągnęłam do niego ramiona. Ale kiedy się do mnie zbliżył, jego twarz się zmieniła. Była to twarz Desmonda Featherstone'a. Krzyknęłam.

I ten krzyk mnie obudził.

Wpatrywałam się w ciemność.

Jeżeli wyjdę za niego za mąż, będą mnie często prześladowały takie sny. We własnym mężu zacznę upatrywać złoczyńcy.

Bałam się zasnąć, by sen nie powrócił. Zapadłam jednak w drzemkę, a kiedy się obudziłam, zobaczyłam pokojówkę z gorącą wodą. Czas wstawać.

## *Amsterdam*

Wróciłyśmy do domu w ponurych nastrojach. Od Filipa nadal nie nadszedł list. Dom wydawał się martwy. Nigdy przedtem nie zauważyłam, że jest aż tak cicho. Kiedy Filip przebywał z nami, było tu więcej życia. Teraz wróciłyśmy do naszej tęsknoty za nim, świadome pustki, jaką zostawił jego wyjazd. Wróciłyśmy do wspomnień, do wyczekiwania na wiadomość, która nie nadchodziła.

Wieszając sukienki w szafie, wspominałam chwile, kiedy je nosiłam, te kolacje, rozmowy przy stole. Chciałabym wciąż jeszcze przebywać u Billingtonów. Postąpiłam nierozsądnie. Może powinnam się zgodzić zostać żoną Raymonda. Chyba go kocham, skoro tak mi go brak. Kiedy byłam w jego domu, nie myślałam wciąż o Filipie. Teraz cała tęsknota, cały niepokój wróciły.

Gdybym powiedziała Raymondowi „tak”, myślałabym teraz o przygotowaniach do zbliżającego się ślubu. Babcia M. i ja snułybyśmy ekscytujące plany.

Poszłam do pokoju Ann Alice.

Gdybym nie znalazła twojego pamiętnika, wszystko potoczyłoby się inaczej — zwróciłam się w myślach do Ann Alice, jakby była przy mnie. — Filip nie uparłby się, że musi odnaleźć tę wyspę. Wciąż byłby tu z nami, ja przygotowywałabym się do ślubu z Raymondem. Wszystko w moim życiu zmieniłaś, Ann Alice.

Odpowiedziała mi cisza... Nic... oprócz cichego jęku wiatru wśród liści cisu, rosnącego tuż przed na nowo przebitym oknem. Wyobrażałam sobie, że wśród szeptów wiatru słyszę głosy. Ale przecież w tym pokoju zawsze ponosiła mnie wyobraźnia.

Babcia ma chyba rację. Przeszłość minęła. Niemądrze jest pozwalać jej oddziaływać na teraźniejszość. Odkrycie, że przodkowie Raymonda zetknęli się z moimi w tak tragicznych okolicznościach, było wstrząsem. Jego dziadkowie zamordowali Ann Alice, a Freddy... Ale mały Freddy wydawał się Ann Alice czarującym malcem. Raymond jest chyba podobny do Freddy'ego.

Siedziałam blisko okna, myśląc o Ann Alice, gdy nagle usłyszałam kroki na schodach. Powoli, z trudem, zbliżały się korytarzem. Siedziałam, wpatrując się w drzwi. Widziałam, jak powoli porusza się klamka. Jeszcze raz przeżywałam to wszystko, o czym przeczytałam w pamiętniku. Między mną a tamtą dziewczyną z pewnością istnieją jakieś mistyczne powiązania.

Powoli drzwi się uchylily. Krzyknęłam cichutko, kiedy do pokoju weszła Babcia M.

— Znowu tutaj! — stwierdziła. — Wyglądasz na śmiertelnie przerażoną. Nie jesteś lepsza niż służba z tymi jej duchami... tylko że oni mają dość rozumu, by trzymać się z dala od tego pokoju.

Weszła, usiadła na łóżku i w tej samej chwili pokój znowu stał się normalny.

— Co ty robisz? Ciągłe tu przesiadujesz. Chyba każę zamknąć ten pokój.

— Coś zmusiło mnie, żebym tu przyszła — odpowiedziałam. — Gdy usłyszałam babci kroki na schodach, przez chwilę mi się wydawało...

— Myślałaś, że on nagle zmartwychwstał?! Doprawdy, dziecko, musisz z tym skończyć. To przecież bzdury. Dręczysz się czymś, co istnieje tylko w twojej wyobraźni. Gdyby nie ta burza...

— Często to sobie powtarzam: gdyby nie ta burza...

— Cóż, powtarzanie tego nie ma już teraz sensu. Stało się i już. Dlaczego tu wciąż przychodzisz? Chyba zaczynasz mieć obsesję po tym wszystkim, co wyczytałaś w pamiętniku.

— zrozum, babciu, najpierw znalazłam jej grób... potem pamiętnik, a teraz to odkrycie, że Freddy jest pradziadkiem Raymonda. To wygląda, na jakiś z góry powzięty plan.

— Rzeczywiście, wszystko układa się bardzo logicznie, kochanie. Już się przecież z tym zgodziłaś. To całkiem oczywiste, że Freddy zajął się produkcją map, które tak go zafascynowały w dzieciństwie. Co się stało z jego rodzicami, nie ma już znaczenia. To zamknięty rozdział. Ludzie robili wówczas mnóstwo rzeczy, o których nigdy się nie dowiemy. Spotkałyśmy Raymonda, bo on, tak jak i my, zajmuje się mapami, a niewiele osób tym się para, więc nie ma w tym nic niezwykłego. W ogóle w tym wszystkim nie ma absolutnie nic tajemniczego. Wybij to sobie z głowy. Masz bujną wyobraźnię, a to czasami niedobrze. Kiedy pomyślę, że odmówiłaś Raymondowi ręki z powodu jakiś dziwacznych wymysłów... zaczynam się zastanawiać, czy dobrze cię wychowałam. Naprawdę. Filip też wyjechał w świat goniąc za jakąś zjawą...

Babcia M. umilkła. Popatrzyłyśmy na siebie. Podeszłam do niej i przytuliłyśmy się do siebie.

Odsunęła się prawie natychmiast. Babcia M. nie lubi okazywać uczuć.

— Mamy za sobą bardzo miłą wizytę — powiedziała. — Ale teraz wróciłyśmy do domu i brak nam tego wszystkiego. Zaproszę Raymonda do nas na sobotę i niedzielę. Ale nie ściągnę tu — taJ jego brata i ojca. Oczekują ich przecież w domu w hrabstwie Buckingham. Jestem pewna, że wszyscy będą zadowoleni i dobrze to rozumieją, jeśli zaproszę do nas samego Raymonda. Ty też będziesz zadowolona, prawda?

Przyznałam, że tak.

„Powinnaś częściej go widywać. I pozbyć się tych okropnych fantazji. Może wtedy odzyskasz rozsądek.

— Mam nadzieję, że tak, babciu.

— Ja też, moje drogie dziecko.

\* \* \*

Raymond często bywał w naszym domu. To, że spędzał z nami soboty i niedziele, weszło niemal w zwyczaj. Powiedział, że jego rodzina byłaby zachwycona, gdybyśmy odwiedziły ich jeszcze raz.

Chociaż również tego pragnęłam, wciąż jeszcze nie miałam pewności co do swoich uczuć, a nie chciałam znowu znaleźć się w tej atmosferze pełnej wyczekiwania. Wydawało się to nieuczciwe wobec Raymonda, który jest tak łagodny i pełen zrozumienia, że niekiedy mam ochotę mu powiedzieć: „Już dobrze, zostanę twoją żoną”.

Mogłam rozmawiać z nim na każdy temat... oprócz jednego, czyli mojej wiedzy o przestępstwach jego przodków. O tym nie mogłam mówić i aż do mojej śmierci będę musiała zatrzymać to w tajemnicy. Czasami, kiedy zastanawiam się nad tym w świetle dnia, wszystko wydaje mi się naprawdę bezsensowne. Ale wciąż czuję ten okropny strach, że ujrzę zamiast jego — twarz Desmonda Featherstone’a. Nie opuszczało mnie to przedziwne uczucie, że Ann Alice mnie ostrzega.

Oczywiście to zupełny nonsens. Po prostu dręczy mnie obsesja na punkcie znalezionej mogiły, zamkniętego pokoju i pamiętnika, który tak wiele wyjaśniał.

Czasami wydawało mi się, że poślubienie Raymonda jest możliwe, ale potem przychodziły te sny... przerażające sny, zwłaszcza ten, który się powtarzał, ten, w którym byłam zamknięta w pokoju, słyszałam kroki na schodach, a potem wchodził Raymond i przemieniał się w Desmonda Featherstone’a.

Jakis głos wewnętrzny mówił mi: „Jeszcze nie. Jeszcze poczekaj”. Gdy moja wyobraźnia była bardziej rozbudzona, wydawało mi się, że to Ann Alice do mnie mówi.

Nadszedł październik. Mijał już rok od wyjazdu Filipa — Obie z Babcią M. obawiałyśmy się tej rocznicy. Babcia dopilnowała, by Raymond był tego dnia z nami. Muszę przyznać, że to nam znacznie pomogło.



Na święta zostałyśmy zaproszone do Billingtonów i wyjechałyśmy tam. Spędziłyśmy wspólnie Boże Narodzenie.

Zawarłyśmy z Babcią M. rodzaj niepisanej umowy. Żadna z nas nie wspominała Filipa. Jak można się było spodziewać, tradycji stało się zadość. W kominkach huczał ogień. Była obfitość świątecznych potraw i mnóstwo uciech, w których uczestniczyli także sąsiedzi.

W drugi dzień świąt wszyscy młodzi Billingtonowie wraz ze mną wyruszyli na konną przejażdżkę. Grace, Basil i James swoim stałym zwyczajem gdzieś się wkrótce zapodzielili, a ja i Raymond zostaliśmy sami.

Byłam tak szczęśliwa, jak tylko można to sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę rosnący niepokój o brata. Raymond rozumiał to i sam zaczął rozmowę na dręczący mnie temat. Nie próbował mnie uspokajać. Wierzę, że zaczynał myśleć, iż mojego brata spotkało jakieś nieszczęście i chciał, bym była przygotowana na złe wiadomości.

Był piękny, mroźny dzień. Konie rwały naprzód, pozwoliliśmy im galopować przez łąki, ściągając wodze dopiero, gdy dojechaliśmy do żywopłotu.

— Masz ochotę na jabłecznik? — spytał Raymond.

Odpowiedziałam, że tak. W gospodzie będzie pewnie nastrojowo i pusto w drugi dzień świąt. Może jeszcze raz poprosi mnie o rękę. Miałam nadzieję, że jednak nie, bo wciąż jeszcze nie byłam pewna.

W gospodzie na kominku palił się ogień, przy oknie stała choinka, a na ścianach pozatykano za obrazki gałązki jemioly. Prócz nas nie było nikogo.

Gospodarz przyniósł zamówiony jabłecznik.

— Niewielu gości dziś do mnie zagląda — powiedział. — Wolą grzać się przy własnych kominkach.

Raymond uniósł kieliszek.

— Za nas, a zwłaszcza za ciebie, Annalice. Mam nadzieję, że niedługo otrzymasz jakieś dobre wieści. Posmutniałam. — To już tyle czasu! Skinął głową.

— To było w październiku ubiegłego roku. I tylko jeden list od tamtej pory. Coś musiało się wydarzyć. Inaczej Filip napisałby, bo wie, jak się niepokoimy.

Raymond milczał, wpatrując się w swój kieliszek.

— Chciałabym tam pojechać — oznajmiłam nagle. — Na południowy Pacyfik. Chciałabym sama się przekonać...

— Pojechać tam!... — Odstawił kieliszek. — Chcesz powiedzieć, że pojedziesz tam sama?!...

— A dlaczego by nie?

— To daleka i niebezpieczna podróż. I

— Mieliśmy już nieustraszone kobiety podróżniczki. Niektóre dotarły nawet do bardzo oddalonych krain.

— Naprawdę chciałabyś tam pojechać?

— Myślę o tym już od jakiegoś czasu.

— I dlatego nie chcesz mnie poślubić?

— Nie jestem pewna. To nie dlatego, że cię nie kocham. Kocham cię. Ale nie jestem pewna, czy jestem zakochana, a to zupełnie co innego, przynajmniej ja tak myślę. Wydaje mi się, że lepiej jest kochać, niż być zakochanym.

— Tak, to bardziej trwale. Sądzę, że zakochanie często szybko mija. Ludzie łatwo się zakochują, dlatego więc nie mieliby się odkochiwać z jednakową łatwością?

— A ty mnie kochasz czy jesteś we mnie zakochany?

— Jedno i drugie.

— Raymondzie, jesteś taki dobry, a ja taka głupia.

— Nie. Chcę, byś miała pewność co do swoich uczuć. Rozumiem cię.

— Jesteś najbardziej wyrozumiałą osobą, jaką znam. Rozumiesz też to, co mnie wiąże z Filipem, prawda?

— Tak, sądzę, że tak.

— Nie potrafię się uspokoić. Chcę wiedzieć. Jeśli stało mu się coś złego, muszę o tym wiedzieć. Wtedy pogodzę się z losem i może po jakimś czasie nauczę się z tym żyć. Nie potrafię natomiast znieść niepewności.

— To zrozumiałe.

— I nie myślisz, że jestem głupia, bo mam dość tej bezczynności tak bardzo, że chcę tam popłynąć?

— Uważam, że to zupełnie naturalne. Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo.

— Och, kocham cię! Jesteś taki rozsądny!

— Dziękuję.

— I myślę, że zostanę twoją żoną... za jakiś czas. Oczywiście, o ile wciąż będziesz mnie chciał, kiedy już będę do tego związku gotowa.

— Poczekam na ciebie.

Byłam tak wzruszona, że odwróciłam głowę. Pochylił się w moją stronę.

— Myślę, że to nam przeszkadza. Twój niepokój o brata. Gdyby wrócił do domu, odzyskałabyś spokój, a gdybyś wiedziała, że stało się najgorsze, zwróciłabyś się do mnie po pociechę.

— Możliwe. Prawie cały czas o nim myślę. Czasami wydaje mi się, że nigdy się nie dowiem, co się z nim stało. I nigdy nie będę mogła popłynąć na jego poszukiwanie. Jest przecież Babcia M. Nie mogę zostawić jej samej, prawda?

— Szkoda, że jest was tylko dwoje. Gdyby twoja rodzina była liczniejsza...

— Mam jeszcze dwóch braci i siostrę. Ale jest to oczywiście moje przyrodnie rodzeństwo. Mieszkają w Holandii.

— Tak, pamiętam. Twój ojciec powtórnie się ożenił.

— Babcia M. była na niego oburzona, bo porzucił mapy i zajął się handlem. — Nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu. — Ale myślę, że tak naprawdę boli ją to, że ma w Holandii wnuki, których nawet nie zna.

— Kiedy wyjdiesz za mnie za mąż, też będziesz musiała ją opuścić.

— Tak, ale to co innego. Ona chce, bym została twoją żoną. Sądzi, że to byłoby doskonale. Nie mieszkamy przecież daleko siebie, poza tym ma nadzieję na prawnuki. Może się wydaje raczej oschła, ale naprawdę bardzo kocha dzieci. Poza tym lubi myśleć o ciągłości rodziny i tak dalej.

— To wielka szkoda, że nawet nie znasz przyrodniego rodzeństwa.

— Mieszkają w Amsterdamie. Ojciec pisuje do nas od czasu do czasu i to wszystko. Jesteśmy tak daleko od siebie, a ja zabrałam mojej matce życie, kiedy się urodziłam, więc widocznie wspomina mnie z bólem. Doskonale wiem, co czuje.

— To błąd, jeżeli rodziny są rozdzielone, chyba że nie mogą wytrzymać razem. Ale to mi wygląda raczej na obustronną bierność.

— Właśnie tak. Nie ma między nami niechęci... nic takiego po prostu zwyczajna bierność.

— Gdyby tamte wnuki przyjechały na jakiś czas do babci M, twoja wyprawa mogłaby dojść do skutku.

— Wysłunięto by z pewnością wiele sprzeciwów, ale poradziłabym z tym sobie, gdybym wiedziała, że ktoś z nią zostanie Och, tak bym chciała, żeby Filip wrócił do domu.

— Wypijmy za to — powiedział.

Nasze spojrzenia spotkały się nad szklankami. Tak, kocham go, pomyślałam. Któż inny mógłby być dla mnie tak dobry, tal delikatny, tak pełen zrozumienia.

Ależ ja jestem głupia, pomyślałam. Ale od razu napłynęły też inne refleksje. Właśnie w gospodzie, dość podobnej do tej, Ann Alice zobaczyła po raz pierwszy Desmonda Featherstone'a. Siedzieli przy takim samym stole. Dokładnie pamiętałam ten opis.

Może kiedyś zdołam zdusić te wspomnienia.

Wierzyłam, że tak będzie... za jakiś czas.

\* \* \*

W lutym Raymond oznajmił z poważną miną:

— W marcu wyjeżdżam za granicę — powiedział. — Razem z ojcem. Udajemy się na kontynent... do Francji, Niemiec i Holandii. To podróż w interesach, odbywamy je regularnie.

— Będzie nam pana brakowało — powiedziała Babcia M.

— Na jak długo wyjeżdżacie? — spytałam.

— Myślę, że na miesiąc.

Perspektywa spędzenia miesiąca bez towarzystwa Raymonda da rysowała się przynębiająco.

— Grace też chce z nami jechać — ciągnął Raymond.

— Grace! — wykrzyknęła Babcia M.

— My... nasza rodzina... wyznajemy zasadę, że dobrze jest, jeśli dziewczęta, podobnie jak chłopcy, zobaczą kawałek świata. Myślę, że uda jej się przekonać ojca. Zazwyczaj jej ulega. Ojciec martwi się jednak, że musiałyby dość często przebywać sama... kiedy my będziemy załatwiać interesy. Gdyby ktoś dotrzymywał jej towarzystwa... Zastanawialiśmy się, czy może Annalice nie zechciałyby pojechać z nami.

Wpatrywałam się w niego. Nagle poczułam się bardzo szczęśliwa. Wyjechać... zapomnieć na jakiś czas... podróżować. Zawsze chciałam zobaczyć kawałek świata, odwiedzić te kraje, które dotąd były dla mnie tylko jasnozielonymi albo brązowymi plamami na naszych mapach...

A. potem pomyślałam o Babci M. Spojrzałam na nią. Jej twarz nie wyrażała zupełnie nic.

— Myślę, że gdyby zgodziły się panie na ten wyjazd — kontynuował Raymond — problem Grace byłby rozwiązany. Nie może się już doczekać na twoją odpowiedź — powiedział do mnie, a następnie zwrócił się do Babci M. — Wiem, że bardzo tęskniłaby pani za Annalice. Matka proponuje, by zamieszkała pani na ten czas u nas. Wie pani, jak ona kocha swój ogród i kuchnię. Chciałaby z kimś o nich rozmawiać.

Zapadła cisza. Nie śmiałam spojrzeć na Babcie M., zdradziłabym swoje uczucia.

— Nie sądzę, bym mogła wyjechać na cały miesiąc — stwierdziła Babcia M. — Jest przecież sklep.

— Nasz zostawiamy w rękach zarządców — odparł Raymond. — Wasz Benjamin Darkin wydaje się bezcennym skarbem. Żałuję, że nie pracuje dla nas. Czasami mam ochotę go ukraść.

— Myślę, że taka podróż dobrze zrobiłaby Annalice — oświadczyła po chwili namysłu Babcia M.

Podeszłam do niej i ucałowałam ją. Nie mogłam się powstrzymać.

— Babcia jest taka dobra! — zawołałam. — Taka bardzo dobra...

— Nonsens — odparła. — Włóczenie się po świecie... Nie wiem, czy to odpowiednie zajęcie dla młodej dziewczyny.

— Będę w dobrych rękach.

— Chodź i usiądź, Annalice. Co pan Raymond o nas pomyśli; Widziałam, że jej oczy już się skrzę od powstrzymywanych łez. Chciałam powiedzieć: „Płacz, babciu. Kocham cię za to”. Raymond zachował niewzruszony spokój. W żadnej sytuacji nie okazywał nawet cienia zdziwienia.

— Mój ojciec często podróżuje — powiedział, jakby ta rzewna scena w ogóle nie miała miejsca. — To ważna część prowadzenia interesów. A więc wszystko ustalone? Czy mogę powiadomić Grace, że będzie miała towarzystwo Annalice?

— Myślę, że tak — odpowiedziała Babcia M. — choć nie miałyśmy czasu, by to przemyśleć. Jak sądzisz, Annalice?

— Jeżeli babcia może obejść się beze mnie przez miesiąc,

— Co ty mówisz! Zapewniam cię, że doskonale sobie poradzę

— Wiem, babciu. Ale będę się o ciebie martwiła.

— Dlaczego? Pojadę do hrabstwa Buckingham, gdzie mnie tak uprzejmie zaproszono. Jestem pewna, że będzie mi tai znakomicie!...

— Jutro przekażę w domu tę dobrą wiadomość — stwierdzi Raymond. — Spodoba ci się Europa, Annalice. Może obie pani zechcą przyjechać do nas w przyszłym tygodniu, byśmy mogli ustalić szczegóły?

Wyraziłyśmy zgodę.

\* \* \*

Byłam tak podekscytowana wyjazdem, że moje obawy o Filipa usunęły się w cień. Nie zniknęły, co prawda, zupełnie, ale nowe wydarzenia pomogły mi o nich ciągle nie myśleć.

Mieliśmy wyruszyć w połowie marca i wrócić w kwietniu. Odbyło się wiele rodzinnych narad i w końcu uznałam, że Babcia M. jest tym wyjazdem równie podniecona jak ja. Zdała sobie sprawę, że to najlepszy sposób wydzwignięcia nas z przygnębienia, a dzięki swojemu wrodzonemu rozsądkowi czuła, że nie jest dobrze ulegać smutkom.

Byłam zdecydowana dopilnować, by zrobiono coś w sprawie Filipa. Wciąż myślałam o tym, by pojechać na jego poszukiwania. Zaczęłabym od Sydney. Ktoś tam musi o nim coś wiedzieć. Ale jak tam się dostać? Samotna kobieta! Nawet podróż na kontynent mogłam odbyć wyłącznie w towarzystwie Billingtonów. Pewnego ranka Raymond i ja wybraliśmy się na przejażdżce. Odkąd zaczęliśmy planować wyjazd, czułam się dużo lepiej i chyba było to po mnie widać.

A z Raymondem mogłam swobodnie o tym rozmawiać.

— Zastanawiam się, czy kiedykolwiek wyruszę na poszukiwanie Filipa.

— Chyba nie sądzisz, że przystał do tubylców, ożenił się tam i postanowił nie wracać do domu?

— Nie znasz Filipa. On wie, jak bardzo się o niego niepokoiimy. Cokolwiek by zrobił, zawiadomiłby nas... a przynajmniej mnie.

— Wciąż marzysz o tym, by tam pojechać i go odszukać, prawda?

— Pisał o jakichś wyspach w pobliżu wybrzeży Australii, na które w każdą środę odpływa z Sydney statek. Chciałabym pojechać do Australii, wsiąść na ten statek i popłynąć na te wyspy. Mam przecucie, że mogłabym się tam czegoś dowiedzieć.

Raymond wpatrywał się we mnie.

— Wiem, że nie odzyskasz spokoju, dopóki się nie dowiesz, gdzie jest twój brat i co jest przyczyną tak długiego milczenia. A ja chcę, byś odzyskała spokój. Nie będziesz szczęśliwa, dopóki się nie dowiesz wszystkiego. A ja chcę, byś była szczęśliwa. I została moją żoną.

— Och, Raymondzie, nie potrafię wprost wyrazić, ile ci zawdzięczam. Odkąd się poznaliśmy, wszystko wygląda inaczej. A teraz ta podróż... Czy zabieracie Grace po to, bym mogła z wami wyruszyć?

Uśmiechnął się.

— Wyjazd dobrze ci zrobi. Musisz przestać się zamartwiać. To nie przynosi nic dobrego.

— Wiem. Ale jak mogłabym przestać?

— Wydostając się z codziennej monotonii... budując nowe życie. Cokolwiek stało się z twoim bratem, niczego nie zmienisz, wciąż tylko rozpaczając.

— Ja i Filip jesteśmy przyjaciółmi, bliższymi, niż zazwyczaj bywa rodzeństwo. Najprawdopodobniej dlatego, że nasza matka nie żyje i zawiązały się między nami szczególne więzy. Muszę go odnaleźć. Nie odzyskam spokoju, póki tego nie uczynię,

— Musisz więc tam pojechać.

— Ale jak?

— Nie ma rzeczy niemożliwych.

— Babcia...

— Starzeje się. Jest samotna. Potrzeba jej towarzystwa wnuków. Ale ty nie jesteś jej jedyną wnuczką.

— Nie. Jest jeszcze Filip.

— Nie o nim myślałem.

— Więc kogo masz na myśli?

— Zaczniemy naszą podróż od Holandii. Odwiedzimy Amsterdam. Napisz do swojego ojca i zawiadom go o zamierzonej wizycie. Napisz, że chciałabyś się zatrzymać u niego. Poznać swoich przyrodnych braci i siostrę. Może przyjechaliby w odwiedziny do Anglii? Może jedno z jego dzieci mogłoby zastąpić cię przy babci? Może w ten sposób uzyskałabyś wolność? Przecież, jeżeli Filip nie wróci, pewnie ci chłopcy odziedziczą dwór i całe przedsiębiorstwo. Powinni o nim już coś wiedzieć.

Przyglądałam mu się.

— Raymondzie, jesteś chytry jak lis — oznajmiłam. — Nigdy bym nie uwierzyła, że potrafisz układać tak makiaweliczne plany.

— Mężczyźni zdobywają się na rozmaite czyny, kiedy są zakochani — odpowiedział.

\* \* \*

Napisałam do ojca, odpowiedź nadeszła natychmiast. Był zachwycony. Jego żona, Margareta, synowie, Jan i Charles oraz mała Wilhelmina ucieszyli się ogromnie, że mnie poznają.

Pokazałam list Babci M.

— Hm — mruknęła tylko, pociągając nosem. Ale była chyba zadowolona.

Raymond natomiast nie ukrywał radości.

— Może zechcesz spędzić z nimi cały miesiąc? — spytał.

— Miesiąc! Ależ tak się cieszyłam na Francję i Niemcy...

— Myślałem, że wolisz patrzeć dalej w przyszłość.

Uśmiechnęłam się do niego i pomyślałam: kocham cię, Raymondzie Billington. Dlaczego więc się waham? Może gdy już stąd się wyrwiemy...

A potem poszłam na górę do pokoju i siedziałam tam w milczeniu. Patrzyłam na łóżko, na komodę, w której znalazłam pamiętnik... oczekując, jak zawsze w tym miejscu, jakiegoś znaku, potwierdzenia, może nawet spodziewałam się usłyszeć głos Ann Alice, przemawiającej do mnie z otchłani czasu. Nic. Stwierdziłam tylko, że w myślach powtarzam sobie, że muszę się pakować. Wtedy też zrozumiałam, że moje koszmary znikły w dniu, w którym Raymond zaproponował, bym towarzyszyła jemu i jego rodzinie w podróży na kontynent.

\* \* \*

Amsterdam od pierwszej chwili oczarował mnie. Nie ma na świecie drugiego takiego miasta. Nawet teraz, choć widziałam już wiele innych i podróżowałam dużo dalej, wciąż nie potrafię uwierzyć, że jest taki piękny.

Stoi na grobli Amstel, na odnodze Zuider Zee, podzielony przez rzekę i kanały na prawie sto małych wysepek połączonych trzystoma mostami.

Dom mojego ojca w Prinsengracht okazał się imponujący, w jego atmosferze czuje się coś zdecydowanie holenderskiego. Schody od drzwi frontowych na ulicę skracają pod kątem prostym i mają poręcz z mocno wypolerowanego miosiadzu. Dach przysłonięty ozdobnym szczytem, a w środku obszerne wnętrza. Wszystko zresztą lśni tu od czystości. W korytarzach marmurowe posadzki, ściany wyłożone białymi i niebieskimi kafelkami — pomyślałam, że po to, by łatwiej można było utrzymać czystość. Drzwi bogato rzeźbione, w pobliżu dużych okien umieszczone lustra, dzięki czemu bez trudu można obserwować, co dzieje się na ulicy. Meble dużo skromniejsze niż nasze.

W takim domu można się spodziewać chłodu i surowości. Wręcz przeciwnie, panowała tu niezwykle ciepła atmosfera.

Ojciec objął mnie i po sekundzie już wiedziałam, że dobrze zrobiłam przyjeżdżając. Od razu też polubiłam moją macochę, Jest pulchna i ma okrągłą twarz, oszołamiająco gładką cerę i lśniące, niebieskie oczy. Z początku wydawała się nieco zdenerwowana, co, moim zdaniem, było naturalne. Ujęłam ją za ręce i ucałowałam. Zarumieniła się trochę i wyglądała na bardzo zadowoloną, a ja już wiedziałam, że ją polubię. Na kilka sekund pojawiła się w moich myślach scena z pamiętnika Am Alice, kiedy dowiedziała się, że Lois Gilmour zostanie jej macochą. Jakże to dziwne, że obie mamy macochy! Ale na tym kończy się podobieństwo między Margaretą a Lois Gilmour.

Przedstawiono mnie przyrodnim braciom i siostrze.

Jakże to niezwykle zyskać od razu całą dużą rodzinę. To chyba głupie z naszej strony, że nie spotykaliśmy się do tego czasu. Poczułam się niezwykle wdzięczna Raymondowi, że proponował mi ten wyjazd.

Jan miał piętnaście lat, Charles dwanaście, a Wilhelmina dziewięć.

Obstąpili mnie wkoło, a Jan oznajmił, że to chyba najwspanialsza chwila, jaką mógł sobie wyobrazić: otrzymać starszą siostrę, której się nigdy nie widziało. Wszyscy mówili dobrze po angielsku, nie było więc trudności z porozumiewaniem.

Od razu ich polubiłam i z zachwytem odkryłam, że i oni są zadowoleni z poznania mnie. Oczarował mnie zwłaszcza na) starszy, Jan, gdyż przypominał mi Filipa. Wyglądał tak saffl8 jak Filip w wieku piętnastu lat i byłam ogromnie wzruszona kiedy ze mną rozmawiał i nazywał mnie siostrą.

Mój ojciec wszystko zrozumiał, a ja zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo żałował, że Filip i ja spędziliśmy dzieciństwo z dala od niego.

Przyjęli z otwartymi ramionami Billingtonów, a ojciec wyraził im ogromną wdzięczność za to, że zabrali mnie z sobą w podróż na kontynent. Miałam zatrzymać się w domu na Prinsengracht, a Grace zaproszono, by zamieszkała ze mną. Panowie zakwaterowali się w pobliskim hotelu. Zamierzali spędzić Holandii tylko tydzień, a ja, chociaż bardzo pragnęłam zobaczyć inne kraje, nie chciałam opuszczać mojej nowo odnalezionej rodziny. Przeprowadziłam o tym rozmowę z Raymondem.

— No cóż, poczułaś się tu jak u siebie — rzekł. — Łączą was więzy krwi. Jeżeli teraz byś wyjechała, wszystko wróci niemal do poprzedniego stanu. Będziecie częściej do siebie pisywać, coś się zmieni na lepsze, ale nie o to przecież chodzi.

— Mogłabym więc z nimi pozostać cały miesiąc? Skinął głową, choć z dość ponurą miną.

— Wydaje mi się, że to właściwa decyzja. Musisz ich przekonać, że chcesz być bardziej z nimi niż z kimkolwiek innym. Muszą poczuć, że naprawdę jesteście rodziną. Ty i Jan doskonale się rozumiecie. Sądzę, że dobrze by było... o ile to możliwe... żebyś zabrała go w drodze powrotnej z sobą do Anglii.

— Przypuszczasz, że pozwolił mu ze mną jechać?

— Nie wiem, ale nie widzę powodu, by miało być inaczej. Oczywiście, o ile on zechce. Czemu nie miałby odwiedzić swojej babki? — Ścisnął moje dłonie. — Plany zaczynają dojrzewać. Kiedy znajdziesz odpowiedź, której szukasz, zostaniemy mężem i żoną. Znam cię

wystarczająco dobrze, by zrozumieć, że nie możesz być w pełni szczęśliwa, nie wiedząc, co się stało z bratem. Mógłbym powiedzieć: „Proszę zostać moją żoną, a ja cię tam zabiorę”, ale to wyglądałoby na przekupstwo. I chociaż pokusa jest silna, nie chcę rozwiązywać tego w ten sposób. Ponadto nie mogę opuścić na tak długo ojca i interesów. Dla niego byłby to zbyt wielki ciężar. Ale problem w czym innym. Pragnę, byś poślubiła mnie z właściwego powodu... Czy źle się wyrażam?

— Nie — odpowiedziałam. — To bardzo jasne. Jesteś napraw — e niezwykłą osobą, Raymondzie.

— Czy to znaczy, że lubisz mnie trochę?

— Nawet nie trochę. Czasami wydaje mi się, że jestem głupia, nie korzystając natychmiast z szansy poślubienia ciebie. Dziękuję... dziękuję za pomoc. Uważasz więc, że uda mi się ich przekonać, by mi pozwolili zabrać Jana do Anglii i że babcia go pokocha. Jestem pewna, że masz rację. W głębi serca jesteś przekonany, że Filip już nigdy nie wróci, i że Jan zajmie jego miejsce nie tylko przy mnie i babci, ale także miejsce dziedzica domu i majątku.

— Obawiam się, że staram się wszystko ułożyć zbyt gładko, a życie nie zawsze spełnia dokładnie nasze zachcianki, ale tak... coś takiego przemknęło mi przez myśl. I nawet jeżeli będziesz musiała zapomnieć o swoim marzeniu — które jest, proszę wybaczyć, nieco szalone — by udać się na poszukiwanie brata, to jestem przekonany, że Jan mógłby w tym bardzo pomóc, pozwolić nie zapomnieć... A może sprawi, że będziesz opłakiwać brata nieco mniej.

— Grace nie zechce zostać w Amsterdamie.

— Nie wiem jeszcze, co ona o tym sądzi.

— Będę wam zazdrościła podróży po całej Europie.

— Na razie nic nie zostało postanowione. Proszę, zaczekaj parę dni i zobacz, jak się wszystko ułoży.

Któregoś wieczora po kolacji, kiedy dzieci poszły już spać, a Margareta była czymś zajęta, odbyłam rozmowę z ojcem. Odniosłam wrażenie, że na to czekał.

Mówił bardzo szczerze, pragnąc wyjaśnić, dlaczego zaniedbywał nas przez tyle lat.

— Zawsze chciałem zobaczyć ciebie i Filipa. Dużo o was myślałem. Ale twoja babcia była niezwykle oburzona, kiedy się dowiedziała, że zamierzam powtórnie się ożenić i zamieszkać w Holandii.

Uśmiechnęłam się.

— Stało się tak głównie dlatego, że porzuciłeś mapy dla handlu.

— Margareta wolała pozostać w swojej ojczyźnie, ze swoją rodziną. Sprowadziłbym was, dzieci, tutaj, ale wasza babcia gwałtownie się temu sprzeciwiła. Oznajmiła, że w żadnym razie nie wypuści was z Anglii. Musiałem ustąpić. I tak zirytowałem ją wystarczająco, nawet nie stawiając żądań, by was oddała.

— Czy jesteś szczęśliwy, ojczu?

— Tak o ile szczęście jest w ogóle możliwe. Brakowało mi ciebie i Filipa... a teraz ten niepokojący brak wieści od niego. Dlaczego musiał się wybrać w tak odległe strony, gdzie czyha tyle niebezpieczeństw?

— Musiał. To pragnienie było bardzo silne. Nie mógł mu się oprzeć. Nie jest podobny do ciebie, ojczu. On kocha mapy. Dla niego są romantyczne, ekscytujące. Ja też tak uważam.

— No cóż, macie to we krwi. Choć niektórych z nas te odczucia omijają. Ja nigdy nie czułem nic takiego, ale sądzę, że Jan przypomina bardziej was. Wciąż mówi o mapach i zasypuje mnie pytaniami.

Serce zabiło mi mocniej. Jan interesuje się mapami! To wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

— Bardzo lubię Jana, ojczu.

— Tak, widzę, że między wami nawiązała się szczególna nić sympatii. Cieszy mnie to. Naprawdę bardzo cieszy.

— Ojczy, czy chciałbyś, bym na cały miesiąc została z tobą, z twoją rodziną?

— Nic nie mogłoby bardziej mnie ucieszyć, moja droga Annalice! Ale czy nie jest to poświęcenie z twojej strony? Wydawało mi się, że tyle krajów chciałaś zobaczyć.

— To prawda. Ale czy można porównać cokolwiek z odkryciem własnej rodziny?

— W moim domu jesteś bardzo mile widziana, moja droga. Z przyjemnością zatrzymamy cię na dłużej.

— Wydaje mi się, że chciałabym lepiej poznać Jana... Jestem pewna, że babcia by go pokochała. Tym bardziej, że on interesuje się mapami... Czy pozwolisz, by Jan zajął się kartografią na stałe?

— Jeżeli jego entuzjazm nie wygaśnie, to oczywiście.

— Masz Charlesa, który może przejąć po tobie interesy handlowe.

— Nigdy nie wierzyłem, że można kogokolwiek do czegoś zmusić. Sami wybieramy. To jest coś, z czym twoja babcia nigdy się nie zgadzała.

— Wiem. Bardzo jej brak Filipa.

— Ale jest nadzieja...

— Z każdym dniem coraz mniejsza. Zastanawiałam się... czy pozwoliłbyś, żeby Jan nas odwiedził?

— Myślisz, że twoja babcia by sobie tego życzyła? Była bardzo przeciwna mojemu małżeństwu.

— Ale ja wiem, że ona naprawdę bardzo tego chce. Może trudno jej się do tego przyznać, ale jestem pewna, że tego właśnie pragnie. Ja zresztą też.

— Cóż, powinniśmy spytać Jana.

— Więc mam już twoją zgodę?

— A czy nie powinnaś najpierw spytać babci?

Potrząsnęłam przecząco głową.

— Znam ją dobrze. Jeżeli wrócę do domu z Janem, będzie zachwycona. Od razu go pokocha. Jest taki podobny do Filipa... i ten jego entuzjazm... miłość do map. To by jej bardzo pomogło. Nam obu bardzo by to pomogło. Janowi też... Może mógłby trochę z nami pomieszkać, poznać sklep i starego Beniamina Darkina. Filip zawsze przesiadywał w sklepie, ja zresztą też. Jan chyba jest jednym z nas.

— Wybadaj go... ale ostrożnie. Musimy być pewni, że tego naprawdę chce.

Nie sądziłam, by były jakieś wątpliwości. Wiedziałam, że Jan ucieszy się perspektywą wyjazdu, ale, jak mówił ojciec, badałam go stopniowo.

Opowiedziałam o tym wszystkim Raymondowi. Uśmiechnął się.

— Los nam sprzyja — stwierdził. — Mam jeszcze jeden pomysł. Dlaczego Jan nie miałby przyłączyć się do naszej wycieczki? Jestem pewien, że chciałby zobaczyć kawałek świata I wtedy... nie musielibyśmy tracić twojego towarzystwa.

— Raymondzie! — wykrzyknęłam. — Masz najcudowniejsze pomysły na świecie!

Raymond uśmiechnął się skromnie.

— Czy nie staram się zbyt wszystko przyspieszyć?

— Z pewnością nie. Zawsze lepiej jest coś przedsięwziąć.

— Może... prawie zawsze — uśmiechnął się.

Gdy spytałam ojca, czy Jan mógłby się do nas przyłączyć, nie był zdecydowany. Powiedział, że musi porozmawiać z Margaretą.

Zastanawiałam się, co ona powie. Widziałam, że jest mądra i dostrzega, do czego wszystko zmierza. Myślę, że zrozumiała już iż Jan chciałby pojechać do Anglii. Ale nie byłam pewna jej zdania. Ojciec kochał dzieci, ale największym uczuciem darzył żonę. Teraz wszystko zależało od niej.

Wiedziałam, że dla Margaretę najważniejszy jest dom i powątpiewałam, czy pozwoli swojemu najstarszemu synowi ten dom opuścić, choćby na krótko.



Przypuszczam, że walczyła z sobą, ale w końcu doszła do wniosku, że skoro Jan tak bardzo interesuje się mapami, najlepiej będzie pozwolić mu zająć się rodzinnym przedsiębiorstwem, o ile to możliwe. I musiała też zdecydować, że podróż pomogłaby mu zebrać doświadczenia. Pozwolenie zostało udzielone, a kiedy zaproponowałam Janowi, by pojechał z nami, był niezwykle podniecony.

Martwił się, bo myślał, że już niedługo wyjadę, i zastanawiał się, kiedy znowu mnie zobaczy — co było niezwykle miłe. Kiedy usłyszał, że pojedzie z nami, że zobaczy lasy Niemiec, zamki nad Renem, jeziora Szwajcarii i wielkie miasta w innych krajach, zupełnie go to oszołomiło.

Żegnała nas cała rodzina. „Do zobaczenia” wołali, bo ustaliliśmy, że w drodze powrotnej spędzimy znów z nimi jeszcze trzy dni przed wyjazdem do Anglii.

To było wspaniałe — patrzeć na radość Jana, odbywać z nim długie rozmowy, pływać po jeziorach, wdrapywać się na lesiste wzgórza wokół domków w Czarnym Lesie, gdzie spędziliśmy dwie noce.

Siedząc na zboczu góry, słuchając dźwięku krowich dzwonek, wdychając zapach sosen, byłam prawie szczęśliwa. Gdyby tylko Filip... Szybko przywołałam się do porządku.

— Janie — odezwałam się nagle — czy chciałbyś pojechać do Anglii?

— Do Anglii? Pytasz naprawdę, Annalice?

— Tak. Mógłbyś pojechać razem z nami. Zostać tam trochę, by przekonać się, czy ci tam się spodoba. Pokazałabym ci wytwórnię. Jest naprawdę fascynująca, te wszystkie mapy i prasy drukarskie. Zarządza wszystkim wspaniały człowiek, Benjamin Darkin. Uchodzi za jednego z najlepszych kartografów w Anglii. Pokazałby ci, jak wykonuje się mapy. To naprawdę bardzo ciekawe.

Jan milczał. Wstrzymałam oddech i z wyczekiwaniem wpatrywałam się w niego.

Potem odwrócił się do mnie, a jego oczy błyszczały z podniecenia.

— Rodzice nie pozwolą mi tam jechać — rzekł.

— Myślę, że pozwolą.

— Może ojciec się zgodzi.

— Matka też.

— Nie znasz jej, Annalice.

— Owszem, znam. Właściwie to już z nimi rozmawiałem. Uważałam, że powinnam to uczynić, zanim porozmawiam z tobą. Zgodzili się. Tak więc teraz wszystko zależy tylko od ciebie.

Milczał. Moja niespodziewana, zachwycająca propozycja zupełnie go oszołomiła.

\* \* \*

To były cudowne dni. Nigdy nie zapomnę wspaniałości szwajcarskich gór i urody jezior, podróży łodzią z biegiem Renu i bajkowych zamków na stromych urwiskach. Zatrzymaliśmy się w małych miasteczkach, gdzie wydawało się, że lada chwila wychynie zza rogu legendarny Kobziarz, przeprawiliśmy się przez lasy, wśród których mogłyby mieszkać postacie z baśni braci Grimmów.

Panowie mieli interesy, których musieli dopilnować, a Grace, Jan i ja razem zwiedzaliśmy okolicę. Oglądaliśmy katedry, targowiska, wąskie brukowane uliczki i szerokie gościńce. Kiedy obserwowałam zachwyt Jana, czułam się niemal tak, jakbym znowu była dzieckiem i jakby to Filip był przy mnie. To najwspanialsze, co mogło mi się zdarzyć — odnalazłem niespodziewanie dorosłą siostrę — rzekł mi kiedyś, gdy zbiegaliśmy ze wzgórza.

— Nie — odpowiedziałam. — Najwspanialej jest znaleźć brata.

Wróciliśmy do domu w Prinsengracht i znów doszło do serdecznego powitania.

— Margareta upiekła całego cielaka — powiedział ojciec. Spędziliśmy wieczór na opowiadaniu naszych przygód. Siedzieliśmy do późna w nocy i myślę, że ojciec i Margareta trochę się martwili na myśl o wyjeździe Jana.

— Dobrze, że pozwoliliście mu pojechać z nami — oświadczyłam. — Teraz dystans dzielący nasze domy nie jest wcale wielki. Nie znajdziemy się na drugim końcu świata.

— Smutno nam, że w ogóle odjedziecie — powiedziała Margareta. — Ale młode ptaki muszą opuścić gniazdo, by założyć własne. I zdarza się, że odlatują daleko.

— Jan naprawdę chce poznać kartografię — odparłam.

— Tak, rozpoznaję tę jego namiętność — zgodził się ojciec. — Babcia go pokocha. Wierzcie mi, ona potrzebuje go. Ja zresztą też go potrzebuję. A on powinien znaleźć się w miejscu, gdzie pozna wszystko to, za czym tęskni.

— Oczywiście, masz rację. — Ojciec spojrział na Margaretę, a ona skinęła głową, uśmiechając się smutno.

— Macie wielkie szczęście — odezwałam się. — Czuje się tu harmonię i szczęście. Macie siebie nawzajem, Charlesa i Wilhelminę. I Jan też jest z wami... Dzieli nas tylko mała kałuża wody

— To prawda — stwierdził ojciec. — Od dawna myślę o Janie. Chciałem już rozmawiać z kimś w Amsterdamie o tym, co będzie robił. Skończył piętnaście lat, więc czas się nad tym zastanowić.

— Myślę, że nie można ignorować pragnienia, które najwyraźniej się w nim narodziło — dodała Margareta.

— Chcecie przecież tego, co dla niego najlepsze.

— Tak. Nie wolno nam być egoistami. Pragnęłam zatrzymać dzieci przy sobie...

— Ale czas mija. Może przyjechalibyście nas odwiedzić... wszyscy? Babcia ucieszyłaby się. Trzeba tylko przełamać lody, zapomnieć o niemądrych urazach.

— Cóż, wydaje się, że już to uczyniłaś, Annalice — stwierdził ojciec.

— Ale musimy się upewnić.

— Jutro wyjeżdżacie — wtrąciła Margareta. — Twój przyjaciele to czarujący ludzie.

Ojciec uśmiechnął się i spojrział na nią. Wiedziałam, o czym myślą. Nie mieli żadnych wątpliwości, że wyjdę za mąż za Raymonda.

Nie powiedziałam nic. Ale widząc, jak jedno cieszy się drugim, zastanawiałam się, czy nie jestem nierozsądna wciąż się wahając.

Myślałam o wszystkim, co Raymond dla mnie uczynił. Do prowadził nawet do tego spotkania. Gdyby nie on, siedziałabym teraz we dworze oczekując wiadomości, które nie nadchodziły.

Wszyscy myśleli, że mam wielkie szczęście, skoro Raymond Billington mnie kocha. A wszyscy nie mogą się chyba mylić?

\* \* \*

Eksperyment zakończył się sukcesem. Spodziewałam się zresztą, że tak będzie. Kiedy przyjechałam do domu z przyrodnim bratem, Babcia M. w pierwszej chwili była zdumiona i trochę urażona, że wszystko ustalono bez jej wiedzy. Ale radość z mojego powrotu wkrótce przytłumiła te uczucia.

Jan szybko podbił jej serce. Jego podobieństwo do Filipa jednocześnie smuciło i zachwycało.

— To Mallory od stóp do głów — oświadczyła. — Nie ma w nim nic holenderskiego.

— Polubiłabyś jego matkę, babciu. To kochająca osoba.

— Widzę, że całkowicie cię oczarowali.

Była wzruszona i mimo wysiłków nie potrafiła tego ukryć.

— Jesteś zuchwałą, Annalice! — powiedziała niemal ze złością. — Przebiegła z ciebie sztuka! Myślę, że planowałaś to wszystko od samego początku.

— Cóż babciu, te niesnaski rodzinne zawsze wydawały mi się trochę niemądre. Proszę nie zapominać, że to moja rodzina... i babci też.

— Widzę, że będę musiała w przyszłości być bardziej przewidująca, bo inaczej niedługo ty zaczniesz tu wszystkim rządzić.

Ale w gruncie rzeczy była zadowolona, myślę, że nawet podziwiała mnie za to, co zrobiłam.

— Proszę mi pozwolić, babciu, że zaproszę ich wszystkich na Boże Narodzenie do nas. Czyż to nie byłoby wspaniale?

— Nie jestem pewna. Najpierw zobaczmy, jak Jan będzie się u nas czuł.

— Beniamin mówi, że Jan bardzo mu przypomina...

— Wiem. Sama widzę. Ma tę żyłkę do map. Bóg jeden wie, co jego ojca tak odmieniło.

— Jan już od rana chce biec do wytwórni. Wszystko go ciekawi. Tak twierdzi Beniamin.

— Wiem. I z pewnością cię lubi. Nie wydaje mi się również, by żywił niechęć do swojej starej babci.

— Mówił mi, że zawsze marzył o przyjeździe do Anglii, bo ojciec opowiadał mu o nas i o dworze. Uznał Anglię za swój dom.

— To rozsądny chłopiec.

Było nam z Janem dobrze. Tyle że ukrywałyśmy — naszą rozpacz i nie rozmawiałyśmy przy nim o Filipie.

\* \* \*

W początkach maja znowu odwiedziliśmy Billingtonów. Jan pojechał z nami. Wspaniale się u nas zadowił. Od czasu do czasu wspominał z tęsknotą swoich najbliższych, ale gdy spytałam, czy chce wrócić do Holandii, stanowczo temu zaprzeczył. Większość dni spędzał w wytwórni.

Babcia napisała wreszcie list do Holandii i teraz pisywali do siebie regularnie. Ojciec chciał wszystko wiedzieć o postępach Jana, a babcia M. była szczęśliwa, że znów odnalazła syna. Niepokoiła nas tylko ogólna edukacja Jana, ale babcia porozmawiała z wikarym, który był nauczycielem i bardzo chciał zarobić trochę pieniędzy. Zabierał więc chłopca rankami do swojej szkoły. Na razie musiało tak pozostać, nie można go było wysłać do szkoły z internatem, skoro nie wiedziałyśmy, jak długo zamierza z nami pozostać. Babcia M. powiedziała, że jeżeli na stałe zajmie się mapami, powinien już teraz je studiować, a rodzinne przedsiębiorstwo to z pewnością najlepsza uczelnia.

Ojciec zgadzał się z tym, ale zdecydowano, że przez jakiś czas Jan będzie pobierał nauki u pastora.

— Kiedy ludzie ustalają coś pochopnie — powiedziała babcia M. — zdarza się im zapomnieć o ważnych szczegółach.

— O które zawsze można zadbać później — przypominałam. Skinęła głową, patrząc na mnie z mieszaniną miłości i urażonego podziwu.

Ale nadal uznawała, że jestem nierozsądna, odmawiając ręki Raymondowi. Tak więc wybraliśmy się znowu z wizytą do Billingtonów. Tym razem we troje.

Wspaniale było zobaczyć go znowu na peronie, gdy wraz ze swoją siostrą, Grace powitali nas na dworcu.

— Zastaniecie w domu gości — powiedział nam Raymond. — Stare przyjaciółki rodziny. Panna Felicity Derring i jej ciotka, panna Emily Cartwright. Polubicie je na pewno.

Wypytał Jana, jak mu się wiedzie, a Jan wszystko mu z entuzjazmem opowiedział.

Kiedy Raymond pomagał mi wsiąść z powozu, który przywiózł nas ze stacji, szepnął mi do ucha: „Nasz plan się powiódł”.

— Powinieneś zostać generałem.

— Dużo łatwiej jest pokierować wojną niż stosunkami w domu, wierz mi.

Weszliśmy do domu, gdzie zostaliśmy powitani przez rodzinę i przedstawieni pannie Felicity Derring oraz jej ciotce.

Felicity jest ładna, mniej więcej w moim wieku. Ma miękkie brązowe włosy i wielkie czarne oczy. Jest drobna i niezbyt wysoka, za to bardzo delikatna i kobieca. Poczulałam się przy niej okropnie duża i niezgrabna. Jej ciotka też jest niewysoka i dość ruchliwa.

— Felicity i panna Cartwright to bardzo stare przyjaciółki rodziny — powiedziała pani Billington. — Słyszałam już wszystko o waszych przygodach na kontynencie. A to jest z pewnością Jan — Cieszę się, że mogę cię poznać Janie.

Panowała ta sama, pełna ciepła atmosfera, dzięki której czułam się dobrze.

Ale tym razem było nieco inaczej, może z powodu nowych gości. W czasie kolacji trochę się o nich dowiedziałam.

— Czy zaszło coś nowego w sprawie twojego wyjazdu do narzeczonego? — spytała pani Billington Felicity.

— Och, tak — odpowiedziała Felicity. — Zamierzam wyruszyć we wrześniu. Jeżeli wyjadę na samym początku miesiąca, ominie mnie najgorsza sztormowa pogoda. Gdy dotrę na miejsce, tam będzie lato.

— Jakie to dziwne — wtrąciła Grace.

— Bardzo chciałbym pojechać do Australii — dodał Basil. — Masz szczęście, Felicity.

— Och, tak, mam — zgodziła się, spuszczać skromnie oczy.

— Narzeczoney Felicity mieszka w Australii, a ona ma do niego dołączyć — wyjaśnił mi Raymond.

— To niezwykle!

— Trochę się lękam tej podróży — wyznała Felicity. — Kiedy pomyślę o tym wielkim morzu, które trzeba przepłynąć, o wyjeździe do nowego kraju...

— Przecież jaz tobą jadę, kochanie — oznajmiła panna Cartwright, jakby obecność ciotki mogła zagwarantować, że wszystko pójdzie dobrze.

— Zawsze trzeba mieć opiekunkę! — wtrąciła Grace. — Dlaczego mężczyźni mogą podróżować sami, a kobiety nie?

— Cóż, kochanie — odparła jej matka — mężczyźni łatwiej się obronić niż kobiecie.

— Ale bywają mężczyźni słabsi od kobiet — stwierdziła Grace i spojrzała na pannę Cartwright i na mnie.

— W naszym społeczeństwie kobiety uważa się za mniej ważne — odparłam.

— Ależ nie — zaprotestował Raymond. — Jeśli bywamy nieco nadopiekuńczy, to dlatego, że tak bardzo was cenimy i nie możemy dopuścić, by stała się wam krzywda.

— Wydaje mi się, że na nic nam się nie pozwala.

Wszyscy się tym zainteresowali i zaczęła się dyskusja o prawach kobiet.

Rozmowa była ożywiona, a chwilami nawet gwałtowna. Babcia M. włączyła się w nią całym sercem, ja zresztą także. Felicity prawie się nie odzywała. Doszłam do wniosku, że jest nie śmiałym stworzeniem.

Później spytałam o nią Raymonda.

— Zareczyli się wkrótce po przyjeździe Williama — powiedział. — Przyplłynął do Anglii na kilka miesięcy, sądzę, że w poszukiwaniu żony, i znalazł Felicity. Trudno dostrzec w niej dziewczynę, która zgodzi się na wyjazd do jakiejś głuszy. Co innego, gdyby William Granville mieszkał w Sydney, w Melbourne albo w innym dużym mieście. Ale on podobno ma famę. Nie mogę sobie wyobrazić Felicity na jakimś odludziu gdzie zdarzają się powodzie, pożary lasów i wszelkie katastrofy, jakie tylko można sobie wyobrazić.

— Mnie również nie wydaje się, by Felicity była stworzona do wiejskiego życia. Wyjeżdża więc we wrześniu?

— Tak mówi. Jedzie z nią panna Cartwright. Felicity jest sierotą i odkąd przed kilku laty straciła ojca, mieszka u ciotki Panna Cartwright, jak bez wątpienia dostrzegłaś, ma w sobie coś z dragona. To dobrze, że będzie towarzyszyć Felicity.

— Rozumiem, że panna Cartwright aprobeuje to małżeństwo:

— William Granville to bardzo energiczny człowiek. Nie jest już pierwszej młodości. Myślę, że musi być dobre piętnaści lat starszy od Felicity. Ale jakoś zdołał ją oczarować. Sądzę, iż ich znajomość zaczęła się romantycznie. Mam nadzieję, że Je się tam spodoba... Ale widzę, że twój przyrodni brat, Jan, doskonale radzi sobie z twoją babcią.

— Jest z niego dumna. Beniamin wychwała go pod niebiosa i to sprawia jej przyjemność. Usłyszałam pewnego dnia, jak owite do kogoś: „Mój wnuk”, w jej głosie brzmiała duma. To wspaniale, że go tu zaprosiłaś.

— Gdy ty wyjedziesz, twoja babcia nie będzie się już czuła samotna. A kiedy zamierzasz to uczynić, Annalice? Moja rodzina również chciałaby to wiedzieć. Uznają nasze małżeństwo za orzesądzone i nie potrafią zrozumieć, dlaczego wciąż je odkładamy.

— Czy wiedzą... o Filipie? — Oczywiście, że tak. — I nie rozumieją? Pokręcił głową.

— Są zdania, że powinienem być przy tobie, by nie pozwolić ci się smucić, jeżeli...

— Mówisz „jeżeli”. Teraz wydaje się to już pewne. Dlaczego nie ma żadnych wieści?

— Nie wiem.

— To mnie męczy.

— Wyjdz za mnie... i wyjedziemy tam w podróż poślubną. Zostawię wszystko i pojedziemy razem.

Przez moment odczuwałam pokusę. Tego właśnie chciałam. Myśl o udaniu się tam, dokąd pojechał Filip, zupełnie mnie oszołomiła. Nie rozumiem, czemu jeszcze się waham.

— Dlaczego nie, Annalice? — Otoczył mnie ramieniem i przytulił. To było miłe. Wtuliłam twarz w kłapę jego surduta.

— Zawiadommy ich dziś wieczorem o naszych zaręczynach — powiedział.

Cofnęłam się.

— Nie, Raymondzie. Nie sądzę, by to był dobry sposób, sam Przecież przyznałaś. A poza tym nie możesz zostawić interesów... ot, tak sobie. Możliwe, że będę musiała pozostać tam na jakiś czas. Proszę, pomyśl ile trwa sama podróż...

— To byłaby nasza podróż poślubna.

— Podróż poślubna, która mogłaby ujawnić tragedię? — Zastanów się jeszcze.

— Dobrze, zastanowię się.

\* \* \*

Nie wiem, skąd przyszło mi do głowy, że Felicity jest zakochana w Raymondzie. Czy podpowiedział mi to sposób, w jaki na niego patrzyła? To, jak zmieniał się jej głos, kiedy odzywała się do niego?

Raymond jest wyjątkowym człowiekiem. Każda kobieta byłaby z niego dumna. Doprawdy nie rozumiałam, dlaczego ociągam się z poślubieniem go. Wszystko przez ten pamiętnik. Wciąż trzymam go w szufladzie komody, pod szalami i rękawiczkami, biorąc przykład z Ann Alice. Jakiś impuls mi to podpowiada.

A teraz ten sam głos nie pozwala mi powiedzieć Raymondowi „tak”.

Ważu myślę o Felicity. Szukam jej towarzystwa. Nie jest łatwo z nią rozmawiać. Wydaje się zamknięta. Może coś ukrywa.

Dowiedziałam się, że jej rodzina jest od wielu lat zaprzyjaźniona z Billingtonami. Matka Felicity umarła na febrę, gdy dziewczynka miała trzy lata, a panna Cartwright, siostra je matki zajęła się wtedy prowadzeniem domu.

Powoli zaczęło do mnie docierać, że Felicity panicznie się boi podróży za ocean.

— Ależ to takie podniecające — powiedziałam. — I takie romantyczne. Od razu zaręczyny... a teraz podróż, by połączyć się z narzeczonym.

— On jeszcze nie jest moim mężem — odpowiedziała, a to głosu dostarczył mi klucza do jej uczuć.

Spytałam, jak długo znała pana Granville'a, odparła, żeli dwie miesiące.

— To krótko — stwierdziłam.

— Wszystko potoczyło się tak szybko, wówczas wydawało n się właściwe przyjąć jego oświadczenia.

— Tak, to z pewnością ekscytujące.

— Nie jestem wcale tego pewna.

— Ale będziesz miała z sobą pannę Cartwright.

Skinęła głową.

— A ty... — zaczęła i urwała. — Wydaje mi się, że zostaniesz żoną Raymonda.

— Och nic jeszcze nie ustalone.

— Ale on tego pragnie, a ty z pewnością...

— Nie sądzę, by te decyzje należało podejmować pochopnie.

Zarumieniła się nieco, a ja zrozumiałam, jak nietaktowne były moje słowa.

— O ile oczywiście nie ma się zupełnej pewności — ciągnęłam.

— Och, tak — zgodziła się. — Chyba że ma się absolutną pewność.

Chciałam zapytać jeszcze Felicity Derring o wiele innych spraw, ale głęboko skrywała swoje uczucia i bardzo pilnie ich strzegła, jakby bała się je ujawnić.

\* \* \*

— Mam pewien pomysł — powiedział do mnie Raymond. — Dlaczego miałabyś nie pojechać razem z Felicity i panną Cartwright do Sydney?

— Co takiego? — wykrzyknęłam.

— Sama nigdy nie będziesz mogła tam się wybrać. A tylko w Australii możesz się czegoś dowiedzieć o swoim bracie. Panna Cartwright wszystkiego dopilnuje. Zostanie tam przez jakiś czas, a potem razem wrócicie.

— Och, Raymondzie, naprawdę masz najświetniejsze pomysły na całym świecie!

— Filip popłynął do Australii. Śmiem sądzić, że w Sydney ktoś musiał coś o nim słyszeć. Powinnaś spróbować odnaleźć tego człowieka, z którym wyruszył. David Gutheridge, czyż nie tak się nazywa? Może wciąż tam przebywa, skoro jego ekspedycja podjęła wyprawę w głąb interioru. Felicity też miałaby wówczas dobre towarzystwo. Myślę, że jest trochę niespokojna. Byłoby dobrze, gdyby znalazła w tobie przyjaciółkę. Nie czułaby się tak zagubiona w nowym kraju.

— To niewiarygodny pomysł. Ciekawe, co Felicity na to powie. Prawie się nie znamy.

— Będzie zachwycona, że zyska w tobie przyjaciółkę. Panna Cartwright z pewnością także się ucieszy, że nie będzie musiała wracać do kraju.

— Mówiłam ci już, że jesteś chytry jak lis? Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie. Kiedy pomyślę, jak wszystko się zmieniło od czasu, gdy się pojawiłeś w sali konferencyjnej, nie mogę się wprost nadziwić.

— To przeznaczenie — odpowiedział i delikatnie pocałował mnie w czoło.

— A co z babcią, co ona na to powie?

— Przekonać ją nie będzie sprawą łatwą. Roześmiałam się.

— Tego możemy być pewni.

— Ale musisz ją do tego nakłonić. Dobrze cię zna i uwielbia. Pragnie cię widzieć szczęśliwą i wie, że zniknięcie twojego brata ciąży wam obu kamieniem na sercu. Z pewnością uwierzy, że potrafisz się o siebie zatroszczyć. Kilka dyskretnych aluzji... i nieco czasu pozwoli, by

przyzwyczaiła się do tej myśli, Zachowuj się tak, jakby nie było nic niezwykłego w wyjeździe z Felicity do Australii. A kiedy panna Cartwright nabierze pewności, że jej siostrzenica się tam zdomowila, wróćcie obie do kraju. Dla mnie przynajmniej to całkiem zwykła podróż.

— Twój plan wydaje się coraz bardziej rozsądny — przyznałam. — Kiedy wspomniałeś o tym po raz pierwszy, odniosłam wrażenie, że jest zupełnie nierealny.

— Stopniowo go zrealizujemy.

— Och, Raymondzie, kocham cię!

— W takim razie zmieńmy plany. Pojedźmy tam razem.

Pokręciłam przecząco głową.

— Gdy tylko wyjaśnię powody zniknięcia Filipa, wrócę i zostanę twoją żoną.

— Trzymam cię za słowo — powiedział.

## *Na pełnym morzu*

W piękny wrześnieowy dzień w towarzystwie Felicity Derring i panny Emily Cartwright weszłam na pokład „Krzyża Południa”, który płynął przez Kapsztad do Australii. Rok temu w ogóle nie uwierzyłabym, że coś takiego może się w moim życiu wydarzyć.

Miałam mieszane uczucia. Robiłam to, co chciałam, i wiedziałam, że muszę tam jechać, by kiedykolwiek odzyskać spokój. Z drugiej jednak strony, moja podróż mogła mi przynieść wielkie rozczarowanie.

Najtrudniejsze oczywiście okazało się przekonanie Babci M.

— Pościg za snem — tak to nazwała. — Gdzie się udasz, gdy już tam dotrzesz?

— Najpierw się trochę rozejrzę i spróbuję się czegoś dowiedzieć na miejscu — odparłam. — Coś mi mówi, że dowiem się prawdy.

— Najbardziej zdumiewa mnie Raymond. To on cię zachęcił do tej podróży, prawda? A ja sądziłam raczej, że uczyni wszystko co w jego mocy, by cię zatrzymać w domu.

— Raymond mnie rozumie. Wie, że nie będę szczęśliwa, dopóki nie poznam prawdy. Filip jest moim bratem, jest częścią nie — Zawsze byliśmy sobie bliscy. Nie mogę tak zwyczajnie dopuścić do tego, że zniknie z mojego życia, a ja nawet nie spróbuję dowiedzieć się, gdzie on jest.

— Myślisz, że ja nie czuję tego samego? Że tylko ty masz uczucia?

— Wiem, babciu. Ale dowiedzieć się wszystkiego mogę tylko tam na miejscu, potem wrócę do domu i poślubię Raymonda. On to rozumie. Właśnie dlatego mi pomógł.

— Nie chcę stracić was obojga.

— Nie stracisz, babciu. Ja wrócę. Może nawet przywiozę z sobą Filipa.

— A gdzie on, twoim zdaniem, jest? Ukrywa się przed nami?

— Nie wiem, babciu. Ale dowiem się. Proszę, zrozum mnie. Teraz Jan będzie z babcią...

— Hm... A jeśli on wybierze się za wami do Australii? Skąd będę wiedziała, co się z tobą dzieje?

— Babciu, to przecież tylko wycieczka. Wiele osób tam jeździ. Będę z panną Cartwright i Felicity.

Nie mogę powiedzieć, by Babcia M. bez oporów zaakceptowała mój pomysł. Raczej zrezygnowała ze sprzeciwu.

Dość często widywałam Felicity i pannę Cartwright; tę drugą poznałam już dobrze. Była jedną z tych fałszywych i obłudnych kobiet, których tyle wokół się kręci, że stały się wręcz obiektem żartów. Zazwyczaj udawało mi się odgadnąć, co po wie, zanim jeszcze zdążyła otworzyć usta.

Z Felicity ułożyło się inaczej. Na pozór wydawała się potulna, raczej nudna. Ale wciąż nie byłam pewna, czy naprawdę jest taka. Czułam, że skrywa jakiś sekret. Byłam ciekawa, jaki.

Zastanawiałam się, co postanowię po przybyciu statku do Sydney. Uznałam, że powinnam towarzyszyć im aż do miejsca, które nazywały „posiadłością”, a które leżało, jak się dowiedziałam, w Nowej Południowej Walii. Byłam pewna, że one też oczekują, iż pozostanę z nimi, dopóki panna Cartwright W będzie gotowa do powrotu. Ale czego dowiem się w tej głuszy? Mało prawdopodobne, że przyszły oblubieniec Felicity poznał Filipa. To byłby zadziwiający zbieg okoliczności.

Mimo wszystko wyruszyłam w drogę. Miałam absolutną pewność, że gdy już tam się znajdę, coś mną pokieruje. Wciąż myślałam o Ann Alice i miałam dziwne wrażenie, że ona mnie obserwuje i że wspomocze mnie we właściwej chwili, wskazał kierunek, w którym powinnam pójść.

Babcia przyjechała do Tilbury, by nas pożegnać. Towarzyszyli jej Raymond i Jan. Przyjemnie było patrzeć, że Jan obejmuje babcię ramieniem, jakby ją wspierał i chciał



pocieszyć. Wargi Babci M. były zaciśnięte — znak dezaprobaty. Ale w głębi serca wiedziałam, że mnie rozumie i gdyby była w moim wieku, popłynęłaby wraz ze mną.

Nie sędzę, by choć przez chwilę wierzyła, że uda mi się rozwikłać tajemnicę, ale rozumiała, że muszę udać się w tę podróż. Nie mogłam pozostać bierna. Jeśli mi się nie powiedzie, wrócę. W każdym razie nie będę miała wyrzutów sumienia bo uczyniłam wszystko co w mojej mocy; będziemy się wówczas musiały pogodzić ze smutną rzeczywistością.

Byłam raczej zadowolona, kiedy pożegnania wreszcie dobiegły końca. Takie chwile zawsze przypominają mi tortury. Atmosfera staje się nieznośna — rodzice, synowie, córki, kochankowie... zostają nagle rozdzieleni. Można wyczuć obawę tych, którzy opuszczają dom i udają się w nieznane — nawet jeżeli to jest ich własny wybór.

Raymond mocno uścisnął mi dłonie.

— Kiedy wrócisz...

— Tak — powtórzyłam. — Kiedy wrócę.

— To nie potrwa długo.

— Chyba nie.

— Będę na ciebie czekać.

— Tak... proszę. I dziękuję ci, Raymondzie. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Przytuliłam się do niego na chwilę. Potem jeszcze raz ucałowałam babcię i Jana, i nie odwracając się weszłam na pokład. Co za hałas! Co za ruch! Wydawało się, że wszyscy wokół biegają jak szaleńcy. Wykrzykiwano rozkazy, huczały syreny.

Felicity i panna Cartwright otrzymały wspólną kajutę. Moja znajdowała się tuż obok, dzieliłam ją z młodą Australijką, która podróżowała z rodzicami.

Rozejrzałam się po niewielkiej przestrzeni, która na parę tygodni miała stać się moim domem i zastanawiałam się, jak sobie poradzę. Były tu dwie koje, toaletka z szufladami i szafka.

Moja towarzyszka podróży była mniej więcej w moim wieku — opalona, z gęstymi, kręconymi, jasnymi włosami.

— Dzień dobry — powitała mnie serdecznie. — A więc dzielimy to pomieszczenie. Jest może nieco ciasne, ale jakoś sobie poradzimy, prawda? Czy mogę zająć górne łóżko? Nie lubię, gdy ktoś się nade mnie wdrapuje.

Zgodziłam się od razu.

— Mam nadzieję, że nie masz dużo bagażu, bo miejsca tu jak na lekarstwo — oznajmiła. — Nazywam się Maisie Winchell. Tata i mama są w kajucie nieco dalej. Zajmujemy się wełną. A ty po co jedziesz? Spróbuję odgadnąć. Jedziesz, aby wyjść tam za męża, prawda? Jakis Australijczyk przyplłynął do starego kraju i znalazł ciebie.

— Nic takiego! — zaprzeczyłam gwałtownie. — Choć podróżuję z przyjaciółką, która płynie tam w tym właśnie celu. A nazywam się Annalice Mallory.

— Ojej! Podoba mi się twoje imię, Annalice. Mówię ci po imieniu, bo w Australii wszyscy tak się do siebie zwracają. Będiesz tam musiała nauczyć się zachowywać swobodniej.

— Jestem na to przygotowana, Maisie.

Skinęła głową z aprobatą i podzieliłyśmy miejsce w szafce i szufladach.

Następnie poszłam do sąsiedniej kajuty, by zobaczyć, jak sobie radzą Felicity i panna Cartwright.

Panna Cartwright poskarżyła się natychmiast na brak miejsca, a Felicity dodała, że to dobrze, iż jej kufry znalazły się w ładowni.

Razem udałyśmy się do jadalni.

Siedziało tam tylko kilka osób. Kapitana oczywiście nie było. Pewnie stał na mostku, kierując wyprowadzaniem statku z portu. Byłyśmy zbyt podniecone, by cokolwiek przełknąć, choć zupa była naprawdę wyśmienita.

Zauważyłam siedzącego w pobliżu mężczyznę. Najwyraźniej obserwował nas. Bardzo łatwo go było dostrzec choćby ze względu na wzrost. Musiał mieć dobrze ponad metr osiemdziesiąt i odpowiednio szerokie ramiona. Nie podobała mi się ta jego jawna zuchwałość. Miał jasne włosy, dodatkowo spalone słońcem, jakby wiele czasu spędzał na powietrzu. Oczy niebieskie — Kiedy napotkałam jego spojrzenie — czego nie dało się uniknąć, bo gdy tylko podnosiłam wzrok, zawsze na mnie patrzył — uśmiechnął się.

Spuściłam oczy.

Panna Cartwright oznajmiła, że zupa nie jest gorąca, ale ma nadzieję, że wyżywienie okaże się znośne, choć słyszała, że kuchnia na statkach nie bywa zwykle najlepsza.

Felicity niewiele się odzywała. Była blada. Niewątpliwie przygotowania do podróży ją zmęczyły, a w dodatku opuściła na zawsze rodzinny dom, by poślubić człowieka, którego znała zaledwie miesiąc.

Kiedy opuszczałyśmy jadalnię, nieznajomy wciąż tam siedział. Musiałyśmy przejść obok niego.

— Dobry wieczór — powiedział niespodziewanie. Byłoby niegrzecznością mu nie odpowiedzieć.

— Dobry wieczór — odparłam więc.

— Myślę, że czeka nas niemiła noc — dodał. Skinęłam głową i szybko poszłam dalej.

— Co za impertynencja! — stwierdziła panna Cartwright. — Tak się do nas bezceremonialnie zwracać! I zapowiadać, że czeka nas niemiła noc! A przy tym wydawał się z tego zadowolony!

— Może starał się być miły — spróbowałam wtrącić.

— Ośmielę się zauważyć, że kapitan albo oficerowie przedstawią nas tym osobom, które powinnyśmy poznać.

— Wątpię, czy odbędzie się to tak ceremonialnie — odparłam. Pożegnałam się z nimi, życząc dobrej nocy i dodałam, że idę do siebie, by się rozpakować. Tak też uczyniłam. Gdy wyjmowałam swoje rzeczy z sakwojażu, weszła Maisie i potwierdziła opinię nieznajomego, że noc będzie przykra.

— Ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, co nas czeka, gdy dotrzemy do Zatoki Biskajskiej — uśmiechnęła się. — Jesteś chyba doświadczoną podróżniczką. — Tata odwiedza Anglię raz albo dwa razy w roku. Mówiłam zajmujemy się wełną. Nasza posiadłość leży na północ od Melbourne. Mama zawsze tacie towarzyszy, a ja nie pozwalałam, by mnie samą zostawiali. Lubię zaglądać do Starego Kraju. — I lubisz te podróże?

— Och, tak. Ale miło jest wrócić do domu... być wolną i swobodną.

— Wydaje ci się, że jesteśmy nieco sztywni? Spojrzała tylko na mnie z rozbawieniem.

— A jak myślisz? — I po chwili zaczęła mi opowiadać o swojej posiadłości w pobliżu Melbourne.

— Muszę cię przedstawić pannie Felicity Derring — wtrąciłam. — Podróżuję z nią i jej ciotką, a Felicity ma wyjść za mąż za człowieka, którego posiadłość leży w pobliżu Sydney.

— Och, to Nowa Południowa Walia. My jesteśmy z Wiktorii.

Roześmiałyśmy się obie.

— Nie ma jak w domu!

Uznałam, że dobrze mi będzie się z nią mieszkało. Oboje mieli rację co do nocy. Obudził mnie nagły wstrząs statku, omal nie wypadłam z koi.

— To jeszcze nic — odezwała się z góry Maisie, niemal radośnie. — Szkoda, że nie uderzyło trochę mocniej. Bo wówczas ci, co płyną po raz pierwszy, zdążyliby się trochę oswoić z morzem, zanim wejdziemy w prawdziwy sztorm.

— Och, po jakimś czasie się przyzwyczaimy, prawda?

— Niektórzy tak. Inni nigdy. Albo ma się zamiłowanie do żeglowania, albo nie. Spodziewam się, że ty masz żyłkę żeglarską, więc teraz nie myśl o kołysaniu. To cała

tajemnica. I jeszcze świeże powietrze... też pomaga. Ja jestem już zmęczona. Dobranoc. Tej nocy nie trzeba nas będzie kołysać do snu.

Przez jakiś czas leżałam, nasłuchując skrzypienia desek, wycia wiatru i fal uderzających o burty. Maisie miała rację Kołysanie w końcu mnie uśpiło.

\* \* \*

Następnego ranka, kiedy się obudziłam, odkryłam, że wiatr wcale nie ucichł. Trudno było w kabynie utrzymać się na nogach, ale udało mi się jakoś dotrzeć do łazienki i ubrać. Czułam się całkiem znośnie, choć toaleta zajęła mi więcej czasu z powodu kołysania.

— Wstanę, gdy tylko stąd wyjdiesz — odezwała się Maisie z góry. — Będziemy to robić na zmianę. Nie ma tu dość miejsca, byśmy się ubierały jednocześnie. Czy masz ochotę na śniadanie?

— Myślę, że wystarczy mi filiżanka kawy i kromka chleba z masłem.

— Na twoim miejscu zaczerpnęłabym świeżego powietrza. Jeżeli potrafisz coś przelknąć, to dobrze. Nie ma jak jedzenie i świeże powietrze. Poszłam do sąsiedniej kabiny, by sprawdzić, co się dzieje z Felicity i panną Cartwright.

Obie czuły się paskudnie i nie życzyły sobie nic poza tym, by je pozostawiono w spokoju. Udałam się więc sama do jadalni. Była niemal pusta. Wypiłam kawę, zjadłam kromkę chleba z masłem i, jak radziła Maisie, wyszłam na pokład.

Omywały go fale, ledwo mogłam utrzymać się na nogach. Znalazłam sobie kawałek suchego miejsca pod łodziami ratunkowymi i, owinąwszy się kocem, który przezornie wyjęłam z szafki, usiadłam, by podziwiać szalejące morze.

Myślałam o przyjeździe do Sydney. Pościg za snem. Słyszałam niemal głos babci. Czy tak właśnie będzie?

Ktoś szedł po pokładzie. Od razu rozpoznałam mężczyznę, którego wczoraj widziałam w jadalni. Poczułam lekką irytację, bo mi przerwał rozmyślenia, ale jednocześnie byłam zaintrygowana. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że przyszedł tu za mną. Zatrzymał się obok.

— O, dzień dobry! — powiedział. — Jest pani dzielna, młoda damo, skoro nie zwraca pani uwagi na szalejący żywioł.

— Powiedziano mi, że tak będzie najlepiej.

— Owszem, jeżeli się znajdzie trochę odwagi. Dziewięćdziesiąt procent pasażerów jęczy teraz w swoich kojach. Wie pani o tym?

— Nie jestem pewna, czy rachunek jest właściwy.

— A ile osób zastała pani w jadalni? Ile jest na pokładzie? Na szczęście tylko dwie, co jest przyjemniejsze, niż cały ten tłum.

— Tak pan sądzi?

— Oczywiście. Ale okazuję brak wychowania. Powinienem był przecież poprosić o pozwolenie, czy mogę przy pani usiąść.

— Czy to trochę nie za późno?

— Istotnie, *fait accompli*. Ale czy gdzie indziej da się tu usiąść? To jedyne suche miejsce... tu, pod łodziami ratunkowymi. Pozwolenia udzielono?

— A co by pan zrobił, gdybym odmówiła?

— I tak bym usiadł.

— W takim razie pytanie jest raczej retoryczne, prawda?

— Widzę, że jest pani logicznie myślącą młodą damą. Powinienem się przedstawić. Nazywam się Milton Hemming. Pewnie myśli pani, że Milton to wspaniałe imię. Opowiem pani, skąd się wzięło. Moja matka była bardzo piękną kobietą — czego z łatwością może się pani domyślić obserwując wdzięk, jaki po niej odziedziczyłem. I przysporzyłem jej sporo

udręk, zanim przyszedłem na świat, bo nie mogła uczestniczyć w życiu towarzyskim, które dla niej było czymś absolutnie koniecznym. Raj utracony, jeśli pani rozumie. Ale gdy tylko mnie, najrozkoszniejszego cherubinka, jakiego można sobie wyobrazić, położono w jej ramionach, wykrzyknęła: „Raj odzyskany”. Więc po tym wszystkim mogłem już tylko zostać Miltonem.

Roześmiałam się. Zapomniałam o niepokoju, który wywołała we mnie pogoda. Zapomniałam na chwilę o mojej może beznadziejnej misji. Rozśmieszył mnie. Był tak pewny siebie, tak łatwo nawiązał kontakt...

— Teraz pani kolej.

— Annalice Mallory. Ann i Alice to imiona, które w naszej rodzinie często się powtarzają. Cóż, moja babcia, której przy padło nadanie mi imienia, postanowiła wprowadzić jakąś zmianę. Połączyła je razem i wyszła Annalice.

— Annalice — powtórzył. — Podoba mi się. Nawet bardzo. Niezwykłe i pasuje do pani.

— Dziękuję, jeżeli to był komplement. Czy „niezwykłe” ma też oznaczać „niezwykłe brzydkie”?

— W tym przypadku jest tego przeciwieństwem.

— W takim razie dziękuję raz jeszcze. Jak długo potrwa ta pogoda? Często pan podróżuje?

— Pogody nigdy nie można być pewnym. Podróż może okazać się spokojna, albo i nie. Wszystko w ręku bogów. Odpowiedź na pani drugie pytanie brzmi: tak, często podróżuję. Wracam do domu przynajmniej raz w roku.

— Do Anglii?

— Tak. Mam plantację cukru. Do Londynu podróżuję regularnie, w interesach. Dlaczego pani płynie do Australii?

— Podróżuję z przyjaciółką i jej ciotką. Felicity ma tam wyjść za mąż.

— Nie przypominam sobie, by chociaż raz zdarzyła mi się podróż, podczas której nie byłoby na pokładzie przynajmniej jednej młodej damy mającej wyjść w Australii za mąż. Mężczyźni z dala od domu czują się samotni. Wtedy wracają do ojczyzny, znajdują sobie tam żonę i zabierają ją ze sobą, by dzieliła ich samotność. Z początku byłem przekonany, że pani także zamierza dołączyć do jakiegoś samotnika.

— Cóż, pomylił się pan.

— Cieszę się z tego.

— Naprawdę? Roześmiał się.

— Och, tak, naprawdę. Nie mogłem znieść myśli, że taka piękna młoda dama będzie musiała się męczyć z tym wszystkim, co trzeba robić w posiadłościach w głębi interioru. Ta cudowna angielska skóra zostałaby spalona bezlitośnie przez australijskie słońce. Nawet pani nie wie, jacy jesteście szczęśliwi we własnym deszczowym kraju, gdzie słońce nie wysusza pól i nie dobija bydła, a huragany nie niszczą dorobku lat, gdzie nie zdarzają się plagi szarańczy...

— Pan chyba mówi o plagach starożytnego Egiptu.

— Bo tam właśnie jest tak, jak w starożytnym Egipcie.

— W takim razie czemu tam mieszkanie?

— Nie jest łatwo spakować się i opuścić Ziemię Obiecaną.

— I dlatego pan wciąż tam mieszka?

— Ja nie mieszkam w głębi Australii. Mieszkam na Caribie. To wyspa oddalona o ponad sto mil od wybrzeży Australii. Mój ojciec tam się osiedlił, a ja odziedziczyłem po nim plantację trzciny cukrowej. Trzcina dobrze rośnie na Caribie. Ale pewnego dnia sprzedam plantację i wrócę do domu, kupię dużą posiadłość z dworem... pola, grunty... i zostanę angielskim lordem.

— Lordowie zazwyczaj przebywają w swoich posiadłościach od wielu pokoleń.

— Jakoś sobie z tym poradzę. Proszę mi powiedzieć, co pani zamierza robić, gdy już znajdzie się pani w Australii?

— Wezmę udział w ślubie mojej przyjaciółki. Zostanę z nią jakiś czas i wrócę do domu z jej ciotką.

— Dość często bywam w Sydney. Czy zostaniemy przyjaciółmi?

— Skąd można wiedzieć? Przyjaźń nie jest czymś, o czym można zdecydować po kilku słowach rozmowy. Trzeba ją pielęgnować. Musi sama dojrzeć.

— Będziemy ją więc pielęgnować.

— Czy to nie za szybka decyzja? — spytałam. — Dopiero wczoraj weszliśmy na pokład. Po raz pierwszy zobaczyliśmy się w jadalni.

— Istotnie. Zachowałem się wczoraj może nazbyt bezceremonialnie. Kiedy zaczniemy już pielęgnować naszą przyjaźń, przekona się pani, że to jest mój znak szczególny. Czy to pani odpowiada?

— Dużo zależy od okoliczności.

— Ale między nami wszystko dobrze się ułoży. Jesteśmy do siebie podobni.

— Sądzi pan, że ja jestem zuchwałą?

— Tak, zuchwałość kryje się pod tymi gładkimi manierami uroczej damy. Widzę, jak przeziiera na wierzch. Na przykład, co pani tu robi, siedząc na pokładzie z kimś, kto nie został pani oficjalnie przedstawiony?

— Można by znaleźć sporo okoliczności łagodzących. Pogoda zmusiła mnie do siedzenia tutaj, a skoro jest to jedyne miejsce, gdzie podróżny może usiąść, nie dało się uniknąć pana obecności. Nie jestem właścicielką statku, więc nie mogę kazać panu odejść.

— Logiczne. Ale wciąż myślę, że mam rację co do pani zuchwałości. Czas pokaże, czy mam rację.

— Wiatr jakby nieco ucichł.

— Może... ale tylko troszeczkę.

— Powinam sprawdzić, jak się czują moje współtowarzyszki podróży.

— Zostawiła je pani zupełnie nieprzytomne, czy tak?

— Obawiam się, że tak.

— Minie trochę czasu, zanim wydobrzeją.

Wstałam i niemal upadłam, musiałam się chwycić poręczy. Stał obok i podtrzymał mnie, jego twarz znalazła się blisko mojej. Był to najbardziej denerwujący mężczyzna, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

— Proszę uważać — powiedział. — Jedna większa fala i zmyje panią z pokładu. Nie należy podchodzić tak blisko do relingu. Proszę pozwolić, sprowadzę panią na dół.

Otoczył mnie ramieniem i przycisnął mocno do siebie. Raczej stoczyliśmy się, niż zesliśmy z pokładu. Niemal zapało mi dech, cieszyłam się, że obejmuje mnie tak mocne ramię.

— Kiedy opuszczałem Anglię, pomyślałem: „Och, raj utracony” — mówił. — Ale teraz myślę: „Raj odzyskany”. Nie na darmo nazwano mnie Miltonem.

Znowu się roześmiałam. To było przyjemne spotkanie. Dotarłam jakoś do kajuty. Panna Cartwright wyglądała mizernie, a Felicity niewiele lepiej.

— To straszne — powiedziała. — Czy długo jeszcze będziemy znosić to kołysanie? Jestem bliska śmierci.

— Wydaje się, że pogoda już się poprawia.

— Bogu dzięki! A ty gdzie byłaś? — spytała panna Cartwright.

— Na pokładzie. Moja towarzyszka z kajuty powiedziała, że to najlepsze miejsce na taką pogodę.

— Jesteś zarumieniona — stwierdziła Felicity. — Zupełnie jakby ci się tam podobało.

Uśmiechnęłam się i pomyślałam, że chyba tak.

Po dwóch dniach pogoda się poprawiła. Panna Cartwright była doszczętnie wyczerpana. Cierpiała nawet bardziej niż Felicity i byłam pewna, że szczerze żałuje, iż w ogóle wybrała się

w ten rejs. A minęły dopiero trzy dni i wszystko było jeszcze przed nią. Ta perspektywa naprawdę ją przerażała.

Przez ten czas poznałam nieco lepiej Milтона Hemminga, który w jakiś magiczny sposób pojawiał się wszędzie, gdzie skierowałam kroki.

Nie zamierzam udawać, że nie podobało mi się, iż on poszukuje mojego towarzystwa, zwłaszcza że był traktowany na statku z wielkim szacunkiem. Wydawał się przyjacielem kapitana, dobrze też znał członków załogi. Przyznawano mu specjalne prawa.

Kiedy przybyliśmy na Maderę, miejsce naszego pierwszego postoju, spytał, czy mamy zamiar zejść na ląd. Powiedziałam, że oczywiście. Ale panna Cartwright stanowczo odmówiła, twierdząc, że damy nie powinny same włączyć się po porcie.

Milton Hemming przyjrzał się jej z powagą.

— Rzeczywiście, jest pani niezwykle rozsądna. Istotnie, panie nie udadzą się same na ląd, zamierzam właśnie prosić, by mi było wolno paniom towarzyszyć.

— Och, panie Hemming, doprawdy nie mogę na to przystać. Znamy się przecież tak krótko.

— Ależ szanowna pani, we dwoje zyskamy większą pewność, że młodym damom nie stanie się krzywda.

Rzucił mi porozumiewawcze, złośliwe spojrzenie, bo poznaliśmy się już na tyle dobrze, by wiedzieć, jak mnie to przekomarzanie się panny Cartwright irytuje.

Ale panna Cartwright, jak dostrzegłam z pewnym zdumieniem, była nim zafascynowana. To mnie zdziwiło. Myślałam, że ta zuchwałość, taka arogancka męskość nie znajdzie raczej łask w sercu starej panny. Okazało się wręcz przeciwnie. Uznała go za jednego z tych, których nazywa się „prawdziwymi mężczyznami” i obdarzyła szacunkiem.

Wahała się jeszcze nieco, ale pokusa eskapady w jego towarzystwie okazała się nie do odparcia.

— Cóż, panie Hemming, skoro my oboje będziemy z nimi...

— Proszę zdać się na mnie. Pokażę paniom wyspę. To pierwsza przystań w podróży. A Madera jest naprawdę piękna. To mój ulubiony port. Teraz będę miał z kim podzielić mój zachwyty.

Spędziliśmy cudowny dzień. Milton zaopiekował się nami i był taki miły dla panny Cartwright, zawsze dbając przede wszystkim o jej wygodę, że aż promieniała, a ja uznałam, że może jednak cierpi nie na próżno.

Wynajął bryczkę zaprzęzoną w muły i jeździliśmy po mieście. Poszliśmy na rynek i podziwialiśmy wspaniałe kwiaty. Przejechaliśmy obok pałacu gubernatora, starej fortecy Sao Lourenco, a stamtąd udaliśmy się na miejsce, gdzie kiedyś stał klasztor franciszkanów, a dziś są piękne ogrody.

Milton Hemming chciał też obejrzeć plantacje trzciny cukrowej, których kiedyś było tu sporo. W tym celu udaliśmy się za miasto.

Mówił z ogromną znajomością rzeczy o wytwarzaniu cukru, o tym, jak destyluje się sok z roślin i przetwarza w młynach. Sprawił, że zapragnęłam obejrzeć jego wyspę.

— Trzcinę sprowadzono tu z Sycylii, Cypru i Krety w wieku piętnastym, wówczas cukrownictwo stało się głównym przemysłem Madery. Teraz to miejsce słynie bardziej z wina. Któż nie słyszał o maderze? Panno Cartwright, brak mi odwagi, by przedstawić pani pewien pomysł, czy pani pozwoli?

— Och, panie Hemming — odparła panna Cartwright, cicho chichocząc. — Skoro pan nalega, jak mogłabym pana powstrzymać?

— Oczywiście, z góry obiecuję, że zastosuję się do pani poleceń. Otóż mam zamiar zaproponować paniom wypad do winnicy — Mam w tych stronach dobrego znajomego, on z kolei ma Piwnicę z winem. Z pewnością chciałby paniom pokazać, jak się wyrabia i przechowuje wino. Może nawet zaoferuje paniom kieliszek.

— Och, drogi panie Hemming, to zgoła niewłaściwa propozycja.

— Ma pani we mnie obrońcę, panno Cartwright, i nie ma się czego obawiać.

Tak więc zostawiliśmy nasz pojazd i muły przed winnicą i udaliśmy się do piwnicy, gdzie powitał nas gospodarz w wielkim skórzanym fartuchu. Mówił szybko po portugalsku, od czasu do czasu przechodząc na łamaną angielszczyznę. Najwyraźniej był zachwycony widokiem Milтона Hemminga.

Kiedy już pokazał nam piwnicę, poprosił, byśmy usiedli przy stole wspartym na beczkach. Przyniesiono nam po kieliszku madery.

Wino było doskonałe. Pewnie pod jego wpływem Felicity stała się całkiem rozmowna. Najwyraźniej podobał jej się ten wypad za miasto. Stwierdziła, że wyspa ją oczarowała i nawet j chciałyby spędzić tu trochę czasu.

— Ależ to opóźniłoby pani przyjazd do Australii — zauważył j Milton Hemming. — Jestem przekonany, że nie może się pani doczekać końca podróży.

Chwila wahania Felicity powiedziała mi — i z pewnością także Miltonowi Hemmingowi — bardzo dużo. Dowiedziałam się, na czym polega sekret Felicity. Jest bardzo bojaźliwa, a teraz, gdy zbliżała się coraz bardziej do celu, zastanawiała się, czy jednak nie popełniła błędu.

— Och, tak... tak, oczywiście — odpowiedziała zbyt gwałtownie, by brzmiało to przekonująco. Ale ja nie zapomniałam smutku w jej oczach.

— Gdzie leży posiadłość pani narzeczonego? — spytał Milton Hemming.

— Kilkanaście mil za Sydney.

— A jak się nazywa? Może ją znam.

— Granville. To zarazem nazwisko mojego przyszłego męża.

— Więc chodzi o Williama Granville'a? — spytał Milton Hemming nagle dość zimno.

— Tak. Do niego właśnie jadę.

— Zna go pan od dawna? — spytałam szybko.

— Można powiedzieć, że znamy się z widzenia. Bywam w Sydney przynajmniej raz w miesiącu. W hotelu spotyka się często hodowców bydła i różnych ludzi z okolicy. Widuję go czasami.

— Cóż to za dziwny zbieg okoliczności! — wykrzyknęła panna Cartwright.

— Właściwie to nie — odparł Milton Hemming. — Trzeba pani wiedzieć, że Sydney to nie Londyn. Tak naprawdę, cała biała ludność Australii jest mniej liczna niż mieszkańcy Londynu, Birmingham czy Manchesteru... albo innych wielkich miast. Jest nas niewiele. Ludzie przemierzają setki mil i spotykają się w jednym hotelu. Nic w tym dziwnego, że na ogół się znamy.

— Tak, oczywiście, nic w tym dziwnego — powtórzyłam i odczułam dziwny niepokój.

Panna Cartwright dała się namówić na jeszcze jeden kieliszek wina, a potem zaczęła się głośno śmiać.

Wróciliśmy do pojazdu zaprzęzonego w muły i pojechaliśmy na statek.

\* \* \*

Mój niepokój narastał. Byłam pewna, że Milton Hemming wie coś o Williamie Granville'u, a w winnicy nie chciał o tym mówić, gdyż nie jest to coś pochlebnego.

Postanowiłam, że kiedy znajdziemy się sami, spytam go wprost. Lepiej jest być przygotowanym na najgorsze. Zaczęły budzić się we mnie opiekuńcze uczucia w stosunku do Felicity. Uważałam, że jeżeli coś jest nie tak, jak się spodziewamy, powinniśmy o tym wcześniej wiedzieć.

Nie było trudno zobaczyć się z nim sam na sam. Z łatwością do tego doprowadziłam.

— Chciałabym z panem porozmawiać — powiedziałam.

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Oczywiście, będę zachwycony.

Znaleźliśmy odosobniony kątek na pokładzie i usiedliśmy.

— Nie chodzi właściwie o to, co pan powiedział, lecz o sposób, w jaki pan to mówił — zaczęłam. — Chodzi mi o tamtą rozmowę w winnicy, kiedy padło nazwisko Williama Granville'a. Wie pan coś o nim, prawda?

— Nieco o nim słyszałem.

— A co pan słyszał?

— Że ma posiadłość w pobliżu Sydney.

— Wszyscy o tym wiemy. Ale co pan wie o nim szczególnie?

— O co pani pyta? O jego wzrost? Kolor oczu? Włosów?

— Unika pan odpowiedzi. Proszę zrozumieć, panna Derring ma zostać jego żoną. Jeżeli coś nie jest w porządku, wydaje mi się, że powinniśmy być na to przygotowani. Proszę mi powiedzieć, co pan o nim wie?

— A jak się pani zachowa w sprawie tego czegokolwiek, co uzna pani za niestosowne?

— Powiem jej o tym. Mogłybyśmy jeszcze zdecydować...

— Zawsze należy być ostrożnym, wyrażając o kimś opinię. Można się bardzo mylić.

— Dlaczego więc pan powiedział...?

— Moja droga panno Annalice, ja nic nie powiedziałem. Nie znam tego człowieka na tyle, by wystawiać o nim opinie. Słyszałem tylko plotki... komentarze. W niewielkim gronie ludzie mówią o sobie na ogół niepocholebnie.

— Czy przestanie mnie pan wreszcie zwodzić i powie szczerze, co głoszą te plotki?

— Niewiele. Jest dużo starszy od panny Derring.

— Ona o tym wie. Bywają czasem małżeństwa całkiem udane, mimo różnicy wieku. Tu chodzi o coś więcej, prawda?

— Pani jest uparta. Otóż słyszałem, że sporo pije. To się zresztą zdarza samotnym ludziom.

— Rozumiem. Czy dlatego zachował się pan właśnie tak szczególnie?

— Nie zamierzałem zachowywać się w szczególny sposób.

— Pana milczenie wiele mówiło.

— Przykro mi, jeżeli zaniepokoiłem pannę Derring.

— Ona tego zupełnie nie dostrzegła. Ale mimo wszystko wydaje się troszeczkę niepewna. Chciałabym, by mi się zwierzyła. Może zdołałabym jej pomóc.

— Poznała go w Anglii?

— Tak, przyjechał tam, by rozejrzeć się za żoną.

— Cóż, zgodziła się go poślubić. Nikt jej przecież do tego nie zmusił.

— Naprawdę się o nią niepokoję.

Położył dłoń na mojej.

— Jest pani bardzo miła — rzekł.

Natychmiast cofnęłam rękę.

— Co jeszcze pan o nim wie?

Wzruszył ramionami, ale nic więcej z niego nie wydobyłam. Mimo to odniosłam wrażenie, że jest coś, czym nie chce się ze mną podzielić.

Wstałam, on również.

— Czy zechciałaby pani przejść się po pokładzie lub towarzyszyć mi przy drugim śniadaniu?

— Nie, dziękuję. Wracam do kajuty.

Nie zrobił nic, by rozwiać mój niepokój. Raczej go wzmógł.

\* \* \*



Kiedy opuściliśmy Maderę, pogoda znowu się popsowała. Felicity radziła sobie znacznie lepiej niż na początku podróży. Za to panna Cartwright rozchorowała się na dobre. Przez dwa dni nie wstawała z łóżka, a gdy wreszcie morze się uspokoiło, wciąż była bardzo słaba.

Płynęliśmy teraz po ciepłych wodach wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki, bardzo przyjemnie było siedzieć na pokładzie. Panna Cartwright również kiedyś wyszła i usiadła na leżaku, ale wyglądała bardzo źle. Felicity wyznała, że bardzo się o nią martwi.

— Jestem przekonana, że nic nie zmusiłoby jej do wyjazdu, nawet zobowiązania wobec mnie, gdyby wiedziała, jak źle się Poczuję na wzburzonym morzu. Jeżeli pogoda znowu się popsuje, będę się o nią naprawdę bała.

Panna Cartwright nie została długo na pokładzie, wołała wrócić do kajuty. Felicity i ja sprowadziłyśmy ją na dół i zostałybyśmy z nią, gdyby nie to, że chciała jak najszybciej zasnąć.

Kiedy wróciłyśmy na pokład, Milton Hemming podszedł i usiadł przy nas.

— Panna Cartwright wygląda nadzwyczaj mizernie — stwierdził, a Felicity przyznała, że się o nią niepokoi. Obawia się, że jej ciotka może naprawdę zachorować.

— W okolicach Przylądka Dobrej Nadziei znowu może być gorzej. Nadchodzi pora sztormów.

— O, tylko nie to! — jęknęła Felicity.

— Niektórzy źle znoszą podróże morskie i obawiam się, że panna Cartwright do nich należy. A kiedy już dotrze do Australii... będzie jeszcze przed nią podróż powrotna.

— Chciałabym, żeby mogła wrócić do domu — powiedziała Felicity.

— To byłoby dość proste.

— Jak?

— Mogłaby zawrócić z Kapsztadu.

— Sama?!

— Chyba że wróciłybyśmy razem z nią — dodałam. Spojrzałam badawczo na Felicity. — Choć nie sądzę, byśmy mogły to uczynić.

— Kiedy zobaczyłem, jak bardzo jest chora, zacząłem się nad tym zastanawiać — oznajmił Milton Hemming. — Znam dobrze Kapsztad. Mam tam przyjaciół.

— Wydaje się, że pan ma przyjaciół wszędzie — stwierdziłam.

— Często podróżuję. Odwiedzam wiele miejsc. Tak się kolekcjonuje znajomości.

— Jak pamiątki? — zasugerowałam.

— Cóż, można to i tak rozumieć. Może mógłbym z nimi ustalić...

Felicity wpatrywała się w morze. Czy ona też wołałaby zawrócić z Kapsztadu?

— Porozmawiam z panną Cartwright — zaofiarował się Milton Hemming.

— Pan? — nie potrafiłam ukryć zdziwienia.

— Oczywiście, dlaczego nie? Jestem pewny, że mnie posłucha.

— A ja jestem przekonana, że uzna opinię mężczyzny za dużo cenniejszą od zdania przedstawiciela płci własnej.

— Tak. Od początku wydała mi się kobietą rozsądną. — Popatrzył na mnie z uśmiechem. — Żałuję, panno Annalice, że pani nie podziela jej poglądów.

— Czy moglibyśmy porozmawiać poważnie?

— Oczywiście, że tak. Powinna zawrócić. Nie mam co do tego wątpliwości. Mógłbym znaleźć dla niej miejsce na statku zmierzającym w przeciwnym kierunku. Może któryś z moich znajomych będzie wracał i zaopiekuje się nią. Lepiej, by osoby w jej stanie zdrowia zostawały we własnych domach.

Spojrzałam na Felicity. Skinęła głową.

— Nigdy nie zgodzi się zostawić nas same — powiedziała.

— Powiem jej, że zaopiekuję się paniami.

— Pan! — wykrzyknęłam. — Uzna to za absolutnie niewłaściwe i niestosowne. Przecież zupełnie pana nie znałyśmy, zanim nie spotkaliśmy się na pokładzie.

— Przyjaźń szybko się rozwija, kiedy ludzie znajdują się blisko siebie. Oczywiście, będzie musiała stawić czoło podróży powrotnej, ale każda chwila przybliży ją do domu. Nie macie panie pojęcia, jak bardzo to pomaga.

— Nasze rodziny przystały na tę podróż pod warunkiem, że panna Cartwright będzie nam towarzyszyć — powiadomiłam go. — Uznały, że nie można pozwolić młodym pannom na samotną podróż w drugi koniec świata.

— To tylko świadczy o tym, jak bardzo szanowni krewni mogą się mylić. Role się odwróciły i oto panie we dwie opiekują się panną Cartwright. Proszę powierzyć wszystko mnie. Kiedy zobaczę ją następnym razem, dyskretnie dam jej to do zrozumienia.

I uczynił to.

Następnego dnia pogoda znów się polepszyła i panna Cartwright wyszła na pokład. Felicity siedziała obok niej z jednej strony, ja z drugiej. Panna Cartwright wyglądała jednak zdecydowanie na chorą, w jasnym świetle słońca jej cera wydawała się przezroczyście żółta.

Nie minęło dużo czasu, gdy na pokładzie zjawił się Milton Hemming.

— Panno Cartwright, jak miło panią widzieć! — Przysunął do nas krzesło. — Wolno mi przyłączyć się do pań?

— Jeśli ma pan ochotę — odpowiedziała zadowolona panna Cartwright.

— Było mi przykro, gdy usłyszałem, że pani choruje. Morze czasami to sprawia. Niektórzy ludzie, niestety, powinni unikać żeglowania.

— Ja do nich z pewnością należę — odpowiedziała panna Cartwright. — Proszę mi wierzyć, panie Hemming, kiedy będę już miała tę podróż za sobą, nigdy, przenigdy więcej nie wypłynę w morze.

— I nie powinna pani tego więcej czynić. Jaka szkoda, że przed nami jeszcze taki kawał drogi, a później czeka panią podróż powrotna.

— Błagam, niech pan o tym nie mówi! Sama myśl o tym mnie przeraża!

— Mogłaby więc pani tę podróż nieco skrócić.

— Skrócić? W jaki sposób?

— Zawracając do domu w Kapsztadzie.

Widziałam, jak na ułamek sekundy rozbłysły jej oczy, ale po chwili znów stały się matowe.

— Ależ panie Hemming, muszę dowieźć moją siostrzenicę całą i zdrową do jej przyszłego męża. Mam pod opieką ją i pannę Mallory.

— I doskonale wypełnia pani swoje obowiązki. Ale, panno Cartwright, jeżeli pani zachoruje, nie będzie pani mogła sprawować opieki.

— Przewycięzę tę słabość.

— Nawet dama tak oddana i pełna determinacji, jak pani, nie wygra z oceanem.

— Cóż, będę się przynajmniej o to starała.

— Gdyby postanowiła pani wrócić do domu z Kapsztadu, mógłbym to bez trudu pani ułatwić.

— Co takiego? Co pan ma na myśli?

— Mógłbym zdobyć dla pani miejsce na statku płynącym do Anglii. Mam wielu przyjaciół, którzy podróżują regularnie na tej trasie. Przedstawię panią któremuś z nich, by nie musiała pani podróżować sama.

— Panie Hemming, jest pan niezwykle uprzejmy, ale po to udałam się na tę daleką wyprawę, by opiekować się moją siostrzenicą.

— Jej przysły małżonek będzie oczekiwał na nią w Sydney. Tam on przejmie nad nią opiekę.

Milczała. Ale jej wygląd już nieco się poprawił. Na policzkach pojawił się cień rumieńców. Spowodowała to sama myśl o bliskim powrocie do Anglii.

Zaśmiała się cicho.

— To bardzo miło z pana strony... ale to oczywiście niemożliwe.

— Z pewnością kilka szczegółów musielibyśmy jeszcze uzgodnić. Nic nie jest niemożliwe, Da się to załatwić bez większego kłopotu. Właściwie to bardzo proste.

— Ale co z nimi dwiema?...

— Są bardzo odpowiedzialnymi młodymi osobami. Będę tutaj i dopilnuję, żeby nie stała im się żadna krzywda. Może pani bezpiecznie powierzyć te panie mojej pieczy.

Byłam zdumiona śmiałością tego człowieka. On naprawdę gotów jest przekonać pannę Cartwright do powrotu. Dlaczego? Dużo o nim myślałam. Na przykład sposób, w jaki poszukiwał mojego towarzystwa, był intrygujący. Emanowała z niego siła. Bardzo się różni od Raymonda. Wygląda na człowieka zdolnego do wszystkiego. Jeszcze raz zdałam sobie sprawę, że Raymond jest taki nieskomplikowany, tak godny zaufania.

— Ależ panie Hemming... — wymamrotała panna Cartwright.

— Wiem, co pani myśli. Że się zbyt krótko znamy. W ciągu tych paru ostatnich dni widywaliśmy się jednak codziennie jak starzy przyjaciele. Ważny jest czas, jaki spędziliśmy razem. Proszę pomyśleć, panno Cartwright, trzeba jeszcze prze — być szmat oceanu. To prawda, musiałyby pani popłynąć z Kapsztadu do Anglii, ale i tak znajdzie się pani wcześniej w domu, niż my w Australii. A pani zdrowie poprawiałoby się z minuty na minutę.

— Mówi pan tak, jak by to wszystko było takie proste, panie Hemming.

— Cóż, proszę pamiętać, że nie jest to niemożliwe. Zmienił temat. Mówił o miejscach, które odwiedził w czasie podróży. Powiedział, że zawsze pragnął wrócić do Anglii i że któregoś dnia tam się osiedli.

Nie wspomniał więcej o Kapsztadzie, ale ziarno zostało posiane.

Widziałam, że panna Cartwright wciąż rozmyśla nad propozycją, że walczy z sobą. Czy potrafi zawrzeć kompromis z własnym sumieniem i opuścić nas, byśmy dokończyły podróż same? Wiedziałam, że sumienie odgrywa bardzo dużą rolę w życiu panny Cartwright. Propozycja była nęcąca. Z tego, co mówiła, wiedziałam też, że tęskni za swoim domem i ogrodem. Upały były dla niej równie nieznośne jak kołysanie morza. Nie została stworzona do podróży dookoła świata.

Minęło kilka dni. Od czasu do czasu Milton Hemming — teraz nasz stały kompan — sączył w jej uszy swoje słowa. Byłam zaskoczona jego zręcznością. Nigdy nie namawiał panny Cartwright wprost, ale niemal wszystko, co mówił, wskazywało na celowość powrotu. Nic nie da się zrobić, dopóki nie dotrzemy do Kapsztadu, ale do tego czasu musi poznać jej decyzję. Mieliśmy się tam zatrzymać trzy dni i cały ten czas będzie mu potrzebny na przygotowania do wyprawienia jej w drogę powrotną.

Dużo o nim myślałam. Był człowiekiem, który potrafi dążyć do celu, a jego stosunek do mnie mógł wskazywać tylko na jedno. Nie byłam przecież tak naiwna, by tego nie pojąć. Nie wspominał o żonie, nie wiedziałam nawet, czy w ogóle jest żonaty. Jest bardzo męski i nie wygląda na kogoś, kto odmawia sobie czegoś, jeśli tego zapragnie. Byłam pewna, że zna wiele kobiet. Wyglądał na człowieka światowego. Bardzo mnie intrygował i zastanawiałam się, jak daleko posunęłaby się nasza przyjaźń, gdybym odpowiedziała na jego awanse.

Wracał ze swojej plantacji do Anglii i wspominał o ludziach, którzy w starym kraju szukają żon. Czy chciał powiedzieć, że on też poszukiwał towarzyski życia? Jeżeli tak, to najwyraźniej jego starania okazały się bezowocne, choć nie mogłam sobie wyobrazić, by coś mogło mu się nie udać, a już zwłaszcza poszukiwanie żony.

Chciałam wiedzieć o nim więcej.

Wtedy jeszcze wierzyłam, że zdołam utrzymać między nami dystans, co nie było wcale łatwe, bo ciągle był przy mnie. Wiedziałam, że pasażerowie zaczynają już o nas plotkować. Skoro wiadomo, że Felicity ma wyjść w Australii za męża, wszyscy uznali, że to ja jestem celem Milтона Hemminga. Muszę przyznać, że przyjemnie było znaleźć się w centrum tej romantycznej intrygi. Z pewnością dodawało to smaku moim dniom na statku.

Jak przewidywał, w okolicach Przylądka znowu pojawiły się wysokie fale i panna Cartwright podjęła decyzję. Wyznała, że niepokoi się o mnie, bo kiedy Felicity znajdzie się pod opieką męża, ja będę musiała sama wracać do Anglii.

Milton Hemming zapewnił ją, że w odpowiednim czasie zatroszczy się o mój powrót do kraju i dopilnuje, bym podróżowała w towarzystwie jego przyjaciół. W żadnym razie nie ma się czego obawiać. Jego zapewnienia, w połączeniu z pogodą, pomogły jej podjąć decyzję.

Jeśli się powiedzie, wróci do domu, gdyż w obecnym stanie nie tylko nie nadaje się na opiekunkę, lecz jest ciężarem.

\* \* \*

Cały pobyt w Kapsztadzie upłynął nam na przygotowaniach do wyjazdu panny Cartwright. Musiałyśmy ją nieustannie zapewniać, że będziemy całkowicie bezpieczne.

W Sydney powinien na nas oczekiwać William Granville. Ja zostanę z Felicity aż do jej ślubu, a potem pan Hemming pomoże mi w zorganizowaniu powrotu, przedstawi kapitanowi statku i przyjaciołom, którzy popłyną do kraju tym samym statkiem. Zna przecież mnóstwo ludzi, którzy często podróżują. W jego zręcznych rękach sprawy z pewnością ułożą się pomyślnie.

Rzeczywiście był zdolny. Zajął się wszystkim. Panna Cartwright miała zatrzymać się na tydzień w jednym z najlepszych hoteli. Przedstawił ją swoim znajomym, którzy właśnie żeglowali do Anglii. Będą wszyscy razem, a więc nie ma powodu do obaw.

Co do podopiecznych, czyli nas obu, mogła być pewna, że pan Hemming uczyni wszystko to, co zrobił dla niej.

Byłam zaskoczona tym, że jest gotowa okazać tyle zaufania mężczyźnie, którego jeszcze niedawno wcale nie znała. Uznałam, że to dzięki jego niezwyklej osobowości. Promieniował siłą, ale dobrą, życzliwą. Zastanawiałam się jednak, jak by to było, gdyby ktoś popadł z nim w konflikt. Czulałam, że muszę się jeszcze wiele dowiedzieć o tym człowieku.

Dni w Kapsztadzie mijały szybko. Mieliśmy niewiele czasu na zwiedzenie najpiękniejszych zakątków. Nigdy nie zapomnę widoku gór pokrytych bujną roślinnością. Było ciepło, ale nie gorąco. Kwiaty mieniły się wszystkimi kolorami, a krajobraz wyglądał jak zaczarowany.

Panna Cartwright przy rozstaniu była bardzo zdenerwowana. Do ostatniej chwili myślałam, że zmieni zdanie i wróci na nasz statek. Wciąż mówiła o odstąpieniu od swojego obowiązku i wiedziałam, że sumienie i strach przed morzem toczą w niej straszliwą walkę. Sumienie zostało pokonane. Kiedy odpływaliśmy z Kapsztadu, zostawiliśmy pannę Cartwright na nabrzeżu, powiewającą do nas na pożegnanie wilgotną chusteczką.

\* \* \*

Miałam wrażenie, że Milton Hemming jest zadowolony z jej nieobecności. Czasami naprawdę wydawało mi się, że starannie zaaranżował jej wyjazd. Dlaczego?

Musiał mieć jakiś cel. Jest człowiekiem, który zawsze kieruje się jakimś motywem. Zdecydowanie zbyt często zajmował moje myśli. Jest zuchwały, raczej arogancki, a już z całą pewnością odważny — myślałam.

Na Felicity też zrobił ogromne wrażenie. Zauważyłam, że w jego obecności staje się trochę nerwowa. A więc na nią też miał wpływ.

Teraz, kiedy nie było już z nami panny Cartwright, wydawało się rozsądne, bym przeprowadziła się do Felicity i zostawiła całą kabinę mojej nowej znajomej z Australii. Tak też uczyniłam — To zbliżyło mnie do Felicity. Także stosunki między nami trochę się ociepliły. Leżałyśmy na swoich kojach, ona na górze, ja na dole, i rozmawiałyśmy przed zaśnięciem.

Odkryłam, że senność i łagodne kołysanie statku bardziej sprzyjają zwierzeniom niż przesiadywanie na słonecznym pokładzie.

W końcu Felicity wyraziła na głos swoje obawy:

— Chciałabym, żeby ta podróż trwała i trwała bez końca — powiedziała.

— A więc ci się podoba?

— Tak... teraz, gdy już przyzwyczyłam się do morza. Początek był okropny. Chciałam tylko umrzeć.

— Podobnie jak biedna panna Cartwright.

— To zaskakujące, że ciotka wyraziła zgodę na powrót. Myślałam, że na to nie przystanie. Zawsze była stanowcza w kwestii opieki nade mną.

— Myślę, że Milton Hemming pomógł jej w podjęciu decyzji.

— Bardzo go polubiła. A co ty o nim myślisz, Annalice?

— Och, nie znoszę pośpiesznie oceniać ludzi.

— Ale wyrobiłaś sobie o nim jakąś opinię.

— Cóż, myślę, że jest interesujący... na swój sposób nawet ekscytujący. To taka osoba, z którą znajomość jest ciekawa... na krótko... na statku. Dotrzemy do Sydney... pożegnamy się z nim... i za kilka miesięcy będziemy mówić: „Jak się nazywał ten człowiek, którego poznałyśmy na statku...?”

— Chyba sama w to nie wierzysz. Przecież obiecał cioci Emily, że zapewni ci bezpieczny powrót do domu.

— Cóż, może nie za kilka miesięcy... powiedzmy za kilka lat. — Nie sądzę, bym o nim kiedykolwiek zapomniała. Zwłaszcza tego, w jaki sposób pozbył się mojej cioci. — Pozbył się jej?

— Och, tak... Chciał przecież, by wróciła, prawda?

— Ale dlaczego?

— Opiekunki mogą czasem przeszkadzać.

Roześmiałam się.

— Skoro spędzała większość czasu w koi, nie sądzę, by zbytnio przeszkadzała.

— Sama jej obecność mogła przeszkadzać. Teraz zostałyśmy same.

— Felicity, chyba się nie boisz?

Przez chwilę milczała.

— Więc jednak się boisz, prawda? — ciągnęłam. — Dlaczego mi o tym nie powiesz?

— Wolałabym wrócić razem z ciotką.

— Felicity! Przecież płyniesz do człowieka, którego kochasz. — Nie odezwała się. — Czuję, że czymś się martwisz. Nie chciałabyś o tym porozmawiać?

— To wszystko wydarzyło się tak szybko.

— Była to więc miłość, jak się to mówi, od pierwszego wejrzenia?

— Cóż, myślę, że chciałam, by coś się wydarzyło... dlatego, że...

— Dlaczego?

— Och, nic... Pojawił się w naszych stronach William. Spotkałam go u sąsiadów na herbatce. Porozmawialiśmy i zainteresował mnie. Potem widywałam go dość często i w końcu poprosił mnie o rękę. Wydawało się to najlepszym wyjściem...

— A teraz nie jesteś już tego pewna?

— Myślę o tym, że nie znam go zbyt dobrze. I jestem tak daleko od domu. Jadę między zupełnie obcych ludzi.

Milczałam usiłując znaleźć właściwe słowa, by ją pocieszyć — Myślałam o tym, co Milton Hemming powiedział o nałogu jej przysłego męża. Biedna Felicity! Była zbyt słaba, zbyt bezradna, by poradzić sobie w sytuacji, w którą się wplątała.

— To wszystko moja wina — mówiła dalej. — Ale ta świadomość wcale mi nie pomaga. A przecież można chyba było tego uniknąć. Dobrze mi tak...

— Nie — zaproponowałam. — To nie pomoże. Nie wyobrażaj sobie najgorszego. Kiedy już dotrzesz na miejsce, prawdopodobnie się okaże, że będziesz całkiem zadowolona. Musiał się przecież w tobie zakochać, inaczej nie poprosiłby cię o rękę... I tobie on też się spodobał.

— Nie wydaje mi się, by tak było. On przyjechał szukać żony. Dużo panien by się nadawało. I trafił akurat na mnie.

— Takie jest życie. Chodzi tylko o znalezienie się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. Wtedy właśnie spotykamy nasze przeznaczenie.

— Nie rozumiesz. Pochlebiało mi, że mnie zauważył wśród innych. Byłam zadowolona, że ktoś chce się ze mną ożenić. Teraz widzę, jak głupio postąpiłam. Bo widzisz, jest ktoś inny. Kocham go, rozumiesz? Zawsze go kochałam.

— A on?

— On kocha inną... nie mnie.

— Och, Felicity, tak mi przykro.

— Ciocia Emily początkowo myślała, że wyjdę za niego za męża. Wszyscy zresztą tak myśleliśmy, ale kiedy zakochał się w tej drugiej... to był koniec. Odkąd skończyłam czternaście lat, myślałam... Cóż, od dziecka byliśmy przyjaciółmi, to znaczy nasze rodziny są zaprzyjaźnione. Często się widywaliśmy... A kiedy on zakochał się w innej... i to było takie widoczne... poczułam się zagubiona i samotna, i tak strasznie zraniona. Więc kiedy William powiedział „Czy zostanie pani moją żoną i pojedzie ze mną do Australii?”, pomyślałam, że to będzie dobre wyjście... dopóki nie zrozumiałam, co to naprawdę oznacza.

— Teraz cię już rozumiem, Felicity. Wiedziałaś, że coś cię dręczy.

— Niedługo już tam będę... całkiem sama.

— Będziesz miała przecież męża. „Tak... tego właśnie się obawiam. Próbowałam ją pocieszyć.

— Myślę, że wiele panien młodych tak się czuje w przeddzień ślubu.

— Naprawdę?

— Jestem tego pewna.

— Cieszę się, że jedziesz ze mną, Annalice.

— Wiesz, dlaczego tam jadę.

— Tak, z powodu swojego brata.

Milczałyśmy chwilę.

— Felicity, czy śpisz?

— Nie.

— Wszystko będzie dobrze. Nie odpowiedziała.

\* \* \*

Kiedy płynęliśmy przez Ocean Indyjski, dni stały się gorące, a Milton Hemming towarzyszył nam codziennie.

— Proszę nie zapominać, że obiecałem panie Cartwright mieć na panie oko — powiedział. — Teraz zapewne biedaczka dopływa już do wybrzeży Anglii. Cieszę się, że mogłem ulżyć jej w cierpieniu.

— Okazał pan niezwykłą wytrwałość w opiece nad nią — zapewniłam go.

— Och, jestem niezwykle humanitarny.

— Ale nie grzeszy pan skromnością.

— Nie lubię skromności. Przecież pani doskonale wie, że skromność zazwyczaj jest fałszywa. Wolę być szczerzy. Gdybym miał złą opinię o sobie, oczekiwałbym, że inni ją podzielą,

— Bo uznaje pan, że zawsze ma pan rację. A zatem, gdyby był pan skromny — co w pana przypadku jest niemal niewyobrażalne — musiałyby także zaistnieć po temu jakaś przyczyna. A skoro to jest niemożliwe, nigdy nie będzie pan skromny.

— Wydaje mi się ta opinia nieco stronnicza, ale sądzę, że pani rozumowanie jest poprawne, Annalice. Kiedy dotrzemy do Sydney, co nastąpi już niebawem, chciałbym, by odwiedziła mnie pani na Caribie.

— Och, zamierzam zostać czas jakiś z Felicity.

— Wie pani, co obiecałem szanownej panie Cartwright: że się panią zaopiekuję. Mam zarezerwować dla pani miejsce na statku zmierzającym do kraju i upewnić się, że ma pani odpowiednie towarzystwo.

— Nie było mowy o podróży na Caribę.

— Chciałbym pokazać pani moją plantację. Dlaczego jest pani taka wyniosła? Królowa śniegu, właśnie tak. Wierzę, że potrafiłbym stopić lód, a skoro królowe też są kobietami, odarte ze swej królewskości, okazują się całkiem ludzkie.

— Dziwne, że panu wydają się lodowata. Myślałam, że jestem raczej przyjazna.

— Z pewnością okazała mi pani wdzięczność za to, co uczyniłem dla panny Cartwright. Czasami też, kiedy już uda mi się panią zastać na pokładzie czy w jadalni, wydaje mi się, że dostrzegam nieco ciepła w pani oczach... jakby była pani zadowolona z tego, że mnie widzi.

— Ponieważ myślę, że jest pan miły.

— Naprawdę? Mam zdradzić moją opinię o pani?

— Jestem pewna, że i tak pan to uczyni, niezależnie od mojego pozwolenia.

— Znowu ma pani rację. To czarujące.

Milczałam, a on pochylił się, ujął moją dłoń i pocałował.

— Chcę, żeby pojechała pani na Caribę i została tam czas jakiś. Nie zamierzam pani tracić. Jestem co do tego zdecydowany.

— Co pan ma na myśli?

— Chcę powiedzieć, że szaleję za panią. Wszystko, co wiąże się z panią, zachwyca mnie. To, jak pani wygląda, jak pani mówi... nawet pani chłodny stosunek do mnie... wszystko mnie urzeka. To najwspanialsza, najbardziej niezwykła podróż, jaką kiedykolwiek przeżyłem — a odbyłem wiele podróży. A dlaczego? Odpowiedź jest prosta. To dzięki panie Annalice Mallory.

— Chyba powinnam panu powiedzieć, że rozważam możliwe małżeństwa z pewnym panem w Anglii.

— A więc musi pani przestać tę możliwość rozważać.

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

— Jest pan najbardziej aroganckim mężczyzną, jakiego znam.

— I to właśnie tak pani podziwia.

— Kto mówi, że pana podziwiam?

— Pani sama. Na sto różnych sposobów. Słowa nie zawsze są konieczne. Pani i ja... razem... Tak właśnie powinno być. Zabiorę panią na moją plantację. Proszę nie myśleć o tym mężczyźnie w Anglii. Jak on może panią kochać? Gdyby kochał, nigdy nie pozwoliłby pani podróżować na drugi koniec świata samej, bez niego. Gdzie on jest? Ja nigdy nie spuściłbym pani z oka.

— Jest pan bardzo porywczy, panie Hemming. Spodziewam się, że w domu na swojej wyspie czeka na pana żona, a to jest wstęp do jakiegoś zaplanowanego uwiedzenia.

— Nie mam żadnej żony... jeszcze nie. Ale zamierzam to naprawić.

— Czyżby to były oświadczenia?

— A spodziewała się pani, że ośmieliłbym się zaproponować cokolwiek innemu damie z pani pochodzeniem i charakterem?

— Rzeczywiście, to absurd.

— Na tym statku można oszaleć. Wszędzie ludzie. Chciałbym być z panią sam na sam. Nie ma tu dokąd pójść. Chciałbym pokazać pani, co to naprawdę znaczy być kochaną.

— Mówiłam już panu, że doskonale wiem, co znaczy być kochaną. Przez całe życie otaczali mnie kochający ludzie. I mówiłam już panu, że jestem związana z człowiekiem, który jest mi bardzo drogi. Kiedy wrócę do kraju, mam wyjść za niego za mąż.

— Nie wierzę w to — oznajmił.

Wzruszyłam ramionami.

— Pana wiara lub niewiara nie zmienia faktów.

— Wie pani, że nie pozwolę pani odejść. Nie jestem człowiekiem, który poznawszy jedyną osobę na świecie, którą chce poślubić, pozwoliłby jej się wymknąć.

— Jest pan bardzo stanowczy i przyzwyczał się pan do stawiania na swoim. Nie wątpię w to. Ale w tym przypadku to się panu nie uda. Co do tego nie mam wątpliwości. Biorąc pod uwagę to, co pan właśnie powiedział, wydaje mi się, że lepiej będzie, jeżeli przestaniemy widywać się tak często.

Roześmiał się.

— Czasami bywa pani uosobieniem ideału angielskiej damy. Uwielbiam to. Ale pani nie jest taka naprawdę.

Gwałtownie odwrócił się do mnie, wziął mnie w ramiona i namiętnie pocałował. Nigdy przedtem nie całowano mnie w ten sposób. Próbowałam go odepchnąć i natychmiast zdałam sobie sprawę z jego niezwykłej siły. Straciłam oddech, byłam zła i podniecona.

W końcu mnie puścił.

— Tak — powiedział. — Chciałbym, byśmy byli sami.

— Czy nie potrafi pan zrozumieć, że są na tym świecie osoby, które potrafią oprzeć się temu, co pan nazywa swoim nieodpartym urokiem?

— To przekracza moją zdolność pojmwania.

I nagle zauważyłam, że śmieję się razem z nim. Wiedziałam, że powinnam być zirytowana, więc spróbowałam rozbudzić w sobie gniew.

Gdybym była teraz szczerą, przyznałabym, że bardzo mi się podoba. Pochlebiało mi, że to właśnie mnie obdarzył swoją uwagą. Instynkt mi podpowiadał, że on pewnie miał już wiele romansów. W tej chwili stosował niewątpliwie dobrze wypróbowaną metodę. Ale chociaż nie wierzyłam ani trochę w jego szczerłość, pociągał mnie jak jeszcze nikt wcześniej. Był to czysty pociąg fizyczny, coś, czego nigdy nie czułam do Raymonda.

— Mam nadzieję, że takie zachowanie już się nie powtórzy.

— Zna mnie pani zbyt krótko, by żywić tę nadzieję. Ale pani oczywiście wcale tak nie myśli. Może w głębi serce ma pani nadzieję, że to się jednak powtórzy.

— Panie Hemming, muszę prosić, by skończył pan z tymi bzdurami.

— To brzmi bardzo oficjalnie.

— Bo chcę być oficjalna.

— Muszę przyznać, że ma to swój urok. Kiedy wreszcie przyzna się pani do swoich własnych uczuć, kiedy usłyszę, jak pani mówi „Kocham pana, panie Hemming”?

— Pan tego nigdy nie usłyszysz.

— „Nigdy” to nie jest słowo, którego należy używać. Trzeba się później wycofywać z niebacznych przysiąg.

— Musi pan być wielkim optymistą, skoro pan tak sądzi.

— Jest pani dla mnie bardzo surowa. Ale to właśnie jest miłość.

— Ma pan przedziwny gust.

— Mam najlepszy gust na świecie. Wybrałem królową wśród kobiet, królową śniegu, który roztopię, by odnaleźć pod powłoką lodu doskonałą, namiętną kobietę. Jedyną na świecie, która warta jest tego, by być moją.

Znowu się roześmiałam.



— Bawię panią — stwierdził. — To niezły początek.  
— Gdyby mnie pan nie bawił, uznałabym pana zachowanie za wyjątkowo niesmaczne.  
— Ale nie uznała pani.  
Zobaczyłam zbliżającą się do nas Felicity.  
— Magiczne chwile dobiegają końca — powiedział. — To nieważne. Przyjdą następne.

\* \* \*

Wszystko się zmieniło. Nie mogłam przestać o nim myśleć. Oczywiście, zachował się skandalicznie. Mądra kobieta nie uwierzyłaby w ani jedno jego słowo. Coś takiego można by nazwać „pokładowym romanssem”.

Czyżby się spodziewał, że należę do osób, które zgodziłyby się na namiętą przygodę trwającą kilka tygodni i powiedziały spokojnie „Do widzenia” po przybyciu na miejsce?

Ale on mówił o małżeństwie. A ja nie mogłam przestać myśleć o poślubieniu go i pojechaniu na jego plantację. Wracalibyśmy do Anglii raz na rok. Regularnie odwiedzilibyśmy Sydney. Ale nie to było przecież najważniejsze. Myślałam o nim... jako o mężczyźnie, potężnym mężczyźnie z niezwykłą osobowością. O tym, w jaki sposób mówi. O tym, jak omotał pannę Cartwright. Bo nie było na to innego określenia. Potulnie przecież pozwoliła wysłać się do domu i zostawiła swoją siostrzenicę pod opieką obcego człowieka... takiego człowieka.

Tylko czary mogły tego dokonać.

A teraz wydaje mi się, że rzucił zaklęcie także na mnie. Leżałam w swojej koi, udając, że śpię, by Felicity nie mogła wmieszać się w moje sny... a one były o nim. O tym, jak mnie całuje i tuli. Zastanawiałam się, jak by to było być kochaną przez takiego mężczyznę.

Usiłowałam myśleć o Raymondzie — o spokojnym, łagodnym, powściągliwym Raymondzie. W Miltonie nie było nic powściągliwego. Był dokładnym przeciwieństwem Raymonda. Nie pozostałam lojalna wobec Raymonda, myśląc o Miltonie Hemmingu. Ale nie mogłam nic na to poradzić. Wciąż pojawiał się w moich myślach.

Niedługo dotrzemy do Sydney. Czy wtedy pożegnam go na zawsze? Tamta rozmowa na pokładzie mogła być tylko nic nie znaczącym epizodem. Jedynie dlatego, że znaleźliśmy się na statku, w zamkniętym kręgu i prawdziwe życie wydało się tak odległe. Rzeczywistość gdzieś zniknęła. Tak, właśnie tak. Ma silną osobowość, ma w sobie coś władczego i od początku wybrał właśnie mnie, co mi pochlebiało, bo w końcu jestem kobietą. Lubię, kiedy poświęca mi się uwagę, lubię myśleć, że jestem atrakcyjna. To wszystko jest najzupełniej zrozumiałe. A więc... muszę przestać o nim myśleć i przypomnieć sobie o celu mojej podróży, którą Raymond tak uprzejmie pomógł mi zorganizować.

Raymond! Muszę pamiętać o Raymondzie. Muszę wykonać to, co zamierzałam. Nie przepuścić ani jednej możliwości odkrycia, co się stało z Filipem. Kiedy poznam prawdę, wrócę do Raymonda.

Szybko zbliżaliśmy się do kresu podróży. Za dwa dni dotrzemy do Sydney.

Nerwy Felicity były w stanie nieustannego napięcia.

— Obiecuj, że trochę tam ze mną zostaniesz — prosiła.

Chciałam przypomnieć jej, że celem mojej podróży jest odkrycie, co się stało z moim bratem, ale w chwili słabości, pełna współczucia wobec niej, obiecałam, że trochę zostanę.

Przypomniałam jej jednak, że będąc w Sydney zamierzam skontaktować się z botanikiem, z którym Filip wypłynął. Oczywiście, o ile będzie możliwe takie spotkanie. Może ów botanik coś wie o czynnościach Filipa? A jeżeli ślad dokądś poprowadzi, muszę nim podążyć. Ale na pewno trochę z Felicity pobędę. Po ślubie pojedę do jej nowego domu... może na jakiś tydzień. Wydawało się, że to ją uspokoiło.

Teraz dni bardzo się dłużyły. Pasażerowie nie mogli się już doczekać zejścia na ląd. Trwały przygotowania, wszyscy się niecierpliwi.

Przedostatni wieczór na statku spędziłam sama z Miltonem Hemmingiem. Było ciepło i przyjemnie, bezwietrznie, a gwiazdy, wśród których udało mi się odkryć Krzyż Południa, doskonale widoczne na tle czarnego nocnego nieba.

— Już niebawem — powiedział.

— Wszyscy już marzą, by zejść na brzeg.

— Ja nie. Chciałbym żeglować z panią całą wieczność.

— To bardzo romantyczne stwierdzenie i zupełnie niewiarygodne.

— Pani wprawia mnie w ten romantyczny nastrój.

— Myślałam, że nic nie może tego sprawić.

— Myśli pani, że jestem zbyt przyziemny, by być romantyczny?

— Może.

— Wiele musi się pani jeszcze o mnie dowiedzieć.

— O każdym trzeba się wiele dowiedzieć.

— I niekiedy te lekcje bywają nudne. Ale z nami będzie inaczej.

— Czy jest pan już gotowy do zejścia na ląd? Spakowany i tak dalej?

— Nie jestem przygotowany tylko na to, by panią opuścić.

— Niebo jest niewiarygodnie piękne. Gwiazdy wydają się tak bliskie.

— Nad Caribą niebo jest jeszcze piękniejsze. Spodoba się pani. Tak naprawdę, to wiele rzeczy na Caribie się pani spodoba.

— Musi pan bardzo tęsknić za swoim rajem.

— Żaden raj na ziemi nie jest doskonały. Zawsze brak mu czegoś do doskonałości. Znalazłem właściwą osobę...

— A ona zgodziła się z panem pojechać?

— Nie w słowach. Ale czytam w jej myślach.

— A zatem jest pan jasnowidzem? Jeszcze jedna z pana zalet?

Ujął mnie za rękę.

— Ona naprawdę chce być ze mną równie mocno, jak ja chcę być z nią... albo prawie tak samo mocno. Czasami bywa dość ceremonialna. To kwestia wychowania. Zna pani te stare angielskie rodziny. Ale mnie nie potrafi oszukać.

— A może pan sam siebie oszukuje? Oczywiście, o ile nie mówi pan o kimś, kogo nie znam.

— Pani wie, o kim mówię. Jest tylko jedna taka osoba.

— Jestem zdumiona, że uznał pan ją za godną siebie.

— Nigdy nie myślałem, że znajdę kogoś, kto będzie mnie wart.

— Ale pan nie uznaje niemożliwości.

— Nie, nigdy. Jakże pani dobrze mnie przejrzała!

— Proszę, bądźmy rozsądni.

— Zawsze jestem rozsądny.

— To bezsensowne uganiać się za mną... Podróż dobiega końca. To miał być zabawny epizod, prawda? Żeby umilić monotonię dni na morzu? Cóż, już prawie po wszystkim. Nie udało się panu mnie uwieść, co, jak sądzę, było pana zamiarem. Proszę to przyznać.

— Nie zaprzeczę.

— Nie ma pan wstydu.

— Uwiedzenie pani miało być wstępem do trwającego całe życie romansu.

— Pana słowa są równie ekstrawaganckie, jak pana pomysły.

— Czy możemy być przez chwilę poważni?

— Tego właśnie chcę.

— W takim razie będę mówił z niezwykłą powagą. Nie pożegnaj pani w Sydney. Chcę, by odwiedziła pani moją wyspę. Cariba to piękne miejsce. Może wyobraziła sobie pani jakąś

opuszczoną wysepkę z palmami, piaszczystymi plażami i tubylcami w pirogach. Wszystko to tam jest, ale oprócz tego żyją tam także całkiem zamożni mieszkańcy. Zarobiliśmy sporo na eksporcie cukru. Użytkujemy zasoby naturalne wyspy. Nie jest mała — największa z czterech w tamtych stronach. Mamy własny port i całkiem niezły hotel. Cukier dał wyspie bogactwo, a tamtejsi mieszkańcy są wystarczająco rozsądni, by o tym wiedzieć. Chciałbym, by pani nas odwiedziła.

Wahałam się.

— Mam na plantacji duży dom. Chciałbym, by się pani w nim zatrzymała. Gdyby to pani nie odpowiadało, jest, jak już mówiłem, całkiem niezły hotel. Proszę obiecać, że pani przyjedzie.

— Nie mogę nic obiecać.

— Ależ z pani uparta kobieta!

— Widzi pan, że nie nadaję się do niczego.

— To nieprawda. Kocham nawet pani upór. Jestem w pani tak szaleńczo zakochany, że uważam panią za absolutną doskonałość.

— Obiecałam zostać przez jakiś czas z Felicity.

Skinął głową.

— Nie sądzę, by pani chciała przebywać z nią długo. Czy pani wie, że nie powiedziała mi pani o sobie właściwie nic... ani o swojej rodzinie. Wiem tylko tyle, że podróżuje pani z panną Felicity, żeby dotrzymać jej towarzystwa.

— Pan także nie opowiadał mi o sobie.

— Opowiem, kiedy przyjedzie pani na Caribę. Wiem, że mieszka pani z babcią, więc zakładam, że pani rodzice nie żyją.

— Moja matka nie żyje. Ojciec ożenił się powtórnie i mieszka w Holandii.

— Chcę wiedzieć o pani wszystko. Zawsze myślę o pani jako o Annalice. Mojej Annalice... niezwyklej dziewczynie o niezwyklej imieniu. Annalice Mallory. Jest też chyba znana rodzina kartografów o nazwisku Mallory.

— To moja rodzina.

— A więc pani jest...

— Tak?...

— Młody człowiek z tej rodziny był na Caribie... Właśnie sobie to przypomniałem... Musiało to być ze dwa lata temu. Zaraz, jak on miał na imię...? Jestem prawie pewien, że nazywał się Mallory i miał coś wspólnego z mapami.

Serce biło mi jak szalone. Ledwo mogłam mówić.

— Filip... Czy to był Filip?

— Filip Mallory... Tak, chyba tak. — I był na Caribie?

— Tak... spędził tam trochę czasu, o ile pamiętam. Zaschło mi w gardle, brakło słów. Pomyśleć, że on widział Filipa później ode mnie! Że w czasie, gdy zabawialiśmy się flirtowaniem, Milton Hemming mógłby udzielić mi ważnych informacji.

— Co się z nim stało? — spytałam.

— Nie wiem. Po prostu był u nas... a potem pewnie wyjechał.

— To mój brat — powiedziałam.

— Pani brat, oczywiście. Mallory... Zupełnie o nim zapomniałem, aż do tej chwili.

— Proszę powiedzieć mi wszystko, co pan o nim wie.

— Z pewnością pani wie więcej ode mnie.

— Co się z nim stało? Nie wrócił do domu. Czym się zajmował na tej wyspie?

— Proszę chwilę poczekać. Przypomnę sobie... Wydaje mi się, że miał z sobą starą mapę i usiłował znaleźć jakieś miejsce, o którym najwyraźniej nikt nic nie wiedział. Słabo to pamiętam. Niezbyt mnie interesował. Na naszą wyspę przybywa Mnóstwo różnych ludzi z takimi czy innymi planami...

— Proszę postarać się sobie przypomnieć wszystko, co tylko Pan może. To dla mnie bardzo ważne.

— Spotkałem go tylko raz. W hotelu. Chyba tam mieszkał. Więcej go nie widziałem. To wszystko, co wiem.

— A zatem był na Caribie!

— Tak, z pewnością u nas był.

Byłam zdumiona. Nareszcie jakiś ślad! Choć bardzo słaby. I pomyśleć, że Milton Hemming, z którym miałam tak bliskie kontakty przez ostatnie tygodnie, mógł mi to wszystko powiedzieć wcześniej. A ja dowiaduję się o tym dopiero w ostatniej chwili.

A więc Filip mieszkał w hotelu na Caribie... Może ktoś z obsługi hotelu go pamięta, może zdołam się czegoś od nich dowiedzieć.

Byłam niezwykle podniecona. Jeszcze nie przybyłam do Sydney, a już natrafiłam na ślad Filipa.

— Przyjedzie więc pani na Caribę — powiedział Milton Hemming.

— Tak — odpowiedziałam stanowczo. — Przyjadę.

\* \* \*

Jak wielu innych pasażerów, wychyliłam się przez reling, by popatrzeć na zbliżający się brzeg. Cóż to za wspaniały widok! Mogłam bez trudu uwierzyć w to, co powiedział pierwszy gubernator: „To najwspanialsze wybrzeże na świecie”. Przy jednym moim boku stała Felicity, przy drugim Milton Hemming. Ujął moje ramię i przyciągnął do siebie. Chciałam zaprotestować, ale wolałam nie zwracać na nas niczyjej uwagi, na pokładzie roiło się od podróżnych. Byłam pewna, że on zdaje sobie z tego sprawę i że go to bawi.

Felicity wyglądała na bardzo zdenerwowaną, a ja sama myślałam nie tyle o cudownych zatokach, plażach i wspaniałych roślinach, co o chwili, gdy Filip przybił do tego brzegu wraz z ekipą botaników. Zastanawiałam się, czego się dowiem podczas następnego tygodnia.

Już postanowiłam. W hotelu na Caribie z pewnością znajdą się jacyś ludzie, którzy będą go pamiętać. Muszę się z nimi spotkać i porozmawiać. Gdy tylko Felicity wyjdzie za mąż, a ja wypełnię swoją obietnicę i zostanę z nią przez tydzień, popłynę na Caribę.

Wiedziałam, że statek odpływa w każdą środę, i że kiedy już tam się znajdę, mogę być pewna miłego powitania ze strony Milтона Hemminga. Z całą pewnością nie przyjmę propozycji zatrzymania się w jego domu, ale jest przecież hotel. A ten hotel interesuje mnie szczególnie, bo mieszkał w nim Filip.

Zawijaliśmy do portu. Niedługo zejdziemy na ląd.

— Co za widok! — szepnął Milton. — Czyż nie jest pani zachwycona?

— A któż by nie był?

— Proszę poczekać, aż pani zobaczy Caribę. Będę na panią czekał.

— Mówił pan, że jest tam hotel.

— Będzie pani wygodniej w Hemming Hall. Czy podoba się pani ta nazwa? I czyż nie brzmi jak nazwa starej angielskiej posiadłości rodowej? Kiedy już wrócimy do kraju i znajdziemy sobie dom, nazwiemy go właśnie tak.

Sporo ludzi zebrało się na nabrzeżu. Najwyraźniej czekali na przybywających.

Spojrzałam na Felicity.

— Czy twój William tam jest?

Z niepokojem przyglądała się tłumowi.

— Jeszcze za daleko. Nie widzę.

— Sądzę, że powinien być.

Zadrzała.

Pasażerowie wracali do kajut, by wziąć bagaże i zejść na ląd.

— Chodźmy już — powiedziałam.  
Milton Hemming puścił moje ramię i zeszedł po trapie.

\* \* \*

Zbliżał się do nas mężczyzna z kapeluszem w dłoni i uśmiechem na twarzy.

— To William — odezwała się cichutko Felicity.

— Felicity, nareszcie! — Uścisnął ją. — Myślałem, że nigdy tu nie dotrzesz.

— Williamie, to panna Annalice Mallory — oznajmiła Felicity.

Uścisnął moją rękę tak mocno, że zabolęło.

— Witamy w Sydney.

Miał worki pod lekko nabiegłymi krwią oczami. Spojrzał na mnie tak, jakby chciał mnie oszacować. Poczułam się nieswojo. Był raczej tęgi, ale wysoki. Patrzył na mnie jak człowiek, który przywykł dogadzać sobie we wszystkim.

— Ciocia Emily została w Kapsztadzie — wyjaśniła Felicity. — Była tak chora, że musiała wracać do domu.

— Biedna staruszka!

— A to jest pan Milton Hemming, który był dla nas niezwykle miły i pomocny.

— Już się kiedyś spotkaliśmy — powiedział Milton.

— Oczywiście. W hotelu... wśród hodowców. Jest pan z wysp, prawda? Cukier?

— Zgadza się. Pojechałem do Anglii w interesach i miałem przyjemność spotkać młode panie na pokładzie. Spodziewam się, że szybko opuści pan Sydney i wróci do siebie?

— Zostaniemy tu trochę. Weźmiemy najpierw ślub. Tak będzie najprościej. Zarezerwowałem nocleg w Crown. Uznałem, że to najodpowiedniejsze miejsce.

— Tak, w rzeczy samej.

— A co z naszym bagażem? — spytała Felicity.

— Spodziewam się, że macie kufry?

— Naturalnie, musiałam zabrać z sobą mnóstwo rzeczy.

— Oczywiście. Nie martw się. Każę to odesłać prosto do mojej posiadłości, jak tylko wszystko wyładują. W Sydney będziesz musiała zadowolić się tym, co masz z sobą, za to kiedy przyjedziemy do domu, wszystko będzie już na ciebie czekać. — Zwrócił się do Milтона: — Spodziewam się, że będzie pan musiał poczekać tutaj do środy. Wtedy odpływa statek na Caribę, czy tak?

— Istotnie. Ale może zostaną w Sydney trochę dłużej. — Uśmiechnął się do mnie. — Mam parę spraw do załatwienia.

— Pojedziemy do hotelu dorożką — zdecydował William Granville. — To niedaleko.

Byłam zbyt podniecona, by się uważnie przyglądać miastu. Odczuwałam wielki niepokój. Nie mogłam zrozumieć, co opętało Felicity, że przyjęła oświadczyny takiego prostaka. Było dla mnie jasne, że nie jest w nim zakochana nawet odrobinę. Ale to jej decyzja i nie mnie się do niej wtrącać. Zgodziła się, więc najprawdopodobniej tego właśnie chciała. Myślałam o tym, że wkrótce będę się musiała pożegnać z Miltonem Hemmingiem i nie byłam pewna, jakie to wzbudzi we mnie uczucia. Będzie mi brakowało tego, że nie muszę już go unikać, będzie mi brakowało tych słownych bitew, które — byłam tego pewna — sprawiały sporo przyjemności nam obojgu. Wszystko będzie teraz jakieś dziwne.

Ale potem wrócę do Sydney i wsiądę na środowy statek na Caribę. Spodziewałam się, że kiedy już tam się znajdę, szukając śladów Filipa, będę często widywała Milтона Hemminga. Cóż, muszę przyznać, że już teraz nie mogłam się tego doczekać.

Niepokoiliam się o Felicity. Była o krok od małżeństwa z człowiekiem, o którego wcale nie dbała, a teraz, kiedy go zobaczyłam, zrozumiałam dlaczego. Co takiego mogło ją opętać, że zgodziła się wyjść za niego za mąż? Dlaczego uznała, że skoro została odtrącona przez jednego,

musi od razu przyjąć oświadczyzny następnego, jaki się trafi? Czy bała się zostać starą panną, taką, jak panna Cartwright? To czyste szaleństwo, byłam prawie pewna, że tego żałuje. Ale nawet teraz nie jest jeszcze za późno. Jeszcze nie jest mężatką.

Wąskimi, krętymi schodami wydostaliśmy się na zatłoczoną ulicę, a stamtąd pojechaliśmy do hotelu. Był obszerny, z czerwonymi pluszowymi kotarami, czerwonymi dywanami i mnóstwem mosiężnych okuć.

Zauważyłam, że Milton Hemming jest przez służbę hotelową traktowany z szacunkiem i że najwyraźniej dobrze go tu znają.

— Jestem stałym klientem — szepnął do mnie. — Zawsze się tu zatrzymuję, kiedy zajeżdżam do Sydney. Czy spotkamy się przed obiadem na aperitifie? — dodał głośniej.

William Granville stwierdził, że to doskonały pomysł.

Wszystko zostało ustalone i udaliśmy się do swoich pokoi. Mój i Felicity sąsiadowały z sobą.

Rozejrzałam się po pokoju. Meble były duże, sufit wysoki, a okno wychodziło na ulicę. Wystrój podobny do tego w recepcji — ciężkie, czerwone pluszowe zasłony, przytrzymywane grubymi mosiężnymi pierścieniami. Wszędzie wzorowa czystość.

Czułam się nieco oszołomiona. Oddalona o tysiące mil od domu, tylko dlatego że uparłam się, by wypełnić dość niejasną misję. Wiedziałam, że włączyłam się w sprawy, do których nie zamierzałam się wtrącać. Przede wszystkim chodziło o Felicity. Jej ślub zbliżał się nieuchronnie i nie potrafiłam zdusić w sobie niepokoju o to, co się z nią stanie. Do pana młodego poczułam od razu zdecydowaną niechęć. Absolutnie mu nie ufałam. Wyglądał... zaraz, jakie to słowo? Na człowieka zepsutego? Nie, to trochę zbyt mocne, ale jakoś podobnie. Uważałam, że spojrzenie, jakim mnie obrzucił, było zdecydowanie prostackie... Ma miłą powierzchowność, jest gładki. Wydawało się, że jest zachwycony witając Felicity. Czy dobrze go oceniam? Niemądrze jest osądzać ludzi po jednym krótkim spotkaniu! Tak więc lęk o Felicity zwiększał mój ogólny niepokój, a poza tym był jeszcze Milton Hemming. Byłam zirytowana, bo on wciąż wkradał się w moje myśli. Urodzony intruz, zdecydowałam. Tylko dlaczego jestem trochę smutna, że w środę wsiądzie na swój statek?

Muszę pamiętać tylko o mojej misji. Przyjechałam tu po to, by dowiedzieć się, co się stało z Filipem, a kiedy poznam odpowiedź, wrócę do domu, wyjdę za mąż za Raymonda i będę żyła w spokoju.

Rozpakowałam swój niewielki sakwojaż, umyłam się i przebrałam, a kiedy skończyłam, do moich drzwi zapukała Felicity.

— Och... jesteś już gotowa?

— Tak, wejdz. Jaki jest twój pokój?

— Taki sam jak ten.

— Wydaje się bardzo wygodny.

To była rozmowa o niczym, bo bałyśmy się powiedzieć na głos to, co kłębiło się nam w głowach.

— William wydaje się bardzo zadowolony z tego, że już przyjechałaś — stwierdziłam banalnie.

— Tak — odparła krótko.

— Zobaczysz, bardzo ci się tu spodoba.

Skinęła głową bez przekonania.

Objęłam ją ramieniem i ucałowałam. Przywarła do mnie na chwilę.

— Pojedziesz z nami do tej jego posiadłości, prawda?

— Jeżeli chcesz... na trochę. Bo nie wydaje mi się, by William życzył sobie obecności kogoś obcego w czasie miodowego miesiąca.

— Obiecałaś, że przyjedziesz.

— Wiem, i zrobię to... na jakiś tydzień. Zdążysz się zdomowić.

To chyba ją uspokoiło.

Rozległo się pukanie do drzwi. Przyszła pokojówka, która oznajmiła, że zaprowadzi nas do holu, gdzie czekają panowie.

\* \* \*

Następnego ranka obudziło mnie wspaniałe światło słońca.

Kilka chwil leżałam bez ruchu, przypominając sobie, że jestem w Sydney i że moje poszukiwania się rozpoczęły. Dziś rano muszę się dowiedzieć, jak odnaleźć Davida Gutheridge'a. Pamiętałam, że Filip napisał o Australijskim Stowarzyszeniu Botaników. Ów David Gutheridge z pewnością się z nimi kontaktował. Kto wie, może będę miała wyjątkowe szczęście i go tam zastanę? W każdym razie dzisiaj poczynię pierwsze kroki.

Myślami wróciłam do ubiegłego wieczoru. Wypiliśmy aperitif, a potem zjedliśmy wielkie steki, które panom najwyraźniej smakowały. Dla mnie i Felicity były zdecydowanie za duże.

— W Australii dopisują nam apetyty — powiedział William Granville. — To dzięki przebywaniu na świeżym powietrzu.

Zauważyłam, że pije z upodobaniem i pod wpływem alkoholu następuje w nim zmiana. Ujął dłoń Felicity, poklepał i położył na swoim udzie. Felicity miała zakłopotaną minę.

Rozmowę prowadził Milton Hemming. Opowiadał o Australii, a ja się dowiedziałam, że William Granville spędził tu dwadzieścia lat. Zrozumiałam, że musi mieć teraz około trzydziestu ośmiu, chociaż wyglądał na starszego.

— Pierwsza rzecz, jaką panie muszą jutro wykonać — stwierdził Milton — to zakupić duże kapelusze z szerokim rondem. To najważniejsze, prawda, Granville? Nie możemy pozwolić, by spaliły sobie od razu tę delikatną cerę. Proszę mi wierzyć, australijskie słońce was nie oszczędzi.

— Jutro wybierzemy się na zakupy, Annalice — stwierdziła Felicity.

Dla mnie ten wieczór był dość zenujący i Milton Hemming o tym wiedział. Cieszyłam się, gdy wreszcie mogłam wrócić do swojego pokoju. Myślałam, że Felicity przyjdzie do mnie, kiedy już znajdziemy się na górze, ale się nie zjawiła. Chciałabym ją pocieszyć, choć tak naprawdę nie mogłam uczynić nic, poza udzieleniem jej rady, by wróciła ze mną do Anglii.

Ale czy wolno mi tak postąpić? Decyzja należy przecież do niej.

W każdym razie byłam w Sydney, o czym od dawna marzyłam. Zganiłam się za to, że zajmuję mnie uboczne sprawy, tak że prawie zapomniałam o powodach, dla jakich tu jestem.

Kiedy już się ubrałam, zapukałam do drzwi Felicity. Wciąż jeszcze była w łóżku.

— Boli mnie głowa — stwierdziła. — Chyba poleżę trochę.

— Może poprosić, by ci coś przyniesiono? Zejdę na dół i zajmę się tym.

Popatrzyła na mnie prosząco, a mnie się wydało, że zaraz oznajmi, iż zmieniła zdanie. Nie nakłaniałam jej do niczego. Wiedziałam, że zwierzy mi się wtedy, kiedy sama uzna to za stosowne.

Zeszłam na dół i poprosiłam, by zanesiono na górę trochę kawy i chleb z masłem, a potem usiadłam i zamówiłam to samo dla siebie. Kelner wydawał się rozczarowany, że nie życzę sobie steku — wiele osób to właśnie jadło na śniadanie.

Kiedy skończyłam, spytałam w recepcji, czy mogą mi podać adres Australijskiego Stowarzyszenia Botaników i zaraz uzyskałam odpowiedź, że znajduje się ono na George Street.

— Jak się tam dostać? — spytałam. — Czy powinnam wziąć powóz?

Okazało się, że nie, to tylko dziesięć minut spaceru. Pouczono mnie, jak tam dojść. Wróciłam do pokoju, mając nadzieję, że nie natknę się po drodze na Williama Granville'a albo Milтона Hemminga. Nie chciałam tłumaczyć się z moich planów. Teraz, kiedy weszłam na trop, nie mogłam się doczekać, by zacząć poszukiwania.

Poranne powietrze było bardzo orzeźwiające. Nie wątpiłam, że wkrótce zrobi się gorąco. Przypomniałam sobie radę Milтона, by dla ochrony przed słońcem kupić duży kapelusz. Ten przywieziony z Anglii z pewnością nie będzie się nadawał.

Później to zrobię, pomyślałam. Najpierw muszę odnaleźć Davida Gutheridge'a.

Bez trudu odnalazłam Stowarzyszenie Botaników. Na drzwiach wisiała mosiężna tabliczka. Weszłam do środka. Młody człowiek za biurkiem popatrzył na mnie pytająco.

— Dzień dobry — odezwałam się. — Zastanawiam się, czy będzie mi pan mógł pomóc. Chciałabym skontaktować się z panem Davidem Gutheridgem.

Wydawał się zdumiony.

— Nie sędzę, by pracował u nas ktoś o tym nazwisku.

— Nie, z pewnością tu nie pracuje. Prawie dwa lata temu przyjechał z Anglii. Jest botanikiem i przypuszczam, że wówczas musiał się kontaktować ze Stowarzyszeniem. Zastanawiałam się, czy mógłby pan mi powiedzieć, gdzie go mogę szukać.

— Mówi pani, że przyjechał z ekspedycją z Anglii jakieś dwa lata temu? Jeżeli może pani chwilę poczekać, zobaczę, czy jest tu ktoś, kto będzie mógł pani pomóc. Proszę usiąść.

Usiadłam i czekałam, niemal chora z podniecenia, zastanawiając się, czy nie jestem o krok od odkrycia czegoś ważnego. Po chwili młodzieniec wrócił.

— Proszę za mną.

Wstałam i poszłam za nim. Zatrzymał się przed oszklonymi drzwiami, otworzył je i odsunął się, bym mogła wejść.

Zza biurka uniósł się mężczyzna. Podaliśmy sobie ręce.

— Pyta pani o pana Davida Gutheridge'a?

— Tak. Wiem, że jakiś czas temu przyjechał tu w ekipie ekspedycji botaników.

— Mniej więcej dwa lata temu.

— Tak, właśnie tak. Pomyślałam, że do państwa się zgłosił i zastanawiałam się, czy mogłabym dostać jego adres.

— Poczta dla niego przychodzi tutaj, ale w tej chwili nie ma go w Sydney.

— Czy wie pan, gdzie przebywa? — spytałam podekscytowana.

— Nigdy nie wiemy, gdzie przebywają nasi goście, jeśli wyjadą na ekspedycję. Najpierw ustanawiają wprawdzie wybór miejsca badań, ale potem rozmyślają się i jadą w inne. Wiem, że zamierzał wybrać się do Queensland, a stamtąd na Wielką Rafę Koralową. Na niektórych z tych atoli można znaleźć rośliny, które nigdzie indziej nie rosną.

— Och! — jęknęłam rozczarowana.

— Wyjechał jakieś pół roku temu. Niedawno dotarła do nas wiadomość, że jest na kontynencie... więc może niedługo się tu zjawi.

— Co ma pan na myśli mówiąc „niedługo”. Tydzień... dwa tygodnie...?

— Och, nie sędzę. Moim zdaniem pojawi się najwcześniej za miesiąc.

— Miesiąc! — ogarnęło mnie zwątpienie. Ale przynajmniej go tu znają. Był to jednak mały kroczek naprzód.

— Kiedy wróci, czy może pan mu przekazać wiadomość, że tu byłam? I czy mógłby pan go poprosić, by się ze mną skontaktował? Mogę być w hotelu Crown... Jeśli nie, podam panu inny adres. Posiadłość leży kilkanaście mil od Sydney i zatrzymam się tam u przyjaciół.

— Uczynię to z całą pewnością, pani...

— Panna Mallory.

— Och... czy ma pani jakieś związki z tymi Mallorymi od map?

— To moja rodzina.

— Gościliśmy już u siebie jednego Mallory'ego z Anglii... Tak... Przyłąła oczywiście wraz z ekspedycją Davida Gutheridge'a.

— To był mój brat. Właśnie z nim usiłuję się skontaktować. Wie pan może, czy zatrzymał się w Sydney, czy też wyjechał?...



— Niestety, nie. Przyszedł tu raz czy dwa z panem Gutheridgem. Potem już go nie widziałem.

— Dziękuję panu. Był pan dla mnie bardzo uprzejmy.

— Postaram się, by pan Gutheridge dowiedział się o pani wizycie... gdy tylko wróci. I jeszcze proszę podać adres. Zanotuję to. Proszę się nie martwić. Gdy tylko się zjawi, przekażę mu wiadomość.

Wysłałam w światło słońca.

Początek. Może niezbyt obiecujący, ale zawsze początek.

\* \* \*

Kiedy wróciłam do hotelu, pierwszą osobą, którą spotkałam w holu, okazał się Milton Hemming.

— Wychodziła pani — stwierdził. — Ucieka pani przed nami?

— Wczesny ranek jest taki przyjemny. Później zrobi się gorąco.

Przyjrzał mi się uważnie.

— Coś panią gnębi — powiedział.

Wzruszyłam ramionami.

— Proszę mi powiedzieć, może będę mógł pomóc.

Pokręciłam przecząco głową.

— To nieważne. Gdzie reszta naszego towarzystwa?

— Wydaje się, że pan młody nieco zasnął. Przyszła panna młoda również. A zatem jesteśmy wolni. Proponuję małą przejażdżkę po mieście. Jestem z niego dość dumny. Bardzo się zmieniło, odkąd wylądowała tu pierwsza flota. Chodźmy, weźmiemy powóz.

Spędziliśmy razem cudowny ranek. Pokazał mi nabrzeża, jeździliśmy od zatoczki do zatoczki. Woził mnie po wąskich, krętych uliczkach i opowiedział trochę o historii miasta, a ja zastanawiałam się, jak czuli się ludzie, którzy przyплыли tu na pierwszych statkach, kiedy dotknęli stopami lądu, który na resztę życia miał okazać się ich domem.

Zapomniałam o swoim rozczarowaniu spowodowanym wyjazdem Davida Guteridge'a. Po jego powrocie może dowiem się więcej. Zrozumiałam, że w towarzystwie Milтона Hemminga staję się optymistką. Przejmowałam coś z jego porywczej natury, a zwłaszcza jego wiarę w to, że wszystko jest możliwe.

Zatrzymaliśmy się przy sklepie, gdzie kupiłam kapelusze. Dla siebie wybrałam w kolorze naturalnym, dla Felicity w odcieniu lawendy, uznałam, że będzie jej w nim do twarzy.

— Teraz przynajmniej rozwieją się moje obawy — oznajmił Milton. — Ta piękna cera jest już zabezpieczona przed wrogiem.

— Dziwne słowa na określenie słońca — dawcy życia dla ludzi i całej planety.

— Och, dobry przyjaciel, ale i groźny wróg. Tak jak i inne naturalne żywioły. Morze. Ogień. Wspaniali przyjaciele, a czasem niepokonani wrogowie.

— To niezbyt dobrze świadczy o przyjaźni, jeżeli może tak się zmienić.

— A dlaczego, panno Annalice Mallory, gdy z panią jestem, najłżejszą konwersację zmienia pani w psychologiczną dysputę?

— Przepraszam. Zdaje się, że potrafię być dość pedantyczna.

— Pani nie może być inna, jak tylko fascynująca. Kiedy zobaczę panią na Caribie?

— Nie wiem. Nie sądzę, bym długo zabawiła w posiadłości Granville'a.

— Nie. Jestem pewien, że nie będzie pani miała na to ochoty.

— Trochę się niepokoję o Felicity. Jeżeli wie pan cokolwiek o tym człowieku, sądzę, że i ona powinna się o tym dowiedzieć.

Milczał chwilę, jakby walcząc z sobą, co u niego było dość niezwykle. Zazwyczaj był taki pewny siebie.

- Sama musi go ocenić — rzekł w końcu.
  - Sporo wypił wczoraj, ale pozostał trzeźwy.
  - Jest przyzwyczajony do alkoholu i ma, jak to mówią, mocną głowę. Wątpię jednak, by skończył pić, kiedy się z nim rozstaliśmy. Sądzę, że robił to jeszcze w zaciszu swojej sypialni.
  - Czy nie należałoby powiedzieć o tym Felicity?
  - W takich okolicznościach zawsze trudno stwierdzić, czy należy o tym donieść, czy raczej się powstrzymać. Sądzę, że Felicity widzi to. Każdy jest kowalem własnego losu, wie pani o tym.
  - Gdy wezmą ślub, będzie już za późno. Nie mogę przestać myśleć, że ona marnuje sobie życie.
  - Moja droga Annalice, decyzja należy do niej.
  - Nie sądzi pan...
  - Sądzę, że powinna pani przestać się martwić. Proszę pozwolić jej na podejmowanie własnych decyzji. Proszę z nią pojechać i zobaczyć, jak się zadomowi. Proszę więcej myśleć o sobie... o nas. Proszę przyjechać na Caribę, gdy tylko będzie to możliwe. Statek odpływa co środę. Będę czekać... i wypatrywać...
- Roześmiałam się. Ale o dziwo, te jego słowa mnie pocieszyły.

## *Zdarzenia w ciemnym domu*

Byliśmy w drodze do posiadłości Granville'a. Wydarzenia następowały szybko po sobie i teraz siedziałam w jednym z dylizansów znanej firmy Cobb and Company, który uwoził mnie w głąb interioru Australii.

Felicity została już panią Granville. Wydawało się, że od chwili ślubu, który odbył się przed kilku dniami, zupełnie zamknęła się w sobie. Trudno było odgadnąć, co czuje. Poza tym Milton Hemming wrócił na swoją cukrową wyspę i zostawił po sobie pustkę.

Ślub był cichy i krótki. W Sydney ciągle odbywa się wiele takich ślubów — panny młode przyjeżdżają tu do swoich narzeczonych i zależy im na odbyciu ceremonii możliwie najszybciej.

Na ogół brak rodziny, zazwyczaj zjawia się zaledwie kilku przyjaciół. Ślub w białej sukni, z kwiatem pomarańczy i bukietem byłby tu nie na miejscu.

A zatem teraz trzęsłam się w dylizansie wraz z panem Granvillem, jego nowo poślubioną żoną i sześcioma innymi pasażerami, bo w dylizansie było dziewięć miejsc. Powoził niewysoki, wesoły człowieczek.

Opuściliśmy miasto i wspaniałe wybrzeże. Teraz jechaliśmy po wyschniętej od skwaru równinie. Droga była wyboista. Zdumiały mnie wysokie eukaliptusy, do których widoku po kilku godzinach jazdy zaczęłam się przyzwyczajać. Zastanawiałam się, jak długo już tu stoją. Może rosły tu jeszcze przed przybyciem kapitana Cooka? Dylizans kołysał się niebezpiecznie, ale pasażerowie zdawali się tym nie przejmować.

Na twarzy Felicity malował się wyraz pełnej rezygnacji, jakby nic już nie mogło jej zaskoczyć. Zastanawiałam się, co to znaczy. Wolałabym, by ze mną porozmawiała jak przed ślubem, bo może by to jej pomogło.

Posiadłość Granville'a jest oddalona od Sydney o dzień jazdy dylizansem, więc wciąż jeszcze było jasno, kiedy dotarliśmy do Lalong Creek. Nazywają to miasteczkiem. Przebiega przezeń bity trakt, jest zajazd, parę sklepów i kilka domów. Woźnica skręcił do zajazdu, gdzie czekały świeże konie, i gdzie dobiegła końca nasza podróż.

Straciłam nadzieję. To było najbliższe osiedle i nie wydawało mi się, byśmy często w przyszłości do niego zaglądały.

Kiedy dylizans podjeżdżał do gospody, jakiś człowiek w słomkowym kapeluszu, sztruksowych spodniach i brązowej koszuli leniwie dźwignął się z ławki i wypluł prymkę żutego tytoniu.

Spojrzałam na Felicity. Minę miała obojętną, z tą domieszką rezygnacji, która mówiła, że pogodziła się już ze wszystkim.

— O, jest Slim — powiedział William Granville. — Masz ze sobą powóz, Slim?

— Tak, proszę pana. Czekam od godziny.

— To dobrze. Wyruszamy od razu.

Wysiedliśmy z dylizansu, trochę zeszywniali po długiej jeździe.

Slim po chwili pojawił się znowu, siedział na koźle lekkiego, czterokołowego wozu ciągnionego przez szarego konia.

— Już niedługo — powiedział William Granville. — Przed nami jeszcze jakieś pięć mil.

Pomógł nam wsiąść i załadował torby podróżne, które miałyśmy z sobą. Usadowił się obok Felicity. Ja siedziałam naprzeciw. Uznałam, że to żenujące, bo kiedy tylko podnosiłam oczy, on na mnie patrzył. Zauważyłam na jego twarzy kpiący uśmiech. Miałam nadzieję, że udało mi się ukryć dezaprobatę.

Opuściliśmy Lalong Creek, by udać się do Granville.

Okolica wydawała się naga, zupełnie inna od angielskiego pejzażu. Nasze łąki i drzewa wyglądają przy nich tak, jakby zawsze dbali o nie ogrodnicy — ten kraj był dziki. Niektóre z wysokich drzew miały szarą korę, wskutek czego wyglądały dość upiornie.

— Przypominają zjawy — odezwała się czując, że ktoś musi przerwać milczenie.

— Bo też nazywamy je drzewami duchów — odparł William Granville. — Aborygen nie zbliżył się do żadnego z nich po zmroku. Uważają, że mieszkają w nich duchy ludzi, którzy zginęli gwałtowną śmiercią i nie znajdują spoczynku. Myśli pani, że inaczej tu niż w domu, co? — Objął Felicity ramieniem i przyciągnął do siebie. Nie byłam pewna, czy się skrzywiła, czy nie.

— Mam nadzieję, że jesteście, panienki, dobrymi amazonkami — rzekł.

— Lubię jeździć konno. Jestem pewna, że Felicity również.

Felicity skinęła głową.

— W stajniach trzymam konie pod wierzch. Będziecie musiały uważać, żeby się nie zgubić na tym pustkowiu. Tutaj jeździ się w kółko i w kółko. Bardzo łatwo zabłądzić.

Rozejrzałam się po okolicy, po kępach krzaków. Gdzieś jaśniały delikatne kwiaty akacji. Zawsze później, kiedy czułam ich niezwykły zapach, przypominała mi się tamta jazda.

— Pośpiesz się, Slim — odezwał się William Granville. — Chcę dotrzeć na miejsce przed zmrokiem.

— Tak, proszę pana. — Slim gwałtownie popędził konia, który ruszył szybkim klusem.

Było to tak nieoczekiwane, że zostałam jakby pchnięta do przodu, a William Granville wyciągnął ramiona, by mnie przytrzymać. Przez ułamek sekundy trzymał mnie tak, że moja twarz znalazła się blisko jego twarzy. Poczulałam zapach whisky — To było naprawdę odrażające.

Pośpiesznie się odsunęłam.

— Droga jest wyboista — rzekł. — Lepiej trochę zwolnij, Slim, bo zarzuca.

Uśmiechnął się do mnie. Milczałam.

Koń z głuchym pluskiem przebiegł przez strumień. Trochę brudnej wody ochlapało mi płaszcz. Wytarłam go chusteczką.

— Spokojnie, Slim.

Czułam, że ze mnie kpi, że z jakiegoś powodu mnie nie lubi i z przyjemnością poniża. Gdy tylko będę mogła stąd się wyrwać, uczynię to bez chwili zastanowienia — pomyślałam.

Zaczynało się ściemniać. Słońce stało nisko nad horyzontem. Wiedziałam, że w tej części świata zmierzch nie trwa długo. Ciemność przychodzi szybko i niespodziewanie.

Pejzaż miał w sobie coś wspaniałego, w innych okolicznościach podziwiałabym go szczerze, ale teraz, im bardziej oddalaliśmy się od Sydney, tym bardziej czułam się nieswojo.

— Już jesteśmy na mojej ziemi — rzekł Granville. — Wszystko tu jest moje. Są tego całe setki akrów. Jedyne, co tutaj jest tanie, to ziemia... Cóż, ziemia i praca. Ludzie przyjeżdżają robić fortuny. Mieliśmy gorączkę złota. Teraz jest wełna... i ta żyzna ziemia. Przyjeżdżają tu, ale nie zawsze im się szczęści. A muszą coś robić. Dlatego mamy tanich robotników.

Jechaliśmy dalej. Kiedy dotarliśmy na miejsce, było już prawie ciemno.

— Jesteśmy. Oto twój nowy dom, moja żono. Co o nim powiesz? Nie taki, jak twoje stare domostwo, co? Żadnego eleganckiego dworu, który by tu stał od setek lat. Żadnych okien z łukami, kolumn i innych bajerów. Tutaj stawia się domy, żeby w nich przetrwać kilka lat... nie buduje się na wieki. Szybko przywykniesz.

Zatrzymaliśmy się przed domem. Pomógł nam wysiąść i staliśmy tam, patrząc na nowy dom Felicity.

Miał dwa piętra i kilka przybudówek. Wzniesiono go z brudnoszarego drewna. Z drzwi luszczyla się farba, a na drewnie widniały ciemne plamy. Nad wejściem znajdował się balkon. Od razu zauważyłam, że niektóre pręty poręczy są wyłamane. Na balkon prowadziły oszklone drzwi.

Drzwi te otworzyły się i stanęła w nich kobieta. Mogła liczyć nieco ponad trzydzieści lat. Miała bardzo gęste, ciemne włosy, które upinała wysoko nad czołem w kunsztowny węzeł. Jej oczy były podłużne, wąskie i skośne, co nadawało jej nieco orientalny wygląd. Była wysoka, z szerokimi biodrami i pełnymi piersiami, ale wąską talią. Naprawdę efektowna, ale z jakiegoś powodu wzbudziła we mnie odrazę. Wbiła we mnie wzrok i w przeblysku intuicji zrozumiałam, że bierze mnie za nową panią Granville. W jej spojrzeniu kryła się dziwna wrogość.

Poczułam gwałtowną potrzebę wyprowadzenia jej z błędu. Uprzedził mnie jednak William Granville.

— Nareszcie jesteście, pani Maken — zawołał do kobiety. — Oto pani Granville i jej przyjaciółka, panna Mallory. Pani Maken pilnuje tu porządku, prawda, Millie? Zapewnia mi wszystkie wygody.

Zabrzmiało to dwuznacznie, szybko dowiadywałam się nowych rzeczy o mężu Felicity. Coś w sposobie, w jaki się zwracał do gospodyni, sugerowało, że pozostaje z nią w intymnych stosunkach.

— Cóż, proszę wejść — rzekł.

— Witamy w Granville — dodała pani Maken.

— Dziękuję — odpowiedziałam. Felicity skinęła tylko głową. Zdawało się, że nie potrafi wydobyć z siebie głosu. Z kolei ona stała się obiektem zainteresowania pani Maken, więc upewniłam się, że intuicja mnie nie zawiodła.

Weszliśmy do niewielkiego przedsiionka. Drzwi wkoło były otwarte. Zobaczyłam dużą kuchnię, gdzie mimo gorąca palił się ogień.

— Najpierw jedzenie! — zawołał William Granville. — Umieramy z głodu. Cały dzień przesiedzieliśmy w dylizansie. Nieźle nas wytrzęsło. Panie nie są przyzwyczajone do naszych warunków, Millie. Przyjechały prosto ze Starego Kraju.

— Miałymy trochę złej pogody — wtrąciłam.

— Przyśpiewka do tego, co ma nadejść — odparł. — No, co z jedzeniem, Millie?

— Wszystko gotowe.

— Może mogłybyśmy się najpierw umyć? — zaproponowałam.

— No, właśnie, Millie. Panie chcą się umyć.

— Będą chciały gorącej wody — powiedziała. — Przyślę na górę Sal. Czy mam wprowadzić je na górę?

— Sam to zrobię. Ty zajmij się jedzeniem.

Weszliśmy do przestronnego pomieszczenia spełniającego rolę bawialni. Stały tu proste meble. Podłogę z desek pokrywały maty. William Granville zapalił oliwną lampkę i jej światło rozjaśniło ciemniejące już wnętrze.

— Swój nowy dom po raz pierwszy zobaczyłaś w ciemnościach — rzekł. — Ale jakoś dziwnie zamilkłaś, moja mała.

— Jestem bardzo zmęczona — odparła Felicity.

— Oczywiście, oczywiście. Nie szkodzi. Przecież już jesteś w domu.

Weszliśmy po schodach na piętro.

— Oto komnata weselna — powiedział. W głębi tego pomieszczenia dostrzegłam drzwi na balkon. — Okna trzeba zamykać, bo moskity dają się we znaki, to prawdziwa plaga u nas. Moskity... i inne muszki. Tutaj, w Australii dc wielu rzeczy trzeba przywyknąć. Cóż, pokaże teraz pokój panny Annalice.

Znajdował się w końcu korytarza. Ucieszyłam się, że będę od nich najdalej, jak można.

Było to niewielkie pomieszczenie, na gołej podłodze z desek leżała pleciana mata. Stało też mosiężne łóżko bez materaca, umywalka, szafka i krzesło — nic ponad to.

— To tutaj — rzekł William Granville. — Tutaj będzie pani spała, skoro już zaszczyciła pani ten dom swoją obecnością.

— Dziękuję — odparłam krótko, dając do zrozumienia, że pragnę zostać sama.

Zawahał się, rzucając mi jedno z tych spojrzeń, których nienawidziłam i których się bałam.

Wyrzłałam przez niewielkie okienko. Było już zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec na zewnątrz.

Weszła młoda dziewczyna z wiadrem gorącej wody. Nie miała więcej niż czternaście lat. Bardzo mała i wyraźnie przerażona obecnością Williama Granville'a, bo byłam pewna, że nie mnie się przestraszyła.

— Dziękuję — powiedziałam, biorąc od niej wiadro i odwróciłam się tyłem do gospodarza. Odczułam ulgę, kiedy wreszcie wyszedł. Myślałam gorączkowo: jak szybko uda mi się stąd wydostać?

Ale myśl o opuszczeniu Felicity sprawiła, że straciłam pewność siebie. Dlaczego ona to zrobiła? — zadawałam sobie wciąż to samo pytanie. Przecież chyba widziała, co z niego za człowiek. A może w Anglii zaprezentował się lepiej? Miałam wrażenie, że jest z niego niezły cwaniak.

Kiedy już się umyłam i wyszłam na korytarz, usłyszałam głosy dobiegające z dołu. Szybko podeszłam do drzwi pokoju, który on nazwał komnatą weselną. Zapukałam.

— Kto tam? — spytała Felicity wysokim ze zdenerwowania głosem.

— To ja... Annalice.

— Och, wejdz!

Patrzyła na mnie przez chwilę, wydawało mi się, że zaraz wybuchnie płaczem.

Nagle podeszła do mnie, a ja objęłam ją i mocno uścisnęłam.

— Wszystko już dobrze — powiedziałam. — Wszystko ułoży się. Teraz już noc, a w ciemności wszystko wygląda inaczej. Rano będzie lepiej.

— Tak się cieszę, że tu jesteś — powiedziała.

Ale długo tu nie zabawię — chciałam krzyknąć. Wyjeżdżam. W tym domu czai się coś złowrogiego...

Lecz nie powiedziałam nic. Zrozumiałam, że Felicity boi się. Znalazła się w potrzasku.

Poklepałam ją delikatnie po plecach i odczułam ulgę widząc, że nie płacze. Zastanawiałam się, jak William Granville zareagowałby na jej łzy. Felicity musi pamiętać, że trzeba będzie stanąć twarzą w twarz z nim i zmierzyć się z tą jego kobietą.

Zeszliśmy na dół.

Pani Maken stała w holu. Zaprowadziła nas do kuchni.

— Tutaj jadamy — powiedziała. — Chociaż czasami jemy na dworze... I tam też gotujemy.

Na ogniu grzały się rondle i czajnik. William Granville siedział już za długim drewnianym stołem, w najbardziej oddalonym od ognia kącie kuchni.

Pani Maken naalała nam zupę. Smakowała nie najgorzej. Poczułam się nieco podniesiona na duchu — posiłek był nam z pewnością potrzebny. Potem podała zimne mięso. William Granville jadł łapczywie. Z pogardą potraktował nasze, jak je nazwał, „damskie apetycyki”.

— Tutaj wszystko się zmieni — powiedział patrząc na Felicity. Z ulgą przyjął zakończenie kolacji.

— Cóż — oznajmił William Granville — chyba już czas na spanie. Na dziś wystarczy.

Położył rękę na ramieniu Felicity i uśmiechnął się do mnie.

— Idziemy!

Leżałam w swoim łóżku, z którego widziałam okno. Było ciemno, ale gwiazdy już się pokazały i oświetlały słabym blaskiem sypialnię. Z tęsknotą pomyślałam o wygodach mojego domu, ale mimo wspomnień nie potrafiłam się pozbyć narastającego niepokoju.

Nie wolno mi zapomnieć o Felicity. Co się z nią teraz dzieje? Zadrżałam. Zmieniła się. Pomyślałam o tym, jaka była, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy u Billingtonów. Wówczas wydawało się, że nie może się doczekać swojego ślubu, że podoba się jej, jak innym dziewczynom, perspektywa podróży na drugi koniec świata. A teraz musi stawić czoło

rzeczywistości. Chyba zupełnie straciła ducha. Może jedynym sposobem na wytrzymanie małżeństwa z Williamem Granvillem, było uśpienie wszelkiej wrażliwości?

Ale co ja tu robię? Gdyby panna Cartwright przyjechała z nami, zapewniłaby nam przynajmniej odrobinę normalności. Zastanawiałam się, co ona by pomyślała o tym miejscu, o posiłkach w kuchni i o gospodyni...

Muszę się stąd czym prędzej wydostać. Dla mnie to proste.

Mogę pojechać choćby konno do Lalong Creek i dowiedzieć się, kiedy odjeżdża najbliższy dyliżans do Sydney. Wsiadłabym o niego i zatrzymała się w hotelu na noc lub dwie, do najbliższej środy... Jakże byłabym szczęśliwa móc znów zobaczyć Milтона Hemminga! Niczego nie pragnęłam bardziej niż tego.

Myślałam, że nigdy nie zasnę, ale musiałam być bardzo zmęczona, bo jednak wkrótce to się udało.

Obudziłam się wcześniej i przez chwilę nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie jestem. Kiedy rozejrzałam się po pokoju, wróciły wspomnienia, a wraz z nimi strach. Ale w dziennym świetle wszystko wydawało się prostsze.

William Granville zapowiedział, że trzyma konie pod wierzch. Mogłabym zwiedzić okolicę. Jest wszędzie taka sama i łatwo się tu zgubić. W to bez trudu uwierzyłam. Ale można przecież zapamiętać jakieś szczegóły krajobrazu. Przyjemnie byłoby znowu się przejechać konno.

Może uda mi się porozmawiać z Felicity? Może ona też chce się stąd wydostać? Uciekłybyśmy wówczas razem.

Zauważyłam, że zostało jeszcze trochę przyniesionej wczoraj wody i umyłam się. Wiedziałam, że na tym odludziu będę musiała obejść się bez pewnych wygod. Ubrałam się i zesłam na dół. Panowała cisza. Otworzyłam drzwi wyjściowe i wyszłam na zewnątrz. Ogarnęło mnie poranne rześkie powietrze. Obeszłam dom wkoło, przyglądając się wszystkiemu uważnie. Spojrzałam na drewniany balkon z wyłamanymi prętami poręczy. Usiłowałam nie myśleć, jak można się czuć, będąc żoną takiego człowieka. Kiedy tak stałam, poczułam, że ktoś się do mnie zbliża. Odwróciłam się gwałtownie. To była pani Maken. Musiała widzieć, że wychodzę z domu i podeszła do mnie bardzo cicho.

— Chciała pani odetchnąć świeżym powietrzem? — spytała.

— Tak. Cudowny poranek.

— Dopóki nie nadejdzie upał — powiedziała, nie spuszczać ze mnie oka, jakby mnie oceniała. Spojrzała na balkon, a potem z ukosa, zagadkowo, na mnie.

Nagle usłyszałam chichot, jakiego nie słyszałam nigdy wcześniej. Szyderczy, niesamowity. Rozejrzałam się zdumiona. Pani Maken uśmiechnęła się.

— To kukabury — powiedziała. — Ptaki, rozumie pani. Znowu zaczynają. Są dwa. Żyją parami.

— Zupełnie jakby śmiały się z nas.

— Może i się śmieją. Proszę wejść, podam pani śniadanie. Jest kawa, jeżeli ma pani na nią ochotę. I mam już gotowe placki.

Usiadłam za stołem w kuchni.

— Kiedy pali się ogień, robi się tu gorąco jak w łaźni — rzekła. — Ale trzeba przecież gotować. Pan Granville lubi dobrze pojeść.

— Rzeczywiście, musi być tu gorąco nie do zniesienia.

— Ale nie bardziej niż na dworze. Czasami gotuję na wolnym powietrzu... tuż przed zachodem słońca. Wtedy jest najlepiej. Muchy nie tną już tak dokuczliwie, chociaż jedzenie je przyciąga.

Usiadła i przyglądała mi się, opierając łokcie na stole.

— Przekona się pani, niełatwo tu żyć. Na pewno inaczej niż w Starym Kraju.

Uśmiechnęła się do mnie nieprzyjemnie. Tak, pojedę do tego miasteczka i dowiem się, kiedy wyrusza najbliższy dyliżans — pomyślałam.

\* \* \*

W dzień poczułam się trochę lepiej. Po rozstaniu z panią Maken, poszłam na spacer i wróciłam prawie dwie godziny później. Felicity już wstała, a William Granville szykował się do wyjścia. Zapowiedział, że nie będzie go przez cały dzień.

— Będą panie miały trochę czasu, żeby się rozejrzeć po okolicy. Millie pokaże wam wszystko, co będzie trzeba, prawda?

Pani Maken odparła, że uczyni to z przyjemnością.

Gdy tylko William Granville wyniósł się za próg, Felicity jakby odżyła. Perspektywa spędzenia dnia bez jego towarzystwa musiała sprawić jej ogromną ulgę. Zaproponowałam, abyśmy poszły obejrzeć konie i trochę pojeździły po okolicy. Wybadała na zadowoloną z mojego pomysłu.

Znalazłyśmy konie i szybko oddaliśmy się od domu. Pomyślałam, że w innych okolicznościach chętnie zwiedziłabym okolice. Krajobraz był naprawdę wspaniały. Rosły przepiękne akacje. Fascynowały mnie wysokie eukaliptusy.

— Mogłabym tak jechać i jechać bez końca — powiedziałam do Felicity.

— Chciałaś raczej powiedzieć: znaleźć się daleko stąd. Rzuciłam na nią krótkie spojrzenie.

— Przyzwyczaisz się — powiedziałam. — Tylko na początku wydaje się tu trochę dziwnie. Chcesz się przekonać, czy potrafimy znaleźć drogę do miasteczka?

— Chodzi ci o to miejsce z zajazdem? p;

— Tak. Nie może znajdować się daleko.

— Myślisz, że uda ci się je odnaleźć w tej pustce?

— Tak, chyba tak. Prowadzi tędy coś w rodzaju szlaku. Możemy nim pojechać i spróbować sobie przypomnieć, którędy jechałyśmy wczoraj. Miejmy nadzieję, że się nie zgubimy.

Milczała.

Spodziewałam się, że zechce ze mną porozmawiać. Wiedziałam, że bardzo by jej to pomogło. Podjechał do nas jakiś człowiek.

— Dzień dobry — powiedział. Rozpoznałam Slima.

— Dzień dobry, Slim! Czy to droga do miasteczka?

— Tak, proszę pani. Proszę jechać prosto, obok tamtej kępy drzew.

— Pamiętam je z wczorajszego wieczoru. Dziękuję.

Slim odjechał w swoją stronę.

— Był całkiem miły — stwierdziłam. — Pewnie nie są tacy najgorsi, jak już się ich pozna bliżej.

Felicity nie odezwała się.

Dotarliśmy do zajazdu. Stał przed nim słupek, do którego uwiązałyśmy konie.

— Wejdiesz do środka? — spytała Felicity.

— Tak.

— Chcesz się czegoś napić?

— Nie. Ale chciałabym o coś zapytać.

Otworzyłam drzwi. W zajeździe siedziało kilkunastu mężczyzn. Popijali piwo z kufli. Wszystkie oczy skierowały się na nas.

Zignorowałam spojrzenia i podeszłam do człowieka stojącego za barem.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, kiedy przejeżdża tędy dyliżans do Sydney? — spytałam.

— Nigdy nie można być pewnym dokładnej godziny na tych drogach, panienko.

— O dziesiątej, jeżeli trafi mu się przyjechać przed czasem... — rzekł głośno któryś z ludzi.

— Ale bywa, że zjawia się o jedenastej albo w południe. Na tych drogach nigdy nic nie wiadomo.

Roześmieli się.



— Koła odpadają — odezwał się drugi. — Można też spotkać ducha Neda Kelly.  
Wszyscy najwyraźniej uznali, że to wspaniały dowcip i znów parsknęli śmiechem.  
— Nie ma po co przyjeżdżać w niedzielę — powiedział któryś. — W niedziele dyliżans nie kursuje. Ani we wtorki. Jest w poniedziałki, środy i soboty. To wystarczy.  
— Dziękuję. Byliście panowie bardzo pomocni.  
Znowu zarechotali. Najwyraźniej to wydarzenie bardzo ich ubawiło.  
Wróciłyśmy do naszych koni. Felicity milczała, dopóki nie odjechałyśmy spory kawał drogi.  
— Wyjeżdżasz, prawda? — spytała w końcu.  
— No cóż, nie miałam tu przecież zostać na zawsze, prawda?  
— Nie myślałam, że wyjedziesz tak szybko.  
— Chciałam tylko się dowiedzieć, w jakie dni kursuje dyliżans.  
— W domu też by o tym wiedzieli.  
— Wolałam sama o to wypytać.  
— Ci okropni faceci... — zaczęła Felicity.  
— Wcale nie są najgorsi. Powiedzieli nam przecież to, co chciałyśmy wiedzieć. Pewnie niedługo się do nich przyzwyczaisz. Może tylko ich zwyczaje różnią się trochę od naszych.  
— Nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek mogła się do tego przyzwyczaić.  
— Och, przyzwyczaisz się na pewno i to wkrótce.  
— Annalice, nie wyjedziesz jeszcze, prawda?  
Zawahałam się.  
— Możliwe, że nie będę tu mile widziana. W końcu jestem tylko gościem.  
— Myślę... że mój mąż... dość cię polubił.  
— Och, jakoś tego nie dostrzegłam. Nie sądzę, by chciał, żebym została tu dłużej.  
— Obiecuj mi, że jeszcze nie wyjedziesz... Milczałam chwilę, po czym powiedziałam:  
— Wiesz, że przyjechałam tu po to, by dowiedzieć się, co stało się z moim bratem.  
— Tak, wiem.  
— A tutaj nigdy niczego się nie dowiem.  
— Zostań jeszcze tylko trochę... I obiecuj, że nie wyjedziesz, nie uprzedzając mnie o tym, dobrze? Nie zniosłabym, gdybym się obudziła któregoś ranka i okazało się, że jestem... sama.  
— Obiecuję, że na pewno nie wyjadę nie powiadamiając cię o tym.

\* \* \*

Minęło kilka dni. Poznałam już trochę okolicę, a im więcej odkrywałam, tym bardziej pragnęłam się stąd wydostać.

Wiele razy zamierzałam powiedzieć Felicity, że muszę już wyjechać. Potem przypominałam sobie, że to ja skorzystałam z jej podróży, by się wymknąć z Anglii. Nie mogłam więc opuścić jej teraz, kiedy jestem jej potrzebna. Nie wiedziałam jeszcze, co mogłabym uczynić, by ocalić ją przed mężczyzną, którego poślubiła, starałam się więc dotrzymać jej towarzystwa przynajmniej za dnia.

Pomału przyzwyczajałam się do palącego słońca, do chmar much, które nadlatywały zewsząd, by nam uprzykrzać życie, do zapachu steków. Tu chyba wszyscy odżywiają się jedyni stekami. Steki są częścią scenarii, wraz z płonącym wiecznym ogniem na palenisku i plackami pieczonymi w popiele oraz sforą zgłodniałych psów, które krążyły wokół, groźnie szczerzą kły, dopóki się z nami nie oswoiły. Wynosiłam im często resztki jedzenia i wkrótce zaczęły się do mnie nawet łąsić. Było tu też dużo robotników. Wszyscy mieli twarze spalone słońcem, mimo że nosili słomiane kapelusze — niektórzy doczepiali do nich kawałki korka, by odstraszały wszechobecne muchy. Wchodzili do domu albo siadywali na dworze lub w kuchni, grając w karty i popijając piwo. Były też owce — chyba całe miliony owiec, bo William Granville „robił w wełnie”.

Często przyrządzali sobie posiłki na dworze. Mieli wielkie żeliwne skopki wypchane papierem, a mięso smażyło się na ruszcie nad nimi. Skapujący tłuszcz sprawiał, że papier wciąż się palił — ale i tak jedli steki na pół surowe. Śpiewali pieśni, oczywiście „Waltzing Matilda” i coś o kangurze. Na nasz widok zaczynali się nieco dziwnie zachowywać, co moim zdaniem było wyrazem na pół niechęci, na pół podziwu.

William Granville często przebywał wśród nich. Zbierali się wieczorami wokół domu i mogłam ich słyszeć z mojego pokoju. Śmieli się, pokrzykiwali, często śpiewali — i cały czas pili.

Leżałam w łóżku i słuchając ich przyrzekałam sobie, że wsiądę w najbliższy dyliżans do Sydney. Zatrzymam się w hotelu do środy, a potem popłynę statkiem na Caribę. Ale kiedy nadchodził ranek i spotykałam Felicity, wiedziałam, że jeszcze nie mogę jej samej zostawić.

Tak minął tydzień. Wydawało mi się, że był to co najmniej miesiąc. Dużo jeździłam konno. Felicity zawsze wybierała się ze mną. Za każdym razem spodziewałam się, że mi coś o sobie powie, ale ani razu tego nie uczyniła. Postanowiłam powiedzieć jej, iż muszę już wyjechać, a jeżeli ona tak bardzo tego wszystkiego nienawidzi, niech jedzie ze mną. Nie byłam Jednak pewna, czy mądrze jest doradzać żonie, by opuściła męża.

Okolica coraz bardziej mnie urzekała. Była piękna i pełna kontrastów. Westchnęłam z zachwytem, gdy zobaczyłam drzewa z jaskrawymi koralowymi kwiatami i stado kolorowych papug, które zwą tu *galah*, naprawdę przepiękne. Ale były też całe połacie spękanej ziemi i chmary owadów niepodobnych do żadnych innych. Tak samo jak niezniszczalne muchy, wdzierały się do domu. No i była też wszechobecna Millie Maken, zawsze czujna, cicho stąpająca i żywiąca do nas nieprzebraną niechęć. Ale najbardziej nie znosiłam obecności Williama Granville’a.

\* \* \*

To zdarzyło się tej nocy, kiedy minął równo tydzień od naszego przyjazdu. Robotnicy siedzieli jak zwykle na dworze, ostro pili i rozmawiali. Nagle usłyszałam salwę śmiechu. Dochodziła północ.

Nigdy nie zasypiałam, dopóki nie usłyszałam, że William Granville zmierza do pokoju, który dzielił z Felicity. Dopiero jakiś czas po tym, gdy usłyszałam zamykające się za nim drzwi, czułam się na tyle bezpieczna, by zasnąć. W moich drzwiach nie było klucza i bałam się, że mógłby wtargnąć do mojego pokoju.

Wdrapał się na schody, mamrocząc coś pod nosem, domyśliłam się, że tym razem wypił znacznie więcej niż zwykle.

Słyszałam, jak zamykają się za nim drzwi sypialni. Leżałam przyrzekając sobie po raz kolejny, że teraz już muszę powziąć ostateczną decyzję o moim wyjeździe i postanawiałam, że rano porozmawiam o tym z Felicity. Nagle usłyszałam, że ktoś wychodzi z ich sypialni. Natychmiast oprzytomniałam, zerwałam się z łóżka i podbiegłam do drzwi.

Były źle dopasowane, z boku widniała spora szpara, popatrzyłam przez nią na korytarz. I nagle serce przestało mi na chwilę bić. Korytarzem szedł William Granville w nocnej koszuli sięgającej do kolan. Zadrzałam z obrzydzenia. Byłam gotowa się bronić, pomyślałam: teraz już na pewno rano wyjadę.

Zatrzymał się i otworzył drzwi w połowie korytarza. Drzwi do pokoju pani Maken. Wszedł tam.

Odetchnęłam z ulgą. Przynajmniej nie próbował wejść do mojego pokoju. A to, co zobaczyłam, potwierdziło tylko moje domysły.

A więc... pani Maken jest jego kochanką, stąd jej niechęć do prawowitej żony. Pod tym samym dachem, niemal tuż obok pokoju, w którym spała Felicity!

— To potwór! — powiedziałam półgłosem.

Nie warto było nawet próbować zasnąć. Owinęłam się peniurem i usiadłam przy oknie. W jasnym świetle gwiazd okolica wyglądała dziwnie. W oddali szare eukaliptusy jak upiorni wartownicy.

Muszę coś postanowić, myślałam. Muszę wyjechać, ale nie mogę zostawić Felicity samej. Nagle przyszedł mi pomysł do głowy. Wzięłam papier i pióro. Światła było dość, bym widziała, co piszę.

*Drogi Raymondzie,*

*Bardzo się niepokoję. Dzieje się tu coś bardzo niedobrego. Małżeństwo Felicity okazało się wielką pomyłką. Nie chodzi tylko o dopasowanie się do nowego stylu życia. Felicity jest przerażona.*

*I wiem dlaczego.*

*Życie tu jest surowe. Felicity trudno byłoby do niego przywyknąć, nawet gdyby dostała dobrego męża. Ale William Granville okazał się potworem. Zdradza ją! Mieszka tu gospodyni, która przed ślubem, jestem tego pewna, była jego kochanką, ale on i teraz z nią sypia. Ta kobieta nie znosi Felicity, a w chwili, gdy to piszę, dochodzi chyba pierwsza w nocy, on jest z gospodynią. Chcę stąd co rychlej wyjechać, ale Felicity błaga, bym tego nie czyniła. Nie wiem, czy mogę tu dłużej zostać, kiedy jednak mówię jej o wyjeździe, ona wpada niemal w histerię. Bardzo się zmieniła.*

*Sądzę, że należy coś przedsięwziąć, Raymondzie, jesteś taki dobry, pomogłeś mi na wiele sposobów. Co można zrobić w tej sytuacji? Niestety, panna Cartwright musiała wrócić do domu. Teraz już zapewne o tym wiesz. Felicity nie ma nikogo, kto obroniłby ją przed mężczyzną, którego poślubiła. Proszę, pomóż jej. Ona jest taka bezbronna i potrzebuje kogoś, kto by się nią zaopiekował.*

*Zostanę tu tak długo, jak tylko będę mogła, ale życie w tym domu jest dla mnie koszmarem. Nie układa mi się z mężem Felicity. Jest wobec mnie bardzo niemily.*

*Proszę, Raymondzie, usłysz ten krzyk serca. Doradź, co robić. Chcę, żebyśmy obie stąd wyjechały, ale Felicity ma silne poczucie obowiązku. Mimo wszystko on jest jej mężem.*

*Piszę to w swoim pokoju, niemal w ciemnościach, wystarcza mi światło gwiazd — one tu tak jasno świecą.*

*Jestem zrozpaczona. Może rano będzie inaczej, ale wyślę ten list niezależnie od moich odczuć, bo kiedy nadejdzie noc, pożałuję, jeśli tego nie zrobię. Chcę, żebyś wiedział jak tu jest.*

*Kiedy już o tym ci napisałam, poczułam się trochę lepiej. Zupełnie jakbym z tobą porozmawiała.*

*W poszukiwaniach brata — brak postępu. Wspominałam chyba w liście, który wysłałam do ciebie z Sydney, że spotkałyśmy na statku człowieka nazwiskiem Milton Hemming. Spodziewam się, że panna Cartwright wszystko wam o nim opowie. Pomógł nam zorganizować jej powrót z Kapsztadu do Anglii. I otóż pan Milton Hemming przypomniał sobie, że Filip mieszkał w hotelu na wyspie, gdzie on ma plantację trzciny cukrowej. Wyspa nazywa się Cariba. Pojadę tam, gdy tylko się stąd wyrwę, ale wprawdzie chcę się spotkać z Davidem Gutheridgem, o ile będzie to możliwe. To botanik, z którym Filip wyjechał do Australii. W Sydeny znalazłam siedzibę Stowarzyszenia Botaników i tam mi powiedzieli, gdzie prawdopodobnie Gutheridge obecnie przebywa i kiedy wróci... a będzie to mniej więcej za miesiąc. Chciałabym z nim porozmawiać, zanim popłynę na Caribę. Według pana Hemminga, właśnie na Caribie widziano Filipa po raz ostatni, zatrzymał się w tamtejszym hotelu. Ktoś z obsługi musi go pamiętać. Tak więc czynię postępy, choć niemrawo to idzie.*

*Najwięcej zmartwień przysparza mi Felicity. Chciałabym, żebyś tu był, Raymondzie. Ty od razu wiedziałbyś, co należy robić. Cudownie byłoby zobaczyć cię tu i z tobą porozmawiać. Wtedy wszystko wydawałoby się znowu normalne.*

*Mam nadzieję, że mój list nie brzmi histerycznie. Naprawdę się martwię.*

Zapiecztowałam list. Jutro środa — jeden z dni, kiedy kursuje dylizans i zabiera pocztę do Sydney. Stamtąd wyekspedują go do Anglii. Minie dużo czasu, zanim list dotrze do Raymonda, ale i tak wiedziałam, że muszę go nadać jutro, i stawić się w zajeździe przed dziesiątą. Nie mogę przegapić przyjazdu dylizansu.

Jeden z robotników zajmował się wprawdzie dostarczaniem poczty, ale nie zamierzałam powierzać mu tego listu. William Granville mógł być ciekawy, o czym napisałam. Miałam powody podejrzewać go o otwieranie listów. Byłam pewna, że nie cofnąłby się przed tym.

Wróciłam do łóżka. Przez cały czas z korytarza nie dobiegł żaden szmer, a pisząc list, pilnie nasłuchiwałam. Było jasne, że William Granville spędza noc ze swoją gospodynią.

Obudziłam się wcześniej i gdy zeszałam na dół, pani Maken tam nie było, ogień jeszcze się nie palił. Sama nalałam sobie kawę, wzięłam jeden z wczorajszych placek i posmarowałam go masłem. To musiało mi wystarczyć.

Wkrótce dołączyła do mnie Felicity. Pomyślałam, że wygląda trochę lepiej. Ostatniej nocy zostały jej oszczędzone atencje męża, co musiało sprawić jej ulgę. Pomyślałam, że pewnie byłaby zachwycona, gdyby wszystkie noce spędzał z uległą gospodynią.

— Mam ochotę na poranną przejażdżkę — powiedziałam. — Napisałam list i chcę go zawieźć do Lalong Creek. Jest środa, muszę zdążyć przed odejściem dylizansu.

— Pojadę z tobą — oznajmiła.

— Dobrze. Przebierz się szybko.

Kiedy gotowa do drogi zeszała na dół, od razu wyruszyliśmy.

— Dlaczego nie prześlesz swojego listu przez któregoś z robotników?

— Ponieważ chcę zdążyć na dylizans.

Weszła ze mną do zajazdu. Na ladzie znajdowało się wydzielone miejsce, gdzie zbierano i wydawano pocztę. Kiedy podałam list, Felicity spojrzała na adresata. Tak więc dowiedziała się, że napisałam do Raymonda. Cóż, nie ma w tym nic niezwykłego. W końcu jestem z nim zaręczona... co prawda nieoficjalnie, ale to naturalne, że piszę do niego. Zastanawiałam się, co by powiedziała, gdyby знаła treść listu.

\* \* \*

Poczułam się lepiej, kiedy dylizans wraz z listem odjechał. Odpowiedzialność jakby nieco zmalą. Wiedziałam, że upłyną miesiące, zanim otrzymam odpowiedź, ale świadomość, że coś zrobiłam w sprawie Felicity, bardzo mi pomogła.

Tego dnia miałyśmy łut szczęścia. W południe przybył do domu jeden z *jackeroos* — młody praktykant, który uczył się w Australii hodowli owiec. Jego zadaniem było objeżdżanie pastwisk i sprawdzanie, czy wszystko w porządku, bo owiec jest tu mnóstwo, a pastwiska tak rozległe, że trzeba od czasu do czasu objeżdżać je konno.

Był bardzo chętny do nauki, miał, jak przypuszczałam, nadzieję, że kiedyś założy własną hodowlę. Tuż przed naszym przybyciem wyjechał wraz z Walloo, aborygenem, który udzielał mu instrukcji. Walloo, jak się dowiedziałam później, był jednym z najbardziej zaufanych ludzi Granville'a, spędził na tej farmie już trzy lata, co było okresem bardzo długim jak na aborygena. Mówiono, że wszyscy ci tubylcy mają wrodzoną chęć do wędrówki, nazywają to *walkabout*, co znaczy, że pewnego dnia nagle opuszczają bez słowa dotychczasowe zajęcia i odchodzą w nieznaną, nie pokazując się miesiącami, a czasem znikają na zawsze.

Walloo odjechał wraz z młodym praktykantem i nagle o władnęło nim *walkabout*. Zostawił młodzieńca na pastwę losu w całkiem nieznanym terenie i właśnie z tego względu powrót praktykanta zajął tak dużo czasu.

William Granville bardzo się przejął wiadomościami od praktykanta. Młody *jackeroo* nie dotarł wprawdzie na dalekie pastwiska, ale z całą pewnością znalazł się na owcach. Znalazł kilka, które potrzebowały natychmiastowej pomocy, inaczej by zginęły. Co więcej, płoty wymagały poważniejszych napraw, niż on był w stanie sam zrobić.

To stało się przyczyną naszej radości. William Granville postanowił, że wraz z trzema mężczyznami i młodym *jackeroo* wyjedzie jeszcze tego samego dnia na co najmniej tydzień. Znacznie mnie to podniosło na duchu. Siedem dni bez niego!

Zmiana, jaka zaszła w Felicity, była wręcz cudowna. Odżyła, wprost promieniała. Dopiero teraz zrozumiałam, jak bardzo była dotąd zastraszona. Zadrzałam na myśl o tym, że padła ofiarą tego małżeństwa.

Tej nocy spałam spokojnie. Żadnego niepokoju, żadnego czekania, aż on wróci do żony.

Następnego poranka wybrałyśmy się na przejażdżkę. Ominęłyśmy łukiem miasteczko, kierując się do odkrytego przez nas niedawno strumienia. To było piękne miejsce — oaza wśród zarośli. Woda w strumieniu migotała srebrzyście, w oddali widać było kępę drzew, niesamowicie rozciągających konary w blasku słońca.

— Byłabym tym wszystkim zachwycona — zaczęłam — gdyby...

— ...gdyby okoliczności były inne — dokończyła Felicity. Tęsknie popatrzyła na horyzont. Miałam zamiar podjąć sprawę mojego wyjazdu, kiedy będzie trochę spokojniejsza, ale nie chciałam zepsuć dzisiejszego dnia... naszego pierwszego dnia wolności. A przed nami był cały tydzień. Jednak Felicity sama poruszyła ten temat.

— Zamierzasz wyjechać, prawda?

— Cóż, przecież w końcu muszę. To nie jest mój dom.

— Spodziewam się, że wrócisz do Anglii i wyjdiesz za mąż za Raymonda. Myślę, że jesteś najszcześniejszą osobą na świecie.

— Nigdy nie wiadomo, jak się sprawy ułożą.

— A co ja mam robić, Annalice?

— Z czym?

— Ze wszystkim. Z moim życiem. Nie zniosę tego dłużej. Nie cierpię... go! Nie wiedziałam, że małżeństwo na tym polega. To, co on robi... nie miałam o tym pojęcia.

— Chcesz o tym porozmawiać? — spytałam łagodnie.

— Nie potrafię o tym mówić. Tego się nie da wypowiedzieć... Każdej nocy...

— Zeszłej nocy... — zaczęłam.

— Zeszłej nocy? — powtórzyła szybko.

— Wiem — odpowiedziałam. — Słyszałam, jak wychodził z waszego pokoju. Poszedł do pani Maken.

Skinęła głową.

— Byłam zadowolona. Dziękowałam Bogu. Och, Annalice, nie masz pojęcia...

— Myślę, że mam.

— Nigdy nie sądziłam... Gdybym o tym wiedziała... Myślałam, że to może być piękne... romantyczne... ale ja nigdy nie chciałam Williama.

— Wiem. Powiedziałaś mi, że kochasz innego.

— On nigdy by tak nie postąpił! Czasami wydaje mi się, że oszaleję. Dłużej tego nie zniosę!

— Spróbuj się uspokoić. Mamy tydzień dla siebie. Pomyślmy, co możemy zrobić. Mogłybyśmy pojechać jutro do Lalong Creek. Będzie dyliżans do Sydney. Mogłybyśmy do niego wsiąść... i wydostać się z tego miejsca.

— On jest przecież moim mężem, Annalice! Wzięłam z nim ślub.

— To nie znaczy, że musisz znosić upokorzenia.

— Ale jestem jego żoną.

— A zatem, co zamierzasz? Zostać tutaj i znosić to wszystko?

— Muszę. Czasem mi się wydaje, że zdołam się kiedyś przełamać... No i jest jeszcze pani Maken.

— Zgodziłabyś się na to?

— Muszę.

— Ja bym się nie zgodziła. Odeszłabym. Nie zostałabym ani dnia dłużej.

— On nigdy nie pozwoli mi odejść.

— Nie wygląda na szaleńczo zakochanego.

— Nienawidzi mnie. Myślę, że od początku tak było.

— A więc dlaczego...?

— Przyjechał do Anglii szukać żony. Chciał znaleźć posażną pannę, która będzie mu posłuszna. I natrafił na mnie.

— Więc pieniądze! — wykrzyknęłam.

— Cóż, ojciec o mnie zadbał. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się nad tym. William żąda ode mnie pieniędzy, chce dokupić ziemi, choć to wszystko należy do niego. Nie jestem pewna, gdzie przebiegają granice jego włości. Chce wykarzcować zarośla. Przypuszcza, że tu znajduje się złoto. Widzisz, na swój sposób jestem — dla niego użyteczna... Chociaż w innych sprawach okazałam się kompletną ignorantką.

— Och, moja biedna Felicity! Teraz zdobyłam pewność, że musisz się stąd wydostać. Trzeba sprowadzić pomoc.

Byłam wdzięczna Opatrzności za to, że wysłałam jednak ten list do Raymonda. Żałowałam tylko, że nie wiedziałam o wszystkim wcześniej. Powinnam napisać kolejny list — bardziej stanowczy.

— Posłuchaj mnie, możemy uczynić tylko jedno. Pojechać do Lalong Creek i kupić bilety na dylizans.

— Nie mogę stąd wyjechać, Annalice. Wiem, że on by natychmiast mnie odnalazł. A wtedy byłoby jeszcze gorzej. Nigdy by mi nie wybaczył ucieczki. Dopilnowałby, bym więcej tego nie robiła. Zostałabym więźniarką tego domu.

— Nie jesteś aż tak bezbronna. Potrafię ci pomóc. Wyjedziemy razem.

— Dla ciebie to proste. On nie może cię skrzywdzić. Och, Annalice, nie masz pojęcia... Kiedy wchodzi do sypialni, modłę się, by stało się coś strasznego. Na przykład, by wybuchł pożar... cokolwiek, co by mnie przed nim ocaliło.

— Moja droga Felicity, to okropne. Ale musisz być roztropna. Ja cię stąd wydostanę! Zostań ze mną, a kiedy już zdobędę wiadomości o moim bracie, wrócimy razem do kraju.

— Kiedy tak mówisz, wszystko wydaje się proste. Twoje życie ułożyło się inaczej. Jesteś taka szczęśliwa, Raymond cię kocha...

W sposobie, w jaki wypowiedziała to imię, było coś, co zdradziło mi tajemnicę.

— To Raymonda kochasz, prawda?

Milczała parę chwil.

— To było już postanowione. Mówiło się, że on tylko czeka, aż dorosnę. Często przebywaliśmy razem. Wywiązało się między nami coś szczególnego. I wszystko zapewne ułożyłoby się tak, jak się spodziewano, ale... on spotkał ciebie. Zakochał się w tobie. Jesteś inna niż ja. Ty jesteś rozsądna, a ja naiwna. Wydawało się, że Raymond lubi mnie taką, jaka jestem. Zawsze był taki delikatny, taki opiekuńczy.

Wpatrywałam się w przestrzeń. Wszystko się zgadzało. Biedna, biedna Felicity! To ja sprowadziłam na nią nieszczęście.

— Och, Felicity! Tak mi przykro... tak bardzo mi przykro.

Widziałam łzy spływające po jej policzkach.

— To nie twoja wina — powiedziała. — Myślę, że jego uczucia do mnie okazały się nie dość silne. Tylko coś w rodzaju przyzwyczajenia... więc wystarczyło, że spotkał ciebie... Wówczas wszystko się między nami skończyło, teraz jest... William.

— Wyszłaś za niego za męża z powodu Raymonda i mnie. Och, Felicity, jak mogłaś?

— Myślałam, że w ten sposób uda mi się natychmiast uciec. Gdybym została, musiałabym ciągle oglądać ciebie i Raymonda. To było ponad moje siły.

— Co za poplątanie z pomieszaniem — zawołałam. — Co za okropny chaos!

— Okazałaś się dla mnie taka dobra. Chyba bym tego wszystkiego nie przeżyła, gdyby nie ty. Wzięłabym konia, pojechała przed siebie i padła na tym odludziu.... Albo rzuciłabym się w jakąś przepaść... cokolwiek, byle tylko uciec od niego.

— To jeszcze bardziej mnie upewnia, że powinnaś stąd wyjechać.

— William natychmiast by mnie znalazł.

— Nie znalazłby. Świat jest bardzo duży. A kiedy wrócimy do Anglii, Raymond nam pomoże.

— Nie mogę stanąć twarzą w twarz z Raymondem.

— Co za bzdury! Pozostał twoim przyjacielem. Bardzo mu na tobie zależy.

— On kocha ciebie.

— Ciebie też kocha. Przeżyłaś koszmar, ale to jeszcze nie koniec. Jesteś młoda, masz przed sobą życie.

— Annalice, zostań ze mną. Nie wytrzymam tu bez ciebie.

— Uspokój się. Mamy tydzień na powzięcie jakiegoś planu, ale nie powinnyśmy z tym zwlekać. Jedźmy teraz do gospody, kupimy bilety na najbliższy dylizans. Dostaniemy się do Sydney. Stamtąd popłyniemy statkiem na Caribę. Milton Hemming nam pomoże, jestem tego pewna. On będzie wiedział, co należy zrobić.

— On też jest w tobie zakochany!

— Zbyt lekko mówisz o miłości, Felicity. Milton Hemming jest przede wszystkim zakochany w samym sobie, a jest to tak wszechogarniające uczucie, że nie potrafi już nim obdarzyć nikogo innego.

— Ale ja myślę, że on jest jednak zakochany w tobie.

— Był rzeczywiście bardzo pomocny. I chce mi nadal pomagać. Będzie wiedział, co postanowić w tej sprawie. Wiem tylko jedno: jeśli zbliżenia z Williamem są dla ciebie takie straszne, nie musisz tego dłużej znosić.

— Tak dobrze jest z tobą rozmawiać.

— Jeszcze lepiej będzie podjąć działanie. Jedźmy, więc do gospody.

— Nie dzisiaj, proszę, Annalice, nie dzisiaj! Może jutro...

— Myślę, że powinnyśmy załatwić to natychmiast. Może nie uda nam się odjechać pierwszym dylizansem, jaki nadjedzie. Mieści się w nim tylko dziewięciu pasażerów. Wszystkie miejsca mogą być zajęte.

— Nie mogę się zdecydować, Annalice... Proszę, odłóżmy to do jutra.

— A zatem do jutra. Chodźmy już stąd! Mamy przed sobą cały tydzień. Cieszymy się naszą wolnością.

\* \* \*

Powinłam była przewidzieć, że Felicity będzie się wahała. Wciąż prosiła o jeszcze jeden dzień zwłoki, choć nie ulegało wątpliwości, że panicznie się boi powrotu męża. Zadziwiła mnie ta pełna rezygnacji akceptacja jego okrucieństwa. Wyobraziłam sobie w podobnych okolicznościach siebie. Ja nie zniosłabym takiego traktowania ani dnia dłużej. Ale ja przede wszystkim nie zostałabym nigdy jego żoną, bo od pierwszej chwili wyczułabym jego ordynarną zmysłowość. Nie wątpiłam, że w Anglii zachowywał się najlepiej, jak potrafił. Najprawdopodobniej urodził się i wychowywał w otoczeniu podobnym do otoczenia Felicity, więc wiedział, czego się będzie po nim oczekiwać. Ale byłam pewna, że mnie nie zdołałby zwieść i oszukać.

Jego nieobecność sprawiła, że Felicity poczuła się bezpieczna. Nocami dobrze spała, nie musiała już z drzeniem czekać na jego przyjście. Ale wydawała się nadal otepiała i niezdolna do działania.

Wiedziała, że William Granville łatwo z niej nie zrezygnuje. Sprowadził ją tutaj w konkretnym celu — żeby rodziła mu dzieci i dostarczyła środków na rozwój posiadłości. Był zdecydowany dopilnować, by wypełniła swoje obowiązki.

Może w głębi umysłu Felicity kołatała myśl, że jeżeli zajdzie w ciążę, on zostawi ją na jakiś czas w spokoju. Gospodyni już czekała, by dbać o wszelkie jego wygody, jak to nazywał. Prawdopodobnie nie była jedyna. Widziałam tu jeszcze dwie czy trzy inne kobiety. Wytworzyła się prawdziwie nieznośna sytuacja. A Felicity zachowywała się głupio, zgadzając się na wszystko.

Rozmawiałam z nią. Tłumaczyłam, jak łatwo dostać się do Sydney, wsiąść na statek na Caribę i poprosić o radę Milтона Hemminga. On wiedziałby, jak należy dalej postąpić. Gdyby chciała, moglibyśmy znaleźć jej miejsce na statku do Anglii — Tam już byłaby w pełni bezpieczna. Ja przyjechałam tu, by odszukać brata, więc musiałabym jeszcze zostać. Ale ja nie miałam powodu obawiać się Williama Granville'a.

Chwilami zdawało się, że Felicity mnie słucha. Zawsze jednak miała tę samą wymówkę: „On mnie wszędzie znajdzie”. A dni mijały i w końcu zyskałam już pewność, że Felicity nie zgodzi się stąd wyjechać. Sama chętnie dałabym nogę, ale tak mnie prosiła o pozostanie, że czując się nieco winna z powodu Raymonda, zostałam jeszcze.

Granville wrócił późnym popołudniem. Pani Maken upiekła baraninę i mnóstwo placków na jego cześć. Cały dom się zmienił. Wróciła nienawiść.

Tego wieczoru w domu zebrało się wielu pracowników. Rozmawiali, posilali się, pili.

Udałam się do mojej sypialni i siedziałam tam, nasłuchując, kiedy on wejdzie na górę.

Usłyszałam kroki dopiero po północy.

Zataczał się na schodach, wszedł do sypialni żony.

Nie mogłam zasnąć. Myślałam o Felicity, która nie zdobyła się na odwagę, by uciec, kiedy nadarzała się znakomita okazja.

Co się z nią tu stanie? — zastanawiałam się.

Pomyślałam, że któregoś dnia rzeczywiście wyjedzie gdzieś przed siebie bez celu albo rzuci się do wody z jakiegoś urwiska.

Jednak bardziej prawdopodobne było, że przyzwyczai się do uległości, będzie rodzić dziecko za dzieckiem, straci urodę, stanie się brzydką, zmęczoną, pozbawioną ducha kobietą, zgadzającą się na to okrutne życie, które przypadło jej w udziale.

\* \* \*

Minął kolejny tydzień. Już trzeci, który spędziłam w tym domu, choć wydawało się niemożliwe, że wytrzymałam tak długo. Zastanawiałam się, czy David Gutheridge wrócił do Sydney. Cokolwiek nastąpi, ja wkrótce opuszczam to miejsce. Będę nalegała na Felicity. Powiem jej, że albo jedzie ze mną, albo się pożegnamy.

W niedzielne popołudnie usłyszałam na dole niecodzienny gwar. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam grupę mężczyzn rozprawiających z ożywieniem.

Wyszedł do nich William Granville. Dotarli do mnie strzępy zdań: „U Pickeringów... Bandydzi... Właśnie tak... Były tylko kobiety w domu. Wszyscy mężczyźni poszli do pracy... Pani Pickering i jej dwie córki...”

— To dziewczynki... O ile pamiętam, trzynaście i piętnaście lat.

— Szatany — powiedział któryś.

— Mówią, że było ich pięciu.

— Pięciu i trzy kobiety... mój Boże!



— Obrabowali dom... zabrali każdego pensa... i inne rzeczy. Nie wiadomo, czy pani Pickering to przeżyje. Biedna kobieta... widzieć swoje córki... To wszystko przez te szumowiny.

— Kim oni są? Czy ktoś coś widział?

— Nic nie wiadomo. Tylko tyle, że ta banda najprawdopodobniej grasuje w okolicy. Żadna kobieta nie jest już bezpieczna.

Cofnęłam się w głąb pokoju.

Co za straszna historia! Powiem Felicity, że musimy bez zwłoki zaplanować ucieczkę.

Mówili jeden przez drugiego o szczegółach zbrodni u Pickeringów. William Granville wsiadł na konia i pojechał do Lalong Creek. Gdy wrócił, zawołał Felicity i mnie do bawialni. Na stole leżało kilka pistoletów. Spojrzał na mnie ironicznie.

— Dobrze pani strzela?

— Ja? Nigdy w życiu nie trzymałam broni w ręku.

— Cóż, będzie się pani musiała nauczyć.

Położył rękę na ramieniu Felicity. Zauważyłam, że z trudem udało jej się powstrzymać grymas obrzydzenia. On chyba też to dostrzegł, bo wsunął paluchy w wycięcie jej sukni, jakby chciał ją w ten sposób upokorzyć. Stała bez ruchu.

— A ty, kochanie, jak dobrze radzisz sobie z bronią?

— W ogóle sobie nie radzę.

— Może cię to zdziwi, ale tak właśnie myślałem. Cóż, nauczysz się! — warknął. — Słyszałaś, co się stało u Pickeringów. W pobliżu krążą źli ludzie. Bandyty. Szukają wszystkiego, co da się ukraść, a zwłaszcza lubią takie dzierlatki, jak ty. Nie spodobałoby ci się... Wcale by ci się to nie spodobało — zarechotał. — A więc teraz nauczysz się strzelać... Jeżeli jakiś się zbliży, chwytajcie za pistolety. Tutaj nie będzie płaczu! — zapowiedział. Przychodzą tacy włóczykije, kiedy myślą, że w domu zostały same kobiety. Więc wyciągajcie wtedy broń... i strzelajcie gdzie popadnie, jeśli będzie trzeba. Zrozumiałyście?

— Tak — powiedziałam. — Rozumiem.

Skinął głową i uśmiechnął się do mnie.

— To dobrze. A teraz natychmiast marsz i zaczynamy ćwiczenia. Nauczę was, jak posługiwać się bronią. Z góry wiem, że moja kochana żona nigdy tego nie opanuje. Prędzej skieruje lufę w samą siebie. Lufa jest tu, moja droga... stąd wylatuje kulka.

Felicity nadal stała nieporuszona.

— Idziemy poćwiczyć. Od razu, bez zwłoki! Niech każda z was weźmie po jednym pistolecie. Teraz należą do was. Macie je zawsze nosić przy sobie. Kiedy jeździecie konno i kiedy jesteście w domu. Dostaniecie pasy z kaburą, żeby je nosić. Nigdy nie odkładajcie pistoletu, dopóki nie schwytają tych łobuzów! A nawet jak ich złapią, też nie rozstawajcie się z bronią, bo mogą się pojawić następni. Musicie być ciągle gotowe. Wychodzimy!

Do krzaka w pobliżu domu uwiązał kawałek blachy i zaczęło się strzelanie do celu.

Pani Maken też w tym uczestniczyła. I radziła sobie całkiem nieźle. Wszystkie kobiety w domu dostały broń.

Ja opanowałam tę umiejętność dość szybko i chociaż nie trafiałam w sam środek, moje kule przynajmniej ocierały się o blachę.

— Nie najgorzej — stwierdził William Granville. — Wcale nieźle. Trzymać tak! Mocniej! — Jego palce owinęły się wokół moich. Wiedział, że nie znoszę jego dotyku i byłam pewna, że jest z tego zadowolony. Miał w sobie coś z sadysty.

Felicity ani razu nie trafiła w blachę.

— Strzeżcie się wszyscy, kiedy zobaczycie, że moja droga żona trzyma w ręku pistolet — stwierdził ironicznie.

Kiedy dobiegły końca pierwsze ćwiczenia, wiedziałam przynajmniej, jak załadować i trzymać pistolet.

— Jeśli co dzień trochę pani postrzela — powiedział do mnie William Granville — może zostanie pani mistrzynią.

— Dziękuję — odparłam chłodno.

Wróciliśmy do domu. Biedna Felicity znów wyglądała na upokorzoną. Upokarzanie jej sprawiało mu przyjemność. A ja obrałam pewności, że ona bardziej boi się jego, niż bandytów.

\* \* \*

Strzelanie nawet mnie trochę wciągnęło i polubiłam ćwiczenia. Kiedy szłam spać, kładłam pistolet obok łóżka, tak że wystarczyło sięgnąć po niego ręką. A gdy wyjeżdżałam konno, wkładałam pas z kaburą. Byłam zdumiona poczuciem bezpieczeństwa, jakie mi dawał.

Z każdym dniem coraz lepiej trafiałam do celu. Wyciągnięcie pistoletu z kabury i strzał zabierały mi tylko kilka sekund. Jednak Felicity okazała się w tym beznadziejna. Często zresztą bywała zmęczona — moim zdaniem bardziej przez Williama Granville'a niż z powodu upału.

Ktoś podszedł i zatrzymał się obok mnie. Wiedziałam, że to William Granville i nie przestałam strzelać.

— Dobrze — stwierdził. — Nawet bardzo dobrze. Zostanie pani pewno strzelcem wyborowym. Co oczywiście było do przewidzenia.

Wcisnęłam pistolet do kabury i odwróciłam się.

— Niezła z pani kobitka, panno Annalice. Bardziej by do pani pasowało tutejsze życie.

— Nieprawda — odparłam.

— Odniosłam wrażenie, że niezłe się pani u nas zadomowiła.

— Nie. Wkrótce wyjeżdżam.

— A moja kochana żona prosi, by pani została, czyż nie?

— Jest niezwykle gościnna.

— Mam nadzieję, że ja także. To moja ziemia, wie pani o tym? Nie chcę, żeby pani już wyjeżdżała. Lubię, kiedy pani jest w pobliżu.

— Dziękuję — odpowiedziałam i postąpiłam krok w stronę domu.

Zagroził mi drogę.

— Żałuję, że nie panią pierwszą zobaczyłem.

Udałam, że nie rozumiem.

— No, zanim poznałem moją przyszłą. Powinienem był oświadczyć się o pani rękę.

— To nie ma najmniejszego sensu.

— Och, nigdy nie wiadomo. Mamy z sobą wiele wspólnego.

— Nie wydaje mi się.

— Lubię panią. Podoba mi się pani charakter.

Wykonałam jeszcze jeden krok w stronę domu, ale on złapał mnie za ramię i zbliżył twarz do mojej. Bijący od niego odór whisky sprawił, że zrobiło mi się niedobrze. Wykrzywiłam twarz w obrzydzeniu, a on ścisnął mnie za ramię jeszcze mocniej, aż zabołało.

— Proszę mnie puścić — powiedziałam zimno.

Rozluźnił uścisk, ale nie wypuścił mojego ramienia.

— Pani i ja moglibyśmy niezłe się zabawić — oznajmił.

— Nie znoszę pana — odparłam. — I skorzystam z najbliższej okazji, by opuścić ten dom.

Parsknął śmiechem.

— Dobrze pani wie, że tak się nie stanie. Kiedy znów mała Felicity przyjdzie do pani z płaczem, przesunie pani wyjazd jeszcze o jeden dzień... i jeszcze jeden... Mnie to zresztą wcale nie przeszkadza. A nawet mi pasuje. Często ostatnio o pani myślę. Wiele rzeczy chciałbym pani pokazać.

— Proszę je zatrzymać dla swoich przyjaciół.

Wyrwałam się i poszłam do domu. Mimo zewnętrznego spokoju byłam wstrząśnięta. Obiecałam sobie, już teraz kategorycznie, że na drugi dzień pojedę do Lalong Creek i zarezerwuję miejsce w dylizansie.

Byłam bardzo niespokojna. Od jakiegoś czasu widziałam, że spogląda na mnie pożądliwie, ale po raz pierwszy bezpośrednio wyraził swe uczucia. Najwyższy czas, by stąd wyjechać!

Tej nocy również czekałam w swojej sypialni na odgłos jego kroków zmierzających po schodach na górę. Broń miałam w pogotowiu. Teraz nigdy się z nią nie rozstawałam.

Usłyszałam skrzywienie otwierających się drzwi. Wzięłam do ręki pistolet, wstałam z łóżka i podeszłam do szpary. Ktoś Szedł po korytarzu. Nie. To nie był William Granville. To była Pani Maken. Cicho podeszła korytarzem do pokoju z balkonem. Otworzyła drzwi i weszła.

Co to ma znaczyć?

Czekałam. Minęło pięć minut. Dziesięć.

Wtedy zrozumiałam. Jest tam... z nim i Felicity. To potworne! Nie można tego dłużej znosić! Co za orgię zaplanował ten lubieżny rozpustnik, perwersyjny i nienasycony!

Muszę wyjechać. I Felicity musi jechać ze mną!

\* \* \*

Następnego ranka Felicity wydawała się nieprzytomna — jakby nie należała już do tego świata. Myślę, że została czymś oszołomiona. Wyobraźnia mnie zawiodła. Nie potrafiłam zrozumieć, co zdarzyło się w ich sypialni ostatniej nocy.

Felicity nie może zostać z tym człowiekiem! Musi to zrozumieć.

— Wybieram się na przejażdżkę — powiedziałam do niej. — Pojedziesz ze mną?

Skinęła głową.

Kiedy oddaliśmy się trochę od domu, powiedziałam:

— Felicity, ja już muszę stąd wyjechać! Nie mogę dłużej zwlekać.

— Rozumiem, co czujesz.

— Czy pojedziesz ze mną?

— Nie mogę, Annalice. Nie odważę się.

— Wiesz, że powinnaś to zrobić. Nie mogę cię tu zostawić.

— Ale ja muszę tu zostać. Taki los sobie zgotowałam.

— Niczego nie musisz! Możesz uwolnić się od tego małżeństwa.

— Nie mogę. Zostałam schwytana w pułapkę.

— Zawsze znajdzie się wyjście. Jedź ze mną! Zarezerwuję dwa miejsca jeszcze dzisiaj i gdy tylko się da, wyjedziemy stąd.

— Nie mogę.

— Wiem, co się tu dzieje. Będę z tobą szczerą. Nie czas na udawanie. Widziałam, jak on wchodził do pokoju pani Maken, a wczoraj w nocy...

— Och, Annalice...

— Tak, wczoraj w nocy też widziałam, co się dzieje. Ona przyszła do was. Została tam. Och, Felicity, to straszne! Nie powinnaś tego dłużej znosić. Można uzyskać rozwód. Zapytam Milтона Hemminga, co zrobić. Pojedź tylko ze mną.

— On pojedzie za nami.

— Nie robi tego.

— Zrobi... z powodu pieniędzy...

— Niech tylko spróbuje. Jeżeli pojedziemy do Sydney, możemy wsiąść na statek na Caribę. Wiem, że Milton Hemming nam pomoże. Jest bywały w świecie. Będzie wiedział, co da się zrobić. Nikt nie musi znosić tego, co ty. To potworne. Każdy się z tym zgodzi.

— Nie potrafiłabym nikomu spojrzeć w twarz — powiedziała żałośnie. — Nie mogę o tym mówić... nawet z tobą.

— Trzeba z tym natychmiast skończyć. Nie ufam mu, sama zresztą się go boję. Nie zostanę pod tym dachem ani chwili dłużej! Zarezerwuję dwa miejsca w dylizansie. Bądź rozsądna, Felicity. Pozwól, bym zarezerwowała jedno dla ciebie.

— Nie mogę. Nie odważę się. On mnie zabije.

— Nie ośmieli się.

— Dla pieniędzy ośmieli się na wszystko.

— Czy świadomie skazujesz się na całe takie życie, jakiego już zaznałaś? Właściwie Milton Hemming mnie przed nim ostrzegł. Granville musi mieć straszną reputację, skoro ludzie z tak daleka o nim słyszeli.

— Bardzo się boję, ale jeszcze bardziej bym się bała, gdyby on się dowiedział, że mam miejsce w dylizansie.

— Od kogo mógłby się dowiedzieć?

— Ludzie by mu donieśli.

— Istnieje ryzyko, które należy podjąć, by stąd uciec.

— Nie mogę... Nie mogę...

— W takim razie, Felicity, wyjeżdżam bez ciebie.

— Och, Annalice, proszę...

— I tak się zasiedziałam ponad miarę. Teraz już muszę wyjechać.

Zamknęła oczy. Widziałam, jak na jej twarzy pojawia się wyraz rezygnacji. Zirytowała mnie. Pewnie dlatego, że mnie to uczucie było zupełnie obce. Ja nigdy nie zgodziłabym się na coś, co byłoby dla mnie odrażające. Walczyłabym.

Felicity nie umie walczyć.

Ale nie wolno mi się znowu poddać. Wciąż myślałam o tym człowieku... o jego przekrwionych oczach, oddechu cuchnącym whisky. Wiedziałam, że prędzej czy później zwróci się ze swoimi awansami do mnie. Byłam zwinna, szybko się decydowałam i byłam silna. Ale on był silniejszy.

Skierowałam konie wprost do miasteczka.

Nie spojrzałam na Felicity, obawiając się, że osłabi to moją decyzję. Uwiązałyśmy konie i weszłyśmy do gospody.

Przy ladzie zapytałam o miejsca w dylizansie.

Sobotni miał już komplet pasażerów. Ale były jeszcze miejsca na poniedziałek.

— Ile miejsc, panienko? Dwa?

Spojrzałam na Felicity, pokręciła przecząco głową.

— Jedno — odparłam. — Jedno miejsce w poniedziałkowym dylizansie.

Wysłałam z powrotem na światło słońca, czując ogromną ulgę, a jednocześnie smutek i głęboki niepokój, bo chociaż moje wyzwolenie było już bliskie, zostawiałam tu Felicity.

\* \* \*

Jeszcze dwa dni i będę wolna! Sobota, niedziela — a potem poniedziałek. Wyruszę z samego rana, by zdążyć na czas. Poproszę Slima, żeby mnie odwiózł ze względu na bagaż. Chyba nie odmówi.

Felicity wyglądała na strasznie nieszczęśliwą. Próbowałam ją pocieszyć, ale ona tylko powtarzała:

— Wyjeżdżasz. Jak tu będzie bez ciebie?

— Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze może znaleźć się wolne miejsce w dylizansie.

Znów odmówiła wyjazdu.

Zbierałam swoje rzeczy. Spytałam Slima, czy mógłby mnie odwieźć do miasteczka w poniedziałek rano, a on odpowiedział, że tak.

— A więc opuszcza nas pani? — spytała pani Maken.

Odkąd zobaczyłam, jak wchodzi nocą do pokoju z balkonem, prawie się do niej nie odzywałam. Nie winiłam jej tak bardzo, kiedy widziałam, jak on chodzi do niej, bo dawno już odgadłam, co ich łączy. Ale to, że weszła do ich sypialni, napawało mnie obrzydzeniem.

— Od samego początku było wiadomo, że nie zamierzam zostawać tu na długo — odparłam chłodno.

— Pani Granville bez wątpienia panią przekonała do przedłużenia pobytu.

— Cóż, oczywiście, zostałam, żeby pobyć z nią.

— Strasznie z niej bojaźliwe stworzenie!

— Wszystko tutaj bardzo się różni od świata, w jakim ją wychowano.

— Tak, to nie jest miejsce dla dam.

Wróciłam do swojego pokoju, by dalej się pakować. Już tylko ta noc i jeszcze jedna, powtarzałam sobie. Nie mogłam się doczekać, kiedy znajdę się w Sydney. Dotrę tam w poniedziałek wieczorem. We wtorek pójdę do Stowarzyszenia Botaników, a potem zarezerwuję miejsce na środowy statek na Caribę.

Musiałam przyznać, że ekscytowała mnie perspektywa ponownego ujrzenia Miliona Hemminga. Będę mogła mu powiedzieć, co się tu dzieje. Nie zamierzałam opuszczać Felicity. Musiałam jej pomóc, nawet jeżeli ona nie chce pomóc sama sobie. Wierzyłam, że Milton Hemming coś wymyśli.

Nadszedł wieczór, taki sam jak poprzednie sobotnie wieczory, chociaż libacja na dole była bardziej ożywiona niż zazwyczaj. Minęła północ, kiedy rozeszli się do swoich baraków. Słyszałam, jak William Granville wchodzi na górę.

Czekałam, nasłuchując. Wszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi.

Odetchnęłam. Dam mu trochę czasu, by zasnął, a potem sama się położę, nie zapominając postawić pod drzwiami krzesła.

Minęło dziesięć minut. Położyłam się.

Jakieś piętnaście minut później usłyszałam ukradkowe kroki na korytarzu. Usiadłam i sięgnęłam po pistolet. Ścisnęłam go mocno i czekałam. Moje serce waliło jak młotem. Kroki zatrzymały się przed moimi drzwiami.

Krzesło drgnęło i nagle się przewróciło. Wszedł do mojego pokoju. Gwiazdy oświetlały jego twarz — straszną, lubieżną, zdeterminowaną. Wyskoczyłam z łóżka i trzymając w ręku pistolet, stanęłam po jego drugiej stronie.

— Jeżeli podejdziesz do mnie choć na krok, strzelę — powiedziałam.

Zaskoczony, wpatrywał się we mnie.

— O Boże! Byłaś gotowa. Czekałaś na mnie.

— Zbyt wiele o tobie wiem. Wynoś się!... o ile nie chcesz dostać kuli w łeb!

— Ty kocico!

— Tak. Pamiętaj o tym, że mam pazury. Pożałujesz, jeżeli zbliżysz się choć o krok.

— Nie mogłabyś mnie przecież zastrzelić, no nie?

— Mogłabym i zrobić to.

— Zamordujesz mnie w moim własnym domu... z zimną krwią?

— W twoim domu, ale nie z zimną krwią. Jestem wściekła. Nienawidzę cię. Gardzę tobą. Nie ufam ci. Nie jesteś człowiekiem. Jesteś najniższą formą zwierzęcia. Myślisz, że nie wiem, co się tu dzieje? Chciałam zabrać Felicity z sobą, ale uparła się zostać. Źle pojęte poczucie obowiązku. Obowiązku wobec kogo? Ciebie! I ty śmiesz nazywać siebie mężczyzną! Cofnij się, bo strzelę.

Minął już wstrząs, jaki przeżył widząc mnie z pistoletem w ręku.

— No... no! — powiedział. — Chciałem tylko się upewnić, czy nic ci się nie stało. Wydawało mi się, że słyszę jakieś kroki... Ktoś tu się kręci.

— Może twoja kochanka wybiera się do ciebie?

— Myślałem, że to bandyci...

— Ich tu nie ma. A ty idź sobie! Jeżeli postawisz nogę w tym pokoju jeszcze raz, dopóki ja tu jestem, nie będę ostrzegać. Strzelę od razu.

— Złościca! Kocica! Jesteś istną tygrysią. Nie zrobiłbym ci krzywdy. Podobasz mi się. Lubię kobiety i charakterem. Gdybyś zadała sobie trochę trudu, by mnie lepiej poznać...

— Wiem o tobie wszystko, czego mi trzeba, a im więcej się dowiaduję, tym bardziej cię nienawidzę.

— Daj mi szansę!

— Wynoś się stąd!

— Wcale nie chcesz, żebym się wynosił, prawda?

Próbował obejść łóżko z drugiej strony.

— Precz stąd! Jeszcze jeden krok i strzelam. Nie chybię. Sam mówiłeś, że dobrze strzelam.

— Przecież to morderstwo.

— Strzelę ci w nogi. I będzie to samoobrona. Powiem wszystkim, że przyszedłeś do mojego pokoju, by mnie zgwałcić. Powiem, że zaciągnąłeś swoją gospodynię do łóżka ze swoją żoną. Nawet w tym kraju można stracić opinię.

Wtedy zrozumiał, że został pokonany. Spojrzał na mnie z nienawiścią.

— Dobrze, ty suko, ty wilczyco! Myślisz, że jesteś taka drogocenna, co? Wynoś się z mojego domu! Wynoś się natychmiast!

— Wyprowadzę się z samego rana.

— A dokąd pójdziesz? Będziesz spać na gołej ziemi? To nie godne waszej wysokości.

— Pójdę do zajazdu. Wyjeżdżam stąd w poniedziałek dyliżansem. Jeżeli w Lałong Creek nie znajdę pokoju, mogę spać gdziekolwiek... na stole, w knajpie... nie przeszkadza mi to. Chcę tylko wydostać się z tego miejsca.

— No to idź! Szczęśliwej drogi!

Z tymi słowami wyszedł z pokoju, kopiąc krzesło i zatraskując za sobą drzwi. Opadłam na łóżko, moje kolana tak drżały, iż myślałam, że się nie utrzymam na nogach. Teraz, kiedy już nie musiałam się bronić, pistolet wysunął mi się z rąk. Zęby mi szczękały. Gdyby teraz wrócił, nie wiem, czy zdołałabym się obronić.

Leżałam bez ruchu, czujna. Słyszałam, że schodzi na dół. Usiłując opanować drżenie, nasłuchiwałam, aż wróci. Jutro stąd wyjeżdżam. Pojadę do zajazdu i zapytam, czy mogę zatrzymać się w gospodzie. Z pewnością ktoś przyjmie mnie na jedną noc — a w poniedziałek już mnie tu nie będzie. Ten koszmar się skończy.

Co on robi? Nic nie słyszę.

Minęła godzina. Przestałam już drzeć, ale wciąż trzymałam w dłoni pistolet. Wtedy go usłyszałam. Wchodził znów na schody. Przyłożyłam oko do szpary w drzwiach. Słyszałam, jak mamrocze coś pod nosem, dostrzegałam jego sylwetkę. Zataczał się. Musiał być bardzo pijany.

Widziałam, że zawahał się na szczycie schodów. Potem odwrócił się i wszedł do pokoju z balkonem. Najwyżej pięć minut później, kiedy wciąż jeszcze czekałam w napięciu, usłyszałam strzał. Trzymając pistolet, pobiegłam korytarzem i otworzyłam drzwi do ich sypialni.

Drzwi na balkon były szeroko otwarte. Felicity trzymała się złamanej poręczy.

— Felicity! — zawołałam. — Co się stało?

Próbowała coś powiedzieć, ale żadne słowo nie przechodziło jej przez gardło. Wskazała głową na balkon.

Zobaczyłam, że kilka pozostałych prętów jest wyłamanych, a przednia część balustrady zniknęła. Podeszłam i spojrzałam w dół. Rozciągnięty na ziemi leżał William Granville, nieco dalej pistolet.

Leżał bez ruchu, jak wielka kukła, a w jego pozycji było coś nienaturalnego. Intuicja powiedziała mi, że jest martwy.

\* \* \*

Nie wsiadłam do dylizansu w tamten poniedziałek. Zostałam z Felicity. Zabrałam ją z tego pokoju pełnego koszmarnych wspomnień i kazałam jej położyć się w moim łóżku. Było wystarczająco szerokie dla nas obu, nie mogłam jej w takim stanie zostawić samej. Była zupełnie otępiąta, patrzyła prosto przez siebie mętnymi oczami. Zaczęłam się obawiać o jej zdrowie.

Następne wydarzenia pamiętam jak przez mgłę. Dużo ludzi przychodziło i odchodziło. Zabrano ciało Williama Granville'a. Zginął od strzału w głowę. Z Sydney przyjechali sędziowie śledczy, zadawali mnóstwo pytań.

Dlaczego spadł? — chcieli wiedzieć.

Oparł się o poręcz, nie utrzymała ciężaru.

Byłam spokojna. Felicity nie powiedziała mi, co się właściwie stało i bałam się ją o to pytać. Bałam się, że dostanie hysterii, a nie wiedziałam, co mogłaby wtedy powiedzieć. Wciąż pojawiała się w mojej głowie myśl, że może to ona nie mogła już dłużej znosić tego wszystkiego i wystrzeliła fatalną kulę. Mogłabym ją zrozumieć. Sama byłam gotowa go zastrzelić. Są granice, których nie potrafi przekroczyć nawet najpotulniejsza istota.

Najbardziej ze wszystkiego chciałam wydostać się z tego miejsca. I chciałam zabrać z sobą Felicity. Cokolwiek się stało, już minęło. Chciałam ją uspokoić, pocieszyć. Zbyt jasno rozumiałam, co musiała wycierpieć.

Wysunięto teorię, że koło domu kręcili się bandyci. Historia Pickeringów była wciąż żywa w pamięci mieszkańców, ludzie pamiętali o bandytach.

Zeznałam, że denat przyszedł wcześniej do mojego pokoju i powiedział, iż najprawdopodobniej słyszał czyjeś kroki i podejrzewa, że to mogą być bandyci. Było w tym trochę prawdy. Wiedziano, że po napadzie na Pickeringów wciąż wypatrywał bandytów. Wszyscy ich wypatrywali.

W końcu przyjęto wersję, że usłyszał obcych koło domu, więc wziął pistolet i wyszedł na balkon. Faktem było to, że balkon od dawna należało naprawić. Kilku prętów brakowało od miesięcy. Wybiegł z pistoletem, zapominając, że drewniana poręcz ledwo się trzyma, oparł się o balustradę i, spadając, postrzelił sam siebie. Pistolet wypadł mu z ręki, dlatego znaleziono go kilka stóp dalej.

Jeszcze jedna tragedia.

Wiem, że w Anglii wszystko zbadano by dokładniej. Ale tutejsi ludzie to pionierzy, tworzą dopiero nowy kraj, a ryzyko wiążące się z tym jest niestety ogromne. Śmierć zdarza się tutaj często.

Pani Maken opowiedziała, jak wszystkim nam rozdał pistolety po bandyckim napadzie na Pickeringów. Pan Granville nie chciał pozostawiać kobiet samych, bez ochrony.

— Już tyle zła wyrządzili ci bandyci — przyznał któryś ze śledczych.

Wcale nie byłam pewna, czy odpowiadają także za śmierć Williama Granville'a.

Oznajmiłam, że chciałabym wyjechać najszybciej, jak będzie to możliwe. Pani Granville jest w stanie szoku i obawiam się, że nie dojdzie do siebie, dopóki nie opuścimy miejsca tej strasznej tragedii.

Ale najpierw trzeba było pójść na pogrzeb.

Niewielki cmentarz leżał zaraz za miasteczkiem, a grób dla Williama Granville'a wykopano tuż obok mogiły pani Pickering, która umarła po napadzie bandytów.

Staliśmy wokół tego grobu — Felicity, pani Maken, ja i kilku pracowników. Sporo ludzi przejechało wiele mil, by stawić się na pogrzebie. Felicity okazywano dużo współczucia, a ja obserwowałam ją z niepokojem, obawiając się wciąż, że utraci spokój i zdradzi swoje prawdziwe uczucia.

To wcale nie przypominało pogrzebów w Anglii — żadnej pompy, grabarzy w czerni, koni w złocistych rzędach. Staraliśmy się przywdziać żałobę, ale w żaden sposób nie udało się sprowadzić nowych ubrań.

— Biedacy! — odezwała się któraś z przyglądających się kobiet. — Miałabym ochotę powystrzelać wszystkich tych bandytów. Kiedy ich złapią, zlinczują ich, zapewniam was. Ta biedna pani Pickering... co ona wycierpiała! A teraz pan Granville!

Nasze milczenie uznano za wyraz żałoby. Wróciliśmy powozem do domu, ze Slimem na koźle, jak w dzień naszego przyjazdu.

Okazało się, że William Granville zapożyczył się u wszystkich wokół, pod pretekstem bogatej żony jako poręczycielki. Trzeba było spłacić jego długi, a tego można było dokonać tylko sprzedając posiadłość. Niewiele po niej zostało. Felicity potulnie zgadzała się na każdą propozycję i była zadowolona, że kto inny zajmie się całą sprawą. Powiedziała, że nie chce nic z majątku zmarłego męża. Jedyne, czego pragnie, to wyjechać stąd, i by wszystko było tak jak dawniej, jakby zupełnie nic się nie zdarzyło.

To ja spakowałam nasze rzeczy i poczyniłam niezbędne przygotowania. Felicity nie chciała zostawać w domu sama, nie chciała też jechać do miasteczka. Kiedy tam wreszcie ze mną się wybrała, musiałam ją zostawić w połowie drogi. Nie mogła znieść składanych jej wciąż kondolencji. Jej nerwy były w kiepskim stanie.

Dwa miejsca na środowy dylizans zamówiłam w jedenaście dni po śmierci Williama Granville'a.

Felicity była krańcowo wyczerpana, a ja dziękowałam losowi, bo wskutek tego mocno w nocy spała. Siadywałam przy oknie, obserwując ją i odrzucając obrazy tego, przez co musiała przejść w swojej sypialni.

Balkon został naprawiony. Wszłam kiedyś do tamtego pokoju. Wydał mi się przesycony złem, ale to pewnie dlatego, że wiedziałam trochę o sprawach, które tu miały miejsce. Zadrżałam, kiedy spojrzałam na brązowe zasłony przy oknach wychodzących na balkon, na dużą komodę, na toaletkę i dwa krzesła. Oderwałam szybko wzrok od łóżka i wyszłam na balkon, spojrzałam w dół. Nowe pręty jasno błyszcząły między starymi. Jak do tego doszło? — zastanawiałam się. Może pewnego dnia Felicity mi opowie. Ja w każdym razie nigdy jej o to nie zapytam.

W całym domu panoszyło się zło, ale jego ośrodek znajdował się tutaj. To tutaj Felicity przesłała swoje największe upokorzenie.

Nagle zrobiło mi się zimno. Włosy zjeżyły mi się na głowie. Nie byłam sama.

Odwrociłam się gwałtownie, chwytając poręcz tak, jak on mógł to wtedy zrobić. Naprawdę się przeraziłam, że go zobaczę, gdy tam stoi, z tym lubieżnym uśmiechem na twarzy.

Patrzyłam w tajemnicze oczy pani Maken.

— Och — odezwała się — chciała pani ostatni raz spojrzeć na dom?

— Teraz ten balkon wydaje się bezpieczny — odpowiedziałam. Mój głos brzmiał wysoko i nienaturalnie.

— To naprawdę tragiczny wypadek. Ci bandyci będą musieli za to odpokutować. — Skinęłam głową. — Dużo się tu teraz zmieni.

— Tak sędzę. A co pani planuje, pani Maken?

— Mam zostać, dopóki wszystko nie będzie załatwione. Prawnicy mnie o to prosili. Ktoś musi tu mieszkać... A skoro pani Granville jest w takim stanie...

— Wydaje mi się, że to doskonałe rozwiązanie. Ale chodziło mi o to, co chce pani robić później.

— Dostałam propozycję od bardzo miłego dżentelmena z Sydney. Mam prowadzić mu dom. Uśmiechała się do mnie z zadowoleniem.

— Cieszę się — powiedziałam.



— A panie wyjeżdżają. Cóż, tak chyba będzie najlepiej dla pani Granville. Nigdy nie przyzwyczała się do naszego życia.

Rozglądała się z nostalgią po pokoju, ale widziałam, że już układa plany na życie w rezydencji miłego dżentelmena z Sydney.

— Złapią tych ludzi — mówiła dalej. — Ludzie są bardziej zdecydowani niż kiedykolwiek. Proszę tylko pomyśleć, gdyby pan Granville nie usłyszał, że tu się kręcą, byłby dzisiaj z nami. Cóż, panie wyjeżdżają. A zamierzała pani wyjechać w tamten poniedziałek. Gdyby nie ci bandyci...

— Tak, rzeczywiście — odparłam. By wrócić do pokoju, musiałam przejść obok niej. A mnie wciąż się wydawało, że widzę ją w tym pokoju z Felicity i Williamem Granvillem.

Spojrzała na mnie z ironią, a ja zastanawiałam się, czy potrafi czytać w moich myślach.

Nie czułam się przy niej dobrze. Ale w środę już nas tu nie będzie.

\* \* \*

Felicity leżała w łóżku, ale nie spała. Usiadłam obok na krześle.

Tak naprawdę łóżko było za wąskie na dwie osoby i zazwyczaj leżałam na samym brzegu, by jej nie przeszkadzać. Zwykle spała już, kiedy się kładłam. Była zmęczona strachem i przeżyciami. Czasami siedziałam przy oknie aż do północy, rozmyślając o zdarzeniach, jakie tu miały miejsce. Od śmierci Williama Granville'a ciągle żywiłam nadzieję, że kiedy już stąd wyjadę, cały ten przerażający koszmar zniknie, rozplynie się w codzienności normalnego życia.

Kufry Felicity już pojechały do Sydney, gdzie miały być przechowane w porcie aż do naszego wyjazdu do Anglii. Mój bagaż i lżejsze rzeczy Felicity wysłano do miasteczka, by mogły zostać załadowane do dylizansu, gdy tylko nadjedzie. Zostawiłyśmy sobie po jednej podróźnej torbie.

Podeszłam do okna i usiadłam tam. Wcale nie byłam senna.

— Dlaczego siedzisz przy oknie, Annalice? — odezwała się niespodziewanie Felicity.

— To nasza ostatnie noc tutaj, Felicity. Czuję taką ulgę, że wyjeżdżamy.

— Och, Annalice, to było takie okropne, kiedy chciałaś wyjechać beze mnie.

— Wiem, ale musiałabym to w końcu zrobić.

— Rozumiem.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Już po wszystkim — powiedziała. — Aż nie potrafię w to uwierzyć.

— Jutro wyjedziemy wcześniej, by zdążyć na dylizans.

— A potem na zawsze pożegnamy się z tym miejscem.

— Na zawsze. I natychmiast o nim zapomnimy.

— Myślisz, że kiedykolwiek zdołamy zapomnieć?

— Mam zamiar się o to postarać.

— Dla ciebie to proste.

— Czas i tobie pomoże.

— Nigdy o tym nie zapomnę, Annalice.

— Wspomnienia oczywiście wracają. Ale z czasem stają się coraz mniej wyraziste, słabną.

— Nie sądzę, by kiedykolwiek osłabły... A przynajmniej wspomnienie tamtej nocy.

— Kiedy już opuścisz to miejsce, przekonasz się, że zblakną. Obiecuję ci to.

— Nie. Tamta noc zostanie we mnie na zawsze... wryta w moich myślach. Nigdy tego nie zapomnę.

Milczałam, a ona mówiła dalej:

— To nie było tak, jak oni twierdzą, Annalice.

— Nie?

— To nie tak. Muszę komuś o tym opowiedzieć. Nie mogę zatrzymać tego dla siebie.

— Jeżeli musisz komuś opowiedzieć, najlepiej powiedz to mnie.

— Tamtej nocy... gdy przyszedł na górę... uśmiechał się. Wypił dużo whisky, ale nie był pijany... Nie tak, jak później. Wyszedł... Pomyślałam, że idzie do pani Maken. Wiesz, że często to robił.

— Tak, wiem.

— Ciągłe mi powtarzał, o ile ona jest lepsza ode mnie... Nie potrafię mówić o tych rzeczach.

— Więc nie mów.

— Ale ja muszę. Wydaje mi się, że gdy już ci opowiem, przestanę o tym myśleć... W każdym razie nie będę myśleć tak dużo.

— W takim razie powiedz.

— Długo go nie było. Myślałam, że już nie wróci na noc. Zazwyczaj tak bywało. Podobało mi się to. Czulałam się wspaniale, kiedy nie wracał. Byłam wdzięczna pani Maken za to, że jest o tyle lepsza... w tych rzeczach... niż ja.

— Och, Felicity — wykrzyknęłam. — Nic mnie nie obchodzi, co cię w końcu wyzwoliło... Ale cieszę się z tego.

— Ja też się cieszę. To okropne, ale cieszę się, że on nie żyje.

— Świat jest dużo lepszy bez niego i jemu podobnych. Cieszymy się, że już go tu nie ma. Zadrzała, a potem usiadła gwałtownie, spoglądając na drzwi.

— On nie może tu wejść — powiedziałam. On już nie żyje. Ty nie boisz się chyba jego ducha?

— Tutaj się boję. Wydaje mi się, że jedno z drzew eukaliptusa poszarzeje, bo on w nim zamieszka.

— Nie martwiłabym się o to. Będziesz daleko stąd. Kiedyś zapomnisz, że takie miejsce w ogóle istniało. Już niedługo, Felicity. Wsiądziesz na statek i wrócisz do kraju bardzo szybko. Ja jeszcze nie mogę. Mam kilka spraw do załatwienia.

— Wiem. A ja ci w tym przeszkadzam, prawda? Ale chcę zostać z tobą, Annalice.

— No, dobrze. Zostaniemy razem. Będzie bardzo ciekawie. Popłyniemy na Caribę.

— Tak... tak... dopóki jestem z tobą... A potem razem wrócimy do Anglii.

Leżała teraz, uśmiechając się.

— Ale muszę ci opowiedzieć o tamtej nocy. Nie uspokoję się, dopóki ci nie powiem. Chcę, byś mi powiedziała, że nie jestem zła.

— Oczywiście, że nie jesteś zła. Cokolwiek się stało, on na to zasłużył.

— Cóż, wrócił więc po raz drugi do mnie. Spałam. Byłam taka zmęczona, Annalice. Zawsze jestem zmęczona. Te straszne noce...

— Nie myśl o nich. Po prostu mi powiedz.

— Wrócił. To było dużo później... Musiała minąć więcej niż godzina. Był bardzo pijany. Wyglądał okropnie. Krzyknął: „Obudź się! Chyba będę musiał zadowolić się tobą”. Tak... tak właśnie powiedział. Przyszło mi do głowy, że może pokłócił się z panią Maken. A potem coś we mnie pękło. Nie mogłam już więcej tego znieść. Odepchnęłam go. Udało mi się to tylko dlatego, że był taki pijany. Wyskoczyłam z łóżka i chwyciłam pistolet, ten, który miałam zawsze z sobą nosić. Powiedziałam: „Jeżeli mnie dotkniesz, zastrzelę się”.

— Och, Felicity, nie!

— Tak... tak... Śmiał się ze mnie. Nie byłam pewna, co zrobić. Naprawdę mogłam siebie zabić. Ale nie potrafiłam go dłużej znieść. To było zbyt poniżające, upokarzające. Nienawidziłam tego. Czulałam się brudna... nie warta życia. Ruszył do mnie, a ja wybiegłam na balkon. Złapał mnie. Próbował odebrać pistolet. Śmiał się. Był bardzo pijany. A potem nagle... Może go pchnęłam. Nie wiem. Nie pamiętam tego jasno. Poręcz pękła... pistolet wystrzelił... wyleciał mi z rąk i spadł na dół... A on leżał tam... i wszędzie było pełno krwi. Krzyknęłam... i wtedy przyszłaś.

— Rozumiem.  
— Naprawdę? Wydaje mi się, że to ja mogłam nacisnąć spust.  
— Walczyliście, pistolet wystrzelił. Przestań o tym wreszcie myśleć. Już po wszystkim. Cokolwiek się stało, nie była to twoja wina.  
— Och, nie była, prawda?  
— Tak, tak. Musisz to zapamiętać.  
— Zapamiętam. Teraz, kiedy ci opowiedziałam, czuję się dużo lepiej. Może powinnam była powiedzieć tym ludziom, ale jak mogłabym to zrobić, nie wspominając o rzeczach, o których nie chciałam mówić?  
— Lepiej jest tak, jak jest. Jego już nie ma. To koniec. Jesteś wolna, Felicity, cudownie wolna. I o tym musisz myśleć.  
— Dziękuję ci, Annalice. Tak się cieszę, że tu zostałam.  
— Jesteśmy razem... i niedługo wrócimy do domu.  
— To będzie wspaniale. Dom. Żałuję, że w ogóle go opuściłam.  
— Jeszcze bardziej będziesz go kochać po powrocie. Pomyśl tylko, jutro stąd wyjdziemy i zostawimy to miejsce za sobą na zawsze.  
— To cudownie! Będę myśleć o domu. Spróbuję zapomnieć. Wyznanie bardzo mi pomogło. Po chwili zasnęła.  
Ja się nie położyłam. Siedziałam w krześle, drzemiąc. Widziałam, jak świta. Wspaniały świt dnia odjazdu.

\* \* \*

Następnego dnia jechałyśmy już w stronę Sydney i z każdą minutą czułam się bardziej podniesiona na duchu. Koszmar się skończył, pomyślałam. Teraz można żyć dalej.  
Dojechałyśmy wieczorem i z ulgą dowiedziałyśmy się, że w Crown mają wolny pokój. Obie zjadłyśmy dobrą kolację i dobrze przespałyśmy noc. Rano obudziłyśmy się wypoczęte.  
Moim pierwszym zadaniem było pójść do Stowarzyszenia Botaników. Zostawiłam Felicity w hotelu i wyruszyłam.  
Czekały na mnie dobre wieści. David Gutheridge wrócił z wyprawy i znajdował się w Sydney. Poinformowano go o mojej poprzedniej wizycie, a on prosił, by mi przekazano jego adres, jeżeli zjawię się raz jeszcze. To oznaczało wielki postęp w moich poszukiwaniach. Byłam uszczęśliwiona.  
Mieszkał w niewielkim hotelu w pobliżu Crown i natychmiast tam się udałam. Czekał mnie kolejny szczęśliwy przypadek. Zastałam go na miejscu. Powitał mnie ciepło i zaprowadził do niewielkiego pokoju, gdzie usiedliśmy, by porozmawiać.  
— Nie miałyśmy wieści od Filipa... od bardzo dawna — zaczęłam.  
— To dziwne. Ja też nic o nim nie słyszałam. Rozpytywałem w swoim czasie, ale nikt nie potrafił mi udzielić rzeczowej odpowiedzi.  
— Kogo pan pytał?  
— W hotelu znajdującym się na jednej z pobliskich wysp... największej ze wszystkich. Na Caribie.  
— Ach, tak... Ja też słyszałam, że tam się na jakiś czas zatrzymał.  
— Koniecznie chciał odnaleźć pewną wyspę, prawda? Pamiętam, że miał z sobą mapę, ale o dziwo, wyspy nie było na morzu tam, gdzie powinna się znajdować... przynajmniej według tej mapy. Nie było jej śladu także na żadnej innej mapie. Ale Filip był pewny, że ona istnieje i zamierzał do niej dotrzeć.  
— Kiedy ostatni raz pan o nim coś słyszał?  
— Na Caribie. Są tam plantacje trzciny cukrowej. Tak, tam właśnie słyszałem o nim po raz ostatni. Powiedziano mi, że wyjechał nagle.

— To znaczy nagle opuścił hotel?

— Tak... hotel. Tylko tyle potrafię pani powiedzieć. Zatrzymał się w tym hotelu na jakiś czas, bo był przekonany, że jego wyspa leży po tamtej stronie oceanu. Najwyraźniej ostatni raz tam go widziano i od tamtej pory nikt o nim więcej nie słyszał. — Zapadła cisza.

— Rozumiem.

Botanik popatrzył na mnie ze smutkiem.

— Obawiam się, że niewiele pani pomogłem, niestety, tylko tyle o nim wiem. Minęło już sporo czasu...

— Ponad dwa lata.

— Niewiele się pani ode mnie dowiedziała.

— Rzeczywiście, niewiele. Ale potwierdził pan to, że Filip istotnie był na Caribie. Pewien człowiek, którego spotkałam w podróży, też mi o tym mówił.

— Spędziłem nieco czasu na Caribie. Ta wyspa właściwie należy do jednego człowieka, który ma tam plantację trzciny cukrowej. Jest kimś w rodzaju wielkiego białego wodza.

— Pewnie ten sam, którego poznałam. Nazywa się Milton Hemming.

— Właśnie on. Cariba jest ostatnim miejscem, gdzie widziano Filipa.

— Nie domyśla się pan, dokąd stamtąd mógł się udać?

— Obawiam się, że nie. Mógł popłynąć łodzią. Sztormy w tej części świata są silne, a mała łódka... cóż, niewielkie ma szanse. Jeżeli dowiem się czegoś, panno Mallory, zawiadomię panią. Wybiera się pani na Caribę, prawda? Zatrzyma się pani w hotelu? Tam jest tylko jeden hotel. Jeżeli dowiem się czegoś... albo jeżeli coś mi się przypomni, napiszę do pani.

— To bardzo miło z pana strony.

Spojrzał na mnie z namysłem.

— Obawiam się, że czeka panią trudne zadanie.

— Jestem na to przygotowana. I jestem zdecydowana dowiedzieć się, co się stało z moim bratem.

— Życzę powodzenia — powiedział ciepło.

Uściskał mi rękę i dodał, że odprowadzi mnie do Crown, co też uczynił.

W następną środę Felicity i ja wypłynęłyśmy statkiem na Caribę.

## *Cariba*

W czwartek wczesnym rankiem dotarliśmy na Caribę.

Felicity i ja drzemiąc w kojach z płótna, spędziłyśmy noc na pokładzie. Czułam się spokojniejsza niż kiedykolwiek. Morze było gładkie, chwilami widziałam na wodzie dziwnie piękny fosforyzujący odblask. Nad nami świecił Krzyż Południa i miliardy towarzyszących mu gwiazd, co mi przypomniało, jak daleko jesteśmy od domu — ale teraz płynęłam na Caribę i miałam nadzieję, że dowiem się czegoś o Filipie oraz... zobaczę Milтона Hemminga.

Życie stało się pełne przygód, niekiedy przerażających, ale wierzyłam, że nic, co jest mi przeznaczone, nie okaże się gorsze od tych okropnych przeżyć, które zostawiałam za sobą.

Spojrzałam na Felicity. Miała zamknięte oczy, spała. Zaszła w niej dziwna przemiana, odkąd mi wyznała, co się naprawdę wydarzyło tamtej nocy. Jakby uznała, że ciężar jej winy nieco zelżał. Biedna Felicity! Przecierpiała więcej, niż zwykła śmiertelniczka potrafi znieść. Mogła być wdzięczna losowi, że tamto się już nie powtórzy.

A teraz przed nami... Cariba i Milton Hemming!

Słońce wstało gwałtownie, tak samo jak zaszło, a w świetle poranka woda straciła swój opalizujący blask.

I wtedy zobaczyłam wyspy. Cały archipelag wysp. Naliczyłam cztery... i jeszcze jedną nieco oddaloną od pozostałych. To wspaniała chwila, kiedy dostrzega się ląd. Wyobraziłam sobie ulgę, jaką odczuwali dawni odkrywcy, żeglując po nie zbadanych jeszcze morzach.

Kiedy podpłynęliśmy bliżej, obudziłam Felicity.

— Spójrz, jesteśmy prawie na miejscu.

Oparłyśmy się o reling. Odwróciłam się, by na nią spojrzeć. Uśmiechała się. Dotknęłam jej dłoni.

— Wyglądasz o wiele lepiej.

— Lepiej się czuję. Nic mi się nie śniło, kiedy tu spałam. To już... spokój.

— I niech tak pozostanie.

— Dziękuję ci. Nigdy nie zapomnę, ile dla mnie uczyniłaś.

Zamyśliłam się. Gdyby nie ja, nie doszłoby do tego wszystkiego. Gdybym się nie pojawiła w jej życiu, byłaby żoną Raymonda i prawdopodobnie nigdy nie opuściłaby Anglii.

Jakaż to różnica dla Felicity! Wyobraziłam ją sobie jako żonę Raymonda, dobrą żonę i matkę, która żyje spokojnie i nawet w najgorszych snach nie wyobraża sobie, że na świecie istnieją tacy ludzie, jak William Granville.

Pierwszy raz przyszło mi na myśl, że Raymond i Felicity świetnie do siebie pasują. Gdyby nie ja, wzięliby w końcu ślub. Raymond byłby doskonałym mężem... dla każdej kobiety.

To dziwne, że ja, która sama rozważałam możliwość zostania jego żoną i wymyślałam usprawiedliwienia na odkładanie tej decyzji, myślałam teraz o tym, że mógł zenić się z inną.

Ale dopływaliśmy już do Cariby. Zaczynała się nowa przygoda, a ja przyrzekłam sobie, że będzie cudownie. Osiągnę cel, który mnie tu przywiódł.

Wszystkie wyspy kipiały zielenią, w tej chwili skąpaną w strumieniach światła. Nie dzieli ich chyba więcej niż pół mili wodnego przesmyku, oprócz tej jednej, położonej na uboczu. Ciekawe, jak się nazywa i jacy ludzie na niej mieszkają.

Zbliżaliśmy się do największej z wysp — Cariby, celu mojej podróży. Na redzie stało kilka statków, mały port wrzał aktywnością. Zarzuciliśmy kotwicę. Jak się spodziewałam, woda była za płytka, by statek mógł wejść do portu. Na ląd miano nas przewieźć małymi łódkami.

Już płynęły w naszą stronę. Siedzieli w nich młodzi wiosłarze, którzy wołali w tutejszym angielskim, by rzucać monety, po które oni zanurkują. Rzuciłyśmy kilka pensów do wody tak czystej, że widać było piasek na dnie. Uśmiechałyśmy się na widok drobnych brązowych

figurek nurkujących i pływających jak ryby. Kiedy znajdowali monetę, zwracali ją nam triumfalnie i wołali: „Jeszcze! Jeszcze!”

Trwało to trochę, aż wreszcie zakomunikowano, że można schodzić na dół. Po sznurowej drabince ostrożnie spuściłyśmy się do czekającej łódki i wkrótce ruszyliśmy w stronę wyspy.

Słońce wspinało się żwawo na niebo, robiło się coraz cieplej. Białe domy lśniły w porannym blasku. Dostrzegłam duży budynek, który mógł być hotelem.

To nie żadna bezludna wyspa, jaką sobie pierwotnie wyobrażałam. W porcie piętrzyły się stosy skrzyń, które załadują na nasz statek odpływający w piątek do Sydney. Widziałam pudła pełne zielonych bananów i innych owoców, których nazw nawet nie znałam. Kręciło się mnóstwo ludzi wszelkich ras — czarnych, brązowych i trochę białych. Każdy wydawał się dokądś śpieszyć, a wszyscy robili mnóstwo zamieszania.

— Najpierw do hotelu — powiedziałam do Felicity.

Nasza łódka dobiła już prawie do brzegu. Jeden z dwóch czarnoskórych wioślarzy, wyskoczył na brzeg i uwiązał łajbę do pala. A potem przeniósł nas, żebyśmy nie zmoczyły obuwia.

I wtedy usłyszałam, że ktoś woła mnie po imieniu i zobaczyłam jego, Milтона Hemminga. Torował sobie drogę w tłumie i uśmiechał się do mnie. Białe zęby błyszczały w opalonej twarzy.

— Myślałam, że już nigdy pani nie przyjedzie — powiedział.

Czułam się dziwnie wzruszona, przysłała mi do głowy absurdałna myśl, że oto już kończą się wszystkie kłopoty. I byłam szaleńczo szczęśliwa.

Uścisnął mnie i Felicity.

— Biedne dziewczątka, musicie być zupełnie wykończone. To męcząca podróż, w dodatku cała noc bez snu.

— Zdrzemnęłyśmy się trochę, prawda, Felicity?

— Na pokładzie było tak spokojnie, a noc bardzo ładna.

— Miały panie szczęście. Czasami bywa wręcz odwrotnie. A teraz każę wysłać wasze bagaże prosto do domu.

— Do jakiego domu?

— Mojego, oczywiście. Będą panie moimi gośćmi.

— Nie, nie — zaprotestowałam. — Zamieszkamy w hotelu.

— Nie chcę o tym słyszeć

— Ale ja nalegam. Dziękuję, że jest pan tak gościnnie, musimy jednak zamieszkać w hotelu. Mam tu dużo spraw do załatwienia i chcę mieszkać w hotelu.

— Wychodziłem na każdy statek, który przypląwał z Sydney. Mam dla pani przygotowany pokój. Nie spodziewałem się, że pani również przyjedzie, pani Granville.

— To długa historia i opowiemy ją później — oznajmiłam. — Zatrzymamy się jednak w hotelu.

Spojrzał na mnie z ironicznym uśmiechem.

— Nie będę pań ciągnął siłą do mojego domu. Skoro tak, nie widzę innego wyjścia, jak odprowadzić panie do hotelu.

— Absolutnie nie ma innego wyjścia.

— Może uda mi się panią namówić choćby na odwiedzinę?

— Dziękuję. I proszę nie myśleć, że jestem niewdzięczna. Doceniam pana uprzejmość i pomoc, jaką nam pan nadal okazuje. Ale muszę zamieszkać w hotelu, przynajmniej na jakiś czas. Pani Granville przydarzyło się coś strasznego.

Był zaskoczony. A więc wiadomości nie dotarły jeszcze na Caribę.

— Miał miejsce tragiczny wypadek — powiedziałam krótko, prosząc go wzrokiem, by w obecności Felicity nie pytał o nic więcej.

— Przykro mi — wyraził ubolewanie.

— To miło, że pomoże nam pan dostać się do hotelu — wtrąciłam szybko. — Śmiem sądzić, że jedno pana słowo zapewni nam dobrą opiekę.

— Tędy. To wasz ręczny bagaż, prawda? Proszę to odnieść do hotelu! — wydał komuś polecenie.

— Tak, Master — odpowiedział męski głos.

— A teraz chodźmy. To tuż obok... nad samym morzem.

— Ten wielki biały budynek z balkonami? — nagle się zatrzymałam i spojrzałam na Felicity, która zbladła.

— Właśnie ten. Jest wygodny. Wewnątrz będzie chłodniej. Postaram się, by dostały panie dobre pokoje.

Wziął mnie pod jedno ramię, a Felicity pod drugie i ruszyliśmy. Przechodnie z szacunkiem ustępowali nam z drogi.

— Zdaje się, że jest pan na tej wyspie kimś w rodzaju króla — stwierdziłam.

— Istotnie, panuję tu nad wszystkim. — Spojrzał znów na mnie z ironicznym grymasem. — Cóż, prawie nad wszystkimi.

Weszliśmy na wygodne stopnie prowadzące do wejścia. Podbiegł czarny chłopiec, by otworzyć przed nami drzwi i znaleźliśmy się w holu.

Zza biurka podniosła się na nasz widok recepcjonistka.

— Dzień dobry — powitała nas.

— Przyprowadziłem gości, Roso — oznajmił pan Hemming. — Chcę, by panie otrzymały tu dobre pokoje z widokiem na morze. — Zwrócił się do nas: — Spodoba się paniom. W porcie zawsze coś się dzieje.

— W tej chwili mamy wolny tylko jeden pokój z balkonem, Master.

— A więc weźmiemy ten i następny tuż obok.

— W drugim nie ma balkonu.

— Odpowiada ci? — spytałam Felicity.

— Tak, tak — odpowiedziała szybko.

— Będzie pani zadowolona z balkonu w chłodne wieczory — zwrócił się do mnie. — Temperatura opada dopiero po zachodzie słońca.

— Cóż, Felicity może przychodzić do mnie, jeżeli będzie miała ochotę. Bierzemy oba te pokoje.

— A więc wszystko ustalone. Panie zjedzą dziś kolację u mnie. Zamierzam dać paniom cały dzień na wypoczynek. Przyda wam się po takiej podróży. Przyjadę o siódmej. Teraz chciałbym obejrzeć pokoje, by mieć pewność, że wszystko w porządku.

— Tak, Master — odpowiedziała Rosa i dała znak bagażowemu w liberii.

— Dzień dobry, Master.

— Dzień dobry, Jacko.

— Czy pan wszystkim zarządza na tej wyspie? — spytałam, gdy wchodziliśmy na piętro.

— Przy tak pomyślnej okazji — owszem.

— To wzbudza grozę.

— Właśnie to lubię — wzbudzać grozę. Czuję się dzięki temu bardziej szczęśliwy... Ale jeszcze szczęśliwszy jestem, widząc tu panią.

Zaprowadzono nas do pokoi. Były duże, miały szerokie łóżka, żaluzje chroniące przed słońcem. Na lśniących podłogach leżały maty. Łóżka chroniły moskitiery.

— Proszę nigdy nie zapominać o owadach — ostrzegł nas Milton. — W przeciwnym razie zostaną panie żywcem pożarte. Tutejsza flora oczaruje panie, ale fauna to zupełnie co innego. I lepiej spuszczać żaluzje w oknach podczas dziennych upałów.

Otworzył drzwi na balkon.

— Proszę! Oto wspaniały widok na port. Nieźle też wygląda wieczorem, kiedy zachodzi słońce. Wtedy można posiedzieć na balkonie. Spodoba się paniom.

Wysłałam na balkon i rozejrzałam się. Felicity się zawahała. Ujęłam ją za rękę i pociągnęłam za sobą.

Oparłam dłonie na żelaznej balustradzie. Była mocna. Felicity zbladła, wróciłyśmy więc do środka.

— Najlepiej będzie, jeśli panie coś najpierw przekąszą — oznajmił Milton. — Powiem, by przyniesiono posiłek do pokoi.

— O wszystkim pan myśli — powiedziałam.

— Dała mi pani mnóstwo czasu na myślenie. Co panią zatrzymało?

— Kiedyś panu o tym opowiem — odparłam znacząco. Zrozumiał.

— A zatem teraz panie pożegnam. Wrócę o siódmej wieczorem, by porwać panie do swojego domu. Jeśli będziecie czegokolwiek potrzebowały, proszę powiedzieć komuś z obsługi. Wydam polecenie, by się paniami opiekowano.

— To bardzo miło mieć tak wpływowego przyjaciela.

— Chcę, by była pani zadowolona z pobytu na mojej wyspie.

— Dziękuję. Jest pan bardzo miły.

Ujął moją dłoń i mocno uściśnął. Oczy mu lśniły. Bez wątplenia był zadowolony, że przyjechałam. Kiedy odszedł, spojrzałam na Felicity.

— Cóż, nareszcie tu jesteśmy — powiedziałam.

— Pan Hemming jest dla nas taki dobry.

— Przecież pomagał nam jeszcze na statku, pamiętasz? Pomógł twojej ciotce wrócić do kraju.

Kiwnęła głową.

— Zawsze go posądzałam, że chciał się jej pozbyć. Aby częściej widywać się z tobą. Ciocia Emily towarzyszyła nam jako opiekunka, czyż nie?

— Ale chciała wrócić do kraju.

— Czasem mi się wydaje, że on pomógł jej w to uwierzyć. Roześmiałam się.

— Potrafi być przekonujący.

— To dobrze, że mamy go po swojej stronie. Nie chciałabym mu się narazić.

Kiedy obmyślałam odpowiedź, weszła wysoka Murzynka, niosąc tacę. Były na niej chrupiące bułeczki i owoce — mango, banany, ananasy. Nie zapomniano o mleku kokosowym. Wszystko wyglądało apetycznie i tego właśnie było nam trzeba. Kiedy się posiliłyśmy, spytałam Felicity, czy chciałyby rozpakować swoje rzeczy, które właśnie przysłano ze statku.

— Rozpakować i trochę się przespać — dodałam.

Zgodziła się. Posłałam więc z nią do jej pokoju. Byłam zadowolona, że nie ma tu balkonu, który by jej przypominał o przeszłości.

— Jestem naprawdę zmęczona — oznajmiła.

— Najpierw pośpij — poradziłam — a potem się rozpakujesz.

— A ty będziesz w pokoju obok?

— Oczywiście, że tak.

— Nigdzie nie pójdziesz i nie zostawisz mnie samej?

— Obiecuję. Jeżeli zechcesz mnie zobaczyć, zapukaj tylko do sąsiednich drzwi.

Ucałowałam ją i wróciłam do siebie. Wysłałam na balkon.

Przedemną roztaczała się fascynująca, barwna scena. Słuchając zgiewku, przyglądałam się kolorowo ubranym kobietom w powłóczystych sukniach. Wiele z nich nosiło na szyi kwiaty, większość miała długie czarne włosy. Były piękne i poruszały się z gracją. Mężczyźni natomiast odziani byli kuso i nie tak atrakcyjni, wielu z nich miało tylko przepaski na biodrach. Byli zajęci ładowaniem skrzyń i pokrzykiwaniem na siebie. Wszędzie panował szalony ruch. Widziałam nasz statek. Postoi na redzie jeszcze kilka dni, aż wszystkie towary zostaną załadowane, a potem odpłynie, by zdążyć na śródowny rejs z Sydney.



Wróciłam do pokoju i zaczęłam się rozpakowywać. Poczułam się jednak zmęczona. Położyłam się na łóżku i bardzo szybko zasnęłam.

\* \* \*

Obudziłam się około piątej po południu i przypomniałam sobie, że Milton Hemming ma przyjechać po nas o siódmej.

Wstałam i zapukałam do drzwi Felicity. Wciąż spała, ale jej rysy były wygładzone, spokojne. Nagle poczułam się szczęśliwa. Teraz o wszystkim zapomni, powiedziałam sobie. Ta wyspa to najlepsze lekarstwo, by zapomnieć o kłopotach.

Usiadłam przy jej łóżku i powiedziałam cicho:

— To ja, Annalice. Czy wiesz, która godzina?

Otworzyła oczy i zobaczyłam, że na jej twarzy pojawia się wyraz strachu. Przez krótką chwilę musiało jej się wydawać, że znowu jest w sypialni, którą dzieliła z mężem.

— Już dobrze — dodałam szybko. — Jesteśmy na Caribie. Długo spałaś. Ja zresztą też. Potrzebowałyśmy snu.

Usiadła.

— Która godzina?

— Około piątej.

— Pan Hemming ma przyjść po nas o siódmej.

— Tak, musimy się przygotować. Czy odwiesiłaś do szafy suknię?

— Tak, niebieską. Nigdy jej nie wkładałam w...

— Nie byłaby tam odpowiednia.

— Zostawiłam większość rzeczy, jakie nosiłam. Nie chcę ich już nigdy oglądać.

— Gdzie jest ta niebieska sukienka? O, widzę! Będzie doskonała.

— On na mnie nawet nie spojrzy. Cały czas będzie patrzył na ciebie.

— Myślę, że on dostrzega wszystko.

— Zdaje się, że jest tu jakąś bardzo ważną osobą.

— To jego wyspa. Jest właścicielem plantacji, a to pewnie przynosi wysokie dochody.

Wszyscy zależą więc tu od niego.

— A którą sukienkę ty zamierzasz włożyć?

— Czerwoną.

— Jest bardzo jaskrawa. Tutaj wszyscy noszą kolorowe suknie.

— Harmonizują z kwiatami i krajobrazem.

— Jak długo tu pozostaniemy, Annalice?

— Już tęsknisz za domem?

— Nie wydaje mi się, bym gdziekolwiek poczuła się naprawdę bezpiecznie, dopóki nie wrócę do kraju.

— Wiesz, dlaczego tu przyplłynęłam. Muszę dowiedzieć się, co stało się z moim bratem. Gdy już to będę wiedziała, mogę jechać z powrotem. Ale jeżeli chcesz wypłynąć wcześniej...

— Nie. Nie mogłabym wrócić do Sydney i wsiąść tam sama na statek...

— Widziałaś już pana Hemminga w akcji. Śmiem sądzić, że potrafiłby wszystko zorganizować w taki sposób, byś nie miała najmniejszych kłopotów.

— Nie, nie, chcę zostać z tobą... Myślę, że mi się tu spodoba. Wydaje mi się, że potrzebuję trochę czasu na oderwanie się od tamtego, muszę najpierw trochę dojść do siebie, zanim wrócę do domu...

— Czeka cię przecież bardzo długa podróż.

— Wolałabym, żebyś ty była wciąż ze mną. Zostanę tu. Mam nadzieję, że szybko się czegoś dowiesz o swoim bracie.

— Ja też mam tę nadzieję. A teraz muszę już iść i przebrać się. Ty zresztą też. Najpierw poprosimy, by przyniesiono nam gorącą wodę na kąpiel. Zobaczą, co da się w tym względzie zrobić.

\* \* \*

Przyszedł po nas o siódmej i pojechaliśmy do jego domu powozem podobnym do tych, które widywałam często w Sydney, tyle że dużo wspanialszym. Ciągnęła go para przepięknych koni.

— Rzadko korzystam z tego pojazdu — powiedział. — Łatwiej mi poruszać się konno. Zapewne panie będą chciały mieć własne wierzchowce. Każę przyprowadzić dwa do hotelu.

— Rozpieszcza nas pan — odparłam.

— Jestem zaszczycony odwiedzinami pań na mojej wyspie.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Wiedziałam już, że podobnie jest przez większość roku. Tutaj nie ma, jak w kraju, ani zimy, ani lata, tylko pora sucha i deszczowa. Byłam zadowolona, że nie trafiłyśmy na tę drugą.

Dotarliśmy do szeroko otwartej, kutej bramy i wjechaliśmy na drogę z obu stron zarośniętą trzciną cukrową. Znaleźliśmy się na plantacji. Po chwili dostrzegłam dom. Był duży, biały i imponujący, w tej chwili padały na niego czerwone promienie zachodzącego słońca. Stał po środku plantacji.

— Podoba się pani? — spytał.

— Wspaniały...

— Czego się pani spodziewała?

— Czegoś wielkiego... ale nie takiego. Nigdy nie widziałam niczego podobnego.

— Bo nigdy pani nie była na plantacji trzciny cukrowej. Cieszę się, że młyn i spichrze nie znajdują się w zasięgu wzroku. Są mniej urodziwe.

Zatrzymaliśmy się na wysypanym żwirze podjeździe.

— Dotarliśmy na miejsce. — Wskoczył z pojazdu. W jakiś magiczny sposób wyrósł przy nas służący, by zaopiekować się końmi. Milton Hemming wprowadził nas do domu.

Znaleźliśmy się w przestronnym holu. Przypominał stylem angielskie dwory i mój własny dom. W oknach wisiały jasne, jedwabne zasłony. Ciężki aksamit nie byłby odpowiedni w tym gorącym klimacie. Pośrodku znajdował się stół otoczony krzesłami. Wyglądał na osiemnastowieczny.

— Mam nadzieję, że spodoba się paniom tutaj. Czy chciałybyście czegoś się napić, zanim podadzą kolację?

— Zupełnie jak w domu — zawołała uszczęśliwiona Felicity.

Uśmiechnął się, zadowolony.

Napój przyniosła cicho stąpająca dziewczyna w długiej, luźnej sukni w białe i czerwone róże na niebieskim tle. Szyję i ramiona zdobiły jej sznury czerwonych paciorków.

— To napój chłodzący według receptury tubylców — wyjaśnił Milton. — Nie jest odurzający, proszę się nie obawiać. Pija się go w porze suchej.

Okazał się wyśmienity.

Wypytał nas o podróż i powiedział, że słyszał już o tragedii, bo gazety przypląnęły wraz z naszym statkiem.

— To musiał być potworny wstrząs. Bandyty stają się w interiorze coraz bardziej napastliwi. Tutaj nie muszą się panie niczego obawiać. Na naszej wyspie przestrzegamy prawa. Kary za przestępstwa są tak surowe, że nikt nie ośmiela się ryzykować.

— Łatwiej przyszyłoby schwytać złoczyńców tutaj na wyspie niż na kontynencie Australii — stwierdziłam.

— To prawda. Dlatego panie mogą spać spokojnie. Opowiadał nam o wyspie i o tym, jak się uprawia trzcinę i sprzedaje cukier.

Potem zaprowadził nas do jadalni, przypominającej wystrojem naszą. Na jednej ze ścian wisiał wielki gobelin. Drugie drzwi prowadziły na taras i szeroki trawnik przed domem.

— Po kolacji możemy posiedzieć na tarasie — oznajmił. — Gdy słońce zajdzie, jest tam naprawdę przyjemnie. Dam paniom wachlarze do odpędzania owadów.

Kolacja bardzo mi smakowała. Podano dużo ryb, jakich nigdy jeszcze nie jadłam. Po raz pierwszy spróbowałam też pieczonych owoców drzewa chlebowego.

— To znany przysmak — wyjaśnił Milton. — Gdy panie się w nim rozsmakują, bardzo go polubią.

Podano wiele rozmaitych owoców i specjalny wyspiarski napój. Z pewnością był to najwspanialszy posiłek, jaki jadłam od czasu wyjazdu z domu.

Po kolacji wyszliśmy na taras, gdzie przyniesiono nam wachlarze. Wykonane z kości słoniowej i ręcznie zdobione. Ja dostałam niebiesko-zielony, Felicity biało-czerwony. Były tak piękne, że aż wzniosłyśmy okrzyki zachwytu.

— Przypomną paniom o mnie, kiedy upał stanie się nieznośny.

Wokół trawnika rosły krzewy i mnóstwo kwiatów: czerwone hibiskusy, różowy jaśmin, gladiole. Czułam się odurzona zapachami oraz napojem, który najwyraźniej był mocniejszy, niż przypuszczałam.

Byłam szczęśliwa, że uciekłam od koszmaru domu Williama Granville'a, że zaczynam swoje poszukiwania, a wszystko jest takie dziwne i piękne. Dobrze też mi było w towarzystwie tego człowieka.

\* \* \*

Tej nocy przed snem wspominałam wydarzenia wieczoru. Wciąż czułam zapach kwiatów i słyszałam brzęczenie owadów krążących wokół lamp.

— To żuki — powiedział Milton. — Przylatują do światła. Są całkiem niegroźne, należy się do nich przyzwyczaić. Jest tu wiele dziwnych stworzeń, które trzeba poznać.

I siedzieliśmy w ten pachnący, cudowny wieczór, a ja nie czułam nic oprócz głębokiego zadowolenia. O dziesiątej odwiózł nas z powrotem do hotelu. Powiedział, że musimy dobrze się wyspać.

Odparłam, że przespałyśmy prawie całe popołudnie.

— Trzeba paniom także dobrze przespanej nocy — powtórzył stanowczo.

Odwiózł nas z powrotem drogą wśród trzcin aż do portu. Słyszałam, jak stukają kopyta koni, kiedy zjeżdżaliśmy z niewielkiego wzniesienia, widziałam łodzie kołyszące się na fali i statek, który nazajutrz miał wyruszyć do Sydney.

A potem się położyłam, starając się odegnąć sen, bo chciałam wciąż wspominać i wspominać.

Obudziłam się naprawdę wypoczęta. Odgarnęłam moskitierę, wyskoczyłam z łóżka i rozsunałam zasłony. Port już tętnił życiem. Ze wzgórz zjeżdżały niewielkie wozy zaprzężone w muły, wiozły towary na targ. Handlarze ustawiali stragany. Przy brzegu kołysało się kilka łodzi.

Przyniesiono mi gorącą wodę do kąpieli, umyłam się i ubrałam, po czym zapukałam do drzwi Felicity. Nie odpowiedziała, weszłam więc do środka.

Leżała na wznak, wpatrując się w sufit. Kiedy podeszłam bliżej, zobaczyłam łzy na jej policzkach.

— Felicity! — zawołałam zaniepokojona. — Co się stało?

— On przyszedł... przyszedł tu w nocy... Wrócił... Był tutaj... całkiem jak w tamtym okropnym domu.

— To ci się śniło, to tylko sen. Jesteśmy na wyspie, na Caribie. Wczoraj byłaś nią zachwycona. Za oknami jest port. Wszystko jest tu takie piękne.

Zadrżała.

— Nigdy przed nim nie ucieknę — jęknęła.

— Posłuchaj, Felicity, on nie żyje. Już cię nie tknie. Wszystko się skończyło. Zaczynamy od nowa.

Pokręciła głową, szczękały jej zęby, a w jej oczach czaiła się pustka. Zrozumiałam, że mnie nie słucha.

Byłam wstrząśnięta i nie wiedziałam, co robić. Pomyślałam, że miała koszmarne sny, które rozpierchną się w świetle dnia. Ale to było coś więcej. Leżała wciąż bez ruchu, a kiedy do niej mówiłam, najwyraźniej moje słowa nie docierały do jej świadomości.

Zmartwiłam się. Zrozumiałam, że zbyt wszystko uprościłam, myśląc, że wystarczy tylko zabrać ją z miejsca tragedii, by o niej zapomniała. Felicity przeszła przez tyle koszmarnych upokorzeń, zakończonych śmiercią jej męża. Nie powinnam spodziewać się, że zaraz dojdzie do siebie, gdy tylko znajdzie się z dala od tamtego straszego domu.

Natychmiast pomyślałam o Miltonie. Potrzebowałam pomocy, a tylko on mógł jej udzielić.

Zesłam na dół, by porozmawiać z kobietą za biurkiem.

— Moja przyjaciółka jest chora. Bardzo się o nią niepokoję. Czy można przekazać wiadomość dla pana Hemminga?

— Ależ oczywiście. Zaraz tam kogoś wyślę.

— Bardzo dziękuję.

Wezwała posłańca, a on niezwłocznie wyruszył na plantację.

— A więc ta biedna pani jest chora — powiedziała do mnie. — Nie wygląda na silną.

— Tak — zgodziłam się. — Ostatnio sporo przeszła.

— Lekarz jej pomoże.

Ciemne oczy obserwowały mnie z ciekawością. Uznałam, że obiektem tej ciekawości czyni mnie głównie zainteresowanie Milтона Hemminga moją osobą. Jeżeli już tutejsi mieszkańcy wiedzą o gwałtownej śmierci Williama Granville'a, wkrótce się domyśla, że Felicity jest wdową po nim. A więc nie powinni się dziwić, że jej zdrowie szwankuje.

Wróciłam do Felicity. Wciąż leżała wpatrzona w pustkę. Usiadłam przy jej łóżku i wzięłam ją za rękę.

— Wszystko będzie dobrze, Felicity. Zajmę się tobą.

Nie odezwała się, ale uścisk jej palców powiedział mi, że trochę się uspokoiła.

Niedługo potem przyjechał Milton.

Przyszedł od razu do mojego pokoju. Usłyszałam jego kroki i wyszłam mu na spotkanie.

— Chodzi o Felicity — powiedziałam. — Zachowuje się dość dziwnie. Zdaje się, że jest nieprzytomna... Miała złą noc... sny, koszmary... Ale to coś więcej niż nocne przywidzenia.

— Czy mogę ją zobaczyć? — spytał.

Gdy wszedł do pokoju, podniosła na niego przerażony wzrok.

— Wszystko w porządku, Felicity. To pan Hemming. Przyszedł, aby ci pomóc.

Zacisnęła zęby.

— On nie umarł... — szepnęła. — Jest tutaj...

Popatrzyłam na Milтона.

— Wyślę po doktora Nortona — oznajmił. — Znam go dobrze. Wyjaśnię mu wszystko.

— Och, dziękuję panu.

Wyszedł z pokoju. Felicity leżała bez ruchu, jakby nieświadoma tego, co dzieje się wokół.

Usłyszałam, że wraca i wyszłam na korytarz.

— To opóźniony szok — stwierdził. — Przeżyła koszmara. Dopiero teraz widać, jakie wyrządził szkody.

— Wydawało mi się, że już jest z nią lepiej.

— Opuściła interior, przyjechała tutaj... wysiłek podtrzymywał jej siły. Teraz, kiedy znalazła spokój, w ten sposób reaguje na skumulowane napięcie. Sądzę, że trzeba jej odpoczynku i troskliwej opieki. Norton to dobry lekarz. Jest u nas od paru lat. Przyjechał zdobyć trochę doświadczeń... i został. Zrobi dla niej wszystko, co tylko w jego mocy.

— Bardzo się o nią martwię. Położył mi rękę na ramieniu.

— Jestem tu. Może pani na mnie polegać i mi ufać, zaopiekuję się... wami obiema.

Odwrociłam się. Byłam zbyt poruszona, by mówić. I ogromnie się martwiłam o Felicity.

Przyjechał doktor, zbadał ją i dał jej lekarstwo na sen. Milton i ja wraz z doktorem zeszliśmy na dół i usiedliśmy na tarasie przy hotelu, by porozmawiać.

— Nerwy tej pani są w bardzo kiepskim stanie — stwierdził doktor Norton. — Musimy być ostrożni. Przeżyła straszny wstrząs.

— Tak. Jej mąż zginął gwałtownie, a ona była przy tym, gdy to się stało.

— Sprawa Granville'a — wyjaśnił Milton.

— Och, rozumiem. To wiele tłumaczy. Biedactwo, ma stargane nerwy. Jest w szoku po tym wstrząsie.

— To nie było szczęśliwe małżeństwo — odparłam. — Pani Granville żyła w Anglii spokojnie i nie miała pojęcia, co ją tu może czekać.

— Rozumiem. Przywrócimy ją do zdrowia, ale to trochę potrwa. Przez jakiś czas należy jej podawać środki uspokajające. A ponadto trzeba będzie dopilnować, by nic jej nie denerwowało. Pani pokój znajduje się obok. To dobrze. Myślę, że ona bardzo na panią liczy.

— Przyjdę natychmiast, jeżeli będzie mnie potrzebowała.

— Zalecam ciszę i spokój... niebawem powinna wyzdrowieć.

— Dziękuję panu.

— Dałem jej lekarstwo, będzie spała. Przyślę do hotelu jeszcze trochę pigułek i przyjdę jutro zobaczyć, jak się czuje. Myślę, że najbardziej potrzebuje odpoczynku. To przywróci jej spokój ducha. Powinna pani pilnować pigułek, które przyślę. Jedna na noc przed snem. Dwie mogą okazać się szkodliwe, większa ilość przyniosłaby fatalny skutek. Dlatego powierzam to lekarstwo pani. Proszę się upewnić, że chora nie będzie miała do pigułek dostępu. Wydaje się, że w tej chwili nic jej nie interesuje. Proszę dać jej jedną tabletkę wieczorem, to powinno zapewnić spokojny sen.

Kiedy doktor odszedł, wróciłam do Felicity. Leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczami, więc zostawiłam ją i zeszłam na dół, gdzie czekał na mnie Milton.

— I jak? — spytał.

— Jest spokojna. Ale okropnie się o nią martwię. Wydawała się taka przerażona.

— Teraz dopiero kompletnie się załamała. Ale proszę się nie martwić. Norton zna się na rzeczy. Mamy szczęście, że ściągnęliśmy go na tę wyspę. Wciąż mówi o powrocie, a my przekonujemy go, by został. Wspaniale się spisuje. Nawet tubylcy widzą w nim wielkiego czarownika.

— Dziękuję, że pan przyjechał.

— Zawsze jestem do pani usług, moja droga Annalice.

Uśmiechnęłam się do niego. Wydawał się jakiś inny, delikatny, prawie łagodny. Moje uczucia do niego stały się cieplejsze — może w tej chwili brakowało tego gwałtownego podniecenia, jakie niekiedy czułam w jego obecności, ale tym razem było to coś głębszego.

— Niechże pani na chwilę usiądzie — poprosił. — Nie może pani dopuścić, by choroba przyjaciółki również panią wpędziła w niepokój. Musi pani być teraz silna, stać się jej opiekunką, pielęgniarką. Byłoby wspaniale, gdybyście przeniosły się do mojego domu.

— Muszę zostać tutaj.

— Tam byłoby pani dużo lżej i wygodniej... Felicity również.

— Nie. Muszę zostać tutaj.

— Mówi to pani takim tonem, iż wiem, że decyzja jest nieodwołalna. Pani jest nieznośna.

— I ja tak sędę. Przykro mi, że okazuję taką niewdzięczność.

— Pozwólmy sobie na szczerłość. Wiem, dlaczego nie chce pani u mnie zamieszkać. Po pierwsze, chce pani kontynuować swoje poszukiwania brata, a po drugie, to nie wypada, jak mawiają pani krajanie. Ale tutaj nie obowiązują te sztywne zasady, jak w Wesołej Anglii. Sądzi pani, że nie można mi ufać. Jeśli już mamy być szczerzy, powiem pani w sekrecie, że rzeczywiście nie wolno mi ufać.

Roześmiałam się po raz pierwszy od chwili, gdy weszłam do pokoju Felicity i zastałam ją zagubioną i przerażoną.

— Proszę więc siedzieć i popatrzeć na port... Ten ruch niebawem panią uśpi.

— Tak — zgodziłam się potulnie. — Rzeczywiście przynosi taki efekt, przekonałam się już o tym. Przepraszam, że pana wezwałam. Mogłam od razu posłać po lekarza. Zapewne oderwałam pana od innych zajęć.

— Być wezwanym przez panią to dla mnie rozkosz. Udałam, że tego nie słyszę. Uznałam, że to nie jest odpowiedni czas na flirt.

Natychmiast spoważniał.

— Proszę pamiętać, że zawsze, kiedy znajdzie się pani w kłopotcie, pośpieszę z pomocą.

— Jestem panu wdzięczna.

— Któregoś dnia zechcę czegoś więcej niż tylko pani wdzięczności.

— Proszę... nie teraz...

— Stwierdzam tylko fakt. Widzę, jak bardzo się pani martwi. Cokolwiek się stanie, zaopiekuję się panią.

— Dziękuję.

— Nic dziwnego, że pani Granville jest w szoku. Była przy tym, kiedy jej mąż spadł i zabił się.

Skinęłam głową i wybuchnęłam:

— To nie tylko to. To był sam finał. Zaczęło się dużo wcześniej...

Popatrzył na mnie zdziwiony.

I wtedy wyrzuciłam z siebie wszystko... o przyjeździe do tamtego domu, obecności pani Maken, o tych strasznych nocach, które Felicity przeżywała w pokoju z balkonem, udziale pani Maken, o strachu i przerażeniu Felicity, o jej zdławionych uczuciach dotyczących spraw, o których nie chciała mówić nawet ze mną.

— Granville miał złą reputację. Alkohol i kobiety. Ale tutaj nie zwraca się szczególnej uwagi na skandale i plotki.

— W tym przypadku plotki się sprawdziły. Opowiedziałam mu o pistoletach i o tym, jak pewnej nocy przyszedł do mojego pokoju, a ja zagroziłam, że go zabiję.

— Dobry Boże! — wykrzyknął.

— I zrobiłabym to — powiedziała. — Nigdy nie przypuszczałam, że mogłabym kogoś zabić, ale wierzę, że Granville'a bym zabiła. Powiedziałam, że przestrelę mu nogi... okaleczę go... i to go wypłoszyło. Wiedział, że naprawdę jestem do tego zdolna i nieźle strzelam.

— Gdybym wiedział...

— Co wówczas by pan zrobił?

— Nigdy bym nie dopuścił, by pani tam pojechała.

— Jak mogłam zostawić Felicity samą? Jest słaba i delikatna. Nie potrafi dbać o siebie i...

— Ale tamtej nocy na balkonie...

— Stwierdzili, że chciał przepłoszyć bandytów, strzelając do nich...

— Ale nie było żadnych bandytów, prawda?

— Nie wiem. Myślę, że ona nie mogła dłużej tego znieść. Zaczęli się szamotać, pistolet wypalił, a on spadł.

— Nic dziwnego, że teraz nerwy jej puściły. Cieszę się, że ją pani tu przywiozła. Wspólnie się nią zaopiekujemy.

Wargi trochę mi drżały.

— Cieszę się, że jesteśmy tu... z panem. Nie wiem jak mam panu dziękować.

— Już to pani zrobiła. W sposób dla mnie cenniejszy od jakiegokolwiek innego.

Siedzieliśmy parę chwil w milczeniu, patrząc na port. Właściwie nie widziałam portu. Byłam znowu w tamtym domu. Przeżywałam wszystko raz jeszcze. Nigdy nie zapomnę tamtych wydarzeń. O ile silniej musiało to wpłynąć na Felicity!

Przyszedł asystent doktora z pigułkami. Zniosłam je do swojego pokoju i schowałam głęboko w jednej z szuflad, obok mapy. Potem poszłam do Felicity. Posiedziałam parę chwil przy niej. Spała spokojnie.

\* \* \*

Kiedy zesłam na dół, Milton wciąż tam był.

— Śpi — oznajmiłam.

Skinął głową.

— Tego właśnie jej trzeba. Możemy zjeść razem obiad, a potem pani również powinna odpocząć. Tutaj obowiązuje sjesta. Po południu jest zbyt gorąco, by dało się robić cokolwiek. Od drugiej do czwartej panuje zupełna cisza. Wieczorem przyjadę zobaczyć, jak się panie czują.

— Jeszcze raz panu dziękuję.

Nie byłam w stanie przełknąć więcej niż kilka owoców. Choroba Felicity mocno mną wstrząsnęła. Milton zdawał się rozumieć moje samopoczucie. Starał się rozerwać mnie opowiadaniem historyjek o wyspie, plantacji, obyczajach i nawykach mieszkańców. Czasami sprawiał, że się uśmiechałam. Przez cały czas przepelniała mnie wdzięczność do niego. Wciąż zadawałam sobie pytanie, co bym zrobiła, gdyby Milтона tu zabrakło.

Kiedy odszedł, wróciłam do swojego pokoju, zajrzawszy uprzednio do Felicity. Leżała na wznak, z zamkniętymi oczami. Twarz miała spokojną.

Nie mogłam zasnąć. Wciąż rozważałam wszelkie możliwości. Co zrobię, jeżeli jej choroba okaże się groźna? Jeżeli straci rozum? Co wtedy? Jestem za nią odpowiedzialna. Ale Milton Hemming jest tutaj, pomyślałam spokojniej. Pomoże nam.

I, rozmyślając o nim, zapadłam w sen.

Felicity przespała cały dzień. Kiedy słońce zaszło, poszłam do niej i usiadłam przy łóżku. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie.

— Jestem zmęczona... taka zmęczona — powiedziała.

— Potrzebujesz odpoczynku. Śpij, ile tylko możesz. Uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

Zesłam na dół. Milton już tam był. Spytał o Felicity, a ja mu powiedziałam, że spała przez cały czas.

— Tego właśnie jej trzeba — odparł.

Kolację zjedliśmy razem w hotelu. Ja byłam dość milcząca, za to on mówił beztrąsko i jakoś przetrzymałam ten wieczór. Kiedy się żegnał, ujął moje dłonie i delikatnie pocałował mnie w policzek.

— Proszę nie zapominać — jeżeli czegoś się pani przestraszy, wystarczy po mnie posłać.

Wróciłam do swojego pokoju i z balkonu patrzyłam, jak odjeżdża. Odwrócił się i pomachał do mnie ręką, przyłożył palce do ust i posłał mi pocałunek.

Uśmiechnęłam się i odwzajemniłam gest. Odjechał.

Poszłam do pokoju Felicity.

— Czy już noc? — spytała.

— Tak.

— Boję się nocy.

— Teraz nie masz czego. Jesteśmy na Caribie.

— Mam koszmarne sny...

— Pamiętaj, że jestem w pokoju obok. Ściany są cienkie. Wystarczy, że zapukasz... a ja przyjdę do ciebie.

— Och, tak... dobrze. Jesteś dla mnie taka dobra, Annalice.

— Nonsens. Opiekuję się tobą i zdaje się, że całkiem nieźle mi to idzie.

Poprawiłam jej poduszkę i upięłam moskitierę wokół łóżka.

— Czuję się zamknięta — szepnęła. — Całkiem jak...

— Jesteś o setki mil stamtąd. To wszystko już za tobą. Tu jest zupełnie inaczej. I pamiętaj, że jestem za ścianą.

Ucałowałam ją i siedziałam przy niej tak długo, aż usnęła. Potem wróciłam do siebie. Byłam naprawdę bardzo zmęczona.

Musiało być już koło drugiej w nocy, gdy obudziło mnie pukanie w ścianę. Pośpiesznie zerwałam się, narzuciłam nocny strój i poszłam do pokoju Felicity.

Siedziała na łóżku, rozglądając się z przerażeniem.

— Nie, nie — jęczała.

— Wszystko w porządku — zawołałam. — Usłyszałam twoje pukanie i jestem tutaj. Czy coś ci się przysniło?

— On przyszedł... — wykrztusiła. — Whisky... poczułam jej zapach. Nienawidzę whisky, bo... bo...

— Posłuchaj mnie! Już po wszystkim. Wkrótce dojdiesz do siebie. A tu jest naprawdę inaczej niż tam. Milton chętnie nam pomoże. Wystarczy tylko, byś wyzdrowiała. Dam ci pigułkę — ciągnęłam. — Lekarz powiedział, że jedną możesz zażyć... ale tylko jedną każdego wieczoru. Może powinnam była dać ci ją, zanim się położyłam, ale spałaś tak spokojnie. W każdym razie teraz ją weź. Zaśniesz po niej i będziesz miała przyjemne sny.

Wróciłam do swojego pokoju i przyniosłam lekarstwo. Połknęła je posłusznie.

— Jestem... na Caribie, prawda? Ty jesteś ze mną, a on nie żyje... Nie żyje. Leżał tam, a dookoła niego tyle krwi...

— On nie żyje — powiedziałam. — Został pochowany. I to wszystko. Nigdy już cię nie skrzywdzi. Jego nie ma, a my jesteśmy tutaj, to najważniejsze.

— Tak.

— A teraz się połóż, zamknij oczy. Zostanę przy tobie, dopóki nie zaśniesz.

— Obiecujesz?

— Obiecuję. A jeżeli przyjdzie zły sen, wystarczy, że sobie powiesz: „To tylko sen”. Kiedy będziesz mnie potrzebowała, zapukaj w ścianę.

— Tak... tak... dobrze. Wszystko dobrze, prawda? Wszystko w porządku?

— Wszystko w porządku — powtórzyłam.

Leżała bez ruchu, szepcząc: „Wszystko w porządku...” Pigułka wkrótce podziałała i niebawem Felicity oddychała spokojnie. A potem usłyszałam, że mówi przez sen:

— Raymond... dlaczego... gdyby tylko... Och, Raymondzie! Siedziałam wpatrując się w nią.

Gdybym nie pojechała na tę konferencję, myślałam, gdybym nie spotkała tam Raymonda... to wszystko by się nie wydarzyło.

Wróciłam do siebie, ale nie mogłam zasnąć. Myślałam, jak okropnie splątało się nasze życie. Ona kocha Raymonda. W tej chwili najbardziej potrzebuje jego obecności. Gdyby przyjechał i powiedział, że ją kocha...

Gorąco pragnęłam, by do tego doszło, gdyż stawało się dla mnie coraz bardziej oczywiste, że jeżeli pożegniam się i opuszczę Caribę — a miałam na myśli głównie Milтона Hemminga — nigdy już nie będę w pełni szczęśliwa.



\* \* \*

Następnego ranka Felicity była wyczerpana, ale przynajmniej spokojna.

Zeszłam na dół i na tarasie hotelu zjadłam śniadanie. Podano *yamy* ze świeżym chlebem i mlekiem kokosowym. Podczas śniadania podeszła do mnie recepcjonistka i zapytała o zdrowie Felicity.

— Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę mnie powiadomić. Mam na imię Rosa. Znam tu wszystkich.

— Tak też myślałam. Widzi pani każdego, kto wchodzi do hotelu.

— Biedna pani Granville. Tak ciężko choruje.

— Miejmy nadzieję, że szybko wyzdrowieje.

— Pan Hemming naprawdę się o nią martwi... i o panią.

— Jest dla nas bardzo miły i pomocny.

— To wielki człowiek. Dobrobyt mieszkańców wyspy zależy od niego. Nie zapominamy o tym... on zresztą również o nas pamięta.

Czyżby ślad krytyki? — pomyślałam. Skinęłam głową.

— Plantacja przynosi wypiarzom spore korzyści. Całe to bogactwo... — Rosa uniosła ramię i zatoczyła krąg.

— Tak, to prawda.

— Tylu ludzi potrzebuje cukru... Nasza plantacja jest większa od plantacji państwa Manuelów na drugiej wyspie.

— To ta najbliższa, prawda? Druga co do wielkości?

Skinęła głową.

— Pan Manuel niedawno zmarł. Pan Hemming przebywał wtedy w Anglii. Teraz rządzi tamtą plantacją pani Magda... To mądra kobieta.

— Ciekawe. Chciałabym zwiedzić pozostałe wyspy podczas mojego pobytu.

— Może pan Hemming zabierze panią na drugą wyspę, a może nie.

Najwyraźniej sytuacja ta wydała się jej w jakiś sposób zabawna.

— Proszę mi wybaczyć... Mam pracę — stwierdziła nagle. Siedziałam rozmyślając o drugiej wyspie. Zastanawiałam się, co takiego wiąże się z Magdą Manuel. Najwyraźniej to bawiło Rosę.

Po śniadaniu znów zajrzałam do Felicity. Otworzyła oczy, kiedy weszłam, spytałam ją, czy chciałaby coś zjeść. Ku mojej radości powiedziała, że tak, więc zeszłam na dół i poprosiłam, by przyniesiono jej mleko, owoce i chleb.

Felicity wyglądała już dużo lepiej. Nie wspomniała o mojej nocnej wizycie, najwyraźniej jej nie pamiętała.

Siedziałam przy niej dopóki ponownie nie zasnęła, a potem wyszłam przed hotel i stałam tam chwilę, patrząc na port. Kilka osób siedziało przy stolikach na tarasie od frontu. Rozłożono nad nimi parasole chroniące przed słońcem, co przypominało kawiarnie na kontynencie. Goście sączyli jakieś napoje.

Usiadłam przy jednym ze stolików. Podeszedł kelner i spytał, czego sobie życzę. Zamówiłam ten sam napój, który wszyscy pili.

— Co za cudowny poranek — dodałam.

Odpowiedział, że wkrótce zrobi się bardzo gorąco.

— Kiedy nad wyspą unosi się mgła, wiadomo, co będzie później.

Spytałam, jak ma na imię, a on odparł, że nazywa się Obediasz.

— Dobrze biblijne imię — stwierdziłam.

— Och... jesteśmy chrześcijanami, panienko. Chodziłem do szkoły misyjnej.

— Na tej wyspie?

— Tak. Mamy szkołę misyjną dla małych dzieci, w której uczymy się dodawania i wiedzy o Bogu. Jesteśmy wykształceni.

— Od dawna mieszkasz na tej wyspie, Obediaszu?

Roześmiał się, jakbym powiedziała dobry żart.

— Ależ, panienko, ja tu się urodziłem. Ludzie nie sprowadzają się na Caribę... chyba że są damami; jak panienka, albo prowadzą tu interesy... albo spędzają wakacje... My się tu rodzimy.

— Ale w tym hotelu pracujesz już jakiś czas?

— Pracowałem już kiedy byłem ot, taki mały. — Pokazał ręką wzrost dziesięciolatka. — Otwierałem drzwi, wystrojony w piękne ubranie. Chodziłem dumny i szczęśliwy przez cały dzień. „Ciężko pracujesz, Obediaszu, kto wie, dokąd zajdziesz” — powiedział do mnie Master. To nie był ten Master, tylko drugi.

— Drugi...?

— Ojciec tego Mastera. Wspaniały, duży pan, taki jak Master. A teraz przyszedł czas, żeby ten Master znalazł sobie żonę i miał synów, żeby plantacja dalej trwała.

— Rozumiem. Master to pan Hemming.

— Tak, to jest Master. Wszystko tu należy do niego. To wielki człowiek. Pan. Chcemy go zobaczyć z żoną i dziećmi.

— A więc nie ma jeszcze żony.

— Nie, panienko, nie ma żony. Myśleliśmy, że jak wróci, to sobie jakąś przywiezie. Oni wszyscy lubią żony zza morza. Nic tutaj nie odpowiada Masterowi... to znaczy żadna żona. Chociaż jest pani Manuel. Ale widzi panienka, ona nie była wolna, kiedy on wyjechał. Teraz to co innego.

Znowu pani Manuel! Zrozumiałam, że jest ona przyjaciółką Milтона Hemminga. Poczułam lekkie ukłucie. Zazdrość? Niepokój? Naprawdę zaczynałam przywiązywać się do tego człowieka.

— A co się dzieje z panią Manuel teraz? — spytałam.

— Och, tak... teraz to zobaczymy. To dobrze. Master wrócił bez żony... Może.

— Chcesz powiedzieć, że pani Manuel jest teraz wolna i może zostać żoną Mastera?

— Master nie lubi, żeby o nim mówić,

— A kto by lubił!

Potarł nos palcem, wyraźnie zmieszany swoją niedyskrecją. Wiedziałam, że wolałby, bym zatrzymała przy sobie to, co usłyszałam.

Kiwnęłam głową i zmieniłam temat rozmowy.

— Obediaszu, czy pamiętasz, co się tu działo... jakieś dwa lata temu?

— Dwa lata. Dlaczego?... Po co?

— Przypomniałbyś sobie, kto tu wtedy mieszkał, prawda? Ludzi zza morza?

Obediasz poklepał się po głowie i uśmiechnął.

— Wszystko jest tutaj. Pamiętam rzeczy z bardzo dawna.

— A czy przypominasz sobie pana Filipa Mallory'ego, który tu wówczas mieszkał?

— Pan Filip Mallory. Zaraz... wydaje mi się, że coś sobie przypominam.

— To był młody pan. Zatrzymał się w tym hotelu jakieś dwa lata temu.

Obediasz wzniosł oczy w górę.

— Oczywiście. Pamiętam go. Bardzo miły pan.

— To mój brat.

— Panienki brat? Panienko! Nic panienka nie mówi!

— Musiałeś chyba często go widywać?

— O, tak. Widywałem go.

— I co się z nim później stało?

— Cóż, był tutaj... a potem go nie było.

— Dokąd pojechał? Czy wiesz coś o nim?  
Obediasz z namysłem podrapał się po głowie.  
— Czy on aby nie był z tych, co robią mapy?  
— Zgadza się — przytaknęłam gorliwie.  
— W takim razie chyba pojechał robić mapy.  
— Jak odjechał? Dokąd się udał?  
— Zwyczajnie, odjechał.  
— Czy ktoś był z nim?  
— Och, tego nie wiem.  
— Spróbuj sobie przypomnieć. Jak długo tu mieszkał?  
Obediasz pokręcił z namysłem głową.  
— Może tydzień. A może dwa... a może nawet trzy albo cztery...  
— Ale powiedziałaś, że zwyczajnie odjechał. Nie mówił, dokąd się wybiera? Odszedł tak zwyczajnie? Musiał przecież zapłacić rachunek.  
— Och, o tym nic nie wiem. Rachunki nie mają nic wspólnego ze starym Obediaszem.  
Zrozumiałam, że niczego więcej z niego nie wyciągnę. Obediasz pamiętał jednak Filipa. To już coś. Może znajdę innych, którzy pamiętają go lepiej.  
Tego ranka rozmawiałam jeszcze z kilkoma osobami. Większość z nich pamiętała Filipa, ale wydawało się, że w jego wyjeździe nie było nic nadzwyczajnego. Przyjechał i odjechał, jak wszyscy inni goście hotelowi.  
Poszłam na brzeg morza. Nie mogłam przecież w kółko pytać ludzi, czy pamiętają mojego brata. Byłam zniechęcona. Wszystkie nadzieje pokładałam w Caribie, a teraz, kiedy już tu jestem, wydaje się, że trafiłam w ślepy zaułek. A na dodatek muszę zajmować się Felicity.  
Powoli wróciłam z powrotem do hotelu. Kiedy wchodziłam na schody, podszedł do mnie Milton Hemming.  
— Przyprowadziłem wierzchowca — powiedział. — Uzgodniłem, że będą go trzymać w hotelowej stajni. Proszę pójść i go obejrzeć. Jak ma się Felicity?  
— Wydaje się, że trochę lepiej. Na ogół śpi, ale chyba jest już spokojniejsza.  
— To dobrze. Tego właśnie chcemy.  
Poszłam z nim do stajni, która mieściła się na tyłach hotelu. Pokazał mi uroczą kasztankę.  
— Nazywa się Excelsior. To chyba odpowiednie dla niej imię?  
— Bardzo.  
— Proszę nie jeździć wczesnym popołudniem. Jest wtedy za gorąco i dla niej i dla pani. Ma pewny krok i zna okolice. Jest łagodna i przyjacielska.  
— Doskonały charakter. Nie wiem, jak panu dziękować. Popatrzył na mnie spokojnie,  
— Znajdzie pani sposób na okazanie swojej wdzięczności. Nie odezwałam się.  
— Właściwie to ja powinienem być wdzięczny. Jestem szczęśliwy, że pani tu przyjechała. Mam nadzieję, że zostanie pani długo.  
— Ależ jestem tu od tak niedawna. Jeśli zostaną dłużej, może zechce pan mnie się pozbyć.  
— Nigdy. Chcę się z panią ożenić, a to będzie oznaczało, że zostanie pani ze mną na resztę życia.  
— Ożenić się ze mną?!...  
— Proszę nie robić takiej przerażonej miny. To niemożliwe, by nie знаła pani moich zamiarów.  
— Znam je częściowo, ale nie byłam pewna, że obejmują małżeństwo.  
— Słyszała pani już plotki o mnie.  
— A są jakieś plotki?  
— Czy mogłoby ich nie być? Nikt nie jest odporny na skandale.  
— Zwłaszcza ktoś tak ważny, jak pan. Dzisiaj rano słyszałam o pana potędze.  
— O!...

— Od niejakiego Obediasza. Zdaje się, że bardzo pana szanuje.  
— To nie jest odpowiednie miejsce na poważne rozmowy — odparł i zaprowadził mnie do holu.

Rosa uniosła wzrok znad swojego biurka i uśmiechnęła się do nas.

— Gabinet wolny? — spytał.

— Tak, panie Hemming — odparła.

— Chcemy spokojnie porozmawiać. Niech nikt nam nie przeszkadza.

— Dobrze, panie Hemming.

Uśmiechnęła się dyskretnie, bez wątpienia snując domysły. Otworzył drzwi do niewielkiego gabinetu z oknami na port. Stąd drzwi wychodziły na niewielki taras, stały fotele i stół.

— Nie dosięgną nas tu oczy tubylców — stwierdził.

— Najwyraźniej pana słowo jest dla nich rozkazem.

— Oczywiście.

— Zakładam, że to pana dziedzictwo.

— A teraz bądźmy poważni. Chcę, by pani tu została... ze mną... na zawsze. Chcę, by została pani moją żoną.

— Czy jeździł pan do Anglii w poszukiwaniu żony?

— Myślę, że każdy mężczyzna podświadomie szuka żony, odkąd tylko zrozumie, o co w życiu chodzi.

— A zatem pana poszukiwania nie przyniosły rezultatu?

— Wręcz przeciwnie. Znalazłem żonę dla siebie na statku płynącym z Anglii, więc misja — o ile była to misja — zakończyła się powodzeniem.

— Nie, o ile pana wybranka nie wyrazi zgody. Zdaje się, że nie ma pan co do tego wątpliwości.

Podszedł do mnie i otoczył mnie ramieniem.

— Nigdy nie przyjmuję do wiadomości porażki.

— To odważne stwierdzenie. Nawet najbardziej zdeterminowane osoby muszą czasem pogodzić się z rozczarowaniem.

— Znam panią, Annalice. Naprawdę pani mnie chce... ale nie pozwala sobie pani w to uwierzyć. Doświadczenia z interioru wycisnęły piętno nie tylko na Felicity, ale i na pani. Tylko że życie wcale nie musi tak wyglądać, jak tam. To, czego pani była świadkiem, nie jest prawdziwym związkiem małżeńskim.

— Oczywiście, nie wierzę, że wszystkie małżeństwa są takie... Inaczej świat zaludniłby się szaleńcami.

— Proszę mnie posłuchać. Na jakiś czas wyspy wydadzą się pani interesujące. Zamierzam sprzedać plantację i wrócić do Anglii. Będziemy musieli zadbać o edukację dzieci, a do tego będzie nam potrzebny dom. Nie chcielibyśmy przecież, by nas opuściły i pojechały do szkoły na drugim końcu świata.

— Muszę pana natychmiast powiadomić, że jestem zaręczona... prawie zaręczona z kim innym.

— Z kimś, kto pozwala pani wyjeżdżać tak daleko!

— Istniał ku temu powód.

— Jakiż to powód?

— To powinno pozostać między mną a moim narzeczonym.

— Ja nigdy nie pozwoliłbym pani na tak daleką podróż.

— Sama podejmuję za siebie decyzje, wie pan o tym.

— A zatem postanowiła pani go opuścić. To musi być ktoś strasznie ospały. Przekona się pani, że jestem zupełnie inny.

— Spotkaliśmy się tutaj, widywaliśmy się na statku i w Sydney. Tutaj jest pan kimś w rodzaju bożka. Ludzie pana poważają, biją pokłony, niemal uwielbiają... A jednak czasami zachowuje się pan jak żółtodziób.

— W miłości?

— Tak. Wyobraża pan sobie, że wystarczy, jeżeli wspomni pan o małżeństwie, a ja odrzucę wszystko inne i powiem: „Bardzo panu dziękuję”.

— To jest miłość — odpowiedział. — Proszę nie trzymać mnie w niewiedzy. Dlaczego pani tu przyjechała? I dlaczego ten pani narzeczony na to pozwala?

— On nawet mi pomógł w wyjeździe.

— Dlaczego zgodził się, by pani na tak długo go opuściła? — Pomógł mi zorganizować ten wyjazd, gdyż wiedział, jak jest dla mnie ważny. Wyjaśnię to panu.

Opowiedziałam mu historię o znalezieniu mapy i o obsesji Filipa na punkcie wyspy.

— Mój brat przyjechał aż tutaj i zniknął. Chcę się dowiedzieć, co się z nim stało, i czy jeszcze żyje. Jest moim bratem i jesteśmy bliźsi sobie niż zwykle rodzeństwo. Nie odzyskam spokoju, dopóki się nie dowiem, co się z nim dzieje.

— Nie przysyłał listów?

— Jego jedyny list otrzymaliśmy z Australii. Wspomniał, że wybiera się na jakąś wyspę i wiem, że dotarł tu, na Caribę. Muszę się dowiedzieć, dokąd się stąd udał i co się z nim później stało.

— Ma pani tę mapę?

— Tak, kopię tej znalezionej w naszym domu. Wykonałam ją sama i wiem, że to dokładna kopia. Znam się na tym trochę.

— Czy przywiozła ją pani tutaj?

— Tak. Czy mam przynieść?

Skinął głową.

Wróciłam do swojego pokoju, wyjęłam mapę z szuflady komody i przyniosłam do gabinetu.

— Rajska Wyspa — mruknął. — Ta mapa nie jest dobra. Nie ma tu takiej wyspy.

— Ale na mapie ją zaznaczono.

— Kto rysował oryginał?

Opowiedziałam mu, jak znaleźliśmy zamurowany pokój, a w nim mapę i pamiętnik.

— Jest pani tym zauroczona, bo tamta dziewczyna nosiła imię bardzo podobne do pani. Moja droga Annalice, pani jest jednak romantyczką. Jestem bardzo zadowolony, że to odkryłem. Wcześniej sądziłem, że posługuje się pani jedynie zdrowym rozsądkiem.

— A czy pan nie byłby zaintrygowany takim odkryciem?

— Z całą pewnością tak. A zatem pani brat popłynął na poszukiwanie tej wyspy i zniknął w niezwykle tajemniczych okolicznościach. Mieszkał tu nawet przez jakiś czas... najprawdopodobniej wynajął pokój, jak każdy przejezdny. Dokąd mógł się stąd udać? Trudno będzie się tego teraz dowiedzieć. Ale tę wyspę, jeżeli istnieje, łatwo da się odnaleźć, skoro ma pani mapę. Proszę popatrzeć, jesteśmy tutaj. — Wskazał punkt na mapie. — To jest Cariba, a to pozostałe wyspy. Rajska Wyspa jest nieco oddalona od innych. Ale jak daleko, pani zdaniem, leży ta pani wyspa? Bo według tej mapy, jakieś trzydzieści mil... Pływałem na tamtych wodach dość często. Nigdy nie widziałem w tamtych stronach żadnego lądu — na północ, południe, wschód albo zachód w promieniu przynajmniej stu mil.

— Co to oznacza?

— Że ten, kto pierwotnie rysował tę mapę, umieścił na niej wyspę, która nie istnieje.

— Ja jednak wierzę, że ona gdzieś tu jest. Mogła zajść pomyłka w dokładnym pomiarze odległości. Musi pan wiedzieć, że tę mapę rysowano z pamięci. Dawno temu pewien człowiek, który rysował oryginał, odwiedził tę wyspę po zatonięciu swojego statku... A potem narysował tę mapę z pamięci.

— Skoro pochodzi pani z rodziny kartografów, powinna pani wiedzieć, że nie należy ufać pamięci przy sporządzaniu map.

— Wiem, wiem. Ale w tym wszystkim musi się coś kryć.

— O ile ten pani człowiek nie wyśnił tej wyspy.

— To też możliwe. Po pobycie na wyspie przeżył następną morską katastrofę. Wyłowiono go w stanie kompletnego wyczerpania.

— Może więc to był sen. Halucynacje.

— Myślałam już o tym. Ale co się stało z Filipem?

— Różne rzeczy mogły mu się przytrafić. Mógł mieć wypadek na morzu. Była pani już przecież w głębi Australii. Wie pani, że ludzkie życie jest tam tanie. Mógł trafić na złodziei. Są niezliczone możliwości.

— Co więc mam uczynić?

— Zwrócić się o pomoc.

— Gdzie? — Tutaj.

— Czyżby ofiarowywał mi pan swoje usługi?

— Czyżby pani nie wiedziała, że jestem na pani rozkazy?

Poczułam się taka szczęśliwa, że nie zdołałam tego ukryć.

Spojrzałam na niego z zachwytem i wiedziałam, że moje oczy są pełne wdzięczności. Jeżeli nie będę uważała, popłyną mi łzy.

— Jakże ja panią kocham! Kocham panią w każdym nastroju. Zdecydowaną i silną, a czasami nieco opryskliwą i kwaśną. A teraz słodką i drżącą, i — przyznajmy — bezbronną.

Otoczył mnie ramionami i przytulił do siebie.

— Niechże pani przyzna, że byłaby pani zadowolona, gdybym dołączył do tych poszukiwań.

— Wydaje mi się, że panu się wszystko udaje, czegokolwiek pan tknie.

— Byłoby dobrze, gdyby pani to zdanie zapamiętała na zawsze.

— Tak się cieszę z pana pomocy.

— Cóż, pierwsze, co należy uczynić, to spróbować odnaleźć tę wyspę. Potrzebna nam będzie dość duża, mocna łódź... Oczywiście nie od razu statek, na którym przyплыła pani z Sydney... Ale też nie zwykła wiosłowa łódeczka. Weźmiemy z sobą mapę i wyruszmy na poszukiwania. Po pierwsze przekonamy się, że nie ma żadnej wyspy w miejscu zaznaczonym na mapie.

— Dziękuję. Bardzo dziękuję.

— Trzeba rozważyć jeszcze jedną możliwość — ciągnął. — Czy kiedy zagadka zostanie rozwiązana, wróci pani do Anglii?

— Takie mam plany.

— I wyjdzie pani za mąż za tego człowieka, który nie ma nic przeciw temu, że znika pani na całe miesiące... a nawet pomogą ten wyjazd organizować?

— Jest bardzo wyrozumiały. Wie, że nie odzyskam spokoju, dopóki się nie dowiem, co się stało z Filipem.

— A więc pozwala pani na wyjazd...

— Rozumie mnie... doskonale.

— Ja nigdy bym pani nie pozwolił na samotną podróż. Pojechałbym wraz z panią.

— Kiedy wybierzemy się na tę morską wyprawę?

— To zależy od pogody. Proszę zawierzyć wszystko mnie. A na razie spróbuję się dowiedzieć czegoś o pobycie pani brata na naszej wyspie. Zabiorę panią stąd dziś o piątej po południu. Wtedy zrobi się chłodniej. Chcę pokazać pani moją plantację. Mogłaby też pani zjeść ze mną kolację. Radzę nie opuszczać pokoju w czasie upału.

Wstał. Podniosłam się razem z nim. Ujął obie moje dłonie.

— Jeżeli tylko istnieje możliwość dowiedzenia się, gdzie przebywa, odnajdziemy go. A teraz chodźmy.

Wyszliśmy z gabinetu. Rosa wciąż siedziała pochylona nad biurkiem, uśmiechała się do siebie.

Milton oznajmił, że chciałby porozmawiać z panem Selincourtem. Rosa natychmiast ruszyła, by zawiadomić tego pana. Zostaliśmy wprowadzeni do biura, gdzie Milтона wylewnie powitał niski, ciemnoskóry mężczyzna.

Milton poprosił o księgi gości z ostatnich trzech lat i dzięki temu udało się ustalić dokładnie, kiedy Filip tu przebywał. Jego nazwisko znalazło się w księdze. Mieszkał w hotelu trzy tygodnie.

Pan Selincourt zapamiętał go. Był niekłopotliwym gościem. Tak, zapłacił rachunek; nie, nie zniknął z dnia na dzień w tajemniczy sposób. Zapłacił rachunek, jak wszyscy inni, i wyjechał.

— Czy odpłynął do Sydney? — spytałam.

Pan Selincourt oznajmił, że to bardzo prawdopodobne. Ale według daty wyjazdu nie wyprowadził się w piątek, to znaczy tego dnia, w którym odpływa statek. Wyprowadził się w niedzielę. I to było najdziwniejsze w tym wszystkim.

Nie, pan Selincourt nie widział go, gdy wychodził. Wypyta służbę, czy go zapamiętała.

Wydawało się, że to spory postęp w poszukiwaniach — a zawdzięczałam go Miltonowi Hemmingowi.

Mimo moich niepokojów o Felicity, byłam raczej w dobrym nastroju.

\* \* \*

W ciągu następnych dni moje nadzieje wciąż rosły, mimo że wywiad pana Selincourta wśród służby nie przyniósł rezultatu. Nikt nie widział Filipa, gdy się wyprowadzał. Po prostu tu był, a potem już go nie było. Ale skoro wyprowadził się w niedzielę, nie mógł odpłynąć do Sydney kursowym rejsem w piątek.

To mieszało nam szyki, ale Milton był przekonany, że prędzej czy później znajdziemy jakiś trop, który doprowadzi nas do rozwiązania zagadki.

Nie martwiłam się już tak bardzo o Felicity. Była nadal milcząca i nieśmiała, ale czuła się lepiej. Lubiła przebywać w swoim pokoju i przestały ją dręczyć te okropne sny. Lekarz ostrzegł mnie, że mogą wrócić w każdej chwili i najprawdopodobniej wrócą, więc muszę być przygotowana. Cały czas trzeba ją było uspokajać i pocieszać. Potrzebowała dużo snu i absolutnego spokoju.

Codziennie widywałam Milтона Hemminga, przychodził pytać o zdrowie Felicity i wyciągał mnie z hotelu na przejażdżkę. Jeździłam z nim po wyspie i cieszyłam się każdym dniem.

Pokazał mi swoją plantację, co było dla mnie zupełnie czymś nowym. Chodziliśmy wąskimi ścieżkami między trzciną, która sięgała ponad nasze głowy. Zajrzałam do młynów. Ludzie — przeważnie wyspiarze — przerywali pracę, by się do mnie uśmiechnąć. Jeden z nich pokazał mi mangustę, którą trzymano po to, by tępiła szczury i białe mrówki — plagę plantacji.

— Nie chciałby pan opuszczać tego wszystkiego — powiedziałam. — To pana życie.

— Nie, nie — odparł. — To tylko środek do życia. Tę plantację założył mój ojciec. Doprowadził ją do rozkwitu. Sprawił, że wyspa stała się tym, czym jest dzisiaj. Ja to pociągnąłem dalej. Ale już on planował powrót do starego kraju, kiedy nadejdzie właściwy czas. Dla niego nigdy nie nadszedł, ale dla mnie nadejdzie.

— Ci wszyscy ludzie są od pana zależni.

— Nie wyjadę, dopóki nie znajdę odpowiedniego człowieka, by zajął moje miejsce...

— A więc pan stąd wyjedzie.

— Wie pani, że jest jeszcze jeden cel, nawet ważniejszy, który zdecydowany jestem osiągnąć.

— A co to takiego?

— Pani.

— To nie takie proste.

— Nie. Ale też nie niemożliwe.

— Wierzy pan, że musi dopiąć swego.

— To dobry sposób na życie.

Po zwiedzaniu zwykle jadałam z nim kolację.

— Jeżeli znuży panie pobyt w hotelu, możecie obie być moimi gośćmi, pani i Felicity — ponowił zaproszenie.

— Hotel nam odpowiada. Dobrze się opiekują Felicity, a ja naprawdę się o nią martwię. Wystarczy, by zadzwoniła, a już zjawia się ktoś z obsługi. A widok na port jest wspaniały. Wciąż się zmienia.

Nadszedł dzień naszej morskiej wyprawy. Mogłam bezpiecznie zostawić Felicity pod opieką służby hotelowej, więc wyruszyłam bez żadnych obaw, bo już naprawdę nie mogłam się doczekać tej eskapady.

Łódź była średniej wielkości, obsługiwała ją trzyosobowa załoga. Zabrałam z sobą mapę. Przepłynęliśmy wąskim przesmykiem między obu wyspami i po raz pierwszy dokładnie zobaczyłam tę trzecią.

— To Wyspa Lwa — wyjaśnił Milton. — Za chwilę zobaczy pani, dlaczego tak ją nazwano. Jest tam niewielka zatoczka, a nad nią skały. Z pewnej odległości te skały przypominają leżącego lwa.

— Widzę tam łódź. A tam, czy to dom?

— Tak. Wyspa należy do bogatej rodziny właścicieli kopalń z Australii. Z Wyspy Lwa korzystają podczas wakacji. Nie wydaje mi się, żeby często tu bywali. Trzymają się zresztą z dala od innych. O, teraz! Teraz może pani zobaczyć leżącego iwa.

Wkrótce wszystkie wyspy zostawiliśmy za sobą.

— Trzeba mieć naprawdę mocną łódź, żeby wypływać dalej na otwarte morze — powiedział Milton. — W każdej chwili może zerwać się wiatr. Licha łódka zostałaby natychmiast wyrwana. Może to właśnie przytrafiło się pani bratu.

Milczałam. W tej chwili trudno było to uwierzyć. Morze było niezwykle spokojne, powierzchnia prawie gładka. Widziałam latające ryby, gdy wyskakują z wody. W oddali dostrzegłam bawiące się delfiny. Panował cudowny spokój.

Milton trzymał w dłoni mapę.

— Teraz, według mojego rozeznania, tutaj właśnie powinna znajdować się pani wyspa. Jak widać, wszędzie wokół ani śladu jakiegokolwiek lądu.

— Nic. Nic oprócz głębokiego, niebieskiego morza.

— Możemy pokrzyżać tu trochę, jeżeli pani chce... ale nie ma tu nic... zupełnie nic. Gdzieś musiał się wkraść błąd w obliczenia.

Pokręciłam głową.

— Chyba będę musiała jednak przyznać, że nie ma żadnej wyspy. Nie rozumiem tego. To dokładna kopia mapy, którą znaleźliśmy.

— Pani brat ma zapewne oryginał?

— Tak. Zabrał go z sobą.

— Cóż, sama pani widzi. Nie ma tu nic... Obawiam się, że musimy przerwać poszukiwania. A zatem... z powrotem na Caribę.

Spojrzałam na rozległą wodę i pomyślałam o młodym rozbitku, nieprzytomnym, unoszącym się na spokojnym morzu. Nie wiedział, jak długo dryfował. Może to były majaczenia? Czy wyśnił wyspę, na której wszystko jest doskonałe? Może umarł na krótką chwilę i poszedł do raju, a potem powrócił do życia, by śnić o wyspie dla niego straconej?



Morze było tego dnia takie piękne, takie spokojne. Jak inne musiało być w czasie katastrofy. Głęboki błękit wód zmieniał się w niektórych miejscach, stawał się jasną zielenią. Kiedy się obejrzałam, zobaczyłam zieloną smugę na powierzchni. Miałam zamiar zwrócić na to uwagę Milтона, ale on właśnie powiedział:

— Mamy szczęście, pogoda dla nas łaskawa. Proszę spojrzeć. Tam już widać Wyspę Lwa.

Spojrzałam i zapomniałam o kolorach morza. Byłam zasmucona, bo przekonałam się, że nie ma żadnej wyspy. Była snem powstałym w umyśle rozbitka.

\* \* \*

Dni miały leniwie, pełne jaskrawych kolorów, śmiechu tubylców i nieustannego rozgwaru dobiegającego z portu, gdzie robotnicy uwijali się wśród wózków zaprzężonych w muły. Jaki jeszcze jest powód, by tu dłużej pozostać? O Filipie nie dowiem się już niczego więcej. Przekonałam się, że Rajaska Wyspa nie istnieje, w każdym razie, nie ma jej tam, gdzie według mapy być powinna.

Oczywiście pozostawała Felicity. Nie mogę wyjechać, dopóki ona nie wydobrzeje, powiedziałam sobie.

A ja chciałam przedłużyć ten pobyt, jeszcze tu zostać. Chciałam codziennie widywać Milтона Hemminga. Chciałam cieszyć się jego uwielbieniem, jego pełnym namiętności zachwytem. Wiedziałam, że to próżność, ale nic na to nie mogłam poradzić.

Lubiłam patrzeć z balkonu, gdy konno przyjeżdża do hotelu. Respekt, jaki budził, przejmował mnie dumą. Ludzie usuwali mu się z drogi. Na tej wyspie był najpotężniejszym człowiekiem, królem wszystkich, który zapewnia im wygody, gdyż powodzenie wyspy zależało od plantacji, a on był jej właścicielem.

Kiedy dostrzegłam mnie na balkonie, zatrzymał się i uśmiechał, a ja widziałam blask niebieskich oczu mocno kontrastujących z jego opaloną twarzą. Nie byłabym kobietą, gdybym nie była dumna z wyróżnienia, jakim zaszczycił mnie ten człowiek.

Dokąd to wszystko zmierza? Nie byłam pewna. A ta niepewność jeszcze podsyciała urzeczenie. Ale musiałam wracać do domu, zostawić za sobą tę egzotykę. Będę o niej pamiętać do końca życia, tylko że życie bez Milтона Hemminga wydawało mi się okropnie nudne.

A zatem... nie myślałam o przyszłości. Rozkoszowałam się chwilą bieżącą, terażniejszością.

Felicity trochę wydobrzała. Któregoś dnia późnym popołudniem, kiedy minął największy skwar, wyszła ze mną do hotelowego ogrodu. Kuliła się jeszcze trochę na dźwięk obcych głosów, ale przynajmniej opuściła na chwilę pokój.

Nadal jeszcze dręczyły ją nocą koszmary. Ja miałam lekki sen. Chyba nasłuchiwałam pukania nawet we śnie. Od czasu do czasu rozlegało się, a ja wyskakiwałam wówczas z łóżka i biegłam do niej. Prześladował mnie wyraz jej przerażonych oczu, gdy się budziła z ciężkich snów. Wiedziałam, że musi upłynąć jeszcze dużo czasu, zanim Felicity całkowicie wróci do siebie. Ale dobrze było wiedzieć, że ma się choć trochę lepiej.

Zaczęła rozmawiać z pokojówką Marią, która u nas sprzątała, przynosiła nam gorącą wodę do kąpieli i posiłki.

Maria była rozmowna i chętna do pomocy. Może robota nie paliła się jej w rękach, ale nadrabiała to sympatią do gości. Młoda, smukła, z długimi czarnymi włosami, zawsze uśmiechnięta, a jej naszyjniki i bransolety cicho dzwoniły przy najmniejszym poruszeniu.

Wznosiła oczy do góry i mówiła, ciągle mówiła, usta się jej nie zamykały. Wydawało się, że życie jest dla niej jednym wielkim żartem. Nawet kiedy opowiadała o nieszczęściu, śmiała się. Lubiła informować nas o wszystkim, co dzieje się na wyspie. I tak dowiedziałyśmy się, że niejaki Sam bardzo się pokaleczył, gdy upadł na ściernisko po ściętej trzcinie.

— Był okropnie pociachany — mówiła chichocząc. — Krew na rękach i na twarzy. Będzie miał blizny do końca życia.

W jej opowiadaniach zjawiała się też stara pani Jopp, którą potracił wózek, co wywoływało w Marii podobne paroksyzmy śmiechu. Ten śmiech rozbrzmiewał po każdej nowinie — wesołej i smutnej. Uznałam, że to niewiele znaczący nawyk.

Maria miała kochanka. Pewnego dnia chciała popłynąć do niego do Brisbane, gdzie pracował na jakiejś farmie. Sabrino chciał dorobić się kiedyś własnego kawałka ziemi... A wówczas Maria pojedzie do niego. Oboje oszczędzali pieniądze, by marzenia mogły się spełnić.

Słuchałam uważnie jej słów. Sabrino był dla niej najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. Urodził się na Caribie, ale Cariba nie okazała się dla niego odpowiednim miejscem. Maria żyła myślą o dniu, kiedy do niego dołączy. Poważna stawiała się tylko wtedy, gdy mówiła o Sabrinie.

Często przesiadywała w moim pokoju. Bardzo ją interesowały moje ubrania. Kiedyś przyłapałam ją na przetrząsaniu moich rzeczy w szafce nocnej. Wyraziłam oburzenie, ale nie potrafiłam się na nią długo gniewać, bo jej ciekawość wydawała się jakby naturalna, a ona taka przymilna.

Pewnego ranka, gdy siedziałam na balkonie, dostrzegłam, że do hotelu wchodzi olśniewającej urody kobieta. Była wysoka, czarne włosy miała misternie upięte. Szła z tym niezwykle wdziękami, jakim odznaczają się tylko niektóre kobiety. Miała na sobie białą, dopasowaną suknię i złoty łańcuch na szyi.

Postanowiłam zapytać przy okazji Marię, kto to jest. Ona na pewno będzie wiedziała. Ku mojemu zdziwieniu Maria niemal natychmiast wpadła do mojego pokoju. To był jeszcze jeden z jej nawyków. Wchodziła nie pytając o pozwolenie i chociaż prosiłam, by zawsze pukała, na ogół nigdy tego nie robiła.

— Panno Mallory — zawołała wysokim, podekscytowanym głosem. Wydawało się, że śmiech tak ją przepełnia, iż ledwo może mówić. — Na dole jest pewna pani i pyta o panią. Chce się z panią widzieć.

— Och, kto taki?

Maria była tak zaskoczona moim pytaniem, że na kilka sekund zaniemówiła.

— To pani Manuel — wykrztusiła wreszcie.

— Czy to ta pani, która przed chwilą weszła do hotelu? Wysoka, ciemnowłosa, w białej sukni?

Maria kiwnęła głową.

— Powiedz, że zaraz zejść.

Pani Manuel siedziała w holu. Rosa tkwiła za swoim biurkiem, a sporo innych tubylców w pobliżu jakby czekało na coś niezwykłego.

Pani Manuel podniosła się na mój widok.

— Panno Mallory — zaczęła — przyszłam, by panią poznać. Nazywam się Magda Manuel.

— Och, jakże mi miło! Tyle o pani słyszałam.

— Na tych wyspach każdy słyszy o wszystkim.

— Ale o pani opowiadał mi Milton Hemming.

Wokół nas zapadła cisza. Wszyscy słuchali pilnie, jakby to spotkanie miało ogromne jakieś znaczenie.

— Może mogłybyśmy pójść gdzieś i porozmawiać spokojnie — zaproponowałam.

Rosa nawet nie ukrywała, że podsłuchuje, bo odezwała się niemal natychmiast bezceremonialnie:

— Och, tak, panno Mallory. Proszę tędy.

Zaprowadziła nas do gabinetu z widokiem na port, gdzie poprzednio rozmawiałam z Miltonem.

— Napije się pani czegoś? — spytałam panią Magdę Manuel.

— Tak, proszę.

Rosa powiedziała, że podadzą *lalu*. Tak się nazywa tutejszy napój przyrządzany z owoców z odrobiną alkoholu, doskonały na upalne dni.

Usiadłyśmy na zacisznym tarasie.

— Od jakiegoś czasu zamierzałam panią odwiedzić — odezwała się Magda Manuel — ale na plantacji jesteśmy ciągle zajęci...

— Na plantacji?

— Och, nie wiedziała pani? Mieszkam na sąsiedniej wyspie. Mamy tam plantację. Nie tak wielką, jak ta tutaj... ale ona też wymaga ciągłej pracy. Nie potrafię upilnować moich robotników, nie radzę sobie z nimi tak dobrze, jak Milton. Brak mi wprawy i właściwego podejścia, podobnie zresztą, jak brakowało tego mojemu mężowi, choć Milton nauczył nas paru rzeczy.

— A zatem pani też ma plantację cukru.

— Och, tak... Ale przysparza mi ona mnóstwa kłopotów i obowiązków. Całkiem niedawno straciłam męża. Nie wiem, czy zdołałabym sobie poradzić bez pomocy Milтона.

Jeden ze służących przyniósł nam napoje i odszedł z wyraźną niechęcią i ociąganiem. Miałam wrażenie, że cała służba mówi o naszym spotkaniu.

— Milton mnie też opowiadał o pani i pomyślałam, że powinnam panią poznać — ciągnęła pani Magda Manuel. — Musi pani mnie odwiedzić. Proszę przyjechać do mnie na kolację. Słyszałam, że jest tu z panią przyjaciółka.

— Tak, ale była chora i jeszcze nie czuje się najlepiej.

— Do mnie też dotarły wieści o tym strasznym wydarzeniu w interiorze. — Spojrzała na mnie przepraszająco. — Takie wiadomości bardzo szybko się tu rozchodzą. Nie mają zresztą dalekiej drogi.

— Felicity jeszcze nie czuje się na tyle dobrze, by przyjmować wizyty, ale pomału dojdzie do siebie.

— Nie była pani jeszcze na mojej wyspie, prawda?

— Nie, ale ją widziałam z daleka. Jest taka zielona i przyjazna.

— Zieleń to trzciny...

— Pani sama zarządza plantacją?

— Nie całkiem. Mam dobrego pomocnika w osobie George'a Callerby'ego. Był prawą ręką mojego męża. Plantacji tyle rzeczy może zaszkodzić. Burza może połamać trzciny, szczury i białe mrówki zżerają łądygi, kotły pękają w najmniej oczekiwanych momentach, a młyny się zatrzymują. Milton sprawuje nad wszystkim pieczę, ma najlepsze maszyny... no, a przede wszystkim potrafi obchodzić się z ludźmi... Sprawuje rządy żelazną ręką w aksamitnej rękawiczce. Nigdy nie mogę zrozumieć, na czym to polega. Mój mąż też tego nie pojmował. Mawiał, że Milton osiągnął w tym mistrzostwo. Tutejsi ludzie muszą wiedzieć, kto nimi rządzi. Jeżeli takiego nie szanują, stają się leniwi, śpią, zamiast ciąć trcinę. Ale nudzę panią tym mówieniem o interesach. Tak naprawdę, to chcę wiedzieć, czy przyjmie pani zaproszenie na kolację do mnie?

— Z wielką przyjemnością.

— Ustalmy więc dzień. Milton zabierze panią łodzią. To na prawdę nie jest daleko. Tak bardzo chciałam panią poznać, ale do tej pory nie było okazji. Rozumie pani, mój mąż zmarł dopiero kilka miesięcy temu, podczas pobytu Milтона w Anglii.

— Przykro mi to słyszeć.

— Od dawna chorował, więc spodziewaliśmy się tego. Zawiadomię panią o terminie. Myślę, że najlepiej będzie w przyszłym tygodniu. Czy to pani odpowiada? Nie zamierza nas pani chyba jeszcze opuścić?

— Spodziewam się, że niedługo będę musiała wyjechać. Ale najpierw muszę zdobyć pewność, że pani Granville czuje się już na tyle dobrze, by znieść trudy długiej żeglugi.

— Oczywiście.

Pani Magda Manuel wstała. Błysnęło złoto jej kolczyków i naszyjnika. Ma ogromnie dużo wdzięku i czaru, pomyślałam. No i ta niezwykła uroda.

Odprowadziłam ją przez hol do drzwi wyjściowych.

Zdawałam sobie sprawę, ile par oczu nas śledzi. Byłam pewna, że gdy tylko znajdziemy się poza zasięgiem wzroku, zaczną się szeptki.

Wróciłam do swojego pokoju.

Była tam Maria, zabawiając się wspaniale ściereczką od kurzu, ale najwyraźniej niewiele robiąc z niej użytku.

\* \* \*

Milton przyszedł, jak zwykle, zjeść ze mną kolację. Postanowiłam powiedzieć mu o wizycie Magdy Manuel. Zastanawiałam się, czy spędzili razem ten dzień.

— Miałam dziś gościa — zaczęłam. — Była u mnie pana przyjaciółka.

— Magda.

— Powiedziała panu?

— Tak.

— Spodziewałam się, że pana odwiedzi, kiedy już się ze mną pożegnała.

— Owszem, wstąpiła do mnie.

— Opowiadała mi o swojej plantacji na sąsiedniej wyspie.

— Jest mniejsza od mojej.

— O tym także wspomniała. I że sama nią teraz zarządza.

— Ma doskonałego pomocnika w osobie George'a Callerby'ego. Jose Manuel nie był do tego zajęcia stworzony. Nigdy nie powinien brać się za taką robotę.

— Mówiła, że pan bardzo im pomaga.

— Udzieliłem im paru pożytecznych wskazówek, kiedy Jose jeszcze żył.

— Rozumiem, że zmarł, kiedy pan przebywał w Anglii.

— Widzę, że Magda zapoznała panią ze wszystkimi szczegółami.

— Cała służba hotelowa wydawała się niezwykle rozbawiona tym, że pani Manuel przyszła mnie odwiedzić.

— Nietrudno ich rozbawić.

— Ale chyba jej wizyta bawiła ich szczególnie. Spojrzał na mnie z tym swoim ironicznym uśmiechem.

— Od jakiegoś czasu Magda uchodziła niemal za wdowę. Miała trudne życie. Jose został ranny podczas wypadku w młynie. Coś się tam popsło, a on nie miał na tyle zdrowego rozsądku, by kazać to naprawić innym. Zajął się tym sam, został ciężko ranny i przez cztery lata był inwalidą.

— A pan jako jego dobry przyjaciel często mu pomagał.

— Znalazłem im George'a Callerby'ego. To wspaniały człowiek.

Już wszystko sobie wyobraziłam. Mąż, który nie jest żadnym mężem, pełna życia kobieta, młoda i piękna, i Milton odwiedzający ich wyspę, by im pomóc, jako dobry przyjaciel domu... zwłaszcza Magdy.

I oczywiście wypiarze o wszystkim wiedzą. Niewiele by o rzeczy, o których by nie wiedzieli. Może myśleli, że teraz, kiedy Jose nie żyje, Milton ożeni się z wdową po nim. Ale wówczas... ja się pojawiłam. Och, tak, wszystko już było dla mnie jasne.

Mam rywalkę. Nie potrafiłam przestać myśleć o jej niezwykłej urodzie. W porównaniu z nią czułam się niemal jak Kopciuszek. Ona ma wdzięk i dystynkcję. Pasuje do tego wyspiarskiego

życia lepiej niż ja. Zastanawiałam się, jakie uczucia żywi Milton do Magdy. Wydało mi się, że jego głos nieco łagodniej, gdy mówi o niej i poczułam ukłucie zazdrości. To wszystko wydało mi się absurdalne. Wciąż sobie powtarzałam, że gdy tylko Felicity wyzdrowieje, wrócę do kraju i wyjdę za mąż za Raymonda.

— Jutro zamierzamy trochę ponurkować. — Nagle dotarły do mnie jego słowa. — Czy chciałaby pani na to popatrzeć?

— Jak to: ponurkować?

— Jutro o wschodzie słońca. Na południu wyspy są ławice ostryg. Od czasu do czasu znajdujemy kilka naprawdę cennych pereł. Nie jest ich na tyle dużo, by można było to uznać za naszą specjalność. Tak więc... bawimy się tym na razie i mamy nadzieję, że któregoś dnia trafimy na naprawdę cenną perłę.

— Chciałabym to zobaczyć. Kto będzie nurkował?

— Mamy zawodowych nurków. Muszą być doświadczeni. Ja sam nurkowałem czasami, ale nie robię tego profesjonalnie. To naprawdę ciekawe... szczególnie sortowanie zdobyczy. Wydobywamy najróżniejsze... Znajdujemy sporo baroków, mają wspaniały kolor i nieregularny kształt. Inne są puste w środku. Trafiają się też gruzłowate, nazywamy je *coq de perle*. Proszę sobie wyobrazić naszą radość, kiedy znajdujemy perłę doskonałą. Właściwy kolor, właściwa powierzchnia, właściwy kształt.

— Znalazł pan kiedyś taką perłę?

— Raz. Za czasów mojego ojca. To był prawdziwy klejnot. Nigdy więcej mi się nie udało. Ale znalazłem kilka dość dobrych okazów.

— Zawsze sądziłam, że ta wyspa słynie z cukru. Nigdy nie słyszałam o perłach.

— Och, wielu rzeczy musi się jeszcze pani o nas dowiedzieć. A zatem chciałaby pani zobaczyć nas przy pracy?

— Z przyjemnością.

— Czy potrafi pani wstać dość wcześnie? Łodzie muszą najpierw dopłynąć do ławicy. Wyruszamy o wschodzie słońca.

— Będę gotowa.

— O wschodzie słońca — przypomniał mi.

Następnego ranka o świcie poszłam na południowy brzeg wyspy. Zobaczyłam kilku ludzi na plaży. Znałam ich już z widzenia, pracowali na plantacji.

— Czy jest tu pan Hemming? — spytałam.

Jeden z nich, Jacob kiwnął głową w stronę łodzi na morzu, łagodnie kołysała się na falach.

— Pan Hemming dzisiaj będzie nurkował — oznajmił.

— Co takiego?... Sam nurkuje?

— O tak!

Stałam tam i patrzyłam. Widziałam w łodzi kilka postaci. Jedna z nich przewyższała pozostałe, uznałam, że to Milton.

— Jak długo pozostaną pod wodą? — spytałam.

— Niedługo, panienko. Pod wodą nie wolno długo przebywać. Nie można oddychać. Jedna minuta, to wszystko.

— Gemel wytrzymał kiedyś sześć minut — odezwał się któryś.

— Gemel to świetny nurek. Ale raz został za długo. Chciał pobić rekord.

— I co się z nim stało?

— Nie wolno długo tam przebywać, panienko, bez powietrza.

— To znaczy, że umarł?

— Nurkowanie to niebezpieczne zajęcie. Dlatego dostaje się za to pieniądze... duże pieniądze.

— Ale pan Hemming nurkuje.

— Master... on wszystko potrafi lepiej niż inni.

— Co to za hałas?

— To zaklinacze rekinów.

— Zaklinacze rekinów?! Czy w tych wodach są rekiny?...

— Czasami podpływają blisko brzegu. Ale dziś nie przyjdą, od tego są zaklinacze.

Poczułam silny niepokój. Nie wierzyłam, by te ponure zawodzenia potrafiły odstraszyć rekiny.

— Czy kiedyś ktoś został tu zabity przez rekina?

— Och, tak...

— A gdzie wtedy podziewali się zaklinacze rekinów? Co wtedy robili?

— Zdarzają się tragedie, panienko.

— W jaki sposób się nurkuje?

— Widzi panienka tego człowieka przy burcie? On współpracuje z nurkiem. Robią to parami... jeden nurkuje, a drugi trzyma linę przywiązaną do nurka.

— To ryzykowne!

Nagle przejął mnie strach. Nurkuje dlatego, że ja tu jestem. Chce jeszcze raz udowodnić, że potrafi robić wszystko lepiej niż inni. Pewnie uznał, że uda mu się wydobyć naprawdę cenny okaz, myślałam zirytowana.

W mojej wyobraźni pojawiły się natychmiast straszliwe obrazy. Widziałam paszczę ogromnego rekina, widziałam, jak pęka lina, a nurek usiłuje złapać oddech pod wodą.

— Boże, miej go w swojej opiece — zaczęłam się modlić. — Niech wróci cały i zdrowy!

Wtedy zrozumiałam, ile on dla mnie znaczy. Chciałam, żeby nic złego mu się nie przytrafiło. W tej chwili wszystko inne przestało mieć znaczenie. Wiem, że muszę wyjechać, muszę wrócić do Anglii i poślubić Raymonda, dobrego, łagodnego Raymonda. Ale proszę, Boże, uchron go przed niebezpieczeństwem!

Powinnam była wiedzieć, że nic mu nie grozi. Jeszcze cała drżałam, gdy łódź podpłynęła do brzegu. Wskoczył i podbiegł do mnie. Promieniał radością.

— A więc przyszła pani — wołał z daleka.

— Spodziewałam się zastać pana na brzegu, a nie na dnie morza.

— To było bardzo przyjemne — powiedział.

— Znalazł pan chociaż dobrą perłę?

— Prawdopodobnie. Trzeba najpierw rozłupać małże. Ale pani jest zdenerwowana.

— Rozmawiałam z tymi ludźmi o nurkowaniu. To niebezpieczna zabawa.

— W większości przygód tkwi jakiś element niebezpieczeństwa.

— A już zwłaszcza w igraszkach w sąsiedztwie rekinów.

— Może to rzeczywiście niebezpieczne. A zatem jest pani raczej zadowolona widząc mnie całego na suchym lądzie?

— Oczywiście, że tak! Ujął moją dłoń i ucałował.

— Proszę się nie martwić. Zawsze wypływam na powierzchnię. I zawsze pozostanę na powierzchni.

W jego uśmiechu był triumf. Zdradziłam się ze swoimi uczuciami.

## *Echa przeszłości*

To wydarzyło się w dwa dni później. Po śniadaniu siedziałam jeszcze przy swoim ulubionym stoliku na tarasie hotelu i patrzyłam na morze. Otaczająca mnie sceneria wprawiała mnie nieustannie w zachwyt. W pewnej chwili zobaczyłam zbliżającego się w moją stronę człowieka. Widziałam go już poprzedniego dnia i domyśliłam się, że jest gościem w hotelu. Nie miałam wątpliwości, że to Anglik.

— Dzień dobry — powiedział, stając koło mnie.

— Dzień dobry — odparłam.

Zawahał się.

— Czy mogę przy pani usiąść?

— Proszę.

— Widuję tu panią dość często — zaczął, zajmując sąsiednie krzesło. — Jest pani zadowolona z pobytu?

— Och, tak, bardzo.

— Ten hałas, jaki ci ludzie podnoszą! Wydaje się, że nie potrafią nic robić bez krzyków i śmiechu.

— Tacy już są.

— Przyjechała pani z Anglii, prawda?

— Tak.

— Ja pochodzę z Australii.

Zapadła chwila ciszy.

— Słyszałem, że rozpytuje pani o Filipa Mallory — odezwał się nagle.

Te słowa natychmiast mnie zaalarmowały.

— Owszem — odpowiedziałam żywo. — Zna go pan?

— Trudno powiedzieć, że go znam. Przed dwoma laty bawiłem przejazdem w tych stronach i rozmawiałem z nim wtedy, podobnie jak teraz z panią.

— To mój brat.

— Doprawdy?

— Tak. Nazywam się Annalice Mallory. Czy słyszał pan coś później o nim?

— Czy słyszałem?... Nie. Rozmawiałem z nim tylko raz czy dwa. Potem wróciłem do domu. Kiedy znowu tu się zjawiłem, wspomniałem o nim przypadkowo i dowiedziałem się, że wyjechał.

— Najwyraźniej nikt o nim nic nie wie.

— Przeprowadziłem z nim jedną czy dwie rozmowy. Mówił mi coś o wyspie, którą zamierza odwiedzić.

— Tak... tak... zgadza się.

— Wydawało się, że bardzo mu zależy na odnalezieniu tej wyspy. Najwyraźniej już poczynił jakieś starania, ale przeżył rozczarowanie.

Byłam coraz bardziej podniecona.

— Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co się stało z moim bratem. Nie dotarły do nas żadne wiadomości od niego.

— To musiało być dla pani straszne.

— Gdybym tylko zdołała się dowiedzieć, co się z nim stało!... Gdybym odnalazła tę wyspę...

— Te morza zostały dokładnie spenetrowane. Znalezienie jej nie powinno nastęrczać trudności.

— Wiele przemawia za tym, że wyspy nie ma w miejscu, w którym, jak sądziliśmy, być powinna.

— Przyjechała tu pani na poszukiwanie tej wyspy?

— Nie. Tak naprawdę to przywiodło mnie tu pragnienie odszukania brata. Chcę dowiedzieć się, co mu się przydarzyło, czemu nie daje znaku życia.

— Od dawna nie miała pani od niego wiadomości?

— Od dwóch lat.

— To kawał czasu.

— Tutejsi ludzie go pamiętają. Rozmawiałam z nimi, ale nie potrafią powiedzieć mi więcej niż pan. Najwyraźniej tylko panu powiedział o istnieniu wyspy.

— Nie ma w tym nic szczególnego, że mi zawierzył. Opuścił Anglię niedawno, a ja także jestem Anglikiem, chociaż mieszkam w Australii. Zaczęliśmy rozmawiać i wymknęło mu się coś o wyspie. Cóż, niestety to wszystko, co mam do przekazania.

— Nie pamięta pan nic więcej?

— Nie zawarliśmy bliższej znajomości. Siedzieliśmy tylko i gawędzili około godziny pewnego ranka. To wszystko.

Byłam rozczarowana. To samo słyszałam od innych.

— Nazywam się John Everton — przedstawił się. — Mam nadzieję, iż nie weźmie mi pani za złe, że się do pani przysiadłem.

— Ależ skąd! Jestem wdzięczna każdemu za jakąkolwiek wiadomość o moim bracie.

— Żałuję, że nie mogłem być bardziej pomocny.

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę niezobowiązująco, po czym John Everton pożegnał się. Następnego ranka znów się do mnie przysiadł.

— Rozmyślałem o naszej rozmowie. Ta wyspa... to intrygująca historia.

— Najwyraźniej nie istnieje.

— Skąd ma pani pewność?

— Bo popłynęłam na jej poszukiwanie i nie ma jej tam, gdzie być powinna.

— A więc ma pani mapę?

— Tak, mam mapę.

— Określając położenie wyspy?

— Tak.

— A zatem musi się tam znajdować.

— To bardzo stara mapa... a raczej jej kopia.

— Skąd pani wzięła tę mapę? To dziwne, że miejsca zaznaczonego na niej nie ma w rzeczywistości.

— Jest to kopia mapy znalezionej w moim domu.

— Coś takiego...! Znalezionej w pani domu! Proszę mi wybaczyć to wścibstwo.

— Nie... skądże. Znaleźliśmy tę mapę w naszym domu. Leżała w pewnym miejscu od jakichś stu lat. Jest na niej zaznaczona ta wyspa.

— Czy pani ma tę mapę?

— Mam jej kopię.

— Czy mógłbym... Nie, żądam chyba zbyt wiele, prosząc, by mi ją pani pokazała.

— Ależ proszę bardzo. Zaraz ją panu przyniosę.

Przestudiował przyniesioną mapę z ogromną uwagą.

— A więc tu jest ta Rajaska Wyspa — stwierdził stukając palcem w określony punkt.

— To tylko nazwa nadana jej przez człowieka, który rysował oryginał.

Spojrzał na mnie wyczekująco.

— To długa historia — rzekłam. — Mapę znaleziono w naszym domu podczas dokonywania pewnych przebudowań. Od tego właśnie wszystko się zaczęło. Mój brat zapragnął odnaleźć tę wyspę.

— A zatem przybył tutaj... — Everton dotknął palcem mapy. — Jest to wyraźnie zaznaczone. Opłynąłem wszystkie okoliczne morza i jestem pewny, że takiej wyspy nie ma.



Mapa musi być fałszywa. Czy jest pani przekonana, że tak właśnie wygląda mapa znaleziona w pani domu?

— To dokładna kopia. Sama ją wykonałam.

— Pani?

— Tak, przerysowałam ją z tej znalezionej.

— Doskonała robota.

— Moja rodzina zajmuje się mapami od dawien dawna. Trochę i ja się na tym znam. Zapewniam pana, że jest to dokładna kopia.

— Jakież to interesujące! — Oddał mi mapę. — Pragnąłbym pani w jakiś sposób pomóc.

— Bardzo pan miły.

Po chwili zmieniliśmy temat, a w końcu pożegnaliśmy się. Everton najwyraźniej postanowił te poranne rozmowy wprowadzić w zwyczaj, bo następnego ranka znów się zjawił.

— Jestem taki podniecony — powiedział na wstępie. — Coś mi się przypomniało. Obudziłem się dziś o piątej rano z tym pomysłem. To jest właśnie moja pora na pomysły.

Zastanawiam się, co pani na to powie.

— Proszę mi najpierw opowiedzieć o co chodzi.

— O tę mapę i o wyspę. Mapa jest błędna, to nie podlega dyskusji. Zastanawiałem się mianowicie, kto ją pierwotnie rysował.

Zawahałam się, ale w końcu odpowiedziałam:

— Została narysowana przez człowieka, który przeżył katastrofę statku i został wyrzucony na tę właśnie wyspę. Mieszkał tam czas jakiś, aż w końcu podczas połowu ryb zaskoczył go kolejny sztorm i niewiele brakowało, by utonął. Uratował go przepływający w pobliżu statek. W jakiś czas później narysował tę mapę.

— Wielkie nieba! To wiele wyjaśnia.

— Chce pan powiedzieć, że nie ma żadnej takiej wyspy? Że ów człowiek przeżył tylko pewien rodzaj halucynacji? Braliśmy to pod uwagę.

— Oczywiście, to jest możliwe, ale nie o tym myślałem. Narysował tę mapę z pamięci. To wszystko wyjaśnia. Woda mogła go odrzucić o wiele mil stamtąd.

— Tak, to też możliwe. Ale oprócz tej grupy wysp w promieniu setek mil nie ma innych.

— A jeżeli chodzi o jedną z nich?

— Jakże to możliwe? Te wszystkie wyspy są zaznaczone na mapie.

— Jest jeszcze jedna... oddalona od tych o kilka mil. Cztery są blisko siebie, a piąta leży nieco dalej.

— Chodzi panu o Wyspę Lwa? Tę, która należy do właścicieli kopalń?

— Tak, właśnie o tę.

— Ale ona jest zaznaczona na mapie. Są cztery wyspy i piąta trochę dalej.

— Owszem, ale rozbitek mógł być wyrzucony na Wyspę Lwa i uznać, że leży dalej od pozostałych.

Zawahałam się, a on ciągnął dalej:

— Nie sądzi pani, że warto by to sprawdzić?

— Wyspa Lwa, o ile wiem, ma właścicieli.

— Dlaczego by nie złożyć im wizyty? Tamtejsi mieszkańcy mogą coś wiedzieć o historii wyspy.

— Sądzi pan, że to wypada?

— Nie widzę przeciwwskazań. Naprawdę jestem tym niezmiernie zainteresowany. Od piątej rano zastanawiam się nad tym. Dzień mamy piękny. Dlaczegoż nie miałbym pani tam zabrać? Mógłbym wynająć łódź i wypłynęlibyśmy niebawem.

Rozważałam jego propozycję. Dlaczegoż by nie? Tego ranka nie miałam innych zajęć. Milton przyjdzie wieczorem. Byłam pewna, że Felicity pozostanie pod dobrą opieką. Nawet przez chwilę nie wierzyłam, by Wyspa Lwa okazała się Rajską Wyspą, a nawet gdyby, pewnie

teraz całkowicie się zmieniła. Ale jak mogłabym to stwierdzić nie będąc tam? Przysięgam przecież sobie zbadać każdy trop, nawet najbardziej nieprawdopodobny.

Zgodziłam się popłynąć.

Poszłam do Felicity, która wciąż leżała w łóżku. Nie miała ochoty jeszcze wstawać.

— Wypływam na jedną z wysp — powiedziałam jej. — Nie będzie mnie całe przedpołudnie. Nie martw się, jeżeli wrócę trochę później.

— Na jedną z wysp?...

— Tak, chcę ją obejrzeć z bliska. Zostałam zaproszona, więc popłynę tam łodzią.

Właściwością choroby Felicity była apatia i obojętność na wszystko, co się wokół niej dzieje. Skinęła mi tylko głową i zamknęła oczy.

Wkrótce potem przecinaliśmy błękitne fale. Wiał delikatny wietrzyk. Widziałam już leżącego lwa, który zbliżał się coraz bardziej.

Ogarnął mnie lekki niepokój, kiedy nasza łódź przybiła do brzegu.

— Czy nie okazemy się niepożądanymi intruzami na wyspie? — spytałam.

— Nie sądzę, by miano coś przeciw nam.

Stałam na piaszczystej plaży i obejrzałam się na morze. Nie było stąd widać Cariby i pozostałych wysp.

— Myślałam, że są w zasięgu wzroku — zdziwiłam się.

— Znajdujemy się po przeciwnej stronie wyspy.

Osloniłam oczy i rozejrzałam się wokół. W zatoczce stały dwa statki, jeden z nich całkiem spory.

— I co teraz? — spytałam.

— Rozejrzyjmy się.

— Skąd będziemy mieli pewność, nawet jeżeli to Rajaska Wyspa?

— Nie mam pojęcia. Zaczekajmy trochę i zobaczymy, co się wydarzy.

I rzeczywiście coś się wydarzyło. Jakiś człowiek szedł w naszą stronę. Był średniego wzrostu, miał jasne włosy i jasnoniebieskie oczy. Miałam wrażenie, że już go kiedyś widziałam — a może dopiero później sobie to wyobraziłam?

Wyciągnął rękę.

— Witam na mojej wyspie.

Podałam mu dłoń.

— Pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Magnus Perrensen.

\* \* \*

Byłam tak zdumiona i zdezorientowana, że nawet teraz trudno mi jest odtworzyć dokładnie przebieg tamtego dnia. Od chwili, w której ujął moją dłoń i przemówił, wydawało mi się, że przeżywam sen. Wpatrywałam się w niego jak urzeczona. W tamtej chwili nie byłam sobą. Byłam Ann Alice, która stała się mną — tak jak on, mój ukochany sprzed lat, stał przede mną na Wyspie Lwa.

— Nazywam się Annalice Mallory — odpowiedziałam.

— Nareszcie pani przyjechała — usłyszałam.

— N...nie... rozumiem. Co to ma znaczyć?

— Wie pani, kim jestem — odparł. — A zatem mamy sobie wiele do powiedzenia.

Najwyraźniej oboje zapomnieliśmy o Johnie Evertonie, który stał obok zdumiony i niepewny.

— Zapraszam panią do domu — rzekł Magnus Perrensen. Weszliśmy na wzgórze. Z wysiłkiem starałam się odzyskać zdrowy rozsądek. Ja śnię, myślałam. Muszę śnić. Jakże mógłby to być Magnus Perrensen? Przecież on nie żyje od dziesiątków lat.

Dom był wspaniały. Olśniewająco biały w promieniach słońca, otoczony ogrodem pełnym kwiatów.

Gospodarz wprowadził nas do chłodnego holu.

— Pięknie tu — odezwał się z pewną obawą John Everton, który dotąd milczał.

— Powinien pan być przywieźć pannę Mallory wcześniej — stwierdził Magnus Perrensen.

— Pomyśl odwiedzenia tej wyspy przyszedł panu Evertonowi do głowy dopiero dziś rano — wtrąciłam. Mówiąc to, odzyskałam nieco poczucie rzeczywistości. Wspomnienie spotkania z Johnem Evertonem na hotelowym tarasie i rozmowy o wycieczce sprowadziło mnie na ziemię.

Weszliśmy do salonu z wysokimi oknami wychodzącymi na morze.

Magnus Perrensen zwrócił się do Johna Evertona.

— Co za dziwny zbieg okoliczności — oznajmił. — Rodzina panny Mallory i moja zetknęły się przed laty. Mamy wiele do powiedzenia sobie. To uśmiech losu, że pan ją dziś tu przywiózł. Dziękuję.

— Cieszę się — odparł nieco zakłopotany John Everton.

— Nieczęsto miewamy tu gości. Nie przepadamy za wizytami obcych. To rodzaj schronienia, azylu dla mojej rodziny. Kiedy tu przebywamy, wolimy samotność.

— Może przeszkodziliśmy panu... — zaczęłam.

Popatrzył na mnie z wyrzutem.

— Pani jest tu mile widziana, panno Mallory... Naprawdę mile widziana.

Pojawił się służący i otrzymał polecenie przyniesienia napojów. Rozkaz został natychmiast spełniony.

Nie potrafiłam oderwać wzroku od gospodarza. Wróciłam myślami do tamtej nocy, kiedy siedziałam w łóżku, czytając pamiętnik Ann Alice. Coś się wtedy ze mną wydarzyło, kiedy siedziałam w jej pokoju... gdy porządkowałam jej mogiłę... A teraz znalazłam się na tej dalekiej wyspie... siedząc twarzą w twarz z Magnusem Perrensenem!

Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że to nie jest ten sam młody człowiek, który pracował w naszym sklepie, zamierzał się ożenić z Ann Alice i zabrać ją na poszukiwanie wyspy. Miałam też pełną świadomość, że ja nie jestem tamtą dziewczyną, która leży w grobie w Małym Stanton. Ale jakaś część tamtych dwojga żyła w nas i wierzyłam, że znalazłam się u progu wielkiego odkrycia.

— Panie Everton, zamierzał pan zwiedzić wyspę — odezwał się oschle Magnus Perrensen.

— Panna Mallory i ja mamy sobie wiele do powiedzenia ze względu na nasze rodzinne powiązania. Wyślę kogoś, kto pana oprowadzi. Obiad zostanie podany o pierwszej.

— Muszę wracać — wyjaśniłam. — Zostawiłam w hotelu chorą przyjaciółkę. Będzie się o mnie niepokoić, jeśli nie wrócę na czas.

— Istotnie. Jeśli wypłynie pani zaraz po obiedzie, znajdzie się pani na morzu w największy skwar.

— W takim razie muszę wyruszyć wcześniej — nalegałam. Uśmiechnął się do mnie.

— Zgoda. Mamy więc godzinę... Proszę tu się stawić za godzinę, panie Everton. Powiem, by sprowadzono pana z powrotem za godzinę, panie Everton. Dzięki temu będziemy mieli trochę czasu na rozmowę. Ale następnym razem wizyta będzie dłuższa.

Zostaliśmy sami.

— Widzę, że jest pani zdumiona — stwierdził.

— Nie ukrywam.

— Czy wie pani, co się wydarzyło dawno temu?

Opowiedziałam mu o nocnej burzy i znalezieniu pamiętnika.

— Tamten Magnus Perrensen był moim pradiadkiem.

— A więc zna pan całą historię?

— Ta historia jest w mojej rodzinie przekazywana z pokolenia na pokolenie. Mój pradziadek opowiedział ją dziadkowi, a on z kolei mojemu ojcu i tak doszło do mnie. Wszyscy nosimy to samo imię: Magnus. Dzięki temu mamy poczucie ciągłości. A pani jest Annalice... co się jednak trochę różni od Ann Alice... mimo że brzmi tak samo.

— To nie jest chyba Rajska Wyspa...

Pokręcił przecząco głową.

— Proszę mi powiedzieć, co pan wie — błagałam.

— Jak już mówiłem, historia mojego pradziadka jest przekazywana w mojej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Kiedy mój pradziadek wrócił do Małego Stanton, dowiedział się, że jego narzeczona nie żyje. Powiedziano mu, że zmarła na dżumę, która grasowała w okolicy. W każdym razie tak utrzymywano. Nie uwierzył w to. Cała sprawa została otoczona wielką tajemnicą. Ale mimo to odkrył, że jej pokój został zamurowany. Ludzie dużo o tym gadali. Pomieszczenie zostało zamurowane przez miejscowego cieślę i budowniczego, który od tamtego czasu doskonale prosperował. Pradziadek zrozumiał, że to dlatego, iż ów murarz zobaczył w pokoju coś, o czym nikt nie powinien się dowiedzieć, a ceną za milczenie były pieniądze na rozwinięcie jego przedsiębiorstwa.

— A co mógł widzieć ów murarz w tamtym pokoju?

— Pradziadek był przekonany, że Ann Alice zamordowano. Dopuściła się tego jej macocha wraz ze swoim kochankiem. Najprawdopodobniej ją zastrzelili. W pokoju muszą się znajdować plamy krwi. Strzał to nie jest czysty sposób pozbywania się przeciwnika. Udało im się zatrzeć ślady zbrodni, wykorzystując przypadki zachorowania na dżumę. Strych jakichś krawców w okolicy został zamurowany z powodu bel materiałów, które w nich leżały. Dlatego mordercom udało się ukryć zbrodnię. Nigdy by tego nie dokonali, gdyby nie dżuma i przekupny cieśla.

— To wydaje się bardzo prawdopodobne.

— Mam wrażenie, że gdy mnie pani ujrzała, myślała pani przez chwilę, że jestem tamtym Magnusem Perrensenem. A może też pomyślała pani, że stała się Ann Alice?

— Czytałam jej pamiętnik, wciąż dobrze pamiętam jej słowa. Podczas lektury utożsamiałam się z nią. Czulałam się jej częścią, i istotnie, przez chwilę, kiedy zobaczyłam pana na plaży, a pan się przedstawił... doznałam niezwykłego uczucia. Przez moment czulałam się tak, jakbym znalazła się w przeszłości.

— Zapewniam panią, że to nic niezwykłego. Jestem przekonany, że istnieje logiczne wyjaśnienie wszystkiego, co się zdarza na naszej planecie. Sądzę, że wszyscy mamy w sobie coś z naszych przodków. Czyż nie zostało to udowodnione? Cechy charakteru przekazywane są z pokolenia na pokolenia... We mnie też musi być coś z tamtego Magnusa, a w pani coś z Ann Alice. Mnie również się wydawało, że to cud, kiedy dziś się pani pojawiła. Przez chwilę myślałem, że przeszłość połączyła się z teraźniejszością.

— Powiedział pan „Wreszcie pani przyjechała”.

— Tak? Naprawdę tak powiedziałem? To było bezwiedne, jakby ktoś przemówił przez moje usta. Pani też zresztą to czuła.

— Tak, to była zadziwiająca chwila.

— Ale teraz wrócił zdrowy rozsądek.

— Proszę mi opowiedzieć o wszystkim, co pan wie. Nie było żadnej wyspy, prawda?

Pokręcił głową.

— Opowiem pani o historii przekazywanej w naszej rodzinie. Mój pradziadek, Magnus Perrensen przyjechał do Wielkiego Stanton. Miał zamiar wrócić do Norwegii, zabierając tam z sobą Ann Alice.

Skinęłam głową.

— Właśnie to wyczytałam w jej pamiętniku.

— Wtedy dowiedział się, że Ann Alice nie żyje. Powiedzieli, że zabiła ją dżuma. Pogrzeb już się odbył, jak zwykle w takich okolicznościach. Zamurovano jej pokój z powodu obaw, że

rzeczy mogą być zakażone. Nie potrafił w to uwierzyć. Powziął podejrzenia wobec macochy Ann Alice i mężczyzny, którego uważał za jej kochanka. Chciał dowiedzieć się prawdy, pragnął zemsty. Przypadki dżumy nie powtórzyły się w tamtej okolicy. A wcześniej były tylko dwa. Ann Alice padła przypuszczalnie ofiarą morderstwa. Nie mógł się uspokoić. Chciał się koniecznie dowiedzieć prawdy. Stał się podejrzliwy. Rozmawiał z cieślą i nie zadowolili go wyjaśnienia. Ale nic więcej nie mógł zrobić. Był młody i pochodził z obcego kraju, a ludzie z dworu byli bogaci i potężni. W końcu poddał się i wrócił do swojej rodziny. Nie mógł jednak odzyskać spokoju. Chciał odnaleźć wyspę.

— Czy ją odnalazł?

Magnus Czwarty Perrensen pokręcił przecząco głową.

— Nie. Nie było żadnej wyspy. Minęło dużo czasu, zanim się z tym pogodził. Nie chciał opuścić tych okolic, więc popłynął do Australii, a tam opanowała go gorączka złota. Zawsze wierzył, że odnajdzie wyspę, chociaż poszukiwania nie zdały się na nic.

— Czy pan też sądzi, że opisał iluzję? Był rozbitkiem, prawda? Na wyspie spędził niewiele czasu. To dziwne, że znowu porwało go morze. Czy wierzy pan, że wszystko mu się przywidziało? Jeżeli tak, musiał wiele dni unosić się na morzu.

— Sądzę, że tę właśnie wersję musimy przyjąć za prawdziwą, chociaż on w głębi duszy nigdy się do tego nie przyznał. Widzi pani, wyspa była doskonała... zbyt doskonała. Ci wspaniali tubylcy... złoto leżące wszędzie dookoła. To sen... ideał. Może on sam w końcu doszedł do tego wniosku, nie wiem. Jednak odkrył złoto. Odniósł wielki sukces. Rozpoczął wydobywanie tego kruszcu na wielką skalę. Miał obsesję na punkcie złota, bo poprzednio widział je tam, na swojej wyspie. I tak to się zaczęło. Stał się bogaty, ożenił się z dziewczyną z Melbourne, miał syna, mojego dziadka... Oto cała historia. Mój ojciec kupił tę wyspę. Używamy jej jako swego rodzaju schronienia, azylu. Czasami spędzamy tu sporo czasu...

— Pan i reszta pańskiej rodziny?

— Głównie ja. Nie mam braci ani sióstr. Ojciec rzadko już tu bywa. Przekazał wszystko mnie.

— A pana rodzina... żona, dzieci?

— Nie jestem żonaty... jeszcze nie.

— Och, ale chce pan się ożenić?

Przyglądał mi się dłuższą chwilę.

— Chyba większość ludzi ma w planach małżeństwo. Bywały okazje... ale coś mnie powstrzymywało. A pani? Czy zadaję zbyt osobiste pytania?

— Takie samo, jakie ja zadałam panu.

Roześmiał się.

— Nie jesteśmy sobie naprawdę obcy, prawda? Jakże moglibyśmy być obcy w tych zadziwiających okolicznościach?

— Racja. Pytał pan, czy zamierzam wyjść za mąż. Pozostawiłam narzeczonego w kraju. Nawet myślałam o poślubieniu go. Prosił mnie o rękę, ale na razie...

— Rozumiem doskonale. I przyjechała pani tutaj...?

— Przyjechałam z przyjaciółką, która wyszła tu za mąż. Ja chciałam odnaleźć mojego brata.

— Pani brata... A więc ma pani rodzinę.

— Miałam brata. Byliśmy sobie bardzo bliscy, pewnie ze względu na sytuację rodzinną. Matka umarła, kiedy się urodziłam, a ojciec ożenił się powtórnie i nie mieszka w Anglii. Zajmowała się nami babcia. Kiedy byliśmy mali, chciano nas rozdzielić i to właśnie bardzo nas do siebie zbliżyło. Mój brat przyjechał w te strony w poszukiwaniu tej mitycznej wyspy... I od tamtego czasu nic o nim nie słyszałyśmy.

— Jak dawno to było?

— Dwa lata temu.

— Och... to niedobrze.

— Chcę go jednak odnaleźć.

— W jaki sposób zamierza pani tego dokonać?

— Nie zastanawiałam się nad sposobem. Sądziłam, że natrafił na jakiś ślad, który zaprowadzi mnie do rozwikłania tajemnicy.

— I znalazła pani ten ślad?

— Właściwie żadnego. Ludzie znali mego brata... pamiętają go... Był na Caribie. Potem wyjechał i nikt nie ma pojęcia, dokąd.

— I nie znalazła pani nikogo, kto mógłby naprowadzić panią na jego trop?

Pokręciłam przecząco głową.

— Jestem taka przygnębiona. Chyba nie ma już nadziei.

— Tak, wydaje się, że to beznadziejne.

— Naprawdę nie wiem, co robić. Wyłynęłam na morze, żeby poszukać wyspy. Jest pewien człowiek na Caribie. Pewnie pan go zna... Nazywa się Milton Hemming.

— Któż o nim nie słyszał. Potężna osoba. Jeśli dobrze wiem, jest wyłącznym właścicielem całej wyspy.

— Ma tam plantację cukru.

— I zabrał panią na morze, tam, gdzie pani zdaniem powinna znajdować się wyspa?

— Tak, mam mapę. Tę, którą znaleźliśmy w zamurowanym pokoju, mój brat wziął z sobą, oryginał. Ja sporządziłam z niego kopię. Dlatego wiedzieliśmy, gdzie ta wyspa powinna się znajdować. Ale nie ma w tym miejscu żadnej wyspy.

— Kompletnie nic?

— Nic. Pan Hemming potwierdził, że nie ma żadnych wysp w promieniu co najmniej stu mil.

— I ma pani tę mapę z sobą, tę kopię? Jest pani pewna, że jest dokładna?

— To absolutnie precyzyjna kopia mapy znalezionej w pokoju Ann Alice. Sama ją wykonałam.

— Pani?

— Tym się tradycyjnie trudnimy. Pana pradziadek zajmował się tym samym, kiedy przyjechał do Anglii. Pewnie porzucił to zajęcie, kiedy zajął się kopalniami.

— Och, tak, oczywiście. Każdy słyszał o mapach Mallorych.

— Czasami ja też sporządzam sztychy. Wiem co nieco o robieniu map... wystarczająco dużo, by zrobić dokładną kopię każdej mapy.

— Rozumiem. Żałuję, że nie mogę pomóc pani w poszukiwaniach brata. Byłbym zachwycony mogąc go poznać. To był dla mnie cudowny poranek.

— Dla mnie też. Wciąż jeszcze nie mogę się otrząsnąć z wrażenia, jakie wywołało we mnie usłyszenie pana nazwiska.

— Ale teraz pani już wie, że nie jestem duchem.

— Wszystko okazało się takie zwyczajne. Wyjaśnił mi pan tak wiele. Czyż to nie nadzwyczajne, że się spotkaliśmy!

— To niemal cud. Kiedy się nad tym zastanowić, wyspa — nie istniejąca wyspa — okazuje się ośrodkiem wszystkiego. Przyjechała pani na jej poszukiwanie, jak przed laty zrobił to mój pradziadek. Przyciągnęła go w te strony, stał się założycielem naszego rodu, to prawda, że w Australii, ale myśl o wyspie nas nie opuszczała. A potem trafiliśmy na tę. Pani znalazła pamiętnik i mapę... i też zjawiała się tutaj. Jest w tym jakaś logika.

— Tak, dlatego to wszystko jest takie niezwykle.

— Czy pani wie, że nasz czas dobiega końca? Minęła godzina. Naprawdę musi pani wracać?

— Muszę. Moja przyjaciółka, pani Granville będzie się niepokoiła. Jej nerwy nie są teraz w najlepszym stanie. W Australii przeżyła straszną tragedię. Jej mąż zginął gwałtowną śmiercią.

— Och... to ten Granville... Bandyci, prawda? Celował w nich, spadł z balkonu i pistolet wypalił.

— Tak, to właśnie ta sprawa.

— Gazety się o tym rozpisywały. Nieszczęśliwa kobieta, rozumiem, że jej nerwy są zszarpane.

— Byłam w ich domu, kiedy to się stało. Przywiozłam ją teraz z sobą na Caribę. Wkrótce wrócimy do kraju.

— Mam nadzieję, że nie zaraz.

— Zostaniemy tu jeszcze czas jakiś, choć poszukiwania mojego brata spełzyły na niczym.

— Obawiam się, że tak.

— I rozumie pan, że nie chcę jej niepokoić.

— Oczywiście. Niedługo stawi się tu pani znajomy, Everton. Odwiedzi mnie pani jeszcze?

— Z przyjemnością. Jestem pewna, że kiedy odpłyniemy, przypomnę sobie mnóstwo spraw, o których chciałabym panu powiedzieć.

— A ja, jeżeli będę mógł, przyłynę na Caribę.

— Byłoby mi bardzo miło.

— Teraz, kiedy odnaleźliśmy się w taki cudowny sposób, to dopiero początek naszej znajomości. Słyszę, że już wracają.

— W takim razie musimy się pożegnać.

— Do zobaczenia — poprawił.

Wszedł zarumieniony i zadowolony John Everton.

— Wyspa jest przepiękna. Wielka szkoda, że nie może pani dłużej zostać i obejrzeć jej.

— Panna Mallory obiecała jeszcze mnie odwiedzić — rzekł Magnus Perrensen.

Odprowadził nas na plażę. Ujął moją dłoń i ucałował.

— Co za przedziwny poranek — stwierdził John Everton w drodze powrotnej. — Kto mógłby pomyśleć, że zostaniemy tak gościnnie przyjęci! I co za dziwny zbieg okoliczności, że on zna pani rodzinę. Dobrze się państwu rozmawiało?

— Tak. To rzeczywiście niezwykle, że nasze rodziny znają się od stu lat.

— Niesłychane! Jestem bardzo dumny, że to właśnie ja nakłoniłem panią do tej eskapady.

— Dziękuję panu. Było cudownie.

Kiedy odpływałam, obserwując jak leżący lew oddala się coraz bardziej, wciąż wydawało mi się, że śnię.

\* \* \*

Siedziałam na tarasie w domu Milтона Hemminga i opowiadałam mu o mojej porannej przygodzie. Poprosiłam Marię, by od czasu do czasu zaglądała do Felicity i posłała po mnie w razie potrzeby. Maria pokiwała głową na zgodę i zachichotała. Pewnie zaczęły już krążyć jakieś domysły o mojej wizycie w domu Milтона.

Wysłuchał mojej opowieści o tym, co się wydarzyło, i najwyraźniej niezbyt mu się to spodobało. Uznałam, że jest urażony, bo okazało się, że w sąsiedztwie mieszka człowiek równie wpływowy, jak Milton.

— Mówi pani, że wypłynęła w morze z prawie całkiem nieznanym człowiekiem!

— Cóż, zdarzało mi się już pływać z nieznanym. Czy dlatego, że nazywa się Milton Hemming, jest to do przyjęcia?

— Oczywiście, że tak.

— Nie rozumie pan? Musiałam zbadać ten trop. Nie chcę zostawiać nie sprawdzonych śladów.

— A zatem popłynęła pani i spotkała tajemniczego właściciela kopalni złota.

— To było niezwykle! Najdziwniejsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła. Kiedy stałam tam na plaży, a on powiedział, że nazywa się Magnus Perrensen, czułam się tak, jakby sen się ziścił... albo jakbym przeniosła się w przeszłość. To było cudowne! A potem on

powiedział, że jest potomkiem tamtego Magnusa i wie o wszystkim, co się wydarzyło... O wszystkim, co zostało zapisane w pamiętniku, bo w jego rodzinie ta historia jest przekazywana z pokolenia na pokolenie.

— I co dalej?

— Po prostu opowiadał i opowiadał... Prosił, żebyśmy zostali na obiedzie, ale nie chciałam niepokoić Felicity. Dlatego wróciliśmy. Nie sądzi pan, że to niezwykle, to nasze spotkanie?

— Aż zbyt niezwykle i dlatego nieprawdopodobne — odparł. — Nie podoba mi się ta cała historia.

— Nie podoba się panu, bo pana tam nie było i pana nie dotyczy.

— Owszem, dotyczy mnie, skoro dotyczy pani. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tym facecie z przeszłości.

— On nie jest z przeszłości. Jest potomkiem tamtego. Och, to doprawdy przedziwne! Nigdy nie myślałam, że coś takiego może się zdarzyć.

— Zdaje się, że przez cały wieczór chodzi pani z głową w chmurach.

— Nie mogę przestać o tym myśleć.

— Ten człowiek okazał się nagle tak bardzo uprzejmy. Zawsze słyszałem, że nie życzy sobie oglądać intruzów na swojej wyspie.

— To były dość szczególne okoliczności.

— Dowiem się o nim, czego trzeba.

— Do czego pan zmierza?

— Nie lubię tajemniczych ludzi. Przyjeżdża tu od czasu do czasu... Jest podobno niezwykle bogaty, posiada jedyne kopalnie złota, jakie w dzisiejszych czasach prosperują. To jakiś fenomen.

— Jeżeli w ogóle zdarzają się fenomeny, pan chce być jedynym.

— Naturalnie. Mam nadzieję, że wypadki na morze z nieznanymi nie wejdą pani w krew. Proszę obiecać, że najpierw poradzi się pani mnie, zanim znowu poniesie panią w nieznane.

— Zarzut pochopnego postępowania można łatwo odwrócić pod pana adresem.

— To co innego.

— Rozumiem. — Uśmiechnęłam się do niego. Już sama obecność Milтона sprawiała mi zadowolenie. Wciąż pamiętałam lęk, jaki mnie ogarnął na myśl, że on znalazł się na dnie morza, a w pobliżu krąży rekiny.

— A przy okazji — dodał — Magda Manuel chce zjeść z panią kolację i proponuje, bym panią przywiózł.

— Z przyjemnością tam pojadę.

— Pojutrze. Felicity też jest zaproszona, jeżeli będzie się dobrze czuła.

Pokręciłam głową.

— Ona nie zechce tam pojechać. Wciąż czuje lęk przed ludźmi. Czy sądzi pan, że wkrótce wyzdrowieje?

— Sądzę, że otrząśnięcie się z tak straszliwych przeżyć musi długo trwać.

— Zapytam ją. W każdym razie ja pojadę z przyjemnością. Odwiózł mnie powozem do hotelu.

— A przy okazji — dodał przy pożegnaniu. — Chciałbym jeszcze raz spojrzeć na tę mapę.

— Mapę?... Ale przecież już tam byliśmy. Nic tam nie ma.

— Mimo to chciałbym jeszcze raz ją obejrzeć.

— Jak pan sobie życzy. Dam ją panu, kiedy się zobaczymy następnym razem.

Poszłam do swojego pokoju. Natychmiast pomyślałam o mapie. Chciałam ją wyjąć, żeby na drugi dzień o niej nie zapomnieć. Trzymałam ją na dnie szuflady w komodzie pewnie dlatego, że Ann Alice też ją tam przechowywała.

Podeszłam do komody, otworzyłam szufladę. Mapy nie było.

Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Nie wyjmowałam jej i nie kładłam nigdzie indziej.



Zadziwiająco!

Przeszukałam raz jeszcze całą szufladę, ale mapa zniknęła. Niepojęte! Musiałam chyba położyć ją gdzie indziej. Ale gdzie? Rano przeszukam dokładnie cały pokój.

Sen przyszedł z trudem. Wciąż przypominałam sobie tę chwilę na plaży, kiedy on powiedział: „Nazywam się Magnus Perrensen”.

Wiedziałam, że wszystko da się logicznie wytłumaczyć, ale jakoś nie potrafiłam przyjąć do wiadomości logicznego wyjaśnienia. Jakbym została sprowadzona tutaj celowo, a tym celem było spotkanie z Magnusem Perrensenem.

Bez trudu uwierzyłam, że to Ann Alice sprowadziła mnie tutaj, bo chciała, bym spotkała jej ukochanego, żebym przeżyła życie, które stałoby się jej udziałem, gdyby nie zginęła tak tragicznie, tak gwałtownie.

Zostaliśmy tu sprowadzeni celowo, ja i mój brat. Ale w jakim celu? Teraz byłam prawie pewna, że jestem zakochana w Miltonie Hemmingu. Ekscytuje mnie, uwielbiam słowne pojedynki z nim, mogłam umrzeć ze strachu, kiedy wyobraziłam go sobie na dnie morza. Czy to miłość? Byłabym pewna, że tak, gdyby nie Raymond. Raymonda też kocham. Ufam mu. A czy ufam Miltonowi? Może nie całkiem, ale nawet w nieufności do niego jest coś podniecającego. Raymond byłby wiernym mężem. A Milton? Cień Magdy Manuel już dawał mi powody do domysłów. Byłam pewna, że są z sobą mocno związani. Życie z Miltonem byłoby burzliwe. Z Raymondem zaś łagodne. Czego więc naprawdę chcę?

Ale teraz był jeszcze Magnus Perrensen. Widziałam go tylko raz, ale tyle razy myślałam o tamtym pierwszym Magnusie. Czułam, że go znam. Tak mocno przeżyłam wydarzenia zapisane w pamiętniku, jakbym naprawdę była Ann Alice. Właściwie w jakimś stopniu nią jestem.

\* \* \*

Życie stawało się coraz bardziej skomplikowane.

Nie ulegało wątpliwości, że tej nocy nawiedzą mnie sny. Znajdowałam się w zamurowanym pokoju, siedziałam przy toalecie, zapisując w pamiętniku to, co się tego dnia wydarzyło. Byłam Ann Alice i wciąż nasłuchiwałam kroków na schodach.

*Słyszę głosy... Coś się dzieje tam na dole... Idę.*

Wtedy usłyszałam kroki na schodach. Spojrzałam na klucz w drzwiach, a on nagle wypadł z zamku. Słyszałam czyjś oddech za drzwiami, które gwałtownie się otworzyły.

Krzyknęłam i obudziłam się mokra od potu, żeby stwierdzić, że leżę pod moskitierą. Byłam osobą, która zmarła sto lat temu i teraz się odrodziłam. Ann Alice, a jednocześnie Annalice. Zjawy wciąż krążyły wokół mnie. To ona życzyła sobie, bym tu przyjechała... I znalazłam się tu. Tego właśnie chciała.

Wpatrywałam się w drzwi. Ktoś je ostrożnie otwierał.

Przez chwilę wydawało mi się, że wciąż śnię. Spodziewałam się ujrzeć złą macochę z jej kochankiem, a kochanek trzymałby w rękach pistolet.

— Felicity! — wykrzyknęłam.

Wyglądała jak zjawy w swojej białej koszuli nocnej, z rozpuszczonymi włosami.

— Słyszałam, że krzyczysz — oznajmiła.

Podeszła do mojego łóżka.

— To... był koszmar — wymamrotałam.

— A więc tobie też się zdarzają.

— Myślę, że każdy człowiek je miewa.

Nagle się roześmiała.

— Wszystko się odwróciło. To ja teraz przychodzę, żeby pocieszyć ciebie.

Odczułam ogromną ulgę. Felicity znowu przypominała dawną siebie, od bardzo dawna nie widziałam jej takiej.

Zaprowadziłam ją do jej pokoju i usiadłam przy łóżku. Rozmawiałyśmy, aż zasnęła.

Wróciłam do siebie.

Teraz byłam całkiem przytomna. Zjawy zniknęły.

## *Noc na samotnej wyspie*

Milton dowiózł mnie wiosłową łodzią na Małą Wyspę, gdzie Magda miała swoją plantację. Felicity początkowo mówiła, że też pojedzie, co dowodziło, że już czuje się lepiej, ale w ostatniej chwili zrezygnowała: nie jest jeszcze gotowa na spotkania z obcymi. Nie próbowałam nawet jej przekonać, bo uznałam, że trzeba poczekać, aż sama poczuje się na siłach. Poczyniła pewne postępy, bałam się wszystko zepsuć.

Tak więc sama płynęłam z Miltonem, patrząc jak porusza wiosłami z taką łatwością, jakby to nie wymagało w ogóle wysiłku.

Nie było wiatru, w powietrzu unosiła się lekka mgiełka, a ciszę przerywał tylko plusk wiosel.

Intrygowała mnie perspektywa zobaczenia Magdy Manuel w jej własnym domu. Muszę przyznać, że czułam ukłucia zazdrości. Kiedy odwiedziła mnie w hotelu, wydawała mi się taka zrównoważona, taka piękna.

— To pana bliska przyjaciółka, prawda? — spytałam nagle Miltona.

— Bardzo dobra przyjaciółka — odparł zagadkowo.

Obie wyspy leżą blisko siebie i już wkrótce byliśmy na drugim brzegu. Milton zacumował łódź i pomógł mi wsiąść.

Miałam na sobie luźną jasną suknię w kolorze lawendy, którą kupiłam w Sydney na ślub Felicity. Była lekka i odpowiednia do tutejszego klimatu. Włożyłam też naszyjnik, który Babcia M. dała mi na siedemnaste urodziny — ametysty oprawione w złoto. Bardzo się starałam, by dobrze wyglądać.

Dom był nieco oddalony od plaży i, podobnie jak dom Miltona, otaczała go plantacja. Też biały, ale mniejszy od jego rezydencji.

Do wejścia prowadziły schody, a Magda Manuel czekała już, by nas powitać. Wyglądała nadzwyczaj elegancko i znowu była w bieli. Wiedziałam, że są narody, które w przeciwieństwie do nas noszą biel na znak żałoby. Zastanawiałam się, czy w ten sposób okazuje smutek, po zmarłym niedawno mężu.

Biała suknia była mocno wydekoltowana, podkreślała jej smukłą talię i doskonałą figurę. Na szyi miała gruby złoty łańcuch, na przegubach złote bransolety. Całości dopełniały kreolskie kolczyki.

Obok niej stał mężczyzna, wysoki i sympatyczny.

Powitanie było ciepłe.

— Jakże się cieszę, że nareszcie widzę panią u siebie — powiedziała. — Chciałam zaprosić panią wcześniej, ale musiałam jeździć do Sydney w interesach. Od czasu do czasu musimy odbywać taką wyprawę. A przy okazji, to jest George... pan Callerby.

— Dobry wieczór — powiedział i uklonił się.

— Bałam się, że spadnie mgła i nie dotrzecie do nas — dodała Magda.

— Rzeczywiście, trochę się zachmurzyło — rzekł Milton. — Ale mgła musiałaby być naprawdę gęsta, żeby nas powstrzymać.

Roześmiała się i zaprowadziła nas do elegancko umeblowanego salonu. Oszklone drzwi prowadziły wprost na trawnik ciągnący się aż do otwartego morza. O tej porze zapalały się w nim czerwone błyski zachodzącego słońca, które wyglądało teraz jak wielka czerwona piłka leżąca na horyzoncie. Niedługo zniknie zupełnie i otoczy nas ciemność.

Podano nam napój sporządzony według miejscowej receptury, do którego już zdążyłam się przyzwyczaić, a Magda Manuel spytała mnie o wrażenia z wysp.

Odpowiedziałam, że są fascynujące.

— A co uznaje pani za najciekawsze na wyspach? — spytał George Callerby.

— Ludzi. Niewątpliwie tutejszych mieszkańców. Wydają się szczęśliwi i zadowoleni.

— Nie zawsze tak bywa — odparta. — Czyż nie, Miltonie?  
— Miewam swoje kłopoty od czasu do czasu...  
— Chodzi o słońce. Prawie cały czas mocno przypieka. Kto chciałby pracować, kiedy słońce tak pali? — wtrącił George Callerby.  
— Wydaje mi się, że oni ciągle się śmieją.  
— Śmiech nie zawsze wyraża radość — powiedziała Magda.  
— To prawda — zgodził się Milton. — Nie pozna pani tych ludzi do końca, nawet jeżeli spędzi tu pani resztę życia.  
— Doskonale sobie z nimi radzisz, Miltonie — odezwał się George Callerby.  
— Znalazłem sposób. Muszą być odrobinę niepewni, trochę się bać... A jednocześnie trzeba z nimi pozostawać w przyjaznej komitywie. Chodzi o zachowanie właściwych proporcji. Należy wypróbować tę metodę. Nauczyłem się tego od ojca.  
— A panna Mallory jest dopiero od niedawna na tych wyspach — stwierdziła Magda.  
— Jak długo zamierza pani u nas pozostać, panno Mallory? — spytał George Callerby.  
Zawahałam się. Wiedziałam, że Milton przygląda mi się.  
— Moja przyjaciółka nadal jest chora — odparłam. — Chcę poczekać, aż wyzdrowieje, zanim zdecydujemy się na trudy podróży.  
— Słyszałam, że miała ciężkie przejścia. Nasza służba dowiaduje się o wszystkim za nas. Płyną na Caribę na targ, pilnie słuchają, co się tam mówi i przywożą nam nowiny. Dlatego o pani Granville też słyszeliśmy i oczywiście o tej straszliwej tragedii.  
Mogłam sobie bez trudu wyobrazić, że wiedzą o nas już wszystko i że Magda uważnie mnie obserwuje — mnie i Milтона. Zastanawiałam się, jakie myśli kryją się w tych ciemnych, nieco skośnych oczach.  
— Czy możemy sięść do stołu? — spytała. — W kuchni panowało wielkie ożywienie. Przez cały dzień omawiali menu. Oczywiście, wszystko zostawiam w ich pieczy. Moja ingerencja mogłaby okazać się fatalna w skutkach. Na moje sugestie odpowiedzieliby tym swoim chichotem, a gdybym nalegała, wszystko by popsuli... a to dlatego, by dać mi nauczkę. I z tego powodu nigdy się nie wtrącam.  
Weszliśmy do jadalni. Było już ciemno i zapalono duże lampy oliwne. W oknach wisiały siatki przeciw owadom, jeden ze służących zaciągnął zasłony. Straciliśmy przez to piękny widok, ale spędziłam już w tych okolicach wystarczająco dużo czasu, by wiedzieć, że lepiej jest wyrzec się pięknych widoków, niż narazić na atak nocnych gości.  
Podano zupę żółwiową. Okazała się wspaniała. Po niej wniesiono dania z ryb. Zaczęłam już się przyzwyczajać do tych nowych gatunków, które różnią się znacznie od jadanych w Anglii. Następnie serwowano steki z aligatora. Smaczne, ale bez wątpienia wiele zawdzięczały przyprawom.  
Dużo bardziej interesowało mnie jednak towarzystwo niż potrawy.  
U szczytu stołu siedziała Magda, tajemnicza i piękna w świetle lamp. Za każdym razem, kiedy podnosiłam wzrok, napotykałam jej uważne spojrzenie. Pomyślałam, że zastanawia się nad charakterem moich stosunków z Miltonem, tak jak ja zastanawiałam się nad jej związkiem z nim. Nie miałam najmniejszych wątpiwości, że żywi do niego dość szczególne uczucia i jest mnie bardzo ciekawa.  
Dużo pytali o Anglię. George Callerby przybył tu przed ośmiu laty, najpierw pracował w pobliżu Sydney. Spotkał tam Milтона, który zaproponował mu przyjazd na Małą Wyspę i poprowadzenie tutejszej plantacji.  
— George zjawił się jak na zamówienie — powiedziała Magda. — Jesteśmy bardzo wdzięczni Miltonowi, że dla nas go odkrył. — Uśmiechnęła się swoim uwodzicielskim uśmiechem, najpierw do Milтона, potem do George'a. — To było dla nas zbawienne — dodała.  
— Dla mnie też — odparł szarmancko George.  
— Trzeba pani wiedzieć, że mojego męża spotkał tragiczny wypadek.

— Annalice mówiła o zadowolonych robotnikach — wtrącił Milton. — Cóż, ci nie okazali zadowolenia. Czy zgodzisz się, Magdo, bym opowiedział o tym Annalice?

— Tak, proszę, powiedz panie Mallory... o ile ją to interesuje.

— Ależ tak.

— Zanim to jednak zrobisz, czy mogę zaproponować, żebyśmy zapomnieli o formalnościach i mówili sobie po imieniu? Jesteśmy przecież przyjaciółmi. — Magda spojrzała na mnie pytająco. — Zgadzasz się?

— Oczywiście.

— Doskonale. A teraz powiedz Miltonie, jak do tego doszło. Zwrócił się do mnie:

— Jeden z robotników wrzucił umyślnie kamień do młyna. Jose nie wiedział, dlaczego młyn się zatrzymał. Wszedł na górę i usiłował go uruchomić. A wówczas konstrukcja runęła i ciężko go okaleczyła.

— To straszne!

— Nie wiem, jak bym to przeżyła, gdyby nie Milton — powiedziała Magda.

— Zrobiłem, co mogłem. Tak postąpiłby każdy uczciwy sąsiad. Przyjechałem na miejsce, rozwiązałem kłopoty z robotnikami i wlałem w nich odrobinę bojaźni bożej.

— Zrozumieli wtedy, że działając przeciw nam, działają przeciw sobie — dodała Magda.

— Uwierzyli, że przy kolejnych kłopotach zamknę plantację — wyjaśnił Milton. — A tego nie chcą. Mają wystarczająco rozsądku, by zrozumieć, że ich dobrobyt zależy od cukru i że plantacja musi istnieć, jeżeli chcą utrzymać dotychczasowy poziom życia.

— Tak, Milton ocalił naszą plantację. Będę mu za to zawsze wdzięczna.

Popatrzyła na niego z taką czułością, że pomyślałam: ona go kocha. Są do siebie podobni. Mają ten sam punkt widzenia, takie same idee, te same zasady, które nie są tak sztywne jak te, w których mnie wychowano. Pomyślałam też, że podobnie jak Milтона, jej również nie powstrzymałoby nic przed zdobyciem tego, czego chce.

— A potem — mówiła dalej — znalazł dla nas George'a. Posłała Callerby'emu promienny uśmiech.

— To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu — oznajmił George.

— George jest stworzony do prowadzenia plantacji — stwierdził Milton. — Wiedziałem o tym, gdy tylko go zobaczyłem.

Przyglądał się im dobrotliwie, ja zaś jakby czułam kłębiące się uczucia. Zaprosiła mnie po to, by mi się dobrze przyjrzeć, myślałam. Jest bardzo piękna, taka kobieta właśnie powinna go pociągać.

Ale jego pociągałam ja, chociaż wcale nie jestem do niej podobna. Widziałam siebie jako osobę zupełnie inną. Ona jest wytworna, doświadczona, wie, jak wabić mężczyzn z pomocą tych subtelnych pochlebstw, którym nie potrafią się oprzeć, a którymi ja bym wzgardziła, nawet gdybym umiała się nimi posługiwać. Jestem kąśliwa, złośliwa, okropnie niepewna siebie i właściwie niedoświadczona.

Teraz rozmowa potoczyła się w innym kierunku.

— Czy wiecie, że George jest astronomem?

George roześmiał się lekceważąco.

— Marnym amatorem.

— Przyjechał do Australii, bo znudziło go nocne niebo po tamtej stronie świata — dodał Milton.

— To niezupełnie prawda — odparł George, uśmiechając się do mnie.

— Uwielbiam słuchać o gwiazdach — odezwał się. — Wydają się takie urzekające. I pomyśleć, że patrząc na gwiazdy można widzieć coś, czego już nie ma, bo to tylko ich dawny blask do nas dociera.

— To wszystko brzmi abstrakcyjnie — stwierdziła Magda. — Tobie nie chodzi tylko o gwiazdy, prawda, George? Chodzi ci o ziemię, jej wiek i wszystko, co się z tym wiąże. Opowiedz, co kiedyś mówiłeś mi o klimacie, topnieniu lodów, zalewaniu lądów...

— Naprawdę was to interesuje? — spytał George.

— Mnie tak... bardzo — powiedziałam.

— Mówiłem tylko, jak wielkie zmiany mogą wywołać na ziemi różnice stref klimatycznych. Kędy wszystko jest zrównoważone, życie staje się przewidywalne. Ale wystarczy nagła zmiana... niewielka zmiana... i powstaje chaos. Epoka lodowcowa wszystkich nas by zmroziła... A gdyby stało się cieplej, lodowce na biegunach powoli zaczęłyby topnieć. Proszę sobie wyobrazić, że przybywa wody na całej kuli ziemskiej. Kontynenty zostają zatopione.

— Miejmy nadzieję, że to się nie zdarzy, przynajmniej za naszego życia — wtrąciła Magda. — Skarżymy się na upały, ale myśl o roztopieniu się lodowców jest straszna. Co by nastąpiło, gdyby znów doszło do potopu? Przerazające!

— Od stu lat obserwuje się powolne zmiany w klimacie naszej planety — stwierdził George. — Czytałem, że miał już miejsce okres niezwyklej upałów, który spowodował roztopienie się części lodowców, przez co poziom wód w morzach i oceanach trochę się podniósł. Trudno to zauważyć tutaj, tak daleko od biegunów... ale według geologów miało to miejsce całkiem niedawno.

— Mam nadzieję, że zostaniemy w porę ostrzeżeni, jeżeli coś takiego znów będzie miało nastąpić — stwierdził Milton.

— Najprawdopodobniej wszystko przebiegać będzie niepostrzeżenie.

Skończyliśmy mrożone desery i Magda zaproponowała powrót do salonu.

Podziękowałam za wspianą kolację, a Magda spytała, czy chciałabym obejrzeć dom. Chętnie się zgodziłam.

— W takim razie zostawimy panów, niech porozmawiają — powiedziała. — Znają ten dom doskonale i nie mają zapewne ochoty zwiedzać go znowu.

Wzięła świecę i poprowadziła mnie na górę po schodach z bogato rzeźbioną balustradą. Miały w sobie coś hiszpańskiego, tego zresztą należało się spodziewać. Sądząc po nazwisku, Jose był Hiszpanem, a Magda prawdopodobnie też.

— Mój mąż kazał wybudować ten dom wkrótce po tym, gdy się tu sprowadziliśmy. Myślę, że chciał tu zachować kawałek ojczyzny. Ale to się nigdy tak naprawdę nie udaje w obcym kraju.

Pokazała mi swoją sypialnię. Stało tam wielkie łóżko z muślinowymi moskitierami. Pomyślałam o Miltonie odwiedzającym ją tutaj i zapragnęłam czym prędzej opuścić to pomieszczenie. Poprowadziła mnie do innych pokoi. Nieuważnie słuchałam jej słów. Przez cały czas kłębiły się w mojej głowie myśli, co łączy Magdę z Miltonem.

— Stworzyłaś czarujące wnętrza — powiedziałam.

— Mam nadzieję, że się udało — odparła. — Jesteśmy tu jakby odcięci od świata. Wychowałam się w wielkim mieście. Tutaj jest zupełnie inaczej. Po wszystko trzeba pływać na Caribę. Miło jest mieć wokół przyjaciół. Po wypadku Josego nie poradziłabym sobie bez Milтона.

— Rozumiem.

— Wiele mu zawdzięczam. Jest cudownym przyjacielem. I Jose też bardzo go polubił. Polegał na nim.

— A teraz masz George'a. Przypuszczam, że doskonale sobie radzi.

— George... och, tak. Ale nigdy nie zapominam, że to Milton go dla nas odkrył. Widzisz, on jest moim dobroczyńcą. To bardzo dobry człowiek, chociaż ludzie nie zawsze go doceniają, bo... rządzi Caribą żelazną ręką. Lękają się go. To cudowne wzbudzać w innych takie odczucia.

Zgodziłam się z nią.

— Wszyscy wiedzą, że jeżeli pojawią się kłopoty, Milton poradzi sobie. To dla nas wielka pociecha. Od niego naprawdę zależy dobrobyt Cariby. Cóż... myślę, że powinniśmy już dołączyć do panów. Z pewnością zastanawiają się, o czym tak długo rozprawiamy.

Zeszliśmy na dół.

— Myślałem, że postanowiliście nas opuścić — odezwał się Milton.

— Rozmawialiśmy — wyjaśniła Magda.

— Mam nadzieję, że nie o mnie.

— No, widzisz, przyznaje, że jest niezwykle ważny. Nawet kiedy go nie ma, wydaje mu się, że rozmawiamy wyłącznie o nim.

Przyjrzał się Magdzie uważnie. Z pewnością zastanawiał się, o czym mi mogła powiedzieć.

— A właściwie — odezwałam się — to rzeczywiście mówiliśmy o tobie.

— Nie bądź taki przerażony — wtrąciła Magda z uśmiechem. — Mówiłam tylko miłe rzeczy.

— A cóż innego można by o mnie powiedzieć? — i dodał — Czas już wracać.

— Czy musicie? Jeszcze nie ma jedenastej.

— Moja droga Magdo, muszę jeszcze wiosłową łodzią dostarczyć tę młodą damę całą i zdrową do hotelu.

— Cóż, w takim razie będziemy musieli się pożegnać.

— Wkrótce spotkamy się na kolacji u mnie. Ty też przyjedź, George. Zjemy we czworo.

Przyniesiono mój płaszcz. Było to delikatne kaszmirowe okrycie, które wzięłam, bo noc mogła okazać się zimna.

— Wciąż ta mgła! — wykrzyknęła Magda, kiedy wyszliśmy na zewnątrz.

— Istotnie, trochę się zagęściła — dodał George.

— Miltonie, czy jest wystarczająca widoczność? Moglibyście przenocować u mnie.

— To nic — stwierdził Milton. — Przed nami niedaleka droga, a jeżeli w ogóle ktokolwiek ją zna, to ja właśnie. Bóg wie, ile razy ją przemierzałem.

Wymienili spojrzenia. Czy były znaczące, czy tylko mi się wydawało? Wyobraziłam sobie, jak w nocy cicho dopływa do wyspy, bez szmeru zakrada się do domu. Mąż inwalida śpi. Magda wychodzi mu na spotkanie. Padają sobie w ramiona...

— Chodź, Annalice! Rozmarzyłaś się.

Tak, pomyślałam, wyobraziłam sobie ciebie i Magdę razem i wcale mi się to nie podoba. Zganiłam się za te głupie odczucia. Co jego przeszłość miała wspólnego ze mną? Ale przeszłość wpływa przecież na teraźniejszość!... Podał mi płaszcz i otulił mnie.

— Jest chłodno — powiedział. — We mgle może być naprawdę zimno.

Pomógł mi wsiąść do łodzi, odepchnął ją od brzegu i wskoczył do środka. Magda i George stali na brzegu i machali do nas na pożegnanie.

— Czy jesteś przekonany, że powinniście płynąć w tej mgle? — zawołała jeszcze Magda.

— Znam drogę — odparł Milton.

Odplynęliśmy.

— I jak? — spytał.

— To niezwykle wieczór.

— Tak, widziałem twoje zainteresowanie.

— Fascynująca kobieta.

— Zgadza się.

— I zarządza tą plantacją przy pomocy George'a Callerby'ego. To wspaniale jak na kobietę.

Popatrzył na mnie złośliwie.

— Ma dobrych przyjaciół.

— Na przykład ciebie.

— Należę do ich grona.

— I jesteś jej szczególnym przyjacielem, jeśli dobrze zrozumiałam.

— Tak, można tak powiedzieć.

Milczałam.

— Zimno? — spytał.

— Tak, trochę.

— Ta mgła to przekleństwo.

— Często się zdarza w tych stronach?

— Cóż, nie na co dzień. Ale gdy już się pojawi, wydaje się być stałą cechą tej pory roku.

— Chyba jeszcze się zagęszcza.

— Rozumiem, że trochę się niepokoisz. Czy jeszcze nie wiesz, że możesz mi całkowicie ufać?

— Nie jestem o tym do końca przekonana.

— Nie martw się. Nawet jeżeli zniesie nas na pełne morze, ze mną będziesz bezpieczna.

Przez chwilę wiosłował w milczeniu. Potem złożył wiosła i rozejrzał się.

— Gdzie u licha, podziła się ta Cariba? Powinniśmy już być u celu.

— A więc zabłądziliśmy!

Nie odpowiedział. Zaczął znowu wiosłować. Po kilku minutach z mgły wynurzył się skrawek ziemi.

— Wygląda znajomo — oznajmiłam. — Ale to chyba nie brzegi Cariby.

— Rzeczywiście. To nie nasz brzeg. Niemniej zamierzam tu przybić. Nie ma sensu błąkać się nadal w tej mgle.

— Jeśli to nie Cariba, to gdzie jesteśmy?

— Na małej wyspie. Kawalek drogi od Cariby. Byłbym głupcem, usiłując dotrzeć tam w tej mgle. Rzadko się zdarza, by tak gęsta mgła trwała długo. Obawiam się, że zostałam rozbitkiem na tej wyspie. Ale się nie martw, bo jestem z tobą.

— O nie!

— O tak! Kręciliśmy się w kółko. Teraz dokładnie wiem, gdzie wylądowaliśmy. Musimy tu zostać, dopóki mgła się nie podniesie.

— To może potrwać... całą noc. Popatrzył na mnie z rozbawieniem.

— Owszem, może.

On to chyba wszystko zaplanował, pomyślałam. Wierzyłam, że cały czas wiedział, dokąd płyniemy. Walczyły we mnie podniecenie i złość. To dla niego znamienne. Nie można mu ufać!

Kil szorował o piasek. Milton wyskoczył do płytkiej wody, wziął mnie na ręce i zaniósł na brzeg.

— Muszę wyciągnąć łajbę — powiedział. — Nie chcemy przecież, by ją zmyły fale. Potem pójdziemy poszukać schronienia.

— Czy na tej wyspie są ludzie?

Uśmiechnął się do mnie i pokręcił przecząco głową.

— Ma jakieś pół mili długości i jeszcze mniej szerokości. Zwyczajna skała stercząca z morza. Kiedyś była większa, ale morze ją zalało.

— Gdzie tu znajdziemy schronienie?

— Jeżeli dobrze pamiętam, stoi tu stara szopa na łodzie. W każdym razie kiedyś stała. Bywałam tutaj w czasach wczesnej młodości. Zobaczymy, jeżeli jest, zapewni nam schronienie. Chodźmy, podaj mi rękę.

Podaliśmy mu rękę, a on pociągnął mnie za sobą.

Nagle objął mnie ramieniem.

— Idziesz coraz wolniej. Wahasz się. Czy coś cię niepokoi?

— Trudno to nazwać komfortową wycieczką.

— Obiecuję ci wkrótce komfort. Chodźże ze mną.

Wspięliśmy się na niewysokie wzniesienie.



— Mała górka. Dzięki Bogu za to. Gdyby jej tu nie było, morze już dawno zmyłoby wszystko. No, tak... jest stara szopa.

— Dlaczego ktoś zbudował szopę na łodzie w miejscu, gdzie nikt nie mieszka?

— To relikt przeszłości... dni, kiedy ludzie tu mieszkali. Tak mi zawsze mówiono.

Pantofle miałam pełne piasku, trudno mi było iść. Objął mnie w pól, podniósł, jakbym była paczką.

— Postaw mnie — powiedziałam. — Jestem za ciężka.

— Nie szkodzi — odparł — jakoś sobie poradzę. No, jesteśmy na miejscu. Trochę bardziej zrujnowana niż w czasach, które pamiętam, ale czegoś innego można oczekiwać?

Postawił mnie na ziemi i otworzył drzwi. Niemal wyleciały z zawiasów.

W środku leżało coś długiego i ciemnego. Przyjrzałam się temu dokładnie. Była to stara łódź.

— Wciąż tu jest! — zawołał na jej widok. — Zostaw drzwi otwarte, bo inaczej nic nie zobaczymy. Kładłem się w niej, kiedy byłem mały, i wyobrażałem sobie, że żegluję po dalekich morzach. Jest całkiem wygodna. W tamtych czasach wiedzieli, jak robić łodzie. Zdaje się, że ma ponad pięćdziesiąt lat.

Objął mnie ramieniem.

— Będzie nam tu wygodnie.

Odsunęłam się od niego.

— Nie wychodź stąd, bo zmarzniesz. W łodzi będzie ciepło i przytulnie. Zrobimy sobie wygodne posłanie i poczekamy, aż mgła się podniesie.

— Będą się zastanawiać, gdzie się podziałam.

— Do rana nikt o tym nie pomyśli.

— Zawsze mówię Felicity dobranoc. Będzie się niepokoiła.

— Wie, że jesteś ze mną.

— To ją tym bardziej zmartwi.

Roześmiał się.

— Pomyślą, że zostaliśmy na noc u Magdy. Nikt nie usiłowałby wracać w taką pogodę.

— Ale ty spróbowałeś.

— Cóż, ja próbuję wielu rzeczy. Chodź. Będzie nam razem wygodnie. Wymościmy sobie posłanie w tej łajbie.

— O, nie!

— Czyż już nie czas? — spytał. — Jak długo zamierzasz trzymać mnie na dystans?

— Wszystko to zaaranżowałeś.

— Bierzesz mnie za potężniejszego niż jestem w istocie. Chociaż jestem cudotwórcą, pogodą nie rządę.

— Myślę, że gdybyś chciał, mogłeś zawieźć nas z powrotem na Caribę.

— Doprawdy?

— Tak, i myślę, że przyplynałeś tu umyślnie.

— A byłabyś z tego zadowolona?

— Zadowolona!? Ja chciałam wrócić do hotelu.

— Zobaczysz, ta łajba będzie bardziej interesująca niż twoje dziewicze łódeczko.

— Ty... zaplanowałeś to!

— Już ci mówiłem, nie sprowadzam mgły na zamówienie.

— Ale skorzystałeś z okazji.

— Zawsze korzystam z okazji.

Objął mnie ramieniem i pocałował. I jakoś, ku mojemu przerażeniu, oddałam mu pocałunek, zanim odsunęłam się z oburzoną miną. Nie mogłam zapomnieć o Magdzie, ale zdałam sobie sprawę, że nie ufam sobie ani trochę więcej niż jemu. Łatwo przyszłoby zapomnieć o całym świecie, oprócz tego, że jestem z nim tu sama. Tak naprawdę, tego właśnie chciałam... znaleźć

się z nim sama... Ale bałam się. Prześladowały mnie trochę zobowiązania wobec Raymonda, a trochę pamięć o tym, co przeżyłam na Wyspie Lwa. Było prawie tak, jakby Ann Alice zażądała, bym okazała siłę, bym nie poddawała się impulsom. Nie po to mnie nawiedza w myślach, sprowadziła tutaj z drugiego końca świata. Spotkałam go raz... i jeszcze go zobaczę. W tym krótkim czasie, który spędziliśmy razem, coś się ze mną stało. Byłam najzupełniej pewna, że jeszcze zobaczę Magnusa Perrensena.

Nie znalazłam się sama na bezludnej wyspie, jestem tu z Miltonem Hemmingiem. Ale Ann Alice jest z nami także.

Wciąż mnie całował.

— Nie bój się. To było nieuniknione... od chwili, kiedy się poznaliśmy. Wiedziałem, że jesteś dla mnie stworzona... i ty też o tym wiesz, prawda? To się czasami zdarza.

Przytuliłam się do niego na chwilę. Odejdź, Ann Alice! pomyślałam. Nie jestem tobą, jestem sobą. Twoje życie skończyło się w tym zamurowanym pokoju. To ja jestem tutaj, żyję, i chcę być z tym mężczyzną, bo to prawda, że go kocham — jeżeli kochać to znaczy chcieć być z nim, blisko niego, dzielić z nim życie.

Szybko wyczuł mój nastrój. Wziął mnie na ręce i ułożył w łódce.

Wyjął szpilki z moich włosów i schował je do kieszeni. Trochę nieprzytomnie pomyślałam, że to raczej praktyczne. Będę musiała upiąć włosy, zanim wrócimy na Caribę. Przyszło mi do głowy, że pewnie ma w tym wprawę.

— Pięknie wyglądasz.

— Ile kobiet przywoziłeś już na tę wyspę... do tej łodzi?

— Masz zaszczyt być pierwszą i przysięgam, że nigdy nie będzie następnej. Może odbędziemy tu kiedyś pielgrzymkę, zanim wrócimy do Anglii. Będziemy pamiętać o tej nocy... o prawdziwym początku.

— Początku czego?

— Wzajemnej miłości.

— A więc uważasz, że dziś w nocy uda ci się mnie uwieść?

— To doskonale miejsce. Naprawdę romantyczne, o ile nie przeszkadza ci ciasnota. Możliwe, że ta łajba nie zachowała już swojej pierwotnej urody. Z zewnątrz dobiega cichy szum fal rozbijających się na piasku, a nad nami lekka, zesłana przez niebiosy mgła.

— Nie.

— Nie?

— Nie chcę.

— Moja najdroższa Annalice, czy sądzisz, że cię nie znam? Chcesz. Kochasz mnie... i chcesz mnie, bardzo... tak jak ja ciebie. Od bardzo dawna.

— Już ci wyjaśniałam, że jestem prawie zaręczona z kimś innym.

— Po dzisiejszej nocy zrozumiesz, że to zupełnie wykluczone.

Zignorowałam jego słowa.

— Pachnie morską wodą — powiedziałam.

— A czym miałyby pachnąć? Arabskimi perfumami?

Był obok i obejmował mnie ramionami.

— Chcę, żebyś mnie posłuchał.

— Słucham.

— Rozumiem, że jestem tu zdana na twoją łaskę. Jesteś ode mnie silniejszy. Jeżeli będę się opierać, możesz mnie obezwładnić. Czy to właśnie chcesz zrobić?

— Sama do mnie przyjdiesz. Z własnej chęci.

— Tak. Albo wcale.

— Skoro przyznajesz, że przewyższam cię siłą, jakże mógłbym nie osiągnąć celu?

— Mógłbyś odnieść chwilowy sukces, gdybyś mnie zmusił. Ale to byłby gwałt.

— Określenie techniczne.

— Nigdy bym o tym nie zapomniała i nigdy nie wybaczyła. Może uzyskałbyś chwilową satysfakcję, ale to tylko ujawniłoby, na czym od dawna chciałam cię przyłapać.

— Wcale tak nie myślisz.

— Przysięgam, że tak. Wyjechałabym natychmiast. Zabrałabym z sobą Felicity. Powiedziałabym jej, co się stało. Gdyby uznała, że teraz ona musi się mną zaopiekować, odzyskałaby siły. Zrozumiałaby. Podobne rzeczy jej się przydarzyły. I nic jej tego nie wynagrodzi. Ona była żoną tego brutala. Ja jestem wolna i albo przyjdę do ciebie z własnej woli... nie w naprędcie ułożone posłanie dlatego, że nadarzyła się okazja, ale dlatego, że chcę, że to z mojej własnej i nieprzymuszonej woli...

Pocałował mnie delikatnie.

— Tak. Mów dalej.

— To noc prawdy?

— Owszem.

— Wyjaśnię ci więc. Wydaje mi się, że jestem w tobie zakochana. Chcę z tobą być. Chyba jestem szczęśliwsza przy tobie bardziej niż gdziekolwiek indziej. Ale żywiłam też jakieś uczucia do Raymonda Billingtona. Jest do ciebie całkiem niepodobny... usuwa się w cień, pozostaje całkiem bezinteresowny. Ty taki nie jesteś.

— Jestem bardziej ludzki.

— Tak. Przychodzisz i bierzesz to, co chcesz. Możesz mnie teraz wziąć, ale to będzie znaczyło, że straciłeś mnie na zawsze.

— Wcale nie. Pokazałbym ci, ile możemy dać sobie wzajem. Jak dobrze do siebie pasujemy. Pokazałbym ci, że moglibyśmy spędzić razem szczęśliwe życie.

— Jak dobrze mnie znasz?

— Doskonale. Dlatego właśnie cię kocham, że tak dobrze cię znam, i wiem, że jesteś dla mnie stworzona.

— A zatem, jeżeli tak dobrze mnie znasz, znasz też moją dumę. Nie poddam się. Ulegnę z własnej woli albo wcale. Byłam z Felicity w tym strasznym domu, gdzie co noc znosiła męki. Nie tylko na nią to wszystko wpłynęło. Na mnie także. I wiem, że jeżeli poślubię albo zostanę pokochana przez mężczyznę, nigdy się nie poddam. Będę mu równa. Nie pozwolę się zmusić... jak Felicity. Rozumiesz mnie?

— Tak. Mów dalej.

— Myślę, że chcę być z tobą bardziej niż z kimkolwiek innym. Ale jest jeszcze Raymond. Dobrze go znam. Jest dobry i łagodny. Myślę, że mogłabym być z nim szczęśliwa. Nie byłoby podniecenia, jakiego mogę zaznać z tobą. Wiem o tym. Byłoby jednostajnie... żadnych wzlotów... żadnych upadków...

— Co uznałabyś za niezwykle nudne.

— Nie nudne. Miłe... jak żeglowanie w pogodny dzień.

— Burze pojawiają się zwykle na najspokojniejszych wodach. Mgły...

— Tak, wiem o tym, ale na Raymondzie można polegać.

— A na mnie nie?

— Nigdy nie byłabym pewna. Nie wątpię, że znałeś wiele kobiet.

— A Raymond jest oczywiście czysty jak łąza. Rycerz bez skazy. Czy to twój Galahad? Pewnie siedzi w domu, poleruje swojego świętego Graala i wcale się nie zastanawia, co się z tobą dzieje.

Nie mogłam powstrzymać śmiechu.

— To absurd — powiedziałam.

— To twoja wina, że wspominasz ten klejnot bez skazy w taką noc.

— Nie zapominaj, że przyjechałam tu z pewną misją — przypomniałam mu. — Chcę znaleźć mojego brata. Mam niezwykle przeczucie, że rozwiążę tę zagadkę.

— Myślisz o tym obcym na Wyspie Lwa.

— Tak. Właśnie o nim.

— A gdzie jest jego miejsce w naszej tajemnicy?

— To takie dziwne. Czasami mi się wydaje, że naprawdę jestem Ann Alice... że ona jest częścią mnie. Że żyje znowu we mnie.

— Oczarował cię ten człowiek. Wiesz, co myślę? Że jest bardziej niebezpieczny niż święty Raymond.

Milczałam. Czy Magnus Perrensen jest niebezpieczny? Leżałam w łódce przy mężczyźnie, którego sama obecność mnie ekscytuje i było tak, jakby Ann Alice była tam ze mną, kładąc słowa w moje usta... mówiąc mi, że muszę pozostać czysta, jakby ona zażądała, abym — kiedy przyjdzie czas — mogła poślubić Magnusa Perrensena. Ale przecież Ann Alice umarła. Czyżby wybrała mnie, bym przeżyła życie, którego jej odmówiono?

— Miewasz czasami dziwne pomysły — powiedział całując mnie w czoło.

— Jestem z tobą szczerą. Byłeś kochankiem Magdy Manuel, prawda?

Zawahał się.

— Była samotna, a potem... jej mąż został inwalidą. Odwiedzałem ich. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy.

— A mąż?

— Myślę, że wiedział.

— Rozumiem... Wygodne rozwiązanie.

— To naprawdę nie miało przyszłości, nie mogło przetrwać dłużej. Wciąż czekałem, aż ty się zjawisz. Szkoda, że tak długo zwlekałaś.

— Ona chyba mnie nie lubi.

— O, nie! Magda to kobieta światowa. Zrozumiała. Nigdy nie było mowy o małżeństwie między nami.

— Ale byliście w sobie zakochani?

— To zależy, co rozumiesz przez bycie zakochanym. Lubiliśmy się. Było nam razem dobrze. Pasowaliśmy do siebie. Pozostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. Wiele dla niej znacę.

— Rozumiesz... co czuję?

— Otaczają cię konwenanse, tkwisz w ich panczerzu. Tutaj nie jest całkiem tak samo jak w Starym Kraju. Może klimat to sprawia. Jestem przekonany, że z czasem zrozumiesz.

— A ty i Magda teraz?

— To skończone.

— Dla niej chyba nie.

— Dobrze ją znam...

— Wydaje się tajemnicza, skryta.

— To dlatego, że patrzysz na nią w pewien sposób. Nie chcesz, bym lubił także jakąś inną kobietę... nawet zanim poznałem ciebie. Podoba mi się to. To dla mnie pociecha.

Milczałam, a on tulił mnie do siebie, całując delikatnie po twarzy. On mnie naprawdę kocha, pomyślałam. Chciałam zwrócić się do niego i powiedzieć, że chcę być dla niego wszystkim... zostać z nim na zawsze. Prawie to zrobiłam. Musiałam tylko wypowiedzieć słowo. Chciałam wypowiedzieć to słowo... ale powstrzymywały mnie siły, których do końca nie rozumiałam.

Leżeliśmy blisko i bardzo długo. Otaczał mnie ramionami.

Nigdy tego nie zapomnę — delikatny szum wody na zewnątrz... cisza... spokój... świadomość, że kocha mnie wystarczająco, by powstrzymać tę namiętność, którą w nim czułam, bo wierzył, że moje życzenia należy szanować.

Miłość między nami musi być doskonała. Żadnego ukradkowego romansu w starej łodzi, dlatego że mgła uniemożliwiła nam powrót. Pokochałam go jeszcze bardziej, bo to rozumiał.

Nie wiedziałam, która jest godzina, ale musiał być już wczesny ranek, kiedy mgła się podniosła. Byłam zeszywniała. Pomógł mi wyjść z łodzi.

— Zrobiło się całkiem ładnie — powiedział. — Widać Caribę.

— Jest tak blisko — odpowiedziałam. Uniosłam twarz, a on mnie pocałował.

— Dziękuję — powiedziałam. — Nigdy nie zapomnę tej nocy. To będzie jedno z moich najcenniejszych wspomnień.

— Powrócimy tu co roku. Nawet gdy zamieszkamy już w Anglii.

— Zobaczymy.

— Nie musisz się zastanawiać. To obietnica.

— Kto to może wiedzieć.

— Ja.

— A ty masz zawsze rację.

Znowu był dawnym sobą, ale pomyślałam, że tej nocy widziałam inną stronę jego natury. I kochałam go za to jeszcze bardziej.

Usiadłam w łodzi, którą przyплыliśmy. Uśmiechał się do mnie. Wyjął z kieszeni szpilki do włosów.

— Podobają mi się rozpuszczone — powiedział. — Ale bardziej elegancko wyglądasz, kiedy są upięte.

Wzięłam od niego szpilki, a on ujął wiosła i popłynęliśmy na Caribę.

## *Ogień na Caribie*

Wszyscy myśleli, że spędziliśmy noc na plantacji u Magdy. Mgła była wystarczającym ku temu powodem. Felicity początkowo się niepokoiła, ale potem przestała i z ulgą zauważyłam, że naszej nieobecności nie poświęcano wiele uwagi. Może rozlegało się trochę więcej chichotów, ale udawałam, że ich nie słyszę.

Felicity wydawała się trochę zdrowsza. Zjadłyśmy razem śniadanie. Opowiedziałam jej o plantacji Magdy, a ona okazała nawet nieco zainteresowania, co się rzadko zdarzało. Uznałam, że jej obojętność już mija, co z pewnością oznaczało poprawę.

Lubiłam patrzeć, jak przyplływa statek z Sydney, zasiadałam wówczas na tarasie i czekałam na niego. Port stawał się wtedy jeszcze bardziej ożywiony, na nabrzeżu zbierały się wozy zaprzężone w muły, a przekupnie jeszcze rojniej rozstawiali swoje kramy.

Zaczęłam się już przyzwyczajać do tej sceny. Czułam, że z wolna staję się częścią wyspy. Wspomnienia poprzedniej nocy wciąż były żywe, w wyobraźni nadal leżałam w starej łodzi z Miltonem. Ceniłam to wspomnienie, bo wierzyłam, że okazał, iż naprawdę mnie kocha. Nie byłoby dla niego niemożliwe przełamanie moich skrupułów, ale nie zrobił tego.

\* \* \*

Potem zaczęłam myśleć o Raymondzie, a może jeszcze więcej o Magnusie Perrensenie. Budził we mnie takie dziwne uczucia. Wydawał się bardzo odległy, nawet jego słowa brzmiały trochę staroświecko. Gdyby mi powiedział, że naprawdę jest Magnusem Perrensenem, narodzonym ponownie, pewnie byłabym gotowa mu uwierzyć.

Statek przyplłynął. Gapie zbiegli się na brzeg. Przyglądałam się im obojętnie, myślami będąc zupełnie gdzie indziej.

Nagle się ocknęłam. Nie, to niemożliwe. Ja chyba śnię. Z pewnością to złudzenie. Ale to była prawda! Z jednej z małych łódek, które przewoziły pasażerów ze statku na brzeg, wysiadł Raymond! Albo ktoś niezwykle do niego podobny. Niektórzy miewają sobowtórów, można się pomylić... zwłaszcza z tej odległości.

Wybiegłam z hotelu i popędziłam na nabrzeże, spodziewając się, iż postać zmieni się w kogoś zupełnie innego, kiedy się do niej zbliżę.

Ale im bardziej się zbliżałam, tym pewniejsza byłam, że jednak nie uległam złudzeniu.

— Raymondzie! — zawołałam.

Postawił na ziemi torbę podróżną i patrzył prosto w moim kierunku.

Podbiegłam do niego, a on chwycił mnie w ramiona.

— Annalice!

— Raymondzie! Och... Raymondzie! To naprawdę ty!

— Przyjechałem zobaczyć się z tobą... i z Felicity.

— Och, Raymondzie, co za niespodzianka! Dlaczego nas nie zawiadomiłeś? Nie spodziewaliśmy się...

— Zdecydowałem się na podróż wkrótce po twoim wyjeździe. Chodziło tylko o załatwienie kilku spraw. Widzisz, to jest też podróż w interesach. Musiałem zobaczyć się z kimś w Sydney.

— Dlaczego nas nie zawiadomiłeś?

— Listy tak długo idą. Właściwie to wysłałem list.

— Dokąd?

— Na farmę Granville'a.

— Opuściłyśmy ją tak dawno! Dlatego nie wiesz, co się stało. Czy dostałeś moje listy?

— Dostałem jeden, gdy właśnie miałem wyruszać. Coś się źle działo. Felicity była nieszczęśliwa. Jej małżeństwo się nie udało. Tyle mi napisałaś. Najpierw pojechałem tam... na

tę farmę. Została już sprzedana. Usłyszałem, że ty i Felicity wyjechałyście do Sydney, a tam z kolei dowiedziałem się, że popłynęłyście na Caribę.

— Och, Raymondzie, jest tyle do opowiedzenia. Zatrzymasz się w tym hotelu.

— Gdzie Felicity?

— Jest tutaj. Była chora... bardzo chora.

— Chora? — powtórzył zaniepokojony.

— Myślę, że już zaczyna dochodzić do siebie. Raymondzie, muszę wszystko ci opowiedzieć, zanim się z nią zobaczysz. Nie jest sobą. Niemal się załamała. Tyle przecierpiała. Nie słyszałeś o śmierci jej męża? Do Anglii pewnie jeszcze nie dotarły te wiadomości. Pisały o tym gazety w Sydney.

— Moja droga Annalice, o co w tym wszystkim chodzi? Tak się cieszę, że cię widzę. Bardzo mi ciebie brakowało.

— I cały czas zamierzałaś tu przyjechać?

— No, nie miałem pewności. Chodzi o interesy. Nie chciałem mówić, że pojedę za wami, a potem was zawiadomić, że to jednak nie dojdzie do skutku.

— Gdzie jest twój bagaż?

— Przewożą go na brzeg.

— Pójdę wynająć ci pokój w hotelu, a ty tymczasem zajmij się bagażem. I chcę z tobą porozmawiać, zanim zobaczysz się z Felicity.

— Czy z nią aż tak źle?

— Było bardzo źle. Ale pomału wraca do zdrowia. Natychmiast pójdę i zajmę się twoim pokojem. Każ im przynieść bagaż do hotelu. Muszę z tobą pomówić.

— To wszystko wygląda strasznie tajemniczo.

— Raymondzie... to taka niespodzianka. Tak się cieszę, że tu jesteś.

Ujął moją dłoń i ucałował. Zostawiłam go na nabrzeżu i pobiegłam do hotelu. Rosa wynajęła pokój z pełnym podniecenia uśmiechem. Przyjechał przyjaciel mój i pani Granville. Dżentelmen. Bardzo ją to zainteresowało, widziałam, że nie może się już doczekać chwili, w której podzieli się nowinkami ze znajomymi.

Kiedy Raymond dostał już pokój i zaniecono bagaż na górę, zabrałam go na taras i poprosiłam o napój tubylców.

Potem opowiedziałam mu o wszystkim, o charakterze Williama Granville'a, który nagle się ujawnił, o strasznym traktowaniu, na jakie skazana była Felicity, zakończonym strzelaniną na balkonie.

— Biedne dziecko! — powiedział. — Ile ona musiała wycierpieć!

— Nic dziwnego, że jest trochę... wytracona z równowagi. — To takie delikatne stworzenie... tak starannie wychowane. I trafiła na takiego brutala.

— Istotnie, miała pecha. Ale po pierwsze, nigdy nie powinna była zgodzić się na zostanie jego żoną.

— Pewnie miała ochotę na podróż.

— Nie sądzę, by o to naprawdę chodziło.

— Kiedy mogę się z nią zobaczyć?

— Myślę, że najlepiej będzie, jeśli pójdziesz teraz do jej pokoju.

Wstał skwapliwie i poszliśmy na górę.

Poprosiłam Raymonda, by poczekał chwilę na korytarzu i najpierw sama weszłam do jej pokoju. Siedziała przy oknie, obojętnie wpatrując się w szyby.

— Felicity — odezwałam się — ktoś chce się z tobą zobaczyć.

Zerwała się. Nie wiem, kogo się spodziewała. Ducha Williama Granville'a? Pani Maken? Kogoś z przeszłości.

— To Raymond Billington — powiedziała szybko.

— Raymond?! To niemożliwe!

Wszedł do pokoju. Patrzyła na niego zdumiona, a radość na jej twarzy głęboko mnie wzruszyła.

— Raymondzie! — wykrzyknęła i podbiegła do niego.

Chwycił ją w ramiona.

— To nie jesteś naprawdę ty. Ja śnię.

— Naprawdę jestem tutaj — powiedział. — Przyjechałem, żeby zająć się tobą... tobą i Annalice.

— Och, Raymondzie! — Płakała. Od dawna nie widziałam jej łez. Wyciągnęła ręce i dotknęła jego twarzy, jakby chcąc się upewnić, że naprawdę tu jest.

Przytulił ją mocno, kołysząc w objęciach.

— Już wszystko dobrze. Jestem tutaj. Jestem, żeby zabrać cię do domu.

Położyła ramiona na jego piersi i widziałam łzy spływające po jej policzkach.

Cicho zamknęłam drzwi i zostawiłam ich razem.

Poszłam do swojego pokoju. Ona go kocha, a on jej także nie przestał kochać, pomyślałam. Och, jakie to wszystko jest strasznie pogmatwane. I co teraz będzie?

Nie byłam zaskoczona widząc Milтона. Usłyszał o przyjeździe Raymonda i bez zwłoki pojawił się w hotelu.

Siedziałam na tarasie z Raymondem i Felicity, kiedy go zobaczyłam. Wbiegł szybko po schodach, a ja wstałam, by go powitać.

— Przyjechał Raymond Billington — powiedziałam. Minę miał dość ponurą.

— Chodź, poznasz go. Raymondzie... to jest Milton Hemming. Pisałam ci o nim. Bardzo nam pomógł.

Raymond podał mu rękę. Widziałam, jak Milton przygląda mu się badawczo. Nie mogłam poznać z wyrazu jego twarzy, co o nim myśli.

— Siedzimy tu i patrzymy na port — powiedziałam.

— Wygląda pani dużo lepiej, Felicity — stwierdził Milton.

— Och, czuję się dużo lepiej. Milton usiadł z nami.

— To spore zaskoczenie, prawda? — zwrócił się do mnie. — A może wiedziałś o przyjeździe pana Billingtona?

— To ogromna niespodzianka.

— Listy idą tak długo — wyjaśnił Raymond. — Trudno jest się porozumiewać. W Sydney dowiedziałem się wszystkiego. Wsiadłem więc na najbliższy statek.

— Długo pan pozostanie?

— O, nie, nie mogę. Najprawdopodobniej wkrótce muszę ruszać w drogę powrotną. Statek, zdaje się, odpływa raz w tygodniu.

— A zatem zamierza pan wracać już za tydzień?

Raymond uśmiechnął się do mnie.

— To się jeszcze okaże. Dopiero dziś przypląnąłem. Nie mieliśmy czasu na omówienie wielu spraw. Byłem bardzo wstrząśnięty wiadomością o chorobie Felicity.

Felicity spuściła oczy i lekko się zarumieniła.

— Zapraszam pana na kolację u mnie na plantacji — powiedział Milton.

— Miałam nadzieję, że dziś wieczorem zjesz kolację z nami w hotelu — zwróciłam się do Milтона.

— Dziękuję. Teraz muszę już wracać do siebie. Przyjadę po państwa o siódmej.

Odprowadziłam go do stajni, gdzie zostawił swojego wierzchowca. Raymond został na tarasie z Felicity.

— Czy zamierzasz wrócić razem z nim? — spytał Milton.

— Nie wiem. Raymond tak nieoczekiwanie przyjechał.

Byłam zdumiona widząc go w łodzi.

— Nie wiedziałś, że przyjedzie?



— Ależ nie.  
— Powinien zabrać z sobą Felicity. Od razu jej się polepszyło, kiedy przyjechał. Wydaje się zupełnie odmieniona.  
— Tak — zgodziłam się.  
— To dzięki niemu, prawda?  
— Myślę, że tak.  
— Pozwól im na wyjazd. A ty zostań tutaj.  
— Nie wiem, Miltonie. Nie wiem, co powinnam zrobić.  
— Ja zdecyduję za ciebie.  
— Nie. Sama muszę decydować.  
Popatrzył na mnie ponuro.  
— Mógłbym postawić sobie pytanie, jaką mam nadzieję, mając za rywali świętego i ducha.  
— Nie sądzę, byś obawiał się któregoś z nich.  
Nagle odwrócił się do mnie i objął mnie. Żałowałam, że nie mam magicznej różdżki, która usunęłaby wszystkie przeszkody stojące na mojej drodze.  
— Zobaczymy się dzisiaj na kolacji — powiedziałam.  
— Może poznam bliżej tego człowieka z kryształu, tego świętego, i nie omieszkałam też dowiedzieć się czegoś o tym z zaświatów. To dziwna postać. A potem zdobędę cię dla siebie. Wiesz, że zostaniesz tutaj. Będiesz moją żoną.  
Uśmiechnęłam się do niego i pomyślałam: „Tego właśnie chcę”.  
Wsiadł na konia i odjechał.

\* \* \*

Zapanowało jakieś nieznośne napięcie. Wytworzył je przyjazd Raymonda. Felicity przeszła już przez początkowy okres euforii. Zdawała sobie sprawę z uczuć Raymonda do mnie i chwilami czułam, że mnie za to nienawidzi. Była w nim bardzo zakochana. Widziałam to całkiem jasno. To było coś, co nigdy nie minie, bo on jest bohaterem jej dzieciństwa, o małżeństwie z nim marzyła od zawsze. Również ich rodziny uważały to małżeństwo za rzecz przesadzoną. Potem ja się zjawiłam. Nic dziwnego, że nie poczuła do mnie sympatii.

Chciałam powiedzieć Raymondowi, że nie mogę zostać jego żoną. Chciałam, by zabrał Felicity do domu i zostawił mnie tutaj. Ale przez cały dzień nie znalazłam okazji, by z nim porozmawiać, bo ona wciąż była z nami.

Chciałam mu wyjaśnić, że nie mogę wracać do Anglii. Może już nie znajdę mojego brata. Może podświadomie pogodziłam się już z faktem, że straciłam go na zawsze, a przypuszczenie, że utonął, jest słuszne. Tak naprawdę, niczego nowego się o Filipie nie dowiedziałam. Wiedziałam tylko, że nie mogę być pewna siebie samej. Że z pewnością kocham Miliona Hemminga w inny sposób, niż kochałam Raymonda i, jeżeli wrócę z Raymondem, nigdy nie będę nawet przez chwilę szczęśliwa, bo moja dusza zostanie na Caribie. A jeżeli zostanę tutaj, mogłabym w końcu stać się obojętna na wszystko poza chwilą bieżącą.

Wszystko to chciałam Raymondowi powiedzieć, ale czekałam na odpowiednią chwilę.

Poprzedniego wieczoru Milton zjadł z nami kolację w hotelu. To nie było przyjemne spotkanie. Milton był agresywny, mówił o wyspie, plantacji i całą rozmowę kierował na siebie. Raymond oczywiście grał drugie skrzypce, jak się tego można było po nim spodziewać.

Byłam zadowolona, kiedy kolacja dobiegła końca, a Milton odjechał.

— Bardzo interesujący człowiek — skomentował Raymond. Milton pewnie nie okazałby mu tyle uznania. Ale to tylko wskazywało na ich odmienne usposobienia.

Nie mogłam zasnąć. Jeszcze raz postanowiłam spojrzeć na mapę. Przeszukałam wszystko, ale nigdzie nie było po niej ni śladu.

Przyszło mi do głowy, że ktoś mógł ją ukraść. Dlaczego? Komu byłaby potrzebna? Jaki miałby z niej pożytek?

Szukając mapy, natknęłam się na pigułki Felicity. Nie potrzebowałam ich od jakiegoś czasu i prawie o nich zapomniałam. Uznałam to za dowód, że dochodzi do siebie. Ale wolałam je zatrzymać na wypadek, gdyby nawrót choroby się powtórzył. We flakoniku pozostało jeszcze dziesięć sztuk. Miałam nadzieję, że już nigdy nie będzie ich musiała zażywać.

Po południu, kiedy Felicity odpoczywała, odbyłam rozmowę z Raymondem. Siedzieliśmy na tarasie pod wielkim parasolem. Było bardzo gorąco. Cykady okropnie hałasowały i od czasu do czasu odzywały się ptaki.

— A zatem nie dowiedziałaś się prawie niczego o zniknięciu Filipa? — spytał.

Pokręciłam przecząco głową.

— Niektórzy tutejsi mieszkańcy go pamiętają. Przyjechał tu i mieszkał w tym hotelu. Potem wyjechał. Tyle tylko wiem.

— Taka długa podróż i tak niewielkie zadośćuczynienie.

Skinęłam głową.

— Zmieniłaś się. Felicity zresztą również. Czy sądzisz, że jeszcze kiedyś będzie taka, jak dawniej?

— Myślę, że tak, jeśli stworzy się jej odpowiednie warunki.

— To znaczy, jeżeli wróci do domu.

— Gdyby znalazła kogoś, kto by się nią zaopiekował... kogoś delikatnego i kochającego... kogoś, kto by jej pokazał, że małżeństwo to nie koszmar, nie to, co wycierpiała z tamtym człowiekiem...

— Tak się cieszę, że z nią tam byłaś. Powiedziała, że nie wie, co by bez ciebie zrobiła.

— To było straszne, dla nas obu.

— Tak. Ciebie też odmieniło. Czy tęsknisz za domem?

Zawahałam się z odpowiedzią.

— A więc nie — stwierdził. — Nie brak ci domu. Życie tutaj na swój sposób cię urzeka. Chyba potrafisz to zrozumieć.

— Raymondzie, jesteś najbardziej wyrozumiałym człowiekiem na świecie.

— A czy myślałaś o... nas?

— Bardzo często.

— I wciąż nie jesteś pewna?

Znowu zamilkłam.

— Myślę, że rozumiem. Ten człowiek... jest w tobie zakochany, prawda?

— Cóż... tak. Twierdzi, że tak.

— A ty?

— Nie wiem. Ty byłeś dla mnie taki dobry. Tak mi pomagały rozmowy z tobą, kiedy martwiłyśmy się o Filipa. A potem... wszystko dla mnie zorganizowałaś... bym mogła dopiąć tego, czego chciałam. Nikt nie mógłby być lepszy.

— Rozumiem.

— Naprawdę, Raymondzie? Skinął głową.

— Nie mówmy już o tym, dobrze? Zaczekajmy trochę. Mój przyjazd był niespodziewany. Żałuję, że będąc w drodze, nie zawiadomiłem was o tym.

— Wszystko tak dziwnie się potoczyło. Martwiłam się o Felicity. Twój przyjazd spowodował ogromną poprawę jej zdrowia.

— Znam ją od dziecka.

— Opowiadała mi o tym. Jest już prawie taka jak dawniej. To cudowne... ta przemiana, jaka w niej zaszła.

— Wyzdrowieje. Ja się tym zajmę.

— Kiedy zamierzasz wracać?

— Wkrótce.

Skinęłam głową. Potem opowiedziałam mu o spotkaniu z Magnusem Perrensenem.

— Pamiętasz... to ten człowiek, o którym Ann Alice pisze w pamiętniku. A właściwie, to jego prawnuk.

— Cóż za niezwykle zbieg okoliczności.

— Jeżeli rozważy się wszystkie fakty, nie jest to takie niezwykle. Jego rodzina zna historię Ann Alice i Rajskiej Wyspy. Magnus Pierwszy przyjechał w te strony na poszukiwanie wyspy, potem osiadł w Australii i zajął się wydobywaniem złota, najwyraźniej z wielkim sukcesem. Potem zakupili Wyspę Lwa. Leżała najbliżej tej, której poszukiwali. To całkiem logiczne, jeżeli spojrzysz na to od strony dawnych dziejów.

— To dziwne, że spotkałaś potomka tamtego.

— Tak, to był oczywiście przypadek, Ale czy możesz sobie wyobrazić, jak byłam zdumiona... i wciąż zresztą jestem.

— Nie widziałas go od czasu tamtego spotkania?

— Tak naprawdę to było bardzo niedawno. Powiedział, że jeszcze mnie zaprosi albo przyjedzie tutaj. Wierzę, że tak się stanie.

— Rozumiem. Annalice, zaczekajmy dzień albo dwa. Może poweźmiesz decyzję do czasu odpłynięcia statku.

— Tydzień?

— Mógłbym poczekać jeszcze następny. Ale chyba nie dłużej. Mam napięte sprawy w Sydney. To główna przyczyna mojej tu podróży.

— Przyczyna główna?

— Cóż, naturalnie chciałem wiedzieć, co się z tobą dzieje. Kiedy dostałem list, zacząłem bardzo się martwić o Felicity. Od początku wydawało mi się, że nie jest pewna słuszności powziętego kroku.

— Tak. Zbyt się pośpieszyła.

— Nie rozumiem, co ją opętało.

Popatrzyłam na niego spokojnie.

— Tak naprawdę, była zakochana w kim innym.

Zmarszczył brwi i nie odpowiedział. Czy to możliwe, że on, pełen zrozumienia dla spraw bliźnich, jest aż tak niedomyślny, jeśli chodzi o niego samego?

Na dość długą chwilę zapadła cisza.

— Cóż, możemy jedynie czekać. Za kilka dni... może...

Teraz ja z kolei umilkłam.

— Ile hałasu robią cykady! — stwierdziłam tylko. Zastanawiałam się, co on czuje. Teraz, kiedy przywykłam go gorących uczuć Milтона, Raymond wydał mi się chłodny i praktyczny. Jego pocałunek był delikatny i przelotny. Wiedział już, że Milton jest we mnie zakochany i chyba rozumiał, że nie jest to człowiek, który wytrzymałby długą powściągliwość. Co dostrzegł z moich uczuć do Milтона? I co by dla niego znaczyło, gdybym postanowiła wyjść za mąż za Milтона i zostać na Caribie? Ten spokój, to opanowanie, które kiedyś były dla mnie taką pociechą, mogły oznaczać, że jego uczucia nie są tak głębokie, jak innych — na przykład Milтона. Ale nie byłam wcale tego pewna.

Jakie to dziwne, że teraz nie byłam już pewna nawet Raymonda.

Chwilami zastanawiałam się, czy może nie wyśniłam całej wizyty na Wyspie Lwa. Nie miałam żadnych wiadomości od Magnusa Perrensena. Myślałam, że przyplynie na Caribę. Minęło wprawdzie zaledwie kilka dni, ale wydawało mi się, że trwa to znacznie dłużej.

Odkąd John Everton przywiózł mnie z powrotem na Caribę, nie widziałam go ani razu, zniknął z mojego pola widzenia. Zastanawiałam się, czy wyjechał. Myślałam, że skoro zawarliśmy znajomość, powinien się przynajmniej ze mną pożegnać.

Następnego ranka go zobaczyłam. Siedział na tarasie i rozmawiał z Marią, pokojówką. Maria rozmawia z każdym, gdy tylko znajdzie okazję. Jest nawet bardziej gadatliwa niż reszta służby.

A więc John Everton nie wyjechał.

Zastanawiałam się, czy nie poprosić go, by zawiózł mnie znowu na Wyspę Lwa. Ale nie mogłam przecież tego zrobić bez zaproszenia. Ale wiedziałam, że ta chwila nadejdzie. Musiałam tylko okazać cierpliwość.

Milton tego wieczoru nie zaproponował, że przyjedzie do hotelu na kolację, nie zaprosił nas też na plantację. Czułam, że to z powodu Raymonda.

Tęskniłam za nim. Nie potrafiłam dać sobie rady z tym potężnym uczuciem. Niedługo będę musiała zdecydować. Dotąd ulegałam euforii. Nie chciałam rozważyć faktów. Chciałam po prostu cieszyć się znajomością z Miltonem, odkładając wszystko inne na później.

Teraz muszę powziąć decyzję. Czy odpłynę w dal razem z Raymondem i Felicity, czy zostanę z Miltonem?

Wiedziałam, czego chcę. Moje uczucia do Raymonda zmieniły się. Czy tylko pod wpływem Felicity? Gdybym nie pojawiła się, w ich życiu nic by się nie zmieniło. Może gdyby mnie nie było. Raymond ożeniłby się z Felicity, a ona byłaby szczęśliwa. A on? Wydawało mi się, że jego uczucia nie sięgają tak głęboko, jak innych, właśnie dlatego potrafi wszystko przyjmować z takim niezwykłym spokojem.

Niedługo zacznie się zachód słońca i niesamowite czerwone światło zaleje wszystko. Morze stanie się jasnoróżowe, a niebo krwistoczerwone. Nie mogłam doczekać się tego zachodu słońca, zawsze wyczekiwałam chwili, kiedy wielka czerwona kula zapadnie za horyzont. Był to widok niezwykły, za każdym razem inny.

Byłam niespokojna, więc postanowiłam przejść się nad wodą.

Kiedy tak szłam, zachwycając się kolorami nieba i morza, zobaczyłam dym unoszący się z głębi wyspy.

Stałam, żeby się dokładniej temu przyjrzeć. Dym wznosił się w górę. Zobaczyłam wysokie płomienie i jeszcze więcej dymu. Coś się tam pali! Serce zabiło mi niespokojnie, bo dym widać było od strony plantacji.

Plantacja się pali!

Poczułam przeraźliwy strach. Milton tam jest! Nie potrafiłam myśleć o niczym innym poza tym, że muszę go odnaleźć. Muszę się upewnić, czy nic mu się nie stało.

Pobiełam do stajni. Wsiadłam na kasztankę i w lekkiej sukience pogalopowałam na plantację.

Miałam rację. Paliła się. Słyszałam krzyki ludzi. Nigdy nie widziałam podobnego widoku. Olbrzymi słup płomieni przesuwiał się wśród trzcin. Widziałam ludzi na skraju pola z wiadrami wody. Szczury i mangusty czmychały całą ławicą wśród traw.

Usiłowałam przebiec się w stronę domu.

— Nie podchodzić! — krzyknął ktoś.

— Pan Hemming! — zawołałam. — Gdzie on jest? Muszę go odnaleźć. Gdzie...?

Wtedy go zobaczyłam. Zbliżał się do mnie. Zeskoczyłam z kasztanki i popędziłam do niego. Pochwyił mnie w ramiona i przytulił.

— Żyjesz! — westchnęłam z ulgą. — Dzięki Bogu! Myślałam... byłam przerażona. Nie zniósłabym, gdyby ci się coś stało...

— Czy to aż tak ważne?

— Przecież wiesz.

Przytulił mnie mocno.

— Czy wiesz, że teraz już się zobowiązałaś? Zdradziłaś się z uczuciami do mnie.

Uśmiechał się triumfalnie. Popatrzyłam na niego zdumiona.

— Twoja plantacja się pali... a ty tu...

— To najszcześniejsza chwila w moim zyciu. Popatrz na siebie. Nieprzytomna. We łzach... a wszystko dlatego, że boisz się o mnie. Niech to będzie dla ciebie lekcją.

— Jak możesz... teraz... w takiej chwili...

— To naprawdę bardzo zabawne. Wręcz świetny dowcip. Najlepszy dowcip, jaki kiedykolwiek słyszałem.

— Jesteś chyba szalony!

— Z radości. Moja ukochana mnie kocha. Rzuca wszystko... nawet samego świętego... I pędzi do mnie na koniu... bo myśli, że grozi mi niebezpieczeństwo. Chodź do domu! Chcę ci coś powiedzieć.

— Twoja plantacja się pali!

— Chcę ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham.

— Nie rozumiem cię! Czy nic cię to nie obchodzi? Tracisz wszystko.

— A jakie to ma znaczenie, skoro zdobyłem serce mojej ukochanej... Nie możesz teraz się wycofać. Zdradziłaś się z uczuciami. Odsłoniłaś swoją duszę. Przyznaj się głośno do tego.

— Miltonie...

— Cóż, powiem ci. Plantacja się nie pali. Jutro łatwiej będzie wyciąć trzciny po pożarze. Nazywamy to wypalaniem pól.

— To znaczy, że umyślnie wszystko podpaliliście?

Skinął głową.

— Robimy to regularnie. W odpowiednim czasie podpalamy trawy. Następnego dnia łatwiej będzie ścinać trzinę.

— A więc to wszystko było zamierzone?

— Taką operację należy bardzo dokładnie przygotować. Zaczekać na wiatr, by wiał w odpowiednim kierunku... ciągle nadzorować... wyciąć trawę wokół pól. Cały czas musimy pilnie uważać. Gdyby ogień wymknął się spod kontroli, nastąpiłaby katastrofa. Mógłby nawet strawić całą wyspę.

Odczułam tak wielką ulgę, że potrafiłam się tylko roześmiać.

— A ty przyjechałaś mi na ratunek... Natychmiast, gdy to zobaczyłaś. Och, Annalice, moja kochana Annalice, to z całą pewnością najszcześniejsza chwila w moim zyciu.

— Już o tym mówiłaś.

— Ale warto to powtórzyć. Zawsze będę o tym pamiętać. Dzień, w którym do mnie przysłałaś... Gdybyś widziała to przerażenie na swojej twarzy... a wszystko z mojego powodu.

Przytuliłam się mocniej do niego.

— Byłam taka przerażona. Pocałował mnie.

— A teraz nie masz żadnych wątpliwości.

Skinęłam głową.

— Zostaniesz ze mną? Powiesz mu o tym?

— Myślę, że on już wie.

— Napijesz się czegoś i odwozę cię do hotelu.

— Będą się o mnie niepokoić. Sama wrócę. Musisz być tutaj i nadzorować, by wszystko było pod kontrolą.

— Moi ludzie już się tym zajmą. Wiedzą, co należy robić. — Rozejrzył się. — Już prawie po wszystkim. Jutro wytnie się trzcina. Operacja się udała... największy sukces, jaki odniosłem. Chodź. Odwozę cię powozem. Kasztankę odeślę jutro. Nie możesz jechać wierzchem w tym stanie. Bez siodła, na oklep. To nieeleganckie. I wszystko dla mnie! Jestem taki szczęśliwy. Powiedz mi, jak bardzo byłaś przestraszona?

— Sam wiesz.

— Już raz wyczytałem taki lęk z twojej twarzy. Pamiętasz? Wtedy, gdy nurkowałem po perły.

— Pamiętam doskonale.

— Nie podobało ci się, że nurkuję na dno morza, prawda?

— Myślałam o rekinach.

— Obiecuję, że nie będę nigdy nurkował po perły, kiedy się już pobierzemy.

Dotknęłam lekko jego twarzy.

— Zawsze stawiasz na swoim — powiedziałam.

— Ty też nie jesteś potulną Gryzeldą. W końcu to ja zakochałem się w tobie, a ty we mnie. Z wadami i zaletami. Nie chciałbym zmieniać w tobie absolutnie nic, naprawdę.

— Ja też nie.

— Chodź, napij się czegoś. Dobrze ci zrobi. Przeżyłaś przecież okropny wstrząs.

Piłam powoli, a on siedział obok i obejmował mnie ramieniem. Nagle poczułam się szczęśliwa. Zupełnie jakby tego wieczoru wszystko zostało rozwiązane.

Odwiózł mnie z powrotem powozem.

Wszyscy się zastanawiali, gdzie się podziewałam. Wyjaśniłam, a Milton dorzucił parę szczegółów o wypalaniu trzciny.

— Czy zostanie pan z nami na kolacji? — spytał Raymond.

— Nie, dziękuję. Muszę wracać i upewnić się, czy wszystko w porządku. Wprawdzie ogień jest pod kontrolą, ale kto wie... To przecież żywioł.

— Rozumiem.

— Radziłbym ci dziś wcześniej się położyć i dobrze wyspać — powiedział mi jeszcze Milton. — Wypij przed snem trochę kokosowego mleka. Uspokaja. Powiem Marii, żeby zaniósła je do twojego pokoju.

Już przyjął postawę właściciela. Zastanawiałam się, czy inni to dostrzegli. Ale nic mnie to teraz nie obchodziło. Ogarnęła mnie wielka radość. Jutro będę musiała pomówić z Raymondem. Wyjaśnię mu wszystko, a on z pewnością zrozumie.

Milton odjechał.

— Zobaczmy się jutro wieczorem. Dam ci cały dzień na uporządkowanie spraw — rzekł jeszcze na pożegnanie.

Chodziło mu oczywiście o moją rozmowę z Raymondem.

Pomyślałam, by z nim pomówić. Ale nie mogłam, gdyż była z nami Felicity. Teraz, gdy Raymond przyjechał, nie kładła się tak wcześnie, jak poprzednio. Cały czas go nie odstępowała.

Byłam zadowolona. Czułam, że może wszystko jakoś się ułożyć. Raymond wróci do kraju i zabierze z sobą Felicity. A w swoim czasie... może całkiem niedługo... pobiorą się. Widziałam, jak doskonale się rozumieją. Raymond potrzebuje kogoś, kto szukałby w nim oparcia, kim mógłby się opiekować, a Felicity potrzebuje Raymonda, bo tylko on potrafi zatrzeć w niej wspomnienia strasznych przeżyć.

Tej nocy czułam się chyba szczęśliwsza niż kiedykolwiek wcześniej.

W czasie kolacji byłam roztargniona i wcześniej wróciłam do pokoju. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, była szklanka mleka kokosowego na stoliku przy łóżku.

Uśmiechnęłam się. A więc Milton rozmawiał z Marią. Nie miałam ochoty na mleko, ale on chce, bym je wypila, więc to chyba wystarczający powód?

Spojrzałam na siebie w lustrze. Dostrzegłam smugę sadzy na staniku sukni. Nikt mi o tym nie powiedział. Włosy też miałam nieźle potargane. Za to moje oczy płonęły. Wyglądałam może niedbale, ale jestem bardzo szczęśliwa, stwierdziłam.

Rozebrałam się, myśląc o dniu jutrzejszym. Muszę porozmawiać z Raymondem, gdy tylko trafi się okazja. Wytlumaczę mu, że to, co się stało, było nieuniknione. On zrozumie, a Felicity tylko czeka, by go pocieszyć. Myślę, że kocha ją mocniej, niż zdawał sobie sprawę. Tak się o nią niepokoił i tak chętnie się nią zajął.

Naprawdę wszystko układa się pomyślnie.

Rozebrałam się i zaczęłam czesać włosy.

Moje spojrzenie znów się zatrzymało na szklance z mlekiem i przypomniałam sobie twarz Milтона, spojrzenie jego niebieskich oczu na opalonej twarzy, jego triumf i zachwyt, że ujawniłam swoje prawdziwe uczucia.

Wzięłam do ręki szklankę i wypiałam łyk.

Niekiedy mleko kokosowe ma jakiś dziwny smak. Odstawiłam szklankę. Nie miałam ochoty tego pić.

Siedziałam jeszcze na łóżku, myśląc o pożarze i o chwili, gdy go zobaczyłam w chmurze dymu na plantacji.

Wypiałam jeszcze jeden łyk mleka. Pomyślałam, że dzisiaj jest jakieś okropne. Odstawiłam z obrzydzeniem szklankę i przy okazji rozlałam trochę na blat stolika. Wstałam, by poszukać czegoś do wytarcia, a kiedy wróciłam, zobaczyłam, że z rozlanego mleka wydzielił się jakiś osad.

Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam.

Nawet nie wytarłam blatu, bo nagle strasznie zachciało mi się spać. Położyłam się. Cały pokój zdawał się wirować. Prawie natychmiast zapadłam w głęboki sen.

## Odkrycie

Zazwyczaj budzę się wcześniej, ale następnego ranka z ciężkiego snu wyrwało mnie dopiero wejście Marii. To mnie zaniepokoiło. Co się ze mną właściwie dzieje? Czułam się niezwykle ociężała, podniosłam się z największym trudem.

Maria stała przy moim łóżku. Patrzyła na mnie z zakłopotaniem.

— Dobrze się panienka czuje? — spytała.

— Tak, chyba tak. Bardzo mocno spałam.

Usiadłam na łóżku i dotknęłam ręką głowy. Pojawiły się wspomnienia poprzedniego dnia. Ogień... Milton... mój powrót do hotelu.

— Ale jakoś jest dziwnie — dodałam.

Przypomniałam sobie słowa Milтона, że każe Marii zanieść na górę mleko. Obróciłam głowę. Na stoliku nie było już nic, a blat wyglądał tak, jakby świeżo go umyto.

— Nie wypila pani swojego mleka — powiedziała Maria.

— Trochę wypilałam.

— I trochę pani rozlała. Wytarłam.

— Dziękuję.

— Przyniosę pani gorącą wodę do kąpieli.

— Tak, proszę.

Kiedy wyszła, wstałam z łóżka. Kręciło mi się w głowie. Co się ze mną stało ostatniej nocy? No tak, przeżyłam emocjonalny wstrząs. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy zobaczyłam ogień, i jazdy przez gęste od dymu powietrze, w huku płomieni i trzasku palących się traw. Wciąż jeszcze widziałam przerażone szczury, gdy umykają spomiędzy płonących trzcin.

Zapewne zdenerwowało mnie to bardziej, niż przypuszczałam. Najstraszniejsza w tym wszystkim była myśl, że coś złego przytrafiło się Miltonowi... A potem radosne odkrycie, że nic mu nie grozi.

A potem jeszcze to okropne mleko kokosowe!

Och, tak, mleko, miało taki dziwny smak! Oczywiście Maria zabrała je razem ze szklanką. Jej zadaniem jest utrzymywanie porządku.

Siedziałam na łóżku, rozmyślając... i wciąż jeszcze rozmyślałam, kiedy wróciła z gorącą wodą.

Umyłam się i ubrałam.

Rozległo się pukanie do drzwi.

To była Felicity. Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

— Och... dopiero wstałaś?

— Zaspałam.

— To niepodobne do ciebie. Zjadłam już śniadanie na tarasie z Raymondem. Chcę mu pokazać wyspę. Czy pojedziesz z nami?

— Nie dziś. Boli mnie trochę głowa. Jedźcie sami.

Nie potrafiła ukryć zadowolenia.

— To pewnie z powodu wczorajszego zdenerwowania. Ten pożar i wszystko... i ta jazda konno.

— Tak — odparłam. — Pewnie tak.

Wyszła.

Jakże się odmieniła! Jeżeli kiedykolwiek była zakochana, to właśnie teraz. Raymond też musi to widzieć. A jemu na niej zależy... bardzo.

Usiadłam, starając się otrząsnąć z ociężałości. Co się ze mną dzieje? Nigdy wcześniej tak się nie czułam.



Musiałam być jeszcze bardzo senna, skoro nie pomyślałam natychmiast o mleku i dopiero kiedy zeszłam na dół i zjadłam śniadanie, przypomniałam sobie o nim.

Mleko! Wypiłam tylko parę łyków... i był w nim jakiś osad.

Nie mogłam usiedzieć na tarasie, wróciłam więc do swojego pokoju.

„Mleko” powtarzałam wciąż w myślach. Osad. Czy możliwe że ktoś wsypał mi coś do mleka?

Dlaczego? Żeby głęboko mnie uśpić? Po co? Ale ja wypiłam tylko trochę. Jeżeli ta niewielka ilość dała taki rezultat, co by się stało, gdybym wypiła pełną szklankę?

Rozpuszczałam kiedyś pigułkę dla Felicity w mleku kokosowym. Doktor mówił, że najlepiej zażywać to lekarstwo w mleku.

Przyszła mi do głowy niepokojąca myśl. Podeszłam do komody. Flakonik był na miejscu. Drżącymi palcami odkręciłam zakrętkę. W środku znajdowało się tylko sześć pastylek.

Ale przed kilkoma dniami, gdy je liczyłam, było ich dziesięć!

Zakręciło mi się w głowie. Gdzie się podziały te cztery pigułki? — zadałam sobie pytanie. Dostrzegłam swoje odbicie w lustrze. Błada twarz, źrenice rozszerzone, przerażone oczy.

Ktoś wrzucił te cztery pigułki do mojego mleka. Gdybym wypiła wszystko, gdzie znajdowałabym się teraz? Ktoś usiłował mnie otruć.

Przypominałam sobie, co mówił lekarz. Jedna pastylka wystarczy, by zapewnić Felicity spokojny sen. Nigdy nie więcej, niż jedna na dobę, powiedział. Dwie nie są niebezpieczne dla zdrowia, ale nie należy brać dwóch naraz. Większa ilość może przynieść fatalne skutki,

A ktoś wrzucił cztery pigułki do mojego mleka!

Próbowałam wszystko sobie przypomnieć. Milton kazał Marii przynieść mi mleko na górę. Już na mnie czekało, kiedy weszłam do pokoju. Maria? Ale dlaczego Maria chciałaby mnie skrzywdzić? Jest przecież bardzo przyjacielska. Hojnie nagradzam jej usługi, co wprawia ją w zachwyt. Wydawało się, że chętnie się mną zajmuje. Jest wścibska, to prawda. Przyłapałam ją wszak na płażowaniu w moich rzeczach, ale to była tylko ciekawość.

A więc nie Maria!

Felicity? O, nie. Delikatna Felicity, Felicity, która tak wielu rzeczy się boi. Nigdy nie sięgnęłaby po takie środki. Morderstwo? Z pewnością nikt nie usiłuje mnie zamordować. Ale gdybym wypiła mleko z rozpuszczonymi w nim czterema pigułkami, byłoby już po mnie. Gdybym wypiła to mleko. Łatwo mogło się to zdarzyć. Gdyby tak szybko nie ogarnęła mnie senność, zapewne wypiłabym resztę mleka. Wydawało mi się, że ma dziwny smak... ale tutaj wiele rzeczy miewa dziwny smak. Tyle że w tej chwili mogłabym... leżeć martwa.

Felicity?... Niemożliwe. Ale gdyby mnie tu nie było, Raymond z pewnością zwróciłby się do niej. A ona kocha go całym sercem. Jest dla niej wszystkim. Ta cudowna odmiana, jaka w niej zaszła po jego przyjeździe, tylko potwierdza moje przypuszczenia. Ja stoję wciąż między nimi... tak przynajmniej jej się wydaje. Czy posunęłaby się tak daleko? Jakże to byłoby proste! Wiedziała o istnieniu pigulek. Nie wiedziała, gdzie je trzymam, ale zdawała sobie sprawę, że są w moim pokoju, a miała mnóstwo okazji do jego przeszukania. Tak często wychodziłam z hotelu, gdy ona zostawała w swoim pokoju. Bez trudu mogła znaleźć pigułki.

Nie, nie mogłam w to uwierzyć.

Przyszło mi do głowy co innego.

Magda Manuel. Dużo łatwiej potrafiłam wyobrazić sobie ją planującą morderstwo, niż Felicity. Magda? Ma powód, by chcieć usunąć mnie z drogi i znowu być ze swoim mężczyzną. Jak blisko była z Miltonem? Czy miała nadzieję wyjść za niego za męża? Czy istniało między nimi jakieś porozumienie, zanim się zjawiłam? Ale jak zdołałaby wkraść się do hotelu... wejść do mojego pokoju? Nie było jej wszak tutaj wczoraj wieczorem, gdy wrzucono pigułki do mleka. Ale mogła przekupić kogoś ze służby... Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej zdawało się to prawdopodobne... Zna wyspę. Zna wyspiarzy i sposoby ich postępowania.

Co powinnam zrobić?

Cóż, oto mimo wszystko siedzę teraz żywa i zdrowa, coraz bardziej otrząsając się ze skutków ciężkiego snu. To prawda, mam lekki ból głowy... ale nie warto nawet zwracać na to uwagi...

Ten mój ból głowy można też wytłumaczyć przeżyciami wczorajszego popołudnia. Doznałam wstrząsu na myśl, że plantacja się pali. Pojechałam tam przerażona. Gwałtownie zareagowałam na jego widok. Ale przyjąłam do wiadomości prawdę i zrobiłam coś, co odkładałam od tygodni. Zmęczyłam się... psychicznie. Głęboko spałam. A mleko? Ponosi mnie wyobraźnia? Mogły się w nim znaleźć maleńkie cząsteczki kokosu. I to był ten osad.

A całą resztę tylko sobie dopowiedziałam.

Ale co z brakującymi pigułkami?

Mogłam się pomylić w liczeniu.

Dziesięć? A potem sześć? Gdyby chodziło o jedną, może nawet dwie, potrafiłabym to jeszcze wytłumaczyć. Ale cztery!

Tak, nie wolno zapominać o pigułkach.

Zadzwoiłam na Marię.

— Wczoraj wieczorem przyniosłaś do mojego pokoju mleko.

— Tak. Postawiłam przy łóżku. Pan Hemming powiedział, że powinna je pani wypić, żeby dobrze spać.

— Czy przyniosłaś je prosto z kuchni do mojego pokoju?

— Tak — odpowiedziała, nieco zaskoczona pytaniem. Spojrzałam na nią, ale jej oczy pełne tego samego rozbawienia, co zwykle, patrzyły na mnie spokojnie.

Byłam już pewna, że Maria nie dopuściła się żadnego przestępstwa.

— Zabrałaś resztki mleka — powiedziałam.

— Tak... dzisiaj rano. Chyba pani nie chce, żeby stało tu wczorajsze mleko.

— Trochę się rozlało.

— To nic... tylko trochę. Wytarłam już blat.

— Rozumiem.

Co miałam powiedzieć? Nie mogłam przecież spytać, czy wrzuciła do mleka pigułki. Zejdzie na dół i opowie o tym wszystkim. Pomyślą, że oszalałam.

— Wszystko w porządku, Mario.

Chciałam co prędzej zapomnieć o całej sprawie, ale nie mogłam zapomnieć o pigułkach w buteleczce. Wyjęłam znów flakonik i sprawdziłam raz jeszcze zawartość. Tylko sześć.

Odłożyłam go na poprzednie miejsce i pomyślałam: „Mapa też tu była w szufladzie... a teraz jej nie ma”. Gdzie podziała się mapa wyspy? Ktoś z pewnością musiał ją zabrać. A ten, kto ją zabrał, zobaczył też fiolkę z pigułkami, bo leżały obok siebie.

Jeszcze raz zaczęłam szukać mapy.

Maria przyszła posłać łóżko i posprzątać w pokoju. Siedziałam i czekałam, aż skończy.

— Mario, czy widziałaś moją mapę?

— Mapę?...

— Tak... mapę. Niezbyt dużą. O, taką. — Pokazałam rękami jej wielkość. — Zgubiłam ją.

— Na tarasie. Widziałam, jak pani pokazuje tam komuś mapę. To było już dawno.

Obserwują nas cały czas, pomyślałam.

— Nie, wtedy jej nie zgubiłam. Myślałam, że włożyłam ją z powrotem do szuflady, ale jej tam nie ma.

— Poszukam — powiedziała.

— Szukałam już wszędzie.

— Ja znajdę. Pani Granville też zgubiła kiedyś szalik i nie mogła go znaleźć, a ja znalazłam... leżał pod łóżkiem. — Roześmiała się, jakby uznawała to za doskonały żart. — I znajdę teraz mapę — dodała.

Nie, nie mogę podejrzewać Marii.

Zostawiłam ją w swoim pokoju i zesłam na dół. Usiadłam na tarasie i zastanawiałam się, czy powinnam pojechać do Milтона i opowiedzieć mu o moich obawach.

Milton na mój widok natychmiast pomyślałby, że rozmawiałam już z Raymondem. Jeśli mu opowiem, co się stało, zażąda, bym natychmiast przeniosła się z hotelu do jego domu. Uśmiechnęłam się. Cóż, tam przynajmniej czułabym się bezpiecznie.

W pobliżu przechodził John Everton.

— Dzień dobry — powiedział. — Jak się pani czuje?

— Bardzo dobrze, dziękuję. A pan?

— Doskonale.

Nie zatrzymał się.

Siedziałam nadal, pogrążona w myślach. A może pigułki same wypadły z buteleczki? Wyjęłam je, żeby policzyć. Mogłam wtedy cztery z nich upuścić. Nie było to prawdopodobne, ale różne rzeczy się zdarzają. Te cztery pigułki mogą leżeć nadal w szufladzie. Jak głupio bym się czuła, gdybym powiedziała, że ktoś je wrzucił do mojego mleka, a potem je znalazła. A mapa? Może sama ją gdzieś schowałam?

W każdym razie byłam podekscytowana. Od czasu moich doświadczeń w domu Granville'a, zrobiłam się podejrzliwa, zganiłam się. A to mogła być zwykła nieostrożność, roztargnienie. A teraz, kiedy wchodzi w grę zbrodnia, pozwalam wyobraźni szaleć.

Nagle dostrzegłam Magdę. Zbliżała się do hotelu od strony morza. Zobaczyła mnie na tarasie i pomachała mi ręką.

Moją pierwszą myślą było: „Przyszła się przekonać, czy jeszcze żyję”.

Ale nie okazała żadnego zdziwienia na mój widok. Tylko że taka kobieta, jak ona, nie okazałaby oczywiście zdziwienia. Jeżeli jest na tyle sprytna, by zaplanować moją śmierć, potrafi także zapanować nad wyrazem swojej twarzy i odruchami.

— Dzień dobry. Jak miło cię widzieć — powiedziała. — Przyjechałam z moim kucharzem na zakupy. Poszedł na targ. Pomyślałam, że przyjdę cię odwiedzić.

— To bardzo miło z twojej strony.

— Czy dobrze się czujesz? — Przyglądała mi się uważnie, a moje podejrzenia znów przybrały na sile.

— Tak, dziękuję, bardzo dobrze.

— Jutro wydaję proszoną kolację i chciałabym cię zaprosić. Oczywiście, będzie też Milton. Zastanawiałam się, czy twoja przyjaciółka już na tyle doszła do siebie, by również się zjawić. Słyszałam też, że przyjechał z Anglii wasz przyjaciel. Może wszyscy byście mnie odwiedzili?

— Nie ma go teraz, wyszedł z panią Granville. Kiedy wrócą, przekażę im twoje zaproszenie.

— To będzie kolacja dla uczczenia pewnego wydarzenia.

— Doprawdy?

— Tak. Moich zaręczyn z Georgem.

— Och! — Zagubiłam się. Skoro wychodzi za mąż za George'a, dlaczego chciałaby mnie się pozbyć?

— Cóż, to najlepsze, co możemy zrobić. Zastanawiam się, dlaczego nie zaręczyliśmy się wcześniej.

— To naprawdę czarujący człowiek — powiedziałam.

— Też tak myślę.

— Jestem pewna, że będziesz bardzo szczęśliwa.

— A więc przyjedziesz?

— Z przyjemnością.

— I zaproszę swoich przyjaciół. Gdy już załatwimy sprawunki, zamierzam pójść na plantację i zaprosić Milтона. A teraz idę. Mam jeszcze dużo spraw. Cieszę się, że cię spotkałam. Do zobaczenia.

Wróciłam do swojego pokoju. Maria skończyła już sprzątać i nie było jej.

A więc Magda wychodzi za mąż za George'a. Zrozumiałam, jak głupia była moja podejrzliwość. Jak Magda mogłaby wczoraj wieczorem kazać wrzucić pigułki do mojego mleka? Pozostały tylko dwie osoby, które mogły to wykonać. Maria i Felicity.

Zastanawiałam się nad Felicity. Zawsze uznawałam ją za osobę raczej słabą. Ale czy jest nią w istocie? Co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy na balkonie? Granville po wyjściu ode mnie, zszedł na dół, by się jeszcze napić. Dopiero po godzinie wrócił do żony. Mówiła, że nie mogła już dłużej tego znosić. Chwyciła pistolet i postraszyła go, że się zastrzeli. Tak mi mówiła. A może wycelowała w niego?

Nie potrafi dobrze strzelać. Tylko że... Moja wyobraźnia szalala, płatała mi figle. Wszystko widziałam teraz jasno. Jej strach, jej odrazę... on się zatacza w jej stronę... pijany. Wyobraziłam sobie, że wybiega na balkon. Czy to ona strzeliła? Czy zrobiła to celowo? Nie potrafię jej winić, nawet jeżeli tak się to odbyło. Ale czy ona strzeliła?

Jakikolwiek był powód, morderstwo jest morderstwem, wiedziałam, że nikt, kto je popełnił, nawet jeśli został sprowokowany, nie będzie już nigdy taki, jak dawniej.

Czy taki miało to przebieg?

Ten strzał mógł ją uratować od dalszych upokorzeń i cierpień. Tylko jeden strzał... A teraz cztery pigułki mogły oszczędzić jej życia pełnego nie spełnionej tęsknoty, mogły podarować jej życie u boku Raymonda.

On ją kochał, wiedziałam o tym, na swój cichy sposób.

Och, wszystko doskonale do siebie pasowało.

Chciałam pojechać do Milтона, ale coś mnie powstrzymywało. Nie chciałam z nim mówić o moich podejrzeniach wobec Felicity. Rozsądek nakazywał mi odrzucić te myśli. Ale Felicity ma powód, by chcieć się mnie pozbyć... tak jak miała powód pozbyć się Williama Granville'a.

Tylko że zachodzi pewna różnica. On okazał się wobec niej bestią. Ja zaś jestem jej przyjaciółką. Jakże często powtarzała, że nie wie, co by uczyniła beze mnie. Ale ja stoję między nią a tym, czego w życiu najbardziej pragnie.

Trudno mi przychodziło myśleć o Felicity — tej cichej, delikatnej dziewczynie — jako o morderczyni. Ale co wiemy o ukrytej części ludzkich myśli? Jak dobrze znamy się wzajemnie?

Wróciłam do swojego pokoju. Wywróciłam szufladę. Czy te pigułki mogły zawieruszyć się wśród rękawiczek i szali? Dokładnie wszystko przeszukałam. Mapy też nie znalazłam. Co się z nią stało? Było jasne, że ktoś przetrząsnął moje rzeczy.

Dlaczego mapa zniknęła? Nie mogę przecież oskarżyć Felicity o kradzież mapy.

To wszystko jest strasznie tajemnicze i zagmatwane. Pójdę jednak do Milтона, pomyślałam, ale jeszcze nie teraz. Poczekam aż odjedzie Magda.

A jakie to ma znaczenie? Chce mu tylko powiedzieć o uroczystej kolacji. Co czuje mężczyzna, kiedy kobieta, z którą łączyły go szczególne związki, postanawia poślubić innego?

Poczułam się taka łatwowierna, nieświadoma świata. Tylu rzeczy muszę się jeszcze nauczyć. Odkąd opuściłam Anglię, wiem tylko, że nie wiem nic.

Pójdę do Milтона dziś po południu, zdecydowałam, gdy minie najgorszy upał.

Wyszłam na taras. Gwar portu docierał do mnie jakby z oddali. Usiadłam i pograżyłam się w domysłach.

Dostrzegłam Magdę wśród straganów na targowisku. Był z nią kucharz — bardzo wysoki człowiek w niebieskich spodniach i białej koszuli, przy której jego skóra zdawała się czarna jak heban. Targowali się z jakimś przekupniem.

Obserwowałam ich obojętnie. Dopiero po chwili dostrzegłam obok nich Milтона.

Magda zwróciła się do niego. Wyciągnęła rękę. Ujął ją i zobaczyłam, że oboje się śmieją.

Po chwili zostawił ją i ruszył w stronę hotelu.

Pobiegłam mu na spotkanie. Jaka to ulga!

— Tak się cieszę, że przyszedłeś!

— Co za przemile powitanie! Czy omówiłaś już wszystko z Raymondem?

Pokręciłam przecząco głową.

— Nie miałam okazji. Cały czas jest z nim Felicity. Teraz też wyszli razem. Ona jest w nim zakochana po uszy, a on w niej też się chyba durzy na swój sposób. Nie sądzę, by okazało się to trudne.

— Czy dobrze się czujesz, Annalice?

— Dlaczego pytasz?

— Wyglądasz jakoś blado, jesteś spięta...

— Chcę z tobą porozmawiać. Wydarzyło się coś dziwnego. Czy możemy usiąść na tarasie?

Kiedy już siedzieliśmy, opowiedziałam mu o mleku. Był zaskoczony. Nigdy wcześniej nie widziałam, by nie potrafił znaleźć natychmiastowej odpowiedzi.

— Czy jesteś pewna... że te tabletki? — spytał w końcu.

— Szukałam wszędzie. Jestem pewna, nie mylę się. Gdyby brakowało jednej albo nawet dwóch, mogłabym pomyśleć, że źle policzyłam. Ale cztery...

— Cztery! To mogła być śmiertelna dawka! — Milton bardzo zbladł i popatrzył na mnie z tak głębokim uczuciem, iż poczułam, że wszystko było warte tego spojrzenia.

— Wygląda na to, że ktoś chciał sprowadzić na mnie głęboki sen.

— Po co?

— Chodzi o coś, co znajdowało się w moim pokoju. Ktoś, kto nic nie wiedział o sile pigułek...

Pokręcił głową.

— Mogliby włamać się z łatwością, bez posuwania się aż tak daleko.

— Zabrano mapę.

— Mapę wyspy? Zabrano ją ostatniej nocy?

— Nie... nie. Wcześniej. Zauważyłam jej brak parę dni temu. Była na dnie szuflady razem z pigułkami.

— Mapa — powtórzył. — To dziwne. Nie zostaniesz ani jednej nocy w tym hotelu.

— A gdzie...?

— W moim domu oczywiście.

— A co z Felicity i Raymondem?

— Oni mogą mieszkać tutaj... albo niech też się przeprowadzą, jeśli zechcą. Znajdzie się i dla nich miejsce. Ale ty jedziesz teraz ze mną.

— Och, Miltonie, myślałam już, by pojechać do ciebie. Ale wydało mi się, że to wszystko zabrzmi strasznie głupio. Więc powinnam bardziej uważać na to, co mówię.

— Dlaczego?

— Bo pomyślałam, że to mogła być również Felicity. Widzisz, istnieje powód. Myśli, że wyjdę za Raymonda, a ona przecież go kocha... bardzo. Przeszła ten straszny wstrząs. Nie wiem, jaki przebieg miały wypadki na balkonie owej pamiętnej nocy, ale wiem, że wytrąciły ją z równowagi. Chwilami nawet myślałam, że postrada zmysły. Gdyby nie tamto, nigdy bym nie pomyślała, że ona może dopuścić się czegoś takiego.

— Felicity — powtórzył powoli — i mapa. Nie sądzisz chyba, że Felicity ukradła mapę?

— Och, nie ona! Mapa jej nie dotyczy. Milczał, a ja mówiłam dalej:

— Nic już nie wiem. Może poniosła mnie wyobraźnia. Bo widzisz, wydawało mi się, że w mleku jest jakiś osad... ale potem pomyślałam, że to mogły być drobiny kokosu. Miałam bardzo dziwny wieczór... pożar i cała reszta. Byłam bardzo zmęczona... emocjonalnie i fizycznie. Myślę, że mogłam zasnąć głęboko z naturalnych powodów.

— A pigułki? Jak to wyjaśnisz?

— Może wysypały się z buteleczki, kiedy ją otwierałam ostatni raz. Nie jest przezroczysta, więc wysypałam je na dłoń, aby policzyć. Mogłam upuścić kilka na podłogę. A potem sprzątaczką je zmiotła.

— I nie zauważyła, co zmiata?

— Też tak myślałam, ale staram się rozpatrzeć wszystkie możliwości.

— A mapa, która zginęła?

— Może być mnóstwo powodów jej zniknięcia. Nie mogę jej znaleźć od dłuższego czasu. Nie wydaje się, by miała coś wspólnego z tym, co zdarzyło się ostatniego wieczoru.

— Nie odzyskam spokoju, dopóki nie znajdziesz się u mnie na plantacji. Spakuj swoje rzeczy i jedziemy natychmiast.

— Muszę przecież poczekać i zobaczyć się z Felicity. Powinna wszystko jej wyjaśnić. Postaram się zachować ostrożność. Jeżeli to ona, trzeba będzie obchodzić się z nią delikatnie. Dobrze ją znam. Może coś się w niej załamało.

Skinął głową.

— Ale nie spędzisz kolejnej nocy w tym hotelu.

— Próbujesz mną rządzić — powiedziałam ze słabym uśmiechem.

— Opiekuję się tobą. Czyż nie to będę robił od tej pory? Rozumiem, o co ci chodzi z Felicity. Rozegramy to w rękawiczkach. Kiedy wrócę, powiesz im, że dziś wieczorem przenosisz się na plantację. Jeżeli będą woleli zostać tutaj, pozwól im na to. Ty jedziesz do mnie. To przesądzone.

— Ja chcę jechać do ciebie. Boję się spędzić choćby jeszcze jedną noc w tym hotelu.

— Jedź więc ze mną już teraz. Pokręciłam przecząco głową.

— Muszę im to jakoś wytłumaczyć. Nie chcę, żeby to wyglądało jak ucieczka przed zamachem. Wymyślę coś wiarygodnego. I postaram się, by przynajmniej Felicity przyjechała ze mną. Wydaje mi się, że powinnam się nią nadal zajmować.

— Czy widziałaś ją dzisiaj rano? Jak się zachowywała? Dziwnie?

— Była tylko zaskoczona, że jeszcze zastała mnie w łóżku. Naprawdę się o nią martwię, bo chciałabym, żeby wszystko było już wyjaśnione. Jestem pewna, że Raymond zabierze ją z powrotem do Anglii... i że się pobiorą. Byliby razem bardzo szczęśliwi.

— Wiesz, że nie wolno ci decydować o cudzym życiu. Każdy musi znaleźć własną drogę. Idę już. Mam parę rzeczy do zrobienia. Czekam na ciebie przed zachodem słońca. Jeżeli się nie pojawisz, przyjadę po ciebie.

— Och, Miltonie, tak się cieszę, że rozumiesz. Uścisnął mi mocno dłonie i pocałował mnie.

— Zawsze będę się tobą opiekował. Przez resztę naszego życia.

Patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął. Dostrzegłam Magdę chodzącą jeszcze wśród straganów ze swoim wysokim kucharzem.

— Panno Mallory!

To był John Everton.

— O... dzień dobry — odpowiedziałam.

— Cieszę się, że panią widzę. Mam dla pani pilną wiadomość. Od człowieka z wyspy.

— Och! — To mnie natychmiast postawiło na nogi.

— Posłaniec, który ją przekazał, nie mógł pani nigdzie znaleźć.

— Siedziałam na tarasie.

Wzruszył ramionami.

— Cóż, zobaczył mnie, przypomniał sobie że byliśmy razem i przekazał wiadomość dla pani. Musi pani niezwłocznie popłynąć na Wyspę Lwa. Pan Perrensen pragnie pani powiedzieć coś nadzwyczaj ważnego. Posłaniec musiał wracać, a ja obiecałem, że gdy tylko panią spotkam, popłynę z panią na wyspę, jeśli oczywiście będzie pani mogła. Możemy tam już teraz się udać, jeśli pani gotowa. Zaraz wynajmę łódź.

— To dla pana duży kłopot.

— Och, nie mam nic do roboty. Wakacyjna beczynność nie leży w moim usposobieniu. Lubię być aktywny. To dla mnie przyjemna wycieczka.

— Skoro jest pan o tym przekonany...

— Jestem przekonany. Czy możemy wyruszyć od razu?

— Tak. Pójdę tylko po kapelusz od słońca.

— Istotnie, przyda się. Zaczekam tu na panią. Proszę nie zwlekać. Lepiej wrócić przed nastaniem skwaru.

Poszłam na górę do swojego pokoju i wzięłam kapelusz. Na tę chwilę czekałam od czasu, gdy poznałam Magnusa Perrensena. Ból głowy i senność już mi przeszły. Chce mi coś ważnego przekazać. Może jestem o krok od dowiedzenia się tego, po co tu przyjechałam? Może ma wiadomości od Filipa? Po tym wszystkim, co się tu dziś wydarzyło, całkiem wyleciały mi z głowy poszukiwania brata.

John Everton wyprzedził mnie, by wynająć łódź. Magda wciąż była na bazarze. Odwróciła się w pewnej chwili i dostrzegła mnie przy łodzi. Pomachała mi ręką.

John Everton pomógł mi wsiąść i odpłynęliśmy.

— Dzisiaj pogoda mniej nam sprzyja niż ostatnio — odezwał się. — Mamy przeciwny wiatr, potrwa to trochę dłużej.

— Miejmy nadzieję, że nie będzie mgły.

— Taki wiatr szybko by ją przegnał.

Skąła z leżącym lwem zbliżała się coraz bardziej. Widać już było plażę. Everton lekko wyskoczył z łódki i pomógł mi wsiąść.

— Jesteśmy na miejscu.

Brnąc w piasku ruszyliśmy w stronę domu. U wylotu schodów czekał Magnus Perrensen.

Uścisnął mi obie dłonie i uśmiechnął się ciepło.

— Dziękuję, że pani przybyła tu niezwłocznie.

— Wyruszyłam zaraz po otrzymaniu wiadomości. Ma pan dla mnie nowiny?

— Owszem, ale proszę wejść. W domu będzie przyjemniej rozmawiać.

Ogarnął mnie dziwny niepokój. Przebywanie w jego towarzystwie przypomniało mi Ann Alice. Zdania dziennika wydawały się odbijać echem w moim umyśle.

— Napijmy się — powiedział. — Zaraz nam coś podadzą. Zaprowadził mnie do salonu z widokiem na morze.

— Od czasu naszego spotkania wielokrotnie wybierałem się na Caribę, by zaprosić panią tutaj. Ale najpierw musiałem się o czymś upewnić. Chciałem poczekać z powiedzeniem pani o moim odkryciu.

— Cała zamieniam się w słuch.

— Najpierw się napijmy... To szczególny napój, wymyślony przez mojego sługę. Jest bardzo pomysłowy w ich przyrządzaniu. Będzie pani z pewnością smakował. Odświeża.

Wypiłam łyk.

— Dziękuję — odparłam. — Chciałabym zatem usłyszeć...

— Tak, wiem. Wyspa istnieje.

— Więc znalazł ją pan! Gdzie ona leży? Czy mapa bardzo się myli?

— Mapa oddaje rzeczywistość. Mówi prawdę.

— Ale...

— Tak, była pani na tamtych wodach w towarzystwie pewnego pana z Cariby i niczego nie odkryliście. Ale nie patrzyła pani dość uważnie. To zrozumiałe. Dowie się pani wszystkiego za chwilę. Niczego przed panią nie zataję. Tak bardzo panią podziwiam. Ma pani w sobie tyle życia. Dużo więcej niż większość kobiet, które znam. Lubi pani przygody. Wyruszyła pani w daleką podróż, by odszukać zaginionego brata. O ogromna z pani romantyczka. Pamiętnik Ann Alice bardzo panią wzruszył, prawda? Myślę, że podczas lektury utożsała się pani z Ann Alice, chwilami mogło się pani wydawać, że jest nią. Kiedy pani zobaczyła mnie po raz pierwszy, proszę to przyznać, przez chwilę sądziła pani, że znalazła się nagle w przeszłości. Pomyślała pani, że jestem tym młodym kochankiem, który obiecał Ann Alice wyrwać ją z ponurego domu, gdzie rządy sprawowała macocha wraz ze swym bezwzględny kochankiem. Tak pani pomyślała, prawda? Proszę przyznać!

— Oczywiście, ale ani na chwilę nie zapomniałam, kim ja jestem.

— Och, nawet na ułamek sekundy pani nie pomyślała, że jest nowo narodzoną Ann Alice? W chwili, gdy ująłem pani dłoń i powiedziałem... Co to ja wtedy mówiłem?... „Wreszcie pani przybyła”. Wtedy pani zadrżała. Wiem, bo sam to widziałem.

— No, cóż, może... Ale teraz chcę usłyszeć o wyspie. Powiada pan, że mapa odpowiada prawdzie?

— Proszę wypić. To bardzo orzeźwia.

Wypiłam jeszcze jeden łyk. Znow wrócił lekki niepokój. Tak dziwnie się zachowuje. Wydało mi się, że Magnus Perrensen w pewien szczególny sposób mnie wyśmiewa, kpi ze mnie. Tym razem sprawiał wrażenie innego człowieka, różnił się od tego, którego spotkałam wcześniej.

— Proszę mi powiedzieć, gdzie jest ta wyspa.

— Na dnie morza.

Krzyknęłam zdumiona. Przypomniałam sobie, że gdy siedziałam w łodzi z Miltonem, w bezmiarze błękitu zamigotała jasnozielona smuga. Czy tam właśnie leży wyspa? Czy ona jest przyczyną różnicy koloru wody?

— Odpowiedź jest prosta — mówił nadal. — Jakies osiemdziesiąt lat temu nastąpiła zmiana pogody... trwało to tylko jeden rok. W większość krajów pojawiły się silne, niezwykle upały. Pewna ilość lodu na biegunach roztopiła się i spłynęła do oceanu. W niektórych regionach doszło do powodzi. Nawet tutaj, w pobliżu równika dało się to zauważyć. Niektóre wyspy zamieniły się w podwodne skały, inne zaś całkiem zniknęły. I to właśnie stało się z naszą wyspą.

— Och, teraz wszystko rozumiem. Słyszałam, że coś takiego mogło mieć miejsce. Ktoś mi o tym już mówił...

— W związku z naszą wyspą? — zapytał pośpiesznie.

— Och, nie... tylko ogólnie.

Dostrzegłam Johna Evertona przechadzającego się nerwowo po trawniku za oknem i wydało mi się dziwne, iż nie wszedł z nami do domu.

— Czy to pana przyjaciel? — spytałam.

— Pracuje dla mnie.

— Ale... Nie sądziłam, że on pana zna. Myślałam, że znaleźliśmy się tutaj przypadkowo...

— Przywiózł panią... na moje polecenie.

— Chodzi panu o pierwszy raz?

— Tak.

— Dlaczego zatem udawał, że spotkanie jest przypadkowe?

— Wszystkiego się pani dowie we właściwym czasie. Ale pani nie pije.

— Nie czuję pragnienia.

— Chyba pani smakuje?

— Och, tak, nawet bardzo.

— To bardzo odświeża, proszę wypić, a przekona się pani.

— Początkowo sądziłam, że ma pan wiadomości o moim bracie.

— No, tak, oczywiście, pani brat.

— Czy pan coś o nim wie?

— Był tutaj. Bardzo dociekliwy młody człowiek, nadzwyczaj spostrzegawczy. I bardzo podobny do swojej siostry. Dość zorientowany. Sporo wiedział o mapach i morzu. Domyślił się, że wyspę zalała woda.

— A więc pan go spotkał?

— Od razu dostrzegł odmienny kolor morza. Choć nie zawsze tak się dzieje. To widać tylko w pewnych warunkach pogodowych. Czasami nie ma po niej ani śladu.

— A więc Filip to odkrył...



— Odkryto to dawno temu, przed nim.

— Ale kiedy widziałam pana ostatnio... — Wpatrywałam się w niego. Uniósł swoją szklankę, dając mi do zrozumienia, że powinnam uczynić to samo.

Zawahałam się. Dlaczego tak mu zależy, bym to piła? Poprzedniej nocy dostałam nauczkę. Chyba długo jeszcze nie będę piła bez zastanowienia.

Było w tym wszystkim coś bardzo dziwnego. Sposób, w jaki na mnie patrzył, w jaki mówił, nie dając jasnych odpowiedzi na moje pytania. Zaczęłam coraz bardziej się niepokoić. Przyszło mi na myśl, że może on nie jest całkiem przy zdrowych zmysłach.

Wydawał się taki zimny. Jego oczy były niebieskie — jak Milтона. Ale jakże inne! Poczułam gwałtowną tęsknotę za opiekuńczą obecnością Milтона i coś w rodzaju strachu, bo dzielił nas taki szmat wody.

— Rozumiem, że ma mi pan coś do powiedzenia o moim bracie.

— Wiem, gdzie on jest.

Wstałam.

— Proszę mnie do niego zaprowadzić.

— Wszystko w swoim czasie.

— O co chodzi? Dlaczego jest pan taki tajemniczy? Dlaczego nie powie mi pan od razu?

— Chciałbym, żeby się pani uspokoiła i najpierw wypiła. Potem moglibyśmy spokojnie porozmawiać.

— Nie. Nie będę więcej piła. Nie chcę pić. Nie mam ochoty. Chcę najpierw wszystkiego się dowiedzieć.

— Cóż, powiem więc pani, gdzie jest pani brat. Pozostał na wyspie.

— Ale wyspa...

— Tak, znajduje się na dnie morza.

— Chce pan powiedzieć, że Filip...

— Jest tam... A w każdym razie to, co ryby z niego pozostawiły.

— Chcę już wracać — powiedziałam.. — Nie wiem, jaki jest pana plan, ale nie zamierzam zostać tutaj ani chwili dłużej.

— To niezbyt uprzejmie. Co by na to powiedziała Ann Alice?

— Sprowadził mnie pan tutaj w jakimś celu. Chcę wiedzieć, do czego pan zmierza.

— I dowie się pani... Żałuję, że nie wypiła pani napoju. Wtedy byłoby pani dużo lżej. Lubię panią. Jest pani bardzo atrakcyjna. Nie sądzę, by Ann Alice była równie atrakcyjna, jak pani. Brakowało jej chyba tego ognia. Jest pani młodą kobietą o wspaniałym charakterze. Lubi pani, kiedy wszystko idzie po jej myśli. To bardzo chwalebne, że podjęła pani te poszukiwania. Właśnie dlatego postanowiłem, że dowie się pani wszystkiego, czego chce się pani dowiedzieć... zanim i pani dołączy do swojego brata.

— Co takiego?

Skinął głową.

— Ale jeszcze nie od razu. Wie pani, że miłość tamtych dwojga nigdy nie została spełniona. Wiedziała pani o tym. Ann Alice była prostytutką dziewczyną. Mój pradziadek zaś wartościowym młodzieńcem, ale wówczas jeszcze wielkim idealistą. Zmienił się później. Śmiem twierdzić, że Ann Alice też by się zmieniła. Taka już jest ludzka natura. Okoliczności zmieniają ludzi. Zgodzi się pani ze mną?

— Żądam, by pana człowiek, John Everton natychmiast odwiózł mnie do hotelu.

— To moja wyspa. Nie po to zadałem sobie trud, by panią tu sprowadzić, by mogła pani teraz stąd uciec. Lubię przeszłość. Lubię myśleć o sobie jako o młodym kartografie, który przybywa do Anglii i zakochuje się w pięknej dziewczynie. Musi pani mnie opuścić, ale przedtem chciałbym trochę się pobawić. Zagramy rolę kochanków... Będziemy rozkoszować się tym, na co oni nie mieli okazji... a może zabrakło im odwagi. Zasady były w tamtych czasach bardzo surowe... teraz zresztą także, ale tu, na tej wyspie, ja ustanawiam prawa.

— Myślę, że pan jest szalony — powiedziałam.

— Nie, wręcz przeciwnie. Mówiłem już, że podziwiam panią od pierwszej chwili. Tylko że weszła pani prosto do jaskini lwa, prawda? Jest pani nieostrożna. Podobnie zresztą, jak pani brat. Był bardzo łatwowski, prostolinijny. Chciał wysłać na dno nurków. Chciał nawet sam nurkować. Trzymam tu cały sprzęt do nurkowania. Zabrałem go na morze i... wróciłem bez niego. Za dużo wiedział... zbyt dużo odkrył... i tego się obawiałem.

Patrzyłam na Magnusa Czwartego Perrensena z przerażeniem. Rozejrzałam się wokół. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

— Wkoło morze — powiedział. — Nie ma żadnej drogi odwrotu. Gdyby pani wypila ten napój, byłaby pani teraz mile senna... Kochałbym panią cicho, delikatnie. Ale pani jest uparta. Nie chciała pani pić.

— Czy wczoraj wieczorem próbował mnie pan otruć?

— Nie pani stawia tu pytania. I wolno pani jeszcze wypić ten napój. Tak będzie lepiej. Chcę, żeby pani stała się taka, jaką byłaby Ann Alice. Ale pani będzie walczyć. Widzę to. Ann Alice nigdy by nie walczyła z Magnusem.

— Pan naprawdę jest szalony.

— Nie, wcale nie. Wszystko, co robię, ma podstawy logiczne. Jest pani dla mnie takim samym zagrożeniem, jakim był pani brat. Przyjechała pani go odnaleźć. Cóż, właśnie to pani zrobiła. A teraz dołączy pani do niego.

— Czy wyobraża pan sobie, że zdoła mnie zabić, jak mojego brata? Jego nikt tu nie znał. Mnie już znają. Są ludzie, którzy będą chcieli wiedzieć, co się ze mną stało.

— Wielki Człowiek z Cariby? Zajmę się szczegółami. Łódź, którą pani przyплыnęła, zostanie rozbita. Everton zniknie, pani zresztą także. Łódź stanie się niepodważalnym dowodem. Ktoś mógł widzieć, że wypłyneła pani z Evertonem.

— I będą wiedzieli, że przywiózł mnie tutaj.

— Skąd mieliby wiedzieć, dokąd panią wywiózł? Nikt nie wie o jego powiązaniach ze mną.

— Mówiłam już kilku osobom, że przed paru dniami Everton przywiózł mnie tutaj do pana.

— Co nie musi oznaczać, że zrobił to po raz drugi.

— Domyśla się, że to jedyny powód, dla którego wsiałabym z nim do łodzi.

— Kręci pani. Nikt nie wie, że pani tu jest.

Wpadłam w zasadzkę. On naprawdę wierzy w to, co mówi, pomyślałam. Jest zimny i wyrachowany. Dlaczego w ogóle odkryłam ten pamiętnik? Gdybym go nie znalazła, Filip byłby teraz w domu... a ja nigdy nie spotkałabym Miliona.

Miliona. Miliona! Powtarzałam sobie to imię bez końca. Gdzie teraz jesteś? Gdybym tylko mogła do ciebie dotrzeć... choćby myślami...

Próbowałam jasno rozumować. Przez długie jeszcze godziny nikt nie zauważył mojego zniknięcia. Felicity i Raymond wrócą i będą się zastanawiać, gdzie się podziałam. Czy się zaniepokoją? Mogą uznać, że pojechałam na obiad na plantację. Czy ktoś widział, że odpływam z Johnem Evertonem? Magda pomachała do mnie ręką, kiedy miałam wsiąść do łodzi, ale nie przyjdzie jej na myśl, by o tym wspomnieć... przynajmniej dopóki nie będzie za późno.

Dopiero wieczorem wszyscy zauważą moją nieobecność. Gdybym zdołała zbiec na plażę... wsiąść na łódź... dopłynąć sama na Caribę. Ale jak uda mi się przed nim uciec?

On jest szalony, myślałam. Przeszłość opętała go tak samo jak mnie. Zostałam schwytana z jej powodu w zasadzkę — i on zresztą też. Ann Alice sprowadziła swoją tragedię na mnie, tak jak jego pradziadek uwikłał go w swoje życie.

Kiedy spojrzałam w zimne, niebieskie oczy Magnusa Czwartego Perrensena, wydało mi się, że patrzę na własną śmierć.

A ja tak bardzo chciałam żyć! Pragnę na zawsze być z Milionem. Chcę cieszyć się tym wszystkim, o czym on mówił... wrócić do Anglii, mieć dzieci. Pragnę tego od bardzo dawna,

odkąd w głębi duszy zdałam sobie sprawę z tego, że go kocham, ale nigdy to uczucie nie wydawało mi się bardziej zrozumiałe niż w tej chwili.

Może zdałam go przywołać myślami. Czułam, jak cała moja istota stara się go osiągnąć. To musi wywołać jakąś odpowiedź. On musi czuć, że grozi mi śmiertelne niebezpieczeństwo. Miltonie, Miltonie, gdzie jesteś? Przebywa pewnie teraz na plantacji, nadzoruje wycinanie trzciny. Miltonie... — wołałam go bezgłośnie.

Uczepiłam się łąpczywie życia. Każda chwila była cenna.

W tym człowieku tkwi jakaś zimna determinacja. Zbyt wielką przyjemność sprawia mu ta scena, by chciał ją szybko zakończyć. Nie ma w nim ognia ani namiętności, żadnej przemożnej żądzy. To miało być coś w rodzaju rytuału, kulminacja historii Ann Alice i jej kochanka.

Powinnam sprawić, by mówił dalej...

— Obiecał mi pan wyjaśnienia — powiedziałam. — Mówił pan, że zasługuję na to, by o wszystkim wiedzieć.

— A zatem?

— Jaki jest sekret tamtej wyspy? Dlaczego nie chce pan, by ktokolwiek się dowiedział, że znalazła się pod wodą?

— Powiem pani. Mój pradziadek, ukochany Ann Alice, przybył tutaj po jej śmierci na poszukiwanie wyspy. Nigdy jej nie odnalazł, ale ogarnęła go gorączka złota. Rozumie pani, złoto. Ten kruszec był na wyspie... tyle kruszcu, że leżał wszędzie. Myśl o złocie go opętała... i znalazł je w Australii. Stał się względnie zamożny. Ożenił się i miał syna... mojego dziadka, który poszedł w ślady ojca. Ale kopalnia złota to nie dziura bez dna. Żyły się kończą. Dochody maleją. Mój dziadek nie był już młody, kiedy on z kolei ruszył na poszukiwanie wyspy. Znalezienie wyspy stało się obsesją w mojej rodzinie... tak, jak stało się obsesją pani brata i pani.

— I? — spytałam, nerwowo rozmyślając o jakiejś drodze ucieczki. Jak wydostać się z tego pokoju? Gdzie się schować? Chyba w chwilach prawdziwego zagrożenia zmysły stają się bardziej wyostrzone. Nasłuchiwałam pilnie. Czy to wyobraźnia mnie poniosła, że usłyszałam jakiś odgłos, ruch... tam, na zewnątrz...

Magnus Czwarty Perrensen zajęty był swoją opowieścią.

— Mój dziadek kupił Wyspę Lwa, by znaleźć się najbliżej miejsca, gdzie, jak wierzył, leży Rajska Wyspa. Celem jego życia stało się jej odnalezienie. I odkrył ją. Wysłał nurków na dno. Opowieść o złocie okazała się prawdziwa. Złóża wydawały się... nieprzebrane. Od pięćdziesięciu lat wydobywamy stamtąd złoto.

— I dlatego należycie do nielicznych prosperujących właścicieli kopalni złota w Australii. A złoto pochodzi z tamtej wyspy.

Skinął głową.

— Ale ona nie należy do was.

Wzruszył ramionami.

— Dlatego nie chcemy, żeby obcy wtrącali się w nasze sprawy.

— Chce pan powiedzieć, że ktoś mógłby domagać się praw do części tego złota? Czy ono należy do was? Nie wierzę, że tak jest... Według prawa...

— To złoto należy tylko do mojej rodziny — oznajmił kategorycznie. — I zostanie w mojej rodzinie. Dlatego nie wolno nam dopuścić, by jacyś sprytni mali szpiedzy kręcili się w pobliżu.

— Zaczynam rozumieć.

— To bardzo proste... i logiczne, musi pani przyznać.

Nagle za oknem dostrzegłam łódź zmierzającą w stronę wyspy. Nie zdradziłam się nawet mrugnięciem oka. Perrensen odwrócony tyłem do drzwi na taras, nie mógł jej widzieć z miejsca, gdzie siedział. Muszę nadal podtrzymać z nim rozmowę, jakbym nic nie zobaczyła. Muszę się pilnować, by jego uwaga była skoncentrowana na mnie. Ulga, którą odczułam, była prawie nie do zniesienia. Ktoś płynął w tę stronę.

Z pewnością wielu jego ludzi dostrzegło już tę łódź. Ilu ich tu jest na wyspie, oprócz Magnusa Czwartego Perrensena i Johna Evertona? Muszą tu mieszkać nurkowie, są niezbędni do wydobywania złota. I służba. Pewnie całkiem spora gromada.

— A gdybym obiecała wyjechać i nie mówić nikomu o Rajskiej Wyspie?

— Niby dlaczego mógłbym pani ufać?

— Dałabym słowo.

— A co z pani bratem?

— On i tak już nie żyje. Nie mogę sprowadzić go z powrotem.

— Nie lubię przemocy — powiedział.

— Naprawdę? Zdumiewa mnie pan.

— W śmierci pani brata nie było przemocy. Chciał zejść na dno razem z nurkami. Wysłałem go na dół i zwyczajnie przeciąłem linę. Zostawiliśmy go tam na dole. To było bardzo proste.

— Czy tak samo zamierza pan postąpić ze mną?

— Chciałem, żeby pani wypła ten napój. Wtedy wszystko byłoby prostsze.

— Ja bym spała, a pan zwyczajnie wyrzuciłby mnie za burtę do morza. Tak, to rzeczywiście byłoby szybkie i łatwe.

— Dlaczego nie wypije pani teraz tego napoju?

— Nie jest łatwo wypić za własną śmierć.

— Wie pani, że tak się musi stać. Czy to kil łośdzi zaszorował o piasek?

— Nic nie jest przesądzone.

— Ale tak się musi stać. Myślę o tym ciągle, odkąd postawiła pani stopę na mojej wyspie. Może powinno dojść do tego już wtedy. Ale trudniej przyszłoby mi wówczas ukryć pani zniknięcie. No i miała pani jeszcze wówczas mapę. Sama mi pani o niej powiedziała. Nie chciałem, by ją odkrył ktoś obcy.

— A więc to pan kazał ją wykraść z mojego pokoju. W jaki sposób?

— Nieważne. Teraz nie ma już żadnej mapy... i niedługo nie pozostanie już nikt zainteresowany Rajską Wyspą.

Nagle z zewnątrz dobiegł krzyk.

Zerwałam się i pobiegłam do drzwi prowadzących na morze. Otworzyłam je i wybiegłam, zanim on się połapał i zdążył mnie schwytać.

Ogarnęła mnie dzika radość.

Milton biegł przez plażę, nie był sam. Z łodzi wyskakiwało wielu ludzi.

— Milton! — krzyknęłam. — Milton!

Biegłam do niego. Chwycił mnie w ramiona. Uśmiechał się, wiedziałam, że to uśmiech ogromnej ulgi.

Byłam bezpieczna — i z nim zawsze będę bezpieczna.

\* \* \*

Zawiózł mnie na plantację. Był tam już Raymond z Felicity, Magdą i Georgem.

Teraz już znałam cały przebieg wydarzeń i wiedziałam, dlaczego pojawił się na czas.

Gdy tylko się pożegnaliśmy, udał się na poszukiwanie Marii. Uznał, że jedynie ona miała okazję, by ukraść mapę i wrzucić pigułki do mojego mleka.

Wprawił ją w takie przerażenie, że przyznała się do wszystkiego.

Tak, zabrała mapę, bo myślała, że to głupi świstek starego papieru. Nic cennego, jak biżuteria albo pieniądze. A pigułki do mleka wrzuciła tylko po to, by panna Mallory dobrze spała.

Dlaczego się tego dopuściła? Bo pan Everton obiecał jej za to pieniądze, a ona chce dołączyć do swojego ukochanego Sabrina na fermie w Australii. Im szybciej zdobędzie pieniądze, tym

prędzej będzie mogła do niego pojechać, a za wykonanie tego przestępstwa dostałaby wystarczająco dużo. Pan Everton przecież obiecał.

Ale wszystko poszło nie po jej myśli, bo panna Mallory nie wypła mleka. Rozlała nawet trochę, bo została plama na stoliku nocnym. Tak więc nie dostała wszystkich pieniędzy... Tylko za mapę.

Magda zobaczyła Milтона, gdy wychodził z hotelu, gdzie wypytywał Marię, i powiedziała mu, że widziała mnie, jak odpływam łodzią z Johnem Evertonem.

To wystarczyło. Milton już wiedział, że znalazłam się w niebezpieczeństwie. Zeszłej nocy usiłowano mnie zabić. Natychmiast wyruszył na Wyspę Lwa, zabierając z sobą ludzi, których zadaniem jest pilnować przestrzegania prawa na tych wyspach.

Podczas prowadzenia przesłuchania nikomu nie było wolno opuścić Wyspy Lwa, a później, jeszcze tego samego dnia, Milton wysłał swoich nurków tam, gdzie powinna znajdować się Rajską Wyspą. Spenetrowali wody i znaleźli zatopioną wyspę.

Nie wiem, co prawo mówi o wydobywaniu złota, ale tu chodziło jeszcze o umyślne zamordowanie mojego brata.

Ja natomiast, jak powiedział Milton, potrzebowałam teraz specjalnej opieki, a on musiał zdobyć pewność, że będę ją miała.

Najlepszym na to sposobem i jedynym — było małżeństwo ze mną. I niebawem do tego doszło.

Rozmawiałam z Raymondem.

Zrozumiał. Ale czy Raymond kiedykolwiek czegoś nie rozumiał?

— Gdy tylko tu przyjechałem, dostrzegłem, co was łączy — powiedział.

— Raymondzie, jakże mi przykro. Byłeś dla mnie taki dobry.

— Pragnę twojego szczęścia. To dla mnie najważniejsze.

— Nie. Równie ważne jest to, byś ty był szczęśliwy. Nikt nie zasługuje na szczęście bardziej niż ty.

— Nic mi nie będzie. Ty i on jesteście dla siebie stworzeni. Widzę to. Ja jestem może nieco zbyt powolny, prawda? Nie szukam przygód jak on. Nie jestem stanowczy, wymagający.

— Kocham go — odpowiedziałam szczerze. — Nigdy nie mogłabym być szczęśliwa bez niego.

— Wiem o tym. I dlatego najważniejsze jest, abyś była szczęśliwa z nim.

— A ty?

— Zabiorę Felicity z powrotem do Anglii.

— Proszę, opiekuj się nią. Ona potrzebuje czyichś opiekuńczych skrzydeł.

— Roztoczę więc nad nią skrzydła — obiecał.

I wiedziałam, że Raymond naprawdę zaopiekuje się Felicity.

\* \* \*

Niewiele już pozostało do opowiedzenia. Przebyłam długą drogę, odkąd opuściłam Anglię — nie chodzi mi tu o odległości mierzone w milach. Zerwałam z przeszłością. Chyba zaczęłam lepiej rozumieć życie. Często myślę, że gdybym nie wyruszyła w tę podróż, trwałabym nadal spokojnie i wygodnie w Anglii, wyszłabym za męża, miała dzieci... byłabym może nawet szczęśliwa. Ale się stamtąd wyrwałam. Nie raz stawiałam twarzą w twarz ze śmiercią. Badałam głębie i wznosiłam się na wyżyny. Mogłam zginąć gwałtownie, jak Ann Alice. Ale cokolwiek mnie spotkało, zawsze będę pamiętać, że dzięki przygodzie poznałam Milтона. Bowiem życie już takie jest — niełatwe i nieproste. Często trzeba podejmować ryzyko, by wygrać wielką nagrodę.

Jestem żoną Milтона Hemminga. Raymond i Felicity odpłynęli do Anglii. Naprawdę wierzę, że niedługo się pobiorą. Ona prawie już doszła do siebie i chyba jest bardzo szczęśliwa.

Wstydę się na myśl, że kiedyś podejrzewałam ją o próbę otrucia mnie. Magda wyszła za mąż za George'a Callerby'ego i zostałyśmy najlepszymi przyjaciółkami.

Pewnego dnia wrócimy do Anglii. Cudownie będzie zobaczyć Babcię M. i Jana, i znowu być w domu.

Milton o tym wie. Kiedyś mi przypomniał, jak na początku odnosiłam się do niego chłodno i z rezerwą.

— Pamiętasz, gdy kiedyś ci powiedziałem, że pewnego dnia powiesz mi: „Kocham pana, panie Hemming”. Tego właśnie nigdy mi nie powiedziałaś.

— Cóż, ale to prawda.

— Niebawem opuścimy to wszystko. Wrócimy do domu, do Anglii. Teraz, kiedy masz już mnie, to pewnie stanie się twoją najbliższą misją.

— Tak, chciałabym zobaczyć znowu Anglię... być tam. Ale, panie Hemming, mój dom jest tam, gdzie ty.

Wydawał się bardzo zadowolony z tego stwierdzenia.